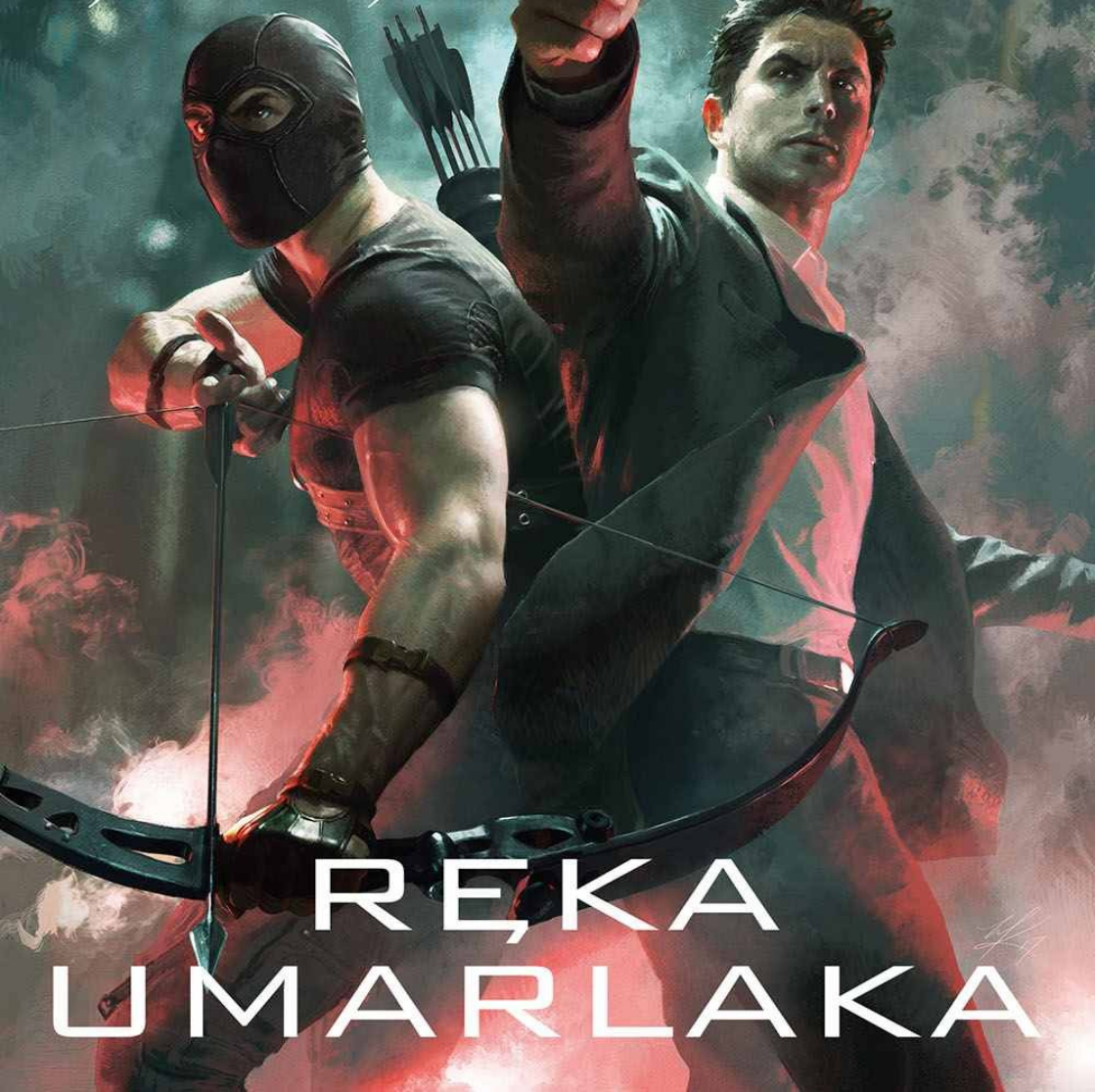


GEORGE R.R. MARTIN

JOHN JOS. MILLER



REKA
UMARLAKA

Redakcja i wybór

**GEORGE R.R.
MARTIN**

John Jos. Miller

RĘKA UMARLAKA

Współpraca:

Melinda M. Snodgrass

Przełożył

Michał Jakuszewski

**ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO**

George R.R. Martin
Ręka Umarlaka [Dziki karty t.7]

Tytuł oryginału
Wild Cards VII: Dead Man's Hand

ISBN 978-83-8116-247-0

Copyright © 1990 by George R.R. Martin and the Wild Cards Trust
All rights reserved

Copyright © 2017 for the Polish translation by Zysk i S-ka
Wydawnictwo s.j., Poznań

Cover art copyright © Michael Komarck

Redaktor
Robert Cichowlas

Wydanie 1

Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67
faks 61 852 63 26
dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90
sklep@zysk.com.pl
www.zysk.com.pl

Konwersję do wersji elektronicznej lesiojot

Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Dedykacja

Poniedziałek, 18 lipca 1988

Wtorek, 19 lipca 1988

Środa, 20 lipca 1988

Czwartek, 21 lipca 1988

Piątek, 22 lipca 1988

Sobota, 23 lipca 1988

Sobota, 24 lipca 1988

Poniedziałek, 25 lipca 1988

Lista postaci

Dla Mary Mertens

Poniedziałek, 18 lipca 1988

5:00

Drzewa się poruszały, chociaż nie było wiatru.

Nie wiedział, jak długo szedł ani w jaki sposób trafił w to miejsce. Był sam. Bał się. Noc była dłuższa i ciemniejsza od wszystkich, które przeżył. Blask księżycy malował krajobraz na czarno i szaro, ale sam księżyc był straszliwie obrzękły i miał kolor gnijącego mięsa. Mężczyzna zerknął raz na niego i przez krótką, przerażającą chwilę miał wrażenie, że księżyc pulsuje. Wiedział, że nie może więcej na niego patrzeć. Cokolwiek zrobi, nie może znowu spojrzeć.

Szedł. Cały czas szedł przed siebie. Miał wrażenie, że rzadka, szara trawa przy każdym kroku łapie go za bosc stopy, że jej śliskie źdźbła wciskają się między palce jego nóg. A drzewa się poruszały. Poruszały się, choć nie było wiatru. Długie, okrutne, bezlistne gałęzie wiły się i wykręcały, kiedy przechodził, szepcząc do siebie tajemnice, których nie chciał znać. Gdyby zatrzymał się choć na chwilę, dokładnie usłyszałby i zrozumiał ich szepty. A wtedy by oszalał.

Szedł.

W mdłej, niezdrowej poświacie księżycy przebudziły się stworzenia, o których lepiej nie myśleć. Ogromne skórzaste skrzydła łopotały w powietrzu, wypełniając noc smrodem zepsucia. Chude, pająkowate sylwetki, zgniłe i toczone trądem, przesuwały się za zasłoną drzew, szeleszcząc odnóżami. Nie widział ich, ale zawsze były tuż za nim. Raz usłyszał przeciągły, niski jęk, który nasilał się z każdą chwilą, aż wreszcie nawet drzewa znieruchomiały i umilkły ze strachu.

I wtedy, gdy strach stał się tak silny, że mężczyzna bał się, iż może się nim zadławić, zobaczył przed sobą wejście do metra.

Znajdowało się w samym środku lasu, skąpane w tej straszliwej poświacie, lecz mimo to skądś wiedział, że powinno tam być. Zaczął biec. Miał wrażenie, że porusza się bardzo ospale, że każdy krok trwa cały eon. Wejście było coraz bliżej. Stopnie schodzące w ciemność, wytarta poręcz, znajome znaki, wszystko to wzywało go do domu.

Wreszcie dotarł do szczytu schodów, w tej samej chwili, gdy poczuł, że już nie zdoła biec dłużej. Słyszał za sobą jakieś dźwięki, ale nie odważył się obejrzeć. Pobiegł na dół, trzymając się poręczy. Poczul chwilową ulgę, choć droga ciągnęła się bez końca. Daleko w dole dudniły pociągi, przemierzające ciemne przestrzenie. Schodził w dół. Znowu poczuł strach. Kręte schody opadały w mrok.

Nagle zobaczył drugiego pasażera, schodzącego daleko przed nim. Przyśpieszył. Jego bose stopy ślizgały się po zimnym kamieniu. Schody wiodły wciąż w dół, aż wreszcie zobaczył przed sobą nieznanego, potężnie zbudowanego mężczyznę w grubym, czarnym płaszczu. Spróbował go zawołać, ale w tym miejscu nie miał głosu. Przyśpieszył jeszcze bardziej. Biegł, aż stopy zaczęły mu krwawić. Stopnie zrobiły się bardzo wąskie.

Nagle się skończyły i wybiegł na długi, wąski peron zawieszony nad czarną czeluścią, pochłaniającą wszelkie światło. Drugi mężczyzna stał na peronie. Jego proporcje były jakieś dziwne; w tym, jak tam stał, milczący i zgarbiony, kryło się coś niepokojącego. Potem się odwrócił i Jay zobaczył jego twarz – biały, pozbawiony rysów stożek przechodzący w wilgotną, czerwoną mackę. Stworzenie uniosło głowę i zaczęło wyć. Jay krzyknął...

...i obudził się z drzeniem, w ciemnym, śmierdzącym szczytnami pokoju.

– Cholera – mruknął. Serce waliło mu jak rockowy perkusista na spidzie, a bielizna nasiąkała potem. Złaz się w łóżko. To był paskudny sen.

Wymacał ręką stojącą przy łóżku lampę i postawił nogi na podłodze, czekając, aż echa koszmaru miną.

Sen wydawał się bardzo realny. Ale tak było zawsze. Już od dzieciństwa

dręczył go ten sam cholerny koszmar. Kiedy zaczął budzić się z krzykiem dwa razy w tygodniu, rodzice usunęli z jego półki książki H.P. Lovecrafta i wyrzucili cenną kolekcję EC Comics. To jednak nie pomogło. Sen go nie opuścił. Czasami znikał na kilka miesięcy, ale potem – gdy Jay był już przekonany, że na zawsze się od niego uwolnił – wracał z gwałtowną furią i prześladował go co noc. W tym roku skończy czterdzieści pięć lat, a sen wciąż był tak samo gwałtowny jak za pierwszym razem.

Zawsze wyglądał identycznie: długi spacer przez koszmarny las, staromodne wejście do nowojorskiego metra, niekończące się zejście pod ziemię i wreszcie spotkanie na peronie ze stworzeniem o twarzy w kształcie stożka. Czasami po przebudzeniu Jay myślał, że we śnie kryje się coś więcej, że są jakieś jego fragmenty, które zapomina. Jeśli jednak tak było, wołał o tym nie wiedzieć.

Jay Ackroyd zarabiał na życie jako prywatny detektyw. Miał zdrowy stosunek do strachu, który parę razy uratował mu życie, ale nie był zbyt lękliwy, przynajmniej na jawie. Jeden skrywany lęk towarzyszył mu jednak przez całe życie. Bał się, że pewnej nocy znajdzie się na tym peronie, stworzenie o stożkowatej twarzy odwróci się, uniesie głowę i zawyje... a on się nie obudzi.

– Nie ma mowy, do chuja – powiedział na głos.

Spojrzał na zegar. Kilka minut przed piątą rano. Nie było już sensu kłaść się spać. Za niespełna dwie godziny miał się zjawić w Kryształowym Pałacu. Zresztą po jednym z tych snów potrzebowałby ataku serca, żeby znowu zamknąć oczy.

Wsadził pościel, narzuty i bieliznę do kosza na pranie, by przy okazji zanieść je do pralni samoobsługowej. Przez najbliższy tydzień albo dwa, w zależności od tego, jak długo utrzyma to zajęcie, będzie spał w Kryształowym Pałacu. Nie sądził, by Poczwarcka była zachwycona, kiedy się dowie, że jej nowego ochroniarza regularnie dręczy koszmar, który przeraża go do tego stopnia, że aż leje w łóżko. Zwłaszcza jeśli sama będzie w tym łóżku, kiedy to zrobi. Od wielu lat Jay próbował ją poderwać, ale nigdy nie uległa jego wdziękcom. Miał nadzieję, że uda mu

się wykorzystać tę szansę. Jej ciało było tak pełne życia. Pod przezroczystą skórą widać było krew płynącą w żyłach, widmowe poruszenia ledwie dostrzegalnych mięśni oraz rytmiczną akcję płuc pod żebrami. Miała też świetne cycki, choć prawie nie było ich widać.

Otworzył okno, by wpuścić powietrze do sypialni, chociaż zapachy napływające przez brudny szyb do jego mieszkania na drugim piętrze były prawie tak samo paskudne jak te, które wypełniały pokój. Moczył się długo w wannie na nóżkach, a następnie wytarł się porządnie ręcznikiem plażowym ozdobionym spranym już wizerunkiem pingwina Opusa.

W górnej szufladzie komody znalazł czyste bokserki, w drugiej czarne skarpetki. Następnie podszedł do szafki i przyjrzał się garniturom. Miał trzy – biały, elegancki i modnie zmięty; ciemnoszary, trzyczęściowy kupiony w Brooks Brothers oraz hongkoński w prążki, uszyty dokładnie na jego miarę. Wszystkie trzy dostał w prezencie od Hirama Worchestera. Hiram zawsze mu powtarzał, że powinien się lepiej ubierać. Zapewniał, że wtedy ludzie będą go bardziej szanować. Może nawet spodoba się dziewczynom. Te słowa o dziewczynach go kusily, mimo to nie dał się przekonać.

– Hiram – tłumaczył – jestem prywatnym detektywem. Przesiaduję w zaparkowanych samochodach i w cukierniach. Robię zdjęcia przez okna w motelach. Przekupuję portierów i chowam się po krzakach. Nie chcę przyciągać uwagi. Gdyby szyli garnitury z tapet Holiday Inn, natychmiast nabyłbym sześć sztuk.

Mimo to na każde kolejne Boże Narodzenie Hiram kupował mu cholerny garnitur.

Zanosił się na upał. Jay włożył białą koszulę z krótkimi rękawami i przypinanym kołnierzykiem, ciemnobrązowe spodnie pasujące do koloru jego włosów oraz jasnobrązową marynarkę. Ale bez krawata. Nie znosił krawatów.

7:00

Brennan obudził się z głębokiego, pozbawionego obrazów snu, gdy promienie wschodzącego słońca wpadły przez okno i dotknęły jego twarzy. Jennifer Maloy obróciła się z szeptem na drugi bok, a on wysunął się bezszelestnie spod narzuty nakrywającej ich futon i podszedł do krzesła, na którym rozłożył ubranie. Wciągnął szorty, koszulkę i adidasy, a następnie równie cicho ruszył w kierunku tylnych drzwi wyjściowych.

Słońce już wzeszło. Okolica się budziła, wilgotna od rosy i pełna zapachów pogodnego wiejskiego poranka. Brennan wziął głęboki wdech, wypełniając płuca świeżym powietrzem, i przeciągnął się przed porannym biegiem.

Podbiegł do frontowego wejścia domu o spiczastym dachu, przechodząc w powolny trucht, gdy dotarł do krętego, wysypanego żwirem podjazdu. Skreślił w lewo, płosząc gromadkę królików na trawniku, po czym minął szyld z napisem ARCHER – OGRODNICTWO KRAJOBRAZOWE i OPIEKA NAD DZIEĆMI. Czuł się żywy i czysty, pogodzony ze sobą i ze światem. Zaczynał się kolejny piękny dzień.



Gdy za trzecim razem nikt nie odpowiedział na jego pukanie, Jay wszedł do środka Kryształowego Pałacu.

Drzwi nie były zamknięte. To go zaskoczyło. Poczwarka spodziewała się go, to prawda, ale obawiała się też kłopotów. W przeciwnym razie po co miałyby wynajmować ochroniarza? A kiedy ktoś spodziewa się kłopotów, na ogół zamyka drzwi. Jay wsunął głowę do baru. Panowała tu ciemność.

– Jest tu kto? – zawołał cicho. – Poczwarko? Elmo?

Nikt mu nie odpowiedział.

– Rewelacja – mruknął pod nosem. Nic dziwnego, że potrzebowała

ochroniarza. Zastanowił się nad włączeniem świateł, ale doszedł do wniosku, że lepiej tego nie robić. Czekał przez chwilę, aż oczy przywykną mu do ciemności. Powoli z mroku wyłoniły się zarysy znajomego pomieszczenia. Krzesła o wysokich oparciach leżały odwrócone nogami do góry na małych stolikach. Wzdłuż jednej ściany ciągnął się bar. Pod długim, srebrnym lustrem za nim ustawiono szeregi butelek. Pod drugą ścianą ciągnęły się boksy, a z tyłu, z dala od reszty, stał antyczny stolik ulokowany w prywatnej wnęce. Tam właśnie zwykła siadać Poczwarka, popijając amaretto.

Przez chwilę, w bladym świetle poranka, Jayowi wydawało się, że widzi ją tam, spowitą w cieniu. W szkieletowych palcach trzymała smukłą cygarniczkę z kości słoniowej, a dym opadał leniwie przez jej przezroczyste gardło. Odrzuciła głowę, żeby się uśmiechnąć.

– Poczwarko? – zapytał, idąc powoli ku niej. Ale gdy dotarł na miejsce, krzesło było puste.

Przeszył go dziwny dreszcz.

W tej właśnie chwili Jay Ackroyd uświadomił sobie prawdę.

Zatrzymał się bez słowa przy stoliku i wycężył słuch, przypominając sobie wszystko, co wiedział o Kryształowym Pałacu. Poczwarka mieszkała na drugim piętrze. W jej pokojach było pełno drogich antyków z epoki wiktoriańskiej.

Elmo, jej karłowaty bramkarz, mieszkał na pierwszym piętrze, podobnie jak Sascha, bezoki telepata, który stał za barem. Wszystkie toalety znajdowały się na piętrze, podobnie jak gabinet Poczwarki. Jay postanowił, że zacznie od niego.

Gabinet był ulokowany na tyłach budynku, pod schodami. Miał drewniane, zdobnie rzeźbione drzwi z kryształową gałką. Jay wyjął z kieszeni zmiętą chusteczkę i ostrożnie obrócił gałkę dwoma palcami. Drzwi otworzyły się.

W pokoju nie było okien i panowała w nim całkowita ciemność, ale Jay nie potrzebował oczu, by wiedzieć, co znajdzie w środku. Śmierć miała swój szczególny zapach. Ostra, miedziana woń krwi, odór potu i przerażenia, smród gówna. Czuł to wszystko już nieraz. Znajome

miazmaty czekały tu na niego, a pod tym wszystkim kryły się jej perfumy.

– Niech cię szlag – mruknął Jay, nie zwracając się do nikogo w szczególności. Wyciągnął rękę, nadal trzymając w niej chusteczkę, i wymacał wyłącznik.

Kiedyś gabinet miał w sobie urok. Polerowany dębowy parkiet, piękny wschodni dywan, ciągnące się od podłogi aż po sufit regały zastawione pierwszymi wydaniem w twardych oprawach, solidne dębowe biurko starsze od Jaya, wielkie, obite skórą fotele, wyglądające, jakby pochodziły z najstarszego na świecie klubu dla mężczyzn.

Krzesa roztrzaskano, drewniane nogi połamano, miękką, skórzaną tapicerkę rozszarpano i rozpruto. Trzy wysokie drewniane regały przewrócono. Jeden z nich pękł na dwoje. Tam, gdzie obie połowy stykały się ze sobą, sterczały jasne drzazgi, długie jak noże. Wszędzie na podłodze wałały się książki.

Poczwarzka leżała na wznak na szczątkach fotela. Obite skórą poduszki i połamane nogi mebla spoczywały pod jej ciałem. Na jego górną część zwalono wielkie, dębowe biurko, zasłaniając jej twarz. Miała na sobie niebieskie dżinsy i prostą, białą bluzkę, splamioną maleńkimi kropelkami krwi. Lewa noga kobiety zginała się w kolanie pod niewłaściwym kątem. Spod dżinsowej tkaniny sterczał ułamany, zakrwawiony koniec piszczele. Jay przykucnął przy jej lewej ręce. Widział kości palców pod widmowymi zarysami ścięgien oraz gładką, przezroczystą skórą. Krystaliczne ciało zmąciła różowa mgiełka pochodząca z pękniętych naczyń włosowatych. Ujął w rękę jej połamane palce. W ciele zachowała się jeszcze odrobina ciepła, które jednak szybko odpływało.

Po chwili puścił jej dłoń i spróbował unieść biurko z ciała. Było ciężkie. Skrzywił się, a potem naprężył mocniej mięśnie i podźwignął mebel z głośnym stęknięciem. Dopiero gdy przesunął go z powrotem pod ścianę, Jay spojrzał na Poczwarzkę.

Twarz kobiety zniknęła.

Jej czaszkę rozbito na drobne kawałeczki. Oparcie krzesła było lepkie

od krzepnącej krwi. Kawalki mózgu sączyły się między odpryskami kości. Wszystko było czerwone i wilgotne. Pod tym, co zostało z krzesła, zebrała się niewielka kałuża krwi, szybko wsiąkającej we wschodni dywan. Jay uniósł wzrok i zobaczył więcej krwi. Jej lekka mgiełka pokryła przednią część biurka oraz dół ściany wokół gniazdka elektrycznego. Antyczna, tłoczona tapeta miała posępną, fioletową barwę i plamy krwi były na niej słabo widoczne, ale jeśli dobrze się przyjrzeć, można było je zauważyć.

Jay wstał. Starał się nic nie czuć. Widywał już przedtem zwłoki, tak często, że wołał o tym nie myśleć, a Poczwarzka już od bardzo dawna oddawała się niebezpiecznym grom. Znała zbyt wiele tajemnic. Prędeż czy później coś takiego musiało się wydarzyć.

Przyjrzał się pozycji ciała, dokładnie ją zapamiętując. To już nie była Poczwarzka, tylko mięso. Dowód rzeczowy. Gdy już zobaczył wszystko, co było do zobaczenia, przeniósł swoją uwagę na resztę pokoju. Dopiero wtedy dostrzegł mały, tekturowy prostokąt leżący u lewego uda ofiary.

Okrzyżował ciało i przykucnął, by lepiej mu się przyjrzeć. Nie dotykał przedmiotu. Nie musiał tego robić. Nie było na nim ani kropli krwi. To była karta do gry, zwrócona awerssem ku górze.

As pik.

– Niech to szlag – mruknął Jay.

Gdy zamykał za sobą drzwi, usłyszał kroki na schodach. Wcisnął się w ścianę i czekał. Po chwili w korytarzu pojawił się szczupły mężczyzna z cienkimi wąsikami. Był ubrany w jedwabny szlafrok, na nogach miał pantofle, a tam, gdzie powinny być oczy, ciągnęła się nieprzerwana, biała skóra. Obrócił powoli głowę, zwracając ją ku ukrytemu w cieniu Jayowi.

– Widzę twój umysł, Rzutnik – oznajmił.

Jay wyszedł z ukrycia.

– Wezwij policję, Sascha. I nie mów na mnie Rzutnik, do cholery.

8:00

Brennan pochylił się, biegnąc pod górę. Poruszał miarowo nogami, oddychając. Biegł przez lesiste wzgórze i wilgotne od rosy łąki. Następnie pokonał sprintem stromy odcinek. Ciągłe zmieniał trasę, ale pod koniec zawsze dobiegał do polnej drogi, po której docierał – spocony i miło zdyszany – na żwirowy podjazd, przy którym widniał napis archer – ogrodnictwo krajobrazowe i opieka nad dziećmi.

Podjazd wił się między ogrodami będącymi znakomitą reklamą jego talentów w tej dziedzinie. Pierwszy był miniaturowy japoński ogród wzgórzowy, *tsukiyama*, następnie angielski żywopłot, a na koniec tradycyjny kwietnik obsadzony kilkunastoma różnymi gatunkami w kilkunastu rozmaitych barwach. Podjazd otaczał kwietnik łukiem, a następnie biegł między dwiema szklarniami – jedną wypełniał tropikalny gąszcz, w drugiej były rośliny typowe dla pustyni – a domem ze spiczastym dachem.

Brennan zakończył bieg kolejnym gwałtownym sprintem i zatrzymał się za domem. Zaczekał kilka minut, aby ochłonać i uspokoić oddech, a potem swobodnie przyjął pozycję medytacyjną i wbił spojrzenie w *karesansui*, kompozycję z grabionego żwiru falującego na porannym wietrze niczym zamarzająca woda. Pośród żwiru ulokowano trzy triady kamieni. Brennan spędził beczasową chwilę pogrążony w stanie *zazen*, nie przyglądając się kamieniom, ich cieniom ani plalom porastającego je mchu, po czym podniósł się płynnym ruchem, odprężony, odświeżony i gotowy na spotkanie dnia.

Wrócił do skromnie umeblowanej sypialni. Był tu tylko futon leżący na lśniącym parkiecie, wygodne krzesło z lampą do czytania i stolikiem pełnym książek oraz wielki wiklinowy kosz na pranie. Jennifer już wstała. Słyszał szum prysznica dobiegający z sąsiedniej łazienki. Zdjął przepoconą koszulkę i wrzucił ją do kosza, a następnie poszedł do pokoju stanowiącego połączenie salonu z gabinetem. Włączył telewizor, by wysłuchać porannych wiadomości, usiadł za biurkiem i uruchomił peceta, żeby sprawdzić plan na dzisiaj.

Oglądał telewizję, podczas gdy komputer wyszukiwał odpowiedni plik. Większą część wiadomości poświęcono konwencji Partii Demokratycznej, zaczynającej się dziś w Atlancie. Nie wydarzyło się jeszcze nic ważnego, ale analizy i przewidywania już w tej chwili wydawały się przesadzone.

Gregg Hartmann był faworytem, lecz trudno mu będzie odnieść zwycięstwo, zwłaszcza nad rywalem o diametralnie przeciwnych poglądach politycznych, wielobnym Leo Barnettem.

Brennan nie ufał żadnemu politykowi, ale gdyby mógł głosować, oddałby swój głos na Hartmanna. Senator sprawiał wrażenie szczerego i współczującego, szczególnie w porównaniu z tym demagogiem Barnettem.

Większość dzokerów popierała Hartmanna. Kamery pokazywały teraz obraz publicznych parków Atlanty. Zebrali się tam tysiącami, by głośno zademonstrować wszystkim obywatelom siłę swego poparcia dla senatora.

Brennan obejrzał kilka wywiadów przeprowadzonych z dzokerami na ulicach Atlanty, po czym ściszył dźwięk i przeniósł swą uwagę na ekran komputera. Dobrze życzył Hartmannowi i jego zwolennikom, ale robiło się już późno, a on miał mnóstwo spraw na głowie.

Na ekranie pojawił się harmonogram. Czekał go dzień pełen zajęć. Jego firma realizowała właśnie dwa zamówienia. Brennan budował ogród wzgórzowy z *tsutai-ochi*, miniaturowym wodospadem spływającym po skalnej powierzchni, dla bankiera japońskiego pochodzenia, który właśnie wprowadził się do domu w tej okolicy, a także tarasowy żywopłot ze stawem rybnym dla mieszkającego nieopodal lekarza. Joachim Ortiz, brygadzysta Brennana, pokieruje ludźmi pracującymi w posiadłości lekarza, podczas gdy drugą robotą Brennan zajmie się osobiście. Japońskie ogrody były jego specjalnością.

Oparł się wygodnie na krzesło, nadal nieco zdziwiony tym, z jakim zadowoleniem myśli o nadchodzącym dniu. Pozostawił za sobą śmierć i zniszczenie i wrócił na wieś, by zająć się pracą na rzecz życia. To było najlepsze, co mógł uczynić. Po raz pierwszy od wielu lat czuł się czysty,

spokojny i zadowolony. Czasami dręczyły go wyrzuty sumienia, że porzucił myśl o zemście na Kienie i Towarzystwie Widmowej Pięści, ale w ostatnich miesiącach te nawroty zdarzały się coraz rzadziej i ich intensywność była mniejsza.

Zdjął z półki egzemplarz *Sakuteiki*, klasycznego traktatu Tachibany Toshisuny na temat projektowania ogrodów, ale nim zaczął go przeglądać w poszukiwaniu pomysłów na realizację nowego zamówienia, wpatrzył się w ekran, na którym pojawił się obraz świetnie mu znanej kobiety. Brennan zwiększył głośność.

– ...zagadkową kobietę znaną tylko jako Poczwarzka znaleziono dziś rano w gabinecie jej klubu nocnego, Kryształowego Pałacu. Policja odmawia dotąd komentarzy, ale przy zwłokach znaleziono asa pik, co sugeruje związek z tajemniczym, posługującym się łukiem zabójcą zwanym Yeomanem, odpowiedzialnym za co najmniej pięćdziesiąt zabójstw w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym i na początku osiemdziesiątego siódmego.

Brennan nadal gapił się na ekran, gdy przez ścianę przeszła Jennifer Maloy, nadal mokra po prysznicu. Niosła dwa kubki herbaty.

– Co się stało? – zapytała, ujrawszy jego twarz.

Brennan zwrócił się ku niej. Jego oczy odzyskały zimny wyraz, a twarz twarde rysy.

– Poczwarzka nie żyje.

– Nie żyje? – powtórzyła z niedowierzaniem Jennifer.

– Zamordowano ją.

– Jak? Kto? – zapytała kobieta i osunęła się na krzesło obok niego. Podała mu jeden z kubków. Przyjął go machinalnie i odstawił na bok.

– Nie powiedzieli tego. Ale zabójca próbował mnie zrobić. Zostawił na jej ciele asa pik.

– Wrobić cię? Dlaczego?

Brennan spojrzał na nią.

– Nie wiem tego. Ale się dowiem...

– Policja...

– Policja myśli, że ja to zrobiłem.

– To szaleństwo – sprzeciwiła się Jennifer. – Nie byliśmy w mieście od ponad roku.

Mieli tak wiele zajęć, że wydawało im się, iż upłynęło niewiele czasu, odkąd Brennan odwołał swą wendetę przeciwko królowi zbrodni zwanemu Kieniem i opuścił z Jennifer Nowy Jork. Trochę podróżowali, a potem przez pewien czas odpoczywali, wracali do zdrowia i uczyli się kochać nawzajem, aż wreszcie osiedlili się w pobliżu Goshen, miasteczka położonego niedaleko na północ od Nowego Jorku. Jennifer zaczęła pisać biografię Roberta Tomlina. Miała nadzieję, że okaże się ona ostateczna. Natomiast Brennan, który znużył się już zadawaniem śmierci, postanowił, że będzie budował zamiast burzyć, i zajął się ogrodnictwem krajobrazowym. Okazało się, że ma do tego autentyczny talent, a Jennifer czuła się szczęśliwa, pracując nad książką. Ciche i spokojne życie w izolacji dawało im zadowolenie.

– Ktoś mnie wrabia – stwierdził cichym głosem Brennan.

– Kto?

Spojrzał na Jennifer.

– Kien.

Odchyliła się na krześle, zastanawiając się nad tym.

– Dlaczego on?

Brennan wzruszył ramionami.

– Może odkrył, iż Poczwarzka wiedziała, że to on jest szefem Widmowych Pięści. Mogło mu przyjść do głowy, że pozbędzie się nas obojga za jednym zamachem.

– Jeśli zostaniesz tutaj, policja nigdy cię nie znajdzie.

– Niewykłuczone – przyznał Brennan. – Ale mogą też nigdy nie złapać prawdziwego zabójcy.

– Coś tutaj budujemy – sprzeciwiła się Jennifer. – Nie możemy po prostu dać za wygraną.

Dać za wygraną. To powinno być łatwe, pomyślał Brennan. Zapomnieć o przeszłości, myśleć tylko o teraźniejszości i o przyszłości. Nie potrafił jednak tego zrobić. Ktoś zamordował jego byłą kochankę, o tym nie mógł zapomnieć. W dodatku morderca próbował zrzucić

winę na niego. Tego nie zamierzał wybaczyć.

Wstał.

– Nie dam za wygraną. Nie mogę.

Jennifer popatrzyła tylko na niego. Po chwili odwrócił się, wyszedł na zaplecze i otworzył szopę, w której trzymał łuki oraz broń palną. Załadował furgonetkę i czekał przez kilka minut, zastanawiając się, czy Jennifer przyjdzie.

Po pewnym czasie włączył silnik i odjechał sam.

12:00

Maseryk grał dobrego gline, a Kant złego. Obaj zasługiwali na brawa, ale Jay Ackroyd widział już to przedstawienie. Maseryk był szczupły, ciemnowłosey i miał intensywnie fioletowe oczy, a Kant był bezwłosym, pokrytym łuską dzokerem mającym trzecie powieki i ostro zakończone zęby. Gdy Jay po raz siódmy powtarzał swoją relację, zaczął zadawać sobie pytanie, czy zamieniają się rolami, jeśli podejrzany jest dzokerem. Zerknął przelotnie na Kanta i postanowił, że o to nie zapyta.

Gdy nadeszła pora obiadowa, nawet obaj gliniarze mieli już dość tej zabawy w kotka i myszkę.

– Jeśli próbuje nas pan oszukać, gorzko pan pożałuje – ostrzegł go Kant, odsłaniając ostre zęby.

Jay obrzucił go spojrzeniem mówiącym: „Że niby ja?”

– Jestem pewien, że pan Ackroyd powiedział nam wszystko, co wie, Harv – odezwał się Maseryk. – Gdyby przypomniał pan sobie coś jeszcze, proszę do nas zadzwonić – dodał i wręczył mu wizytówkę. Kant powiedział Ackroydowi, żeby nie opuszczał miasta. Potem kazali mu podpisać kopię zeznania.

Widział tu mnóstwo znajomych twarzy. Odźwierny z Kryształowego Pałacu składał zeznania umundurowanemu gliniarzowi, a kelnerka wylana przed miesiącem przez Poczwarękę łkała głośno w kącie. Inni pracownicy Pałacu czekali na długich drewnianych ławkach pod oknem.

Ackroyd rozpoznał troje kelnerów, pomywacza oraz faceta, który w czwartkowe wieczory grał ragtime na pianinie w Zielonym Pokoju. Najważniejszych osób jednak tu nie było.

Lupo, drugi barman, siedział sam za wolnym biurkiem. Jay podszedł do niego, gdy tylko uporał się z papierami.

– Potrafisz w to uwierzyć? – zapytał dzoker. – Co teraz z nami będzie?

– Lupo miał czerwone, głęboko osadzone oczy i twarz wilka. Gubił włosy. Na ramionach drelichowej koszuli miał ich mnóstwo. Jay je strzepnął. Lupo chyba nawet tego nie zauważył. – Słyszałem, że to ty znalazłeś ciało – ciągnął. – Czy to rzeczywiście był ten gość od asa pik?

– Przy zwłokach leżała karta – odparł Jay.

– Yeoman – mruknął ze złością Lupo. – Myślałem, że skurwysyn zniknął na dobre. Pił Tullamore Dew. Obsługiwałem go raz czy dwa.

– Widziałeś go kiedyś bez maski?

Dzoker potrząsnął głową.

– Nie. Mam nadzieję, że złapią skurwiela. – Z kącika jego ust wysunął się długi, czerwony jęzor.

Jay ponownie rozejrzał się po pomieszczeniu.

– Gdzie jest Elmo?

– Nikt go nie widział. Słyszałem, że gliny wysłały za nim list gończy.

Podszedł do nich Kant.

– Twoja kolej, Lupo. – Wskazał na pokój przesłuchań. – Jeszcze pan tu siedzi? – zapytał, gapiąc się na Jaya.

– Już sobie idę – uspokoił go detektyw. – Muszę tylko skorzystać z kibelka.

Kant pokazał mu, gdzie go znaleźć. Gdy Jay wyszedł z ubikacji, Kant, Maseryk i Lupo oddalili się już, by zająć się przesłuchaniem. Detektyw poszedł prosto do pokoju kapitana i wszedł do środka bez pukania.

Kapitan Angela Ellis siedziała za biurkiem, paliła jednego papierosa za drugim i studiowała akta, przerzucając strony jak mistrz szybkiego czytania. Była drobną Azjatką o zielonych oczach i długich czarnych włosach. Przypadła jej w udziale najtrudniejsza robota w całej nowojorskiej policji. Jej poprzednika znaleziono martwego w tym

właśnie pomieszczeniu. Ponoć miał atak serca, ale nadal nie wszyscy w to wierzyli. Poprzedniego kapitana również zamordowano.

– Wpadliście już na trop Elma? – zapytał Jay.

Kapitan Ellis zaciągnęła się papierosem i zerknęła na detektywa. Potrzebowała chwili, by sobie przypomnieć, kim jest.

– Ackroyd – odezwała się wreszcie z niesmakiem. – Właśnie czytałam pańskie zeznanie. W tej historii są takie dziury, że mogłabym przejechać przez nie ciężarówką.

– Nic na to nie poradzę, to jedyna historia, jaką mam. A jaką opowiedział wam Sascha?

– Krótką. – Ellis wstała i zaczęła spacerować po pokoju. – Obudził się, wyczuł w budynku obecność jakiegoś podejrzanego umysłu, zszedł na dół i zobaczył, że próbuje się pan wykraść z gabinetu Poczwaraki.

– Nie wykradzałem się – sprzeciwił się Jay. – Potrafię to robić bardzo dobrze. W szkole dla detektywów zdałem z wyróżnieniem egzamin z wykradania się, ale tym razem tego nie robiłem. Poza tym w moim umyśle nie ma nic podejrzanego. To znaczy, że nadal nic nie wiecie o Elmie?

– A co pan o nim wie? – zapytała kobieta.

– Jest niski.

– I silny – dodała. – Być może wystarczająco silny, by rozbić głowę kobiety na miazgę.

– Niezła hipoteza – stwierdził Jay. – Tyle że błędna. Elmo był bezgranicznie oddany Poczwarce. Nigdy by jej nie skrzywdził.

Kapitan Ellis wybuchła twardym, pozbawionym wesołości śmiechem.

– Ackroyd, być może jest pan czołowym autorytetem na świecie, jeśli chodzi o niewiernych mężów, ale nie wie pan nic o zabójcach. Oni nie zwykli dopuszczać się najgorszych okrucieństw wobec nieznajomych. Zostawiają je dla rodziny i przyjaciół. – Znowu zaczęła spacerować po pomieszczeniu. Z jej papierosa spadł popiół. – Może pański przyjaciel Elmo był jej zbyt oddany. Słyszałam, że Poczwaraka pieprzyła się z mnóstwem facetów. Może zmęczyło go oglądanie parady mężczyzn przechodzących przez jej sypialnię, a może sam spróbował się do niej

przystawiać, a ona go wyśmiała.

– Chce pani z niego zrobić kozła ofiarnego? – zapytał Jay.

Zatrzymała się za biurkiem na chwilę wystarczającą, by zgasić papierosa w popielniczce już wypełnionej niedopałkami.

– W tym komisariacie nie wrabia się niewinnych ludzi.

– A odkąd to?

– Odkąd zostałam tu kapitanem – wyjaśniła. Wyjęła z kieszeni kurtki paczkę cameli, wyciągnęła jednego, zapaliła go i znowu zaczęła spacerować. – Podobno jest pan detektywem. Przyjrzyjmy się faktom. – Zatrzymała się przy ścianie, by wyprostować oprawiony w ramki dyplom, po czym nagle zwróciła się w stronę Jaya. – Jej głowa wyglądała jak melon rozjechany przez ciężarówkę. Obie nogi połamane, podobnie jak wszystkie palce lewej ręki, miednica złamana w sześciu miejscach, masywne krwotoki wewnętrzne. – Dla większego efektu wskazała na Jaya papierosem. – Kiedyś, gdy jeszcze patrolowałam ulice, miałam sprawę, w której jeden z capos Gambionech stłukł faceta łyżką do opon. Połamał mu wszystkie kości. Innym razem widziałam, co zostało z dziwki załatwionej przez alfonsa, który naćpał się anielskiego pyłu. Miał kij bejsbolowy. To były paskudne przypadki, ale ofiary wyglądały znacznie lepiej niż Poczwarzka. To nie były normalne ciosy. Nikt nie może być aż tak silny. Nikt oprócz asa albo dzokera obdarzonego nadludzką siłą.

– Jest bardzo wielu takich ludzi – zauważył Jay.

– Ale tylko jeden z nich mieszkał w Kryształowym Pałacu – odpowiedziała kapitan Ellis. Usiadła za biurkiem i otworzyła aktówkę. – Elmo był wystarczająco silny.

– Być może – przyznał Jay. Elmo z pewnością był silniejszy od natola, ale nie brakowało takich, w porównaniu z którymi był słaby jak kurczak. Młot Harlemu, Troll, Carnifex, Kuriozum, nawet ta złota menda Jack Braun. Jay za mało wiedział o karle, by móc odpowiedzieć, czy wystarczyłoby mu sił, by dokonać czegoś takiego.

Kapitan Ellis zignorowała jego wątpliwości.

– Miał też sposobność. Mógł to zrobić, kiedykolwiek zechciał.

Zaczęła układać teczki na tacy na korespondencję wychodzącą, obsypując je jednocześnie popiołem.

– Nie wierzę w to – skwitował Jay.

– Jeśli Elmo jest niewinny, to gdzie się podział, do cholery? – zapytała kobieta, bawiąc się zszywaczem. – Przeszukaliśmy jego pokój. W łóżku nikt nie spał. Nie wrócił do Pałacu. Gdzie się ukrywa?

Jay wzruszył ramionami.

– Gdzieś. – Tu go zagięła, ale z pewnością nie zamierzał tego przyznać.

– Wydaje mi się, że macie też drugiego kandydata, znacznie lepszego niż Elmo.

Kapitan Angela Ellis walnęła zszywaczem w blat i wypuściła z płuc długą smugę dymu.

– Ach, prawda. Zabójca z asem pik. – W jej głosie nie słyhać było przekonania. – Znajdziemy Elma – zapewniła, miażdżąc papierosa w popielniczce – a kiedy to zrobimy, idę o zakład, że okaże się, iż to pański koleżka karzeł podrzucił tę kartę. Talię kart można kupić w każdym sklepie z drobiazgami. Podobno jest pan bystrym chłopakiem, Ackroyd. Niech pan sam rozważy tę sprawę.

– Może i tak zrobię – zapowiedział Jay.

To w najmniejszym stopniu nie spodobało się policjantce. Przymrużyła powieki zielonych oczu i wstała zza biurka.

– Wyrażę się jasno. Nie lubię prywatnych detektywów. I nie lubię asów. Zapewne może się pan domyślić, co sędzę o prywatnych detektywach, którzy są asami. Jeśli spróbuje nam pan przeszkadzać w tej sprawie, może się pan pożegnać z licencją.

– Jest pani piękna, kiedy się gniewa – odparł Jay.

Zignorowała go.

– Nie lubię, kiedy w moim rejonie gromadzą się ciała.

– Z pewnością często czuje się pani nieszczęśliwa – odparł detektyw, zmierzając ku wyjściu. Zatrzymał się w drzwiach, by przyjrzeć się klitce o szklanych ścianach. – Naprawdę tutaj zabili kapitana Blacka? – zapytał niewinnie.

– Tak – warknęła z irytacją. Jay doszedł do wniosku, że trafił w czuły

punkt. Znając nowojorską policję, zapewne nawet nie kupili jej nowego krzesła. – Co pan robi, do licha? – zapytała.

– Tworzę w pamięci dokładny obraz tego miejsca – wyjaśnił as. Uśmiechnął się z przekąsem i ułożył prawą dłoń na kształt pistoletu: trzy palce złożone, kciuk uniesiony jak kurek, a palec wskazujący wymierzony w Angelę Ellis. – Jestem grzecznym chłopcem, pani kapitan. Jeśli spotkam waszego zabójcę, natychmiast wyślę go tutaj.

Przez chwilę miała zdziwioną minę. Potem się zaczerwieniła, przypomniawszy sobie, na czym polega jego moc.

– Asowie – mruknęła. – Niech pan stąd zmiata.

Posłuchał jej. Tymczasem Kant i Maseryk wrócili do głównego pomieszczenia.

– Pani kapitan ma okres? – zapytał Jay, przechodząc obok. Wymienili spojrzenia i odprowadzili go wzrokiem, kiedy wychodził. Jay wyszedł frontowymi drzwiami, okrążył cały kwartał, wrócił i zszedł do piwnicy.

Akta przechowywano w słabo oświetlonym pokoju o niskim suficie, sąsiadującym z kotłem centralnego ogrzewania. Część pomieszczenia była niegdyś piwnicą na węgiel. Teraz znajdowało się tu parę komputerowych terminali, powielacz oraz cała ściana przepelnionych stalowych segregatorów. Nad tym wszystkim czuwał jeden policjant – bardzo blady, bardzo niski i bardzo krótkowzroczny.

– Cześć, Joe – odezwał się Jay.

Joe Mo odwrócił się i powęszył w cuchnącym stęchlizną powietrzu. Liczył sobie niespełna metr pięćdziesiąt wzrostu, garbił się, miał wydatny brzusek i cerę barwy pieczarki. Małe różowe oczka spoglądały zza największych i najgrubszych barwionych szkieł, jakie Jay w życiu widział. Mo nerwowo zatarł białe, bezwłose dłonie. Był pierwszym dzokerem, którego przyjęto do nowojorskiej policji, i przez ponad dziesięć lat był też jedynym. Zatrudniono go dzięki akcji afirmatywnej we wczesnych latach siedemdziesiątych, gdy burmistrzem był Hartmann. Wywołało to tak wielkie wzburzenie, że kierownictwo natychmiast ukryło go w archiwum, gdzie nie przyciągał niczyjej uwagi. Joe nie miał nic przeciwko temu. Lubił archiwa, niemal w takim

stopniu, jak piwnice. Nazywali go sierżantem Kretem.

– Rzutnik – stwierdził Mo i poprawił okulary. Jego śnieżnobiała skóra szokująco kontrastowała z granatowym mundurem. Zawsze nosił czapkę, dniem i nocą, nawet pod dachem. – Czy to prawda?

– Tak, to prawda – potwierdził Jay. Kiedy Mo wstąpił do policji, był pariasem, nawet w Forcie Cudaków. Nikt nie chciał być jego partnerem, nie był też mile widziany w barach zwykle odwiedzanych przez gliniarzy. Po służbie pił w Kryształowym Pałacu, odkąd tylko otwarto lokal. Zawsze płacił za drinki, ostentacyjnie popisując się swą praworządnością, a pod stołem dostawał od Poczwaraki dziesięć razy tyle za to, że był jej oczami i uszami wśród gliniarzy.

– Słyszałem, że to ty znalazłeś ciało – ciągnął Joe Mo. – Paskudna sprawa, prawda? Trudno nie zadawać sobie pytania – ku czemu zmierza Dżokerowo. Można by pomyśleć, że kto jak kto, ale ona z pewnością będzie bezpieczna. – Zamrugnął za ciemnymi, grubymi soczewkami. – W czym mogę ci pomóc, drogi kolego?

– Chciałem obejrzeć akta zabójcy z asem pik.

– Yeomana – mruknął Joe Mo.

– Yeomana – powtórzył z namysłem Jay Ackroyd. Nagle coś sobie przypomniał. „To mi się nie podoba. Yeoman”, powiedziała Poczwaraka głosem zimnym jak lód, półtora roku temu, gdy spotkali się w pograżonej w półmroku sali Pałacu. Zawsze była mistrzynią niedopowiedzenia. – Pamiętam.

– Od ponad roku nie było nowego zabójstwa asa pik – zauważył Mo. – Myślisz, że to on?

– Mam nadzieję, że nie – odparł Jay. Yeoman wszedł wtedy do sali bezgłośnie jak dym i zanim ktokolwiek zdążył się zorientować, nałożył strzałę na cięciwę i był gotowy ją wypuścić. Ale oburzony Hiram musiał się wtrącić i Jay pozbył się Yeomana. Łuczniczka zniknęła z trzaskiem wypełniającego pustkę powietrza. Jay Ackroyd był wysyłającym teleporterem. Gdy złożył prawą dłoń w pistolet, mógł wysłać swój cel w każde miejsce, które znał wystarczająco dobrze, by ujrzeć je oczami umysłu.

Tyle że przerzucił skurwysyna w nieodpowiednie miejsce.

– Miałem tego kutafona na celowniku, Joe – oznajmił. – Mogłem go wysłać prosto do więzienia Tombs. Ale ja przeniosłem go tylko do Holland Tunnel, Bóg jeden wie dlaczego.

Być może chodziło o coś w jego głosie, gdy odpowiadał o Poczwarce, o pogardę, z jaką spozryzał na Żmija, albo o to, że miał wystarczająco wiele przyzwoitości, by się zawahać, gdy Hiram spróbował zablokować jego strzał. A może o towarzyszącą mu dziewczynę, zamaskowaną blondynkę w bikini ze stringami. Sprawiała wrażenie świeżej i niewinnej.

To nie była świadoma, wykalkulowana decyzja. Jay najczęściej kierował się instynktem. Tamtej nocy jednak się pomylił i Poczwarzka zapłaciła za to życiem.

– Naprawdę muszę zobaczyć te akta – stwierdził.

Joe Mo cmoknął z zalem.

– Niestety, wylądowały na biurku pani kapitan, Jay. Wysłała po nie, gdy tylko nadeszła wiadomość. Oczywiście, zrobiłem ksero, zanim je wysłałem. To zawsze się opłaca. Czasami coś ginie, a przecież nie chcielibyśmy stracić wartościowych dokumentów. – Zamrugnął z namysłem i rozejrzył się wkoło. – Gdzie ja je położyłem? Z moimi oczami to cud, że w ogóle udało mi się cokolwiek znaleźć.

Odbitki leżały na powielaczu. Jay przerzucił teczkę, zwinął papiery, schował je pod marynarkę i zastąpił dwiema dwudziestodolarówkami.

– Na pewno potrafisz je wywęszyć – stwierdził.

– Jeśli mi się nie uda, zawsze mogę zaczekać, aż pani kapitan zwróci oryginały, i zrobić nowe odbitki. – Zajął się dokumentami, ale gdy detektyw otworzył drzwi, zawołał do niego cicho: – Rzutnik.

Jay obejrzał się za siebie.

– Słucham?

– Znajdź skurwysyna. – Dżoker zdjął okulary. Jego jasnorożowe oczka przybrały błagalny wyraz. – Wszyscy ci pomożemy – obiecał.

Detektyw wiedział, że Joe Mo nie miał na myśli policji.



Jadąc drogą nr 17, Brennan uświadomił sobie, że już tęskni za Jennifer. Nie mógł mieć do niej pretensji o to, że nie chciała mu towarzyszyć w poszukiwaniach zabójcy Poczwarcki. Nie pomagała mu też świadomość, że miała rację. Ich życie było spokojne i piękne. Dlaczego tak mu było spieszno wrócić do miasta, gdzie czekała na niego śmierć?

Wiedział, że nie chodzi o to, iż przemoc i zabijanie sprawiają mu przyjemność. Wolałby budować ogrody niż uchylać się przed kulami w śmierdzących, wypełnionych odpadkami zaułkach. Wszystko sprowadzało się do tego, co powiedziała Jennifer o dawaniu za wygraną. Po prostu nie potrafił zapomnieć o Poczwarce. Nie myślał o niej zbyt często. Był zbyt zadowolony z życia z Jennifer, by z chorobliwą pasją myśleć o utraczonej szansie związku z inną kobietą.

Zdarzały się jednak noce, gdy nie mógł zasnąć. Jennifer spała u jego boku, a on wspominał kryształową damę. Pamiętał, jak jej niewidzialne ciało robiło się lekko różowe od namiętności, pamiętał jej krzyki i ruchy w ciemności. Wspominał to wszystko i zastanawiał się, jak by to było, gdyby przyjęła jego propozycję ochrony i miłości. Następnie spoglądał na leżącą u jego boku Jennifer i uświadamiał sobie, że czuje się szczęśliwy. Mimo to nie przestawał się zastanawiać. Wspomnienie o Poczwarce było uporczywym bólem, który nie chciał go opuścić.

Zaparkował furgonetkę na parkingu pod lotniskiem Tomlin International i złapał taksówkę na Manhattan. Następnie wynajął pokój w tanim, brudnym hotelu na skraju Dżokerowa. Po raz pierwszy od ponad roku włożył maskę i opuścił hotel, niosąc futerał z łukiem.

15:00

Właścicielka baru w Dżokerowie ofiarą zabójcy z asem pik – krzychał nagłówek „Post”.

„Krzyk Dżokerowa” był mniej ostentacyjny. *Poczwarzka zamordowana* – głosił tytuł sąsiadujący z szerokim na dwie kolumny zdjęciem. „Krzyk” był jedyną w mieście gazetą regularnie zamieszczającą fotografie dżokerów.

Na pierwszej stronie „Timesa” widniał tytuł: *Dżokerzy zbierają się w Atlancie podczas konwencji Demokratów*. Tysiące dżokerów ruszyło na południe, by udzielić poparcia senatorowi Greggowi Hartmannowi. Hartmann uchodził za faworyta, ale w tym roku kandydatów było wyjątkowo wielu i żaden z nich nie osiągnął przewagi. Przewidywano, że dojdzie do ustawionej konwencji. Wielu obawiało się wybuchu przemocy w przypadku, gdyby Hartmannowi nie udało się zdobyć nominacji. Już krążyły pogłoski o gwałtownych starciach między dżokerami Hartmanna a fundamentalistami popierającymi wielbionego Leo Barnetta.

Jay uważał, że politycy są warci tyle samo co sprzedawcy używanych samochodów, alfonsy oraz facet, który wymyślił płatne toalety, niemniej Hartmann wydawał się wyjątkiem. Spotkał go kilka razy na poświęconych zbieraniu funduszy przyjęciach, które Hiram urządzał w Wieży Asów. Restaurator był zagorzałym zwolennikiem Hartmanna, a Jay nigdy nie potrafił się oprzeć pokusie darmowego jedzenia i trunków. Senator Gregg sprawiał wrażenie inteligentnego, skutecznego i zdolnego do współczucia. Jeśli ktoś musiał zostać prezydentem, równie dobrze mógł to być on. Zapewne jednak jego szanse wyglądały równie kiepsko, jakby sam był dżokerem.

Całą pierwszą stronę zajmowały polityczne pierdoły. Jay nigdzie nie znalazł wzmianki o Poczwarzce. Znajac „Timesa”, zapewne w jutrzejszym wydaniu zamieszcza krótki nekrolog i na tym będzie koniec. Brutalne morderstwa popełnione na dżokerach nie zasługiwały na wzmiankę w gazetach. To właśnie gniewało go najbardziej.

– Po czym można poznać, że dżoker nie żyje już od trzech dni? – zapytał go kioskarz. Jego głos był bezbarwny i martwy, głos człowieka wykonującego rytuał, który dawno już utracił znaczenie. Detektyw oderwał wzrok od nagłówków. Jube Benson prowadził kiosk na rogu

Hester Street i Bowery, odkąd istniało Dżokerowo. Mówili na niego Mors. Sam również był dżokerem – tłuście, czarnogranatowe cielsko ważące pewnie ze sto pięćdziesiąt kilo, wielkie, zakrzywione kły sterczące z kącików ust i szeroka kopuła czaszki porośnięta kępkami sztywnych, rudych włosów. Jego garderoba najwyraźniej składała się wyłącznie z hawajskich koszul. Dzisiaj włożył ciemnoróżową z gustownym nadrukiem z bananów i ananasów. Jay zastanawiał się, co powiedziała by na to Hiram.

Jube znał więcej kawałów niż ktokolwiek inny w całym Dżokerowie, ale tym razem detektyw pamiętała puentę.

– Po tym, że pachnie znacznie lepiej – odparł ze znużeniem. – Ten kawał jest starszy niż twój kapelusz, Mors.

Zawstydzony dżoker zdjął sfatygowany kapelusz z szerokim rondem i zaczął go miętosić w grubych, trójpalczastych dłoniach.

– Nigdy nie potrafiłem jej rozśmieszyć – mruknął. – Przez wszystkie te lata co wieczór przychodziłem do Pałacu i zawsze przynosiłem nowy kawał. Ani razu się nie zaśmiała.

– Nie uważała, że dżokerzy są śmieszni – skwitował Jay.

– Musimy się śmiać – sprzeciwił się Jube. – Co innego nam pozostało?

– Włożył kapelusz. – Słyszałem, że to ty ją znalazłeś.

– Wieści szybko się rozchodzą – zauważył detektyw.

– To prawda – zgodził się Jube.

– Zadzwoń do mnie poprzedniego wieczoru – ciągnął Ackroyd. – Chciała, żebym został jej ochroniarzem. Zapytałem, na jak długo, ale nie potrafiła mi odpowiedzieć. A może nie miała ochoty tego robić. Później spróbowałem się dowiedzieć, czego się boi. Zbyła to śmiechem i odpowiedziała, że ją przejrzałem, że to był tylko podstęp, a w rzeczywistości chodziło jej o moje ciało. Ze wszystkich sił starała się zachować dystans i brytyjską ironię, jakby nie stało się nic złego, ale akcent co chwila się jej mylił. Coś ją paskudnie wystraszyło, Jube. Chcę się dowiedzieć, co to było.

– Wiem tylko tyle, ile przeczytałem w gazetach – zapewnił kioskarz. Jay popatrzył na niego znacząco. Odkąd Poczwarzka zaczęła handlować

informacją, Mors był jednym z jej najważniejszych źródeł. Cały dzień spędzał w swoim kiosku, patrzył i słuchał, żartował i plotkował z każdym, kto zatrzymał się, by kupić od niego gazetę.

– Nie chrzań – rzucił zniecierpliwiony detektyw.

Gruby dzoker rozejrział się nerwowo. W pobliżu nikogo nie było.

– Nie tutaj – rzekł niespokojnie. – Zamknę kiosk i pójdziemy do mnie.



Brennan z ironicznym uśmiechem przyglądał się, jak bezręki dzokerski kieszonkowiec okrada gapiów zgromadzonych wokół Kryształowego Pałacu. Złodziej miał na sobie wytarte, ale starannie połatane ubranie. Spodnie specjalnie poszerzono tak, by ukrywały trzecią nogę, zakończoną dziwnie ukształtowaną stopą o palcach zręczniejszych niż palce rąk większości ludzi. Tą właśnie kończyną sięgał do kieszeni niczego niepodejrzewających ofiar.

Skryte pod markizą wejście do Pałacu otaczała jaskrawożółta policyjna taśma. Zebrany wokół tłum wymieniał plotki – zwykle szalone i fałszywe – o lokalu i jego tajemniczej właścicielce. W ciżbie krążyli reporterzy i uliczni handlarze, podobnie jak kieszonkowiec, który odwrócił się nagle, kierując się szóstym zmysłem tych, których często ścigają, i popatrzył na Brennana.

Yeoman skinął głową. Trójnogi dzoker przepchnął się przez tłum i podszedł do niego. Miał osobliwy, kołyszący się chód i czasami musiał się podpierać trzecią nogą, żeby zachować równowagę.

– Cześć, panie Y. – wyszeptał.

Brennan ponownie skinął głową. Dzoker nazywał się Trójnóg. Był drobnym cwaniaczkiem żyjącym na granicy prawa. Gdy Yeoman przebywał w mieście, Trójnóg zaliczał się do jego najlepszych źródeł informacji. Był godny zaufania, jak na kanciarza. Nie brał prochów i był lojalny. Raz opłacony, nie przechodził na drugą stronę.

– Stało się coś naprawdę okropnego, panie Y. – odezwał się swym

cichym, pełnym szacunku głosem.

Jeśli zastanawiał się nad tym, dlaczego Brennan nagle wrócił po rocznej nieobecności, niczym tego po sobie nie okazał.

Yeoman pokiwał głową.

– Słyszałeś, że policja myśli, iż to ja ją zabiłem?

Trójnóg wzruszył ramionami. Ten gest dziwnie wyglądał w wykonaniu bezrękiego człowieka.

– Może i tak, panie Y., ale to nie było w pańskim stylu.

– Skąd wiesz, jak ją zabito?

– Ten facet – Trójnóg wskazał głową na obdartusa siedzącego na krawężniku przy wózku z hot dogami – mówi, że widział, jak niesiono jej ciało do samochodu koronera.

Brennan zerknął na wózek. Sam Kiszonka Hot Dogi – głosił umieszczony na nim napis. Dżokerski sprzedawca nieustannie podawał klientom hot dogi, wydawał resztę i od nowa rzucał musztardę, keczup, kiszoną kapustę oraz ogórki na oczekujące bułki. Zadanie ułatwiała mu dodatkowa para rąk. Siedzący na krawężniku menel był spasionym alkoholikiem, ale wyglądał na natola. Zajął pozycję tuż obok wózka, żeby wyłudzać monety od kupujących, i nieustannie powtarzał swoją historię każdemu, kto chciał go wysłuchać. Brennan skinął głową do Trójnoga i obaj dołączyli do grupki gapiów, którzy słuchali opowieści staruszka, jedząc hot dogi.

– Byłem na zapleczu, bardzo blisko. Widziałem, jak ją wynosili. Znalazłem sobie miejsce do spania przy pojemniku na śmieci i obudziła mnie syrena. Wystraszyłem się. Nie wiedziałem, o co to całe zamieszanie, ale niedługo ją wynieśli. To była Poczworka. Widziałem ją mnóstwo razy. To była ona. Nie żyła. – Ściszył głos i pochylił się, by przemawiać konspiracyjnym szeptem do dwudziestu paru słuchaczy. – Głowę miała zmiążdżoną. Po prostu zmiążdżoną. Nie można by było jej poznać, gdyby nie przezroczysta skóra. Głowa rozleciała się jej jak arbuz rzucony z dziesiątego piętra. – Pokiwał głową, wyraźnie dumny z tego porównania. – Byłem przy tym. Widziałem, jak ją wynosili...

Brennan czuł w żołądku ucisk bezsilnego gniewu. Odwrócił się, gdy

do wózka podszedł gliniarz i zaczął się czepiać sprzedawcy o licencję. Sam Kiszonka skarżył się głośno, gestykulując gniewnie wszystkimi czterema rękami, ale to w niczym mu nie pomagało.

Brennan i Trójnóg stali przez chwilę bez słowa, patrząc, jak gliniarz przegania handlarza, który pchał przed sobą wózek, nie przestając wymachiwać ze złością dodatkową parą kończyn.

Poczwarękę zabił ktoś obdarzony siłą asa. Wystarczająco silny, by zmasakrować ją całkowicie. To był już jakiś punkt zaczepienia, ale Yeoman wiedział, że przydałoby mu się więcej informacji. Znacznie więcej.

– Widziałeś gdzieś Elma albo Saschę? – zapytał Trójnoga, gdy tłumek słuchający relacji menela już się rozproszył.

Dżoker potrząsnął głową.

– Obaj zniknęli, panie Y. Przez cały dzień nie widziałem ich ani o nich nie słyszałem.

Brennan westchnął pod nosem. Od samego początku wiedział, że to nie będzie łatwe. Wyciągnął z kieszeni dwie dwudziestodolarówki i opuścił je ukradkiem na chodnik.

Trójnóg ujął banknoty w zręczne palce bosej stopy i wepchnął je do jednej z kieszeni, które doszył sobie do dolnej części nogawki.

– Miej oczy otwarte na wypadek, gdyby się zjawili. I zbieraj wszystkie informacje o zabójstwie. Możesz się ze mną skontaktować w hotelu Victoria. Zameldowałem się tam pod nazwiskiem Archer.

– Tak jest. – Trójnóg przyglądał się przez chwilę Brennanowi. – Cieszę się, że znowu pana widzę, panie Y.

– Szkoda, że nie mogę powiedzieć, że cieszę się, iż wróciłem.

Dżoker skinął głową, a potem ruszył przed siebie swym osobliwym krokiem. Brennan odprowadzał go spojrzeniem. Po chwili odwrócił się w stronę Pałacu. Tłum gapiów nie rzedniał. Yeoman pragnął przyjrzeć się miejscu zbrodni, ale to z pewnością nie była odpowiednia chwila. Wróci tu, gdy zrobi się ciemno i cicho.

Na razie zbada parę innych spraw. Nie był do końca przekonany, że to Kien stoi za zabójstwem Poczwaruki, ale musiał od czegoś zacząć.

Oczywiście szef Widmowych Pięści nie zrobiłby tego sam. Miał pod dostatkiem wynajętych ludzi. Na przykład Żmija, swego nadzwyczaj silnego ochroniarza. Brennan widział, jak Żmij groził Poczwarce podczas przedostatniego dnia Dzikiej Karty.

Rzecz jasna, dawno nie było go w mieście. Wiele zapewne się zmieniło, ale byli ludzie, z którymi mógł pogadać. Ludzie, którzy chętnie podzielał się z nim najświeższymi informacjami. Uniósł futerał z łukiem i ruszył przed siebie.

Łowca wrócił do miasta.

16:00

Jube mieszkał w piwnicy kamienicy z pokojami do wynajęcia na Eldridge Street. Jego mieszkanie miało ściany z nagich cegieł i unosił się tam odór gnijącego mięsa. W salonie miał mnóstwo mebli kupionych z drugiej ręki oraz dziwaczną nowoczesną rzeźbę, imponującą konstrukcją sięgającą od podłogi aż po sufit. Chyba wszystkie jej elementy wyginały się pod dziwaczными kątami godnymi Eschera. W jej centralnej części umieszczono kulę do gry w kręgle, która od czasu do czasu jakby świeciła.

– Nazywam ją Dżokerską Żądzą – poinformował Jaya Mors. – Jeśli uważasz, że dziwnie wygląda, to szkoda, że nie widziałeś dziewczyny, która do niej pozowała. Nie patrz na nią za długo, bo cię głowa rozboli. Napijesz się czegoś?

Po powierzchni konstrukcji niepokojąco przebiegały ognie świętego Elma. Detektyw przysiadł na skraju kanapy.

– Niech będzie szkocka z wodą sodową – mruknął. – Tylko nie przesadzaj z tą wodą.

– Mam tylko rum – oznajmił dżoker i poczłapał do kuchni.

– Bum, bum – odparł ze śmiertelną powagą Jay. – Niech będzie.

Jube przyniósł mu szklaneczkę do połowy wypełnioną ciemnym trunkiem. Pływała w nim jedna kostka lodu.

– W gazetach piszą, że to był zabójca z asem pik – podjął Mors, usadowiwszy się na szeszlangu z własną szklaneczką rumu w dłoni. Włożył sobie do niej mały, papierowy parasol. – I w „Poście”, i w „Krzyku”.

– Przy ciebie znaleziono kartę – zgodził się Jay, pociągając łyk trunku – ale gliny tego nie kupują.

– A ty?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem. – Parę ostatnich godzin poświęcił na lekturę materiałów zebranych przez gliny na skurczybyka posługującego się ksywką „Yeoman”. Sam już nie wiedział, co sądzić. – To nie jest jego sposób działania. Nasz przyjaciel lubi ozdabiać okolicę trupami, ale z reguły zostawia w nich strzały sterzące z wrażliwych części ciała.

– Pamiętam, że w gazetach nazywali go też zabójcą z łukiem – potwierdził Jube.

Jay pokiwał głową.

– Ale z drugiej strony jest elastyczny. Komu nie zdoła wbić strzały w oko, tego udusi cięciwą albo wysadzi wybuchowym grotem. Gliny obwiniają go o jedno zabójstwo dokonane nożem i dwa gołymi rękami, ale przy tych ostatnich są znaki zapytania. Jego zabójstwa z reguły mają motyw przewodni. Wyraźnie ma coś przeciwko Azjatom, sądząc po tym, ilu ich wykończył, ale nie jest wybredny, w razie potrzeby zabije każdego. – Detektyw westchnął. – Problem w tym, że Poczwarkę zatłukł ktoś nadludzko silny, a nasz przyjaciel z karcianym fetyszem jest natolem.

– Jesteś tego pewien? – zapytał Jube.

– Kiedyś bawiłem się w łucznika – odpowiedział Jay. – Łucznictwo jest trudne. Trzeba ćwiczyć przez wiele lat, żeby dobrze je opanować, a ten psychol to niezrównany mistrz. Po co się trudzić, jeśli ktoś jest asem?

Jube pociągnął się z namysłem za jeden z kłów.

– Tak... – mruknął. – Ale...

Umilkł.

– Ale co? – zapytał detektyw.

– Hmm... – zaczął z wyraźnym wahaniem niski, gruby dzoker. – Myślę, że Poczwarzka mogła się go bać.

– Opowiedz mi o tym – zażądał Jay.

– Trudno to wytłumaczyć. Starła się zachowywać tak samo jak zawsze, ale jeśli ktoś widział ją co wieczór, jak ja, mógł zauważyć, że coś nie jest w porządku. Była zbyt... zainteresowana, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Przedtem, kiedy przychodziłem z informacjami na sprzedaż, zawsze udawała trochę znudzoną, jakby było jej wszystko jedno, ale w ostatnim roku dokładała starań, żeby nie umknął jej żaden detal, choćby najdrobniejszy. A szczególnie interesowały ją wiadomości o Yeomanie. Była gotowa płacić za nie ekstra.

– Cholera – mruknął Jay. To cofało go do punktu wyjścia.

– W jej przypadku trudno było ocenić, czy rzeczywiście się boi – ciągnął Jube. – Wiesz, jaka była. Zawsze starała się nad sobą panować. Ale Kopacz był wystarczająco przerażony za nich oboje.

– Kopacz? – zdziwił się Jay.

– Thomas Downs – wyjaśnił Mors. – Ten reporter z magazynu „Aces!”. Wszyscy nazywają go Kopaczem. Często się zjawiał w Kryształowym Pałacu od czasu, gdy wrócili z Poczwarzką z podróży dookoła świata. Widziałem go tam dwa, trzy razy w tygodniu. Gdy tylko Poczwarzka go zauważyła, szli razem na górę.

– Sypiali ze sobą? – zapytał Jay.

– Zawsze zostawał po zamknięciu – odpowiedział Jube. – Może Elmo albo Sascha mogliby ci powiedzieć, czy rano nadal tam był. – Podrapał się po jednej z kępek sztywnych rudych włosów na skroni. – A przynajmniej Elmo.

To zdziwiło detektywa.

– Dlaczego nie Sascha? Jest telepatą. Kto jak kto, ale on na pewno wiedział, z kim się pieprzyła.

– Sascha nie spędzał już w Pałacu tyle czasu co kiedyś. Spotykał się z kobietą. Słyszałem, że to Haitanka, mieszka nad East River. Mówią, że to dziwka. Jeden z tutejszych lokatorów, Reginald, pracuje jako nocny stróż w magazynie w tamtej okolicy. Mówi, że Sascha zjawia się tam

bardzo często i nieraz zostaje aż do rana.

– Niedobrze – mruknął Jay. Zaczął się domyślać, dlaczego Poczwarka mogła dojść do wniosku, że potrzebuje ochroniarza. Sascha nigdy nie był telepatą wysokiej klasy. Ślizgał się tylko po umysłach innych, zbierając przypadkowe, powierzchniowe myśli. Niemniej jego talenty przez wiele lat ostrzegały Poczwarkę przed zbliżającymi się kłopotami. Jeśli jednak zaczął spędzać wiele nocy poza Pałacem...

– Jest coś jeszcze – dodał Jube, ponownie pociągając się grubymi, granatowoczarnymi palcami za kieł. – Jakies dziesięć, jedenaście miesięcy temu Poczwarka zainstalowała nowy system alarmowy. Był supernowoczesny, kosztował majątek. Znam faceta pracującego dla firmy, która wykonała tę robotę. Według niego chciała, żeby stworzyli system, który zabije każdego, kto spróbuje przejść przez jej ściany!

Jay wziął w rękę szklaneczkę. Łód już się stopił. Zresztą i tak nie lubił smaku rumu. Wypił całą zawartość jednym haustem. Z każdą chwilą był coraz bardziej zły na siebie. Tamtej nocy w Kryształowym Pałacu Yeoman wszedł przez frontowe drzwi. Nikt nie słyszał, jak wchodził. Po prostu nagle się zjawił. Ale jego dziewczyna, ta seksowna blond laleczka w czarnym bikini ze stringami... ona przeszła przez ścianę. Wyszła z lustra za barem. I uciekła tą samą drogą po tym, jak Jay odesłał Yeomana na spotkanie z ruchem ulicznym.

– Coś nie w porządku? – zaniepokoił się Jube.

– Tylko mój cholerny instynkt – odparł z goryczą detektyw. – A czy zbudowali jej taką pułapkę?

– Powiedzieli jej, że nic takiego nie istnieje.

– Szkoda – stwierdził Jay.



W kościele Naszej Pani Wicznie Cierpiącej było prawie pusto. Kilku wiernych klęczało za podrapanymi, drewnianymi ławami, pochylając głowę lub głowy w bezgłośnie modlitwie do Boga, który był dla nich bardziej realny niż gładkolicy Jezus opisywany w starej Biblii. Wokół

ołtarza kręcił się garbus znany jako Quasiczłowiek. Nucił pod nosem, odkurzając tabernakulum. Miał na sobie wyprasowaną flanelową koszulę w kratę i czyste džinsy. Jego ruchy były sztywne i rwane. Powłóczył lewą nogą. Wirus dzikiej karty wypaczył jego ciało, lecz jednocześnie dał mu nadludzką siłę fizyczną i zdolność teleportacji. Dżoker odsunął się od tabernakulum, kierując spojrzenie na zmierzającego ku ołtarzowi Brennana.

– Dzień dobry – rzucił Yeoman. – Chciałem się zobaczyć z Ojcem Kałamarnicą.

– Dzień dobry. – Oczy Quasiczłowieka były ciemne i pełne wyrazu, a jego głos niski i łagodny. – Jest w kancelarii.

– Dziękuję – zaczął Yeoman, ale przerwał, uświadomiwszy sobie, że oczy Quasiczłowieka wpatrują się w pustkę. Szczeka dzokera opadła, a po podbródku spływała mu ślina. Jego umysł najwyraźniej przebywał w jakimś innym miejscu. Brennan skinął tylko głową i ruszył ku drzwiom, na które tamten nadal wskazywał.

Ojciec Kałamarnica siedział za sfatygowanym drewnianym biurkiem i czytał książkę. Gdy Brennan zapukał do otwartych drzwi, kapłan uniósł z uśmiechem wzrok. A przynajmniej wyglądało to jak uśmiech.

Ojciec Kałamarnica był ogromnym, przysadzystym mężczyzną odzianym w prostą sutannę, okrywającą jego masywne ciało niczym namiot. Skórę miał szarą, grubą i bezwłosą, a wielkie błyszczące oczy lśniły wilgotno za trzecimi powiekami. Usta zasłaniał mu szereg krótkich macek zwisających na podobieństwo nieustannie poruszających się wąsów. Ręce, które zamknęły książkę i położyły ją na blacie, były duże, a palce długie i smukłe. Na wewnętrznych powierzchniach dłoni miał rzędy okrągłych szczątkowych przysawek. Otaczała go lekka, całkiem przyjemna woń morza.

– Usiądź, proszę. – Popatrzył na Brennana z dobroduszną sympatią, z którą zwykle spoglądał na świat. – Czytam słowa napisane przez starego przyjaciela... – Wskazał na książkę: *Rok z życia człowieka: dziennik Xaviera Desmonda*. – ...i nagle zjawia się drugi stary przyjaciel. Aczkolwiek... – Poruszył z wyrzutem długimi palcami. – ...byłoby miło,

gdybyś odwiedził mnie, zanim zniknąłeś. Trochę się o ciebie niepokoiłem.

Brennan uśmiechnął się bez zbytej wesołości.

– Przepraszam, ojcie. Opowiedziałem Tachionowi o swoich planach, licząc na to, że przekaże wiadomość tym, których mogłoby to obchodzić. Nie spodziewałem się, że kiedykolwiek wrócę do miasta, ale niedawne wydarzenia zmusiły mnie do zmiany zdania.

– Domyślam się, o czym mówisz – rzekł Ojciec Kałamarnica z zakłopotaną miną. – O śmierci Poczwarcki. Wiedziałem, że w swoim czasie... byliście ze sobą blisko.

– Policja uważa, że to ja ją zabiłem.

– Tak, słyszałem o tym.

– Ale nie uwierzyłeś w to?

Ojciec Kałamarnica potrząsnął głową.

– Nie uwierzyłem, synu. Nie mógłbyś jej zabić. Choć nie mogę twierdzić, bym pochwalał niektóre z twoich uczynków, ale tylko ci, którzy są bez grzechu, mogą rzucić kamieniem, a obawiam się, że wybryki z czasów z pewnością grzesznej młodości nie pozwalają mi się podawać za kogoś takiego. – Kapłan westchnął. – Biedna dziewczyna. Była smutną duszą poszukującą zbawienia. Ufam, że odnalazła przynajmniej spokój.

– Ja też mam taką nadzieję – zgodził się Brennan. – I odnajdę jej zabójcę.

– Policja... – zaczął Ojciec Kałamarnica.

– Myśli, że to ja jestem winny.

Kapłan wzruszył potężnymi ramionami.

– Być może. Bardzo możliwe, że na razie działają po omacku, ale prędzej czy później trafią na właściwy trop. Niemniej nie odmówię ci pomocy, jeśli jesteś zdeterminowany działać na własną rękę. Zakładając, że wiem coś istotnego. – Potarł punkt, w którym skupiły się zwisające pod nosem wąsy. – Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, na co mógłbym ci się przydać.

– Mógłbyś mi pomóc w odnalezieniu kogoś, kto może coś wiedzieć.

- Kogo masz na myśli?
- Saschę. On należy do twojej kongregacji, prawda?
- Sascha Starfin jest wiernym wyznawcą naszego Kościoła – potwierdził kapłan. – Choć, jeśli się nad tym zastanowić, już od dość dawna nie przystępował do komunii.
- On zniknął – poinformował Ojca Kałamarnicę Brennan. Odnalezienie żywego Saschy interesowało go bardziej niż stan jego duszy. – Jak wiesz, mieszkał w Pałacu. Podejrzewam, że ukrywa się, bo był świadkiem morderstwa.

Kapłan skinął głową.

- Niewykluczone. Sprawdziłeś w mieszkaniu jego matki?
- Nie – przyznał Brennan. – A gdzie ona mieszka?
- W rosyjskiej części Brighton Beach – odpowiedział Ojciec Kałamarnica i podał mu dokładny adres.
- Dziękuję. Bardzo mi pomogłeś. – Yeoman wstał i zwrócił się ku wyjściu, ale zawahał się i ponownie spojrzął na kapłana. – Jeszcze jedno. Czy wiesz, gdzie był dziś rano Quasiczłowiek?

Ojciec Kałamarnica popatrzył na niego z powagą.

- Chyba go nie podejrzewasz? To mężczyzna o niezwykle łagodnej duszy.
- I bardzo silnych rękach.

Kapłan pokiwał głową.

- To prawda. Ale możesz go skreślić z listy podejrzanych. Jak być może wiesz, wśród natoli zapanowała ostatnio moda na zbieranie doczesnych szczątków dzokerów – zwłok, szkieletów i tak dalej – celem tworzenia z nich scenek rodzajowych. Dziś w nocy Quasiczłowiek pilnował naszego cmentarza. A przynajmniej taką mam nadzieję. No wiesz, on czasem zapomina.

- Słyszałem o tym. Był tam przez całą noc?

- Tak.

- Sam?

Ojciec Kałamarnica zawahał się na mgnienie oka.

- Hmm. Tak.

– Raz jeszcze ci dziękuję – rzekł Brennan, ponownie kiwając głową.

Kapłan uniósł rękę w geście błogosławieństwa.

– Niech Bóg będzie z tobą. Będę się za ciebie modlił. I za zabójcę Poczwaraki też – dodał cicho, gdy Brennan już się oddalił. – Skoro ty go ścigasz, z pewnością będzie potrzebował kogoś, kto pomodli się za jego duszę.

19:00

Na chodnikach przed Kryształowym Pałacem zebrał się niewielki tłum. Przed budynkiem parkowały cztery policyjne radiowozy. Piąty stał w zaułku na zapleczu.

Jay wysiadł z taksówki i rozpoznał Maseryka, który stał przed jednym z samochodów, rozmawiając przez policyjne radio. Budynek był odcięty od świata. Schody prowadzące do głównego wejścia zablokowano drewnianymi kozłami, a drzwi zaklejono żółtą taśmą policyjną. W oknach na drugim piętrze paliły się światła. Gliny z pewnością przeprowadzały gruntowną rewizję w prywatnych pokojach ofiary. Paru mundurowych krążyło po sąsiedniej, pokrytej gruzem posesji. Zapalali latarki i zaglądali do dziur. Bóg jeden wiedział, czego tam szukali.

Gapie przyglądali się temu wszystkiemu z zainteresowaniem, rozmawiając cicho ze sobą. Jak zwykle w tej okolicy, tłum składał się głównie z dzokerów. Paru natoli, którzy zapuścili się tu w poszukiwaniu przygód, stało niepewnie na skraju grupy. Po chodniku po drugiej stronie ulicy krążyły dziwki, oferujące swe usługi pod samym nosem gliniarzy. Nieco z boku czterech Wilkołaków w kolorach swego gangu i maskach Mae West wymieniało ze sobą żartobliwe uwagi. Detektyw zauważył też kilku stałych klientów Kryształowego Pałacu.

Maseryk zakończył rozmowę i Jay do niego podszedł.

– Co słyhać? – zapytał. – Morderca wrócił już na miejsce zbrodni?

– Jest pan tutaj – zauważył policjant.

– Bardzo zabawne. Znaleźliście jakieś odciski?

– Całą masę. Jak dotąd mamy pańskie, jej, Elma, Saschy, Lupa, kogo tylko pan sobie życzy. Natomiast nie znaleźliśmy jej akt.

– Aha – mruknął niezobowiązująco Jay.

– Czasami zdarza się, że ktoś za dużo wie. Kant jest przekonany, że gdzieś w jej tajnych zapiskach odnajdziemy motyw.

– Nieźle. – Jay odwrócił się, obserwując naprawdę bardzo ładny tyłeczek w obcisłej, skórzanej minispódnicy, który przesunął się obok.

– Jak na jaszczurkę.

Gdy ponownie zwracał się ku Maserykowi, zauważył zakapturzoną postać stojącą u wylotu zaułka pół przecznicy dalej.

– Powtórzę mu, że tak pan powiedział – oznajmił policjant z cieniem uśmiechu.

– Problem w tym – ciągnął Jay – że jeśli Kant znajdzie swój skarbiec informacji, może się okazać, że ma kłopoty z tym bogactwem. Motywy są jak odciski palców. Jeśli jest ich za dużo, to tak, jakby nie było ich wcale.

Ponownie spojrzął w stronę zaułka. Zakapturzony mężczyzna krył się w cieniu, obserwując Pałac. Kiedy odwrócił głowę, Jay zauważył błysk światła odbijającego się od stalowej maski szermierczej ukrytej pod kapturem.

– Z pewnością będzie wdzięczny za tę wskazówkę. Czy mam mu przekazać jeszcze jakieś rady?

– Jasne – zgodził się Jay. – Niech mu pan powie, że Elmo tego nie zrobił. – Znowu zerknął na Maseryka. – Sascha jest w domu?

– Mieszka u matki, dopóki nie skończymy z budynkiem. Ale to nie pański interes. Czy Ellis panu nie powiedziała, żeby się pan w to nie mieszał?

– Przecież się nie mieszam. – Kątem oka dostrzegł jakieś poruszenie i spojrzął w tamtą stronę akurat, żeby zauważyć, jak zakapturzony znika w cieniach w zaułku. – Wszystkie istotne wskazówki są w budynku – ciągnął, nie przerywając ani na chwilę. – Widział pan, że bym tam wchodził? – Jay uniósł dłonie wnętrzem do przodu. – Hej, nie ma sprawy. Już sobie idę. Widzi pan? No to pa, pa.

Maseryk zmarszczył brwi, spoglądając na oddalającego się detektywa. Następnie wzruszył ramionami i wszedł do budynku. Kiedy już zniknął, Jay odwrócił się nagle i przepchnął przez tłum, zmierzając w stronę zaułka.

Spóźnił się. Mężczyzna w szermierczej masce i czarnym kapturze zniknął. Tyle że słowo „mężczyzna” mogło nie być odpowiednie. Ludzie mówili, że masywne ciało Kuriozum ukryte pod czarną szatą ma zarówno męskie, jak i żeńskie cechy.

Kimkolwiek jednak mógł być dzoker, jedno nie ulegało wątpliwości. Był silny.

20:00

Brennan zapukał i drzwi się uchyliły. Za nimi stała niska staruszka, drobniutka jak wiekowy wróbelek.

– Jest Sascha? – zapytał.

– Nie.

Wsunął stopę w drzwi, nie pozwalając kobiecie ich zamknąć. Zauważył w pokoju za nimi nagłe poruszenie. Wiedział, kto to był.

– Sascha, nie zrobię ci krzywdy! – zawołał. – Chciałem tylko pogadać.

Staruszka próbowała zamknąć drzwi, dzielnie, choć bezskutecznie opierając się ciężarowi Brennana.

– Wszystko w porządku, mamó! – zawołał po chwili znużony głos. – Wpuść go. – Rozległo się przeciągłe westchnienie. – Zresztą i tak nie zdołałbym się przed nim ukrywać zbyt długo.

Matka Saschy odsunęła się od drzwi i pozwoliła Brennanowi wejść. Jej pomarszczona twarz miała niespokojny wyraz. Zerknęła na syna, który uwalnił się na sofie w pokoju, a potem przeniosła wzrok z powrotem na gościa.

– Spokojnie, mamó. Może zrobiłabyś nam herbaty?

Kobieta skinęła głową i umknęła do kuchni. Brennan obrzucił barmana zaniepokojonym spojrzeniem. Sascha zawsze był chudy, ale

teraz została z niego tylko skóra i kości. Sprawiał wrażenie doszczętnie wyczerpanego. Twarz miał bladą i pooraną bruzdami.

– Co się dzieje? – zapytał Yeoman.

– Nic, do cholery.

Dżoker potrząsał głową ze znużeniem. W jego głosie pobrzmiwały ból i żaloba, a także nieskrywana gorycz, której Brennan nigdy tam nie słyszał.

– Dlaczego się ukrywasz? Czy rozpoznałeś mordercę dzięki telepatii?

Barman siedział tylko bez ruchu. Yeoman przez chwilę myślał, że niczego się od niego nie dowie, ale wreszcie Sascha skinął głową.

– Usłyszałem kogoś – przyznał.

– Kogo?

– Tego detektywa, Rzutnika.

Jaya Ackroyda, pomyślał Brennan. Starł się z nim już kiedyś, ale nie potrafił sobie wyobrazić, by as mógł być mordercą.

– Co on robił w Pałacu?

Sascha wzruszył ramionami. Nie odpowiedział.

– A co z Elmem? – zapytał Brennan.

– Wysłała go późną nocą z jakąś tajną misją. Nic mi o tym nie powiedziała. – Gorycz pojawiła się znowu, tym razem podszyta strachem. – Nie wrócił do Pałacu. Słyszałem, że gliny go szukają.

– Myślą, że to on jest winny?

Sascha wybuchnął śmiechem.

– Może i tak. To byłby niezły żart. Wydaje ci się, że karzeł mógłby ją skrzywdzić? Kochał ją. To prawie tak samo śmieszne jak podejrzewanie ciebie.

– Wiesz coś jeszcze? Jakies szczegóły dotyczące morderstwa?

Sascha poruszył się nerwowo, drapiąc się po paskudnym strupie na szyi.

– Na przykład, kto to zrobił? – Słowa wypłynęły z niego gwałtownym strumieniem. – Po południu piłem w Cudakach i wszyscy o tym rozmawiali.

– O czym?

– O Maczudze! To on jest winny! On zabił Poczwarkę. Przechwalał się tym.

– Czemu miałby to zrobić?

Barman wzruszył ramionami.

– Kto zgadnie, co nim kieruje? To wredny świr. Słyszałem, że chciał się z powrotem wkupić w łaski Pięści. Pewnie trudno mu związać koniec z końcem, odkąd wykończyli mafię.

Brennan pokiwał głową ze złowrogą miną. To miało sens. Maczuga był tylko mięśniakiem. Silnym, ale głupim. Okazał się zbyt brutalny nawet dla Widmowych Pięści, które pozbyły się go parę lat temu. Związał się z mafią, ale w zeszłym roku Pięści rozbiły ją w krwawej wojnie gangów. Jeśli Kien i Pięści wydali zlecenie na Poczwarkę, Maczuga z pewnością byłby w stanie zatłuc ją na śmierć, żeby im się przypodobać.

Matka Saschy wróciła z kuchni, niosąc na tacy dwa kubki z herbatą. Dżoker ujął gorące naczynie w drżące dłonie.

– Muszę już lecieć – rzucił Brennan. – Uważaj na siebie, Sascha.

Pożegnał staruszkę skinieniem głowy i wyszedł. Jeśli po mieście rzeczywiście krążyły pogłoski, jak mówił barman, Trójnóg z pewnością je usłyszy i wytropi Maczugę. Tak czy inaczej, to był tylko mięśniak. Mógł dokonać tego zabójstwa i jeśli tak było, Brennan chciał go dorwać, ale bardziej interesowało go, kto wydał polecenie.

Zawarł z Kieniem rozejm. Odwołał wendetę przeciwko dawnemu wrogowi, ale jeśli Kien albo ktoś z jego organizacji rozkazał zabić Poczwarkę, poleje się krew Pięści.

21:00

Mieszkanie znajdowało się w lofcie nad zakładem poligraficznym, który zbankrutował, w stuletnim budynku o żeliwnych zdobieniach. Nad drzwiami wisiał szyld tak wyblakły, że niemal nieczytelny: Firma drukarska Blackwell. Jay spróbował zajrzeć do środka, ale brud

pokrywał szyby niczym szara farba i nie sposób było nic zobaczyć.

Wsadził ręce do kieszeni marynarki i zaczął spacerować powoli po chodniku. O ile się orientował, istniały dwa wejścia do loftu. Z tyłu budynku mieściły się stare żelazne schody ewakuacyjne. Zapewne zdołałby ściągnąć drabinkę i wdrapać się do środka przez okno. Albo mógłby zadzwonić.

Widział światła w oknach loftu. Do diabła z tym, pomyślał i podszedł do znajdujących się w zaułku drzwi ze stalowymi wzmocnieniami. Na dzwonku nie było nazwiska. Jay nacisnął go kciukiem.

Po chwili rozległ się metaliczny zgrzyt odsuwanej rygli. To było łatwe, pomyślał detektyw, wsuwając się do środka. Znalazł się u podstawy wąskich schodów, w wyjątkowo brzydkim holu, cuchnącym zgnilizną i farbą drukarską. Pod sufitem wisiała żarówka kołysząca się lekko z boku na bok, gdy trzepotały wokół niej ćmy. Żarzyła się bardzo jasno, zapewne jej moc była za duża dla przewodów w tej starej ruderze. Niemniej oświetlała hol bardzo skutecznie. Jedna z ciem otarła się o nią i spadła, dymiąc, u stóp Jaya, wybijając skrzydłami gorączkowy rytm na drewnianej podłodze. Detektyw nadepnął na owada i rozgniół go z chrzęstem o deski. Zadał sobie pytanie, czego, do licha, Sascha szuka w takim miejscu.

Na pomoście nad nim otworzyły się drzwi.

– Nie wejdiesz na górę? – zabrzmiał kobiecy głos.

Jay nie miał pojęcia, kogo oczekiwała nieznajoma, nie sądził jednak, by to miał być on.

– Szukam Saschy – wyjaśnił i ruszył na górę. Schody były tak strome i wąskie, że nie było to łatwe.

– Tu go nie ma. – Kobieta wyszła z loftu i stanęła u szczytu schodów, uśmiechając się do przybysza. – Jestem sama.

Detektyw uniósł wzrok. Stał jak wryty. Wytrzeszczył oczy.

Kobieta przesunęła językiem po pełnych wargach wydętych w grymasie nadęsania. Miała na sobie krótką różową halkę ledwie sięgającą bioder. Nie nosiła majtek. Włosy łonowe miała czarne i gęste, a gdy stanęła z rozstawionymi nogami, Jay zobaczył znacznie więcej niż

tylko owłosienie. Skórę miała jasnobrązową, barwy kawy z mlekiem, jak powiedziała by Hiram. Czarne, splecione włosy opadały jej na ramiona i plecy, sięgając poniżej halki. Przez cieniutką tkaninę prześwitywały najwspanialsze cycki, jakie detektyw widział w życiu.

– Wejdz – powiedziała.

Jej akcent był równie prowokujący jak cała reszta.

– Wejdz – powtórzyła bardziej natarczywie.

Oparł się pokusie obejrzenia się, by się upewnić, czy nikt za nim nie stoi. Zresztą i tak nie był w stanie oderwać od niej wzroku. Kiedy Jube wspomniał, że Sascha spotyka się z haitańską prostytutką, Jay wyobraził sobie jakąś wychudzoną dziewczynę z głodnym spojrzeniem i śladami po ospie na ramionach. Odchrząknął.

– Hmm, Sascha... – zaczął, starając się zabrzmieć tak, jakby codziennie spotykał na swej drodze półnagie kobiety.

– Sascha mnie nudzi – przerwała mu. – Jestem Ezili. Wejdz.

Uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę.

– Jestem Jay Ackroyd – przedstawił się. – Znajomy Poczwaraki – dodał.

– I Saschy również – ciągnął. – Muszę znowu z nim porozmawiać. O niej. To znaczy o Poczwarce – uściślił. Cały czas szedł w górę. Ezili słuchała go, kiwała głową, uśmiechała się. Dopiero gdy znalazł się dwa stopnie od kobiety, zauważył, że jej oczy mają taki sam kolor jak strój. Dwie małe, czarne źrenice otoczone morzem płynnej czerwieni. – Twoje oczy – zawołał, zatrzymując się nagle.

Ezili wyciągnęła rękę, ujęła jego dłoń i wsadziła ją sobie między nogi. Ciepło jej ciała było jak żywa istota. Wilgoć sphywała po jego palcach i po jej udach barwy kawy z mlekiem.

Zacęła się kołysać, przytulona do niego. Westchnęła, kiedy jego palce znalazły się w jej wnętrzu, poruszając się jakby z własnej woli. Pierwszy orgazm przeżyła jeszcze na schodach, poruszając gwałtownie biodrami. Potem oblizwała jego palce jak łakome dziecko, wysysając z nich kolejno własne płyny, i zaprowadziła go do mieszkania.

Wtedy nie myślał już o jej oczach.

22:00

Kiedy człowiek potrzebował Wilkołaka, nigdy nie można było żadnego znaleźć. Czaplili też nigdzie nie widział. Brennan krążył po ulicach dwie godziny, nim wreszcie wypatrzył jednego członka gangu. Wilkołak wychodził chwiejnym krokiem z Cudaków.

Był wielki, owłosiony i muskularny. Miał na sobie wyblakłe, podarte dżinsy oraz tyle łańcuchów, rzemieni i sznurów, że mogłyby wypełnić całą szafę Michaela Jacksona. Plastikowa maska Mae West zasłaniająca mu twarz niezbyt dobrze harmonizowała z jego wyglądem. Wyszedł na ulicę przed Cudakami i spróbował wyciągnąć kilka dolarów od grupki natolskich turystów zastanawiających się, czy wejść do baru, po czym ominął ich i skierował się do zaułka odległego o pół przecznicy. Brennan podążył za nim.

Zaułek był wystarczająco ciemny i pusty. Dżoker odlewał się pod ceglany murem, śpiewając głośno i fałszywie *I'm So Lonesome I Could Die*. Właśnie zapinał rozporek, gdy Brennan przystawił mu nóż do gardła i rzekł od niechcenia:

– Myślę, że twój głos brzmiałby znacznie lepiej, gdybym zrobił ci tu dziurę. Co ty na to?

Dżoker zamarł w bezruchu, aż do chwili, gdy Brennan odsunął się nieco. Następnie powoli się odwrócił, z uwagą trzymając ręce daleko od ciała.

– Kim jesteś? Jakimś szalonym natolem? – zapytał.

– Wpadłem do wielkiego złego miasta tylko na moment, by odwiedzić starych znajomków. – Yeoman sięgnął lewą ręką do kieszeni drelichowej kurtki. – To jest moja karta – oznajmił, pokazując Wilkołakowi asa pik.

Potęźnie zbudowany dżoker trwożnie się skulił.

– To naprawdę ty?

– Chcesz się przekonać? – zapytał Brennan, ale Wilkołak tylko potrząsnął głową. – Nie chcę tańczyć – uspokoił go Yeoman. – Chciałem tylko pogadać. Muszę się spotkać z którąś z grubych ryb.

Czarownikiem. Leniwym Smokiem. Może Znikaczem. Widziałeś dzisiaj któregoś z nich?

– Wcześniej widziałem Smoka. Mówił, że spędzi noc w Sikorce, ale raczej nie wyglądał na zadowolonego. Miał pilnować jakiegoś ważniaka z Pięści, więc raczej nici z zabawy.

Brennan pokiwał głową. Leniwy Smok był wolnym strzelcem, asem pracującym niekiedy dla gangstera nazwiskiem Philip Cunningham, zajmującego wysoką pozycję w hierarchii Widmowych Pięści. Cunningham, znany także jako Znikacz, zasłynął ze zdolności stawiania się niewidzialnym. Gdyby Kien wydał zlecenie na Poczwarkę, Znikacz z pewnością by o tym wiedział. Brennan sam kiedyś dla niego pracował, gdy przyłączył się potajemnie do Pięści, aby zniszczyć ich organizację od środka. Uratował nawet Znikaczowi życie, gdy mafia zaatakowała jego kwaterę główną. Być może uda im się dojść do porozumienia.

– W porządku – skwitował Brennan i wykonał gest nożem. – Czy ten model noszą Wilkołaki w tym tygodniu?

– He?

– Pytam o maskę.

– Jasne.

– Dawaj mi ją.

Brennan uważnie obserwował Wilkołaka. Maski noszone przez wszystkich członków gangu były ich identyfikatorami, symbolem przynależności. Niektórzy fanatycy prędzej by zabili, niż oddali maskę. Ten Wilkołak naprężył mięśnie, ale potem rozluźnił się z westchnieniem. Najwyraźniej znał reputację Brennana i pomimo wielkich rozmiarów oraz groźnego wyglądu nie miał ochoty mierzyć się z człowiekiem, który w zeszłym roku zdziesiątkował szeregi Widmowych Pięści.

Zdjął maskę i podał ją Yeomanowi, pochylając głowę i odwracając twarz w bok. Brennan przyjął maskę. Zerknął na oblicze Wilkołaka, ale nic nie powiedział. Widywał gorsze. Znacznie gorsze. Potrafił jednak zrozumieć, dlaczego skądinąd niebezpiecznie wyglądający mężczyzna wstydzi się swojej twarzy. Wyglądała tak, jakby przestała rosnąć

w pierwszym roku jego życia. To była twarz niemowlęcia, piękna i delikatna, osadzona groteskowo pośrodku przesadnie wielkiego łba. Kontrastowała osobliwie ze złowrogim wyglądem pozostałych części ciała odzianego w metal i skórę dzokera.

Brennan odsunął się na bok. Wilkołak ominął go, nadal odwracając twarz, i zaczął się oddalać.

– Nie zapiałeś rozporka! – zawołał za nim Yeoman.



– Zaśnij – wyszeptała do niego potem Ezili.

Rzeczywiście bardzo chciało mu się spać. Pragnął po prostu się poddać, położyć się powoli na grubym, miękkim dywanie, zamknąć oczy i spokojnie zapaść w sen. Do tej chwili nie uświadamiał sobie, jak bardzo jest zmęczony.

Ezili uśmiechała się o niego. Czuł na ramieniu ciężar jej piersi. Nie zadali sobie trudu, żeby zapalić światło, widział jednak zarys jej ciała w blasku ulicznej latarni, sączący się przez poruszające się w lekkim powiewie zasłony. Sutki miała wielkie i czarne, koloru gorzkiej czekolady. Pamiętał ich smak. Uniósł rękę i pogłaskał miękką skórę w dolnej części jej piersi, ale tym razem złapała go za nadgarstek i delikatnie odsunęła jego rękę

– Nie – wyszeptała. – Zaśnij. Zamknij oczy, mój chłopcze. Niech ci się coś przyśni. – Pocałowała go w czoło. – Niech ci się przyśni Ezili-je-Rouge.

Jakąś częścią jaźni Jay zdawał sobie sprawę, jakie to wszystko szalone, ale reszta jego osobowości nie zamierzała się tym przejmować. Zastanawiał się, czy Ezili zamierza wyciągnąć z niego forszę. W końcu podobno była dziwką. Tym jednak również się nie przejmował. Zastugiwała na każdą zapłatę, jakiej mogła zażądać.

– A co powiesz na całą noc? – wyszeptał sennie.

To wyraźnie rozbawiło Ezili. Parsknęła lekkim, melodyjnym śmiechem i pogłaskała go po czole powolnymi, ospałymi ruchami

palców. To było niewiarygodnie uspokajające. W pokoju było ciepło i ciemno. Zamknął oczy i świat zaczął się od niego oddalać. Dotyk jej palców był delikatny i kojący. Słyszał dobiegający z oddali głos kobiety.

– Całą noc, całą noc – powtarzała do siebie, jakby to były najzabawniejsze słowa, jakie w życiu słyszała. Były też inne, dalsze dźwięki – otwierające się gdzieś drzwi, szelest ubrania – jakby był tu z nimi ktoś inny, ale Jay był zbyt zmęczony, by zwracać na nie uwagę. Unosił się w ciepłym morzu snu, zapadając w nie coraz głębiej. Wiedział, że dzisiejszej nocy koszmar nie nadejdzie.

Wtem drzwi wyjściowe otworzyły się z głośnym trzaskiem.

– Gdzie on jest? – krzyknął ktoś.

Jasne światło dochodzące z klatki schodowej padło Jayowi na twarz, budząc go. Usiadł, osłaniając ręką oczy. W głowie miał zamęt. Przez palce ujrzał sylwetkę stojącego w drzwiach mężczyzny, niewyraźną w blasku.

– Cholera – poskarżył się, nim jeszcze zdążył sobie przypomnieć, gdzie się znajduje.

Ezili wstała i krzyczała coś do intruza po francusku. Jay nie znał tego języka, ale z tonu jej głosu potrafił odgadnąć, że większości słów, których używała, nie znalazłby w zwykłych słownikach francusko-angielskich. Usłyszał za sobą jakiś stłumiony hałas. Odwrócił się na czas, by zauważyć mroczną sylwetkę, która zniknęła w drzwiach sypialni. To dziecko, pomyślał. Jest garbate albo ma krzywy kręgosłup. W słabym świetle nie mógł jednak być tego pewien. Ktokolwiek to był, zatrzasnął za sobą drzwi.

– Nie mogłem nic na to poradzić – tłumaczył się przybysz drżącym, ochryplym głosem. Haitanka obrzuciła go kolejnym stekiem wyzwisk po francusku. – Nie wiedziałem – usprawiedliwiał się. – Proszę, nie mogę czekać dłużej. Potrzebuję pocałunku. Bardzo go potrzebuję. Wysłuchaj mnie.

Jay znał ten głos. Podniósł się na kolana, uderzył o bok kanapy, poszukał ręką lampy i włączył choć odrobinę światła.

– Nie rozumiesz, przez co przeszedłem – ciągnął Sascha.

- Zamknij się, ty durniu – warknęła po angielsku Ezili. – Masz gościa.
- Sascha obrócił powoli głowę i spojrzął na Jaya.
- To ty.

Detektyw nagle uświadomił sobie, że jest nagi. Jego ubranie leżało porozrzucane po całym pokoju, spodnie wisiały na oparciu kanapy, bokserki na abażurze, a buty były Bóg wie gdzie. Ezili również nic na sobie nie miała.

Oczywiście, Sascha nie miał oczu, ale Jay z jakiegoś powodu nie sądził, by to miało znaczenie.

- To ja – potwierdził z lekkim zażenowaniem. Zdjął bokserki z lampy i wciągnął je na siebie, zastanawiając się, co jeszcze mógłby powiedzieć. Wybacz, Sascha, przyszedłem tu po to, by z tobą pogadać, ale skończyło się na tym, że przerznąłem twoją dziewczynę na wykładzinie dywanowej w salonie. Swoją drogą, to rewelacyjna dupa... Nie, tego nie mógł powiedzieć. Oczywiście, przed chwilą to pomyślał, a Sascha był telepatą, więc zapewne już...

- Tchórz – warknęła na dzokera Ezili. – Mięczak. Dlaczego miałbyś dostać pocałunek? Nie zasługujesz na niego.

Jay spojrzął na nią, lekko wstrząśnięty. Ezili pokazała zupełnie inną twarz. Z pewnością nie mówiła jak dziwka rozmawiająca z nadzianym klientem. Naga i wściekła, zaciskała pięści zwisające u bioder. Jay po raz pierwszy zauważył na jej szyi wielki, brązowy, kruszący się strup. Pomyślał o rozmaitych chorobach wenerycznych, a następnie o AIDS, przypomniał sobie, że kobieta podobno jest Haitanką, i poczuł się jak totalny idiota.

- Kurwa, gdzie jest moja koszula? – warknął głośniejszym głosem niż było to jego zamiarem.

Ezili i Sascha skierowali na niego spojrzenia. Haitanka wymamrotała coś po francusku, odwróciła się na bosej pięcie, ruszyła do sypialni i zatrzasnęła za sobą drzwi. Jay usłyszał szcęk zamykającego się zamka.

Sascha wyglądał, jakby miał ochotę się rozpłakać, choć detektyw nie był pewien, czy bez oczu to w ogóle możliwe. Dzoker osunął się na fotel i uniósł głowę, zaszczycając detektywa bezokim spojrzeniem.

– Czego ode mnie chcesz? – zapytał z goryczą.

Jay właśnie wciągał spodnie, co stawiało go w dość niekorzystnej sytuacji, starał się jednak tego nie okazywać.

– Szukam Elma – oznajmił, zapinając rozpiorek.

– Wszyscy go szukają – poskarżył się barman. Detektyw pomyślał, że Sascha wygląda naprawdę chujowo. Tyle że trudno mu było sobie wyobrazić, by chuj mógł być aż tak blady, spocony i drżący. – Nie wiem, gdzie jest. Poszedł wykonać jakieś zadanie i nie wrócił. – Dżoker zachichotał. To był słaby, przerażający, wysoki dźwięk, na granicy hysterii. – Karzeł nie wrócił. Miał farta. Kapujesz, powieszą go za to. Przekonasz się. To tylko dżoker.

Jay nie mógł znaleźć jednej skarpetki. Schował drugą do kieszeni i usiadł na kanapie, by zawiązać buty. Mebel był nowy i drogi, obity pięknym aksamitem barwy wina. Detektyw rozejrzał się po mieszkaniu, przyglądając mu się właściwie po raz pierwszy. Podłogę pokrywała gruba, sięgająca od ściany do ściany wykładzina dywanowa, biała jak śnieg. Za okienkiem do wydawania posiłków znajdowała się nowoczesna kuchnia. Całe szeregi garnków o miedzianych dnach wisiały między wielką lodówkozamrażarką z brązu a mikrofalówką, która mogłaby służyć jako hangar dla małych samolotów. W salonie pełno było dzieł prymitywnej sztuki, zapewne haitańskiej. Były dziwaczne, ale wyglądały na drogie. Na ścianach namalowano wymyślne symbole. Po lewej stronie loft podzielono na małe pokoiki. Mogło tam być pięć albo sześć sypialni.

– Co to za miejsce? – zapytał lekko zdziwiony Jay.

– Miejsce, którego nie powinienes odwiedzać – odparł dżoker. – Czemu nie zostawisz mnie w spokoju?

– Zostawię. Gdy tylko odpowiesz mi na kilka pytań.

Sascha się wściekł.

– Nie! – krzyknął. – Natychmiast. Mówię ci, nie mogę już dłużej czekać. Zmiataj stąd, do cholery! Potrzebuję pocałunku. Nie chcę, żebyś tu był. Nie chcę, żebyś zwracał mi głowę.

Jay nigdy nie widział Saschy w takim stanie.

– Co ci się stało, do licha? – zapytał. – Sascha, uzależniłeś się od czegoś?

Gniew dzokera nagle znowu przeszedł w chichot.

– Och, tak – odparł. – Od pocałunków. Och, są słodsze niż wino.

Detektyw wstał, marszcząc brwi.

– Od pocałunków – powtórzył skwaszonym tonem. Ezili była naprawdę świetną kochanką, ale jeśli dłuższy związek z nią tak wpływał na człowieka, chyba lepiej będzie zadowolić się jednym numerkiem. – Sascha, nic mnie nie obchodzi twoje życie miłosne. Muszę tylko odnaleźć Elma. Zna mnie wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, że go nie wyspię. Po prostu chcę z nim pogadać. Może wiedzieć coś, co pomoże mi odnaleźć zabójcę Poczwaraki.

Sascha pogłaskał się niemal ukradkowo po cieniutkich wąsikach.

– Przecież wiemy, kto ją zabił, tak? Zostawił swoją wizytówkę, nieprawdaż? Tak, widzę, że o tym pamiętasz. Dostrzegam obraz w twoim umyśle.

Jay poczuł się nieswojo na myśl, że Sascha grzebie w jego umyśle.

– Ktoś zostawił na ciebie asa pik – przyznał. – Ale nie jestem pewien, czy to był Yeoman. To nie...

– To był on! – przerwał mu dzoker. – Yeoman! Nie kto inny! To on jest mordercą, którego szukasz. Och, tak, Rzutnik. Wrócił do miasta. Widziałem go.

Detektyw nie był przekonany.

– Widziałeś go?

Sascha pokiwał głową.

– W Brighton Beach, w mieszkaniu mojej matki. Szukał mnie. Elma też chce dorwać.

– Ale dlaczego? – zapytał detektyw. – Po co miałby ją zabijać?

Barman rozejrzał się po pokoju, jakby chciał się upewnić, czy nikt ich nie podsłuchuje. Następnie pochylił się ku Ackroydowi i wyszeptał:

– Znała jego prawdziwe nazwisko. – Zachichotał. – Chciałbyś je usłyszeć? Czy pójdziesz sobie i zostawisz mnie w spokoju, jeśli ci je zdradzę?

– Ty też je znasz?

Dżoker skinął z zapalem głową.

– Nigdy nie powiedziała go głośno, ale czasami wymieniała je w myślach. Któregoś dnia wyczytałem je z nich. Gdyby Yeoman się o tym dowiedział, mnie również by zabił. Chcesz je usłyszeć?

– Gadaj – zażądał Jay.

– Obiecujesz, że sobie pójdziesz? Że przestaniesz mnie niepokoić? Że nie będziesz się więcej wtrącał w moje sprawy?

– Obiecuję – warknął niecierpliwie Jay.

– Daniel Brennan – odpowiedział Sascha. – A teraz zmiataj.

Detektyw obejrzał się jeszcze za siebie, zamykając za sobą drzwi mieszkania. Dżoker klęczał przy drzwiach sypialni, wciskając twarz w drewno. Błagał o pocałunek.

23:00

Sikorka znajdowała się w samym sercu Bowery. Z zewnątrz lokal wyglądał prosto, nawet surowo. Szary, kamienny budynek, bez żadnego szyldu, markizy czy odzwiernego informujących o jego istnieniu. Sikorka nie musiała się reklamować. Wystarczało słowo szeptane.

Brennan wszedł po schodach na górę. Ręce miał puste. Futerał z łukiem zostawił w przechowalni bagażu. W przedpokoju burdelu przywitał go dżoker, wielki i umięśniony jak samiec goryla. Bramkarz przeszukał go i obwąchał. Dżinsy i T-shirt Yeomana nie spodobały mu się zbytnio, ale otworzył przed nim drzwi prowadzące – według tysięcy zadowolonych klientów Sikorki – do rajku.

W kącie salonu powitalnego grał na pianinie Dwunastopalczy Jake. Wystukiwał na klawiszach skomplikowane akordy supersynkopowanej muzyki, którą zwał dż-jazzem, dżokerskim jazzem. Potrzebował wszystkich dwunastu palców, by zagrać ją jak trzeba. Klienci, z reguły odziani w trzyczęściowe garnitury, przynajmniej wyglądające na drogie, siedzieli na wygodnych krzesłach albo sofach, pijąc i rozmawiając

z dziewczynami. Zatrudniano tu kobiety wszelkich możliwych ras i kolorów skóry. Wszystkie były piękne, ale ponieważ lokal znajdował się w Dżokerowie, niektóre z nich miały niezwykle atrybuty.

W drzwiach przywitała go natolska hostessa. A przynajmniej wyglądała na natolkę, bo podwiązki, nylonowe pończochy i buty na wysokich obcasach, które nosiła, nie mogłyby zbyt wiele pomóc w ukryciu dżokerskich deformacji. Z drugiej strony, niektóre dziewczyny w Sikorce były inne na bardzo subtelne sposoby.

– Cześć, Joe – przywitała go. – Jestem Lori. Chcesz się zabawić?

Brennan się uśmiechnął.

– Szukam jednego faceta... – zaczął.

– Trafieś w niewłaściwe miejsce, Joe. Mamy tu dziewczyny wszelkich rodzajów, białe, brązowe i takie, jakich nigdy w życiu nie widziałeś. Ale jeśli chodzi ci o faceta...

– Miałem na myśli znajomego – wyjaśnił pośpiesznie Brennan. – Leniwego Smoka...

– Aha. – Lori skinęła głową. Ujęła Yeomana pod rękę i pociągnęła za sobą. – Powinnam się była tego domyślić, z tą maską i tak dalej. To Marilyn Monroe, tak? Jedna z moich ulubionych aktorek. Sama cię tam zaprowadzę. Przyda mi się kolejna działka.

– Jasne.

Brennan podążył za nią, lekko oszołomiony, ale zadowolony z tego, że jego minimalne przebranie się sprawdziło. Przemierzyli salon wypełniony dźwiękami dż-jazzu produkowanymi przez giętkie palce Dwunastopalcego Jake'a oraz gadaniną trzydziestu dziewczyn i pięćdziesięciu oczekujących klientów, po czym weszli na schody i dotarli do korytarza zakończonego dwuskrzydłowymi drzwiami pilnowanymi przez dwóch Wilkołaków w maskach Mae West takich samych jak ta, którą nosił Brennan.

– Co jest grane? – zapytał jeden z nich, kiedy Yeoman i dziewczyna podeszli do drzwi.

– Zmiana – odpowiedział Brennan, kiwając głową. – Ale muszę to obgadać ze Smokiem.

– Tylko jeden? Kto może sobie pójść?

Yeoman wzruszył ramionami.

– Nie ja o tym decyduję.

Wilkołak chrząknął i odsunął się na bok. Brennan i Lori weszli do środka.

Za drzwiami znajdował się wielki pokój, udekorowany w przesadnym stylu, jakiego można się spodziewać w tego typu lokalu. Połowę ścian pokrywała tapeta w srebrno-złote łezki, drugą połowę zaś lustra, dzięki którym pomieszczenie wydawało się znacznie większe, niż było w rzeczywistości. Na wyściełanych kanapach i pufach siedziały pracownice lokalu oraz mężczyźni w garniturach równie gustownych jak tapeta.

Na jednej z kanap spoczywała naga dziewczyna. Na jej obfitych piersiach i między nimi, wzdłuż smukłych nóg oraz wokół krocza przebiegały kreski czegoś, co wyglądało jak kokaina. Trzej mężczyźni na zmianę wciągali proszek usypany na trasach prowadzących do ich ulubionych części ciała. Inne dziewczyny, mające na sobie głównie makijaż, krążyły po pomieszczeniu, roznosząc tacki z trunkami oraz srebrne miseczki wypełnione proszkami i pigułkami rozmaitego rodzaju.

– Do zobaczenia, kochasiu – powiedziała Lori i wmiszała się w tłum.

Leniwy Smok siedział w kącie, popijając jakiś napój z kieliszka na długiej nóżce. Na oczach Brennana ostentacyjnie odmówił przyjęcia miseczki białego proszku oferowanej mu przez smukłą czarnoskórą kobietę o ciele porośniętym delikatnym puchem.

– Czego chcesz? – zapytał, gdy Brennan poszedł bliżej. Młody Azjata był drobny i schludny. Był też potężnym asem, który potrafił ożywić ułożone z papieru albo wystrugane figurki zwierząt, wprowadzając do nich swojego ducha. W tej chwili zdecydowanie nie był w najlepszym humorze.

– Nie ma spokoju dla grzeszników, co?

Smok zeszywniał, usłyszawszy głos Brennana. Zaczął się podnosić z miejsca, ale zaraz opadł z powrotem na krzesło.

– Co tu, do licha, robisz, Kowboju? – zapytał, posługując się ksywką,

której używał Brennan, kiedy potajemnie przyłączył się do Pięści.

Yeoman wzruszył ramionami.

– Widzę, że nieźle się tu bawicie. Nie chciałbym, żeby coś zakłóciło wam zabawę. – Popatrzył ze spokojem na Azjatę. – Swoją drogą, co tu jest grane?

Smok gapił się na niego przez dłuższą chwilę, zanim odpowiedział.

– Ten gość – zaczął, wskazując na wysokiego, wychudzonego mężczyznę w białych płóciennych spodniach, koszuli i marynarce – to Quinn Eskimos. Na pewno o nim słyszałeś.

Brennan skinął głową. Quinn Eskimos – naprawdę nazywał się Thomas Quincey – dowodził naukowym oddziałem Widmowych Pięści. Specjalizował się w tworzeniu syntetycznych narkotyków powodujących nadzwyczajne skutki uboczne.

– Testuje nowy produkt? – zainteresował się Brennan.

W tej samej chwili Lori podeszła do Quinna i coś do niego powiedziała. Mężczyzna uśmiechnął się i wręczył jej fiolkę z niebieskim proszkiem. Część wciągnęła, resztę zaś wtarła sobie w piersi i brodawki sutkowe, nadając im taki sam, jaskrawoniebieski kolor. Naukowiec i stojący wokół niego mężczyźni wybuchnęli śmiechem. Za namową Quinna jeden z nich zaczął lizać jej piersi. Dziewczyna zamknęła oczy i oparła się o pobliską ścianę. Kiedy mężczyzna zaczął ssać jej sutki, przeżyła widoczny, potężny orgazm.

– Co to było, do licha? – zapytał Yeoman.

Smok wzruszył ramionami.

– Jego nowy produkt. Pokaz dla dystrybutorów. Czego właściwie chcesz?

Brennan popatrzył na niego.

– Zabito moją przyjaciółkę, Smoku. Z pewnością o tym słyszałeś.

– Poczwarę?

Brennan skinął głową.

– Dotarli też do mnie plotki, że ktoś się przechwala na mieście, że zabił ją, by wkupić się w łaski Pięści.

Smok potrzęsła głową.

– Nic mi nie wiadomo o tym, by Pięści chciały jej śmierci.
– Ty nie podejmujesz takich decyzji. Chcę porozmawiać z kimś z wewnętrznych kręgów. Ze Znikaczem.

– On jest z ciebie bardzo niezadowolony, Kowboju. Naprawdę nas wtedy wyruchałeś.

Brennan wzruszył ramionami.

– Takie jest życie. Znikacz ze mną porozmawia albo poleje się krew Pięści.

Smok wstał, powoli i ostrożnie.

– Lepiej niczego tu nie zaczynaj, Kowboju. Jestem szefem ochrony na tej imprezie.

Yeoman skinął głową, uśmiechnął się pod maską Mae West, a potem się odsunął.

– Nie chciałbym, żebyś miał przeze mnie plamę w CV. Po prostu przekaz Znikaczowi, że chcę z nim pogadać.

Przyglądali się sobie z uwagą, aż wreszcie Brennan opuścił pokój.

– I co? – zapytał go jeden ze stojących na warcie Wilkołaków.

– Słucham?

– Który z nas ma teraz wolne?

– Ach. – Brennan ściągnął maskę Mae West i rzucił ją zdumionemu Wilkołakowi, który złapał przedmiot, przyciskając go do piersi. – Ja.

– Co to ma znaczyć, do licha? – warknął gniewnie drugi. – To niesprawiedliwe.

– W życiu nie ma sprawiedliwości – oznajmił mu Brennan. – Ostatecznie i tak nadchodzi śmierć.

Wilkołaki dostrzegły groźbę w jego głosie. Odprowadzały go wzrokiem, kiedy się oddalał, zastanawiając się, kim właściwie jest. Po chwili doszły do wniosku, że lepiej tego nie wiedzieć.



Wtorek, 19 lipca 1988

2:00

W nieużywanym kanale przerobionym przez Poczwarkę na tajne wejście do Pałacu cuchnęło pleśnią i zgnilizną. Ciemność mąciło jedynie światło latarki Brennana, a ciszę hałas, jakie niekiedy powodował po drodze. W pewnej chwili minął boczny tunel, o którym Poczwarka mu nie opowiedziała. Miał wrażenie, że słyszy w nim jakieś poruszenia, ale doszedł do wniosku, że to nie jest odpowiedni moment na zaspokajanie częściej ciekawości.

Kanał dochodził do niedawno wybudowanego tunelu, który z kolei prowadził do podziemnego magazynu. Pełno w nim było skrzynek z napojami alkoholowymi, ustawionych w sterty aluminiowych beczulek z piwem, oraz kartonowych pudeł wypełnionych chipsami, preclami, skórkami wieprzowymi i innym śmieciowym jedzeniem.

Brennan przeszedł bezgłośnie przez magazyn i wszedł po schodach na parter. Zaczekał chwilę, ale nie zobaczył, nie usłyszał ani nie wywęszył niczego, co by sugerowało, że w Pałacu ktoś jest. Zresztą nie spodziewał się nikogo tam spotkać. Ruszył ku gabinetowi Poczwarcki, ale zatrzymał się pod drzwiami, czując jakiś dziwny opór przed wejściem do środka.

Pomyślał, że jeśli zobaczy ślady jej krwi na ścianach, uświadomi sobie ponad wszelką wątpliwość, że Poczwarcka nie żyje. Zbyt wiele przed nim ukrywała, by mógł ją naprawdę pokochać, ale dzielił z nią łóżko i poznał też niektóre jej tajemnice. Wiedział, że pod maską obojętności skrywała samotność. Nie kochał jej, ale mógłby ją pokochać. Nie potrafił o tym zapomnieć. I to doskwierało mu jak ból w otwartej ranie, niezabandażowanej i krwawiącej.

W jego wspomnieniach gabinet Poczwarcki był cichy, czarujący

i pograżony w półmroku. Piękny wschodni dywan na podłodze, sięgające od podłogi do sufitu regały zastawione oprawnymi w skórę książkami, które Poczwarzka przeczytała, solidne dębowe meble obite skórą i ciemnofioletowe, tłoczone wiktoriańskie tapety. Nawet pachniało tu Poczwarzką. Jej egzotycznymi perfumami frangipani oraz amaretto, które piła. To było spokojne miejsce i Brennan nie chciał zobaczyć, jak wygląda jako scena śmierci i zniszczenia. Nie miał jednak innego wyjścia. Wziął głęboki oddech, zerwał taśmę zabezpieczającą drzwi i wszedł do środka.

Było gorzej, niż się spodziewał. Gabinet całkowicie zdewastowano. Wielkie dębowe biurko leżało na boku w odległości połowy pokoju od miejsca, gdzie zwykle stało. Obity czarną skórą fotel roztrzaskano na drobne kawałeczki. Regały oderwano od ścian, a książki walały się na podłodze. Z krzeseł dla gości zostały tylko szczapy. Drewniane segregatory poprzewracano, a teczki wysypano na podłogę i roztrzaskane meble. Najgorsze jednak były drobniotkie kropelki krwi, ledwie widoczne na fioletowej tapecie nisko na ścianie za miejscem, gdzie stały jej biurko i fotel.

Brennan bardzo często widywał zniszczenia, ale tym razem ten widok wywołał w nim gniew. Stłumił to uczucie, zepchnął je w głąb, aż wreszcie zmieniło się w gorejący punkcik ukryty w jego żołądku. To nie był czas na uleganie emocjom. Być może później będzie mógł dać im wyraz, ale w tej chwili potrzebował zimnego, wyrachowanego intelektu. Jeszcze nie wiedział, co może się okazać istotną wskazówką, starał się więc zapamiętać straszliwą scenę tak szczegółowo, jak tylko mógł, żeby móc ją potem odtworzyć w pamięci.

Opuszczając gabinet, pamiętał już wszystko dokładnie. Nie czuł się jednak na siłach stawić czoło dusznym tunelom biegnącym pod ulicami. Pragnął odetchnąć świeżym, czystym powietrzem, a przynajmniej na tyle świeżym i czystym, jak dalece było to możliwe w Nowym Jorku. Ruszył w stronę schodów prowadzących ku znajdującym się na górze wyjściom, gdy nagle usłyszał głos, ostatni głos, jaki spodziewałby się jeszcze kiedykolwiek usłyszeć. Szept dobiegał z pograżonej w mroku

klatki schodowej przed nim.

– Yeoman. – Po plecach przebiegły mu ciarki. – Czekam na ciebie. Chodź do mojego pokoju. Będę na ciebie czekała, mój łuczniku.

To był jej głos. Głos Poczwaraki mówiącej ze swym prawie angielskim akcentem. Znieruchomiał na chwilę, lecz nie usłyszał w mroku żadnych poruszeń.

Brennan nie wierzył w duchy, ale dzięki dziwnej karcie prawie wszystko stało się możliwe. Być może Poczwaraki wcale nie zabito, a wszystko to było tylko jedno wielkie oszustwo przeprowadzone przez domniemaną ofiarę z jakiegoś nieznanego powodu. Cokolwiek to było, nie mógł po prostu zapomnieć o sprawie. Z kabury u pasa wyciągnął browninga hi-power i zakradł się na górę cicho jak polujący kot.

Drzwi sypialni Poczwaraki były otwarte. Yeoman wyjrzał zza ościeżnicy i zorientował się, że ktoś był tu przed nim. Intruz czegoś szukał i nawet nie próbował ukryć śladów swoich poczynań. Łoże z baldachimem rozebrano na części, a materac pokrojono. Wiktoriańskie portrety i antyczne lustra w eleganckich ramach zrzucano ze ścian. Leżały teraz na podłodze pośród srebrnych odłamków. Kryształową karafkę, zwykle stojącą na stoliku nocnym, również potłuczono. Na jej miejscu leżała szermiercza maska.

Brennan wszedł do środka i rozejrzał się, pełen trwogi. Gdy dotarł do szczytków łoża, w wejściu do garderoby, w której Poczwaraka trzymała swe liczne stroje, pojawiła się masywna postać o pięknej, kobiecej twarzy, naznaczonej jednak wyrazem chronicznego bólu. Ciało, ukryte pod sięgającym podłogi czarnym płaszczem, było wielkie, masywne i groteskowe. Pod tkaniną coś się poruszało. Coś wiło się i uwypuklało na piersiach i brzuchu kobiety niczym worek pełen węży. Intruz zatrzymał się nagle i wlepił spojrzenie w Brennana. Ten uniósł pistolet.

– Jesteś Kuriozum – stwierdził po chwili.

– A kim ty jesteś?

– Nie znasz mnie. Możesz mi mówić Yeoman.

Na chwilę znowu zapadła cisza.

– Rozumiemy – stwierdziło po chwili Kuriozum. – Co tutaj robisz?

– To ja powinienem zadać to pytanie.

– Szukamy czegoś.

Brennan wykrzywił usta w grymasie niezadowolenia.

– Nie przeciągajmy sprawy.

– Albo co? Czy w tym momencie nie powinna paść jakaś groźba?

– Ja nie wygłaszam groźb – odparł Yeoman głosem zimnym jak lód. –

Nie interesują mnie gierki. Znalazłem cię w sypialni mojej przyjaciółki i jestem skłonny uwierzyć, że miałaś coś wspólnego z jej śmiercią. Jeśli nie zechcesz mi nic powiedzieć, to proszę bardzo. Nie oddam cię w ręce policji. Zostawię tu twój trup.

– Sądźmy, że mógłbyś spróbować – odparło spokojnie Kuriozum.

Brennan milczał.

– W porządku. – Kobieta westchnęła. – Nie mieliśmy nic wspólnego ze śmiercią Poczwaraki. Kiedy się o niej dowiedzieliśmy, przyszedliśmy tu... w poszukiwaniu pewnej informacji, której używała, aby nas szantażować. Chcieliśmy ją odnaleźć, zanim zrobi to policja.

Brennan skrzywił się wściekle.

– Szantażowała cię? Żądała pieniędzy?

Kuriozum skinęło głową. Potem jego twarz wykrzywiła się w grymasie gwałtownego bólu. Kobieta osunęła się na kolana, krzyżując ręce na brzuchu. Odrzuciła głowę do tyłu. Na jej twarzy odbijało się straszliwe cierpienie.

– Jezu – wyszeptał Brennan. Kuriozum nie udawało. Naprawdę dręczył je gwałtowny, niepowstrzymany ból. Yeoman nie miał pojęcia, jak mógłby pomóc bezradnemu dzokerowi. Ruszył w jego stronę, ale Kuriozum uniosło rękę, powstrzymując go. Mężczyzna wytrzeszczył oczy ze zdumienia, przyglądając się, jak kobiece rysy splezają z twarzy dzokera, kryjąc się w gardle. Z tyłu głowy zaczęło się zsuwać drugie oblicze, męskie i smagłe.

Nowe oczy spojrzały na Brennana z podejrzliwością. Nim jeszcze znalazły się w pełni na miejscu, nim Kuriozum przestało jęczeć, mężczyzna – jak zaczął teraz myśleć o dzokerze Yeoman – złapał za nogę stojącego przy łóżku niskiego stolika i cisnął nim lekkim ruchem ręki.

Brennan uchylił się i nacisnął spust.

Nigdy się nie dowiedział, czy pocisk trafił w cel, ponieważ Kuriozum rzuciło się do szarży niczym futbolista pędzący do linii punktowej. Gdy doszło do zderzenia, Yeoman poczuł się tak, jakby uderzył w niego worek wypełniony cegłami.

Odsunął się na bok i wyprowadził potężne kopnięcie w wijącą się masę, jaką był tułów Kuriozum. Ręka, która go złapała, była kobieca, ale i tak znacznie silniejsza od jego ręki. Pociągnęła go, a on pozwolił na to bez oporu. Następnie odwróciła go i cisnęła nim o ścianę tak mocno, że plecy go zabolaly, a szczęki gwałtownie o siebie uderzyły.

Pistolet wypadł mu z rąk. Brennan padł na podłogę, przetoczył się i złapał masywny, dębowy stojak na ozdóbki. Uderzył nim z całej siły, trafiając Kuriozum w bok. Stojak się złamał. Ręce Brennana zdrząły od wstrząsu. Mężczyzna potrząsnął nimi, bezskutecznie próbując uwolnić się od odrętwienia. Kuriozum nawet się nie zachwiało.

Dzoker wymachiwał rękami, starając się dosięgnąć Yeomana. Ten uchylał się raz po raz. Ręce zwisały mu bezwładnie u boków. Nadal nie mógł odzyskać w nich czucia. Nie przestawał się cofać, aż wreszcie poczuł za plecami ścianę. Kuriozum majaczyło przed nim, krzywiąc twarz w grymasie furii.

Dzoker zamachnęła się znowu. Brennan uniknął ciosu, ześlizgując się w dół po ścianie. Pięść Kuriozum przebiła się na drugą stronę. Jego ręka wpadła w ścianę aż po bark.

Brennan wymknął się w bok i złapał za jeden ze słupków podtrzymujących baldachim zniszczonego łoża Poczwarzki. Zamachnęła się z całej siły i dzielił nim dzokera w plecy, tuż nad nerkami.

Kuriozum ryknęło, raczej z gniewu niż z bólu. Yeoman uderzył jeszcze raz i słupek rozleciał się w drzazgi.

– Jezu – mruknął. Jego przeciwnik warknął tylko, próbując uwolnić uwięzioną w ścianie rękę.

Brennan uświadomił sobie, że nie ma sensu walczyć z ogarniętym amokiem dzokerem. Uciekł z pokoju, gdy tylko Kuriozum się uwolniło, i popędził przed siebie korytarzem, zaciskając zęby z bólu

przeszywającego mu plecy.

– Dorwiemy cię, skurwysynu! – wrzasnął dzoker. Jego głos brzmiał niewyraźnie, jakby dwie osoby walczyły o kontrolę nad nim. – Dorwiemy cię!

Brennan wziął głęboki oddech, nie zwalniając kroku. Żadna kość się nie złamała, ale całe plecy najpewniej miał posiniaczone. Nie mógł jednak tracić czasu na uzalanie się nad sobą. Za chwilę zjawią się gliny, by zbadać przyczynę zamieszania. Wbiegł na górę i wypadł na dach, rozważając w myślach opowieść Kuriozum. Poczwarzka mogła wymuszać od innych informacje albo przysługi. To był element gry, którą uwielbiała. Nigdy jednak nie szantażowała by nikogo dla pieniędzy. Wiedział, że nie byłaby do tego zdolna.

Dlaczego Kuriozum kłamało? I czego właściwie szukało, czy może raczej szukali, w szafie w sypialni Poczwarzki?

9:00

– Macie tu reportera, który się nazywa Thomas Downs – zaczął Jay. Szykowna laleczka siedząca w portierni popatrzyła na niego z powątpiewaniem. Wyglądała na specjalnie wyhodowaną z myślą o zasiadaniu za nowoczesnym biurkiem z chromu i szkła. Biura magazynu „Aces!” były bardziej luksusowe, niż przewidywał Jay. Gdyby wiedział, że redakcja zajmuje całe dwa piętra na Piątej Alei pod numerem 666, mógłby się zatrzymać przed tym pucybutem w metrze. Najwyraźniej na plotkach o życiu miłosnym Sokolicy można było nieźle zarobić.

– Dzisiaj Kopacz nie przyjdzie – oznajmiła kobieta. Na ścianie za jej plecami widniało logo czasopisma wypalone przez Skaczącego Ognika w płycie z chromowanej stali. W sali nie brakowało też innych przedmiotów zmodyfikowanych przez sławnych asów – chromowana popielniczka stała się dziwaczną, fioletową szklanką, stalowym prętom nadano nowe, wymyślne kształty, a małe perpetuum mobile furkotało

radośnie już od czterech lat. Wszystkie te wyczyny upamiętniono małymi mosiężnymi plakietkami.

– Gdzie mogę go znaleźć? – zapytał Jay. – To ważne.

– Przykro mi, ale nie udzielamy tego typu informacji – odparła dziewczyna.

– A czy jest tu ktoś, z kim mógłbym pogadać?

– Musi się pan umówić na spotkanie.

– Jestem asem – oznajmił detektyw.

Dziewczyna próbowała ukryć uśmiech, ale bez powodzenia.

– No jasne.

Jay rozejrzał się po sali, złożył palce na kształt pistoletu i wskazał na długą, obitą skórą sofę z chromowanego metalu. Mebel zniknął z trzaskiem. Detektyw pomyślał, że i tak potrzebował nowej kanapy.

– Czy dostanę plakietkę? – zapytał dziewczynę.

– Może pan Lowboy zdoła panu pomóc – odpowiedziała, unosząc słuchawkę.

Piętro, na którym znajdowała się redakcja, podzielono na mnóstwo maleńkich pokoiików, tworzących prawdziwy labirynt. Większe prywatne gabinety, z prawdziwymi ścianami i drzwiami, usytuowano wzdłuż zewnętrznej ściany budynku, pozostawiając w centrum wielką, pozbawioną okien przestrzeń. Było mnóstwo radosnych kolorów i doniczkowych roślin, a żwawa muzyczka dodawała animuszu dobrze ubranemu personelowi trudzącemu się przy komputerowych terminalach. Wszędzie było bardzo czysto i porządkie. Jay poczuł głęboki wstręt.

W narożnym gabinecie pana Lowboya nie było terminalu, radosnych kolorów ani muzyczki. Tylko mnóstwo drewna i skóry oraz dwa wielkie okna z barwionymi szybami, wychodzące na panoramę Manhattanu. Pan Lowboy był chwilowo nieobecny, więc Jay zaczął krążyć po pokoju, oglądając oprawione w ramki fotografie wiszące na ścianach. Gdy przyglądał się wyblakłemu, czarno-białemu zdjęciu, na którym Śmig ścisnął dłonie jakiegoś wysuszonemu człowieczkowi o wyglądzie anemicznego gnoma, lokator gabinetu wreszcie się zjawił.

- To mój dziadek - wyjaśnił. - On i Śmig byli bliskimi kumplami.

Skrzyżował drugie i trzecie palce, by zademonstrować tę bliskość. Był może z pięć centymetrów niższy od Jaya. Miał na sobie biały trzyczęściowy garnitur, pastelową koszulę i czarny szydełkowy krawat.

- Dlaczego wręcza Śmigowi czek? - zainteresował się Jay.

- Och, prawdę mówiąc, ciągle pożyczał chłopakowi forszę. Śmig nigdy nie radził sobie z finansami. Podobnie jak wielu współczesnych asów. - Wyciągnął rękę. - Jestem Bob Lowboy. Jak rozumiem, szuka pan Kopacza. Obawiam się, że nie możemy panu pomóc - ciągnął, nie czekając na odpowiedź, gdy uścisnęli sobie dłonie. - To z pewnością znakomity reporter, ale raczej nie zalicza się do solidnych pracowników. Ulotnił się wczoraj podczas przerwy na kawę i od tego czasu go nie widzieliśmy.

- Nie niepokoi się pan o niego?

- Nie ma powodu - zapewnił Lowboy. - To już mu się zdarzało. Ostatnio zjawił się po tygodniu z newsami o nieślubnym dziecku Wyjca. Trafił z tym na okładkę.

- Nie wątpię w to - stwierdził detektyw.

- Jeśli zostawi pan wizytówkę u mojej asystentki, dopilnujemy, żeby Kopacz ją otrzymał - obiecał Lowboy.

Jay zostawił wizytówkę asystentce i poinformował ją, że sam znajdzie drogę do wyjścia. Błądząc po labiryncie, usłyszał kobiecy głos:

- Panie Ackroyd?

Była młoda, mogła mieć dwadzieścia parę lat. Miała na sobie białą koszulę z rozpiętym kołnierzykiem, dżinsy i szarą kamizelkę w paski. Włosy obciąła krótko, a jej twarz zdobiły okrągłe druciane okulary.

- Mandy opowiedziała wszystkim o kanapie - wyznała. - Pan jest Rzutnikiem.

Wyciągnęła nieśmiało rękę. Paznokcie miała obgryzione do żywego mięsa.

- Nie znoszę tego przezwiska.

Zrobiła zawstydzoną minę.

- Boże, to prawda. Wspominają o tym w pana kartotece. Przepraszam,

zapomniałam. Mam nadzieję, że nie czuje się pan urażony. Jestem Judy Scheffel. Czasami mówią na mnie Awaria.

– Awaria? – powtórzył z niedowierzaniem detektyw.

– Niech pan nie pyta. Jestem asystentką Kopacza. – Wyjęła klucz z kieszeni kamizelki. – Klucz do gabinetu Kopacza – wyjaśniła. – Chodźmy.

Downs mógł być tylko reporterem, ale najwyraźniej w „Aces!” ceniono jego usługi. Jego gabinet był trzy razy mniejszy od zajmowanego przez Lowboya, niemniej był to prawdziwy gabinet. Miał ściany, zamykane na klucz drzwi, a nawet wąskie okno. Regały na zachodniej ścianie były wypełnione ponad granice wytrzymałości. Detektyw miał wrażenie, że książki mogą w każdej chwili posypać się kaskadą na podłogę. W kącie przy oknie stała stacja robocza, obok wisiała tablica ogłoszeniowa pełna zdjęć ludzi, których Jay nie znał.

– Czyje to fotki? – zapytał.

Awaria ostrożnie zamknęła za sobą drzwi.

– Asów, którzy nadal są w rękawie – wyjaśniła. – Z myślą o przyszłym wykorzystaniu. Zdziwiłby się pan, ile razy Kopacz pierwszy wykrył nowego asa. Nikt inny nawet się nie zbliża do jego wyniku.

– Jeśli jeszcze się nie ujawnili, to skąd wie, że są asami? – zapytał detektyw, przyglądając się zdjęciom.

– Myślę, że ma źródło w klinice w Dżokerowie. Kogoś, kto informuje go, gdy tylko wykryją nowego asa. – Awaria odsunęła na bok trochę papierów i przysiadła na skraju biurka. – Kopacz ma kłopoty, prawda?

– Niech pani mi powie – odparł Jay.

– Ma kłopoty – potwierdziła. – Zawsze był trochę nerwowy, ale wczoraj sprawiał wrażenie przerażonego.

– Proszę mi o tym powiedzieć. Jay zdjął z obrotowego krzesła pudełko z kalendarzami z Sokolicą i usiadł.

– Wczoraj rano pracowaliśmy nad artykułem o konwencji. Profile delegatów, którzy są asami. Kopacz włączył maleńkiego watchmana, na wypadek gdyby w Atlancie coś się wydarzyło. Kiedy podano wiadomości o Poczwarce, zrobił się biały jak kreda.

- Byli ze sobą blisko – zauważył Jay. – Mogli być kochankami.

- To nie była tylko żałoba – sprzeciwiła się Awaria. – To był strach. Kopacz był przerażony. Powiedział, że musi iść. Zapytałam, kiedy wróci, ale chyba w ogóle mnie nie usłyszał. Wręcz wybiegł z gabinetu. Mandy powiedziała mi, że nawet nie zaczekał na windę, tylko popędził schodami w dół.

Jay musiał przyznać, że tak raczej nie zachowuje się ktoś, kto wyrusza na poszukiwanie newsów. Kopacz bał się o życie.

- Czy kiedyś pisał o tym zabójcy z łukiem?

- Nie. „Aces!” nie publikują zbyt wiele kryminalnych kawałków.

- A czy wspominał, że Poczwaraka kogoś się boi?

Dziewczyna potrząsnęła głową.

- Niektóre z jego artykułów z pewnością wkurzyły parę osób. Czy jest ktoś, komu szczególnie załazł za skórę?

- Sokolica – odpowiedziała bez chwili namysłu Awaria. – Ona i doktor Tachion są na niego źli za ten artykuł, który napisał podczas podróży dookoła świata. Ale on tylko powtórzył to, co powiedział mu Takizjanin.

Tachion był jednym z może sześciu facetów, których Jay zapewne mógłby pokonać na rękę. W przypadku Soko nie był tego taki pewien, ale oboje i tak przebywali w Atlancie.

- Jest pani pewna, że nigdy nie zadarł z Yeomanem? – zapytał.

Skinęła głową.

- A co z Kuriozum? – dodał.

Dziewczyna zastanawiała się nad tym przez chwilę.

- Napisał o nim kawałek przed wielu laty, kiedy dopiero zaczynał tu pracować. Kiedyś mi go pokazał. Był świetnie przygotowany. Kopacz mówił, że mógłby za niego dostać Pulitzera, ale Lowboy go odrzucił.

- A dlaczego?

- To było przed moimi czasami, pewnie dlatego, że Kuriozum jest dzokerem – odpowiedziała dziewczyna z zawstydzoną miną. – Lowboy zawsze powtarza, że naszych czytelników nie interesują dzokerzy.

- Czy Kuriozum było niezadowolone, że tego artykułu nie puszczono?

– Nie tak bardzo jak Kopacz.

Jay zmarszczył brwi.

– Domyśla się pani, gdzie mógł się podziać?

Awaria potrząsnęła głową.

– Wiem tylko, że nie ma go w domu. Dzwoniłam do niego chyba z sześć razy, ale zawsze włączała się automatyczna sekretarka.

– To tylko znaczy, że nie odbiera telefonów. Może chowa się pod łóżkiem. – A może nie żyje, pomyślał Jay. Może leży na podłodze w kałuży własnej krwi, a mózg wyciekł mu na dywan. Nie powiedział jednak tego na głos. – Lepiej to sprawdzę. – Popatrzył z namysłem na dziewczynę. – Wspominała pani o moich aktach.

– Jasne – potwierdziła. – Zbieramy dane o wszystkich asach.

Jay położył dłoń na komputerze.

– A czy mogłaby pani do nich dotrzeć przez tę maszynę?

– Jeśli ktoś zna hasło, może się zalogować do biblioteki z każdej stacji roboczej – odpowiedziała. – Ale mogą mnie wywalić, jeśli udostępnię komuś nasze pliki bez upoważnienia.

– Nie ma sprawy – uspokoił ją Jay. – Jestem pewien, że Kopacz to zrozumie. O ile jeszcze żyje.

Dziewczyna gapiała się na niego przez chwilę, po czym wstała i zdjęła płachtę nakrywającą komputer. Detektyw patrzył jej przez ramię. Włączyła maszynę i wpisała hasło Kopacza.

– Nos? – zdziwił się Jay.

Awaria wzruszyła ramionami.

– To jego hasło, nie moje. Który plik chciałby pan obejrzeć?

– Poczwarkę zabił ktoś nadludzko silny. Idę o zakład, że Kopacz ukrywa się przed tym samym facetem. Chciałbym się dowiedzieć, kto to może być.

– Mogę przywołać całą listę asów dysponujących taką mocą, ale będzie okropnie długa. Zwiększona siła fizyczna to trzecia na liście najpospolitszych mocy dzikiej karty, po telepatii i telekinezie.

– Niech pani to zrobi – powiedział detektyw.

Poruszyła wprawnie palcami po klawiaturze.

- To mają być tylko asowie czy dzokerzy też?
- Myślałem, że „Aces!” nie piszą o dzokerach.
- Nie piszą, ale nasza biblioteka korzysta ze wszystkich dostępnych źródeł. Raportów SKAZA, prac naukowych, wycinków z prasy codziennej. Nasz dział zbierania informacji jest bardzo efektywny.
- Jeśli coś jest wystarczająco silne, by rozwalić ludzką czaszkę, nie obchodzi mnie, czy to as, dzoker czy brukiew.
- Danych o brukwi jeszcze nie zgromadziliśmy – odpowiedziała, wpisując serię poleceń. Minęła okropnie długa chwila, nim komputer wreszcie zakończył wyszukiwanie.
- Trzysta dziewiętnaście pozycji – przeczytała radosnym tonem Awaria. – Spodziewałam się, że będzie ich więcej. To wszystkie znane nam osoby, które kiedykolwiek zademonstrowały, że posiadają siłę większą od ludzkiej. Mam wydrukować tę listę?
- Trzystu dziewiętnastu podejrzanych? To byłoby trochę kłopotliwe – przyznał detektyw. – Czy da się to jakoś zawęzić?
- Jasne – potwierdziła. – Wprowadzimy kilka dodatkowych parametrów. Na przykład niektórzy z tych ludzi nie żyją. Możemy ich wyeliminować.
- Z nieboszczyków są kiepscy podejrzani – zgodził się Jay. Awaria wpisała kolejne polecenie.
- Trzystu dwóch – oznajmiła. – To nie dało nam wiele. Czy mam ograniczyć listę do mieszkańców miasta?
- As zastanawiał się nad tym przez chwilę.
- Nie – odparł wreszcie, choć z oporami.
- Dlaczego? – zapytała dziewczyna. – W ten sposób moglibyśmy skrócić listę o siedemdziesiąt, może nawet osiemdziesiąt pozycji... Są na niej asowie z całego kraju. Stal z Detroit, Wielka Mama z Chicago, Cep z Kansas City. Chyba nie sądzi pan, że to było któreś z nich?
- Nie sądzę – przyznał Jay. – Podejrzewam, że to był ktoś, kto znał Poczwarękę. Mordercy z reguły znają swe ofiary. Kłopot w tym, że wśród jej znajomych byli też ludzie spoza miasta. Na przykład Billy Ray i Jack Braun.

– To nie mógł być Złoty Chłopiec – sprzeciwiła się Awaria. – On przebywa w Atlancie. Poza tym Kopacz zawsze mówił, że to żalosny fiut.

– Najwyraźniej sama wzmianka o Braunie pozbawiała go zdolności prawidłowej oceny sytuacji. – Jay położył dłoń na jej ramieniu. Nie sprzeciwiła się. – A czy można by wprowadzić kilka parametrów jednocześnie?

– Nie ma sprawy – potwierdziła.

– Znakomicie – ucieszył się. – Chcę zobaczyć wszystkich, którzy byli karani albo leczyli się psychiatrycznie. Cholera, chcę zobaczyć wszystkich, których kiedykolwiek aresztowano, nawet jeśli nie zostali skazani, i wszystkich, którzy mieli kontakty z Poczwardką albo z Kryształowym Pałacem. Wszystkich, którzy mieszkają w Dżokerowie. Albo w okolicach Dżokerowa. Lower East Side, Małe Włochy, Chińska Dzielnica, East Village i tak dalej. Da pani radę to zrobić?

– Myślę, że tak – odpowiedziała.

Jay uściśnął ramię dziewczyny i zaczął przyglądać się jej pracy. Kiedy skończyła, oparła się wygodnie na krześle i przeciągnęła.

– No to jazda – powiedziała i nacisnęła enter.

Komputer rozpoczął wyszukiwanie.

– Sprawdza wszystkich trzystu dwóch kandydatów, nazwisko po nazwisku, porównując wszystkie kryteria z bazami danych – wyjaśniła Awaria. – Podał mi pan cztery parametry. Aresztowania, leczenie psychiatryczne, związki z Poczwardką, geografia. Poleciłam komputerowi umieścić przy każdym nazwisku gwiazdki oznaczające liczbę trafień.

– Bardzo dobrze – pochwalił ją Jay, który na to nie wpadł.

Chwycił papier, gdy tylko ten wysunął się z laserowej drukarki, jeszcze ciepły w dotyku. Ostało się dziewiętnastu podejrzanych:

braun, jack złoty chłopiec *

crenson, croyd Śpioch ****

darlingfoot, john john diabeł ***

demarco, ernest ernie jaszczurka **

doe, John klucha ***

jones, mordecai młot harlemu **

lockwood, william gil ****
modułowy nie dotyczy *
morkle, doug nie dotyczy **
mueller, howard troll ***
o'reilly, radha dziewczyna-słoń *
ray, william carnifex *
schaeffer, elmo nie dotyczy ***
seivers, robert maczuga ***
nn czarny cień **
nn kuriozum **
nn gwiazdny blask *
nn quasiczłowiek ***
nn żmij ****

– I jak to wygląda? – zapytała Awaria.

– Zawsze to jakiś początek. – Pokazał jej listę. – Czy któryś z tych ludzi kiedykolwiek groził, że spuści łomot Kopaczowi?

Przyjrzała się uważnie nazwiskom.

– Hmm – mruknęła. – Billy Ray kiedyś zdrowo się na niego wkurzył. Kopacz napisał kawałek o najsilniejszych ludziach na świecie i stwierdził w nim, że Billy Ray nie może się równać ze Złotym Chłopcem i Młotem Harlemu. Ray wziął to do siebie. – Wyłączyła komputer. – Ale on też jest w Atlancie, prawda?

– Lepiej, żeby tam był – odparł Jay. – Jest ochroniarzem senatora Hartmanna. – Złożył listę i schował ją do kieszeni na piersi. – Jeszcze dwa drobiazgi. Adres Kopacza. – Uśmiechnął się. – I numer pani telefonu.

No cóż, pomyślał potem. Jedno trafienie na dwie próby to nie tak źle.



Brennana obudził brzęk telefonu stojącego na stoliku nocnym przy hotelowym łóżku. Mężczyzna usiadł na twardym, zapadającym się materacu i skrzywił się, gdy ból przeszył jego zeszytniały bark oraz

plecy w miejscu, gdzie poprzedniego dnia Kuriozum walnęło nim o ścianę.

– Słucham.

– Dzień dobry, panie Y. – To był Trójnóg. – Odkryłem kogoś, z kim być może chciałby pan porozmawiać. Nazywa się Maczuga.

– Masz rację – zgodził się z przygnębieniem Brennan. – Gdzie mogę cię znaleźć?

– W Barze Rybnym Wuja Małża – odpowiedział dzoker.

– W porządku.

Yeoman odłożył słuchawkę. Jeszcze przez chwilę siedział na skraju łóżka. Nadal był zmęczony i obolały po łomocie, jaki dostał wczoraj. Co gorsza, tęsknił za Jennifer bardziej niż za kimkolwiek w życiu. Nasunęła mu się myśl, że z biegiem lat utracił już zbyt wielu przyjaciół i kochanek, a teraz zrobił się za stary, by znosić to dalej.

Wstał ostrożnie i rozprostował obolałe plecy oraz ramiona.

Do diabła z tym, powiedział sobie. Nigdy dotąd nie dał za wygraną. Nie zamierzał teraz zaczynać. Potrzebował odpoczynku, ale nie miał na to czasu. Potrzebował coś zjeść, ale to załatwi bez trudu. Nade wszystko potrzebował Jennifer, jednak w tej sprawie nic nie mógł zrobić.

Ubierając się, postanowił, że zostawi łuk w pokoju. Z takim bólem barku i tak nie byłby w stanie naciągnąć go jak trzeba. Drugą broń, browninga, stracił wczoraj podczas starcia z Kuriozum.

Rewelacja, pomyślał. Po prostu rewelacja. Będzie musiał stawić czoło Maczudze z gołymi rękami. Świetny początek dnia.

Trójnóg opierał się o ścianę budynku, którego brudna, ceglana fasada rozpaczliwie domagała się piaskowania. Migający neon reklamował mieszczący się na parterze lokal – Bar Rybny Wuja Małża. Mięczak w cylindrze, z laseczką i różowym neonowym uśmiechem tańczył trzepocząco na cienkich jak patyki nóżkach. Parkan z zardzewiałych żelaznych prętów oddzielał od ulicy prowadzące do piwnicy schody. Na przyśrubowanym do płotu, poobtłukiwanym szyldzie namalowano wskazującą na dół rękę o sześciu palcach – niezawodny znak, że znajdują się w Dżokerowie.

– Piwnica Pluskacza – przeczytał Brennan. – Czarujące. – Spojrzał na Trójnoga. – Jesteś pewien, że Maczuga nadal tu siedzi?

– Obserwowałem wyjście – odpowiedział dzoker. – Nie wychodził.

Brennan skinął głową, wyjął z kieszeni dzinsów plik banknotów i wręczył Trójnogowi dwie dwudziestki.

– U Pluskacza raczej nie lubią natoli – poinformował go dzoker.

– Dziękuję za ostrzeżenie – odparł Yeoman, uśmiechając się pod maską.

W lokalu roiło się już od dzokerów, którzy czuli się zmuszeni spożyć śniadanie w płynnej postaci. Cuchnęło tu rzadko mytymi ciałami, rozlanym piwem i niezbyt starannie sprzątanymi wymiocinami.

W pomieszczeniu panował półmrok, ale Brennan zauważył, że wszyscy goście zwracają ku niemu głowy. Rozmowy milkły, kiedy się zbliżał, i rozlegały na nowo, gdy się oddalał. Trójnóg miał rację. To był lokal tylko dla dzokerów i nikt nie miał ochoty zmieniać tego stanu rzeczy.

Nad barem, obok zastawionych butelkami półek, znajdowało się największe akwarium, jakie Yeoman w życiu widział. Coś unoszącego się w mrocznej, mętnej wodzie podpłynęło nagle do przedniej szyby i wystawiło głowę nad powierzchnię, tryskając wodą z otworu na szczycie czaszki. Stworzenie obrzuciło Brennana zimnym spojrzeniem niemrugających oczu.

– Rzadko widujemy tu takich jak pan – stwierdził wreszcie dzoker. Miał upiornie wyglądającą twarz, okrągłą, bezwłosą głowę i rybie usta wypełnione kilkoma szeregami ostrych zębów. – To znaczy natoli. Jest pan natołem, prawda?

– Mam interes do jednego z waszych klientów.

– A co to za interes?

– Nie pański.

Brennan usłyszał, że dzokerzy siedzący przy barze zaczęli coś mamrotać do siebie.

– To jest mój lokal – oznajmił Pluskacz. – Wszystko, co się tu dzieje, to mój interes.

Zajrzał do wody, wyciągnął długą, bezkostną rękę i złapał w nią coś.

Brennan zdążył zobaczyć błysk pomarańczowych łusek, nim Pluskacz wrzucił sobie rybkę do ust, poruszył dwa razy szczękami i przełknął. Potem znowu spojrzął na gościa.

Yeoman wyjął z tylnej kieszeni spodni asa pik i pokazał kartę dzokerowi.

Pluskacz przymrużył powieki, a następnie znowu wyciągnął rękę zakończoną pękiem ruchliwych macek i ujął w nie kartę. Przysunął ją sobie do twarzy, przeniósł spojrzenie z niej na Brennana i bezgłośnie wrócił pod wodę.

Yeoman zwrócił się w stronę sali. Wszyscy nagle bardzo zainteresowali się trunkami. Wypatrzył Maczugę, który siedział samotnie przy stoliku w odległym, mrocznym kącie.

Natychmiast poznał dzokera. Widział go tylko raz, prawie dwa lata temu, podczas szalonej, chaotycznej bijatyki na Times Square, ale twarz Maczugi nie zaliczała się do tych, które łatwo zapomnieć.

Miał dobrze ponad dwa metry wzrostu i krostowatą, naznaczoną bliznami gębę, a jego prawa ręka była wypaczoną pałką złożoną z mięśni i kości. Od czasu ich poprzedniego spotkania schudł tak bardzo, że brudne ubranie wisiało na nim jak na wieszaku. Skórę pokrywały mu czerwone plamy, a włosy miał długie i przetłuszczone. Siedział sam i wpatrywał się w pustkę, mamrocząc coś do siebie. Białka jego oczu przybrały żółty kolor, poprzeshywany czerwonymi żyłkami. Brennan gapił się na niego, nie wiedząc, czy czuć litość, czy obrzydzenie.

– Czego, kurwa, chcesz? – warknął po chwili Maczuga.

– Ludzie mówią, że to ty zabiłeś Poczwarkę – odpowiedział cicho Yeoman.

W niezdrowych oczach dzokera pojawił się błysk ekscytacji.

– Aha – mruknął. – To byłem ja. Załatwiłem tę jebaną dziwkę. Postaw mi kolejkę, a opowiem ci, jak to zrobiłem.

– Najpierw mi opowiedz.

Dzoker uniósł maczugowatą prawą kończynę.

– Własną ręką rozbiłem jebanej kurwie czaszkę. To zawsze mi wystarczało. Nigdy nie potrzebowałem pierdolonego pistoletu, nigdy

nie potrzebowałem cholernego noża. Wystarczyła mi ręka.

Brennan wykrzywił twarz w grymasie odrazy. W jego oczach rozbłysła pogarda. Jednakże pijany dzoker niczego nie zauważył.

– Gdzie? – zapytał cicho Yeoman.

– Co gdzie?

– Gdzie ją zabiłeś?

– W tym jej zasranym barze, brachu – wymamrotał dzoker. – Cisnąłem nią o bar, wsadziłem w nią kutasa i ruchałem tak długo, aż odwaliła kitę. – Ryknął śmiechem. – A potem rozwaliłem jej pierdoloną głowę tylko po to, by się upewnić, że nie żyje. Tylko po to.

– Ty bydlaku – wysyczał Brennan przez zaciśnięte zęby. – Ty zasrany bydlaku. Zabiłbym cię na miejscu, gdybym nie był pewien, że kłamiesz.

Maczuga zamrugął. Jego świńskie oczka wpatrywały się w Yeomana bez zrozumienia. Gdy słowa tamtego wreszcie dotarły do jego zmaconego umysłu, wstał i wyrzucił stek przekleństw. Pchnął stolik w stronę Brennana, który jednak usunął się swobodnie na bok, i mebel zadrapał tylko podłogę.

Dzoker ryknął i zamachnął się tępo zakończoną kończyną. Yeoman uchylił się przed powolnym ciosem, złapał Maczugę za nadgarstek i bark, a następnie cisnął nim o bar. Goście uciekali na wszystkie strony.

Gdy Brennan złapał na krzesło, zaniepokojony Pluskacz wyłonił się z wody.

– Mój zbiornik! – zawołał. – Nie potłuczcie szkła!

Leżący pod barem Maczuga dyszał ciężko, spoglądając na przeciwnika z bólem i strachem w oczach. Brennan zdzielił go krzesłem w brzuch. Dzoker usiłował złapać oddech jak wyjęta z wody ryba. Yeoman uderzył go ponownie, tym razem w bok. Maczuga spróbował wstać, ale osłabione mięśnie odmówiły mu posłuszeństwa. Westchnął i poruszył słabo rękami, jakby próbował pływać. Na ustach pojawiła mu się krwawa piana.

Yeoman powstrzymał trzeci cios, uświadamiając sobie, że jego przeciwnik ma dość. Upuścił krzesło. Metalowe rurki oparcia i nóg wykrzywiły się na kształt wymyślnej abstrakcyjnej rzeźby.

– Nie zabiłeś jej – rzekł cicho. – Dlaczego mówisz, że to zrobiłeś?

– Kurwa, potrzebuję roboty – wydyszał Maczuga. – Nikt nie chce mieć ze mną do czynienia. Nikt nie chce mi dać pierdolonej szansy. Pomyślałem sobie... pomyślałem sobie, że Znikacz albo ktoś z Pięści może mi dać szansę, kurwa, tylko szansę...

– Ty żałosny, kłamliwy zdrańcu – mruknął pod nosem Brennan. Od początku wiedział, że nie rozwiąże sprawy tak łatwo. Częściowo z frustracji, a częściowo dlatego, że chciał, by zabójca wiedział, kto jest na jego tropie, zwrócił się ku gościom lokalu i oznajmił:

– Byłem przyjacielem Poczwardki i znajdę jej zabójcę. Możecie być tego pewni.

Upuścił na leżącego Maczugę asa pik i ruszył w stronę wyjścia. Nim zdążył opuścić bar, jeden ze śmielszych klientów zaczął już ściągać z pobitego skórzaną kurtkę. Gdy Maczuga zaczął się sprzeciwiać smętnym, płaczącym głosem, dostał po głbie.

11:00

Kopacz mieszkał w czteropiętrowej, niemającej windy kamienicy na Horatio Street w West Village. Na boisku po drugiej stronie ulicy grupa nastolatków grała w koszykówkę, jedna drużyna w koszulkach, a druga bez. Jay zatrzymał się, by popatrzeć na nich przez parę minut. Były wśród nich dwie dziewczyny, ale, niestety, obie nosiły koszulki.

Na ganku budynku siedział potężnie zbudowany mężczyzna z ogoloną głową, pijący z puszki piwo Rheingold. Gdy Jay ruszył ku drzwiom, mężczyzna wstał i zagroził mu drogę.

– Masz tu jakiś interes?

Był jakieś osiem centymetrów wyższy od Jaya i pewnie ze dwadzieścia kilo cięższy, a do tego na prawym ramieniu miał wytatuowanego orła, a w jednym uchu nosił złote kółko.

– Szukam Kopacza Downsa – poinformował go detektyw.

– Nie ma go w domu.

– Dziękuję bardzo, sam to sprawdzę.

– Nie ma chuja. Już dosyć świrów przychodziło tu pogapić się za darmo.

Jayowi to się nie spodobało.

– Mieliście tu kłopoty?

Mężczyzna zmiądzzył puszkę w dłoni.

– Ty zaraz możesz mieć jeszcze większe.

Jay przez chwilę bawił się myślą o przerzuceniu skurczybyka na jakąś opuszczoną stację metra, ale postanowił, że najpierw spróbuje po dobroci.

– Chcę się dowiedzieć, co się tu wydarzyło – oznajmił. – I pan Jackson też.

– Nie znam żadnego pana Jacksona – odpowiedział mężczyzna – ale jeśli dasz dziesiątaka, możesz wejść i się pogapić.

Jay pomyślał, że nikt już nie potrafi docenić dobrego żartu, ale z drugiej strony właśnie oszczędził dziesięć dolarów, więc nie miał powodu się skarżyć. Włożył dziesięciodolarowy banknot w wielkie, stwardniałe łapsko mężczyzny.

– Chodźmy – rzekł mu tamten. – Nie mam zamiaru zmarnować całego dnia.

Weszli do środka. Sień była mała i ciemna, nad skrzynkami na listy zamontowano dzwonki. Gdy mężczyzna szukał klucza, Jay odnalazł nazwisko Downsa i nacisnął dzwonek. Nikt mu nie odpowiedział.

– Naprawdę szukasz Kopacza? – Jego przewodnik chrząknął, otwierając wewnętrzne drzwi. – Już ci mówiłem, że go nie ma. – Gdy znaleźli się za drzwiami, mężczyzna wskazał na schody. – Jeśli chcesz zobaczyć ślady krwi, są na trzecim i czwartym piętrze. Cały dzień nic tylko latam w górę i w dół. Mam już po dziurki w nosie tych kurewskich schodów.

– Powiesz mi, co tu się wydarzyło, czy będziemy musieli grać w dwadzieścia pytań?

– Kurwa, myślałem, że całe miasto już o tym wie. Wczoraj roiło się tu od glin. Trzeba czytać gazety, kolego. Podwójne morderstwo.

– Niech to szlag. – Jay poczuł nagły ucisk w żołądku. To była wisienka na torcie, ale jej smak okazał się wyjątkowo nieprzyjemny. – Downs?

– Nie. To była pani Rosenstein, która mieszkała naprzeciwko Kopacza.

I Jonesy, dozorca.

– Niech zgadnę – odezwał się Jay. – Zatluczono ich na śmierć.

– Kurwa, nie.

Upłynęło wiele czasu, odkąd Jay Ackroyd ostatnio poczuł się tak zaskoczony.

– Nie? – zapytał.

– Nie. Oboje pokrajał na plasterki jakiś świr z piłą mechaniczną. To ja znalazłem ciała. Boże, szkoda, że tego nie widziałeś. Urwałem się wczoraj wcześniej z roboty, bo miałem cholernego kaca, a kiedy wróciłem do domu, zastałem pod drzwiami ten syf. Mieszkam na drugim piętrze. Kurwa, omal w to nie wdepnąłem. Wszędzie było pełno krwi, jak na śmietniku za sklepem rzeźnika. No wiesz, kawały mięsa, których nikt nie kupił. Trąciłem jeden ochłap nogą i zobaczyłem, że ma oko. Wiesz, co to było? – Pochylił się bliżej i Jay poczuł odór piwa w jego oddechu. – Gęba Jonesy'ego! Nie cała, tylko połowa. Na pewno spadła po schodach z góry. Reszta leżała na pomoście trzeciego piętra. Nie mam pojęcia, jak zdołał dotrzeć tak daleko. Kurwa, cały brzuch miał rozpruty, a flaki wypłynęły mu na wycieraczkę tego pedała Coopera. Ręce miał całe upaprane, bo starał się je wepchnąć z powrotem do środka, ale jedno, jak je tam zwał, jelito, ciągnęło się za nim aż na czwarte piętro. Tam właśnie znalazłem panią Rosenstein. Założę się, że nie wiedziałeś, że jelita są takie długie, co? – Wzruszył ramionami. – Gliny zabrały ciała, ale na cholernych ścianach nadal jest pełno krwi. Pierdolony właściciel będzie się musiał wykosztować na nowe tapety. Założę się, że zajmie mu to pół roku.

– A co z Downsem? – zapytał Jay.

– Kurwa, nie wiem. Nie było go w domu. Gliny sprawdziły jego drzwi, ale były zamknięte. Polazł gdzieś szukać materiałów dla tej swojej kurewskiej gazety. Wkurzy się, kiedy się dowie, co go ominęło. Kupa śmiechu.

– Zabawne jak cholera – zgodził się Jay, który nie sądził, by Kopacz się wkurzył. – Hej, byłeś kiedyś w miejskim więzieniu w Newark?
– Kurwa, nie – odparł mężczyzna z zasępioną miną.
– To świetnie – ucieszył się Jay. – Ja kiedyś spędziłem tam noc. To naprawdę syfiaste miejsce.

Unióśł złożone palce. Powietrze wypełniło opróżnioną nagle przestrzeń z dźwiękiem przypominającym czkawkę i Jay został sam w korytarzu. Ruszył z uśmiechem w górę schodów. To była bezsensowna złośliwość. Jeśli nadal będzie tak robił, ktoś go w końcu zaskarzy. Czasami jednak sprawiało mu to autentyczną przyjemność.

Zauważył czerwonobrazowe plamy na pomoście oraz kropelki krwi na drewnianej poręczy między drugim a trzecim piętrem, ale poważniejsze ślady zaczęły się dopiero na górze. Na wyblakłej tapecie w dwóch miejscach pozostały długie smugi. Dozorca z pewnością ocierał się o nią, gdy próbował uciekać, okaleczony i krwawiący, podtrzymując wewnętrzności rękami.

Wyglądało to paskudnie, ale na pomoście czwartego piętra było znacznie gorzej. Na ścianach pozostały wyschnięte brązowe plamy, tam gdzie uderzyły o nią ciała albo ich fragmenty. Dywan nasiąkł krwią tak bardzo, że w niektórych miejscach zrobił się wręcz czarny. Wszędzie było widać pozostałości krwawej mgiełki. Ściany wyglądały jak zarażone odrą. Nad głową Jay miał klapę prowadzącą na dach. Nawet na nią padło kilka kropelek.

Detektyw rozejrzał się wkoło, próbując pogodzić to, co widział, z tym, co zobaczył wczoraj w Kryształowym Pałacu. Nic się nie zgadzało. Głęb, którego spotkał na dole, mówił, że to była piła mechaniczna. Z pewnością na to wyglądało. Nowojorska masakra piłą łańcuchową. Gazety z pewnością miały używanie. W porównaniu z tym Poczwarcka straciła bardzo niewiele krwi. Kilka kropli na bluzce, trochę plam u podstawy ścian, ale nic w tym rodzaju.

Rozważył teorię, że wszystko to zbieg okoliczności, że ta drobna masakra nie ma nic wspólnego z tym, co spotkało Poczwarkę. Instynkt zapewniał go jednak, że to nonsens. Co tu było grane, do licha?

Zniesmaczony zwrócił się ku drzwiom Kopacza. Rzeczywiście były zamknięte. Z zatraskiem sprężynowym bez trudu poradził sobie za pomocą karty kredytowej, ale był tu też rygiel. Potrzebował wytrychu i dobrych dziesięciu minut pracy. Miał zręczne, wprawne ręce i sporą kolekcję wytrychów, ale to był solidny zamek. Wreszcie usłyszał trzask otwierającej się zasuw. Wchodząc do środka, zauważył, że przy drzwiach jest też łańcuch, ale go nie użyto. Podobnie jak górnego zamka. To znaczyło, że drzwi zamknięto od zewnątrz. Detektyw rozejrzał się wkoło.

– O kurwa.

Mieszkanie zdewastowano. Całkowicie i brutalnie.

Zaczął ostrożnie wędrować po małych, zagraconych pomieszczeniach. Wszystko porozrzucano, rozbito albo rozdeptano. W każdej chwili spodziewał się znaleźć ciało bądź jego pozostałości. Podłogę w salonie zasypała papierowa śnieżycą. Stary, gigantyczny telewizor Zenith zmieniono w szklane odłamki i drewno na podpałkę. Pod stopami Jaya chrzęściły resztki imponującej niegdyś kolekcji starych płyt długogrających. W sypialni łóżko rozwalono na drobne kawałeczki, pościel poszatkowano, z materaca wyrwano wyściółkę i rozrzucono ją na podłodze, a książki przecięto wzdłuż grzbietów. W kuchni pełno było zepsutego śmieciowego jedzenia. Po co bardziej dojrzałych kawałkach łąziły już karaluchy. Szafki roztrzaskano, a ich zawartość rozrzucono na wszystkie strony. Wielka, stara lodówka leżała przewrócona na linoleum. Jay pochylił się, by się jej przyjrzeć, i w grubych, metalowych drzwiach znalazł długą, wyszczerbioną szparę.

– Jezu Chryste – wyszeptał i wstał.

Wrócił do salonu i zauważył kraty w oknie. Sprawdził raz jeszcze całe mieszkanie. Wszystkie okna zabezpieczono grubymi, żelaznymi kratami, nawet w porcelanowych ruinach łazienki. Kraty wyglądały na nowe. Jay mógłby się założyć, że zainstalowano je przed niespełna rokiem. Najwyraźniej Kopacz dbał o swoje bezpieczeństwo w równym stopniu jak Poczwaraka. Ale to i tak na nic się zdało. Intruz dostał się do środka przez drzwi, tak samo jak Jay.

Chyba że przeszedł przez ścianę.

Detektyw rozejrzał się wkoło w poszukiwaniu asa pik. Nie spodziewał się jednak go znaleźć. Yeoman mógł być psychopata, ale zawsze zabijał ze spokojem i profesjonalizmem. To, co widział tutaj, podobnie jak jatka na korytarzu, wyglądało raczej na robotę jakiegoś wściekłego zwierzęcia. Z łatwością mógł sobie wyobrazić, że zabójca toczył pianę z ust, dewastując kolejne pokoje.

Raz jeszcze metodycznie przeszukał mieszkanie i zauważył notesy leżące na podłodze sypialni razem z najnowszymi biografiami celebrytów, kilkoma publikacjami encyklopedycznymi oraz kolekcją napisanych przez anonimowych autorów książek w papierowych oprawkach. Na ich okładkach widniały zamazane podobizny kobiet w wiktoriańskiej bieliźnie. Najwyżej co piąty notes pozostał nietknięty. Spod sterty luźnych kartek wystawał narożnik jednego kołnотatnika. Prosta tekturowa okładka przyciągnęła uwagę Jaya. Przeszukał stertę i znalazł jeszcze trzy notatniki, a także fragmenty czwartego. To były typowe reporterskie notesy, wypełnione pośpiesznym, ledwie czytelnym pismem. W jednym brakowało długiego, odciętego pod kątem kawałka, ale większość tekstu nadal dawało się przeczytać.

Każdy notatnik opatrzone datą. Jay usiadł ostrożnie na resztkach materaca Kopacza i otworzył najnowszy z nich. Ostatni artykuł, nad którym pracował Downs, nazywał się „Farma na Park Avenue” i opowiadał o ośmioletniej dziewczynce, której miniaturowa farma zajmowała całe piętro w domu jej ojca na Park Avenue. Na farmie były modele domów, namalowane rzeki, filcowa trawa, małe samochodziki i ciężarówki oraz elektryczna kolejka kursująca wokół całej posiadłości. Tylko zwierzęta były prawdziwe. Krowy długości dziesięciu centymetrów, maleńkie owczarki, prosięta wielkości karaluchów, wszystkie skurczone do tych rozmiarów przez małą, piegowatą farmerkę, która po prostu uwielbiała zwierzęta.

Jay nie sądził jednak, aby ośmioletnia Jessica von der Stadt była prawdopodobną podejrzaną. Przeszedł do starszych materiałów, poszukując jakichkolwiek wzmianek o Poczwarce, groźbach zabójstwa

i krwiożerczych maniakach z piłami mechanicznymi albo bez nich. Znalazł adres fotografa, który zrobił seksowne zdjęcia karmiącej piersią Sokolicy, biografie rządowych asów, którym zlecono ochronę kandydatów na prezydenta, przepis Hirama na ciasto z mango i czekoladą, cytaty do wykorzystania w notce o Panu Magnesie oraz wspomnienia Mistral z dnia, gdy tata nauczył ją latać.

Odrzucił z niesmakiem notatnik. Nagle opanowało go pragnienie, by uciec stąd jak najszybciej.



Brennan siedział w boksie w Kuchni Włochacza, upijając od czasu do czasu łyk herbaty i ignorując spojrzenia przechodzącej obok kelnerki, poirytowanej tym, że nie zamówił nic więcej. Otaczała go sterta gazet, które czytał w poszukiwaniu wieści o zabójstwie. Śmierć Poczwaraki zepchnięto już na dalsze strony. Musiała ustąpić miejsca politycznym szaleństwom w Atlancie, gdzie szykowała się wielka walka o umieszczenie w programie wyborczym kwestii praw dzokerów. Barnett zwoływał szeregi swych świętoszków i zanosilo się na walną bitwę między nim a Hartmannem.

Śmierć Poczwaraki była już przebrzmiałą wiadomością. Tylko „Kryk Dżokerowa” nadal umieszczał na pierwszej stronie informacje na ten temat, wliczając w to zdjęcia dwóch prowadzących śledztwo policjantów – dżokerskiego gliny Harveya Kanta oraz jego partnera, Thomasa Jana Maseryka.

Brennan odstawił filiżankę, nie zważając na kolejne spojrzenie rozjuszonej kelnerki, i przyjrzał się z uwagą ziarnistej fotografii dwóch mężczyzn stojących przed Kryształowym Pałacem. Kant to był ten dzoker z lewej. Wysoki, podobny do gada i pokryty łuską, przypominał Yeomanowi jego dawnego wroga z Widmowych Pięści, Żmija. Ten drugi to był Maseryk. Brennan pokiwał sam do siebie głową, wyszedł z boks, udał się do pobliskiej budki telefonicznej i zadzwonił do komisariatu w Dżokerowie. Minęła chwila, nim telefon odebrano

i rozległ się niski, ochryply głos.

– Maseryk.

To był z pewnością on. Yeoman nie słyszał jego głosu od prawie piętnastu lat, ale nadal go poznawał. Pobrzmiwał w nim cień, posepny, grobowy ton, sugerujący ciemność, która zawsze podążała za Maserykiem w czasach, gdy znali się w Wietnamie.

– Dawno się nie widzieliśmy – rzekł Brennan.

Nastąpiła chwila ciszy. Yeoman niemalże słyszał trybiki obracające się w głowie policjanta.

– Kto mówi?

– Brennan. Daniel Brennan.

– Brennan?

– To ja.

– Jezus, rzeczywiście minęło sporo czasu. Chciałeś odnowić starą znajomość?

– W pewnym sensie – odpowiedział Yeoman. – Muszę z tobą porozmawiać.

– O czym, po tych wszystkich latach?

– O śmierci Poczwaraki.

– A czemu się tym interesujesz?

– Z powodów osobistych. Była moją przyjaciółką.

– Hmm. Zawsze podchodziłeś do wszystkiego osobiście. Gdzie możemy się spotkać?

Brennan zastanowił się nad tą kwestią. Chciał wyciągnąć z Maseryka trochę informacji, ale tamten zawsze zaliczał się do skrytych. Nie zaszkodzi spotkać się z nim w miejscu, które złagodzi nieco jego drażliwość, w którym nie będzie skłonny zakończyć nagle rozmowy, jeśli coś pójdzie nie tak.

– Może zjedlibyśmy obiad w Wieży Asów?

– Tam jest trochę za drogo na pensję gliniarza.

– Ja stawiam.

– Jak mógłbym się temu oprzeć?

13:00

– Jeszcze kawy, Jay? – zapytała Flo.

– Poproszę – zgodził się detektyw, przesuwając filiżankę po laminowanym blacie. To była już czwarta. Flo już przed dwudziestoma minutami usunęła wszelkie ślady po cheeseburgerze i frytkach.

– Pracujesz nad sprawą? – zapytała, nalewając mu. Odrobina kawy wylała się na spodek.

– Coś w tym rodzaju – przyznał. Na blacie leżała rozłożona lista. Jedząc, zastanawiał się nad kolejnymi nazwiskami. Na papierze, w miejscu, na które spadł kawałek cebuli, pozostała półprzezroczysta plama.

– Zawołaj mnie, jeśli będziesz potrzebował pomocy – oznajmiła Flo. – Co tydzień rozwiązuję krzyżówki w „TV Guide”.

Ruszyła z dzbankiem kawy do boksu z tyłu lokalu, gdzie podstarzały gej w białym płóciennym garniturze starał się uwieść jasnowłosego chłopaka wyglądającego, jakby przed chwilą wysiadł z autobusu z St. Paul. Restauracja znajdowała się na Czterdziestej Drugiej Ulicy, w połowie drogi między Times Square a dworcem autobusowym Port Authority, wciśnięta między kino „Wilgotna Broszka” a księgarnię dla dorosłych. Jedzenie może nie było takie dobre jak w Wieży Asów, ale Jayowi odpowiadały ceny. Poza tym lokal znajdował się tylko pół przecznicy od jego domu.

Zaczął ogryzać ołówek, który wyłudził od Flo, i ponownie spojrzął na listę. Liczbę finalistów udało się ograniczyć do jedenastu. Gil siedział w więzieniu. Jego skreślił na początku. Wkrótce po nim przysła kolej na większość jednogwiazdkowych kandydatów. Gabinet Poczwaraki był za mały, by mógł się w nim zmieścić słoń, co wyeliminowało Radhę O'Reilly. Modułowy i Gwiazdny Blask znaleźli się na liście wyłącznie z powodów geograficznych. Żaden z nich nie miał powodów, by pragnąć śmierci Poczwaraki. Carnifex przebywał w Atlancie, podobnie jak Jack Braun. Jay był pewien, że Elmo tego nie zrobił, bez względu na

to, ile gwiazdek przydzielił mu komputer. Reszta listy wyglądała następująco:

braun, jack złoty chłopiec *

crenson, croyd Śpioch ****

darlingfoot, john john diabeł ***

demarco, ernest ernie jaszczurka **

doe, John klucha ***

jones, mordecai młot harlemu **

lockwood, william gil ****

modułowy nie dotyczy *

morkle, doug nie dotyczy **

mueller, howard troll ***

o'reilly, radha dziewczyna-słoń *

ray, william carnifex *

schaeffer, elmo nie dotyczy ***

seivers, robert maczuga ***

nn czarny cień **

nn kuriozum **

nn gwiazdny blask *

nn quasiczłowiek ***

nn żmij ****

Jay zastanowił się nad tymi, którzy zostali. Ernie Jaszczurka DeMarco był właścicielem baru w Dżokerowie, ale to był lokal tylko dla miejscowych i nie konkurował z Pałacem. Detektyw go skreślił. John Diabeł był mięśniakiem do wynajęcia, z kartoteką długą jak dzokerski fiut, ale cała jego siła mieściła się w zdeformowanej nodze. Może kopnął Poczwarękę w twarz? To nie brzmiało zbyt przekonująco. Poza tym Jay chyba gdzieś słyszał, że John nigdy nie posuwał się do zabójstwa. Jego również skreślił. Klucha był straszliwie silny, lecz miał umysł dziecka. Parę lat temu stał się dość sławny, kiedy gliny aresztowały go za morderstwo. Ale wtedy nie był winny i Jay nie sądził, aby tym razem było inaczej. Mordecai Jones mieszkał w Harlemie, na drugim końcu Manhattanu. Pomijając zeszłoroczną podróż dookoła świata, raczej nie

obracał się w tych samych kręgach co Poczwarzka. Jego również wyeliminował.

Wahał się przez parę minut przy Howardzie Muellerze, lepiej znanym jako Troll, szefie ochrony w klinice doktora Tachiona w Dżokerowie. Mueller był regularnym gościem w Pałacu. Miał też ponad dwa i pół metra wzrostu, a siłą mógł się mierzyć ze Złotym Chłopcem i Młotem Harlemu. O ile jednak Jay wiedział, Troll zaliczał się do praworzędnych obywateli. Niemniej pozory mogły mylić. Może Poczwarzka coś na niego miała, jakąś tajemnicę z przeszłości, i próbowała wykorzystać ją przeciwko niemu.

Ale z drugiej strony nie było na to żadnych dowodów. Podobne przypuszczenia można by wysuwać na temat Erniego Jaszczurki, Młota Harlemu, Gwiezdnego Blaska, do licha, każdego z nich. Cóż za wspaniała teoria. Pasuje do wszystkich. Nie, w ten sposób za chwilę wróci do trzystu dziewiętnastu nazwisk. Wziął w rękę ołówek i stanowczym ruchem skreślił Trolla.

Zostało siedmiu małych Murzynków. Siedmiu naprawdę silnych Murzynków. Żmij, Quasiczłowiek, Kuriozum, Czarny Cień, Maczuga, Śpioch i Doug Morkle, ktokolwiek to mógł być, do chuja.

Żmij był wrednym skurczybykiem, ważną szczyką w Towarzystwie Widmowych Pięści. Jay spotkał go kiedyś, a nawet słyszał, jak groził Poczwarzce. To było prawie dwa lata temu, ale Żmij wyglądał na faceta, który nie zapomina urazy. Problemem był jednak sposób działania. Gadopodobny dzoker był silny, ale zabijał swym jadowitym ukąszeniem. Jay nie zauważył na Poczwarzce żadnych śladów ukąszenia, niemniej warto by to sprawdzić. Sekcja zwłok z pewnością wykazałaby obecność jadu w organizmie.

Quasiczłowiek był kościelnym w Naszej Pani Wiecznie Cierpiącej. Garbus znacznie przewyższał siłą Żmija i był też teleporterem. Mógłby dostać się do Pałacu i opuścić go niepostrzeżenie. Podobno był nieszkodliwy, ale od czasu do czasu część jego mózgu odpływała do innego wymiaru czy coś w tym rodzaju. Dlatego nie sposób było przewidzieć, jak może się zachować. Nie wydawał się zbyt

prawdopodobnym kandydatem, ale...

Kuriozum już przedtem znajdowało się na liście podejrzanych Jaya.

Czarny Cień był kolejnym szalonym samozwańcym strażnikiem sprawiedliwości. Nienawidził zbrodni i chętnie zabijał przestępców, choć jeśli był w dobrym humorze, ograniczał się do łamania im rąk i nóg. Może dowiedział się, że Poczwarzka jest zamieszana w jakąś nielegalną działalność. Może poznała jego prawdziwą tożsamość i groziła, że go zdemaskuje. Może, może, może. Ponownie problemem był sposób działania. Cień był tylko niewiele silniejszy niż zwykły człowiek. Krążyły plotki, że jest stworzeniem mroku, wampirem pijącym światło i ciepło zamiast krwi. Ponoć zabijał ofiary, wysysając z nich ciepło. Nie rozwałił im głów. Jay go skreślił.

Maczuga był brutalnym dzokerem o wzroście dobrze powyżej dwóch metrów. Jego prawa ręka zmieniła się w kościstą pałkę. Pracował dla Widmowych Pięści, ale okazał się za głupi i zbyt brutalny nawet dla nich. Wywalili go, w znacznej mierze dzięki Jayowi i Hiramowi Worchesterowi. Ta jego zdeformowana pięść z łatwością mogłaby rozwalić czaszkę ofiary. Maczuga zapewne świetnie się przy tym bawił. Problem w tym, że był głupi jak osioł i znacznie od niego brzydszy. Nie było szans, by zdołał się przedostać o własnych siłach przez zabezpieczenia Poczwarzki, a detektywowi nie przychodził do głowy żaden powód, dla którego miałyby się zgodzić z nim spotkać. Mógł jednak o czymś nie wiedzieć. Zostawił Maczugę na liście.

Croyd Crenson, Śpioch, był wolnym strzelcem działającym na granicy prawa. Jego moce zmieniały się z każdym okresem snu, ale z reguły była wśród nich nadludzka siła, a pod koniec okresu jawy uzależniał się od spidu i miewał wybuchy paranoidalnego gniewu. Jay nie przypominał sobie, by Croyd miał cokolwiek przeciwko Poczwarzce, ale jeśli pogrążył się głęboko w amfetaminowej psychozie, to mogło nie mieć znaczenia. Jeśli Crenson nie spał, tym razem zachował swą siłę, naćpał się tyle amfy, że stracił zdrowy rozsądek, a Poczwarzka w jakiś sposób sprowokowała u niego wybuch psychotycznego gniewu... Jay doszedł do wniosku, że za dużo już tych przypuszczeń i skreślił Śpiocha.

Zostało pięciu. Żmij, Quasiczłowiek, Kuriozum, Maczuga i Doug Morkle.

– Kto to, kurwa, jest Doug Morkle? – zapytał kelnerkę, gdy wróciła z dzbankiem kawy. Flo również tego nie wiedziała.

Zapłacił z westchnieniem, jak zwykle zostawiając za duży napiwek. Gdy przechodził przez obrotowe drzwi, jego uwagę przyciągnęła złożona gazeta leżąca obok siedzącego w pierwszym boksie punka z zielonym irokezem. Zawrócił w drzwiach, podszedł do boksu i wziął do rąk gazetę.

– Hej – sprzeciwił się punk.

– Niech to szlag – warknął detektyw, przebiegając wzrokiem po tekście. – Złapali Elma.

Według artykułu capnęli go, gdy jechał do Brooklynu linią D. Zatrzymał go członek Guardian Angels, niech to szlag. Jay pomyślał, że gliniarze na pewno byli zachwyceni.

Doszedł do wniosku, że Doug Morkle może zaczekać.



Brennan nigdy jeszcze nie był w Wieży Asów. To był sympatyczny lokal. W takim miejscu dwaj starzy przyjaciele – a przynajmniej starzy znajomi – mogliby sobie usiąść i odbyć miłą, kulturalną rozmowę o morderstwie i powiązanych z nim sprawach. Miał nadzieję, że Maseryk będzie tego samego zdania.

Dopił whisky i odesłał skinieniem dłoni kelnera, gdy ten chciał mu przynieść następną. Z pozoru wydawał się spokojny jak zawsze, choć w rzeczywistości czuł się podenerwowany jak dzoker na wiecu Leo Barnetta. Maseryk był prawdziwym twardzielem. W Wietnamie dowodził oddziałem zwiadowców dalekiego zasięgu, podobnie jak Brennan, i krążyły o nim różne pogłoski. Ale wtedy plotkowano o wszystkich.

Yeoman poznał starego znajomego, gdy tylko zauważył kelnera, który prowadził go do stolika. Maseryk nie zmienił się zbyt wiele przez te

wszystkie lata. Był krępy męczyzną, przypominającym Brennana budową i rozmiarami. Również ruchy ich obu były podobnie płynne i ograniczone. Miał ciemne, rzadziejące włosy, bladą cerę i intensywnie fioletowe oczy. Nadal otaczała go aura posępnej groźby, którą Yeoman pamiętał z Wietnamu.

– Cześć, kapitanie – powiedział Brennan, gdy Maseryk zasiadł za stolikiem naprzeciwko niego. Policjant wlepił w niego spojrzenie.

– Zrobiłeś sobie coś z twarzą? – zapytał.

Gdy Brennan wkradł się w szeregi Widmowych Pięści, poprosił doktora Tachiona, żeby zrobił mu na powiekach zmarszczki nakątne. Miał nadzieję, że to ułatwi mu życie w azjatyckim gangu. Oczywiście, Maseryk ostatnio widział go na wiele lat przed operacją.

– To oczy, kapitanie. Azjatyckie oczy to ostatni krzyk mody.

Maseryk wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Teraz jestem tylko porucznikiem.

Brennan pokiwał głową i skinął na kelnera.

– To twoje przyjęcie – stwierdził policjant.

– W takim razie jeszcze dwie Tullamore. Z lodem.

– Proszę bardzo. – Kelner ukłonił się precyzyjnie co do milimetra, a potem się oddalił.

Yeoman zastanawiał się, od czego zacząć. Obaj siedzieli w milczeniu, aż wreszcie kelner przyniósł whisky.

– Czy panowie chcą coś zamówić? – zapytał, odsuwając się o krok i unosząc długopis nad bloczkiem.

Maseryk zerknął na zamknięte menu leżące przed nim na blacie.

– Słyszałem, że opiekany kulbak jest bardzo dobry, choć policyjna pensja nie pozwoliła mi się przekonać o tym osobiście.

– Jest bardzo dobry, proszę pana – zapewnił kelner, wyraźnie zdumiony tym, że ktokolwiek mógłby sądzić inaczej. Potem zwrócił się w stronę Brennana, unosząc brwi i długopis. – A pan co sobie życzy?

– Sałatkę z owoców morza.

– Proszę bardzo.

Kelner zapisał zamówienia i oddalił się. Maseryk pociągnął łyk whisky

i odstawił szklaneczkę.

– O co tu chodzi? Żaden z nas nie jest człowiekiem, który miałby ochotę powspominać stare dobre czasy, gdy razem ganialiśmy Wietnamców po dżungli.

– O zamordowanie Poczwarki.

– Już to mówiłeś – odparł z uśmiechem Maseryk. – Kim była dla ciebie?

– Byliśmy kochankami.

Policjant uniósł brwi.

– Ona miała wielu kochanków. Zaliczasz się do zazdrosnych mężczyzn?

– Daj spokój – odparł beznamiętnym głosem Brennan. – Czy rozmawiałbym z tobą, gdybym to ja ją zabił? Dopóki do ciebie nie zadzwoniłem, nie miałeś pojęcia, że mam z tym coś wspólnego.

– Mordercy czasami robią dziwne rzeczy – zauważył Maseryk. – Żeby ściągnąć na siebie uwagę.

Brennan prychnął pogardliwie.

– Myślałem, że waszym pierwszym podejrzanym jest ten szalony łucznik.

Policjant przyjrzał mu się uważnie

– Na jej ciele znaleziono kartę – przyznał – ale nie tego rodzaju, jakiej zwykle używał. To była ozdobna karta, z antycznej talii należącej do Poczwarki.

Brennan skinął głową. Coś, co niepokoiło go od chwili, gdy włamał się do Pałacu, nagle stało się zrozumiałe.

– A reszta tej talii zniknęła.

– Zgadza się – potwierdził Maseryk. – Skąd o tym wiesz?

Brennan uśmiechnął się półgębkiem.

– Ktoś mi powiedział, że wczesnym rankiem w dzień zabójstwa w pałacu był Jay Ackroyd.

– To również się zgadza – przyznał policjant. – To on znalazł ciało.

– Po co tam przyszedł?

– Zadajesz strasznie dużo pytań – poskarżył się Maseryk. – Chyba nie

zamierzasz utrudniać śledztwa policji, co?

– Nie chcę, żeby zabójca wymknął się sprawiedliwości. Jeśli wy go znajdziecie, to świetnie. Jeśli ja to zrobię... – Jego głos umilkł. Yeoman wzruszył ramionami.

– Posłuchaj, Brennan – odezwał się ostrym tonem Maseryk, wskazując na niego palcem. – Nie chcę żadnych samosądów...

– Gdybyście wykonywali swoją robotę, samosądy nie byłyby potrzebne – przerwał mu równie stanowczo Yeoman. – a ja mógłbym być tam, gdzie pragnę być, zamiast narażać własny tyłek.

Policjant już miał mu odpowiedzieć, ale nagle pojawił się kelner i postawił przed nimi talerze.

– Czy to będzie wszystko? – zapytał, przenosząc wzrok z jednego mężczyzny na drugiego.

Brennan na moment oderwał spojrzenie od Maseryka i skinął głową do kelnera.

– Na razie tak.

– Życzę panom smacznego – odparł kelner i oddalił się pośpiesznie.

– Jeśli odpowiesz na moje pytanie – podjął Brennan łagodnym, pojednawczym tonem – podam ci inne, które powinienes komuś zadać.

Maseryk wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę. Wreszcie westchnął.

– W porządku. Zgadzam się. Ackroyd powiedział, że Poczwarzka wynajęła go jako prywatnego ochroniarza. Z pewnością świetnie się spisał.

Brennan pokiwał z namysłem głową, skubiąc sałatkę.

– I co masz dla mnie? – zapytał niecierpliwie policjant.

– Zapytaj Kuriozum, co wczoraj wieczorem robił, robiła czy robiło w sypialni Poczwarzki.

Maseryk popatrzył ze złością na swój talerz. Brennan nadział kraba na widelec.

– Powiesz mi, co tu jest grane? – zapytał wreszcie policjant.

Yeoman potrząsnął głową.

– Nie w tej chwili. Nie mam nic, w co byś uwierzył.

Wsadził kraba do ust i przegryzł go, wpatrując się w dal.

Maseryk zmarszczył brwi.

– Lepiej, żeby się nie okazało, że robisz mnie w konia.

– Jedźmy – odparł Brennan.

Policjant skinął głową i ukroił sobie kolejny kawałek.

– Masz rację. To cholernie dobra ryba. Cholernie dobra.

Zajęli się posiłkiem. Nie mówili zbyt wiele. Żaden z nich nie przepadał za niezobowiązującymi rozmowami, a do tego obaj pogrążyli się w myślach. Kiedy skończyli, Maseryk oznajmił kelnerowi, że nie chce kawy ani deseru, a Brennan zamówił filiżankę herbaty.

– Będę w kontakcie – rzekł Yeoman, gdy policjant wstał od stolika.

– Nie zrób nic głupiego – ostrzegł go na pożegnanie Maseryk.

Brennan skinął głową. Kelner postawił przed nim filiżankę. Yeoman uniósł ją do ust i zmarszczył brwi. Na spodku leżał ręcznie oderwany kawałek papieru. Napisano na nim dziecinnymi, niewiarygodnie małymi literkami:

„Jeśli chce pan się dowiedzieć, co ukrywajom Widmowe Pienści, niech pan pojedzie do Stoney Brook, 8800 Glenhollow Road. Tylko ostrorznie”.

Brennan pośpiesznie rozejrzał się po sali i nagle poczuł się głupio z tego powodu. Ktoś na pewno go śledził. Albo czytał w jego myślach. Ktoś wiedział o jego poczynaniach tyle samo co on sam. Przeszył go dreszcz niepokoju, jakby nagle zmienił się z myśliwego w zwierzynę.

Ponownie przyjrzał się liścikowi. Rzecz jasna, był niepodpisany. Sprawiał przyjazne wrażenie i wydawał się dziecinnie niewinny ze swymi bazgrołami i błędami ortograficznymi. Brennan postanowił, że sprawdzi tę wskazówkę, ale także skorzysta z zawartej w niej rady i będzie bardzo ostrożny.

14:00

Kant nie był zbyt zadowolony z jego widoku.

– Myślałem, że pozbyliśmy się pana już wczoraj – stwierdził.

– Sklep z gadami był zamknięty, więc przyszedłem tutaj – odparł Jay. – Gdzie pański partner?

– Wyszedł na obiad – warknął Kant. – Tak samo jak pan. Tyle że pan wyjdzie na stałe.

Odślonił zęby. Nadal miały ostre końce.

– Czy to miał być żart? – zapytał detektyw. Był niemal pewien, że tak było. – Kant przed chwilą zażartował – poinformował przechodzącego obok mundurowego. Gliniarz go zignorował. – Chyba mu się nie spodobało.

– Jeśli nie przestanie pan robić sobie jaj, gorzko pan pożałuje – zapowiedział Kant. Wesołość najwyraźniej już go opuściła. – Czego pan, kurwa, chce? – zapytał dzoker, pocierając wielki, zielony strup za kołnierzykiem. Zapewne krochmal drażnił jego łuski.

– Pogadać z Elmem – odpowiedział Jay.

Kant był tak zaskoczony, że przestał się drapać.

– Niech pan stąd zmiata, bo każę pana wyrzucić.

– To znowu pan? – odezwał się Maseryk, podchodząc nieśpiesznie do biurka. Dłubał w zębach wykałaczką. Obiad musiał być dobry.

– Chce się zobaczyć z Elmem – oznajmił partnerowi Kant tonem sugerującym, że to najzabawniejsza rzecz, jaką w życiu słyszał. Maseryk się nie roześmiał.

– A po co?

Jay wzruszył ramionami.

– Czemu by nie? Nie umiem tańczyć.

– Elmo nic nie mówi – odpowiedział porucznik. – Powiedzieliśmy mu, że ma prawo zachować milczenie, i niech mnie szlag, jeśli z niego nie skorzystał.

– Ze mną pogada – zapewnił detektyw.

Kant i Maseryk wymienili spojrzenia.

– I powtórz mi pan, co od niego usłyszał? – zasugerował ten drugi.

– To by było niesportowe – sprzeciwił się detektyw.

Kant znowu łypnął na niego z ukosa.

– Niech pan stąd zmiata, zanim tracę cierpliwość. Nie chciałbym zrobić panu krzywdy.

– Ojej – zawołał Jay. – Słyszał pan to, Maseryk? Pański partner przed chwilą zagroził mi brutalnością policji. Czy wszystkie jaszczurki mają takie paskudne usposobienie, czy to jego indywidualna cecha?

Kant okrążył biurko. Był znacznie wyższy od detektywa, zębaty i pokryty łuskami.

– Starczy już tego, frajerze. Chodźmy zatańczyć.

Jay go zignorował.

– Mam dla pana propozycję – powiedział Maserykowi. – Czy mógłby pan powiedzieć partnerowi, żeby poszedł się powygrzewać na słońcu na jakiejś skale? Porozmawiamy w cztery oczy.

Maseryk zerknął na Kanta.

– Daj nam chwilkę, Harv.

– Wierzysz w ten syf? – zapytał dzoker.

– Może coś wiedzieć – odpowiedział jego partner, wzruszając ramionami.

Ruszyli razem do pustego pokoju przesłuchań. Maseryk zamknął drzwi i zasunął łańcuch. Następnie odwrócił krzesło, usiadł na nim, krzyżując ręce na oparciu, i wbił w Jaya spojrzenie intensywnie fioletowych oczu.

– Lepiej, żeby to było dobre – oznajmił.

– To rozsądna propozycja. Myślę, że przypadnie panu do gustu. Pozwoli mi pan posiedzieć dziesięć minut z Elmem, a podam panu nazwisko zabójcy z asem pik.



Stony Brook, czy, jak napisano na kartce, Stoney Brook, było miasteczkiem położonym w hrabstwie Suffolk na Long Island. Brennan zatrzymał wynajętą toyotę, by zapytać o drogę do Glenhollow. Dzięki

Bogu jego nieznanemu informatorowi nazwę ulicy napisał prawidłowo. Biegła ona prawie równoległe do brzegu Long Island Sound, a wkrótce po tym, jak Brennan w nią skręcił, zmieniła się w krętą polną drogę przecinającą słabo zaludnioną, lesistą okolicę. Nieliczne domy stały przy samej drodze, ale większość kryła się gdzieś dalej, pośród krętych alejek.

Brennan wypatrywał numeru 8800, ale za pierwszym razem go przeoczył. Zatrzymał się, gdy zauważył na skrzynce na listy przy bocznej alejce numer 8880, a następnie zawrócił i ruszył z powrotem. Tym razem dotarł do numeru 8700, nie znajdując adresu, którego szukał, ale pamiętał, że mijał nieoznaczoną alejkę, która mogła być numerem 8800.

Zatrzymał się na stosunkowo szerokim odcinku drogi, wysiadł i podszedł do bagażnika, gdzie trzymał futerał z łukiem. Rozejrzał się w obie strony, ale nadal nikt tędy nie jechał. Otworzył futerał i wprawnymi, swobodnymi ruchami złożył łuk. Nałożył zręcznie cięciwę. Bark bołał go piekielnie, ale doszedł do wniosku, że jakoś to wytrzyma. Włożył kaptur na głowę i zniknął między drzewami rosnącymi przy drodze. Łowca wrócił do lasu.



W areszcie w Forcie Cudaków były specjalne cele dla szczególnych więźniów. Elmowi przyznano pozbawioną okien kłitkę ze stalowymi drzwiami. W metalu widać było nieprzyjemne wgniecenia, pozostawione przez jakiegoś poprzedniego lokatora, który próbował wyrwać się na zewnątrz.

Gdy weszli do środka, Elmo siedział na wąskim łóżku. Jego nogi zwisały jakieś trzydzieści centymetrów nad podłogą. Ręce zakuto mu w najbardziej masywne kajdanki, jakie Jay w życiu widział.

– Zrobiono je na zamówienie – poinformował go Maseryk. – Dla aresztantów umięśnionych silniej, niż przewidziała to matka natura.

Przemawiał głosem złego gliny, twardym i złośliwym. Być może on i Kant zamieniali się rolami, gdy chodziło o dzokerów.

– Niech pan mu je zdejmie – zażądał Jay.

– Tęgo umowa nie przewidywała – odparł policjant. – Ma pan dziesięć minut.

Zamknął za sobą drzwi celi. Jego kroki cichły, w miarę jak oddalał się korytarzem. Dopiero gdy umilkły, Elmo uniósł wzrok.

– Cześć, Rzutnik – rzekł. Liczył sobie jakieś metr dwadzieścia wzrostu i prawie tyle samo szerokości w barach. Ręce i nogi miał krótkie, ale potężne, grube i muskularne.

– Powiedzieli mi, że nie chcesz mówić.

– Nie mam nic do powiedzenia. Nadal nie wykorzystałem prawa do telefonu. Znasz jakichś adwokatów?

– Spróbuj z doktorem Pretoriusem.

– On jest dobry?

– Tak. Upierdliwy, ale dobry. Ma mnóstwo praktyki w bronienu kozłów ofiarnych.

– Nie wierzysz, że to zrobiłem?

Jay usiadł na toalecie.

– Była przerażona. Bez obrazy, Elmo, ale nie potrafię sobie wyobrazić, by mogła bać się ciebie. Wynajęła mnie jako dodatkowego ochroniarza i powiedziała, że mam zacząć od następnego dnia. Czy to miałoby jakikolwiek sens, gdyby facet, którego się obawiała, mieszkał piętro niżej?

Z reguły spokojna twarz Karła wykrzywiła się w grymasie bólu.

– Ja byłem jej ochroniarzem. Od wielu lat. Nigdy nie pozwoliłem, by coś się jej stało. Powinienem tam być.

– A czemu nie byłeś?

Elmo przyjrzał się swoim palcom. Były krótkie i grube, tępo zakończone i pełne stwardnień.

– Zleciła mi zadanie.

– W takim razie to nie twoja wina. Zrobiłeś to, co ci kazała. Co to było za zadanie?

Karzeł potrząsnął głową.

– Nie mogę ci powiedzieć. To był jej interes.

– Ona nie żyje – zauważył Jay. – A ciebie chcą zrobić w jej zabójstwo.

Myślisz, że w Dżokerowie jest źle? Poczekaj, aż się przekonasz, jak traktują dżokerów w więzieniu Attica. Pomóż mi, Elmo. Daj mi jakąś wskazówkę.

Karzeł rozejrzył się po celi.

– Spotkałem się z jednym facetem w magazynie. Przekazałem mu zamkniętą kopertę i bilet na samolot – zaczął po chwili. – Spotkanie odbyło się bez komplikacji, ale kiedy wróciłem do Pałacu, przed budynkiem stały radiowozy. To mi się nie spodobało. Dlatego pomyślałem sobie, że zniknę na pewien czas, zanim się dowiem, co jest grane. Kiedy usłyszałem wiadomość w radiu, doszedłem do wniosku, że lepiej będzie opuścić miasto. I tak nie miałem już do czego wracać.

– Kim był ten facet? – zapytał detektyw.

Elmo zacisnął pięść.

– Nie wiem.

– Jak wyglądał?

Karzeł rozprostował palce.

– Było ciemno, a on nosił maskę. Maskę niedźwiedzia. Czarną, z wielkimi zębami.

Jay skrzywił się z niezadowoleniem.

– Czy wyglądał na silnego?

– Nie siłowaliśmy się na rękę – odparł ze śmiechem Elmo. – Ja tylko przekazałem mu kopertę.

Umilkł i znowu wlepił wzrok we własne palce, rozluźniając i zaciskając dłoń.

– Co jeszcze? – zapytał detektyw. Odpowiedź nie nadchodziła. – Daj spokój, Elmo. Mamy tylko dziesięć minut. Pomóż mi.

Karzeł wpatrywał się w niego przez chwilę. Jego twarz nic nie wyrażała. Wreszcie powoli skinął głową i odwrócił wzrok.

– Dobra – zaczął wreszcie. – To trudne. Ona... – Przerwał na moment, szukając odpowiednich słów. – Nie powiedziała mi, żebym nikomu nie mówił, ale nigdy nie musiała tego robić. Wiem, kiedy trzeba trzymać gębę na kłódkę. Jeśli ktoś tego nie potrafił, nie mógł długo utrzymać roboty w Pałacu. Ale teraz to już nie ma znaczenia, prawda? Ona nie

żyje.

– Opowiedz mi o spotkaniu.

– Koperta była wypchana pieniędzmi. Wielka kupa forsy. Wynajmowała zabójcę. Wiedziałem o tym. I ona wiedziała, że wiem. Ale oboje udawaliśmy, że nie mamy o tym pojęcia. Tak właśnie lubiła załatwiać podobne sprawy. – Spojrzał na Jaya. – Na pewno tamten uderzył pierwszy. To jedyne, co mi przychodzi do głowy.

Jay wiedział, że Poczwarzka nigdy nie zaliczała się do wzorowych obywateli. Żyła według własnych zasad. Ale morderstwo... to nie było podobne do kobiety, którą znał.

– Czyjej śmierci chciała?

– W kopercie oprócz pieniędzy była zwinięta kartka z nazwiskiem – odpowiedział Elmo. – Nie widziałem jej, ale kiedy facet w masce niedźwiedzia ją przeczytał, powiedział: „Cholera. Nigdy nie proś o coś małego”. Wtedy zrozumiałem. Forsy w kopercie było więcej, niż zwykle się płaci za zabójstwo, a to była tylko połowa. I jeszcze ten bilet. Do Atlanty z powrotnym.

– Do Atlanty? – zdziwił się Jay. Przez chwilę zastanawiał się, kogo, do licha, Poczwarzka mogła tam znać. Potem zrozumiał i przesyłał go zimny dreszcz. – Niech to szlag.

– Do zeszłego roku nigdy nie interesowała się polityką – wyznał Elmo. – Ale nagle to się zmieniło. Tak sobie myślałem, że może chodzi o to, co zobaczyła podczas swej podróży dookoła świata. Nie była taka jak stary Des i inni dzokerscy politycy, ale zawsze pozostawała dzokerką.

– Leo Barnett? – zapytał Jay.

Elmo skinął głową.

– Nie widzę innej możliwości.

– Rewelacja – mruknął detektyw. – Po prostu, kurwa, rewelacja! – Na chwilę utracił zdolność myślenia. – Opowiedz mi o tym zabójcy – zażądał.

– Wysoki i chudy. Nosił rękawiczki. Tani garnitur, nie pasował na niego zbyt dobrze. Na bilecie było nazwisko George Kerby, ale to było po prostu coś, co Poczwarzka wymyśliła.

– George Kerby – mruknął Jay. Skądś znał to nazwisko. – Kiedy miał być ten lot?

– Dzisiaj.

– Niech to szlag – warknął detektyw. – Niech to najjaśniejszy szlag trafi. – Zerknął na zegarek. Zostało mu już bardzo niewiele czasu. – Za minutę przyjdzie Maseryk, żeby mnie stąd przegnać. Musimy się śpieszyć. Opowiedz mi o Yeomanie.

– Yeoman? To już historia – odparł bez ogródek Elmo. – Nie ma go... jak długo? Może od roku? Nikt nie wiedział, gdzie się podział, nawet Poczwarcka. Bardzo starała się go odnaleźć. Chyba się bała, że Pięści go wykończyły. Między nim a Pięściami było mnóstwo złej krwi. Ale to nie mógł być on. Był tylko natolem.

– A Kuriozum? – zapytał detektyw.

Karzeł wzruszył ramionami.

– Jeśli mieli ze sobą jakieś kontakty, nigdy mi o tym nie wspominała.

– Kto jeszcze? – nie ustępował Jay. – Wrogowie, wzgardzeni kochankowie, chciwi dziedzice, ktokolwiek, kto miał powody, by pragnąć jej śmierci?

– Miała cichego współnika – poinformował go Elmo. – Dżokera nazwiskiem Charles Dutton. Pomógł jej wybudować Pałac. Pewnie lokal jest teraz jego własnością.

– Pogadam z nim – obiecał detektyw. – Jest coś jeszcze?

Elmo się zawahał.

– No, gadaj – zachęcił go Jay.

– Nie wiem, co to oznacza, ale w zeszłym roku, wiosną, musiałem pozbyć się ciała.

– Ciała? – zdziwił się detektyw.

Karzeł skinął głową.

– To była kobieta. Młoda i ciemnoskóra. Przedtem mogła być ładna, ale nie wtedy, kiedy ją zobaczyłem. Zaszlachtowano ją, porąbano na drobne kawałeczki. Oderżnięto jej piersi, twarz pokrajano na plasterki, a z jednej ręki zdarto skórę. Porzygałem się na ten widok. Nigdy nie widziałem Poczwarckiej tak przerażonej jak wtedy. Miałem wolne, ale

znalazła mnie i kazała przyjechać. Kiedy się zjawiłem, Kopicz Downs wymiotował na sucho w męskiej ubikacji, a Poczwarzka siedziała w gabinecie, paliła i gapiła się na szczątki. Ręka jej drżała, ale nie była w stanie oderwać od nich wzroku, dopóki nie nakryłem ciała prześcieradłem. Kazała mi wszystko uprzątnąć. Zrobiłem to. Nie zadawałem żadnych pytań, a ona nic mi nie powiedziała. Potem już nigdy o tym nie wspomniała.

– Co zrobiłeś z ciałem? – zapytał Jay.

– Włożyłem je do torby na śmieci i zostawiłem w piwnicy. Rano już go nie było. Sąsiedzi...

Obaj usłyszeli kroki w tej samej chwili.

– Sąsiedzi? – zapytał Jay.

– Zza drzwi – zaczął karzeł, w tej samej chwili, gdy klucz obrócił się w zamku. – Zawsze zostawialiśmy ciała dla nich. Dobrze sobie radzili z takimi sprawami.

Zamknął się nagle i wlepił przygnębione spojrzenie w podłogę.

Drzwi celi otworzyły się gwałtownie. Maserykowi towarzyszyła sama kapitan Ellis. Paliła papierosa i przestępowała z nogi na nogę.

– Niech pan stąd zmiata.

– Już wychodzę – zapewnił Jay. Przechodząc obok Elma, poklepał go po ramieniu, by dodać mu otuchy. Karzeł nawet nie podniósł wzroku.

– Chcę, żeby się pan dowiedział, iż Maseryk zawarł tę ugodę bez mojej zgody – warknęła kapitan Ellis. – Ale co się stało, to się nie odstanie. Lepiej, żeby podał nam pan teraz to nazwisko i żeby okazało się prawdziwe, bo w przeciwnym razie wyląduje pan w tej samej celi, co pański kumpel Elmo.

Jay nie miał nawet sił, by się jej odgryźć.

– Daniel Brennan – odpowiedział.

Maseryk zrobił taką minę, jakby ktoś wrzucił mu kostkę lodu w gacie. Kapitan Ellis prychnęła tylko i zapisała nazwisko.

– Życzę miłego dnia – powiedział im na pożegnanie Jay i wyszedł.



Wokół posiadłości na 8800 Glenhollow Road nie było żadnych murów, płotów ani innych barier, które uniemożliwiłyby Brennanowi wejście na teren. Na kilku drzewach umieszczono tabliczki zakazujące polowania, łowienia ryb i wszelkich innych form bezprawnego wtargnięcia, ale Yeoman nie przejął się tym zbyt. Przemieszczał się między drzewami cicho i ostrożnie, jakby znowu był w Wietnamie i w lesie roilo się od nieprzyjaciół.

Wreszcie wyszedł zza zasłony drzew i ujrzał przed sobą lekko pofałdowany trawiasty teren, zielony jak pole puttingowe. Za pięknie przystrzyżoną trawą zaczynał się rozległy kwietny ogród. Za ogrodem znajdował się wysoki żywopłot, dalej piętrowy dom. Parter krył się za żywopłotem, a cztery okna na piętrze wychodziły na trawnik.

Brennan wziął głęboki oddech i przebiegł sprintem przez otwarty teren, czując się całkowicie nagi i odsłonięty przed każdym, kto mógł go obserwować z domu. Przeskoczył przez pierwszą grządkę, przykucnął i wytężył słuch. Nic. Rozejrzał się wkoło, ale nie zauważył niczego oprócz kwiatów.

Popędził naprzód, nadal przykucnięty, by nie można go było zauważyć z okien na piętrze. Poznawał wiele gatunków mijanych kwiatów. Były tu róże i chryzantemy, lwie paszcze i słoneczniki, ale wśród nich posadzono też maki – takie jak te, które widywał na plantacjach w Wietnamie i Tajlandii – a także bieluń, który pamiętał z lat dzieciństwa na Południowym Zachodzie, natomiast w chłodnych, cienistych altanach grzyby o kilkunastu różnych kolorach i kształtach. Żaden z nich nie sprawiał wrażenia, by można go było udusić i podać ze stekiem.

Yeoman uświadomił sobie, że ten z pozoru niewinny ogród w rzeczywistości jest marzeniem chemika zajmującego się produkcją narkotyków. Dzięki zawartym w nim materiałom można by stworzyć niemal dowolny środek pobudzający, uspokajający albo halucynogeny. Okiem profesjonalnego projektanta ogrodów zauważył też jednak, że jest to piękne, spokojne miejsce, tworzące idealne połączenie rozmaitych kolorów, kształtów i tekstur. Nawet ozdoby umieszczone tu i ówdzie

między szeregami roślin były harmonijne i miłe dla oka, choć niekiedy dość ekstrawaganckie.

Na przykład wysoki na prawie metr dwadzieścia betonowy grzyb i zwinięta na nim gaśienica paląca fajkę wodną. Z pewnością nie była to typowa ozdoba ogrodowa, tu jednak wydawała się na miejscu.

Brennan uśmiechnął się na ten widok. Nagle gaśienica zwróciła się w jego stronę, wydeła policzki i wypuściła z siebie obłoczek dymu, który otoczył mężczyznę, nim ten zdążył zamknąć usta. Wciągnął w płuca głęboki haust słodko pachnącego dymu, odwrócił się i zdołał postawić trzy chwiejne kroki. W głowie krążyły mu niepowstrzymane kręgi, a oczy zapadły w głąb czaszki. Zwalił się ciężko na gęstą trawę. Poczul na policzku chłodne dotknięcie.

– Witamy w magicznym królestwie – odezwała się gaśienica, przemawiając niepokojąco znajomym głosem przez mechaniczne usta.

Brennan zamknął oczy.

20:00

Wokół domu pogrzebowego roiło się od gliniarzy. Jay wypatrzył jednego, który sprzedawał hamburgery w wózku na rogu, dwóch następnych siedzących w zaparkowanym samochodzie w połowie długości przecznicy, a czwartego na dachu po drugiej stronie ulicy. Albo nie byli do końca przekonani, że Elmo jest winny, albo mieli nadzieję, że Yeoman się zjawi, by pożegnać Poczwarzkę.

Dom Pogrzebowy Cosgrove'a był wielkim dwupiętrowym okropieństwem w wiktoriańskim stylu, wyglądającym jak fatalna pomyłka z innej epoki. W jednym rogu budynku znajdowała się masywna, okrągła wieżyczka, w drugim wysoka gotycka wieża, całość otaczała szeroka drewniana weranda, a wszędzie było pełno przypadkowo dobranych elementów, również wykonanych z drewna. Poczwarzka byłaby zachwycona.

Gdy wchodził po schodach, drzwi się otworzyły i wypadł z nich Lupo.

– To cholerna farsa i tyle – warknął na widok Jaya. Uszy przycisnął do czaszki w wyrazie gniewu. – Za kogo on się uważa, do cholery?

Oddalił się, nie czekając na odpowiedź. Jay wzruszył ramionami i wszedł do środka.

W holu były ciemne tapety i mnóstwo antyków. Rozkład dnia, umieszczony w szklanej gablocie wiszącej na ścianie, zapowiadał, że dziś wystawione zostaną na widok publiczny trzy ciała. Wideman w Salonie Wschodnim, Jory w Zachodnim, a Moore na gorze, w Sali Okrągłej.

– Och – usłyszał za swymi plecami cichy głos. – Ackroyd. Cieszę się, że przyszedłeś.

Waldo Cosgrove był pulchnym, pękatym facetem po siedemdziesiątce. Był łysy jak kolano i miał małe, spocone dłonie. Nosił nieskazitelny strój, który zadowoliliby nawet Hirama, pachniał tak, jakby wykąpał się w perfumach, a wyglądał, jakby wytarzał się w talku. Jay w zeszłym roku wykonywał dla niego zlecenie. Chodziło o dwa dzokerskie ciała o szczególnie groteskowym wyglądzie, ukradzione z domu pogrzebowego. To bardzo zdenerwowało Walda, a on nie lubił być zdenerwowany. Najlepiej się czuł, kiedy było mu smutno. Radził sobie z tym lepiej niż ktokolwiek, kogo detektyw w życiu spotkał.

– Cześć, Waldo – rzucił. – Która z tej trójki to Poczwarzka?

– Panna Jory jest wystawiona w Salonie Zachodnim. No wiesz, to nasz najładniejszy pokój, nie wspominając już o tym, że jest największy. Było mi bardzo smutno, kiedy usłyszałem o tej okropnej sprawie.

Słowa były odpowiednie, ale Jayowi zdarzało się już słyszeć u Walda większy smutek. Starego Cosgrove’a coś poirytowało.

– Co jest grane? – zapytał detektyw. – Dlaczego Lupo tak się wkurzył?

Waldo Cosgrove cmoknął.

– To nie nasza wina. Pan Jory się upierał, a w końcu jest jej ojcem. Ale niektórym ludziom to się nie spodobało. Nie wiem, co ich zdaniem powinniśmy zrobić. Zapewniam, że nie szczędziłem wydatków.

– Jestem pewien, że pan Jory również to sobie uświadomi, kiedy prześlecie mu rachunek. Czy były do mnie jakieś telefony?

– Telefony? Do ciebie? Tutaj?

– Staralem się skontaktować z Hiramem Worchesterem w Atlancie – wyjaśnił Jay. – Zostawiałem dla niego wiadomości w hotelu. Zawiadam mnie, jeśli zadzwoni.

– Och, z pewnością to zrobię – zgodził się Waldo Cosgrove.

Kolejna grupa żałobników opuszczała budynek. Jay poznał kelnerkę z Kryształowego Pałacu. Ona również nie wyglądała na zbyt zadowoloną. Detektyw postanowił, że sprawdzi, o co chodzi.

Salon Zachodni był długim, posępnym pomieszczeniem wypełnionym kwiatami. Przysłano tak wiele wieńców, że niektóre leżały na korytarzu. Nieopodal drzwi umieszczono księgę kondolencyjną. Yin-Yang zatrzymał się obok niej i składał kondolencje wysokiemu, tęgemu mężczyźnie po sześćdziesiątce. Z pewnością był to ojciec Poczwarki. Jory ubrał się w białą koszulę i czarny garnitur. Miał też w sobie coś, co sugerowało, że jest człowiekiem postrzegającym świat w kategoriach czerni i bieli. W tej chwili wyglądał na wyraźnie skrępowanego. Może chodziło o garnitur, a może o okazję, z powodu której go włożył. Albo o dwie głowy Yin-Yanga, jak zwykle mówiące jednocześnie.

Gdy dzoker wreszcie wszedł do środka, Jay podszedł do mężczyzny i wyciągnął rękę.

– Bardzo mi przykro z powodu pańskiej córki, panie Jory. Była niezwykłą kobietą.

– To prawda – zgodził się Jory. Miał silny uścisk dłoni i mówił z charakterystycznym akcentem, całkowicie odmiennym od starannie wyćwiczonej brytyjskiej wymowy jego córki. – Debra-Jo była świetną dziewczyną. Dobrze ją pan znał, panie...?

Detektyw zignorował to pytanie. Jory z pewnością rozpoznałby jego nazwisko i zacząłby się dopytywać o szczegóły tego, jak znalazł jej ciało, a tego tematu Jay wołałby nie poruszać.

– Obawiam się, że niewystarczająco dobrze, by wiedzieć, jak naprawdę miała na imię.

– Debra-Jo – powtórzył Jory. – Po mojej prababci. W jej żyłach płynęła krew prawdziwych pionierów.

– Pochodzi pan z Oklahomy?

Jory skinął głową.

– Z Tulsy. Nowy Jork nieszczególnie przypadł mi do gustu.

– Poczwarła kochała to miasto – rzekł cicho Jay. – Znałem ją na tyle dobrze, by przynajmniej to wiedzieć. Tu był jej dom.

– Jej dom był w Tulsie – sprzeciwił się Jory z niezadowoleniem w głosie. – Bez obrazy, ale wolałbym, żeby nie nazywał jej pan tym imieniem.

Odwrócił się, usłyszawszy odgłos kroków. Jay zauważył odrazę, która pojawiła się w jego oczach, gdy do środka wszedł Jube Benson, niosący pod pachą stertę gazet. Dobre maniery okazały się jednak silniejsze od niesmaku. Jory uśmiechnął się z wysiłkiem i wyciągnął rękę na przywitanie.

Detektyw wszedł do środka.

Było tam tyle składanych krzeseł, że wystarczyłoby dla setki ludzi. Mniej więcej jedna trzecia była zajęta, a kilkunastu innych żałobników krążyło po sali, rozmawiając ze sobą szeptem w jej kątach. Osiemdziesiąt procent obecnych było dzokerami. Yin-Yang uklęknął przy trumnie razem z Mętnogębą Moną. Balon unosił się pod sufitem, rozmawiając z Trollem, który żywo gestykulował. Jego wielkie zielone łapska muskały delikatny żyrandol, aż kryształy lekko pobrzękiwały. Gorąca Mama Miller płakała rześście. Z jej dłoni buchał dym, gdy ścisnęła w nich koronkową chusteczkę. Małą twarz miała pomarszczoną jak suszona śliwka. Obok niej Ojciec Kałamarnica szeptał słowa pocieszenia. Kolejny gliniarz po cywilnemu, który był tu nie na miejscu jak winogrono w pudełku z rodzynkami, siedział przy popielnicze, paląc papierosa.

Jedno z miejsc w ostatnim rzędzie zajęło Kuriozum.

Jay doszedł do wniosku, że to naprawdę interesujące. Wlepił wzrok w dzokera i pod czarnym ubraniem zauważył drobne poruszenie. Wyglądało to, jakby jakieś zwierzę próbowało wyrwać się stamtąd na wolność. Ale to tylko ciało Kuriozum przechodziło nigdy niekończącą się metamorfozę. Zakapturzona głowa odwróciła się i detektyw spojrział prosto w stalową siatkę maski szermierczej. Czuł oczy przyglądające mu

się z za tej zasłony.

Podszedł do ciała Poczwarzki. Yin-Yang właśnie wstawał. Jay zatrzymał się, nagle wstrząśnięty. Trumna była otwarta.

To niemożliwe, pomyślał przerażony.

Potem jednak zauważył Cosma, który siedział na krześle w cieniejszej niszy, w której ustawiono trumnę, tak spokojny i nieruchomy, że był niemal niewidzialny pośród mnóstwa wieńców. Wtedy zrozumiał.

Rodzinną firmę pogrzebową odziedziczyli trzej bracia Cosgrove. Waldo, który świetnie potrafił być smutny, odpowiadał za kontakty z klientami. Titus, którego nigdy nie widywano, zajmował się balsamowaniem. Cosmo, najmłodszy, był dzokerem. Chudy, wąty człowieczek, miał pięćdziesiąt parę lat i był łysy jak jego brat, ale jego skórę, a także ubranie i wszystko, czego dotknął, pokrywały plamy szarawego grzyba. Nawet codzienne zdrapywanie nie powstrzymywało tego na długo. Ale Cosmo miał również moc, małą dwójkę, która uczyniła interes Cosgrove'ów najlepiej prosperującą firmą pogrzebową w Dżokerowie. Sprawiał, że zmarli dobrze wyglądali. Lepiej niż za życia.

Jay podszedł do trumny i przyjrzał się ciału.

Śpiąca królowna, pomyślał. Zrozumiał, co tak podenerwowało Lupa i pozostałych.

Miała na sobie prostą, ciemną suknię, skromną, ale stylową. Pod szyją przypięto jej antyczną kameę. W złożonych pod piersiami dłoniach trzymała Biblię. Była piękna. Jej długie blond włosy leżały na aksamitnej poduszce, oczy miała zamknięte, jakby spała, a gładkie, różowe policzki naznaczył rumieniec. Detektyw wiedział, że Poczwarzka ukończyła już trzydzieści pięć lat. Teraz wyglądała o dziesięć lat młodziej. Jej skóra wydawała się równie gładka jak wyściółka trumny, tak pełna życia, że chciało się jej dotknąć, popieścić ją palcami, poczuć ciepło, które przecież musiało tam być.

Lepiej jednak było tego nie robić. Cosmo potrafił oszukać wzrok, ale nie dotyk. Bóg Jeden wiedział, co by poczuł Jay, gdyby wyciągnął rękę i spróbował dotknąć różowego policzka. Nawet Cosgrove'owie nie potrafili złożyć całej głowy z kawałków kości i mózgu.

– To smutny dzień – odezwał się Ojciec Kałamarnica, podchodząc do detektywa. Duchowny z kościoła Naszej Pani Wiecznie Cierpiącej wydawał przy chodzeniu wilgotny, mlaszczący dźwięk. – Bez niej Dżokerowo nie będzie już takie samo. Obawiam się, że stanie się mroczniejsze. Czy wiesz, że Xavier Desmond umarł przed rokiem?

– Prawie co do dnia – zgodził się Jay. – Ale kiedy Des tu leżał, kolejka żałobników ciągnęła się wokół kwartału.

– Poczwarękę wszyscy szanowali – odparł Ojciec Kałamarnica. – A nawet się jej bali. Ale Desa ludzie kochali. Okazywał serce wszystkim, a ona swojego strzegła zazdrośnie. – Położył dłoń na ramieniu Jaya. – Ludzie mówią, że szukasz jej zabójcy.

– Równie dobrze mogę się tym zająć – odparł detektyw. – Nie umiem tańczyć. Powiedz mi, ojczu, co właściwie wiesz o naszym przyjacielu Kuriozum?

– To trzy udręczone dusze w poszukiwaniu zbawienia – odpowiedział kapłan. – Chyba nie myślisz...

– Sam już nie wiem, co myśleć – przyznał Jay. Wtem w drzwiach pojawił się Waldo Cosgrove i skinął na niego. – Wybacz, ojczu. Muszę odebrać telefon.

Waldo zaprowadził detektywa do swego gabinetu z tyłu budynku. Ciche, ciemne pomieszczenie zapewniało prywatność. Jay zaczekał, aż właściciel zamknie za sobą drzwi, i dopiero wtedy podniósł słuchawkę.

– Halo? Hiram?

Na drugiej stronie linii panował okropny hałas, ale Hiram Worchester był wielkim mężczyzną i miał donośny głos.

– Rzutnik? Recepcja poinformowała mnie, że dzwoniłeś sześć razy. Czy mogę zapytać, co mogłoby być aż tak pilne?

– Hiram, mamy poważne kłopoty. Gdzie jesteś? To brzmi jak jakies przyjęcie.

– Dzwonię ze sztabu kampanii senatora Hartmanna – wyjaśnił restaurator. – Ta walka o platformę wyborczą okropnie się przedłuża. Mógłbyś przynajmniej obserwować przebieg konwencji w telewizji. Gra idzie o przyszłość kraju.

– Nie czepiaj się – odparł detektyw. – Ubrałem się całkiem elegancko. Czego chcesz więcej? Posłuchaj, staram się wywęszyć, kto mógł zabić Poczwarzkę.

– Myślałem, że to już ustalono – przerwał mu Hiram. – To był ten facet od asa pik. Ten sam psychopata, który próbował nam wtedy ukraść znaczki w Kryształowym Pałacu.

– Nie sądzę, żeby to był on – sprzeciwił się Jay.

Restaurator odchrząknął nieobowiazująco.

– Ty jesteś detektywem, ale uważam, że po prostu marnujesz czas.

– To nie byłby pierwszy taki przypadek – przyznał Jay. – Hiram, wysłuchaj mnie uważnie i dobrze się zastanów, zanim mi odpowiesz. Mali politycy mogą mieć wielkie uszy. Zanim ją zabito, Poczwarzka wynajęła zamachowca, który miał wykończyć Leo Barnetta. Zabójca zapewne jest już w Atlancie.

Przez długą chwilę w słuchawce nie było słyhać nic poza krzykami sztabowców Hartmanna rozmawiających przez walkie-talkie.

– Barnetta? – zdołał wreszcie wychrypieć Hiram. – Jesteś tego pewien?

– Tylko to ma sens – odparł detektyw. – Barnett to kandydat, który chce zamknąć dzokerów w obozach koncentracyjnych. Poczwarzka była dzokerką. Kiedy ostatnio sprawdzałem, dwa plus dwa nadal równało się cztery.

Ale czy na pewno? Zabójstwo Barnetta równie dobrze mogłoby doprowadzić do triumfu jego idei. Czy Poczwarzka nie byłaby bardziej subtelna? Może dwa plus dwa równało się... właściwie ile?

– Barnett zrobił wszystko, co w jego mocy, by pozbawić znaczenia punkt platformy wyborczej dotyczący praw dzokerów – mówił Hiram.

– Gardzę wszystkimi jego poglądami, ale nie możemy tolerować zabójstw politycznych. Jay, musisz zawiadomić władze.

– Jasne, to na pewno bardzo by pomogło – odpowiedział detektyw. – Powiem im, że dwoje dzokerów uknuło spisek i wynajęło zamachowca, który zapewne jest asem, każąc mu wykończyć Leo Barnetta, bo nie podobały im się jego poglądy polityczne. Gdyby prasa się o tym dowiedziała, równie dobrze można by od razu urządzić skurwysynowi

inaugurację. Przynajmniej nie musielibyśmy oglądać ogłoszeń wyborczych.

– Boże – jęknął Hiram. – Masz rację, oczywiście – dodał, przechodząc w szept. – Co mamy zrobić, Jay?

– Ktoś musi ocalić Barnettowi życie i jednocześnie nie dopuścić, by cała sprawa wyszła na jaw. Szczegóły zostawiam tobie.

– Serdeczne dzięki – odparł z sarkazmem restaurator.

– Znajdź pomoc – poradził detektyw. – Kogoś, komu możesz zaufać. Może Tachiona. Bądź subtelny, ale nie zapominaj też o ostrożności. Sprawdź, czy możesz znaleźć jakiś sposób, by wzmocnić ochronę Barnetta.

– Lepiej wszystkich kandydatów – zasugerował Hiram.

– W porządku – zgodził się detektyw. – Ja zajmę się sprawą po tej stronie.

– Posłuchaj, Jay, bardziej byś się przydał tutaj. Poczwaraka nie żyje. Twoja donkiszoteria nie przywróci jej życia. Włącz licznik i złap najbliższy samolot do Atlanty. Wynajmuję cię. Chcę, żebyś został ochroniarzem senatora Hartmanna.

– Ostatnia osoba, której miałem pilnować, straciła głowę – zauważył Jay. – Poza tym myślałem, że każdemu kandydatowi przydzielono do ochrony rządowego asa?

– Carnifex to niekompetentny samochwała – skwitował Hiram. – Zwykły uliczny chuligan, szczerze mówiąc, a do tego niezbyt bystry. Więcej wiary pokładam w Secret Service, ale oni są tylko ludźmi. Barnettowi przynajmniej przydzielono Czarną Lady, ale Gregg jest w praktyce bezbronny. Potrzebujemy twojej pomocy, Jay.

– Ustaw się w kolejce – mruknął detektyw. – Muszę już lecieć, Hiram. Będę w kontakcie. Uważaj na siebie. Zrób, co będziesz mógł.

– Rzutnik, czy nie mógłbyś choć raz wysłuchać głosu rozsądku? – nie ustępował restaurator.

– Nie – oznajmił Jay. – To mogłoby mi wejść w nawyk.

Odłożył słuchawkę, nim Hiram zdążył mu odpowiedzieć, i ruszył ku drzwiom.

Gdy tylko wyszedł z gabinetu, telefon zadzwonił znowu. Detektyw oparł się o drzwi i zaczął liczyć dzwonki. Trzeba przyznać, że Hiram nie dawał łatwo za wygraną. Gdy dzwonek zabrzmiał po raz dziewiąty, Jay westchnął, wrócił do ciemnego gabinetu i uniósł słuchawkę.

– Posłuchaj, Hiram – zaczął. – Nie polecę do Atlanty, niech to szlag. Jeśli senator Gregg potrzebuje kolejnego anioła stróża, sam podejmij się tej roboty. Nie możesz po prostu...

– Mój łącznik potrzebuje pomocy – odezwał się w słuchawce cichy, kobiecy głos.

Po plecach detektywa przebiegł zimny dreszcz. Znał ten głos. Znał jego tembr, jego rytm i staranny, brytyjski akcent.

– Poczwarzka? – wyszeptał ze zdumieniem.

– Pojedź po niego – zażądała kobieta. – Zanim będzie za późno.

– Ty nie żyjesz – odparł ochryłym głosem detektyw. Stał sam w ciemności, ściskając słuchawkę w spoconej dłoni. Nagle poczuł się, jakby cały świat usunął mu się spod nóg.

– Eskimos... – zaczęła Poczwarzka.

– Eskimos? – przerwał jej Jay. Sprawa robiła się coraz dziwniejsza, zupełnie jakby wpadł do króliczej nory. Poczwarzka leżała w trumnie w tym samym budynku, a mimo to rozmawiał z nią przez telefon o Eskimosach. To obudziło w nim podejrzliwość.

– Kto właściwie mówi, do cholery? – zapytał.

Nastąpiła długa cisza.

– Poczwarzka – odpowiedział wreszcie głos.

Brzmienie na pewno się zgadzało.

– Mój Boże – odezwał się Jay z całą bojaźnią, jaką potrafił z siebie wydusić. – Ty żyjesz. Kochanie... czy to naprawdę ty, słodka?

Znowu chwila wahania.

– Tak – wyszeptał głos. – To ja, mój kochany. Posłuchaj, musisz uratować mojego łącznika, bo...

– Tak, wiem, porwali go Eskimosi – przerwał jej Jay. – Może ty uważasz to za zabawne, ale ja z pewnością nie. Świetnie potrafisz udawać Poczwarzkę, ale nią nie jesteś. Zabierz swoich Eskimosów, wlej ludwika

z powrotem do butelki i idź się pierdolić, dobra?

Walał słuchawką o widelki tak mocno, że aż zadzwoniła.

Siedział potem po ciemku przez długi czas i gapił się ze złością na telefon, czekając, aż znowu zadzwoni. Nie zadzwonił.

21:00

Ann-Marie była w ósmym miesiącu ciąży z ich dzieckiem. Kochali się powoli i delikatnie. Brennan klęczał przed nią, a ona leżała na boku, jedną nogę wyciągając przed siebie, a drugą unosząc do góry. Była drobną, szczupłą kobietą, ale dziecko nadało jej brzuchowi wielkie rozmiary. Piersi również jej urosły, a sutki zrobiły się ciemne, sterczące i niezwykle wrażliwe na dotyk jego palców bądź pieszczoty jego ust. Z twarzy przypominała bardziej swych wietnamskich przodków niż francuskich. Była piękna. Piękna i spragniona jego dotyku.

Kochali się powoli, wręcz ospale. Wszystkie najdrobniejsze poruszenia ich ciał były doskonale zsynchronizowane. W pewnej chwili Ann-Marie zaczęła się zmieniać. Jej skóra i mięśnie zniknęły na jego oczach, aż wreszcie ujrzał sieć naczyń krwionośnych przesywających jej ciało, kości i narządy wewnętrzne ukryte za ich synem, przebywającym w jej łonie. Potem dziecko rozpuściło się i zmieniło, podobnie jak sama Ann-Marie. Była teraz większa, silniejsza i miała szersze biodra. Jej piersi też były okazalsze, choć niewidzialne. W jakiś sposób zmienili pozycje. Brennan leżał teraz na plecach, a Poczwarzka dosiadała go okrakiem. Jej enigmatyczna twarz miała marzycielski, namiętny wyraz, a sutki poruszały się miarowo na niewidzialnych gruczołach piersiowych, gdy ujeżdżała go, poruszając miednicą powoli i tak mocno, że jęczał przy każdym pchnięciu.

Wyciągnął rękę, by popieścić jej ciepłe, miękkie, niewidzialne piersi i wtedy nagle ulotniły się jak dym. Poczwarzka zniknęła powoli, ale nadal czuł jej ciepło oraz wilgoć na lędźwiach. Potem zmaterializowała się znowu, ale jej ciało było nieprzezroczyste, piersi małe i twarde, a ciało

wysokie, szczupłe i muskularne.

– Jennifer – wyszeptał Yeoman. Uśmiechnęła się smutno, a potem się odsunęła. Zabrała ze sobą całe ciepło, zostawiając go samego i nagiego. Rozpłakał się. Ból rozstania przeszywał go raz po raz. Powoli zniknęła mu z oczu, zostawiając go w mgiełce cierpienia i łez.

Przymrużył powieki, starając się cokolwiek zobaczyć. W mgiełce unosiła się jakaś twarz. Ktoś przyglądał mu się z bliska.

– Jennifer – wychrypiął Brennan. W ustach czuł suchość, a w gardle ścisnęło go boleśnie.

– Pora już się obudzić – odezwał się niepokojąco znajomy głos. – Przekonamy się, czy uda nam się całkowicie przywrócić panu przytomność.

Brennan nie był w stanie poruszyć rękami ani nogami, ale zachował w nich czucie. Mężczyzna złapał go za ramię. Potem nadszedł ból, gdy igły wbiły się w ciało Yeomana w trzech albo czterech miejscach. Brennan otworzył usta, by się sprzeciwić, ale jego wargi i język nie chciały ze sobą współpracować. Wymamrotał coś niezrozumiałego, nawet nie rozumiejąc, co chciał powiedzieć. Minęła chwila czy dwie i nagle poczuł, że serce bije mu coraz szybciej i szybciej. Obraz przed jego oczami co chwila przechodził od zamglonego do boleśnie wyrazistego i z powrotem, jak stroboskopowe światło. Chciał wstać, krzyczeć, uciekać, ale nagle sobie uświadomił, że przywiązano go do krzesła skórzanymi paskami. Próbował za nie szarpać, ale były mocne. Zacisnął mocno zęby i zaczął kołysać się w przód i w tył, ale krzesło nie chciało się poruszyć, a rzemienie wrzynały mu się w ciało. Zawył, dysząc z szalonego, bezrozumnego gniewu. Musiał wstać, a to cholerne krzesło mu na to nie pozwalało! Uwolni się, musi się uwolnić! Skupił całą swą siłę w prawym ramieniu i zaczął nim szarpać, usiłując się wyrwać. Poczuł, że po skórze sływa mu krew, ale tylko zdwoił wysiłki.

– Przykro mi – odezwał się ktoś. – Czasami trudno jest ocenić siłę dawki.

Mężczyzna uśmiechnął się uspokajająco i nagle Brennan poczuł, że z przyjaznej ręki tamtego napływa do niego spokój. Poznawał go.

Widział go wczoraj w Sikorce. To był Quincey, chemik Kiena. Quinn Eskimos. Sprawiał wrażenie sympatycznego faceta. Kiedy zjawia się Quinn Eskimos, wszyscy skaczą z radości. Yeoman spojrzał na swe prawe ramię i zadał sobie pytanie, dlaczego krwawi.

– Już lepiej – stwierdził z aprobatą Quincey. Uśmiechnął się i odsunął rękę od ramienia Brennana. W tej samej chwili więzień zauważył, że z trzech palców tamtego sterczą ostre igły. Nagle wszystkie zniknęły, chowając się w palcach Quinceya. – Witam w Xanadu, panie Yeoman.

Brennan skupił na nim spojrzenie.

– Skąd się tu wziąłem?

– Pan zna odpowiedź na to pytanie lepiej ode mnie – odparł Quincey, wzruszając ramionami. – Jeden z moich mechanicznych strażników złapał pana w ogrodzie.

– Gaśienica na grzybie – przypomniał sobie Brennan.

– Tak – potwierdził Quincey. – To jeden z moich ulubieńców. Wynajęcie techników z Disneylandu kosztowało mnie fortunę, ale na co komu pałac rozkoszy, jeśli nie można w nim mieć tego, czego się chce?

Brennan potrząsnął głową. Przypomniał sobie wszystko. Dziwny liścik, który otrzymał w Wieży Asów, ogród, gaśienicę, chwilę jego pojmania i sen. Sen.

Zamknął oczy. Wszystko wydawało się tak bardzo realne. Ann-Marie. Ostatni raz, gdy kochali się ze sobą, zanim zabójcy Kiena pozbawili życia ją i ich nienarodzone dziecko. Poczwarzka, znowu żywa. Jennifer.

– Czego pan tu szukał? – zapytał Quincey.

Brennan otworzył oczy.

– Zabójcy Poczwarzki.

– Ojej – mruknął chemik. – Tutaj nie znajdzie pan nikogo w tym rodzaju. To mój ogród rozkoszy. Przemoc rzadko tu gości.

Brennan rozejrzał się wkoło. Byli sami w pokoju, który wyglądał jak z *Opowieści tysiąca i jednej nocy*. Piękne, barwne dywany na podłodze, jedwabne, ozdobione brokatem gobeliny – połowa z nich przedstawiała dziewczęta, a druga połowa szczupłych młodzieńców. Wszyscy mieli na sobie greckie stroje albo w ogóle nic i igrali ze sobą, parami bądź

w grupach. Na delikatnych, drogich meblach stały liczne rzeźby w podobnym stylu. Na łożu z baldachimem, a także na podłodze, leżały liczne poduszki w jedwabnych bądź aksamitnych poszewkach.

– Obawiam się jednak, że to będzie musiał być jeden z tych przypadków – podjął Quincey. – Właśnie kończę prace nad ważnym projektem i nie możemy pozwolić, by pan się tu kręcił. Przepraszę pana na chwilę. Muszę wykonać telefon.

Z jego palców znowu wysunęły się igły. Były białe jak kość – Brennan uświadomił sobie, że z niej właśnie zapewne je zrobiono – i puste w środku. Po chwili z centralnej igły wypłynęła odrobina przezroczystego płynu. Quincey ponownie wbił ją w ramię więźnia.

– Ból potrwa tylko chwileczkę – zapewnił.



Jay ruszył z powrotem do sali. W całym domu zrobiło się dziwnie cicho. Z zaskoczeniem przekonał się, że Jory opuścił posterunek przy drzwiach. Jego miejsce zajął Waldo Cosgrove, który załamywał drobne dłonie i wyglądał rzeczywiście na wyjątkowo smutnego. Jay ominął go i wszedł do środka. W pomieszczeniu panowała nerwowa, lodowata cisza. Żalobnicy odsunęli się dyskretnie od dwóch stojących pośrodku mężczyzn. Wszyscy jednak obserwowali ich z uwagą.

Jory zajął pozycję w przejściu między szeregami składanych krzeseł. Twarz pociemniała mu z gniewu.

– Co pan powiedział? – zapytał.

Stojący przy trumnie przybysz wyglądał jak wcielona śmierć. Był wysoki i szczupły. Miał na sobie czarną, wełnianą marynarkę, na którą włożył płaszcz z kapturem. W pierwszej chwili Jay pomyślał, że niezajomy ma na twarzy maskę i to, biorąc pod uwagę okazję, wyjątkowo niegustowną. Potem jednak przemówił i detektyw uświadomił sobie, że trupia główka – poźółkła i beznosa, szczerząca zęby w wiecznym uśmiechu – jest jego prawdziwą twarzą.

– Powiedziałem – powtórzył dzoker głębokim, zimnym jak lód głosem

– że to nie jest Poczwarzka.

Wskazał urękawiczoną dłonią na młodą kobietę leżącą w trumnie.

Usłyszawszy te słowa, Jay poczuł nagły ucisk w żołądku. Jeśli w trumnie nie było Poczwarzki, jeśli w jakiś sposób zdołał błędnie rozpoznać ciało, które odnalazł, to może ona żyła, może głos, który usłyszał w słuchawce...

– Nie przypominam sobie, że bym pytał pana o zdanie – warknął Jory. Jego akcent nasilił się jeszcze pod wpływem stresu. – Zakłóca pan spokój uroczystości. Byłbym panu wdzięczny, gdyby pan wyszedł.

– Nie sędzę, bym miał to zrobić – odparł mężczyzna w czarnym płaszczu. – Przyszedłem tu po to, by pożegnać się z Poczwarzką, zobaczyć się z nią po raz ostatni. I co znalazłem? Jakaś natolską fantazję leżącą w trumnie i pokój pełen ludzi, którym zabroniono wypowiadać jej imię.

– Miała na imię Debra-Jo i była moją córką! – Żyła w szyi Jory’ego zaczęła pulsować.

– Miała na imię Poczwarzka – odpowiedział zimno dzoker.

Ojciec Kałamarnica podszedł do niego.

– Charles, on jest z Oklahomy. Trudno od niego zbyt wiele wymagać. Musimy uszanować jego żałobę.

– W takim razie niech on uszanuje naszą.

– Nie chciał nas obrazić – nie ustępował kapłan.

– Ale to jeszcze nie znaczy, że ta maskarada nie jest obraźliwa.

Dzoker ani na moment nie spuszczał z Jory’ego spojrzenia głęboko osadzonych w czaszce oczu.

Waldo Cosgrove podbiegł do nich nerwowo.

– Panowie, panowie, nie kłóćcie się, proszę. To nie jest czas ani miejsce na to, tak? Nasza droga Poczwarzka, to znaczy Debra-Jo, z pewnością by tego nie chciała...

– Ja bym chciał, żeby wyrzucił pan stąd tego paskudnego skurczybyka, Cosgrove. Słyszał pan? Albo wezwie pan takich przedstawicieli prawa, jakich tutaj macie, albo ja to zrobię. Tak czy inaczej, ten skubaniec wylądował na ulicy.

Waldo rozejrzał się bezradnie po sali, szukając jakiejś drogi wyjścia z tej

kabały. Jayowi było go żal. Wreszcie przedsiębiorca pogrzebowy spojrzął na dzokera o twarzy czaszki.

– Charles, proszę – rzekł potulnie. – Zwyczaj nakazuje w takich sprawach spełniać życzenia rodziny.

– To prawda – zgodził się Charles i zatoczył ręką krag. – Ale to my jesteśmy jej rodziną, Waldo, nie on. On nawet nie wie, jak miała na imię. – Odwrócił się plecami do Jory’ego i spojrzął na siedzącego na krześle Cosma. Najmłodszy z braci Cosgrove’ów uniósł wzrok, poprawiając okrągłe, druciane okulary. Na grzbiecie jego dłoni i pod linią żuchwy pojawił się już szary nalot grzyba. Cosmo milczał. – Pokaż mi ją – zażądał Charles. – Pokaż mi ją taką, jaka była naprawdę.

– Nie! – wrzasnął Jory. – Zabraniam tego! – Podbiegł do Cosma i wskazał na niego palcem. – Słyszałeś, chłopcze?

Najmłodszy z Cosgrove’ów popatrzył na niego bez słowa i znowu przeniósł spojrzenie na Charlesa.

Ktoś wciągnął nagle powietrze. Wszyscy spojrzeli na trumnę. Z miękkiej skóry Debry-Jo odplynęły kolory.

– Niech cię szlag – warknął do Cosma Jory i zwrócił się w stronę Walda. – Hej, ty! Wezwij policję! Natychmiast!

Podbródek przedsiębiorcy pogrzebowego drżał, a jego usta poruszały się bezgłośnie.

Z ciała Poczwaraki zniknął delikatny odcień różu. Jej skóra była teraz biała i gładka jak mleko. Tu i ówdzie zaczynała się robić półprzezroczysta.

– W takim razie zrobię to sam – oznajmił Jory i ruszył w stronę telefonu.

Wtem rozległ się głośny trzask, jakby ktoś złamał kilka desek. Wszyscy znieruchomieli. Jory uniósł wzrok i nie przestawał go unosić, aż spojrzął w czerwone oczy łypiące na niego spod potężnych wałów nadoczodołowych. Troll, łypiący na niego z wysokości prawie trzech metrów, jeszcze raz strzelił palcami, po czym zacisnął zielone łapsko w pięść wielkości wiejskiej szynki.

– Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł – oznajmił głosem brzęącym,

jakby dobiegał z dna najgłębszej zwirowni na świecie.

Wszyscy żałobnicy poparli go cichym mamrotaniem. Skóra Poczwarcki przybrała kolor woskowanego papieru. Można już było zobaczyć sieć żył oraz mroczne cienie kości i narządów wewnętrznych, ukryte pod znikającym powoli ciałem.

Jory odwrócił się w stronę trumny i zatrzasnął mocno pokrywę.

– Wynoście się stąd! – wrzasnął. Gniew całkowicie odebrał mu rozsądek. – Wszyscy się stąd wynoście! – Wpatrywał się w twarze dzokerów z nieskrywaną odrazą. – Wszyscy trzymacie się razem, tak? Wy jej to zrobiliście, cholerni...

Jay wyciągnął ręce z kieszeni i wskazał palcem. Jory zniknął. Gdy tylko żałobnicy uświadomili sobie, co się wydarzyło, napięcie zniknęło z sali. Ojciec Kałamarnica potrząsnął głową. Macki na jego twarzy zakółysały się na boki.

– Dokąd go wysłałeś, synu? – zapytał.

– Do Wieży Asów – odpowiedział Jay. – Może po dobrym posiłku i kilku drinkach poczuje się lepiej. Sytuacja robiła się naprawdę paskudna.

Dzoker imieniem Charles podszedł do trumny i uniósł wieko. W środku leżała teraz Poczwarcka. Skórę miała idealnie przezroczystą, jak szkło wysokiej jakości. Pod nią kryły się blade cienie mięśni i ścięgien, a pod nimi kości i organy wewnętrzne oraz czerwono-niebieska pajęczyna naczyń krwionośnych.

Ten obraz był równie złudny jak poprzedni, ale to właśnie chcieli zobaczyć. Tak wyglądała Poczwarcka za życia. Ostatnie wątpliwości Jaya zniknęły, gdy przyjrzał się ciału. Ostatnie nadzieje również. Poczwarcka nie żyła. Głos w telefonie był oszustwem.

Charles przyglądał się jej przez długi czas, po czym odwrócił się usatysfakcjonowany. Zanim się oddalił, poklepał Cosma po ramieniu. Gorąca Mama opadła na kolana, wymachując w powietrzu dymiącymi rękami. Znowu się rozpłakała. Inni tłoczyli się wokół trumny, cisi i pełni szacunku. Kuriozum stało w kącie, przyglądając się temu z uwagą.

Jay dogonił dzokera o twarzy czaszki, gdy ten wychodził z pomieszczenia.

– Charles Dutton, jak sądzę.

Śmierć odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy.

– Tak.

– Jestem Jay Ackroyd – przedstawił się, wyciągając rękę. – Chciałbym panu zadać kilka pytań.

22:00

– Obawiam się, że nie potrafię panu powiedzieć zbyt wiele, panie Ackroyd – odpowiedział Charles Dutton. Wzdłuż Bowery Street dął gorący lipcowy wiatr i czarny płaszcz dzokera łopotał za nim po drodze.

– Byliśmy z Poczwardką współnikami, ale nie mogę twierdzić, że dobrze ją znałem. Ona pilnie strzegła swych tajemnic.

– Z pewnością pan wie o tym najlepiej. Był pan jedną z nich – zauważył detektyw. – Jak to możliwe, że nikt nie wiedział, iż jest pan współnikiem Poczwardki?

Musiał iść szybko, żeby nadążyć za długonogim dzokerem.

Minęli klub „Chaos” i Dutton pomachał uprzejmie ręką do bramkarza.

– Ona lubiła blask reflektorów, a ja wolę go unikać – wyjaśnił. – Dzisiejszy dzień był wyjątkiem. Chciałem pożegnać się z nią dyskretnie, ale kiedy zobaczyłem, co robił ten zarozumiały dureń, nie mogłem zapanować nad emocjami.

– Był jej ojcem – zauważył Jay.

– Jej ukochanym ojcem – zgodził się z ironią. – Przez wiele lat więził ją w jej własnym domu, bo tak bardzo wstydził się jej wyglądu. No wie pan, wiem trochę o jej przeszłości. Nie lubiła o tym mówić, ale po przybyciu do Dżokerowa potrzebowała mojej pomocy, by otworzyć Kryształowy Pałac, a ja zawsze chcę wiedzieć, kim są moi współnicy.

– Pożyczył jej pan pieniądze?

Dutton skinął głową.

– Przybyła do miasta ze sporą sumą w obligacjach na okaziciela, ale chciała kupić prawie pół kwartału. Nie tylko budynek, który stał się Kryształowym Pałacem, lecz również wszystkie otaczające go ruiny. Zapewne nie muszę panu mówić, że nieruchomości na Manhattanie są drogie, nawet w Dżokerowie. W grę wchodziły też inne koszty. Remont budynku, umeblowanie i doprowadzenie kanalizacji, licencja na sprzedaż alkoholu...

– Łapówki – zasugerował Jay. Minął ich samochód jadący w przeciwną stronę ulicy. Jay przyglądał się jego oddalającym się światom odbitym w długiej szybie pralni samoobsługowej, którą właśnie mijali.

– Miejscy inspektorzy pracują bardzo ciężko – zauważył Dutton. – Podobnie jak nasza policja i strażacy. Zawsze rozsądnie jest regularnie przekazywać im wyrazy uznania, zwłaszcza jeśli jest się dżokerem. Ale to sporo kosztuje.

– Zatem pożyczył jej pan kupę forsy – stwierdził detektyw, nadal wpatrując się w odbicia w szybie pralni. – Jaka część lokalu jest pana własnością?

– Jedna trzecia – odpowiedział Dutton. – Poczwarka zachowała pakiet kontrolny.

– Proszę się nie zatrzymywać ani nie oglądać za siebie – ostrzegł go Jay.

– Śledzą nas.

– Naprawdę?

Dutton był dobry. Nawet nie zwolnił kroku.

– Po przeciwnej stronie ulicy, może z pół bloku za nami. Próbuje się przemykać przez skrzyżowania – wyjaśnił Jay. – Czysta amatorszczyzna. Nigdy nie zdałby egzaminu z przemykania się w szkole dla detektywów. Omija latarnie, ale łapią go reflektory każdego przejeżdżającego samochodu.

– Wie pan, kto to jest? – zapytał Dutton.

– Kuriozum. Czy to pański kumpel?

– Obawiam się, że nie. Znam tylko jego reputację.

– Ma pan jakieś nadzwyczajne moce, o których pan nie wspomniał,

czy sam będę musiał się tym zająć? – zapytał detektyw.

– A czy bogactwo można zaliczyć do nadzwyczajnych mocy? – zapytał ze śmiechem Dutton.

– Może i tak. Jeśli nas zaatakują, niech pan spróbuje rzucić w nie garścią studolarowych banknotów. Przekonamy się, czy to coś da.

– Mam lepszy pomysł – odezwał się Dutton i nagle się zatrzymał. Znajdowali się przed drzwiami Sławnego Groszowego Muzeum Dzikiej Karty na Bowery Street. Dutton podszedł do nich.

– Co pan robi? – zdziwił się Jay. – Muzeum jest zamknięte.

– Mam klucz – oznajmił dzoker. Otworzył drzwi i zaprosił detektywa gestem do środka. – Kierownictwo nie będzie miało nic przeciwko temu.

– Pan jest właścicielem? – domyślił się Jay, gdy Dutton zamknął za sobą drzwi.

– Obawiam się, że tak. – Dzoker nacisnął kilka klawiszy na klawiaturze przy wejściu i migające czerwone światło przeszło w zielone. – Wszystko w porządku – stwierdził. – Chodźmy.

W muzeum panowały chłód i półmrok. Minęli wahadłowe drzwi i ruszyli przed siebie korytarzem technicznym.

– Czy to muzeum przynosi zadowalające zyski? – zainteresował się detektyw.

– Nie najgorsze – przyznał dzoker. – Był pan tu, oczywiście.

– Dawno temu – potwierdził Jay. – Kiedy byłem bardzo młody. Pamiętam tylko słoje. Dziesiątki wielkich słoików, w których pływały zdeformowane dzokerskie dzieci. Naprawdę się wtedy wystraszyłem. – Wspomnienie przez wiele lat skrywało się w głębiach umysłu, ale gdy tylko Jay o tym powiedział, powróciło tak wyraziście, że poczuł jego smak. Niezliczone drobne ciała, wypaczone i przerażające, pływały w formalinie za szkłem. Jedno z nich, większe od innych i szczególnie groteskowe, zamontowano na obrotowym piedestale. Detektyw do dziś pamiętał strach, który poczuł, gdy twarz eksponatu zwróciła się ku niemu. Krzyczał, że dziecko zaraz otworzy oczy i na niego spojrzy. Ojciec w żaden sposób nie mógł go uspokoić. – Miałem potem

koszmary – wyznał Jay, uświadamiając to sobie ze zdumieniem. Nie był w stanie powstrzymać drżenia. – Jezu. Dawno ich już tu nie ma, prawda?

– Niestety, są – przyznał Dutton. – Monstrualne dzokerskie dzieci zaliczają się do eksponatów, które towarzyszą nam od początku. Turyści spodziewają się je zobaczyć. Niemniej odkąd odziedziczyłem tę placówkę po poprzednich właścicielach, podjąłem wiele starań, by uczynić z niej zasługujące na szacunek muzeum, i nasze nowe atrakcje wyglądają zupełnie inaczej. Pokażę je panu. – Przeprowadził Jaya przez drzwi do jednej z sal. – To jest nasza syryjska diorama.

Jay popatrzył przez szybę na dramatyczną scenkę złożoną z figur woskowych. Na pierwszym planie Carnifex wyrwał uzi z rąk terrorysty, a ciężarna Sokolica orała twarz tego samego przeciwnika metalowymi szponami. Tachion, ubrany jak ślepy na kolory arabski dandys, leżał na posadzce. Nieco dalej Jack Braun pędził w stronę drugiego uzbrojonego wroga, a kule odbijały się od jego ciała. Jedna z nich trafiła rykoszetem senatora Hartmanna. Można było zobaczyć krew przesączającą się przez jego sportową marynarkę. Daleko z tyłu Hiram łupał groźnie na gigantycznego arabskiego Rambo, przedstawionego w odpowiedniej skali, a kobieta w czarnym czadorze unosiła zakrwawiony nóż nad przewróconym na posadzkę prorokiem.

– Z pewnością pamięta pan ten incydent – stwierdził Dutton.

– Pamiętam – potwierdził Jay. – To było podczas podróży dookoła świata. Hartmann został ranny i to bardzo pomogło mu w kampanii.

– Nigdy nie zaszkodzi zostać bohaterem – zgodził się dzoker.

– A do czego służą te przyciski? – zapytał Jay, wskazując na panel z guzikami umieszczony przed dioramą.

– Nasze nowe eksponaty są bardzo nowoczesne – wyjaśnił Dutton. – Efekty dźwiękowe, dramatyczne oświetlenie, animatronika. Jeden z guzików uruchamia światła złotego pola siłowego Jacka Brauna, a drugi zieloną aurę Nura. Ostatni przewraca Sajjida. To ten olbrzym. Worcester uczynił go tak ciężkim, że nie mógł utrzymać swego ciężaru.

– Nie wiedziałem, że woskowe figury mogą się poruszać – przyznał

Jay.

– W animowanych eksponatach odchodzimy od wosku – wyjaśnił Dutton. – Sajjid jest w trzech czwartych zrobiony z plastiku.

– Ale czy nie miażdży pozostałych figur?

– Nigdy nie dotyka podłogi. Dzieci to uwielbiają. Wszystkie zaciskają piąstki i udają, że są asami.

– Hiram byłby zachwycony – stwierdził z przekąsem Jay.

– Chodźmy dalej – zaproponował Dutton. – Oprowadzę pana po muzeum.

– Ale pod warunkiem, że ominie my monstrualne dzokerskie dzieci – odpowiedział detektyw. – Nie chcę ich znowu oglądać. Mam już wystarczająco wiele problemów.

Właściciel muzeum roześmiał się głośno i poprowadził go przez labirynt słabo oświetlonych korytarzy, w których bohaterowie i łotry z dawnych czasów przyglądali się im z cieni. Minęli Śmiga, Czwórkę Asów i Króla Jaszczurów. Budowlaniec i Radykał stali zwarci w wiecznej walce, a drużyna z Dzokerskiej Brygady odpierała ataki Wietnamców w jakiejś piekielnej dżungli. W Galerii Niesławy Astronom sterczał ze ściany. Widać było tylko jego twarz i dłonie. Reszta ciała została uwięziona w murze. Zaprawa zrobiła się czerwona od jego krwi. Nieopodal stał Gary Gilmore otoczony słupami soli, a Gimli zagrzewał do walki oszalały tłum, unosząc pięść nad głowę. Detektyw odnosił wrażenie, że szklane oczy karła go śledzą.

– Świetna robota – stwierdził. – Wygląda jak prawdziwy.

– Bo jest prawdziwy – odparł Dutton. – Pustą skórę Gimlego znaleziono w zaułku niedaleko stąd. Nie miał rodziny, więc, hmm, przejęliśmy szczątki.

Jay zerknął na niego z ukosa.

– Wypchaliście go.

Słyszał gdzieś tę historię, ale zdążył już o niej zapomnieć. Dutton odchrząknął.

– No cóż, tak. Okazał się bardzo popularną atrakcją.

– Chyba widziałem już wystarczająco wiele – skwitował detektyw.

– Jak pan sobie życzy.

Dutton poprowadził go przez ogromną salę, w której pod sufitem zawieszono stare skorupy Żółwia. Sąsiednia galeria nadal była w budowie. Mijali liczne drabiny, brezentowe płachty i kozły do piłowania drewna, aż wreszcie dotarli do snack baru ulokowanego w samym środku budynku. Właściciel muzeum włączył światło i stanął przed całym szeregiem automatów sprzedających.

– Woli pan kawę czy jakiś napój gazowany?

Jay nagle sobie uświadomił, że w budynku jest zimno. Najwyraźniej klimatyzacji nie wyłączano tu nawet nocą, z uwagi na figury woskowe.

– Chętnie napiłbym się kawy – przyznał.

Dzoker wrzucił do maszyny kilka monet i po chwili podszedł do stolika z dwoma tekturowymi kubkami. Jeden wręczył gościowi i obaj usiedli.

– I co pan teraz sądzi o moim małym muzeum? – zapytał.

– Muzea są jak cmentarze – odparł Jay. – Pełne martwych obiektów. Martwe obiekty mnie przygnębiają.

– Sławne Groszowe Muzeum Dzikiej Karty jest jedną z ważnych instytucji Dżokerowa.

Detektyw dmuchnął na kawę.

– Kryształowy Pałac również.

– Zgadza się – przyznał Dutton. – Ale to instytucja innego rodzaju.

– A teraz jest pan właścicielem obu.

– To prawda. Zgodnie z warunkami naszej umowy po śmierci jednego ze współników drugi dziedziczy całość.

– Czy dlatego kazał pan ją zabić? – zapytał od niechcenia Jay.



Koszmary wróciły, ale tym razem były niejasne i zamazane. Ściągały Brennana przez lepką mgłę, w której szukał drogi do nieistniejącego domu. Wszędzie panowała cisza maćona jedynie tajemniczym ćwierkaniem ściągających go stworzeń. Nagle jednak usłyszał, że ktoś

woła go po imieniu, cicho, lecz natarczywie. To był kobiecy głos. To była Jennifer.

Czuł dotyk jej chłodnych dłoni na swojej twarzy. Klęczała przed nim. Tym razem miała na sobie kostium kąpielowy. Raz po raz powtarzała cicho jego imię. Próbował wyciągnąć do niej ręce, ale nadal był przywiązany do krzesła. Dotknęła jego więzów i natychmiast się rozsupłały. Osunął się do przodu. Złapała go i oboje upadli na podłogę, Brennan na wierzchu.

Była piękna. Całował ją przez bardzo długą chwilę, ale w końcu wysunęła się spod niego.

– Musimy uciekać, Danielu. Musimy się stąd wydostać, zanim wrócą. Brennan skinął głową.

– Zrobimy to. Zrobimy – zapewnił i spróbował znowu ją pocałować.

Odepchnęła go. Odwrócił się i popatrzył na nią z urazą w oczach.

– Zupełnie jak w poprzednim śnie – oznajmił. Okropnie chciało mu się płakać.

– To nie jest sen – oznajmiła stanowczo, ale cicho. – To rzeczywistość.

Złapała go za rękę i ucisnęła ją mocno. Jej dłonie były ciepłe i materialne. Dotknął jej twarzy.

– Jesteś realna – zdumiał się.

– Tak.

Wstała i pociągnęła go za ramię.

On również spróbował się podnieść, ale nagle dopadły go straszliwe zawroty głowy. Wsparł się na Jennifer, która zachwiała się na nogach, ale zaczęła go popychać w stronę drzwi.

– Skąd się tu wzięłaś? – zapytał.

– Ratuję cię. Teraz nie ma czasu na rozmowy.

Łuk i kołczan Brennana leżały przy drzwiach, podobnie jak liczne noże i inne rekwizyty, które zebrał mu Quincey. Zatrzymali się, żeby zabrać luk z kołczanem, ale nie mieli czasu na nic innego.

Na dworze było ciemno. Yeoman zastanawiał się, jak długo był nieprzytomny. Ledwie zdążyli się skryć za wysokim, gęstym żywopłotem, gdy przez frontowe drzwi do budynku wszedł Znikacz

w towarzystwie dwóch Wilkołaków. Brennan wziął głęboki oddech. Nocne powietrze pomogło mu odzyskać przytomność, a może po prostu narkotyki przestawały już działać. O własnych siłach podążył za Jennifer przez ogród. Zdążyli się skryć wśród drzew, nim usłyszeli dobiegający z domu alarm.

– Mój samochód jest tam – poinformował kobietę.

– Wiem. Zaparkowałam obok niego.

– Jak mnie znalazłaś? – zapytał.

Zerknęła na niego, gdy szli między drzewami. Drogę oświetlał im blask będącego prawie w pełni księżyca.

– To nie było łatwe. Cały wczorajszy dzień i większą część dzisiejszego sprawdzałam twoje stare meliny, aż wreszcie trafiłam do tego hotelu. Ale tam cię nie było, oczywiście. Nigdy bym cię nie znalazła, gdyby nie telefon.

– Telefon?

– Tak. Powiedziała, że tu jesteś. Że cię złapali.

Wydostali się spomiędzy drzew na drogę. Yeoman stracił kluczyki, więc wsiedli do samochodu Jennifer i odjechali pośpiesznie.

Brennan zaczął wykonywać ćwiczenia oddechowe, próbując oczyścić umysł, podczas gdy siedząca za kółkiem kobieta wpatrywała się w szosę, od czasu do czasu oglądając się na niego.

– W tym telefonie było coś dziwnego – zaczęła Jennifer. Nagle umilkła, znowu spoglądając na mężczyznę.

– Tak? – zachęcił ją.

– Mogłabym przysiąc, że to była Poczwarzka.

Brennan osunął się na siedzeniu. Pragnął powiedzieć Jennifer tysiąc różnych rzeczy, ale nie był w stanie wydobyć z siebie głosu. W głowie kręciło mu się od jej rewelacji i od narkotyków, które podał mu Quincey. Coś tu się nie zgadzało, naprawdę bardzo się nie zgadzało. Być może tylko jeden człowiek mógł mu to wyjaśnić, tylko jeden człowiek wiedział na pewno, czy to ciało Poczwarzki leżało w jej gabinecie.

Ten, który je tam znalazł.



Dutton z wielkim spokojem pociągnął łyk kawy z plastikowego kubka.

– Czy wolałby pan, żebym rozlał kawę pod wpływem szoku, czy wystarczy, że zblednę z powodu wyrzutów sumienia?

– Wszystko mi jedno, pod warunkiem że się pan przyzna. Nie jestem wybredny.

– Zakładając, że rzeczywiście jestem winny, czy nie byłoby naiwnością uważać, że od razu wszystko wyznam?

– Hej, Perry’emu Masonowi ta sztuczka zawsze się udaje – odparł Jay.

– Nie może pan mieć mi za złe, że próbowałem.

Dzoker odstawił kawę, zdjął płaszcz i powiesił go na oparciu krzesła. W blasku fluoryzującego światła jego skóra nabrała upiornie żółtego odcienia, tu i ówdzie zmaconego przez martwe, suche, brązowe plamki.

– Tak się składa, że z wyglądu przypominam popularne wyobrażenie Śmierci – zaczął Dutton. – Niestety, niektórzy podejrzewają mnie z tego powodu o różne rzeczy. Nie zabiłem Poczwalki.

– Nie osobiście – zgodził się Jay. – Ale stać pana na wynajęcie kogoś, kto by to zrobił. I miał pan motyw.

– Czyżby? – zapytał dzoker z rozbawieniem w głosie. – To prawda, że grunty, na których zbudowano Pałac, mają sporą wartość, ale sam lokal to typowy przykład straty podatkowej. Może będę go dalej prowadził, a może nie, ale raczej nie zabiłbym nikogo z tego powodu.

– Ale jej drugi interes był bardzo dochodowy – zauważył detektyw. – I do tego nieopodatkowany. – Upił łyk kawy. Była tak gorąca, że paliła go w podniebienie. – Czy w nim również miał pan udział?

– Nie – zaprzeczył Dutton. – Och, nieraz dobrowolnie dzieliła się ze mną informacjami, które mogły mieć wpływ na moje interesy, i nigdy nie żądała ode mnie zapłaty. To był jeden z elementów naszej umowy. Ale poza tym jej małe hobby należało wyłącznie do niej.

– Ale teraz przeszło na pana – zasugerował Jay. – Z pewnością nie chciałby pan skazać tych wszystkich informatorów na bezrobocie.

– Może i bym nie chciał – przyznał Dutton. – W jej aktach zapewne

można by znaleźć wiele bardzo interesujących faktów. Nie będę udawał, że tak nie jest. Niemniej nie pobrudziłbym sobie rąk krwią dla czegoś takiego. Mógłbym kupić Poczwarkę dziesięć razy. Nie potrzebowałem jej zabijać.

– W takim razie kto to zrobił? – zapytał detektyw.

– Nie mam pojęcia – przyznał Dutton. – Rzecz jasna, znała bardzo wiele niebezpiecznych tajemnic, ale to właśnie zapewniało jej bezpieczeństwo. Dopóki żyła, można się było z nią dogadać, a kto mógłby przewidzieć, jakie szkielety wypadną z szaf po jej śmierci?

– W Kryształowym Pałacu jest bardzo wiele takich szaf – zgodził się Jay.

– Zatem rozumie pan, co mam na myśli. – Dutton wzruszył ramionami. – Naprawdę bardzo bym chciał panu pomóc.

– Nie ma sprawy. – Jay wypił ostatni łyk kawy i wstał. – No cóż, pora wracać do domu i trochę się przespać. Ma pan tu tylne wyjście?

– Boczne drzwi do zaułka – odpowiedział Dutton, wstając. – Zaprowadzę pana.

Dżoker ponownie poprowadził go labiryntem długich korytarzy pełnych milczącego wosku. Ich kroki odbijały się echem od ścian. Gdy przechodzili przez małą rotundę, Jay nagle usłyszał z tyłu jakiś dźwięk.

Zatrzymał się i obejrzał za siebie. Nic się tam nie ruszało.

– Czy jesteście tu sami?

– Z pewnością – potwierdził Dutton. – Coś jest nie w porządku?

– Coś usłyszałem – odparł detektyw. – I mam dziwne wrażenie. Jakby ktoś mnie obserwował.

– Nie jest pan wyjątkiem – rzekł mu z uśmiechem Dutton. – To przez te figury woskowe. Ludzie mają wrażenie, że śledzą ich wzrokiem.

Jay rozejrzył się wkoło. Przechodzili przez Galerię Piękną. Wypatrzył w cieniach Sokolicę, Aurorę i Kirke.

– Sokolica może mnie śledzić, gdzie tylko zechce – zażartował. Nie sądził jednak, by o to chodziło.

– Tędy – powiedział Dutton.

Minęli róg. Jay złapał dzokera za ramię – mocno, ale cicho –

i pociągnął go do mrocznej niszy za wysoką, wykonaną z metalu i wosku podobizną Stali z Detroit. Uniósł palec do ust. Dutton skinął lekko głową.

W ciszy, która zapadła, detektyw usłyszał ciche kroki. Zmierzały w ich stronę.

To nie mogło być Kuriozum. Cokolwiek to było, stapało lekko jak kot. Odgłos sugerował też, że jest bose.

Jay złożył dłoń na kształt pistoletu. Cień przemknął obok, tak szybko, że detektyw nie wierzył własnym oczom. Stworzenie było małe, sięgało Jayowi najwyżej do kolan, i zniknęło mu z oczu, zanim zdążył zareagować. Wyskoczył z ukrycia i zobaczył je – szara małpa o zbyt wielu rękach. Wycelował, ale było szybsze od niego. Skierowało się do dioramy, po czym wbiegło na górę po szybie, szybko jak jaszczurka, i Jay wysłał woskowego dzokera uczestniczącego w orgii do zamrażarki w Wieży Asów.

– Cholera – warknął. Wycelował raz jeszcze, ale małpa skoczyła w górę, zakołysała się na fluoryzującej lampie i przeskoczyła mu nad głową. Detektyw odwrócił się, by ruszyć w pościg, ale wpadł wprost na Duttona.

– Dokąd uciekło? – zapytał.

– Do rotundy – odparł dzoker. – Ale...

Jay popędził w tamtą stronę. Gdy wpadł do rotundy, stworzenie zdążyło już zniknąć, ale dostrzegł poruszenie w jednym z korytarzy. Pognał za nim i wypadł zza rogu akurat na czas, żeby zobaczyć, jak skoczyło na rurę pod sufitem. Zatrzymało się na mgnienie oka, by syknąć na niego jak piwniczny kot, a potem pobiegło po rurze do pomieszczenia, w którym panowała nieprzenikniona ciemność. Patrzył w górę, na rury, i nie zauważył piedestału.

To było tak, jakby wpadł na słup telefoniczny. Detektyw złapał się za żołądek i klapnął na podłogę, sapiąc z bólu. Piedestał zakołysał się w przód i w tył i zwałił się na niego. Szkło się potłukło. Pierś zalał mu płyn. Coś miękkiego, bladego i śliskiego spadło mu na nią z wilgotnym mlaśnięciem. Poczul ostry smród formaliny. Zamknął oczy.

Usłyszał za sobą kroki.

– Nic się panu nie stało? – zapytał Dutton.

– Stało się – odparł Jay.

– Próbowałem pana ostrzec – rzekł dzoker i zapalił światło.

– Czy jestem tam, gdzie mi się wydaje?

– Obawiam się, że tak – odpowiedział Dutton. – Witam na ekspozycji monstualnych dzokerskich dzieci. Czy mógłbym panu jakoś pomóc?

– Tak – odpowiedział Jay. – Mógłby pan to ze mnie zdjąć!

Nim Dutton uporał się z tym zadaniem, małpa dawno już uciekła.

23:00

Brennan poczuł zapach Ackroyda, nim jeszcze otworzył drzwi jego mieszkania. Gładkim, błyskawicznym ruchem złapał detektywa za łokieć, zatoczył nim półokrąg i walnął o ścianę. Jennifer zmaterializowała się znikąd i zamknęła drzwi.

– Bądź cicho i nie ruszaj się – ostrzegł Yeoman, boleśnie wykręcając Ackroydowi rękę za plecami.

– Jezu Chryste – mruknął z pretensją detektyw, gdy napastnik wcisnął mu twarz w ścianę. – Chyba złamałeś mi cholerny nos.

Brennan zmarszczył własny nos.

– Co ty piłeś, do licha? – zapytał. – Cuchniesz, jakbyś wpadł do kadzi ze złą gorzałą.

– Coś w tym rodzaju – wymamrotał Ackroyd, gdy Jennifer zawiązała pętlę na jego wolnej ręce, wykręciła ją delikatnie i zawiązała z drugą ręką za jego plecami.

Brennan obrócił detektywa i popchnął go na luksusową, obitą skórą sofę z chromowanego metalu, zupełnie niepasującą do obskurnego mieszkania.

Jay zwałił się na kanapę z głośnym „uf”. Próbował pełzać po niej, posiłkując się związanymi rękami. Pociągnął nosem i odchylił głowę do tyłu, starając się powstrzymać wypływ skapującej mu z nosa krwi.

Przyjrzał się Brennanowi.

– Yeoman, jak sądzę. Skoro jesteśmy tak bliskimi przyjaciółmi, czy mogę ci mówić Dan?

– Skąd znasz moje imię? – zapytał cicho Brennan.

Ackroyd wzruszył ramionami. Ten gest utrudniał powstrzymywanie skapującej na koszulę krwi.

– Jedną z pierwszych rzeczy, których się nauczyłem w szkole dla detektywów, to jak dowiadywać się różnych rzeczy. Na przykład poznawać nazwiska zamaskowanych mścicieli.

– Czemu po prostu nie odpowiesz na moje pytanie?

– Albo co mi zrobicie? – zapytał gniewnie Ackroyd, starając się zająć wygodną pozycję na sofie. – Myślicie, że możecie tu sobie wejść i...

Jennifer weszła między obu mężczyzn.

– Nie „myślimy”, panie Ackroyd. Zrobiliśmy to – zauważyła rozsądnie. Wyjęła z torebki chusteczki higieniczne i powstrzymała krwotok z jego nosa. Potem pomacała go ostrożnie. Jay skrzywił się z bólu. – Chyba nie jest złamany. – Ona również się skrzywiła i odsunęła się poza zasięg nieprzyjemnego zapachu.

– Dziękuję – burknął Ackroyd.

Jennifer spojrzała znacząco na Brennana, który wziął oddechu, żeby się uspokoić, i zaczął od nowa.

– Jeśli niewłaściwi ludzie poznają moje nazwisko, mogę mieć mnóstwo kłopotów.

– Kłopotów – przerwał mu Ackroyd. – A co z „kłopotami”, jakie mieli ci, których zabiłeś? Ilu ich było? Czy chociaż to pamiętasz?

– Pamiętam każdą twarz – odparł powoli i twardo Brennan. Ukucnął, aby patrzeć detektywowi prosto w oczy. – Nie lubisz mnie i nie podoba ci się to, co robię. Nic mnie to nie obchodzi. Robię to, co muszę.

– Zastawianie zasadzek na niewinnych...

– Nie umiem wskazywać na ludzi palcem i sprawiać, żeby zniknęli – przerwał mu Brennan równie twardym tonem. – A poza tym nikt z tych, których zabiłem, nie był niewinny. Być może nie wszyscy zasługiwali na śmierć za swoje czyny, ale uczestniczyli w tej grze

świadomie i z własnej woli. To nie moja wina, jeśli byli za głupi, by uświadomić sobie jej konsekwencje.

– W grze? – zdziwił się Ackroyd. – O czym ty gadasz, do cholery?

Yeoman potrząsnął gniewnie głową.

– Nie mam zamiaru się przed tobą tłumaczyć. Powiem tylko jedno.

Walcę... – Urwał nagle, spojrzał na Jennifer i poprawił się pośpiesznie:

– Walczyłem w pojedynkę z Widmowymi Pięściami. Jeden człowiek przeciwko setkom. Robiłem to, co było konieczne. Niczego nie żałuję i o niczym nie zapomniałem.

– Co było konieczne...

– Starczy już tego – przerwał mu bez ogródek Brennan. – Mamy ważniejsze sprawy do omówienia. Nie musimy być przyjaciółmi. Nie musimy się lubić. Nie musimy ze sobą współpracować. Ale powinniśmy porozmawiać.

Ackroyd skinął głową, ale uparcie poruszył skrępowanymi rękami.

– Nic nie powiem, dopóki będę związany.

– W porządku.

Brennan wyciągnął nóż z pochwy przy kostce i przeciął więzy Ackroydowi. Obaj mężczyźni przypatrywali się sobie przez dłuższą chwilę. Detektyw potarł gniewnie nadgarstki, a potem ostrożnie pomacał nos.

– Moje nazwisko – przypomniał mu Yeoman.

Ackroyd wzruszył ramionami.

– Proszę bardzo. Sascha mi je podał. Powiedział, że wyczytał je z myśli Poczwaraki. Mówił, że zapewne byłeś zamieszany w jej morderstwo, choć podejrzewam, że kłamał. Coś naprawdę go przestraszyło. Ale po co to całe zamieszanie z twoją tożsamością? Pomijając fakt, że jesteś poszukiwany za wielokrotne zabójstwo, oczywiście.

Brennan obrzucił go chłodnym spojrzeniem.

– Przebywam w tym kraju nielegalnie. Może kiedyś ci to wyjaśnię, jeśli będziemy mieli parę godzin wolnego czasu. Tylko Zjawa... – wskazał głową na Jennifer – ...i mój wróg znają moje nazwisko. Najwyraźniej Poczwaraka również je znała.

- Ścigają cię federalni?
 - Zdezerterowałem z armii. To skomplikowana sprawa i nie ma nic wspólnego ze śmiercią Poczwarki. O ile ona rzeczywiście nie żyje - dodał z naciskiem.
 - O ile? - obruszył się Ackroyd. - Jak to „o ile”? Znalazłem jej ciało.
 - Jesteś tego pewien?
 - Pewien? Była nie tylko martwa. Była w stu procentach martwa.
- Brennan westchnął i potarł ze znużeniem twarz.
- Sam nie wiem... - zaczął cicho.
 - Chyba jesteś bardziej szalony, niż mi się zdawało. Widziałem ją...
 - A ja słyszałem jej głos. Wczoraj.
 - Słucham? - zapytał cicho Jay.
 - Ja słyszałam go dzisiaj - dodała Jennifer.
 - Co się stało? - zapytał Yeoman, przyglądając się z uwagą detektywowi.
 - Ja też go słyszałem - przyznał cicho Ackroyd. Następnie spojrzał na Brennana i potrząsnął głową. - Ale to nie mogła być ona. Jezu, byłem właśnie w domu pogrzebowym. Widziałem ją w trumnie.
 - Czy jesteś pewien, pewien na sto procent, że w tej trumnie była Poczwarka?
 - Znasz kogoś innego, kto miałby przezroczyste ciało? - zapytał Jay. - To jej zwłoki znalazłem. Poza tym osoba, która do mnie zadzwoniła, musiała być oszustką. Nie znała historii związku łączącego mnie z Poczwarką i opowiadała niestworzone rzeczy. Twierdziła, że porwali cię Eskimosi.
- Brennan potrząsnął z westchnieniem głową.
- No cóż, akurat pod tym względem miała rację. - Uniósł rękę, powstrzymując dalsze pytania Brennana. - W porządku. Jesteś przekonany, że ona nie żyje. Czy masz jakichś podejrzanych? Masz pojęcie, kto mógł ją zabić?
- Detektyw przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, nim wreszcie odpowiedział.
- Podejrzanych mam.

Z wewnętrznej kieszeni na piersi wyciągnął kartkę papieru i podał ją Brennanowi. Była wilgotna i śmierdziała tak samo paskudnie, jak on. Widniała na niej lista nazwisk. Większość z nich skreślono.

– To są twoi kandydaci? – zapytał Yeoman. Jennifer również czytała listę, zaglądając mu przez ramię.

Ackroyd skinął głową.

– Ci, którzy zostali. Pozostałych pozwoliły mi skreślić lata doświadczenia w pracy wyszkolonego śledczego oraz głębokie zrozumienie ludzkiej psychiki.

– Hmm – mruknął Brennan. – Maczugę też możesz wyeliminować. Skopałem mu dziś rano tyłek w lokalu zwanym Piwnicą Pluskacza.

– Ty?

– Nie bądź taki zdziwiony – odparł Brennan z lekkim uśmiechem. – Szczerze mówiąc, coś z nim jest nie w porządku. Z pewnością jest chory. Twierdził, że to on zabił Poczwarke, ale nie potrafił podać żadnych szczegółów. To była tylko żałosna próba odzyskania reputacji.

– Dobra. – Jay wyjął długopis i skreślił nazwisko Maczugi. – Uwierzę ci na słowo. Zostaje nam czterech pierwszoplanowych podejrzanych.

Brennan skinął głową.

– Żmija znam.

– I co z nim? – zapytał Jay.

Brennan i Jennifer wymienili spojrzenia.

– Parę razy ścieraliśmy się ze sobą. Jest silny, ale chyba nie aż tak, żeby był w stanie dokonać tego, co zrobił zabójca Poczwaraki. Poza tym zwykle nie posługuje się brutalną siłą.

– Już o tym myślałem – wtrącił Ackroyd. – Woli posługiwać się kłami, prawda?

Brennan potarł odruchowo szyję.

– Masz rację.

– Ale wszyscy słyszeliśmy, jak groził Poczwarce – zauważyła Jennifer.

– To też prawda. No i jest jednym z najbliższych współpracowników Kiena, stoi wysoko w hierarchii Widmowych Pięści.

– Kiena? – zainteresował się Ackroyd.

- Czemu po prostu nie zostawisz Żmija mnie? - zasugerował Brennan. Jay spojrział na niego i wzruszył ramionami.
- Jak sobie życzysz. Jaszczurka należy do ciebie.
- Dlaczego Quasiczłowiek jest podejrzany? - zapytała Jennifer.
- Pomijając fakt, że w jego mózgu jest więcej dziur niż w serze szwajcarskim? Barnett uratował mu życie, odwołując się do wiary. Przywołał go z martwych dzięki mocy modlitwy. Tak przynajmniej utrzymują niektórzy wyznawcy Ognioustego.
- I? - zapytał Brennan.
- I Poczwarcka opłaciła kogoś, kto ma załatwić tego fanatyka. Brennan zmarszczył brwi.
- Jesteś tego pewien?
- W mniejszym lub większym stopniu. Elmo przekazał jakiemuś wynajętemu mięśniakowi jej polecenie zlikwidowania jednego z polityków w Atlancie.
- Dlaczego? - zdziwiła się Jennifer.
- Nie jestem tego pewien - przyznał Ackroyd, wzruszając ramionami.
- Może dlatego, że bała się jego poglądów politycznych? Brennan potrząsnął głową.
- Nie była głupia. Z pewnością zdawała sobie sprawę, że taka rzecz wepchnęłaby cały kraj w ręce Barnetta. Ale - ciągnął z namysłem - być może nie tylko ty błędnie zrozumiałaś misję Elma. Któryś z ludzi Barnetta również mógł się o niej dowiedzieć i zawiadomić Quasiczłowieka. Tak czy inaczej, musimy to sprawdzić. - Zerknął na Jennifer. - Może udałoby się nam przekonać Ojca Kałamarnicę, żeby wypożyczył nam na chwilę Quasiczłowieka?
- Z jakiego powodu? - zapytała kobieta.
- Powiemy mu, że obawiamy się, iż możemy znowu spotkać Kuriozum.
- Kuriozum? - powtórzył z zainteresowaniem Ackroyd.
- Przyłapałem je na demolowaniu sypialni Poczwarcki. Powiedziało, że szuka czegoś, czego używała, aby je szantażować. Ale nie wierzę w to. Ona nigdy nie wymuszała od nikogo pieniędzy.

- To prawda - zgodził się Jay.
- Zostaje tylko jedno nazwisko - zauważyła Jennifer.
Brennan spojrział na listę.
- Kto to jest Doug Morkle, do licha?
Ackroyd potrząsnął głową.
- Nie mam pojęcia. Zawiadom mnie, gdy się tego dowiesz.
- W porządku. - Yeoman zerknął na Jennifer, po czym znowu przeniósł spojrzenie na Ackroyda. - Czy to wszystko, co masz?
- Tak. Poza kilkoma pytaniami.
- Na przykład?
- Na przykład, czy wiedziałaś, że Poczwarzka związała się z Kopaczem Downsem?
- A kto to taki?
- Podaje się za reportera pracującego dla magazynu „Aces!”.
- Nic o tym nie słyszałem - odpowiedział Brennan. - Ostatni raz rozmawiałem z Poczwarzką w październiku osiemdziesiątego szóstego.
Ackroyd skinął głową.
- Elmo mówił, że rozpaczliwie poszukiwała informacji o tobie. - Przyjrzał się z uwagą drugiemu mężczyźnie. - No dobra. Wiem, że dobrze sobie radzisz z łukiem, ale jak ci idzie z piłą mechaniczną?
- Czy to miał być żart? - zapytał Yeoman, krzywiąc się z niezadowolaniem.
Detektyw wzruszył ramionami.
- Właściwie nie. Jeszcze jedno. Co wiesz o sąsiadach Pałacu?
Brennan miał już dość jego dziwacznych pytań.
- Pałac nie ma sąsiadów - odpowiedział. - Jest jedynym budynkiem w całym kwartale.
- To prawda - zgodził się Ackroyd. - Stuprocentowa prawda.
Brennan ujął Jennifer za ramię.
- Jesteśmy kwita - oznajmił, zwracając się w stronę wyjścia.
- Chciałbym, żebyś wiedział - odezwał się Jay, gdy zatrzymali się przed drzwiami - że tym razem nie wysłałem cię do więzienia Tombs, ale nasze następne spotkanie może wyglądać zupełnie inaczej.

- Następne spotkanie. - Brennan skinął z uśmiechem głową. - Nie mogę się doczekać.

- Do widzenia - powiedziała Jennifer. Przesłała Ackroydowi całusa i przeniknęła przez drzwi.

Yeoman zatrzymał się przed drzwiami, po raz ostatni oglądając się na Jaya.

- Coś ci poradzę. Albo ogranicz picie, albo przerzuć się na coś lepszego. Cuchniesz, jakbyś pływał w formalinie.

- Znakomicie - pochwalił go Ackroyd. - Niemalże mógłbyś zostać detektywem.



Środa, 20 lipca 1988

5:00

Na tablicy przed walącym się dwupiętrowym budynkiem widniał napis: dom POGRZEBOWY COSGROVE'ÓW. COSMO, TITUS i WALDO COSGROVE. Wypisano go odpowiednio posępnymi literami w gotyckim stylu. Wewnątrz było ciemno i cicho jak w grobie. Brennan zakradł się na drewnianą werandę otaczającą dom. Poruszał się bardzo powoli i ostrożnie, by któraś ze starych desek nie zdradziła jego obecności, mącąc skrzypnięciem nocną ciszę.

Wdrapał się przez okno do środka, zatrzymał się na chwilę, wyjął z kieszeni latarkę i oświetlił nią niewielki hol. Jego ściany pokryto ciemną tapetą. Pełno tu było antycznych mebli oraz rozmaitych bibelotów. Poczwarzka byłaby zachwycona, pomyślał.

Plan dnia umieszczony w szklanej gablocie na ścianie zawierał kilka pozycji. Nazwisko, którego szukał – Jory – wymieniono przy Salonie Zachodnim. Wyłączył latarkę i zczekał parę chwil, aż oczy przywykną mu do ciemności. Następnie ruszył w głąb domu.

Budynek wypełniał osobliwy odór, dziwna mieszanina zapachu chemikaliów i śmierci. Cisza była przytłaczająca, nie przerywały jej żadne odgłosy ruchu ani życia. Brennan musiał się zmuszać do tego, by posuwać się naprzód powoli i ostrożnie. Pragnął tylko znaleźć odpowiedź na swoje pytanie i uciec stąd, by odetchnąć brudnym, ale żywym powietrzem miasta.

Salon Zachodni był długim pomieszczeniem o wysokim suficie. Nadal wypełniały go dziesiątki wieńców. Kwiaty, jak wszystko tutaj, były martwe i zwiędłe. Ich woń w zamkniętej przestrzeni otumaniała. Wieńce pozostawiono wszędzie, ale najwięcej ich było wokół zamkniętej

trumny, nadal leżącej pod ścianą. Brennan odetchnął głęboko z ulgi na jej widok. Bał się, że okaże się, iż jest spóźniony i już przeniesiono ją do kościoła. To utrudniłoby mu zadanie.

Podszedł cicho do trumny, przystanął i przyjrzał się jej. Przez chwilę nie potrafił się zdobyć na to, by ją otworzyć. Musiał się jednak upewnić, że w środku rzeczywiście jest Poczwarzka. Musiał ją zobaczyć na własne oczy.

Uniósł wysoko pokrywę. Po ciemku nie sposób było dostrzec żadnych szczegółów, pomyślał jednak, że tak będzie lepiej. Nie włączał latarki.

Ciało odziano w skromną suknię, okrywającą je od kostek aż po szyję. Nad szyją nie było nic. Głowa zniknęła. Najwyraźniej roztrzaskano ją tak całkowicie, że nie sposób jej było zrekonstruować. Jednakże dłonie, trzymające Biblię na zapadniętym brzuchu, były przezroczyste, niewidzialne i martwe. To były jej dłonie. Dłonie Poczwarzki. Brennan był tego pewien, nawet jeśli w ich tętnicach nie płynęła już krew. Wypełniający je obecnie płyn był przezroczysty i nieruchomy.

– To była trudna robota – odezwał się nagle cichy głos za jego plecami. Yeoman poderwał się raptownie, omal nie upuszczając pokrywę. Utrzymał ją jednak, po czym włączył latarkę i zatoczył krąg snopem jej blasku. Rozległ się odgłos czegoś szybko usuwającego się na bok.

– Proszę, światło sprawia mi ból – zabrzmiał znowu głos.

Jego brzmienie było tak łagodne i smutne, że Brennan nie mógłby nie spełnić jego prośby.

– W porządku – zgodził się i zgasił latarkę.

Mówiący wyszedł zza kanapy o prostym oparciu. Był jasną, zamazaną plamą w ciemności, bardzo białą, wysoką i chudą. Pachniał dziwnymi, potężnymi chemikaliami, ale głos miał słodki jak mały chłopiec.

– Pracuje tu pan? – zapytał Brennan.

– Tak. Zajmuję się balsamowaniem. Światło źle na mnie wpływa, więc większość zadań wykonuję nocą. Zajrzałem tu, żeby się pożegnać z Poczwarzką. To było trudne zadanie, ale zrobiłem wszystko, co mogłem.

– To może zabrzmieć dziwnie, ale czy jest pan pewien, że to ciało

Poczwarki? – zapytał Brennan.

– Oczywiście – odparł blade mężczyzna swym słodkim głosem. – Dlaczego pan pyta?

Yeoman potrząsnął głową.

– Nieważne. Chciałem się tylko upewnić.

Blady mężczyzna skinął głową.

– Zostawię pana w prywatnej żałobie, mimo że jest już po godzinach wizyt.

Ruszył ku wyjściu, ale nagle się zatrzymał i obejrzał za siebie.

Brennan widział, że jego małe, różowe oczka nadal lśnią blaskiem odbitym od jego latarki.

– No wie pan, starałem się złożyć głowę, ale zabójca był bardzo dokładny. Po prostu zostało za mało fragmentów. Naprawiałem już rezultaty wielu gwałtownych zabójstw, ale to było najbrutalniejsze ze wszystkich. Jej zabójca zasługuje na to, by go złapano. Złapano i ukarano, panie Yeoman.

– Wiem – odpowiedział Brennan, wpatrując się w szczątki Poczwarki.
– Wiem.

6:00

Widoczne w niezdrowym, nieruchomym blasku księżyca drzewa wyciągały do niego palce, gdy przechodził pod nimi.

Nie unosił wzroku ku złowrogiemu, bezgwiezdnemu niebu, na którym księżyc pulsował niczym coś żywego, a jego słaby blask miał wszystkie kolory zepsucia. Wiedział, że lepiej na niego nie patrzeć ani nie słuchać straszliwych sekretów szeptanych przez drzewa, szeleszczące gałęziami nagimi i cienkimi jak bicze. Szedł przez czarną, jałową krainę, gdzie martwa, szara trawa próbowała go łapać za nogi. Strach narastał w jego duszy na podobieństwo mrocznego robaka.

Martwym powietrzem poruszyły ogromne skrzydła z szarej, spękanej skóry. Ośmionodzy łowcy, smukli i okrutni niczym psy gończe,

podążali za nim, kryjąc się za drzewami przed jego wzrokiem. Niekończące się głębokie zawrodoenie, które słyszał za sobą, obiecywało mu eony strachu, wieczność bólu. Znał to miejsce i to właśnie było najbardziej przerażające.

Kiedy zobaczył przed sobą wejście do metra, zerwał się do biegu. Biegł bardzo powoli, każdy krok zajmował mu całą godzinę, ale w końcu dotarł na miejsce i zaczął schodzić w dół, cały czas trzymając się poręczy. Daleko pod nim pociągi z głośnym stukiem przemierzały bezmyślne przestrzenie. Szedł cały czas w dół po krętych schodach zataczających niezliczone kręgi, aż wreszcie zobaczył drugiego pasażera. Zaczął go ścigać. Stopnie robiły się coraz węższe i okrutniejsze, a do tego tak zimne, że jego białe stopy przymarzały do nich i przy każdym kroku tracił kolejny kawałek krwawiącego ciała.

Wreszcie znowu znalazł się na peronie wiszącym w bezkresnej podziemnej ciemności i ujrzał przed sobą tamtego. Nie odwracaj się, błagał go bezgłośnie, całą ogarniętą panicznym strachem jaźnią. Och, proszę, nie odwracaj się.

Mężczyzna się odwrócił i Jay znowu ujrzał białą, pozbawioną rysów twarz przechodzącą na górze w długą, czerwoną mackę. Stworzenie uniosło głowę i zaczęło wyć. Jay krzyknął...

I stęknął z bólu. Wypadł z łóżka, uderzając mocno ręką o twarde parkiet. Zgiął się wpół, trzymając się za łokieć. Głęboko w jego gardle zrodził się jęk. Bolało go jak skurwysyn, ale niemalże się z tego cieszył. Nic nie przeganiało koszmaru skuteczniej niż dobry, ostry ból.

Leżał tak przez dobre pięć minut, aż wreszcie pulsowanie wypełniające mu łokieć ustało. Wreszcie się domyślił, że to trauma przeżyta w dzieciństwie w Groszowym Muzeum była źródłem koszmaru, ale to go najwyraźniej nie uleczyło. Znowu zlał się w łóżko. Przynajmniej tym razem miał na tyle rozsądku, by spać nago.

Zaczął nalewać wody do wanny, a następnie poszedł do kuchni, nasypał do kubka kawy rozpuszczalnej i nastawił czajnik. Gdy woda się zagotowała, zalał kawę i wrócił z nią do łazienki. Wanna była już prawie pełna. Jay postawił kubek na jej brzegu, zakręcił krany i wszedł ostrożnie

do wody. Wydawała się równie gorąca jak kawa, ale zmusił się do zanurzenia w niej, aż wreszcie ciepło zaczęło mu sprawiać przyjemność. Wyciągnął się w gorącej wodzie, popijając kawę. Znowu poczuł się czysty.

Poza tym jednak czuł się paskudnie. Oba łokcie go bolały – jeden po upadku z łóżka, a drugi w miejscu, za które złapał go ten sukinyński psychopata Yeoman, wykręcając mu rękę. Nos również mu doskwierał po uderzeniu o ścianę, a na brzuchu miał wielkiego siniaka w miejscu, gdzie przywaliło mu monstrualne dzokerskie dziecko.

Dopił kawę i zadał sobie pytanie, co zrobić z tak dobrze rozpoczętym dniem. Miał swoją listę, ograniczoną teraz do czterech pozycji. Żmij, Quasiczłowiek, Kuriozum i Doug Morkle. To musiał być jeden z nich. Dlaczego sam w to nie wierzył?

Problem polegał na tym, że żaden z jego czterech finalistów nie miał widocznych powiązań z całą resztą syfu, która zaczęła wychodzić na jaw – z zamachowcami, Eskimosami, impostorami i małym, zręcznym homunkulusem, którego bezskutecznie ścigał w Groszowym Muzeum.

Siedział w wannie, ściskając kubek w dłoniach, aż w końcu woda zrobiła się letnia, ale wszystko, co mu to dało, to nowe pytania. Wyglądało na to, że ma do czynienia z dwoma różnymi zabójcami. Siłaczem, który zatłukł Poczwarę, oraz psycholem z piłą mechaniczną, który zaszlachtował sąsiadów Kopacza po prostu dla zabawy. Czy obaj współpracowali ze sobą? To sugerowało spisek.

A może to był tylko jeden szaleniec dysponujący mnóstwem rozmaitych mocy, jak wielki, nieżyjący już Astronom? Ktoś powinien rozkopać grób staruszka, by przekonać się, czy jego ciało nadal w nim leży. Jay z pewnością tego nie zrobi. Był w Wieży Asów tego wieczoru, gdy Astronom odwiedził lokal, by zjeść deser i zabić kilka osób. Niech ktoś inny weźmie do ręki łopatę.

Poza tym, jeśli zacznie uwzględniać nieżyjących podejrzanych, skończy się na tym, że będzie musiał sprawdzić alibi Śmiga.

Poczwarka wynajęła George'a Kerby'ego, by zabił Leo Barnetta. Jeśli Barnett się o tym dowiedział, być może zabójcy pracowali dla niego. Ale

jaki as o zdrowych zmysłach zgodziłby się pracować dla Ognioustego? Quasiczłowiek? Zakładając, że w ogóle pamiętał, iż to Barnett uratował mu życie. Dobra, przyjmijmy, że Quasiczłowiek zachował inteligencję na czas wystarczająco długi, by załatwić Poczwarękę, ale co z facetem z piłą mechaniczną i z martwą kobietą w torbie na śmieci, którą Elmo zostawił w zeszłym roku sąsiadom? Kto ją zabił? Przyjaciół Quasiczłowieka? Jay spróbował sobie wyobrazić, jak Ojciec Kałamarnica wyciąga spod sutanny piłę mechaniczną. Na samą myśl rozboleła go głowa.

Kluczem był Kopacz Downs. Ale on zaginął, być może nie żył. Miasto było bardzo wielkie, a cały kraj jeszcze większy. Kopacz mógł się ukrywać wszędzie.

Z drugiej strony w jednym miejscu z pewnością go nie było. w łazience Jaya. Detektyw wypił ostatni łyk zimnej już kawy, skrzywił się, odstawił kubek, wylał z wanny i wytarł się do sucha.

9:00

Gdy Brennan się obudził, Jennifer nadal spała w zmierzwionej pościeli obok niego. Czuł się tak zmęczony, jakby ani na chwilę nie zmrużył oka. Plecy i barki nadal bolały go po łomocie, jaki spuściło mu Kuriozum. Zadał sobie pytanie, czy to już starość, czy po prostu ma dość tego miasta.

Usiadł i postawił nogi na wytartej wykładzinie dywanowej w tanim pokoju hotelowym.

To nie miało znaczenia. Nie mógł stąd wyjechać, dopóki nie odnajdzie zabójcy Poczwaruki. Jego już nie podejrzewano. Nowym kozłem ofiarnym zrobiono Elma. Nie wierzył, że policja rozwiąże sprawę jak należy. Oczywiście, śledztwem zajmował się również Ackroyd, ale Brennan nie zwykł zwać na innych roboty, którą trzeba było wykonać.

Poczuł chłodne dłonie przesuwające się po jego barkach. Obejrzał się za siebie. Jennifer już nie spała. Przyglądała mu się z powagą, pieszcząc

jego obolałe, posiniaczone plecy. Włosy miała wilgotne od potu. Jej drobne piersi i klatka piersiowa również od niego lśniły. Chciała pójść z nim nocą do domu pogrzebowego, ale Brennan uważał, że musi to zrobić sam. Spała, kiedy wrócił do hotelu, i bardzo się starał jej nie obudzić.

– Jak twoje plecy? – zapytała.

Wzruszył na próbę ramionami i skrzywił się mocno.

– Bolał – odpowiedział. – Ale próbuję jakoś sobie z tym radzić.

Odsunęła się od niego i położyła na łóżku.

– Tęskniłem za tobą.

– Ja też za tobą tęskniłam – odparła. – Tak mocno, że postanowiłam cię odnaleźć. Mogłeś dać mi więcej czasu na przemyślenie wszystkiego.

– Masz rację.

Skinęła głową, jakby była niemal usatysfakcjonowana.

– A widzisz? I czego się dowiedziałeś o Poczwarce? Czy naprawdę nie żyje?

Brennan zmarszczył brwi.

– Jej ciało leży w trumnie w Domu Pogrzebowym Cosgrove’ów.

– W takim razie czyj głos oboje słyszeliśmy? Imitatora? Jej ducha?

– Niewykluczone... – zaczął Yeoman, ale jego głos zaraz ucichł.

– Co mamy w planie na dziś? – zapytała Jennifer, ponownie wyciągając rękę i dotykając delikatnie jego barku.

Popatrzył na nią.

– Po południu będzie jej pogrzeb. Uważam, że powinniśmy na niego pójść.

Skinęła głową.

– A teraz?

– Teraz?

Pociągnęła go ku sobie. Była śliska od potu i pożądania. Jej piersi miały słony smak, a język był wilgotny i słodki.

11:00

Do Jaya Ackroyda zaczynało docierać, że zmarnował cały poranek. Ponownie odłożył słuchawkę i rozejrzał się po swym smętnym dwupokojowym biurze. Klimatyzacja nie działała, okno było zamalowane, a do tego panował okropny upał. Detektyw był głodny, zmęczony i spocony. Wiedział teraz o Kopaczu Downsie więcej, niż ktokolwiek mógłby pragnąć się o nim dowiedzieć.

– Nie wiem tylko, gdzie się podział – poinformował sekretarkę.

Sekretarka gapiła się na niego, otwierając ze zdumienia usta na kształt litery O. Nazywała się Oralna Amy i zawsze otwierała ze zdumienia usta na kształt litery O. Jay dostał tę lalkę w prezencie od kierownika „Zabawek dla Chłopców”, po tym jak odkrył, którzy z jego pracowników przekuwają prezerwatywy z wypustkami, i ułokował ją za frontowym biurkiem, przy automatycznej sekretarce. Nie pisała na maszynie, ale przynajmniej była blondynką.

– Piekielnie boli mnie łeb – poskarżył się Oralnej Amy.

Patrzyła na niego, marszcząc twarz w wyrazie współczucia. A może po prostu powietrze się z niej ulatniało.

Cały ranek wykonywał kolejne telefony, prosząc o przysługi albo odwołując się do długów wdzięczności. Cały ranek kłamał, uskarżał się i udawał kogoś, kim nie był, by przekonać opornych rozmówców, że powinni mu powiedzieć to, czego chciał się dowiedzieć.

Dobra wiadomość brzmiała tak, że w prosektoriach żadnego ze szpitali nie było nikogo, kto pasowałby do opisu Kopacza. Pozostałe wiadomości były złe.

Kopacz nie zarezerwował biletu w samolocie żadnej linii, którą Jay zdołał odnaleźć. Nie wyjechał też Amtrakiem ani Greyhoundem. Miał cztery karty kredytowe – MasterCard, dwie Visy i Discover – ale ostatnio posłużył się którąś z nich, płacąc w piątek wieczorem za kolację we włoskiej restauracji dwie przecznice od swego mieszkania. Kosztowało go to sześćdziesiąt trzy dolary i dziewiętnaście centów. Nie dał napiwku kelnerowi. Jeśli Kopacz wyruszył w drogę, uważał, by za

nic nie płacić plastikiem.

Rzecz jasna, mógł kupić bilet pod przybranym nazwiskiem i zapłacić gotówką. Albo polecieć metrolinerem do Waszyngtonu, kupując bilet w samolocie. Albo uciec na pustkowia New Jersey autobusem z Port Authority, gdzie trzeba mieć przygotowaną dokładną kwotę za bilet. Albo wyjść na piechotę przez cholerny most Brookliński. Istnieje osiem milionów różnych sposobów na opuszczenie Nagiego Miasta, a niektórych po prostu nie da się sprawdzić.

W Nagim Mieście jest też osiem milionów kryjówek. Jay zadzwonił do wybranej w połowie przypadkowo, a w połowie po zastanowieniu serii moteli i hoteli, sprawiających wrażenie takich, w jakich mógłby się zatrzymać Kopacz. Sprawdził nawet kilka takich, które definitywnie nie sprawiały takiego wrażenia – na wypadek, gdyby reporter spróbował być sprytny. Downs nie zameldował się w żadnych z nich.

Znalazł w Oakland starą matkę Kopacza, która powiedziała mu, że nie miała żadnej wiadomości od Tommy'ego, odkąd przysłał jej kwiaty na Dzień Matki, ale nadal jest dumna z syna dziennikarza. Miała albumy z wycinkami, w których przechowywała wszystkie słowa kiedykolwiek napisane przez Kopacza, nawet krótkie artykułiki, jakie umieszczał w szkolnej gazetce w czasach licealnych. Powiedziała Jayowi, że będzie mógł je sobie przeczytać, kiedy wpadnie do Kalifornii. Detektyw podziękował jej serdecznie i podał swój numer na wypadek, gdyby dostała jakąś wiadomość od Tommy'ego. Pani Downs powtórzyła mu go starannie i zasugerowała, że mógłby zadzwonić do Sokolicy, bo w końcu to dziewczyna Tommy'ego i tak dalej. Jay wspomniał, że pierwszy raz o tym słyszy, a pani Downs odpowiedziała, że utrzymują to w tajemnicy z uwagi na jej image.

Siostra Kopacza, mieszkająca w Salt Lake City, nie miała pojęcia, gdzie się podział. Żadna z byłych żon też nie. Żona numer jeden zapytała, czy Kopacz ma kłopoty.

– To świetnie – odpowiedziała, gdy detektyw potwierdził, że ma. Żona numer dwa oznajmiła Jayowi, że chętnie skorzystałaby z jego usług w drobnej sprawie alimentów. Odpowiedział, że rozważy tę propozycję.

Współlokator z college'u nie pamiętał Kopacza.

Profesor dziennikarstwa, którego Downs wymienił w CV, okazał się całkowicie fikcyjny.

W firmie telefonicznej nie zarejestrowano wczoraj żadnych telefonów z jego numeru.

Jay na wszelki wypadek zadzwonił do Awarii w „Aces!”. Nie otrzymali żadnej wiadomości od Kopacza. Pan Lowboy nadal nie czuł się zaniepokojony. Powiedział im, żeby w sierpniu zarezerwowali miejsce na nowy rewelacyjny artykuł Kopacza Downsa.

– Cudownie – mruknął przygnębiony Jay, zastanawiając się, czy Lowboy uzna informację o makabrycznej śmierci Downsa za rewelacyjny artykuł. Niewykluczone, że tym razem Kopacz naprawdę zejdzie pod ziemię w poszukiwaniu newsa. Awaria zapytała go, czy miał farta w poszukiwaniach.

– Wyłącznie pecha – odparł Jay. – Pewnie nie miał żadnych kumpli wśród personelu? Może któregoś z pozostałych reporterów? Kogoś, z kim grał w pokera, pił, kto był drużbą na jego ślubach, coś w tym stylu? Kogoś, kto pozwoliłby mu nocować u siebie, dopóki to wszystko się nie przewali?

– Nie miał – zaprzeczyła Awaria. – Był za dobry. Inni reporterzy mu zazdrościli, bo zawsze dostawał najlepsze przydziały i miał artykuły na okładce. Szkoda, że pan nie słyszał, jak narzekali, kiedy Lowboy wysłał go na tę wyprawę dookoła świata. Kopacz potrafi być czarujący, kiedy zechce, ale w pościgu za newsami nie cofnie się przed niczym.

– Niech to szlag – mruknął detektyw. – Czy w ogóle miał jakichś przyjaciół?

– Jakichś musiał mieć – odparła Awaria po chwili zastanowienia.

– Słynne ostatnie słowa – skwitował Jay.

– Wiem, że bardzo wiele osób nie znosi Kopacza. Potrafi być dokuczliwy, ale ma też swoje zalety. Zdziwiłby się pan. Bardzo wiele osób, które opisywał, po prostu go uwielbiało. – Zamyśliła się na chwilę. – Przynajmniej do chwili, gdy artykuły się ukazały.

– Rewelacja – odparł Jay z minimalnym entuzjazmem. – Chwileczkę –

podjął. – Czy mogłaby pani...

Jego myśli nagle zmieniły tor i słowa umilkły.

– Jay? – zapytała po dłuższym milczeniu. – Nic się panu nie stało?

– Nic – uspokoił ją. – Właśnie przyszedł mi do głowy naprawdę dziwny pomysł.

12:00

Słońce było błyszczącym pieniążkiem rzuconym wysoko pod niebo. Przesłaniały je mgiełka zanieczyszczeń oraz osłona gniewnych chmur wiszących nieruchomo w gęstym powietrzu. Upał i wilgoć utrudniały oddychanie Brennanowi i Jennifer, którzy czekali cierpliwie w kolejce posuwającej się powoli do Naszej Pani Wiecznie Cierpiącej. Dżokerowo zawsze dbało o swoich obywateli. Poczwaraka będzie miała wspaniały pogrzeb.

Ludzie szli, pełzali albo skakali do wnętrza, mijając dwóch znudzonych gliniarzy stojących przy wejściu. Przynajmniej policja miała wystarczająco wiele rozsądku, by przydzielić to zadanie Kantowi, swemu oswojonemu dżokerowi, ale Yeoman zadawał sobie pytanie, co właściwie mogliby wykryć gliniarze w miejscu, gdzie większość ludzi nosiła maski. Ledwie spojrzeli na Brennana, który miał twarz całkowicie zasłoniętą, skupiając większą część uwagi na Jennifer, która w czarnym wyglądała znacznie lepiej od niego.

Kościół był gęsto wypełniony. Wszystkie ławki już zajęto, więc Brennan i Jennifer stanęli z tyłu, nieopodal buczących wentylatorów usiłujących wprawić w ruch dławiące powietrze. Trumna Poczwaraki stała obok ołtarza, nakryta dywanem kwiatów. Rozległo się pośpieszne mamrotanie, gdy członkinie Kółka Różańcowego przesuwwały swe paciorki, odmawiając modlitwy za spokój duszy zmarłej.

Kiedy skończyły, kondukt ruszył w drogę. Prowadził go dżokerski ministrant niosący helisę z brązu, z której zwisała figurka Jezusa Dżokera. Za nim podążało dwoje następnych, machających

kadzielnicami – chłopiec, który nie miał widocznych ust, oraz dziewczynka, która miała ich za wiele. Woń kadzidła wypełniła i tak już intensywnie pachnące powietrze. Za nimi szli następni, w tym również kapłani, którzy mieli pomóc w odprawieniu mszy. Kolumnę zamykał Ojciec Kałamarnica odziany w swą najlepszą komżę. Wyszyto na niej scenę, w której natolska Madonna odwracała się plecami do Jezusa Dżokera, a para dżokerów oraz niski rudowłosy mężczyzna o delikatnej budowie, odziany w białe fartuch, wyjmowali Go z helisy i owijali w pogrzebowy całun.

Minęli pierwszą ławę, na której siedzieli najważniejsi żałobnicy. Tachion, odziany w barwny, szkarłatno-złoty strój, zajmował miejsce obok opalonego, noszącego czarny garnitur mężczyzny, który wyglądał na wyraźnie skrępowanego. Dalej zasiadał człowiek o twarzy czaszki. Brennan uświadomił sobie, że to Charles Dutton, cichy wspólnik Poczwaraki. W drugim szeregu siedzieli różni pracownicy Pałacu, ale nie było wśród nich Elma ani Saschy.

Ojciec Kałamarnica dotarł do ołtarza, położył na nim mszał i rozpostarł ramiona.

– Módlmy się – rzekł swym łagodnym głosem.

Zaczęła się msza. Przypominała katolickie nabożeństwa, w których z rzadka uczestniczył w dzieciństwie, ale jej symbolizm i rytuał zawierały też nowe, nieznanne mu elementy. Podczas pierwszej modlitwy wszyscy zdjęli maski. Brennan rozejrzał się niespokojnie, wypatrując gliniarzy, ale oni nie weszli do kościoła albo stali w jakimś innym miejscu. Oboje z Jennifer zdjęli maski i nikt obcy nawet na nich nie spojrział.

Podczas mszy tylko kilka razy wspomniano o Matce i wszystkie te wzmianki były pełne dziwnego symbolizmu, odzwierciedlającego dwuznaczną rolę, jaką grała w teologii Kościoła Jezusa Chrystusa Dżokera. Ojca wysławiano bardzo często, ale jednocześnie próbowano go przebłagać, jakby był mściwym Bogiem Starego Testamentu, który jedną ręką zbawia, a drugą skazuje na potępienie.

Podczas komunii ministranci i ministrantki chodzili między wiernymi, nosząc małe koszyki pobłogosławione osobiście przez Ojca Kałamarnicę.

W koszykach był chleb, który podawali ludziom siedzącym przy przejściach. Ci ułamywali sobie kawałek i przekazywali go dalej.

Po komunii Ojciec Kałamarnica wezwał Tachiona do ołtarza, by wygłosił mowę. Gdy Takizjanin zbliżał się do pulpitu, Brennan uświadomił sobie nagle, że wyobrażenie Ojca, niskiego mężczyzny o delikatnych rysach i rudych włosach, sprowadza się do wyglądu kosmity. Nasunęła mu się myśl, że każdy poczułby się w takiej sytuacji dziwnie, ale ogromne ego Tachiona zapewne potrafiło sobie z tym poradzić.

Jedynym żalobnym elementem stroju Takizjanina była czarna wstążka, którą owiązał sobie wokół prawego ramienia. Jego szkarłatny płaszcz, ozdobiony złotym galonem i lamówką niczym choinka, wydawał się zupełnie nie na miejscu na pogrzebie, Brennan wytłumaczył sobie jednak, że Tachion wychowywał się w obcej kulturze, cechującej się inną wrażliwością.

Takizjanin zajął miejsce za pulpitem, wyciągnął chusteczkę i otarł oczy. W kościele było gorąco, a aksamitny płaszcz kosmity sprawiał wrażenie grubego. Twarz mu poczerwieniała od upału, rude loki zaś były mokre od potu. Oczy również miał czerwone i Yeoman uświadomił sobie, że kosmita płakał. Skłonność do demonstrowania emocji sprawiała, że niektórzy gardzili Tachionem, ale Brennan się do nich nie zaliczał. Nieraz już miał okazję dostrzec stał kryjącą się pod maską dandysa. Szczerze mówiąc, zazdrościł Takizjaninowi zdolności okazywania uczuć.

Kosmita spojrział na kongregację. Minę miał poważną, a jego ochrypliwy głos był tak cichy, że ledwie się przebijał przez szum wentylatorów.

– Dokładnie przed rokiem, dwudziestego lipca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego roku, zebraliśmy się w tym kościele, by pochować Xaviera Desmonda. Wygłosiłem wówczas mowę pogrzebową, podobnie jak dziś pożegnani Poczwarę. To dla mnie zaszczyt, ale smutna prawda wygląda tak, że znużyłem się już żegnaniem przyjaciół. Ich odejście zubożyło Dżokerowo, umniejszyło moje życie, a także życie was wszystkich. – Przerwał na chwilę, by zebrać myśli. – Mowa pogrzebowa ma wychwalać zmarłą osobę. Ale w tym przypadku to dla

mnie bardzo trudne. Zwałem się przyjacielem Poczwarki, często się z nią widywałem, a nawet okrążyłem razem z nią świat, ale teraz sobie uświadamiam, że właściwie jej nie znałem. Wiedziałem, że posługuje się imieniem Poczwarka i mieszka w Dżokerowie, ale nie miałem pojęcia, jak brzmi jej rodowe nazwisko czy gdzie się urodziła. Wiedziałem, że udaje Brytyjkę, ale nie znałem motywów, które ją do tego skłaniały. Wiedziałem, że lubi amaretto, ale nigdy się nie dowiedziałem, co ją śmieszy. Wiedziałem, że uwielbia tajemnice, zawsze chce panować nad sytuacją, sprawiać wrażenie chłodnej i niewzruszonej, ale nie miałem pojęcia, skąd się to u niej wzięło. Myślałem o tym wszystkim podczas lotu z Atlanty i doszedłem do wniosku, że jeśli nie mogę wysławić Poczwarki, będę przynajmniej wysławił jej czyny. Przed rokiem, gdy na naszych ulicach szalała wojna, a naszym dzieciom groziło niebezpieczeństwo, zaproponowała, aby jej dom, jej Pałac, stał się dla nas azylem i fortecą. To było niebezpieczne, ale Poczwarka nigdy nie bała się niebezpieczeństw. Była dżokerką, która nie chciała się zachowywać jak dżokerka. Kryształowa dama nigdy nie nosiła maski. Ludzie mogli ją zaakceptować taką, jaka była, albo iść do diabła. Niewykluczone, że dzięki temu nauczyła niektórych natoli tolerancji, a część dżokerów odwagi.

Tachion przerwał raz jeszcze, by otrzeć łzy, które nagle spłynęły mu po policzkach.

– Na Takis oddajemy cześć przodkom – podjął donośniej, pełniejszym głosem, który z każdą chwilą nabierał siły. – Dlatego pogrzeby są dla nas jeszcze ważniejsze niż narodziny. Wierzmy, że zmarli są blisko swych głupich potomków, by służyć im przewodnictwem. To przekonanie może niekiedy przerażać, zamiast nieść pociechę, zależnie od osobowości przodka. Jestem przekonany, że bliskość Poczwarki będzie raczej straszna niż pocieszająca, ponieważ zawdzięczamy jej bardzo wiele. Ktoś ją zamordował. Winny nie powinien ująć karze. W naszym kraju wzbiera dławiąca fala nienawiści. Musimy się jej przeciwstawić. Nasi sąsiedzi są biedni i głodni, przerażeni i pozbawieni środków do życia. Musimy ich nakarmić i zapewnić im

schronienie, służyć pocieszeniem i pomocą. Będzie tego od nas oczekiwała.

Przerwał i przyjrzał się zebranych. Oczy lśniły mu od łez, lecz również od siły i nadziei, które w jakiś sposób zdołał przekazać tym, którzy zebrali się tu dzisiaj, by opłakiwać śmierć Poczwarki. Obok pulpitu palił się długi rząd świec wotywnych. Tachion podszedł do nich, po czym znowu zwrócił się w stronę żałobników:

– W ciągu jednego roku Dżokerowo straciło dwoje swych najważniejszych przywódców. Ten cios przeraził nas, zasmucił i zdezorientował. Ja jednak wam mówię, że oni nadal tu są, że nas nie opuścili. Okażmy się ich godni. Walczmy o honor w ich imieniu. I nigdy nie zapomnijmy.

Takizjanin uniósł prawą rękę i skaleczył się w palec wskazujący nożem, który wyjął z pochwy u cholewy. Uniósł palec nad płomieniem i zgasił go jedną kroplą krwi.

– Żegnaj, Poczwarko.

Następnie zszedł z podwyższenia i ruszył z powrotem na swoje miejsce w ławie. Brennan uświadomił sobie, że po jego policzkach również spływają łzy.

13:00

Gdy dzwonek zagrał melodię *Old McDonald Had a Farm*, Jay uświadomił sobie, że trafił we właściwe miejsce.

Drzwi otworzyła mu gospoia.

– Słucham? – zapytała.

Uśmiechnął się do niej tak wdzięcznie, jak tylko potrafił.

– Jestem Bob Lowboy – oznajmił. – Z czasopisma „Aces!”.

– Nikogo nie ma w domu – odpowiedziała. – Jessica jest w szkole, a pan von der Stadt wróci z pracy dopiero o siódmej.

– Nic nie szkodzi – oznajmił Jay i uniósł aparat, który pożyczył od ulubionego lichwiarza. – Muszę tylko strzelić jeszcze parę fotek do tego

artykułu o pannie Jessice i jej zwierzątkach.

Kobieta zrobiła podejrzliwą minę.

– Ten drugi reporter, pan Downs, powiedział, że zrobił już wszystkie zdjęcia.

– Zniszczyły się – wyjaśnił Jay. – Drobny wypadek w ciemni. To się zdarza. – Spojrzał na zegarek. – Zajmie mi to góra dziesięć minut, ale muszę się śpieszyć.

Zmarszczyła brwi.

– Może powinnam zadzwonić do pana von der Stadta, do biura maklerskiego.

– Jak pani sobie życzy – odparł Jay – ale za pół godziny mam następną sesję, a wie pani, jak o tej porze wygląda ruch uliczny. Bylibyśmy zmuszeni puścić artykuł bez zdjęć.

Gospoia zasępiła się jeszcze bardziej.

– No cóż, może wszystko będzie w porządku – stwierdziła wreszcie. – Ale tylko minutkę.

– Nie ma sprawy – zgodził się detektyw i wszedł do środka.

Kobieta zaprowadziła go na górę. Farma znajdowała się na najwyższym piętrze. A może raczej była najwyższym piętrzem.

– Musi pan trzymać się ścieżki – ostrzegła go gospoia, otwierając specjalne drzwi przeciwpożarowe. – Ten pan Downs omal nie nadepnął na jednego z koni.

– Cały Kopacz – mruknął Jay.

Drzwi się otworzyły i zdumiony detektyw rozejrzał się wkoło. Kopacz nie przesadzał. To była Iowa na strychu. Po prawej stronie stado krów pasło się na garści prawdziwej trawy rzuconej na imitację pola. Po lewej, za płotem z siatki, stał samotny byk wielkości wyrosniętej myszy. Dalej były inne pola i inne zwierzęta.

– To słoń – zdumiał się Jay.

– Panna Jessica dostała go w prezencie na Gwiazdkę – wyjaśniła gospoia. – Dlaczego nie robi pan żadnych zdjęć?

Detektyw odwrócił się i spojrzał na nią.

– Fotografia jest sztuką – oznajmił. – Chyba nie spodziewa się pani, że

będę pracował, gdy pani spogląda mi przez ramię?

To naprawdę poskutkowało.

– Jak pan sobie życzy – odparła starsza kobieta. – Ale nie więcej niż dziesięć minut.

Wyszła i zamknęła za sobą drzwi.

Jay ruszył ścieżką biegnącą przez pola ku kompleksowi budynków gospodarskich znajdującemu się pod oknem. Minął po drodze stado owiec i kilka miniaturowych owczarków, błotniste koryto pełne świń, modele traktorów, plastikowe figurki farmerów oraz rozpadający się kurnik. Kury wielkości ziarenek żwiru gdakały głośno i trzepotały skrzydłami na jego widok. Nie wszystkie zwierzęta zmniejszono w tej samej skali, ale doszedł do wniosku, że nie powinien być zbyt wymagający.

Otoczony stogami siana dom sąsiedował z tradycyjną czerwoną stodołą oraz wysokim silosem. To była wierna replika staromodnego drewnianego domu na farmie, wykonana równie szczegółowo jak najlepszy dom dla lalek. Budynek miał malowane, drewniane okiennice, wiatrowskaz z brązu, który obrócił się, gdy detektyw go dotknął, a w oknach prawdziwe zasłony z materiału. Na huśtawce na werandzie siedział plastikowy robotnik rolny, obejmując ramieniem plastikową córkę farmera. Na stoliku obok nich stał dzbanek z lemoniadą z lodem.

Jay uklękł i otworzył palcami frontowe drzwi. Zajrzał do środka i ujrzał salon pełen miniaturowych antyków. Wtem ze środka wypadł miniaturowy owczarek collie i zaczął ujadać na niego zawzięcie.

– Głupi zwierzak – warknął detektyw.

Pies podskoczył, próbując ugryźć go w nos.

– Dobry piesek – powiedział Jay, cofając pośpiesznie głowę. – Kurwa, zamknij się, dobry piesku.

Collie nie przestawał czekać. Detektyw pożałował, że nie przyniósł kości.

– Kopacz – wyszeptał niecierpliwie. – Jesteś tam?

Wydawało mu się, że usłyszał szelest na jednym z górnych pięter, ale jazgot psa był tak głośny, że detektyw nie mógł być tego pewien. Zajrzał

do środka przez jedno z okien na drugim piętrze i zobaczył kobietą sypialnię, pełną koronek i falbanek, jasnoniebieskie ściany pomalowane w motyle oraz łożę z baldachimem. Nic się tam nie poruszało. Wszystko było nieco zakurzone. Zresztą jak można było sprzątać wewnątrz domu dla lalek?

Jay zastanawiał się przez chwilę nad tym problemem, podczas gdy Lassie tańczyła wokół niego, nie przestając jazgotać. Jak daleko mógłby odrzucić psa porządnym pstryknięciem palca? Powstrzymał się od sprawdzenia tego. Pochylił się nad budynkiem i uniósł jego dach.

Kopacz Downs, wysoki na dziesięć centymetrów, skulił się na podłodze maleńkiego pokoiku bez okien, próbując ukryć się pod stertą ubrań dla lalek. Gdy zobaczył spoglądającego na niego z góry Jaya, wrzasnął przeraźliwie, zerwał się na równe nogi i popędził w stronę schodów. Detektyw złapał go przy trzecim kroku i uniósł za kołnierz.

– Nie zabijaj mnie – wrzasnął Kopacz piskliwym głosem. Zwisiał z palców Jaya, wymachując rękami w powietrzu. – O Boże, błagam, nie zabijaj mnie!

– Zadzieram tylko z facetami tych samych rozmiarów, co ja – uspokoił go detektyw. – Nikt cię nie zabije. Zwiewamy stąd. Bądź cicho.

Upuścił Kopacza do kieszeni płaszcza na krótko przed tym, nim wróciła gosposia.

– Panie Lowboy – odezwała się z dezaprobatą w głosie. – Zadzwońłam do pana von der Stadta i on chciałby z panem porozmawiać.

– Nie da rady – odpowiedział Jay. – Muszę już lecieć. – Owczarek collie szczekał jak oszalały, skakał na jego but, próbując wspiąć się po nogawce do kieszeni, w której ukryty był Kopacz. – Myśli pani, że próbuje nam coś powiedzieć? – zapytał z niewinną miną detektyw.



Trumnę Poczwardki niosła tylko jedna osoba. Wysoki na ponad dwa i pół metra dzoker ruszył na czele konduktu, tuląc ją bez trudu

w ramionach, jakby była pudełkiem do butów.

Gdy Brennan i Jennifer dotarli do małego cmentarza przy kościele, zielonoskóry dzoker i Quasiczłowiek opuszczali już trumnę do otwartego grobu.

Ojciec Kałamarnica pobłogosławił grób kadzidłem i wodą święconą, odmówił ostatnie modlitwy za zmarłych i odsunął się. Dzokerowo chowało swą kolejną obywatelkę. Długa kolejka owijała się wokół grobu niczym wąż. Każdy żałobnik brał w rękę, łapę albo szpony garść ziemi i rzucał ją na trumnę, a potem składał kondolencje Ojcu Kałamarnicy, Tachionowi oraz wyraźnie skępowanemu mężczyźnie, który przedtem siedział w pierwszej ławie obok Takizjanina. Był wysoki i miał ogorzałą twarz, rumianą pod opalenizną. Pocił się z powodu upału i drżał od burzy wstrzymywanych z wysiłkiem uczuć, która szalała w jego wnętrzu.

– Cześć, ojcie – powiedział Brennan, ściskając dłoń kapłana.

– Cieszę się, że znowu cię widzę, Danielu.

Ojciec Kałamarnica przywitał go potężnym, ale przyjaznym uściskiem dłoni. Tachion rzucił się Brennanowi w ramiona i uściaskał go z nieskrywaną radością, którą Yeoman zniósł z godnością. Po dłuższej chwili kosmita odsunął się od niego na odległość wyciągniętego ramienia, przyglądając mu się krytycznie.

– Musimy porozmawiać. Chodź.

Tachion poprowadził Brennana w głąb cmentarza, tak daleko, że usłyszeć ich mogły tylko rzeźbione anioły na otaczających ich nagrobkach.

Takizjanin obejrzał się na stojącą przy grobie Poczwarzki kobietę, która przyglądała im się z zainteresowaniem.

– Ta piękna blondynka to z pewnością Jennifer.

– Tak.

– Powiedziałbym, że masz szczęście, ale to nie byłoby zbyt stosowne w chwili, gdy ktoś próbuje cię wrobić w morderstwo. Czy to właśnie cię tu sprowadziło?

– Częściowo. Przede wszystkim pragnę odnaleźć prawdziwego zabójcę.

– I jak ci idzie śledztwo?

– Nie za dobrze – przyznał Brennan.
– Masz jakieś teorie?
– Myślę, że to mógł być Kien – odparł Yeoman z powątpiewaniem w głosie.

Tachionowi ten pomysł jeszcze mniej się spodobał.

– To by nie miało sensu. Zawarliśmy ugodę. Ty wyjechałeś z miasta, a on zakończył wojnę. Po co miałyby zaczynać ten krwawy cykl od nowa?

– Kto wie? Będę sprawdzał to tu, to tam, aż wreszcie coś wyskoczy.

– Tylko uważaj, żeby nie wyskoczyło na ciebie – ostrzegł go Tachion.

– Chętnie bym ci pomógł, ale muszę wracać do Atlanty. Będziesz w kontakcie?

Yeoman potrząsnął głową.

– Nie. Kiedy skończę tę sprawę, wyjeżdżamy z Jennifer z Nowego Jorku. Tym razem na stałe.

– Jeśli nie będziesz w kontakcie, to przynajmniej uważaj na siebie.

– Na to mogę się zgodzić.

Uścisnęli sobie dłonie, po czym podeszli razem do grobu. Mężczyzna stojący w kolejce odbierających kondolencje obok Ojca Kałamarnicy odchrząknął.

– Ach, prawda – rzekł kapłan. – Panie Jory, przedstawiam panu pana, hmm...

– Archera – podpowiedział cicho Brennan.

– Tak jest. Daniela Archera i Jennifer Maloy. Daniel był, hmm, bliskim przyjacielem pańskiej córki. Danielu i Jennifer, to jest Joe Jory, ojciec Poczwarzki.

Jory łypnął ze złością na Ojca Kałamarnicę, po czym przeniósł spojrzenie na Brennana i wyciągnął mięsistą rękę.

– Miło mi pana poznać, panie Archer. Cieszę się, że moja mała Debra-Jo miała również przyjaciół, którzy wyglądali normalnie.

Wyraz współczucia zniknął z twarzy Yeomana, przechodząc w chłód. Ojciec Kałamarnica i Tachion udawali, że tego nie widzą.

– Poczwarzka była nadzwyczajną kobietą i miała bardzo wielu przyjaciół wszelkiego rodzaju – odparł po chwili Brennan twardym, lecz

spokojnym tonem.

– Nazywała się Debra-Jo... – zaczął Jory, ale Ojciec Kałamarnica wszedł między obu mężczyzn i położył dłoń na ramieniu Yeomana.

– Jako wykonawca woli zmarłej dziś wieczorem odczytam w kościele jej testament – oznajmił kapłan. – Myślę, że powinienes się zjawić.

Brennan oderwał wzrok od Jory’ego, przenosząc spojrzenie na Ojca Kałamarnicę.

– Przyjdę – zapewnił spokojnie. – Przykro mi, ale musimy już uciekać.
– Raz jeszcze spojrzał na Jory’ego. – Jak już wspomniałem, Poczwarka była nadzwyczajną kobietą. Nikt, jak ujął to elegancko Tachion, nie wiedział o niej zbyt wiele, choć akurat ja dowiedziałem się o niej i o jej kochającej rodzinie więcej niż większość ludzi. Mogę panu obiecać jedno, panie Jory. Dopilnuję, by jej zabójca nie uszedł bezkarnie. Zrobię to dla niej, nie po to, by poprawić pańskie samopoczucie.

Odwrócił się i oboje z Jennifer opuścili cmentarz. Na ulicy czekał na nich czarny kot o nefrytowych oczach. Miauknął na ich widok, stanął na tylnych łapach i wręczył Brennanowi kopertę.

Jennifer wytrzeszczyła oczy, gdy Yeoman przykucnął i spojrzał stworzeniu niemal prosto w oczy. Obaj przyglądali się sobie bez słowa przez długą chwilę. Wreszcie Brennan przyjął kopertę.

– Cześć, Leniwy Smoku – rzekł. – Jak leci?

– Mmmnieźle – odpowiedział kot. Następnie polizał się po barku, odwrócił się i uciekł.

– Znasz tego kota? – zapytała Jennifer.

– Kiedyś z nim pracowałem. Ale wtedy był myszą.

Rozłożył kartkę schowaną w kopercie, przeczytał wiadomość i wręczył ją Jennifer.

Tekst był krótki i rzeczowy: „Cześć, Kowboju. Pogadajmy”.

Pod wiadomością podpisał się Znikacz. Dodał też numer telefonu.

14:00

– Wtedy wydawało się, że to dobry pomysł – mówił Kopacz. Siedział na zszywaczu obok puszkoci, która była wyższa od niego. Większą część blatu zajmował karton z pizzą.

Jay nie zdołał zjeść więcej niż trzy kawałki, a Kopacz nadal męczył się z pepperoni. W jego rękach plasterek wyglądał jak czerwona, otłuszczona kłapa do kanałów.

– To jeszcze nie koniec tej historii – ciągnął reporter. – Nikt poza mną nie wiedział o Jessice, a ten duży dom na farmie wyglądał bardzo przytulnie. Wiedziałem, że dziewczynka zawsze chciała mieć małego farmera, ale tata na to nie pozwalał, więc pomyślałem sobie, a co tam, nikt poza mną i Jessicą nie będzie o tym wiedział, a ona nikomu nie powie. Wydawało się, że to idealna kryjówka.

– Czemu nie wyjechałeś z miasta, do licha? – zapytał detektyw.

Kopacz potrząsnął głową z ponurą miną.

– Chciałem, brachu, ale to zbyt niebezpieczne. Co, jeśli obstawili lotnisko, czekając, aż spróbuję zwiać? Skrzywił się na tę myśl.

– Są trzy lotniska – zauważył Jay. – Nie wspominając już o Penn Station, Grand Central czy Port Authority. Ilu ludzi pragnie cię załatwić?

– Skąd mam wiedzieć? – zapytał ponuro reporter. – Nie mam pojęcia, kto za tym stoi. Gliny, FBI, CIA, może oni wszyscy? Poza tym, nawet jeśli jest tylko jeden, mogłem odgadnąć błędnie. – Zadrzał. – Znalazłem Jessikę na szkolnym boisku i była zachwycona tym pomysłem. Zmniejszyła mnie na miejscu i zaniosała do domu w pudełku na lunch. Wtedy zacząłem mieć wątpliwości, ale było już za późno. Była zdecydowana zatrzymać mnie u siebie. Ten zarozumiały bachor chciał, żebym sprzątał w domu. Poza tym ten domek może wygląda wygodnie, ale wszystko jest zrobione z plastiku i nie ma kanalizacji!

– Zdarzają się gorsze rzeczy – stwierdził Jay i opowiedział o jatce w jego kamienicy. Kopacz słuchał go w milczeniu.

– Niech to diabli – powiedział, gdy detektyw skończył. – Jonesy i pani

Rosenstein. A niech to. Ale dlaczego? Oni o niczym nie wiedzieli.

– Byli tam – wyjaśnił Jay. – A ciebie nie było.

Kopacz wypuścił zjedzony w połowie plasterk pepperoni i wytarł zatłuszczone ręce w spodnie.

– Uwierz mi, nie miałem o tym pojęcia. Wiedziałem, że jest szalony, ale nigdy...

– Wiedziałeś, że kto jest szalony? – zapytał z naciskiem Jay.

Kopacz rozejrzał się wkoło. Nie widział ich nikt poza Oralną Amy, która sprawiała wrażenie jeszcze bardziej zaskoczonej niż zwykle.

– Mackie Majcher – wyszeptał ochryplym, przerażonym szeptem. – Wydaje ci się, że ta scena na schodach była paskudna, brachu? Nic nie wiesz. Widziałem, jak zabijał. Wykończył tę syryjską laleczkę na naszych oczach i kazał nam oglądać całe przedstawienie.

– Syryjską laleczkę? – zdziwił się Jay.

– Miszę – wyjaśnił Downs. – Kahinę. No wiesz, siostrę Nur al-Allaha. Tę, która poderżnęła mu gardło. – Jego małe rączki drżały. Spojrzał na niego i roześmiał się. To był słaby, gorzki śmiech, na granicy hysterii.

– Jego dłonie też drżą – podjął. – Jezu, jak drżą. Przeradzają się w zamazane plamy, a potem przeryniają ci ciało. No wiesz, tylko jej dotknął, jakby chciał się pobawić jej cyckiem, ale jego palce natychmiast wniknęły w ciało i popłynęła krew. Oderżnął jej cycek, po czym zachichotał i rzucił nim we mnie. Porzygałem się w jednej chwili. Poczwarzka tylko się temu przyglądała. Wiesz, jaka była. Ona też się bała, ale nigdy nie lubiła okazywać słabości. To jej wina, jestem tego pewien. Zrobiła coś głupiego, tak? W ostatnich tygodniach nie mówiła mi zbyt wiele, ale ja potrafię przejrzeć ludzi. Co takiego wykreściła?

– Wysłała do Atlanty wynajętego zabójcę – wyjaśnił Jay.

– Niech to szlag – mruknął Kopacz. – Niech to szlag. Aha, to by się zgadzało. Wiedziała, jaka jest stawka, ale pewnie nie mogła już dłużej tego znieść. Ostrzegł nas, że jeśli go zdemaskujemy, zapłacimy za to życiem. Na pewno postanowiła zabić go pierwsza.

– Może po prostu nie potrafiła znieść myśli, że Leo Barnett zostanie prezydentem – zasugerował Jay.

Kopacz popatrzył na niego dziwnie.

– Barnett? – zapytał. – A co on ma z tym wspólnego?

Detektyw gapił się tylko na niego.

– To nie Barnett – wyjaśnił mu cicho reporter. – To Gregg Hartmann.

– Hartmann? – powtórzył z niedowierzaniem Jay.

Kopacz skinął głową.

W gabinecie było gorąco i duszno, ale Jay poczuł zimne palce przesuwające mu się wzdłuż kręgosłupa.

– Lepiej opowiedz mi wszystko od początku – poprosił.



– Znikacz – odezwał się Brennan do słuchawki.

Przez chwilę panowała cisza.

– Słucham – odezwał się wreszcie dobrze znany Yeomanowi głos. Pobrzmiewała w nim ostrożność.

– Jak mnie znalazłeś? – zapytał Brennan.

Znowu przez chwilę panowała cisza.

– Cieszę się, że tak szybko się odezwałeś, Kowboju – odparł gangster. – A może powinienem cię nazywać Yeomanem?

– Nazywaj mnie, jak chcesz, tylko powiedz, jak mnie wytropiłeś.

– Ptaszek powiedział mi, że byłeś w kościele.

– Leniwy Smok?

– Zgadza się. Kazałem mu obserwować pogrzeb na wypadek, gdyby wydarzyło się coś interesującego. Kiedy mnie zawiadomił, że się zjawiłeś, pomyślałem sobie, że skorzystam z twojej propozycji rozmowy, i poleciłem mu przekazać wiadomość.

– Cieszę się – odrzekł Brennan. – Nie wierzyłem, że szycha z Widmowych Pięści zechce ze mną rozmawiać.

Yeoman zinfiltrował Towarzystwo Widmowych Pięści, chcąc zebrać dowody potrzebne, aby oddać Kiena w ręce sprawiedliwości. Plan zapewne by się powiódł, gdyby nie to, że był zmuszony zdradzić swą

tożsamość, aby ocalić życie Tachionowi, gdy Pięści zajęły jego klinikę.

– Nie należę do ludzi skupiających się na przeszłości – odparł wielkodusznym tonem Znikacz. – Sprawileś mi trochę kłopotów, ale, jak już mówiłem, jestem przekonany, że moglibyśmy pomóc sobie nawzajem.

– Hmm. A co powiedziałby na to Kien?

– No cóż. – Brennan potrafił sobie wyobrazić nieszczerzy uśmiezek rozmówcy. – Nie musi znać wszystkich moich najdrobniejszych poczynań. Powinniśmy omówić sprawę dokładniej. Ale nie przez telefon. W gruncie rzeczy wczoraj ominęła nas okazja. U Quinna to byłęś ty, prawda?

– Tak. Przepraszam, że nie zczekałem, ale nie byłem pewny, z jakim przyjęciem się spotkam.

– Mnie nie musisz się obawiać. Moim zdaniem to bardzo prawdopodobne, że możemy się sobie przydać.

– Rozumiem. – Najwyraźniej Znikacz był ambitnym człowiekiem. Mógł się okazać użytecznym, choć nie w pełni godnym zaufania sojusznikiem. Brennan spojrzął na zegarek. Rozpaczliwie potrzebował kilku godzin odpoczynku. Z kolei wieczorem miał się zjawić na odczytaniu testamentu. – Zadzwońię około północy i podam ci miejsce, w którym będziemy mogli się spotkać.

Nastała długa chwila ciszy. Znikacz zastanawiał się nad tą propozycją.

– Zgoda – rzekł wreszcie.

Brennan odłożył słuchawkę i ciężko westchnął. Wyciągnął się na hotelowym łóżku i potarł oczy.

– Czy możemy mu zaufać? – zapytała Jennifer.

– Tylko w niewielkim stopniu. Najwyraźniej pragnie awansować w organizacji i myśli, że mogę mu w tym pomóc. To stwarza jakąś podstawę do współpracy. Nie wie wszystkiego, co wiedzą Pięści, ale zajmuje wystarczająco wysoką pozycję w ich hierarchii, by usłyszeć o czymś tak ważnym jak zamordowanie Poczwarzki.

Jennifer skinęła głową.

– Może nam zapewnić dojsie do Żmija. Maczuję skreśliłiśmy z listy

podejrzanych, ale zostają jeszcze Quasiczłowiek i Kuriozum.

– Mam pewien pomysł w sprawie Quasiczłowieka – odparł z namysłem Brennan. – Jednak Kuriozum nadal pozostaje problemem. Nic go nie łączy z Poczwarzką, pomijając fakt, że przyłapałem je w Pałacu po morderstwie.

– Grzebało w jej szafie.

Yeoman potrząsnął głową.

– Nie wyobrażam sobie, żeby Poczwarzka ukryła coś w tak oczywistym miejscu. – Pokręcił ze zdziwieniem głową. – Zapomnieliśmy o Dougu Morkle’u. Kimkolwiek może być.

Kobieta rozmasowała napięte mięśnie jego ramion i karku.

– Sprawa wcale nie robi się klarowniejsza, prawda?

– Prawda. Mam też przeczucie, że jeśli szybko go nie złapiemy, zabójca wymknie się poza zasięg ziemskiej sprawiedliwości.



– Hartmann jest asem – zaczął Kopacz. – Wiedziałem o tym od chwili, kiedy spotkałem go na konferencji prasowej przed ekspedycją Światowej Organizacji Zdrowia.

– Skąd? – zapytał Jay.

Kopacz dotknął nosa grubym palcem.

– Węch mi to powiedział. Ja też mam małego asa w rękawie. Potrafię wywęszyć dzikie karty. Asów, dzokerów, nosicieli, bez różnicy. Wszyscy mają taki sam zapach. Taki słodko-korzenny. Natole go nie mają. Nigdy się nie myślę. Nos wie. To pozwoliło mi zdobyć mnóstwo cennych historii. Tak czy inaczej, gdy tylko poczułem zapach senatora Gregga, o kurczę, pomyślałem sobie, że właśnie zdobyłem króla wszystkich nagłówków. Ukryty as w senacie Stanów Zjednoczonych, blisko Białego Domu! Dlatego zacząłem zadawać pytania. Poczwarzka się o tym dowiedziała i wkrótce zaczęliśmy ze sobą współpracować. Wyrzebaliśmy kilka interesujących plotek, ale nic pewnego, nic, z czym mógłbym pójść do prasy. Aż wreszcie Gimli przyniósł nam całą

opowieść.

– Gimli? – zapytał z powątpiewaniem Jay. – To niezbyt godne zaufania źródło, jeśli chodzi o Hartmanna.

Wszyscy wiedzieli, że dzokerski terrorysta nienawidził senatora.

– Wiem, wiem. Wysłuchaj mnie, to wszystko ma sens. To było w zeszłym roku, kilka tygodni przed powrotem z wyprawy. Gimli spotkał się potajemnie z Poczwarką. W Syrii, gdy siostra poderżnęła Nurowi gardło, doszło do strzelaniny na dużą skalę. Jedna z kul odbiła się od Złotego Fiuta i trafiła Gregga w ramię. Pocisk przeszedł na wylot, rana była czysta, ale musieli zdjąć mu marynarkę, żeby sprawdzić, jak to wygląda. Kiedy się wycofaliśmy, marynarka została na miejscu i to właśnie ją Gimli przyniósł Poczwarcę. Tę marynarkę z dziurą po kuli na ramieniu, nasiąkniętą krwią Hartmanna.

– Gimli nie był w Syrii – zauważył Jay. – Siedział w Berlinie i przygotowywał się do próby porwania Hartmanna na późniejszym etapie podróży. W jaki sposób marynarka senatora mogła wpaść w jego ręce?

– Misza mu ją dała – wyjaśnił Downs. – Po tym, jak poderżnęła bratu gardło, nie potrafiła uwierzyć, co uczyniła. Zabrała tę marynarkę i zrobiła kilka testów krwi. I one powiedziały jej to, o czym ja już wiedziałem. Senator Gregg jest asem. Przybyła incognito do Stanów i przywiozła swoje dowody. Współpracowała z Gimlim.

Jay popatrzył z powątpiewaniem na dziesięciocentymetrowego reportera.

– Z Gimlim? – powtórzył. – Czy na pewno mówimy o tej samej osobie? Prawdziwe nazwisko Tom Miller? Karłowaty dzoker o wrednym usposobieniu i niewyparzonej gębie? Myślałem, że wszyscy ludzie Nura nienawidzą dzokerów.

– Tak, tak, to plugastwa przeklęte przez Allaha. Nie pytaj mnie, dlaczego postanowili ze sobą współpracować. Tak się stało. Oboje pragnęli zemsty, ale nikt nie chciał im uwierzyć. Dlatego Gimli zaniósł marynarkę Poczwarcę. Chciał, żeby zbadała ślady krwi, a następnie ogłosiła wszystko publicznie. Ona była wiarygodna, a oni nie, tak?

– Jak dotąd nadążam.

– W porządku. Gimli wkrótce potem odwalił kitę. Znaleźli jego skórę w zaułku, po czym wypchali go i wystawili w Groszowym Muzeum. Tymczasem Poczwarzka dyskretnie przeprowadziła testy, które potwierdziły wszystko, co mówił mały skurczybyk. Mieliśmy swój dowód.

– Dlaczego go nie ogłosiliście? – zapytał detektyw.

Downs zrobił przygnębioną minę. Zszedł ze zszywacza, wsadził ręce w kieszenie i zaczął spacerować nerwowo po pizzy. Wreszcie łypnął ze złością na Jaya.

– No dobra, próbowaliśmy być bardzo sprytni. Gimli nie zdawał sobie sprawy, że Poczwarzka ma własne priorytety. Wcale nie chciała zniszczyć Hartmanna. Podobała jej się myśl, że może mieć haka na przyszłego prezydenta. Ja też pomyślałem sobie, no dobra, napiszę ten artykuł i może dostanę Pulitzera, ale za rok i tak nikogo nie będzie to już obchodziło. Może lepsze będzie inne wyjście. Prezydenci potrzebują rzeczników prasowych, tak? Poradziłbym sobie z tym i zdobyłbym odrobinę szacunku. Koniec z Tachionem wylewającym mi alkohol na głowę i rozwścieczonymi chłopakami asek walącymi mnie w dziób. Może nawet daliby mi porządny stolik w Wieży Asów? – Westchnął. – Musisz sobie uświadomić, że wiedzieliśmy, iż Hartmann jest asem, a nawet domyślaliśmy się, że jego moc to jakaś podejrzana kontrola umysłu, ale na tym koniec. Może i kazał Kahinie poderżnąć gardło bratu od ucha do ucha, ale co z tego? Lepiej jemu niż mnie, tak? Nur chciał załatwić nas wszystkich.

– Dlatego uznaliście, że Hartmann to w gruncie rzeczy dobry facet – stwierdził Jay.

Downs skinął głową.

– Umówiliśmy się na spotkanie – podjął z przygnębieniem. Wpatrzył się w dal, w stronę Oralnej Amy, przypominając sobie wydarzenia. – Myśleliśmy, że panujemy nad sytuacją. Myliliśmy się. – Jego głos zyskał nagle żalobne brzmienie. – Och, brachu, jak bardzo się myliliśmy. Wtedy właśnie Gregg i Mackie Majcher urządzili swe małe

przedstawienie. Hartmann wiedział o wszystkim, nie pytaj mnie skąd. Garbus przyniósł Kahinę owiniętą w brezent. Była naga i zalana krwią. Powiedział nam, że już zgwałcił ją w dupę, a potem zabrał się do roboty, cały czas nucąc pod nosem *Mackiego Majchra*. Kiedy skończył, wyszedł przez ścianę.

Opowiadając o tym, Downs znowu zaczął drzeć.

– Jeśli Hartmann rzeczywiście jest taki, jak mówisz, dlaczego nie kazał swojemu zabójcy wyeliminować ciebie i Poczwarki?

– Pewnie nie chciał mieć dwóch dodatkowych śmierci do wyjaśnienia. Zamiast tego kazał nam zniszczyć dowody. Poczwarcie polecił pozbyć się ciała, a mnie powiedział, że jeśli w prasie pojawi się choć najdrobniejsza wzmianka o tym, że mógłby być asem, Mackie przyjdzie do mnie z wizytą.

– I posłuchaliście go? – Jay potrafił uwierzyć, że Kopacz tak zrobił, ale Poczwarka nie znosiła, gdy ktokolwiek jej rozkazywał. Nie wyobrażał sobie, by dała się tak łatwo zastraszyć.

– Nie było cię tam! – warknął Kopacz. – Kurde, ten chłoptaş w skórzanej kurtce przechodzi przez ściany! Wyszukałem potem informacje o nim. To Niemiec, członek bandy, która porwała Hartmanna w Berlinie. Gregg zdołał go w jakiś sposób przekabacić. Zrobił z niego swojego psa łańcuchowego. Idę o zakład, że to on przerobił na sushi pozostałych porywaczy. Interpol nadal poszukuje wypaczonego kurdupła.

– Dlaczego nie zawiadomiliście glin?

Kopacz roześmiał się z goryczą.

– Jasne. Mogliśmy im powiedzieć, że były przewodniczący SKAZA jest w zмовie z terrorystą, który uczestniczył w jego porwaniu, a potem modlić się, żeby ta wiadomość nie dotarła do Gregga. Takie informacje zawsze jakoś do niego docierają. Albo sam jest telepatą, albo jakiś telepata pracuje dla niego. Nie widzę innej możliwości. Rzecz w tym, że nie mogliśmy zaufać nikomu. Poczwarka chciała poprosić o pomoc Yeomana, ale nie mogła się z nim skontaktować. Dlatego wykonywaliśmy polecenia Hartmanna i ocaliliśmy życie.

– Do poniedziałku – zauważył Jay. – Czy nazwisko George Kerby coś ci mówi?

Downs potrząsnął głową.

– Pod koniec nie rozmawiała z nikim. Myślę, że nawet mi nie ufała.

To ma sens, pomyślał detektyw. Im mniej ludzi o tym wiedziało, tym mniej było takich, którzy mogli ją zdradzić. Jeśli jednak Kopacz mówił prawdę, ktoś i tak ją zdradził. I to szybko. Ledwie zdążyła wprowadzić swój plan w życie, a już leżała martwa na podłodze swego gabinetu. Hartmann, jeśli to rzeczywiście on był winny, nie tracił czasu.

– A gdzie się podziała marynarka?

– Marynarka – powtórzył reporter i strzelił palcami. – Zachowała ją. Ukryła gdzieś. Mówiła, że to jej ostatnia linia obrony. To była sytuacja patowa. Gdybyśmy ogłosili wszystko, co wiemy, Hartmann by nas zabił. Ale on również musiał się mieć na baczności. Gdyby nie zostało nam nic do stracenia, moglibyśmy ogłosić, że mamy marynarkę, i doprowadzić do jego upadku.

– Znakomicie – stwierdził Jay. – I gdzie jest ta marynarka?

– W bezpiecznym miejscu. – Downs wzruszył bezradnie ramionami. – To wszystko, co chciała powiedzieć. Nie ufała nikomu. Czy sprawdzałeś jej szafy?

– Nie. – Detektyw przypomniał sobie, co powiedział mu Brennan. – Ale znam kogoś, kto to zrobił. Co wiesz o Kuriozum?

19:00

Gdy Brennan i Jennifer przyjechali do Naszej Pani Wiecznie Cierpiącej, Ojciec Kałamarnica stał przed wejściem do kościoła.

– Jesteście ostatni – poinformował ich kapłan. – Jeśli pójdziecie za mną, będę mógł rozpocząć czytanie. Quasiczłowiek będzie nas strzegł przed intruzami.

– Świetnie – zgodził się Yeoman. – Ale zanim to zrobimy, chciałbym poprosić go o przysługę. Gdzie go znajdę?

Ojciec Kałamarnica wskazał palcem w górę.

Kaleki dzoker stał na szczycie wieżyczki, swobodnie opierając się o metalową spiralę sterczącą z podstawy jej iglicy. Wpatrywał się w dal, patrząc na coś, czego nie widzieli Brennan, Jennifer i Ojciec Kałamarnica.

– Czy możesz kazać mu zejść? – zapytał Yeoman.

Kapłan wzruszył potężnymi ramionami.

– Mogę spróbować. – Uniósł wzrok, otoczył usta dłońmi i zawołał: – Quasiczłowieku!

Nic nie wskazywało na to, by dzoker go usłyszał. Ojciec Kałamarnica westchnął i krzyknął głośnie. Tym razem Quasiczłowiek spojrział w dół. Puścił spiralę, pomachał ręką i zaczął się ześlizgiwać po stromej powierzchni wieżyczki.

Jennifer wciągnęła nerwowo powietrze, ale gdy tylko Quasiczłowiek zjechał w pustą przestrzeń, nagle zniknął. Rozległ się głośny trzask i dzoker zmaterializował się na chodniku przed kościołem, obok Brennana i Jennifer.

– Słucham? – rzekł.

Brennan gapił się na niego przez chwilę.

– Chciałem cię prosić o przysługę – oznajmił wreszcie.

– O przysługę? – powtórzył Quasiczłowiek.

– Tak. Wiesz, że próbuję ustalić, kto zabił Poczwarkę. Ale mam problem z asem. Wyjątkowo silnym asem. Żeby sobie z nim poradzić, mogę potrzebować twojej pomocy.

Quasiczłowiek zerknął na Ojca Kałamarnicę, który niemal niedostrzegalnie skinął głową.

– W porządku.

– Dziękuję. – Brennan uniósł małe elektroniczne urządzenie, w przybliżeniu wymiarów złożonego portfela. – Kiedy będziesz nam potrzebny, wezwiemy cię za pomocą tego.

Dzoker niepewnie wziął odbiornik.

– Zgoda.

Wlepił wzrok w urządzenie z takim skupieniem, że jego umysł

odpłynął tam, gdzie odpływał, gdy Quasiczłowiek zmieniał fazę.

– Wiesz, że na nim nie zawsze można polegać? – zapytał Ojciec Kałamarnica.

– Będzie musiał mi wystarczyć. Nie mam nikogo innego, do kogo mógłbym się zwrócić.

Yeoman nie wspomniał o drugim powodzie, dla którego dał dzokerowi odbiornik. Był on również silnym nadajnikiem. Brennan zamierzał monitorować poruszenia Quasiczłowieka, by sprawdzić, czy nie kontaktuje się z kimś, kto mógłby pragnąć śmierci Poczwarki.

– Skoro tak mówisz – rzekł Ojciec Kałamarnica, gdy Quasiczłowiek nagle wrócił do normy. – Pora odczytać testament.

Weszli do kościoła, zostawiając Quasiczłowieka na chodniku.

Pierwsze cztery rzędy ław zajmowali ludzie pracujący w Kryształowym Pałacu, od Jo-jo, dotkniętego małogłowiec dzokera, który tam zamiatał, aż po Charlesa Duttona, milczącego współnika Poczwarki. Brakowało tylko Elma i Saschy. Tego pierwszego nadal przetrzymywała policja. Joe Jory również był obecny. Gdy Brennan i Jennifer podeszli do ławy, na której siedział samotnie, mężczyzna pociągnął łyk ze srebrzystej piersiówki. Yeoman nie był pewien, czy do nadmiernego picia skłania go żaloba, czy raczej bliskość tak wielu dzokerów. Tak czy inaczej, trudno mu było się nad nim litować.

Ojciec Kałamarnica usadowił swe masywne cielsko za stołem ustawionym przed poręczą. Wpatrywał się przez chwilę w zebranych, aż wreszcie wszystkie szeptki umilkły.

– Cieszę się, że mogliście tu wszyscy przybyć, by wysłuchać ostatniej woli Poczwarki. To czytanie nie jest przeznaczone dla obcych. Nie zawiadomiono o nim prawników ani policji. Takimi formalnościami zajmiemy się później. Dzisiejsza noc jest przeznaczona dla rodziny zmarłej.

Kapłan wziął w rękę szarą kopertę, wyjął z niej plik papierów i ułożył wszystkie w równą stertę.

– Zapoznałem się już z ostatnią wolą Poczwarki, co było moim obowiązkiem. Teraz odczytam ją wam na głos.

Odchrząknął i zaczął czytać.

– Ja, Poczwarzka, będąc zdrowa na ciele i na umyśle, jak zawsze od chwili, gdy zmieniła mnie dzika karta, przekazuję wam swą ostatnią wolę. Zrobiłam wiele zapisów, Ojczy, więc postaraj się zebrać wszystkich ludzi związanych z Kryształowym Pałacem, a także kilka innych osób, o których – co do tego nie mam żadnych wątpliwości – wiesz, ale które pozostaną tu bezimiennie. Po pierwsze, Ojcu Kałamarnicy i Kościołowi Jezusa Chrystusa Dżokera zostawiam zawartość skrytki w przechowalni bagażu, do której klucz znajdziesz w kopercie. Wiem, że zrobisz z niej dobry użytek. – Ojciec Kałamarnica uniósł wzrok. – Tym się już zajęto – oznajmił. – Po drugie, Elmowi Schaefferowi, który był moją prawą ręką od chwili, gdy przybyłam do tego miasta, daję to, czego nie mogłam mu dać za życia. Swoją miłość. Jeśli kiedykolwiek istniał mężczyzna, który na nią zasługiwał, to z pewnością ty nim byłeś. – Kapłan westchnął, odchrząknął raz jeszcze i czytał dalej. – Po trzecie, Charlesowi Duttonowi przekazuję swoje udziały w Kryształowym Pałacu. – Zebrani westchnęli chóralnie. Nagle zaczęło się kilkanaście rozmów, ale wszystkie uciszył potężny głos Ojca Kałamarnicy. – Z zastrzeżeniem, że wszystko musi pozostać niezmienione i wszyscy zachowają pracę tak długo, jak będą żyli.

Dutton pochylił głowę i przez salę przebiegła fala ulgi.

– Po czwarte, Kopaczowi Downsowi zostawiam płaszcz. Noś go i niech ci wyjdzie na zdrowie albo wykorzystaj go tak, jak zechcesz.

Być może właśnie tego płaszcz szukało Kuriozum w szafce Poczwarzki, choć Brennan nie potrafił zrozumieć, jaką rolę w morderstwie mógł odegrać płaszcz.

– Po piąte, swemu kochającego ojcu, jeśli chciało mu się tu przybyć... – Ojciec Kałamarnica wstał i podał Jory'emu wielką, szarą kopertę. Mężczyzna przyjął ją drżącymi dłońmi, otworzył i wyjął grubą kartę papieru o wymiarach dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów. Z miejsca, w którym siedział, Brennan widział, że to sławne zdjęcie Poczwarzki wykonane przez Annie Leibovitz. Dżokerka była na nim naga od pasa w górę. Można było niemal zobaczyć krew krążącą w jej żyłach,

pracę płuc, serce bijące w rytm życia. – ...żebyś pamiętał o swojej dziewczynce – kontynuował kapłan bezlitosnym głosem – aż po kres swoich dni.

Brennan pomyślał, że ten dar był brutalny, ale sprawiedliwy. Kiedyś, gdy była tak przybita, jak chyba nigdy przedtem, opowiedziała mu, że wirus ujawnił się u niej, gdy wkroczyła w wiek dojrzewania. Rodzina uwięziła ją wtedy w skrzydle ich posiadłości, kierując się wstydem i wstrętem. Przetrzymanywali ją tam sześć lat, zanim wreszcie udało się jej uciec.

Ojciec Kałamarnica ponownie usiadł za stołem. W kościele panowała cisza mącona tylko łkaniem, którego nie były w stanie stłumić drżące dłonie Jory'ego.

– Po szóste, mojemu łucznikowi, jeśli usłyszał o mojej śmierci i zechciał się zjawić na tym spotkaniu, zostawiam dwie rzeczy. Tę pierwszą... – Brennan wstał i sięgnął pewną ręką po małą kopertę, którą podał mu kapłan. Otworzył ją. W środku była mała kartka laminowanego papieru o wymiarach pięćdziesiąt dziewięć na dziewięćdziesiąt jeden milimetrów. Był to nowiutki, nieużywany as pik. – ...żebyś ją zostawił na ciele tego, kto mnie zabił. Tę drugą, byś wychylił toast za propozycje, które powinnam była przyjąć, i obietnice, które powinnam była złożyć.

Ojciec Kałamarnica uniósł pudełko z podłogi i ustawił je na stole.

– Przykro mi – rzekł łagodnym tonem – ale wygląda na to, że do sypialni Poczwardki wtargnął wandal, który zniszczył prawie wszystko, w tym również to. Mogę to wyrzucić, jeśli chcesz.

To była karafka, która zawsze stała przy jej łóżku, wypełniona ulubioną irlandzką whisky Brennana.

– Dziękuję, ojcze. Wezmę to.

Były też dalsze zapisy. Prawie każdy otrzymał jakiś drobiazg, którego potrzebował, albo może coś, co chciał mieć, ale nie mógł sobie na to pozwolić. Wszyscy byli poruszeni głębią uczuć kobiety, która najwyraźniej wiedziała wszystko, ale nie okazywała po sobie niczego. Czując na prawym przedramieniu uspokajający dotyk Jennifer, Brennan

ponownie zadał sobie pytanie, co by się stało, gdyby Poczwarzka przyjęła jego ofertę ochrony i obiecała mu swoją miłość. Zerknął na Jennifer, zastanawiając się, czy wyczytała to pytanie w jego oczach.

Czytanie się skończyło. Pracownicy Pałacu ronili łzy smutku i szczerze żałoby, gdy Ojciec Kałamarnica chodził między nimi, dając im pocieszenie swą łagodną, spokojną bliskością.

Jory przestał łkać i osunął się pijany na podłogę. Ojciec Kałamarnica polecił Lupowi odwieźć go do hotelu.

Wszyscy wstali i zaczęli ze sobą rozmawiać. Brennan czuł na sobie czyjeś spojrzenie, jakby ktoś czaił się na niego za kościołem. Obejrzał się za siebie i zobaczył, że potężna postać odziana w sięgający ziemi płaszcz wymyka się tylnym wejściem przez galerię dla chóru. Wręczył Jennifer pudełko z potłuczoną karafką.

– Zabierz to do pokoju i zaczekaj na mnie. Muszę się teraz z kimś zobaczyć.

Skinęła głową i przyjęła od niego pakunek.

– Uważaj na siebie – powiedziała, ale Brennan ruszył już w noc, podążając za Kuriozum. Tajemnicze jestestwo oddaliło się, by zająć się swymi tajemniczymi sprawami.

21:00

Kuriozum nie figurowało w nowojorskiej książce telefonicznej. Przynajmniej nie pod tym pseudonimem.

Dzoker miał też inne imiona – Evan, Patti i John. Tyle przynajmniej zapamiętał Kopacz z artykułu, którego pan Lowboy nie chciał wydrukować. Kuriozum nie było jedną osobą, lecz trzema. Dwoma mężczyznami i jedną kobietą. Wszyscy byli kiedyś współlokatorami i kochankami, mówił Kopacz, *ménage à trois*, aż wreszcie dzika karta połączyła ich w jedno koszarne stworzenie, trzy umysły dzielące jedno potężne ciało, dręczone cierpieniem nieustannej transformacji. Evan, Patti i John, ale bez nazwiska.

Jeśli zaś chodzi o adres, Downs pamiętał tylko, że to było gdzieś w Dżokerowie. Tego Jay sam potrafiłby się domyślić.

Pojechał taksówką do Dżokerowa i rozpoczął poszukiwania. Chodził po ulicach tak długo, że aż rozboleły go nogi. Informatorzy z Cudaków dali mu trochę wskazówek w zamian za kilka banknotów, ale żadna z nich nie okazała się użyteczna. Kuriozum nie pijało w popularnych knajpach, nie jadało w tanich jadłodajniach ani nie odwiedzało miejscowych burdeli. Jay w końcu spróbował szczęścia na komisariacie. Wszedł do środka bocznym wejściem, by uniknąć spotkania ze swymi znajomkami Maserykiem i Kantem. Sierżant Kret poinformował go, że o Kuriozum krążą różne plotki, ale nigdy nie było na nie skarg ani go nie aresztowano. Nie mieli w aktach jego adresu.

Później łąził po ulicach na oślep, w wątpliwej nadziei, że natrafi na poszukiwanego. Kiedy nie szukał Kuriozum, cholerny dżoker pokazywał się wszędzie, a teraz przepadł jak kamień w wodę.

Z pewnością stare przyzwyczajenie kazało Jayowi skręcić w Henry Street i ruszyć w stronę Kryształowego Pałacu. Dopiero gdy znalazł się pół przecznicy od niego, przypomniał sobie, że Pałac jest zamknięty.

Ale gdy podszedł bliżej, przekonał się, że jednak jest otwarty.

Wszedł do środka, podążając za parą szukających egzotycznych rozrywek yuppies. W środku było tłoczniej niż zazwyczaj. Wszystkie stoły i boksy były zajęte, a przed barem klienci ustawili się w dwóch rzędach, domagając się obsłużenia. Jay przedarł się przez tłum, pomagając sobie zręcznymi unikami i ciosami łokci. Jedynym barmanem był Lupo. Padał ze zmęczenia. Futro miał mokre od potu.

– Tu mam dla niego *pousse-café* – warknął do kelnerki, łapiąc się za krocze. Wyciągnął butelkę piwa i postawił na jej tacy. – Zanieś mu to. Jeśli będzie niezadowolony, powiedz, że Pluskacz robi w swojej Piwnicy najlepsze *pousse-café* w całym Dżokerowie. – Barman zauważył Jaya kątem oka. Nalał do szklaneczki szkockiej z wodą sodową i przyniósł ją detektywowi, mijając po drodze czterech natolskich gości próbujących przyciągnąć jego uwagę. – Niech to szlag – poskarżył się, stawiając szklaneczkę na wilgotnej tekturowej podstawie.

– Macie dziś spory ruch – zauważył Jay.

– Co ty nie powiesz – burknął Lupo. – Nic nie rozkręca interesu lepiej niż morderstwo. Trzech czwartych tych głąbów nigdy przedtem tu nie widziałem. Powiem ci też, że żaden z nich nie słyszał o napiwkach.

– Hej! – zawołał jeden z natoli, siedzący trzy stołki dalej. – Kurwa, bierz się do roboty, futrzasta gębo!

Lupo odwrócił głowę i warknął, odsłaniając długie, żółte zęby. Natol skulił się, omal nie spadając ze stołka. Na mgnienie oka w całym barze zapadła cisza. Barman odwrócił się w stronę Jaya.

– Co mówiłeś?

– Gdzie jest Sascha? – odparł detektyw.

– Celne pytanie – mruknął Lupo. – To jego cholerna zmiana, ale nikt nie może go znaleźć. Gdybym był telepatą, może też bym wiedział, kiedy dobrze jest zniknąć.

– Nowy szef jest obecny?

Lupo skinął głową i oddalił się, zmierzając w stronę kelnerki, przywołującej go z drugiego końca baru.

– Sprawdź w czerwonej sali – zasugerował.

Było tam spokojniej niż w głównym pomieszczeniu, ale wszystkie boksy były zajęte. Wejścia do nich zasłaniały czerwone aksamitne kotary.

Wciąż trzymając w ręce szkocką, Jay rozchylił zasłonę i zajrzał do środka.

– A kuku.

Jube poderwał się jak oparzony. Wyglądał na zaniepokojonego, dopóki się nie zorientował, kto to taki. Charles Dutton zachował całkowity spokój.

– Niech pan spocznie, panie Ackroyd.

Jay wsunął się do boksu i pozwolił, by zasłona za nim opadła, zamykając ich w miękkiej, czerwonej macicy. Miło było wreszcie usiąść.

Dutton ścisnął w dłoniach kieliszek koniaku, Mors miał wielką piña coladę z plasterkiem ananasa pływającym na powierzchni, ale odsunął ją od siebie i wygramolił się z boksu.

– Idę sprzedać trochę gazet – oznajmił. – Spotkamy się później.

Jay zaczekał, aż Jube się oddali.

– Zbiera pan resztki? – zapytał.

Ciemne, głęboko zapadnięte oczy obrzuciły go szczerym spojrzeniem.

– Można tak to nazwać. Postanowiłem, że nie zamknę interesu.

– To świetnie – ucieszył się Jay. – Będę pana pierwszym klientem.

– Czego chciałby się pan dowiedzieć? Jestem pewien, że możemy się dogadać, jeśli cena będzie odpowiednia.

– Dostanę zwyczajowy rabat, prawda? – zapytał detektyw. – Szukam Kuriozum – dodał pośpiesznie, nim Dutton zdążył powiedzieć „nie”. – Wie pan, gdzie ono mieszka?

– Nie wiem – zaprzeczył dzoker.

Jay cmoknął.

– Poczwaraka by wiedziała. Nie może pan być handlarzem informacji, jeśli nie wie pan takich rzeczy.

– Niech pan da mi czas na skonsultowanie się z informatorami – odparł Dutton.

– Sascha zapewne by wiedział – zauważył detektyw. – Kiedy ktoś czyta w myślach, może się dowiedzieć wielu rzeczy. Swoją drogą, gdzie on się podział?

– Sam chciałbym to wiedzieć. Od czasu morderstwa nie wrócił do pokoju. Matka również go nie widziała. Martwi się o niego.

– Pewnie jest u swojej przyjaciółki – skwitował Jay. – Niech mi pan uwierzy, ona nie zalicza się do dziewczyn, które przedstawia się mamie.

– Dopił whisky. – Jak rozumiem, nie znalazł pan jeszcze jej tajnych akt.

– Niestety, nie znalazłem. Mogę jednak pana zapewnić, że w tym budynku ich nie ma. – Dutton postawił kaptur i wstał.

– Czyżby pan znudził się moim towarzystwem? – zapytał Jay.

– Obawiam się, że mam kilka spraw do załatwienia.

– W sumie ja też.

Jay również się podniósł. Pomyślał o Saschy. Kiedy ostatnio go odwiedził, zaliczył szybki numer, a potem go okłamano. Być może nadeszła pora na kolejną rozmowę.

22:00

Śledzenie Kuriozum nie było trudne, ani na zatłoczonych ulicach, ani na pustych. Dżoker nie poruszał się zbyt szybko, a jego sylwetka z pewnością była charakterystyczna.

Sytuacja zrobiła się nieco trudniejsza, gdy zagłębił się w opustoszałe zaułki, gdzie Brennan nie mógł się ukryć wśród pieszych. Z drugiej strony było tu ciemniej niż na ulicach i mógł się przemykać od cienia do cienia niczym kot.

Kuriozum w końcu zatrzymało się przed tylnym wejściem do pogrążonego w mroku ceglanego budynku. Następnie otworzyło go kluczem. Brennan podążał za nim tak blisko, jak tylko się odważył. Zatrzymał się przed metalowymi drzwiami, by przeczytać umieszczony na nich napis:

wejście dla personelu
sławne grozowe muzeum
dzikiej karty

Yeoman zmarszczył brwi, zastanawiając się, co może łączyć Kuriozum z Muzeum Dzikiej Karty. Zabrał się do pracy przy zamku, wiedząc, że w zaułku z pewnością nie znajdzie odpowiedzi na to pytanie.

Wewnątrz panował półmrok. Rozmaite eksponaty rzucały cienie w słabym blasku ochronnego oświetlenia. Brennan czuł dotyk niezwykłości, poruszając się wśród milczących, ledwie widocznych podobizn asów, dżokerów i kosmitów. Poczul ulgę, gdy wreszcie usłyszał ciężki tupot stóp Kuriozum. Zmierzało ku trzewiom muzeum. Yeoman podążył za nim w dół i dogonił je, gdy weszło do pomieszczenia wyglądającego jak znajdujący się w piwnicy warsztat. Dżoker zapalił wszystkie światła, więc Brennan schował się pod jakimś nakrytym brezentem obiektem, który przechowywano w szerokim korytarzu. Mógł stamtąd wyglądać zza framugi drzwi i widzieć większą część pomieszczenia. Wypełniały je nieukończone figury woskowe.

Kuriozum spacerowało w tę i w tę przed jedną z figur. Brennan wychylił się dalej w światło i zobaczył, że to naga podobizna Poczwarki. Jej tułów dopiero nabierał kształtu. Pod widmowymi mięśniami uwidaczniały się kości i narządy wewnętrzne. Głowa nadal była bezkształtną bryłą.

Kuriozum nagle zerwało szermierczą maskę i cisnęło ją na drugi koniec pomieszczenia, wyjąc rozpaczliwie. Maską uderzyła z głośnym stukaniem w stos garnków i wiader znajdujący się pod ścianą. Kuriozum, mające teraz wrażliwą twarz przystojnego czarnoskórego mężczyzny, wykrzywioną w grymasie intensywnych emocji, nadal spacerowało przed rzeźbą.

Brennan tak się pogrążył w obserwacji dzokera, że mało brakowało, a nie usłyszałby kroków na schodach. Zdążył jednak skryć się pod brezentem w tej samej chwili, gdy Charles Dutton pojawił się w korytarzu i ruszył ku pracowni, w której przebywało Kuriozum.

– Tak sobie myślałem, że to ty – powiedział właściciel muzeum. – Nie ma sensu się tym gryźć, Evan – dodał po dłuższej chwili.

Brennan usłyszał, że Kuriozum wciągnęło w płuca długi, gniewny oddech.

– Ona nie żyje, Charles. Jakiś wszawy as zatłukł ją na śmierć. Teraz już nigdy nie skończę tej figury. – Znowu rozległ się odgłos gniewnych kroków. – Gdybym tylko mógł zacisnąć dłonie na szyi sukinsyna, który to zrobił! – zawołało Kuriozum czy raczej Evan. – Wykończyłbym go! Naprawdę!

– Weź się w garść, Evan – uspokajał go Dutton. – To niepodobne do ciebie. Raczej do Johna. Mamy na głowie wiele innych zmartwień. Policja prowadzi śledztwo w tej sprawie i Ackroyd też. Ktoś znajdzie mordercę. Skupmy się na jej aktach.

– Wiem, Charles – odparł Evan, gdy Brennan wycofywał się bezgłośnie wzdłuż korytarza. – Wiem. Ale dlaczego Poczwarka? Kto mógł zrobić coś takiego?

Yeoman dotarł do schodów, a następnie wrócił tylnym wyjściem do zaułka.

Ból w głosie Kuriozum z pewnością brzmiał autentycznie, choć Brennan nie był pewien, czy dzoker bardziej się przejmuje śmiercią Poczwarki, czy swą nieukończoną rzeźbą. Tak czy inaczej, z pewnością nie popełnił tego morderstwa, chyba że jego osobowość była jeszcze bardziej schizofreniczna, niż się zdawało Yeomanowi. Kuriozum było niewinne. Maczuga też. Widmowe Pięści z każdą chwilą wyglądały lepiej. Zerknął na zegarek i wyruszył w noc.

Pora się zastanowić nad wizytą na cmentarzu, pomyślał.



Tym razem Jay postanowił, że nie skorzysta z dzwonka. Stał mu na samą myśl o Ezili, ale podczas jego poprzedniej wizyty zamieszanie zrobiło się nieco zbyt wielkie jak na jego gust.

Wepchnął do zaułka pusty pojemnik na śmieci i wdrapał się na jego szczyt. Stamtąd mógł dosięgnąć palcami najniżej położonego szczebla drabiny zwisającej ze starych, żeliwnych schodów przeciwpożarowych. Wyciągnął się, złapał jedną dłonią za metal i pociągnął w dół. Drabinka nie chciała się opuścić. Tymczasem pojemnik odczył się spod jego stóp i Jay zawisł w powietrzu, trzymając się drabinki jedną ręką. Chrząknął, złapał za szczebel drugą, podciągnął się i zaczął się wspinać. W takich chwilach żałował, że nie potrafi teleportować się sam z taką łatwością, jak robi to ze swoimi celami. Niestety, musiał się męczyć. Przykucnął na pomoście, żeby odetchnąć, i powęszył niepewnie. Coś tu cuchnęło.

W lofcie Saschy wszystkie światła były zgaszone. Jay ruszył ukradkiem ku oknu. Wspinać się nie należało do jego ulubionych zajęć, ale ze skradaniem się radził sobie świetnie. A kiedy nie musiał żonglować aparatem fotograficznym, było mu jeszcze łatwiej.

Za oknem była sypialnia. Jay zajrzał pośpiesznie do środka, ale nikogo nie zauważył. Wyjął z kieszeni nóż szklarski, ostrożnie usunął fragment górnej szyby i wsadził rękę do środka, by otworzyć okno. Po wyjęciu kawałka szkła smród się nasilił. Jay otworzył okno i wszedł do środka,

omijając skrzynkę na kwiaty, w której dziwnie wyglądające zioła i kwiaty rywalizowały o miejsce z chwastami. W pokoju śmierdziało naprawdę okropnie.

Jay był już prawie pewien, że nie zostanie w domu Saschy ani Ezili. Przynajmniej żywych. Podszedł cicho do drzwi sypialni, uchylił je, wyteżył słuch, nic nie usłyszał i wyszedł na korytarz.

Podzielony na małe pomieszczenia loft był znacznie większy, niż się spodziewał detektyw. Był tu salon, bogato urządzona kuchnia, dwie łazienki oraz sześć sypialni. Im bardziej zbliżał się do końca loftu, tym gorszy stawał się smród. Kiedy otworzył drzwi do położonej z tyłu łazienki, dopadły go mdości i musiał się wycofać.

Na serwantce w sąsiedniej sypialni można było dostrzec kilkanaście różnych rodzajów perfum. Detektyw znalazł w szufladzie koronkową chusteczkę i zmoczył ją nimi obficie, po czym zakrył nią sobie usta i nos. Następnie wrócił do łazienki, by się przekonać, kto nie żyje. Przez małe okienko z matowego szkła do środka napływała odrobina ulicznego światła padającego na kafelki podłogi. Jay widział maleńkie białe czerwie rojące się na ciele. Pomimo chusteczki smród był porażający. Detektyw zmusił się do włączenia światła.

To było dziecko. Chyba chłopiec, choć z ciała zostało tak niewiele, że trudno było mieć pewność. Był większy od dziwnego, podobnego do mały stworzenia, które Jay ścigał w Groszowym Muzeum, ale stanowczo za mały, by mógł być Saschą albo Ezili. Detektyw przypomniał sobie, że widział coś małego i pokracznego, co uciekło do sypialni, gdy bezoki dzoker natknął się na niego i Haitankę. Może to było jej dziecko... ale jaka matka zostawiłaby zwłoki własnego synka na podłodze łazienki?

Ciało uległo już zbyt wielkiemu rozkładowi, by można je było poddać bliższymi oględzinom, a czerwie nieprzyjemnie przypominały detektywowi stworzenie z jego snu, które miało biały stożek zamiast twarzy. Mimo to nakazał sobie spojrzeć na gnijące zwłoki. To z pewnością był dzoker. Był nagi. W pierwszej chwili Ackroydowi wydawało się, że miał za dużo kończyn, ale w końcu doszedł do

wniosku, że długa gnijąca wyrośl między jego nogami to ogon. Ciało leżało twarzą w dół i nie widział jej rysów, ale w boku szyi widniał wielki otwarty wrzód, w którym roiło się od larw.

Jay zobaczył już wystarczająco wiele. Wyłączył światło, zamknął za sobą drzwi i zatrzymał się w korytarzu, rozważając możliwe opcje. Mógłby wezwać gliny. Ale tym razem nikt go tu nie zaprosił. Sam włamał się do środka. Postanowił, że pozwoli, by chwała odkrywcy przypadła komuś innemu. Schował chusteczkę z powrotem do kieszeni i zaczął przeszukiwać mieszkanie.

Nikogo tu nie było. Już od dłuższego czasu. Pomijając martwego chłopca w łazience, wszyscy mieszkańcy pośpiesznie się wynieśli. Detektyw znalazł otwarte szuflady, z których zabrano wszystkie ubrania. Meble pozostawiono na miejscu, podobnie jak dziwny haitański syf, który zauważył podczas poprzedniej wizyty, lecz większość rzeczy osobistych zabrano.

Ale nie do końca. Zostało ich wystarczająco wiele, by Jay mógł mieć pewność, że Ezili, Sascha i martwy chłopiec nie mieszkali tu sami. W jednej z sypialni znalazł stertę czasopism poświęconych kulturystyce, spoczywających przy nagim materacu leżącym na podłodze, a także sztangę, która wyglądała na często używaną. Nie potrafił sobie wyobrazić, by Sascha mógł dźwigać ciężary.

Inny pokój starannie odizolowano od reszty loftu, a okna zamurowano, po czym przerobiono go na coś w rodzaju średniowiecznej izby tortur. Z dźwiękoszczelnych ścian zwisały żelazne kajdany, a pośrodku ustawiono stół sekcyjny z głębokimi rowkami służącymi do odprowadzania krwi. Za drzwiami szafy w ścianie Jay znalazł wózek obwieszony nożami, szczypcami, zgniataczami kciuków oraz innymi tego typu zabawkami. Była tam nawet staroświecka wiertarka dentystyczna o zakończeniu nadal pokrytym zakrzepłą krwią.

W trzeciej sypialni na podłodze walały się zużyte strzykawki oraz rozmaite pigułki. Puffy i leżące na podłodze poduszki przywodziły detektywowi na myśl jakąś hipisowską melinę z lat sześćdziesiątych. Bielizniarka służyła jako piwnica z winami. Nawet Jay wiedział

wystarczająco wiele o winach, by sobie uświadomić, że Chateau Lafitte Rothschild musi kosztować sporo, a niektóre inne etykiety również sugerowały wysokie ceny.

W lodówce znalazł kilka butelek Dom Perignon, puszkę kawioru bieługi oraz inne importowane smakołyki. Wszystko to wyglądało bardzo kusząco, ale z jakiegoś powodu nie czuł się zbyt głodny.

W szafie w korytarzu było pełno zimowych ubrań, o których mieszkańcy zapomnieli w pośpiechu. Na haku po wewnętrznej stronie drzwi wisiała płócienna kurtka, a wewnątrz było szczelnie wypełnione. Widział kobiece futra z norek, rosyjskich soboli oraz czegoś cętkowanego, co zapewne było zagrożonym gatunkiem, a także skórzaną kurtkę lotniczą oraz wyglądające na bardzo kosztowne stroje z kaszmiru, zamszu i wielbłądziej wełny, pomieszanego z innymi, drelichowymi i poliestrowymi. Stroje były męskie i damskie, najrozmaitszych rozmiarów, dochodzących aż do ekstremalnych. Jay przeszukał szafę, ale nie znalazł sportowej marynarki w szarą kratę z dziurą po kuli na lewym barku. Gdy przyglądał się płaszczom, nagle zadzwonił telefon.

Detektywa przeszył zimny dreszcz. Przypomniawszy sobie dom pogrzebowy oraz niezwykle telefon od kobiety mówiącej głosem Poczwaraki. Nie, pomyślał, nie tym razem. Nikt nie wie, że tu jestem. Owinął dłoń wilgotną, nasączoną perfumami chusteczką i uniósł ją do ucha.

– Dzwonię przez cały dzień. Gdzie się podzialiście, do licha? – zabrzmiał męski głos. – Potrzebuję pocałunku, słyszysz? Potrzebuję go. Nie masz pojęcia, pod jak wielkim napięciem tu pracuję. – Wszystko to mężczyzna wypowiedział jednym ciągiem, nie robiąc przerw na zaczerpnięcie tchu. Dopiero później uświadomił sobie, że nie usłyszał „halo”. – Ezili, czy to ty?

– Ezili jest nieobecna – odpowiedział Jay przez chusteczkę, starając się zniekształcić swój głos. – Kto mówi?

Nastąpiła chwila ciszy.

– Z kim rozmawiam? – zapytał wreszcie mężczyzna ostrym tonem, który wydał się detektywowi niesamowicie znajomy.

– Z Saschą – odpowiedział Jay, starając się mówić jak bezoki barman.

– Nie jesteś Saschą – stwierdził mężczyzna.

Plan trafił szlag. Detektyw doszedł do wniosku, że najlepiej będzie zamknąć się i słuchać.

– Kto mówi? – dopytywał się tamten. – Nie próbuj ze mną zadzierać, bo pożałujesz.

Jay znał ten głos. Nagle bardzo się ucieszył, że nie zawiadomił policji. Odłożył słuchawkę na widelki i pośpiesznie się wyprostował.

Kant mógł tu przyjechać za kilka minut. Jay musiał się śpieszyć. Zrobił dwa kroki i nagle zauważył bloczek leżący przy telefonie. Podeszedł do niego. Górną kartkę oderwano, ale na znajdującej się poniżej nadal można było odczytać dwie kolumny cyfr. Godziny.

Jay schował bloczek do kieszeni i ruszył ku wyjściu przeciwpożarowemu. Nie trzeba było ukończyć z wyróżnieniem szkoły dla detektywów, by się tego domyślić. Godziny lotów. Sascha nie zjawi się w pracy zbyt szybko. Jay miał dziwne wrażenie, że wie, do którego miasta uciekł barman.



Czwartek, 21 lipca 1988

1:00

– Urosłeś – poinformował Kopacza Jay. Nieznacznie, ale kiedy startuje się od dziesięciu centymetrów, każdy dodatkowy centymetr ma znaczenie.

– Wiem – potwierdził reporter siedzący na kolanach Oralnej Amy. – Bachor musiał co rano na nowo kurczyć tych, którzy najbardziej tego potrzebowali. W przeciwnym razie się rośnie.

– Ale powoli – stwierdził Ackroyd, zamykając za sobą drzwi.

– Powoli – przyznał z przygnębieniem w głosie Downs. – Gdzie się podziewałeś, do licha? Myślałem, że Hartmann już cię załatwił.

– Hartmann jest w Atlancie – zauważył detektyw. – Wątpię, by w ogóle wiedział o moim istnieniu.

– Nie bądź tego taki pewien – sprzeciwił się nadal przygnębiony reporter. – Co się dzieje? Podniosłeś alarm?

– Nie – odparł Jay. Wszedł do drugiego pokoju, włączył światła i wentylator, a następnie usiadł za biurkiem.

Kopacz zeskoczył z Oralnej Amy i potruchtał ku detektywowi, stukając małymi stópkami o twardy parkiet.

– Na co czekasz, do licha? Na oficjalną tabliczkę z zaproszeniem do Białego Domu? – zapytał z irytacją. – W Atlancie już zaczęli głosowania. Hartmann w każdej chwili może zdobyć nominację, a ty tylko dłubiesz w nosie. Zamierzasz pozwolić, żeby facet, który zabił Poczwarkę, został prezydentem?

Jay złapał reportera za kołnierz i uniósł nad podłogę.

– Bądź tak miły i zamknij się, Downs – warknął i wrzucił małego

człowieczka do kosza na śmieci.

Kopacz wylądował wśród resztek pizzy i pisnął na znak protestu.

– Kurde, co cię ugryzło, Rzutnik?

– Znalazłem kolejne ciało – wyjaśnił detektyw.

– Jezu, kto to był?

– Nie mam pojęcia, niech to szlag.

– Czy to była robota Mackiego? – zainteresował się Downs.

– Nie sądzę. Ciało zdążyło już porządnie zgnić, ale wszystkie części nadal były na swoim miejscu.

Kopacz wspiął się na pudełko po pizzy, zachwiał się na krawędzi kosza, zeskoczył na podłogę i wylądował ze stęknieniem.

– Musimy załatwić Hartmanna, zanim on załatwi nas – oznajmił. – Mówiłem ci, jaki on jest...

– Tak, mówiłeś – potwierdził Jay. – To świetna historia. Lepiej, żeby taka była, bo poza nią nie mamy nic. Twoje słowo przeciwko jego słowu. Słowo kandydata na prezydenta przeciwko słowu autora artykułu o ukrywanym nieślubnym dziecku Wyjca. Ciekawe, komu uwierzą? Oczywiście, masz świadków. Poczwarkę, Kahinę, Gimlego. Szkoda, że wszyscy nie żyją.

– Marynarka! – zawołał Kopacz. – To jest twój dowód!

– Może i tak – przyznał Jay. – Gdybyśmy ją mieli. Ale nie mamy. Nie wiesz przypadkiem, gdzie Poczwarka miała swoją tajną skrytkę?

Downs potrząsnął głową.

– To fatalnie – zmartwił się detektyw. – A co możesz mi powiedzieć o Saschy?

– O Saschy? – Reporter zrobił zamyśloną minę. – On jest telepatą. Czy to w czymś pomaga? No wiesz, on odbiera tylko powierzchniowe myśli. Ale gdyby miał komuś przekazać to, co... Jezu, chyba nie sądzisz, że Sascha miał kontakty z Hartmannem?

– Taka myśl mi się nasunęła – przyznał Jay.

– Jezu – powtórzył Kopacz. – Nigdy nie zwracałem na niego zbytnej uwagi. On... po prostu był blisko. Ale był blisko nas bardzo często. Jeśli kapował Hartmannowi... Ufała mu, niech to szlag. Jemu i Elmowi.

Polegała na nich. Sascha potrafił zwężyć kłopoty, zanim do nich doszło, a Elmo już wiedział, co w tej sprawie zrobić.

– Chyba że Sascha sam był źródłem kłopotów – zauważył Jay. – Czy Poczwarzka wspominała kiedyś o dziewczynie Saschy?

– Jakiej dziewczynie? – zdumiał się Downs.

– Mniejsza z tym – odpowiedział z westchnieniem detektyw i wstał.

– Dokąd idziesz? – zapytał Kopacz.

– Na poszukiwania.

– Kiedy wrócisz?

– Później – odparł Jay i otworzył drzwi. Musiał sobie łyknąć w spokoju. Dobrze byłoby też coś zjeść. Sen również by nie zaszkodził, ale nie sądził, aby dzisiejszej nocy mógł na niego liczyć.



Brennan miotał się na twardym łóżku, zawieszony między snem a jawą. Dręczyły go koszmary, których nie potrafił oddzielić od rzeczywistości. Zrzucił z siebie krępujący ruchy, przeпоcny koc i zerknął na Jennifer. Nadal spała spokojnie. Ze stojącego obok niej na stoliku zegara wyczytał, że do spotkania ze Znikaczem zostało mu jeszcze jakieś dwie i pół godziny. Potrzebował więcej snu, ale wątpił, aby udało mu się zasnąć.

Wspomnienie Poczwarzki wypełniało mu umysł tępym bólem. Jak powiedział Tachion, jej duch był wymagający. Raz po raz wyobrażał sobie, jak rzuca kartę, którą mu zostawiła, na ciało jej zabójcy, czy to mężczyzny, czy kobiety, czy asa, czy dzokera. Problem w tym, że zamiast twarzy mordercy widział tylko wielką białą plamę.

To nie był Maczuga i to nie było Kuriozum. Raczej nie wyobrażał też sobie Quasiczłowieka w roli zabójcy działającego z zimną krwią. Z listy podejrzanych Ackroyda zostali tylko Żmij i Doug Morkle. Żmij, niewykluczone. A Morkle? Któż mógł wiedzieć, do licha?

Ponownie zwrócił się nerwowo w stronę okna i zamarł w bezruchu. Zadał sobie pytanie, czy nadal śni. A może to była halucynacja?

Okno urosło do gigantycznych rozmiarów, co dodawało wiarygodności przypuszczeniu, że tylko śni, że się nie obudził. Widniała w nim podobizna Poczwardki od szyi w górę. Poznałby ją wszędzie. To była jej lśniaca czaszka, jej niebieskie oczy, jej czerwone, wydęte wargi.

Gapił się na nią przez dobre pięć sekund. Następnie zamknął oczy i potarł powieki. Kiedy otworzył oczy, zniknęła. Leżał w łóżku, gapiąc się na puste już okno. Powtarzał sobie, że musi wstać i podejść do niego, ale się bał.

Zamknął oczy i powiedział sobie, że to był tylko sen. Po pewnym czasie niemal udało mu się przekonać samego siebie, że to prawda.

3:00

– Kawy, Jay? – zapytała Vi.

Zajął boks przy oknie. Na nocnej zmianie przy barze tłoczyło się mnóstwo dziwnych osobników, a w obecnej chwili Jay nie był w zbyt towarzyskim nastroju.

– Tak, proszę – zgodził się. – I cheeseburgera, z dodatkową cebulą i frytkami.

– Jasne.

Vi nalała mu kawy i poszła przekazać zamówienie. Ktoś zostawił w boksie wymięty egzemplarz „Daily News”. Jay wyprostował go i przeczytał artykuł z pierwszej strony. Na konwencji demokratów zaczęły się wybory kandydata, Hartmann zdobył przewagę, która rosła z każdym głosowaniem. Leo Barnett był kilkaset głosów za nim. Jackson, Dukakis i Gore zostali z tyłu. Jay przyznawał to z wielką niechęcią, ale Kopacz miał rację. Musiał coś zrobić. Ale co?

Odsunął gazetę na bok, wyjął z kieszeni swoją listę i ponownie przyjrzał się nazwiskom. Żmij, Quasiczłowiek, Maczuga, Kuriozum i Doug Morkle. Yeoman przysięgał, że to nie był Maczuga. Jeśli tajemniczym graczem był rzeczywiście Hartmann, a nie Barnett, to dawało motyw Quasiczłowiekowi. Jay nie znalazł żadnego cholernego

dowodu, który wskazywałby na Widmowe Pięści, a poza tym to nie był sposób działania Żmija. Detektyw nadal nie wiedział, kto to, do chuja, był Doug Morkle, ale przestało go to już obchodzić. To musiało być Kuriozum, no bo kto inny?

Wygrzebał z kieszeni listę lotów, którą znalazł przy telefonie Ezili. Pociągnął łyk kawy.

– Pierdolić to – powiedział na głos.

To wcale nie musiało być Kuriozum.

Atlanta była za blisko, niech to szlag. Najwyraźniej lot trwał średnio około dwóch godzin. Pierwszy samolot odlatywał o szóstej pięćdziesiąt pięć i przybywał na miejsce o dziewiątej zero siedem. Zabójca mógł złapać ostatni samolot z Atlanty w niedzielę wieczorem, wpaść do Kryształowego Pałacu wczesnym rankiem, zamordować Poczwarkę i zdążyć wrócić do Georgii na otwarcie konwencji. To oznaczało, że niektórym nazwiskom na liście należy się przyjrzeć raz jeszcze.

Jeśli Downs mówił prawdę, Poczwaraka zleciła komuś zabójstwo Gregga Hartmanna. Nikomu o tym nie powiedziała, ale Hartmann i tak się dowiedział. Źródłem przecieku musiał być Sascha. Gdy zabito Poczwarkę, Elmo wynajmował zamachowca, co znaczyło, że ktoś dowiedział się o jej planach wcześniej. Zdaniem Jaya w Nowym Jorku było stanowczo zbyt wielu cholernych telepatów, ale tylko Sascha był blisko Poczwaraki.

Detektyw przełknął łyk kawy, skrzywił się i przeklął własną głupotę. Bezoki barman był na miejscu, gdy on sam odnalazł ciało. Mimo że nie miał oczu, wyczuł, że w budynku przebywa intruz. Dlaczego więc nie wyczuł obecności zabójcy?

A może wyczuł?

W porządku, wyczytał plan Poczwaraki z jej umysłu i przekazał wiadomość Hartmannowi, który wysłał Mackiego Majchra, by wykończył Downsa, oraz kogoś innego, obdarzonego nadludzka siłą, żeby wyeliminował z gry Poczwarkę. Kuriozum? Być może.

Ale Jack Braun był zwolennikiem Hartmanna, a Billy Ray był ochroniarzem senatora. Brutalność morderstwa nie zgadzała się

z charakterem Brauna. Carnifex miał paskudną reputację, ale... to mogło nie mieć znaczenia. Według Downsa młoda Syryjka twierdziła, że Hartmann kazał jej poderznąć gardło własnemu bratu. Mógł też zmusić Brauna, by wykonał swą brudną robotę w ten właśnie sposób.

Vi wróciła szybkim krokiem, w jednej ręce trzymając kawę, a w drugiej cheeseburgera. Postawiła talerz za stole i ponownie napełniła kubek Jaya. Detektyw złożył swoje papiery i odsunął je na bok.

– Kto jest twoim kandydatem na prezydenta, Vi? – zapytał kelnerkę.

– To wszystko krętacze – odparła, oddalając się. – Nie głosowałabym na żadnego z nich.

Jay wlepił spojrzenie w cheeseburgera. Cebula była prawie zwęglona, taka, jaką lubił. Spróbował jedną frytkę. Przydałby się keczup.

– Hej, Vi! – zawołał, ale była już za ladą i obsługiwała dwie dziwki, które właśnie przyszły tu z Czterdziestej Drugiej Ulicy.

Jay doszedł do wniosku, że Kuriozum nadal pozostaje lepszym kandydatem niż Złoty Chłopiec albo Carnifex. Hartmann musiałby się dowiedzieć o planowanym zamachu wieczorem poprzedniego dnia, by Braun albo Ray mogli zdążyć na czas, ale jeśli wiedział tak wcześnie, dlaczego, do licha, nie kazał Mackiemu natychmiast wykończyć Downsa? I dlaczego Mackie nie mógł się zająć również Poczwar ką? Po co wykorzystywać dwóch zabójców, gdy każdy z nich mógł przyciągnąć uwagę do niego? I po co wysyłać kogoś z Atlanty, jeśli miał na miejscu lokalny talent? Zakładając, że Mackie przebywał w Nowym Jorku, rzecz jasna. Być może on również poleciał do Atlanty. To by tłumaczyło, dlaczego potrzebował tak wiele czasu, by dotrzeć do Downsa.

Problem w tym, że jeśli Hartmann był asem, należałoby się przyjrzeć po raz drugi wszystkim nazwiskom na tej cholernej liście. Troll, Ernie Jaszczurka, Klucha – zapewne wszyscy oni byli fanami Hartmanna. Żaden z nich nie miał szczególnych powodów, by zabić Poczwar ką, ale może nie potrzebowali żadnego. Może byli bezwolnymi pionkami senatora, jak Kahina. Co, kurwa, mógł w takiej sytuacji zrobić? Odgryzł kawałek cheeseburgera i przeżuł go.

Czy Hartmann rzeczywiście był ukrytym asem? Tak twierdził Kopacz.

On i jego cholerny nos. Niezły dowód. Zapach, którego nie czuł nikt poza nim. Jedynym dowodem na prawdziwość rewelacji Downsa mogła być marynarka. Jay zadał sobie pytanie, gdzie by się ukrył, gdyby był marynarką, ale nie przychodziło mu na myśl nic poza szafą, nie ulegało zaś wątpliwości, że wszystkie znane szafy starannie przeszukano.

Cheeseburgerowi również przydałby się keczup.

– Vi! – zawołał głośno.

Przysła do niego z dzbankiem kawy i zatrzymała się, widząc, że jego kubek nadal jest pełen.

– Czego potrzebujesz, kochanie?

– Keczupu – odpowiedział Jay.

– Jezu – odezwała się ze zniesmaczoną miną. – A co to jest, twoim zdaniem?

Wskazała palcem.

Jay zamrugał. Butelka keczupu stała na stole przy oknie, między serwetkami a pieprzniczką i solniczką. Vi westchnęła z irytacją i oddaliła się. Detektyw wziął w rękę butelkę, otworzył ją i wylał na talerz sporą porcję sosu. Jak mógł być taki głupi? Cały czas miał to cholerstwo prosto przed oczami.

I wtedy go olśniło.

4:00

Zapomniany cmentarz, pozostawiony bez opieki na kilka dziesięcioleci, był wysepką dzikiej przyrody pośrodku miasta. Niektóre groby zawałyły się w ciągu lat zaniedbania. Zwietrzałe nagrobki pochylały się w wybujałych chaszczach. Widniejące na nich nazwiska w większości zaginęły w niepamięci, podobnie jak sam cmentarz. Czuć tu było aurę melancholijnego rozkładu, ale Brennanowi to nie przeszkadzało. Lubił panującą w tym miejscu ciemność i ciszę. Było tu niemal równie spokojnie jak poza miastem.

Włożył ciemne ubranie i wziął ze sobą kompozytowy łuk, złożony

i gotowy do użycia. To była odpowiednia broń do tego miejsca. Ciemna jak noc, w której ukrywał się Brennan, i cicha jak trupy dotrzymujące mu towarzystwa podczas oczekiwania.

Wreszcie ciszę zmaćił zbliżający się samochód. Ukryty w chaszczach Brennan słyszał go, choć go nie widział. Kierowca zaparkował pod rozsypującym się ceglany murem otaczającym cmentarz i zgasił silnik. Drzwi otworzyły się i zamknęły. Znowu zapadła cisza.

Potem Yeoman usłyszał, że przez zarośla przedziera się coś masywnego.

Zamarł w bezruchu. Odgłos sugerował, że stworzenie musi być duże. Wziął głęboki oddech, ale nie wywęszył nic poza irytującymi zapachami miasta, które docierały nawet tutaj. Stał nieruchomo, wstrzymując oddech pośród nocy tak cichej, że słyszał szum krwi w naczyniach włosowatych swoich uszu. Słyszał też ruchy intruza, poszukującego go w krzakach i wysokiej trawie.

Pobiegł przez podszycie, oddalając się od stworzenia tak cicho, jak tylko mógł. Zatrzymało się i pociągnęło główno nosem, próbując wywęszyć w powietrzu jego zapach.

Brennan nie zatrzymywał się ani na chwilę, krążąc wokół rozsypującego się mauzoleum. Kiedyś zastawił w nim pułapkę na grupę Niepokalanych Czapli, które posługiwały się zbudowanym przez obcych urządzeniem teleportacyjnym, by przemycać do miasta heroinę. Zatrzymał się na moment, usłyszawszy potężny, pełen satysfakcji syk, brzmiały tak, jakby kilkanaście rur z gorącą parą pękło jednocześnie i cieszyło się z tego. Szukające go stworzenie zwęszyło jego trop.

Yeoman zaczął poruszać się szybciej, nie przejmując się już hałasem. Przeskakiwał przez obalone nagrobki i przedzierał się przez gąszcze bzu i dzikich róż. Drogę oświetlał mu jasny blask księżyca. Do pełni brakowało tylko kilku dni. Parł naprzód, ignorując kaleczące go ciernie, aż wreszcie dotarł do starego kamiennego muru otaczającego cmentarz.

Usłyszał za sobą głośny łoskot. Coś długiego i krętego przedarło się przez bzy i dzikie róże, wydostając się na wolną przestrzeń. Jego srebrne i złote łuski lśniły w świetle księżyca.

To był smok, długi na jakieś sześć metrów i smukły jak wąż. u czterech

nóg miał ostre niczym brzytwy szpony, a jego twarz była zdobną orientalną maską o przypominających noże zębach i wyłupiastych czerwonych oczach. Z jego rozwartych nozdrzy buchały obłoki pary.

To z pewnością był Leniwy Smok. Znikacz wysłał go na poszukiwania Brennana pod postacią niczym nieprzypominającą myszy ani ślicznego kotka. Yeoman odruchowo sięgnął po kołczan przypięty rzepem do pasa, choć wątpił, aby nawet najpotężniejsza strzała z wybuchowym grotem zdołała zaszkodzić tak groźnie wyglądającej bestii.



Zamki nie sprawiły mu szczególnych trudności. Był ostrożny, przez co praca zajęła mu trzy razy więcej czasu, niżby należało. Niemniej w końcu udało mu się odsunąć rygiel. Jay uchylił nieco drzwi i wślizgnął się do chłodnego, mrocznego wnętrza Sławnego Groszowego Muzeum Dzikiej Karty.

W bloku klawiszy na ścianie zamigotało czerwone światło. Jay podszedł do niego i wpisał kod. Widział, jak Dutton robił to we wtorek wieczorem. Miał dobrą pamięć do takich rzeczy. Migoczące czerwone światło ustąpiło miejsca ciągłemu zielonemu.

Teraz, kiedy był sam, wewnątrz muzeum wydało mu się jeszcze bardziej niesamowite niż poprzednim razem, gdy Dutton był jego przewodnikiem. Woskowe figury przyglądały mu się, gdy skradał się korytarzami. Cały czas wyobrażał sobie monstrualne dzokerskie dzieci, czające się na niego w każdym kącie. Dwukrotnie zgubił drogę, nim wreszcie udało mu się odnaleźć syryjską dioramę.

Wszystkie światła były zgaszone. Detektyw ledwie dostrzegał zarysy figur woskowych za szkłem. Każda z nich była nieruchoma, pochwycona w zamarznętym urywku czasu. Sajjid zatrzymał się na granicy upadku. Hiram zaciskał pięść. Kahina trzymała w dłoniach zakrwawiony nóż. Gdzieś w środku krył się Hartmann.

Było za ciemno, by mógł wyraźnie zobaczyć senatora. Musiała istnieć jakaś droga wejścia do środka. Jay przyjrzał się szeregowi wywołujących

efekty specjalne guzików i nacisnął jeden z nich. Ukryte wewnątrz dioramy światła spowiły Jacka Brauna złotą poświatą. Wszystkie woskowe figury rzucały w tym blasku długie mroczne cienie. Biały kostium Carnifexa zrobił się w nim żółty jak mlecz, metalowe szpony Sokolicy lśniły jasno. Nieco z boku detektyw wypatrzył słaby zarys drzwi, ledwie widoczny na malowanym tle.

Zwolnił guzik i zaczął się rozglądać, aż wreszcie znalazł drzwi z napisem „Tylko dla personelu”. W wąskim, dusznym korytarzu panowała nieprzenikniona ciemność. Jay zapalił zapałkę i ruszył naprzód, wspierając się jedną ręką o ścianę. Drzwi do Syrii były otwarte.

Upuścił wypaloną zapałkę i zapalił kolejną. Jej płomień odbijał się blade w ciemnym szkłe. Woskowe figury zdawały się poruszać i odkształcać w słabym blasku. Detektyw przeszedł ostrożnie nad doktorem Tachionem, który leżał nieprzytomny na ziemi, odziany w ozdobny arabski stój. Następnie precyzyjnie przeszedł między Złotym Chłopcem a Kuriozum i przeszedł pod imponującą figurą Sajjida, nim wreszcie dotarł do Gregga Hartmanna.

Jego krawat wprawdzie zawiązano, a białą koszulę wyprasowano i wykrochmalono. Nie miał marynarki. Jay zamrugał, zaskoczony. Następnie usłyszał za sobą ciche kroki.

Odwrócił się akurat na czas, by zobaczyć wielką, spowitą w czerń postać pochylającą się nad nim i ujrzeć na moment wyłaniającą się z mroku pięść. Pierwszy cios omal nie urwał mu głowy. Drugi trafił go w pierś, odbierając mu zdolność oddychania. Zgubił gdzieś zapałkę. Pięść wielka jak bryła węgla uderzyła go w skroń i odrzuciła na bok. Jay wpadł na woskowego terrorystę i zwałił się na podłogę.

Gdy leżał tam oszołomiony, uświadomił sobie, że Kuriozum nie uczestniczyło w ekspedycji Światowej Organizacji Zdrowia.

Nie musiał zastanawiać się nad tym długo. Poczul, że złapały go potężne ręce, a w ciało wbiły mu się palce twarde jak stalowe liny. Uniesiono go w górę i rzucono w powietrze. Szkło rozprysło się wokół niego. Następnie uderzyło go coś twardego i zimnego. Pomyślał, że to mogła być podłoga.



Brennan nagle uświadomił sobie, że miał zamiar strzelać do niewłaściwego celu. Obrócił się, złapał za szczyt muru i podciągnął się w górę.

Znikacz opierał się o maskę samochodu zaparkowanego przed cmentarną bramą. Palił papierosa. Yeoman skrzywił się wściekle, chwycił strzałę, uniósł łuk i wystrzelił. Znikacz rozejrzał się błyskawicznie, gdy strzała przebiła maskę samochodu, wnikając głęboko w silnik.

– Jezui! – Gapił się przez moment na strzałę, po czym spojrzął w ciemność. – Yeoman?

– Odwołaj Smoka – zażądał Brennan. – Albo następna strzała wbije ci się w prawe oko.

Znikacz zawahał się.

– Nie żartuję! – zawołał Yeoman, obliczając, jakie ma szanse wystrzelić pocisk, który nałożył już na cięciwę, znaleźć w kołczanie eksplodującą strzałę i wypuścić ją w Smoka, zanim bestia zrobi z niego miazgę.

Palce mu drżały, gotowe wypuścić strzałę, którą wycelował w Znikacza.

– W porządku – zawołał gangster z Widmowych Pięści. – Jak sobie życzysz. Chciałem tylko, żeby sprawdził cmentarz. Smoku, wracaj do swojego ciała. Natychmiast!

Yeoman przeniósł wzrok na stworzenie. Smok obejrzał się obojętnie. Potem jego sylwetka zaczęła się wypaczać i kurczyć, aż wreszcie został tylko kawałek wymyślnie złożonego papieru, który umknął z wiatrem w noc. Minęła chwila. Wreszcie Smok otworzył tylne drzwi, wysiadł z samochodu i stanął obok Znikacza. Brennan poluzował cięciwę.

– Wejdźcie przez bramę! – zawołał. – Jeśli skończyliście z gierkami i chcecie porozmawiać.

Znikacz i Smok wymienili spojrzenia. Znikacz był starszy i wyższy – muskularny mężczyzna w drogim garniturze. Smok był młodym Azjata,

drobniejszym i szczuplejszej budowy, ale to jego moc asa była bardziej niebezpieczna. Niemniej to ten pierwszy był szefem, a Smok wykonywał jego polecenia.

– Nie możesz mieć mi za złe, że jestem ostrożny – oznajmił Znikacz, wchodząc na teren cmentarza przez ledwo trzymającą się na zawiasach żeliwną bramę. – W klinice Tachiona zabiłeś mnóstwo Pięści.

Brennan zeskoczył swobodnie ze szczytu muru.

– Przeszkadza ci to? – zapytał.

– Nie – przyznał gangster. Rozejrzał się wkoło, tłumiąc dreszcz. – Ale... no wiesz, miałem lekkie obawy przed spotkaniem w tym odludnym miejscu. Ciarki mnie przechodzą na jego widok.

– Mnie się tu podoba. Jest ciemno i cicho. Dużo kryjówek. – Yeoman zmęczył się nagle tymi niezobowiązującymi rozmówkami. – Porozmawiajmy o Poczwarce.

Znikacz zerknął na Leniwego Smoka, który przyglądał się im niewzruszony.

– Wiem, że szukasz jej mordercy. Wywołałeś niezłą scenę w Piwnicy Pluskacza. Obawiam się, że całkowicie zniszczyłeś reputację Maczugi.

– To nie było trudne. To już nie ten sam stary Maczuga.

Znikacz skinął głową.

– Umiera na AIDS. Nikomu nie życzę takiego losu, ale nie mogę powiedzieć, żebym zbyt go żałował. Był odrażającym bydlakiem, a teraz jest odrażający i żałosny.

– Nie przyszedłem tu po to, by dyskutować o problemach zdrowotnych Maczugi.

– Jasne. Chcę ci pomóc.

– Pomóc?

– Tak. Pomóc w odnalezieniu zabójcy Poczwaraki.

– Rozumiem. – Brennan przyglądał z namysłem wąsy. – A w zamian?

Znikacz wzruszył ramionami.

– Nasze pragnienia nie są rozbieżne. Chcę, żeby Kien zniknął.

Brennan powoli rozciągnął usta w uśmiechu.

– Nie mam pojęcia, co masz przeciwko niemu – ciągnął gangster. –

Wiem tylko, że gorąco pragniesz go załatwić. Jeśli zaś chodzi o mnie, no cóż, powiedzmy tylko, że potrafię sobie wyobrazić, iż Widmowe Pięści mogłyby świetnie sobie poradzić, mając nowego przywódcę.

Yeoman zerknął na Leniwego Smoka.

– I nowego zastępcę przywódcy?

– Jestem bardzo szczodry dla tych, którzy mi pomagają – zapewnił Znikacz. – Byłem szczodry dla Leniwego Smoka i w przeszłości dla ciebie również. Mogę do tego wrócić.

– Potrzebuję tylko informacji – odparł Brennan.

– Gadaj.

– Czy Żmij zabił Poczwarzkę?

– Przechodzisz od razu do sedna, tak? – zapytał Znikacz, potrząsając głową.

– Zgadza się.

– No cóż – zaczął ostrożnie Znikacz. – Wszyscy wiemy, że Żmij ma gwałtowne usposobienie i jest bezgranicznie oddany Kienowi. Poczwarzka, rzecz jasna, wiedziała, że Kien jest szefem Pięści, ale nikomu tego nie zdradziła. Jeśli jednak usłyszała o czymś, co mogłoby zagrozić Kienowi, niewykluczone, że Żmij wykazał się inicjatywą i zrobił coś na własną rękę.

– Na przykład dowiedziała się o jego nowym narkotyku.

– O uniesieniu? – zapytał Znikacz. – To prawda, wiesz już o naszym nowym rozweselaczu, tak?

– Co nieco.

– Może Poczwarzka również zdobyła gdzieś informacje o nim.

– I Żmij ją zabił.

Znikacz ponownie wzruszył ramionami.

– Nikogo nie oskarżam. Ale to jest jakaś myśl. Mogę dyskretnie zadać kilka pytań.

Brennan skinął głową.

– W porządku. Będę w kontakcie.

– Jeszcze jedno – powiedział gangster, gdy Yeoman się odwrócił. – Mógłbyś się rozejrzeć za ukrytymi aktami Poczwarzki.

– Ukrytymi aktami?

– Schowkiem, w którym przechowywała informacje. Mówią, że prowadziła staranne zapiski dotyczące wszystkiego, czego się dowiedziała o mieszkańcach miasta. Gliny nie znalazły tych zapisków w Pałacu, a idę o zakład, że kazano im szukać bardzo dokładnie.

– A po co ci one?

– Ktoś musi zająć miejsce Poczwarcki – odparł z uśmiechem Znikacz.

Brennan potrząsnął głową. – Ambitny z ciebie człowiek. Najpierw chcesz zająć miejsce Kiena, a teraz również Poczwarcki.

Gangster wzruszył ramionami.

– Trzeba mieć jakieś zajęcie.

– Dobra – zgodził się Yeoman. – Będę ich szukał. Ale mogę chcieć sam je przejrzeć.

– W porządku – odparł z uśmiechem Znikacz. – Baw się dobrze, ścigając zabójcę Poczwarcki. Potem wróc po Kiena. Będę gotowy ci pomóc.

– Zobaczymy. – Brennan odwrócił się, ale potem się zatrzymał i raz jeszcze spojrzął na dwójkę gangsterów. – Słyszeliście kiedyś o asie nazwiskiem Doug Morkle?

Znikacz i Smok wymienili spojrzenia.

– Nie. A powinniśmy?

– Nie mam pojęcia – przyznał Yeoman. – Jest na mojej liście podejrzanych, ale nikt nigdy nie słyszał o skurczybyku.

– Morkle. Dziwne nazwisko. Zapytam o niego.

Brennan skinął głową, ponownie się odwrócił i zniknął w mroku, zostawiając dwóch asów sam na sam z samochodem. Płyn z jego chłodnicy wyciekł całkowicie, tworząc oleistą, zieloną kałużę na ulicy.

6:00

Jay otworzył oczy i szybko zamknął je znowu. Od światła głowa bolała go jak diabli. Tętniący rytm pod powiekami przywodził na myśl

uderzenia piorunów, lewa połowa jego twarzy zmieniała się w jedną masę bólu, a w ustach czuł smak krwi. Ktoś związał mu ręce za plecami.

Kiedy spróbował wstać, coś zachrząściło w jego klatce piersiowej. Ból był porażający. Z ust wyrwał mu się słaby jęk. Przetoczył się na bok i spróbował leżeć nieruchomo. Może powinien znowu zasnąć.

– Słyszałem go – zabrzmiał niski głos gdzieś w oddali. – Jęknął. Odzyskuje przytomność.

– Przeprowadź go tu, John – powiedział ktoś inny. Ten drugi głos wydawał się znajomy.

Potężne dłonie podźwignęły go z łatwością dorosłego mężczyzny unoszącego dziecko, przeniosły na drugą stronę pokoju i posadziły na krześle. Były brutalne i Jay musiał stłumić krzyk.

– Proszę otworzyć oczy, panie Ackroyd – odezwał się drugi głos. Jay z niechęcią spróbował go posłuchać, ale lewe oko niemal całkowicie zamykała mu opuchlizna.

Naprzeciw niego, za antycznym biurkiem, siedziała śmierć.

– Dutton – zdołał wykrztusić Jay przez spękane, skrwawione wargi.

Śmierć skinęła głową.

Detektyw zauważył, że padł na niego cień. Zmusił się do odwrócenia głowy. Dopiero gdy znalazł się naprawdę blisko Kuriozum, uświadomił sobie, jaki to wielki skurwysyn. Słyszał wysilony oddech dobiegający spod szermierczej maski i czuł ciężar nieubłaganego spojrzenia padającego nań zza stalowej siatki.

– Powiedział pan, że nie zna Kuriozum – poskarżył się Jay Duttonowi.

– Skłamałem – przyznał właściciel muzeum.

Detektyw próbował wymyślić jakąś dowcipną odpowiedź, ale przekraczało to możliwości jego umysłu. Ponownie zamknął oczy i otworzył je z wysiłkiem. Miał wrażenie, że głowa zaraz mu eksploduje.

– Pewnie nie mógłby mi pan dać aspiryny?

– John – odezwał się Dutton – w mojej toalecie jest buteleczka aspiryny. Czy zechciałbyś ją przynieść?

– Niech go boli – mruknęło Kuriozum. – Jego nasz ból nie obchodzi, tak? Niech sam trochę pocierpi.

– Rozumiem twoje uczucia – przyznał Dutton. – Ale w końcu zależy nam na jego współpracy. Proszę.

Utyskując pod nosem, Kuriozum powlokło się do drzwi łazienki położonej z tyłu pomieszczenia. Jay usłyszał trzask otwieranej apteczki, a potem szum spływającej do zlewu wody.

– Proszę o wybaczenie – odezwał się Dutton. – John często bywa porywczy, a obawiam się, że pana nie lubi.

Kuriozum wróciło. W jednej ręce trzymało garść tabletek, a w drugiej szklankę wody. Ręce detektywa nadal były związane za plecami, mógł więc tylko otworzyć usta. Dżoker włożył mu w nie sześć tabletek, a potem podsunął szklankę. Jay pił tak długo, aż w końcu się zakrzusił.

Kuriozum chrząknęło i wyprostowało się, patrząc, jak Jay próbuje zaczerpnąć tchu. Prawa dłoń dżokera, ta, w której trzymał szklankę, była wielka i twarda, a na knykciach rosły mu czarne, szorstkie włosy. Lewa była znacznie mniejsza i delikatniejsza, kobieca, o długich, ostro zakończonych paznokciach. Pod grubym, ciemnym ubraniem detektyw wypatrzył zarys piersi.

– Dziękuję – wykrztusił.

– Pierdol się – warknęło Kuriozum.

Jay ponownie zwrócił się w stronę Duttona.

– Wiedział pan, że się zjawię.

To nie było pytanie.

– Pan albo ktoś inny – odpowiedział Dutton. – Ile płaci panu Barnett za zdradę pobratymców?

Przez chwilę detektywowi wydawało się, że się przesłyszał.

– Barnett? – wybełkotał. – A co on, kurwa, ma z tym wspólnego?

– Proszę nie nadużywać mojej cierpliwości, panie Ackroyd – odparł ze znużeniem w głosie Dutton. – Dlaczego asowie uparcie traktują dżokerów jak niedorozwinięte dzieci? Nie dotarłbym tak wysoko, gdybym był głupi.

– Może pan sobie być najinteligentniejszym człowiekiem na świecie, ale i tak się pan myli – odparł Jay.

– Czyżby? – zapytał właściciel muzeum. – W takim razie po co pan tu

przyszedł?

Detektyw zawahał się.

– Wie pan, że to autentyczna marynarka?

– Tak. – Dutton skierował na niego oczy głęboko ukryte w upiornej, żółtej twarzy. – Poczwarka dała mi to do zrozumienia, kiedy przekazała mi ją celem włączenia do naszej dioramy.

– Skradziony list – mruknął Jay. – Ukryła poszukiwany obiekt tam, gdzie codziennie oglądały go setki turystów i wszyscy byli przekonani, że to tylko replika. Ale nie powiedziała panu, dlaczego chce ją ukryć, prawda?

– Nie powiedziała – przyznał Dutton. – To pobudziło moją ciekawość, ale nauczyłem się już, że nie ma sensu na nią naciskać. Poznałem całą historię dopiero po jej śmierci.

– Dowiedział się od nas – wtrąciło Kuriozum. – Opowiedzieliśmy mu wszystko po pańskim odejściu, tej nocy, gdy pan nas tu zaprowadził. Asowie uważają, że dzokerzy mają gówniany rozum, ale tym razem to pan dał się nabrać.

– Zatem zna pan prawdę o Hartmannie? – zapytał Duttona Jay.

– Że jest dziką kartą? – zapytał właściciel muzeum. – Tak. I co z tego? Nadal pozostaje największą nadzieją dzokerów. To prawda, że ukrywa ten fakt. W obecnej sytuacji politycznej rozsądny człowiek nie ma innego wyboru. Opinia publiczna nigdy nie poparłaby człowieka z dziką kartą, nawet nosiciela takiego jak senator. Zawsze istnieje możliwość, że wirus się uaktywni i zmieni go w jednego z nas. Dlatego Leo Barnett pragnie zdobyć tę marynarkę.

– Nie pracuję dla Leo Barnetta... – zaczął detektyw.

– To kłamstwo – warknęło Kuriozum. – Bierze od niego cholerną natolską forszę, żeby pomóc mu zniszczyć Gregga.

– Mylisz się – zaprzeczył Jay. – Hartmann to as zabójca...

Dzoker poruszył się szybciej, niż detektyw potrafiłby sobie wyobrazić, złapał go za włosy i walnął jego głową w oparcie krzesła z taką siłą, że Ackroydowi aż zadzwoniły zęby.

– Zamknij się! Gregg to jedyny przyjaciel, jakiego mają dzokerzy!

Usta Jaya wypełniła krew z rozciętej wargi. Wypluł ją słabo na szermierczą maskę.

– Będziesz sobie patrzył, jak Święta Trójca robi ze mnie miazgę, czy chcesz mnie wysłuchać?

– Zostaw go, John – polecił Dutton. – Chcę usłyszeć, co ma do powiedzenia.

Kuriozum z niechęcią puściło włosy Jaya i odsunęło się od krzesła. Potężne cielsko dzokera drżało. Palce jego lewej dłoni robiły się grubsze, a piersi wyraźnie się kurczyły.

– Ja nawet nie znam Leo Barnetta – zaczął Jay.

– Jest pan asem, który sprzedaje swoje usługi za pieniądze. Wątpię, by Barnett wynajął pana osobiście. Niemniej działa pan w jego interesie. W przeciwnym razie po co potrzebowałby pan tej marynarki?

– Z powodu tej marynarki zamordowano Poczwarę – odpowiedział Jay. – I, o czym wspominam z wielką niechęcią, jako że siedzę tu związany jak gęś na Boże Narodzenie, wszystko coraz bardziej wskazuje na to, że właśnie ta wielka nadzieja dzokerów jest winna tej zbrodni.

– To nieprawda – sprzeciwiło się Kuriozum. Głos dzokera brzmiał inaczej niż przedtem. Był łagodniejszy i z całą pewnością kobiecy. Teraz to lewa ręka była tępo zakończona i stwardniała. Palce prawej stały się dłuższe i straciły owłosienie, a jej skóra przybrała ciemnobrązową, czekoladową barwę. – Dlaczego mielibyśmy skrzywdzić Poczwarę?

– Dlatego, że Gregg Hartmann wam kazał, a przecież kochacie senatora Gregga, nieprawdaż? – warknął detektyw.

– Gregg to dobry człowiek – oznajmił dzoker głosem brzmiącym trochę tak, jakby próbował się tłumaczyć.

– Kuriozum nie mogło zabić Poczwarę – zaczął cierpliwie Dutton. – Gdyby był pan znawcą sztuki, wiedziałby pan, że Evan jest rzeźbiarzem. Kiedyś pracował w glinie, brązie i marmurze. W dzisiejszych czasach jego materiałem jest wosk. Ale Patti i John nie mają talentu, więc Evan może rzeźbić tylko w tych rzadkich chwilach, gdy jego umysł i co najmniej jedna ręka wyodrębniają się z Kuriozum. Wykorzystuje te momenty, gdy tylko nadchodzi, czy to za dnia, czy nocą. – Gdy Dutton

zadał decydujący cios, jego głos zabrzmiał niemal smutno. – W chwili morderstwa Evan był tutaj. Pracował nad nową Mistral dla naszej Galerii Piękna. To raczej obala pańską teorię.

Jay znowu poczuł porażający ból za oczami. Chciał tylko wrócić do domu i zwymiotować.

– Niech to szlag – zdołał wykrztusić. – W takim razie Hartmann musiał zlecić zabójstwo komuś innemu. Może Carnifexowi bądź Braunowi. Albo może temu Dougowi Morkle’owi. Nie wiem.

– To nie brzmi zbyt przekonująco, Ackroyd – skwitował właściciel muzeum. – Dlaczego mu nie powiesz, co się wydarzyło, Patti?

Kuriozum spojrzało na Jaya. Nawet poruszało się teraz inaczej, bardziej niż kobieta.

– Żaden dzoker nigdy nie skrzywdziłby Poczwarzki. Była jedną z nas. Zabójca z pewnością pracował dla Barnetta. Szukał marynarki. Może chciał tylko wyduścić tajemnicę z Poczwarzki, ale posunął się za daleko.

Kuriozum sprawiało wrażenie, że mówi całkowicie szczerze.

– Naprawdę? – zapytał detektyw. – A może podasz mi jego nazwisko?

– Nie możemy mieć pewności – odpowiedział dzoker. Kobiety głos dobiegający z masywnego, pokracznego ciała brzmiał niesamowicie i przerażająco. – Może to był Quasiczłowiek. Biedak jest słaby na umyśle i robi to, co mu każą. Co więcej, zawdzięcza Barnettowi życie. – Kuriozum poruszyło wdzięcznie prawą ręką. To była męska ręka, o paznokciach obgryzionych do żywego mięsa. – A może to był jakiś as, który sprzedaje się natolom, tak samo jak pan.

– Chciecie mi powiedzieć, że Poczwarzka zginęła w obronie Hartmanna, bo on jest wielkim przyjacielem dzokerów, tak? – Jay popatrzył najpierw na Duttona, a potem na Kuriozum. – W takim razie wytłumaczcie mi jedno. Jeśli tak cholernie zależało jej na zachowaniu małych tajemnic Hartmanna, to czemu nie zniszczyła marynarki już w zeszłym roku?

Nieodłączny uśmiezek na żółtej twarzy Duttona zmienił się na moment w grymas.

– Ja również zadawałem sobie to pytanie – przyznał. – Jednakże plany mojej współpracownicy często były subtelne, a jej motywy niekiedy bywały

niejasne. Z pewnością prowadziła jakąś grę.

– Ta marynarka była jej ubezpieczeniem na życie – stwierdził Jay. – A teraz Poczwarzka nie żyje. Pora wypłacić odszkodowanie.

– Ma pan pojęcie, co się dzieje w Atlancie? – zapytał z cierpliwością w głosie Dutton. – Tysiące dzokerów wyruszyły na południe, by pokojowo wyrazić poparcie dla Hartmanna. Spotkały ich tam aresztowania, uliczne bijatyki oraz ataki Klanu. Wczoraj doszło do zamieszania, podczas którego stu mężczyzn w konfederackich mundurach otworzyło ogień do tłumu. Barnett zdołał już wyrwać zęby programowi praw dzokerów. Jeśli zostanie wybrany, zamknie nas wszystkich w obozach. Wiele osób wierzy, że tylko Gregg Hartmann może obronić ten kraj przed ludobójstwem dzokerów.

– Hitlerowi też wierzyło wiele osób – zauważył Jay.

Dutton westchnął.

– Obawiam się, że ta konwersacja jest równie bezcelowa jak pańskie poszukiwania. No wie pan, panie Ackroyd, właściwie nie ma znaczenia, dla kogo pan pracuje. Spóźnił się pan. Choć z wielką niechęcią zniszczyłem autentyczny historyczny artefakt, stawka była zbyt wysoka, bym mógł podjąć ryzyko. Niech pan wróci do swych mocodawców i powie im, że gra skończona. Spaliliśmy marynarkę.

– Z prochu powstała i w proch się obróciła – dodało Kuriozum. – Nie zdoła już pan zaszkodzić Greggowi.

– Skazona krew zniknęła – oznajmił Dutton. – A jeśli Bóg jest miłosierny, następnym prezydentem Stanów Zjednoczonych zostanie Gregg Hartmann.

8:00

W Piwnicy Pluskacza było równie tłoczno, ciemno i smrodliwie jak przed kilkoma dniami, gdy Brennan odwiedził ją po raz pierwszy. Barman również był ten sam, podobnie jak większość siedzących w sali gości. Tym razem jednak nie było tu Maczugi. Paru stałych klientów

przywitało jowialnie Brennana i zapytało, czy przyszedł przywalić kolejnemu asowi.

– Nie dzisiaj – odpowiedział z uśmiechem Yeoman. – Chciałem tylko się napić i zamienić kilka słów z przyjacielem.

Trójnóg przysiadł na skraju stołka u końca baru. Budowa miednicy uniemożliwiała mu normalne siedzenie na krześle.

– Co ma być? – zapytał bezusty barman. Jego głos dobiegał z małego otworu wyciętego u podstawy szyi.

– Irlandzka whisky. Tullamore.

Barman nie przestawał wycierać szklanek szmatką, w którą Brennan nie wytarłby nawet nosa.

– No dobra – rzekł z westchnieniem Yeoman. – Niech będzie szkocka.

– Szkocką mamy – zgodził się barman. Zdjął z półki butelkę Importera i napełnił szklankę. Pluskacz wyrzwał ostrożnie ze swego akwarium.

– Jak leci, kolego? – zapytał.

– W porządku – oparł Brennan. Wyjął z kieszeni zwitek banknotów i położył piątkę na barze.

– Hej – sprzeciwił się właściciel lokalu. – Twoje pieniądze na nic się tu nie zdadzą. Przyjaciele Pluskacza piją za darmo.

Yeoman skinął głową i schował banknot do kieszeni.

– Dziękuję. Zapamiętam to sobie.

Wziął szklankę i dołączył do Trójnoga, który pił przez słomkę piwo z kufła.

– Co słyhać, panie Y.? – zapytał jak zwykle uprzejmy dzoker.

– Masz coś nowego? – oparł cicho Brennan.

Trójnóg wydał wargi.

– Nic, panie Y. Schodziłem sobie nogi, ale Sascha przepadł jak kamień w wodę. Schował się gdzieś, gdzie nie potrafię go znaleźć.

Yeoman pokiwał głową i pociągnął łyk whisky.

– Pojawiło się coś nowego. To może mieć jakiś związek z morderstwem, ale jeszcze nie jestem tego pewien. Wiesz coś o narkotyku, który nazywa się uniesienie?

– Och, tak. – Dzoker pokiwał głową. – To nowość. Bardzo modna.

Podobno wszystko wydaje się po nim bardzo dobre, lepsze niż kiedykolwiek. Jedzenie. Seks. Inne prochy. Nawet ból.

– Ból?

– Tak. Niektórzy tną się po nim brzytwami, bo wydaje się to im bardzo przyjemne. Ale kiedy oprzytomnieją, już nie czują się tak dobrze.

Brennan skinął głową.

– Może Poczwarzka dowiedziała się czegoś o tym narkotyku i to doprowadziło do jej śmierci. To musiałoby być coś wielkiego i strasznego, nie tylko sama wiadomość o jego istnieniu.

– Wiesz co? – zapytał z namysłem Trójnóg. – Dziewczyna Saschy kiedyś to brała, a przynajmniej widziałem kiedyś u niej niebieskie wargi.

– Dziewczyna? – zdziwił się Yeoman. – Sascha miał dziewczynę?

– Aha. Nie słyszałeś o niej? To naprawdę ekstralaska. Nazywa się Ezili Rouge. Ale nie można powiedzieć, żeby blisko się związała z naszym ślepym znajomkiem. Ma mnóstwo innych chłopaków. I dziewczyn też. Słyszałem, że lubi nawet małe pieski i tak dalej.

Brennan zmarszczył brwi.

– To dziwka?

– Zapewne tak. Skądś musi brać forszę, a ma jej mnóstwo.

– Wiesz, gdzie mieszka?

– Hej, ona nie jest na moją kieszeń. Czasami ją widuję. Twarz anioła, który zszedł na złą drogę. Dziwaczne, czerwone oczy i ciało, które świętego skusiłoby do grzechu. Oddałbym nogę, żeby móc ją przelecieć. Oczywiście, i tak mam za dużo nóg.

– A co z policją? Miała z nią kiedyś do czynienia?

Dzoker wzruszył ramionami.

– Może i tak. Mnóstwo wydaje na prochy. Można by pomyśleć, że gliny się tym zainteresują.

– Jakie prochy?

– Jakie tylko chcesz. Kupowała wszystkie. Herę, crack, kokę, spid, mietka, trawę, PKD, anielski pył i różne wynalazki, takie jak uniesienie. Jezu, jeśli chociaż połowa plotek o niej jest prawdą, kupiła tyle prochów, że mogłaby wysłać całą armię autostradą do nieba.

Brennan zmarszczył brwi. Może Sascha uzależnił się od czegoś, co pozwoliło Ezili zdobyć nad nim kontrolę. Może zdradził jej mimo woli jakiś sekret, ona przekazała tę informację Quinceyowi, a on z kolei zawiadomił Żmija. Może, może, może.

– Gdzie można ją spotkać?

– W paru miejscach.

Dżoker podał mu nazwy kilku klubów. Żaden z nich nie miał zbyt dobrej reputacji.

Brennan dopił whisky, odstawił szklankę na bok i ukradkiem upuścił na podłogę dwa banknoty dwudziestodolarowe.

– Dziękuję. – Odwrócił się, żeby wyjść, ale zatrzymał się nagle i obejrzał się na Trójnoga, który wsadzał właśnie banknoty do kieszeni u kostki, posługując się wyposażonymi w liczne stawy palcami środkowej stopy. – Jeszcze jedno. Słyszałeś kiedyś o asie, który się nazywa Doug Morkle?

– Morkle? Jaki as mógłby się tak nazywać?

Yeoman wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia.



Tyłna połowa ciała doktora Finna wyglądała zupełnie jak u izabelowatego kucyka, a przednia wydawała się za młoda jak na lekarza.

– Co się stało? – zapytał Finn, bandażując Jayowi zebra.

– Potrzebowałem sportowej marynarki – odparł z przygnębieniem w głosie detektyw.

– Muszę pamiętać, żeby nigdy nie korzystać z usług pańskiego krawca – skwitował dżokerski lekarz, kończąc swoją robotę. – Proszę bardzo. Lepiej się pan czuje?

– Trochę ciasno – poskarżył się Jay. Spróbował unieść rękę i skrzywił się z bólu. – Trudno mi się w tym poruszać.

– To dobrze – stwierdził Finn. – Lepiej, żeby się pan nie poruszał zbyt

wiele, dopóki żebro się nie zrośnie. Ma pan wielkie szczęście, Ackroyd. Kilka centymetrów w bok i żebro przebiłoby płuca.

– A co z moją głową?

– Złamania nie ma. To tylko lekki wstrząs – uspokoił go Finn. – Nie ma powodów do niepokoju, o ile będzie pan unikał nadmiernego wysiłku.

– Równie dobrze mogę unikać – stwierdził Jay. – Nie umiem tańczyć.

– To fatalnie. – Finn uśmiechnął się i zastepował czterema nogami. – Ja radzę sobie z tym całkiem nieźle.

– Nie wątpię. Ma pan coś na ból? W głowie łupie mnie tak, że chybabym zdechł, gdyby żebro nie odwracało mojej uwagi.

Finn wydobył z kieszeni bloczek i wypisał receptę.

– Proszę bardzo – powiedział, odrywając kartkę i wręczając ją Ackroydowi. – To powinno pomóc.

– Dziękuję. – Jay zeskoczył ze stołu. To był błąd i złamane żebro natychmiast go o tym poinformowało. – O kurwa – wysyczał, zaciskając zęby.

– Niech pan się nie nadweręża w ten sposób – ostrzegł go Finn, tonem stanowczo zbyt wesołym, jak na gust detektywa. – Nie radziłbym też prowadzić w tym stanie samochodu. Ma pan, jak wrócić do domu?

– Wezmę taksówkę – odpowiedział Jay.

Dutton odwiózł go do kliniki, gdy już się upewnił, że nie dowie się od detektywa niczego więcej. Ackroyd nie przypuszczał jednak, by dzoker czekał na niego w poczekalni. A nawet gdyby tak było, miał już na dzisiaj dosyć Duttona i Kuriozum.

– Pan robił sekcję Poczwaraki, prawda? – zapytał.

– Zgadza się – potwierdził Finn. – Policja zawsze nas wzywa, jeśli trzeba zrobić sekcję dzokera. Koroner uważa, że nie ma kwalifikacji, gdy chodzi o niepowtarzalną dzokerską anatomię. – Mały centaur zaszurał ze skrępowaniem nogami. – Paskudna sprawa. Widzimy w tej klinice mnóstwo ofiar morderstw i to nigdy nie wygląda ładnie, ale to, jak zmasakrowano jej ciało...

– Tak jest.

Jay dotknął posiniaczonej, opuchniętej twarzy i zadał sobie pytanie, jak się musiała czuć Poczwarzka.

17:00

Brennan ocknął się, nadal mokry od potu i odrętwiały po na wpół zapamiętanym śnie, w którym wszystkich jego przyjaciół i ukochane kobiety zabijała w powolny i okrutny sposób jakaś niedostrzegalna siła, której nie był w stanie powstrzymać. Uspokoił się nieco na widok Jennifer, która siedziała na jedynym krześle w pokoju, słuchając nieuważnie przekazu nadajnika, który dali Quasiczłowiekowi. Usłyszała, że Brennan się poruszył, odwróciła się i zobaczyła, że usiadł i przeczesuje włosy rękami.

– Już najwyższy czas, żebyś się obudził – stwierdziła. – Umieram z nudów, słuchając, jak Quasiczłowiek spędza swój dzień.

– Nie usłyszałaś nic, co mogłoby go połączyć z morderstwem?

Potrząsnęła głową.

– Albo jest niewiarygodnie sprytny, w co, szczerze mówiąc, wątpię, albo nic go nie łączy z ludźmi Barnetta.

– Co dzisiaj robił?

– Wstał wczesnie. Potrzebował trochę czasu, żeby się zorientować, jak się posługiwać mopem. Następnie umył podłogę w kościele. Zrobił sobie przerwę na kawę, wszedł na dach i zapomniał stamtąd zejść. Wreszcie Ojciec Kałamarnica go zawołał, aby mu przypomnieć, że musi skosić trawę na cmentarzu. To było trudne. Gdy wreszcie rozgryzł zasady działania kosiarki, nadeszła pora na obiad. Popołudnie spędził na koszeniu i przystrzyganiu trawy. Raz straciłam z nim kontakt na całe czterdzieści pięć minut. Przypuszczam, że zabrał ze sobą nadajnik do obcego wymiaru, do którego się przenosi. Jeśli mnie o to pytasz, jest dokładnie tym, kim się wydaje. Miłym, ale straszliwie upośledzonym kościelnym.

– To by się zgadzało – mruknął Brennan. Podniósł dzinsy z podłogi

i pogrzebał w komodzie w poszukiwaniu nowego T-shirta.

– Rano Trójnóg przekazał mi informację o Saschy, która może się okazać użyteczna. On najwyraźniej ma dziewczynę.

Umilkł i wlepił spojrzenie w białą kopertę leżącą na wytartym dywanie pod drzwiami pokoju hotelowego.

– Jak długo to tu leży? – zapytał Jennifer.

Kobieta odwróciła się, spojrzała na kopertę i zmarszczyła brwi.

– Nie mam pojęcia. Wcześniej tego nie zauważyłam.

Yeoman podniósł kopertę. Była otwarta i niezaadresowana. Wyjął z niej pojedynczą kartkę. Znajomym, dziecinnym pismem nabazgrano na niej:

„Przepraszam za popszedni raz. Chciałam tylko pomóc. Jeśli chce pan znaleźć kogoś, kto bieżę uniesienie, niech pan spróbuje w Sikorce”.

– Cholera – mruknał pod nosem Brennan. – Co tu jest grane, do licha?

18:00

– Jezu! – zawołał Kopacz. – Co ci się stało w twarz?

Jay zamknął za sobą drzwi biura i spojrzał z góry na reportera. Downs miał już prawie dwadzieścia centymetrów wzrostu. Jeszcze kilka dni i będzie mógł uchodzić za karła.

– Przebrałem się za faceta, któremu skopano tyłek. – Podeszedł powoli do fotela i usiadł na nim. W radiu gadali o konwencji. Od tego głowa rozboląa go jeszcze bardziej. Wyłączył odbiornik.

– Boże, boli mnie od samego patrzenia na ciebie – odezwał się Kopacz.
– Wiesz, że połowę twarzy masz fioletową?

– Całe szczęście, że nie noszę krawata. Kolory mogłyby się gryźć.

– Nie przejmuj się tym. Za dzień czy dwa opuchlizna się zmniejszy, a siniak zrobi się zielony. – Downs sprawiał wrażenie, że wie, o czym mówi. Czasami opinia publiczna nie potrafiła docenić poszukujących prawdy dziennikarzy. – Gdzie się podziewałeś?

– Spałem – odpowiedział Jay. Od środków przeciwbólowych zrobił się senny.

– Spałeś? Jezu, Ackroyd, w Atlancie panuje szaleństwo, Hartmannowi brakuje do nominacji może ze trzystu głosów, a ty urządzasz sobie drzemkę.

– Downs. – W głosie detektywa zabrzmiał ostrzegawczy ton. – Przed chwilą się obudziłem, głowę wypełnia mi wata, mam wstrząs mózgu i złamane żebro, nie mogę łyknąć więcej tabletek przeciwbólowych, bo nie będę mógł myśleć jasno, a do tego straciłem tę cholerną marynarkę, więc zamknij się, do chuja, bo inaczej przerzucę cię w sam środek Holland Tunnel, żebyś sobie radził z ruchem drogowym, jasne?

Kopacz pisnął jak człowiek, którego starą babcie właśnie przejechała ciężarówka z naczepą.

– Straciłeś marynarkę!? – wrzasnął.

Detektyw westchnął.

– Dutton spalił to cholerstwo, zanim zdążyłem do niego dotrzeć – wyjaśnił ze znużeniem w głosie.

– Jezu – zawołał Kopacz. Jego irytujący, cienki głosik przeppełniała panika. – Jezujezujezu, co teraz zrobimy?

– Zaczyna nam brakować opcji – przyznał Jay. – Nie wspominając już o czasie. – Spróbował się zastanowić, ale ból głowy zdecydowanie mu to utrudniał. – Posłuchaj, może Kahina miała jeszcze coś poza marynarką? Próby krwi. Listy. Cokolwiek. Wiem, że szanse są małe, ale co nam więcej pozostało?

– Po jej śmierci próbowałem coś wykopać – przyznał Downs. – No wiesz, byłem bardzo ostrożny. Nie chciałem przyciągnąć niczyjej uwagi. Wiem, że przebywała w kraju nielegalnie. Sądząc z tego, co o niej wiem, nie wydaje się prawdopodobne, by potrafiła sama przemknąć się przez granicę. Ktoś musiał jej pomóc, z pewnością profesjonalista, bo bardzo dobrze zataił ślady.

– A co się stało, gdy już tu dotarła?

Kopacz wzruszył ramionami.

– Zamieszkała w Dżokerowie pod przybranym nazwiskiem. Szkoda, że

nie widziałaś jej mieszkania. Okropna nora. Muszę przyznać, że dziewczyna miała odwagę, ale chyba nie bardzo wiedziała, co robi. Nie mogłaby się bardziej rzucić w oczy, nawet gdyby się starała. Z początku nosiła nawet to czarne muzułmańskie ubranie, jak ono się tam zwie? Czador. Szybko przerzuciła się na amerykańskie stroje, ale to i tak niewiele pomogło. Była jedyną natolką w hotelu i łatwo było zauważyć, że nie znosi dżokerów.

– W takim razie dlaczego współpracowała z Gimlim i Poczwardką? – zapytał bez ogródek Jay.

– Nie współpracowała z Poczwardką – zaprzeczył reporter. – To był pomysł Gimlego. Kahina od początku była temu przeciwna. Okropnie się o to kłócili. Ciągłe się ze sobą żarli. Religia, polityka, strategia, nie zgadzali się w żadnej sprawie. – Wzruszył ramionami. – Ale ze względów politycznych nieraz zawiera się dziwne sojusze.

Jay zmarszczył brwi.

– Skąd o tym wszystkim wiesz?

– Poczwardka mi opowiedziała – przyznał Downs. – Gimli miał przeciek w swojej grupce spiskowców, a wiesz, jak to było. Jeśli w Dżokerowie wyciekła jakaś informacja, można się było bezpiecznie założyć, że trafi do Poczwardki.

– Fakt – odpowiedział z namysłem detektyw i powoli się podniósł.

– Dokąd się znowu wybierasz? – zapytał Kopacz.

– Do Dżokerowa. Nagle poczułem pragnienie, by na własne oczy zobaczyć ostatnie miejsce zamieszkania Kahiny.

19:00

Brennan bezradnie rozglądał się po Sikorce, zastanawiając się, co teraz zrobić. Był sam. Jennifer czekała na zewnątrz. To nie był klub, który mogłaby odwiedzić, nie przyciągając uwagi. Podszedł do baru i zamówił tullamore. Ścisnął szklaneczkę, pozwalając myślom krążyć leniwie i bezowocnie. Wtem usłyszał bełkotliwy, pijacki głos.

– Pan był przyjacielem mojej dziewczynki.

Yeoman rozejrzył się z irytacją i nagle wytrzeszczył oczy. Mężczyzna, który do niego przemówił, wyglądał jak Joe Jory, ale jego twarz się zmieniała. Podbródek zniknął niemal całkowicie, zamiast nosa miał świński ryj, a z uśmiechających się bezradnie ust sterczały pięciocentymetrowe kły. Jego paciorkowate oczy miały czerwoną barwę, jakby pił albo płakał od wielu dni.

– Co się panu stało? – zapytał Brennan.

Jory wzruszył bezradnie ramionami, jakby nic już nie miało dla niego znaczenia.

– Nie wiem. Wieczorem poszedłem do baru. Znajdował się w zaułku i bramkarz był cały ubrany na czarno. Uśmiechnął się dziwnie i wpuścił mnie do środka za darmo. Zupełnie za darmo. Opowiedziałem paru ludziom o mojej dziewczynce, o tym, jaka była piękna i co zrobił z nią wirus. Stawiali mi kolejki, mówili, że bardzo im przykro, że moja córka była dzokerką. Chcieli, żebym podzielił się ze wszystkimi swoją historią. Wszedłem na scenę i opowiedziałem, jakie to było okropne i o tym, że w Oklahomie nie mamy dzokerów. Ludzie śmiali się ze mnie. Nie przestawali się śmiać, aż wreszcie ktoś zawołał: „Teraz już macie!”. Później ten paskudny bramkarz wyrzucił mnie z baru. Poszedłem w inne miejsce i tam też się ze mnie śmiali. Wtedy sobie uświadomiłem, że stało się coś strasznego, jakby ktoś włożył mi na twarz maskę. Ale nie mogłem jej zdjąć. Piłem tak długo, aż straciłem przytomność, a rano wróciłem do tego baru. Chciałem zażądać, by oddali mi twarz, żebym znowu mógł zostać prawdziwym człowiekiem, ale baru tam nie było. Zniknął bez śladu...

Jego głos przeszedł w spazmatyczne łkanie. Yeoman mimo woli poczuł litość dla tego oszołomionego mężczyzny, który nie potrafił pojąć, co go spotkało. Trafił do lokalu, który Brennan znał tylko z pogłosek – do Szalejących Dzokerów w Szczurzym Zaułku, gdzie umarli tracili kości. Nikt, kto tam wszedł, nie był bezpieczny, a większość gości się zmieniała, i to nigdy na lepsze.

– Niech mi pan pomoże – błagał Jory.

– Czego pan ode mnie chce? – zapytał cicho Yeoman.

– Niech pan mi odda moją twarz.

Brennan potrząsnął głową.

– Tego nie potrafię zrobić – odparł tym samym, cichym głosem.

– W takim razie niech mi pan postawi flaszkę. Zabrali mi wczoraj wszystkie pieniądze. Zabrali mi wszystkie pieniądze i twarz.

Brennan gapił się na niego jeszcze przez chwilę. Potem skinął na barmana i położył na kontuarze dwudziestodolarowy banknot. Jory złapał za butelkę, przycisnął ją do piersi i oddalił się pośpiesznie, znikając w zatłoczonej sali. Yeoman śledził go wzrokiem. I wtedy właśnie zauważył dziewczynę z niebieskimi ustami.

Towarzyszyła mężczyźnie siedzącemu przy barze, piła razem z nim i śmiała się nieco zbyt głośno za każdym razem, gdy coś powiedział. Stała tak blisko, że jej gołe kolana wciskały się w jego udo. Bawiła się jego włosami, okręcając je sobie luźno wokół środkowego palca. Brennan miał wrażenie, że skądś ją zna. Nagle uświadomił sobie, że to Lori, dziewczyna, która odprowadziła go do pokoju Quinceya, gdy Eskimos urządził przyjęcie z okazji wprowadzenia uniesienia na rynek. Była jedną z osób demonstrujących, jak łatwo i bezpiecznie przyjmuje się nowy narkotyk.

Yeoman wziął w rękę whisky i ruszył wzdłuż baru. Zatrzymał się tak blisko mężczyzny, że tamten musiał unieść wzrok, by na niego spojrzeć.

– Chciałem z panią porozmawiać – oznajmił z uśmiechem.

Mężczyzna przez chwilę sprawiał wrażenie, że ma zamiar się sprzeciwić, zreflektował się jednak.

– Jasne, kolego – ustąpił. – Tu jest mnóstwo dziewczyn.

Zsunął się ze stołka i Yeoman zajął jego miejsce. Lori odprowadziła wzrokiem oddalającego się klienta, po czym przeniosła swą uwagę na Brennana. Uśmiechnęła się. Jej niebieskie usta i język kontrastowały złowieszczo z białymi zębami.

– Wyglądasz na faceta, który lubi się zabawić – powiedziała z nadzieją. Nie poznała go, co było w pełni zrozumiałe, bo gdy spotkali się poprzednio, Brennan miał na twarzy maskę Mae West.

– Bo lubię.

– To świetnie. – Jej uśmiech zrobił się szerszy, a oczy bardziej błyszczące. – Chodźmy na górę, kochanie. Pokażę ci coś, czego jeszcze nigdy nie widziałeś.

– A potrafisz?

– Jasne. Zaufaj mi.

Skinęła na Brennana, zachęcając go do opuszczenia stołka. Dłonie się jej pocily. Jej ciało również wydzielalo lekko kwaśny odór potu zmieszanego z tanimi perfumami.

Pokój był małą klitką, a łóżko niedbale pościelone. Zamknęła za nimi drzwi i uśmiechnęła się uwodzicielsko, choć nieszczerze.

– Najpierw dobijmy targu, kochanie. Później będziemy mogli zostać przyjaciółmi. No więc – ciągnęła, gdy Brennan skinął głową – to będzie kosztowało setkę. Ale za sto pięćdziesiąt mogę ci dać coś naprawdę specjalnego. Coś zupełnie innego.

– A co to takiego? – zapytał Yeoman.

Otwierała już szufladę zagraconej, rozklekotanej toaletki.

– To się nazywa uniesienie, kochanie. Zaprowodzi cię prosto do nieba.

Uniosła w ręce małą fiołkę niebieskiego proszku, bardzo podobną do tej, którą Brennan widział na przyjęciu. Ale gdy tylko ją ujrzała, wlepiła w nią wzrok. Ręce drżały jej lekko, a spojrzenie z każdą chwilą stawało się coraz bardziej nieobecne. Otworzyła fiołkę, gapiąc się na nią, jakby trzymała w dłoni klucze do królestwa.

– Co ono robi? – zapytał Brennan, nie spuszczać oczu z dziewczyny.

– Robi? – Nie potrafiła się dłużej powstrzymać i wsadziła palec wskazujący do fiołki, a następnie włożyła go do ust i rozsmarowała proszek po i tak już niebieskich dziąsłach. Uśmiechnęła się i delikatnie posadza zabarwiony na ten sam kolor koniuszek palca, jakby był umaczany w pysznym sosie. – Wszystko wydaje się po nim świeże, smaczne i cudowne. Pozwól, że wetrę ci go w ptaszka, kochanie, a znajdziesz się w siódmym niebie.

– Czy to niebezpieczne?

Lori potrząsnęła ze śmiechem głową.

– Nie ma mowy. Biorę je już od kilku tygodni. – Pochyliła się ku niemu z konfidencjonalnym uśmiechem. – Facet, który je produkuje, to mój bliski znajomy.

– No jasne. – Brennan podszedł bliżej. Uśmiechnęła się w nie do końca świadomej ekstazie. Jej dłoń powędrowała ku jego kroczu i zaczęła grzebać w rozporku dżinsów. – Dziękuję, nie skorzystam – rzekł i zgrabnie zabrał jej fiolkę.

– Hej!

– Dlaczego nie możemy tego zrobić bez uniesienia? – zapytał.

– Dlatego że z nim jest znacznie lepiej.

– Wolę się obywać bez udoskonaleń.

– Ale tak jest przyjemniej. Naprawdę, znacznie przyjemniej – zapewniała coraz bardziej gorączkowo.

Przypomniał sobie coś, co powiedział Quincey parę dni temu. Narkotyk tak dobry, że nawet kurwa lubi po nim seks.

– A jak wygląda życie bez uniesienia? – zapytał, odsuwając fiolkę, gdy Lori spróbowała mu ją wyrwać.

– Jak zawsze – warknęła. – Nudne. Martwe. Nieczułe.

– A co z jedzeniem? Jak ci smakuje bez uniesienia?

– Jak tektura i klej. Gnijący kompost.

– A wino? Szampan?

– Jak letnia woda, w której pływa gówno. Daj mi to!

Yeoman uniósł fiolkę poza zasięg kobiety i potrząsnął głową.

– Potrzebuję próbki. Jeden mój kumpel musi się temu przyjrzeć.

– Będę krzyczała – ostrzegła.

Brennan potrząsnął głową.

– Nie będziesz. Dam ci dawkę, a potem cię zwiążę. Będziesz mogła powiedzieć wszystkim, że cię obrabowałem.

– Daj mi dwie dawki – wydyszała. – Drugą na później.

– Jasne.

Pokiwała gorączkowo głową i zwróciła się ku toalecie. Podążyła Brennanowi blaszane pudełeczko, do którego nasypał odrobinę proszku. Następnie podsunęła mu małe lusterko i ułożyła na nim kreskę. Lori

znalazła gdzieś słomkę i wciągnęła proszek przez nos jednym długim westchnieniem. Odchyliła się do tyłu, rozciągając usta w uśmiechu.

– Jak się czujesz, kiedy bierzesz je w ten sposób? – zainteresował się Yeoman.

– Dobre myśli – odpowiedziała sennie. – Tylko dobre myśli.

Skinął głową i zaprowadził ją do łóżka. Usiadła posłusznie, a on podał prześcieradło na strzepy, związał ją i zakneblował. Opuścił pokój, zadając sobie pytanie, jakie myśli będzie miała, gdy uniesienie przestanie działać.

22:00

W jednej sprawie Kopacz Downs z pewnością miał rację. Hotel, w którym Kahina mieszkała w ostatnich tygodniach życia, był paskudną norą.

W holu siedziało kilku starych dzokerów. Wpatrywali się w staromodny, czarno-biały telewizor firmy Philco, czekając na śmierć. Gdy Jay wszedł do pomieszczenia, wszyscy skierowali na niego mętne, pozbawione ciekawości spojrzenia. Nikt się nie odezwał. Dzokerzy śmierzeli rozkładem, podobnie jak cały hol.

W rejestracji siedziała tęga, sześćdziesięcioparoletnia kobieta o włosach związanych w kok. Zalatywało od niej dżinem. Nic nie wiedziała o żadnej arabskiej dziewczynie, ale z chęcią pozwoliła Jayowi przejrzeć dokumenty, gdy dyskretnie wręczył jej dziesięciodolarowy banknot.

Dokumenty były w równie kiepskim stanie jak reszta budynku, ale po półgodzinie przeglądania kart rejestracyjnych oraz kwitariuszy z maja i czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego roku detektyw znalazł to, czego szukał. Wynajęła pokój na drugim piętrze, płacąc gotówką za dwa miesiące z góry. Niespełna trzy tygodnie później ten sam pokój wynajęto komuś zapisanemu tylko jako „Styg”.

Jay podsunął kobiecie kartę oraz kwitariusz.

– To ona – oznajmił, wskazując palcem na nazwisko.

Spod karty rejestracyjnej wystawał róg dziesięciodolarowego banknotu. Ten widok cudownie poprawił pamięć rejestratorki.

– Aha, to ta ładna. Widziałam ją tylko z raz albo dwa. Mówi pan, że to Arabka?

– Syryjka – uściślił detektyw. – Co się z nią stało?

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Przychodzą i odchodzą.

– A kto to jest ten Styg? – zainteresował się Jay.

– Stygmat – wyjaśniła stara kobieta i skrzywiła się z niesmakiem. – Jest odrażający. Robi mi się niedobrze, kiedy na niego patrzę, ale Joe mówi, że nawet dzokerzy potrzebują jakiegoś dachu nad głową. Gdyby to zależało ode mnie... Szczerze mówiąc, oni są jak zwierzęta. Tak czy inaczej, Styg nie płacił czynszu i Joe go przegonił. I bardzo dobrze. Z takich śmieci nie ma żadnego pożytku. Wynajęliśmy jego pokój tej arabskiej dziewczynie. Ale po kilku tygodniach Styg znalazł gdzieś forszę, którą nam wisiął, i powiedział, że chce z powrotem dostać swój pokój. Dziewczyna nie pokazywała się już od tygodnia, więc przyjęliśmy go z powrotem.

– Czy zostały po niej jakieś rzeczy osobiste?

– Jakie rzeczy?

– Cokolwiek – odpowiedział zniecierpliwiony Jay. – Listy, papiery, paszport. Bagaż. Ubranie. Któregoś dnia po prostu wzięła i zniknęła, tak? Co znaleźliście, kiedy sprzątałyście jej pokój?

Kobieta przygryzła dolną wargę.

– Skoro pan o tym wspomniał, rzeczywiście zostało po niej trochę rzeczy. – Obrzuciła go chciwym spojrzeniem. – To pana rodzina? Jeśli nie, chyba nie mogę panu tego wydać. To by nie było w porządku.

– Jasne – zgodził się detektyw. – Ale tak się składa, że pan Jackson to jej bardzo bliski kuzyn.

– Hę? – mruknęła, gapiąc się na niego bez zrozumienia.

Jay westchnął z głęboką rezygnacją.

– Dam pani za jej rzeczy dwadzieścia dolców. Co pani na to? – zapytał ze znużeniem w głosie.

To zrozumiała natychmiast. Zdjęła klucz z kołka za swymi plecami i poprowadziła detektywa do zimnej, wilgotnej piwnicy. Za bojlerem stało kilkanaście kartonowych pudeł ułożonych w nierówny stos. Każde z nich oznaczono numerem pokoju. Te na dnie zapadały się już i były zielone od pleśni, ale dziedzictwo Kahiny znajdowało się na wierzchu.

Przerzucił zawartość pudła w pustym kącie holu. Nie znalazł zbyt wiele. Koran po angielsku, plan Manhattanu, książkę *Wybory prezydenckie 1976* w miękkiej oprawie – rozdziały dotyczące Gregga Hartmanna były zaczytane i pełne podkreśleń – trochę ubrań i pudełko tamponów. Jay przerzucił zawartość pudła dwa razy, a potem zaniósł je z powrotem do recepcji.

– Gdzie jest reszta?

– To wszystko. Nie było nic więcej.

Detektyw walnął mocno pudłem o blat. Kobieta poderwała się. Ackroyd skrzywił się boleśnie. Złamane żebro kazało mu słono zapłacić za tę demonstrację złości.

– Dałem pani czterdzieści dolarów i dostałem za to tylko pudło pełne śmieci. Chce mi pani wmówić, że ta kobieta przyleciała z Syrii bez żadnego bagażu poza pudełkiem tamponów? Nie ze mną takie numery! Gdzie są jej rzeczy? Gdzie jej ubranie? Czy miała gotówkę, biżuterię, portfel, paszport... cokolwiek?

– Nic nie miała – zaprzeczyła kobieta. – Znaleźliśmy tylko to, co jest w pudle. Dżokerzy nie dbają o swoje rzeczy, jak pan i ja. Są odrażający.

– Niech mi pani pokaże jej pokój.

– A co będę z tego miała? – zapytała, mrużąc powieki.

Tym razem posunęła się za daleko. Jay ułożył palce w pistolet i wycelował.

– Ta-da – zawołał i przerzucił ją na scenę w Cudakach. W czwartek wieczorem urządzano zapasy nagich dżokerek w błocie. Miał nadzieję, że kobieta jest w lepszej kondycji, niż na to wyglądała.

Kilku dżokerów siedzących po drugiej stronie holu podniosło wzrok, usłyszawszy cichy trzask towarzyszący jej zniknięciu. Jeśli nawet zadali sobie pytanie, dlaczego Jay przeszedł na drugą stronę biurka i grzebie

w kluczach, nie zainteresowało ich to na tyle, by chcieli coś w tej sprawie zrobić.

Rzecz jasna, w budynku nie było windy. Detektyw wszedł na górę po schodach, ciesząc się, że to nie piąte piętro, a potem ruszył przed siebie słabo oświetlonym korytarzem, aż wreszcie odnalazł właściwe drzwi. W głowie mu dudniło, a bok bolał go jak diabli. Zauważył, że przez okienko nad drzwiami sączy się światło. Ze środka dobiegały też dźwięki włączonego telewizora. Był już w paskudnym nastroju i nie zawracał sobie głowy pukaniem.

Gdy otworzył drzwi, jedyny lokator pokoju zeskoczył z łóżka, wyraźnie zaniepokojony. Było tu piekielnie gorąco, przez otwarte okno nie napływał do środka nawet najdrobniejszy powiew. Wychudzony dzoker o niezdrowym wyglądzie miał na sobie szare slipy, które mogły być kiedyś białe. Głowę owiazał sobie prostym bandażem zrobionym z jakiejś czarnej szmaty. Wewnętrzne powierzchnie jego dłoni również spowijał czarny materiał, podobnie jak podeszwy stóp. Szersze pasy czarnej tkaniny owijały się wokół jego brzucha. Wszystkie bandaże nosiły ślady zakrzepłej krwi. Miał też strupy w rzadziejących włosach i czerwonobrazową plamę z przodu majtek.

Jay poczuł, że gniew z niego odpływa.

– Chciałem ci zadać kilka pytań, Styg.

Dzoker popatrzył na niego nieufnie.

– Pytań? I to wszystko?

Jay skinął głową i Stygmat wyraźnie się uspokoił. Następnie podszedł do kolorowego telewizora marki Sony, nowego i dużego, i ściszył dźwięk, ale nie wyłączył obrazu. Na ekranie jakiś mężczyzna spadał z dużej wysokości, wymachując rękami i nogami. Mijał kolejne piętra w ogromnym wewnętrznym atrium jakiegoś budynku. Wokół niego tańczyło złote światło.

Jay gapił się na to ze zdumieniem.

– To Jack Braun – stwierdził i usiadł na skraju łóżka, nie czekając na zaproszenie.

– Tam był zabójca – poinformował go Styg tonem bliskim zapału. –

Nie słyszał pan o tym? Pokazywali to na wszystkich kanałach. Zepchnął fiuta z balkonu.

Detektywa przeszył chłód. Złoty Chłopiec był niemal niezwykłym asem, ale upadek z takiej wysokości...

– Zabił się?

– Dan Rather mówił, że grubas go uratował. Zmniejszył jego ciężar.

– Hiram. – Jay odetchnął z ulgą. Hiram i jego panowanie nad grawitacją. Detektyw był świadkiem tego, jak Astronom zrzucił Lilię Wodną ze szczytu Empire State Building, ale restaurator uratował jej życie, czyniąc ją lżejszą od powietrza. Najwyraźniej teraz zrobił to znowu. – A ten zabójca... – zaczął.

– Był jak piła mechaniczna. Założę się, że chciał załatwić Hartmanna. – Głos dzokera przepełniała gorycz. – Nie pozwolę mu wygrać. Zobaczysz pan. To będzie Barnett albo jakiś inny skurwysyn. Żeby ich wszystkich zląg trafił. Nasz los nic ich nie obchodzi. – Ten temat wyraźnie go rozżłościł. – Czego pan właściwie chce? – zapytał. – Nie może pan tak po prostu tu sobie wejść. Natole myślą, że wszystko im wolno. To jest mój pokój.

– Wiem – spróbował go uspokoić Jay. – Posłuchaj, muszę się dowiedzieć paru rzeczy o kobiecie, która mieszkała tu przed tobą...

Styg nie pozwolił mu dokończyć.

– To najpierw był mój pokój! Wykopali mnie, bo zalegałem kilka miesięcy z czynszem. Mieszkałem tu dziewięć lat, a oni po prostu mnie wyrzucili i oddali mój pokój komuś innemu. Zasiłek przyszedł z opóźnieniem. To nie moja wina, że nie miałem pieniędzy. Wywalili z własnego pokoju i zamknęli moje rzeczy. Dokąd miałem pójść?

– Ta kobieta – powtórzył Jay, próbując zmienić temat z niesprawiedliwości panującej na świecie na Kahinę. – Wiesz, kim była?

Stygmat usiadł na łóżku i zaczął się przyglądać jednej z własnych rąk, skubiąc czarną, splamioną krwią tkaninę.

– Była jedną z nas. Nie wyglądała jak dzokerka, ale nią była. Miała ataki. Widziałem jeden z nich. – Spojrzał na Jaya. – Co się z nią stało?

– Zamordowano ją – odparł detektyw.

Styg odwrócił spojrzenie.

– Kolejna martwa dzokerka – mruknął. Drapał chudymi palcami po bandażu na dłoni, próbując zeszkrobać skrzepłą krew. – Kogo obchodzi kolejna martwa dzokerka?

– Co się stało z jej rzeczami? – zapytał Jay.

Dzoker zerknął na niego nerwowo i zaraz odwrócił wzrok.

– Niech pan zapyta na dole. Założę się, że oni je zabrali. Moje rzeczy zamknęli. Mieszkałem tu dziewięć lat, a oni mnie wykopali i zabrali moje rzeczy. To niesprawiedliwe.

Ani na moment nie przestawał skubać strupów.

– Coś cię niepokoi, prawda? – zapytał detektyw.

Stygmat poderwał się z miejsca.

– Nieprawda! – zawołał. – Nie muszę odpowiadać na pańskie pytania. Za kogo pan się uważa? Tu jest Dżokerowo, zasrani natole nie mają tu nic do gadania.

Jay przyjrzał się jego dłoniom. Jego bandażom. To była zwykła, czarna bawełna, podarta na długie pasy.

– Nie jestem natolem – oznajmił lodowatym tonem. – Jestem asem, Styg.

Ułożył palce na kształt pistoletu.

Na czole Stygmata pojawiły się różowe kropelki. Pot mieszający się z krwią.

– Nie zrobiłem nic złego – zapewnił dzoker, ale głos załamał mu się w połowie zdania.

– Masz niezły telewizor – zauważył detektyw. Na ekranie pokazywano portret pamięciowy domniemanego zabójcy. Chudy, garbaty nastolatek miał na sobie skórzaną kurtkę. – Skąd wzięłeś na niego forszę? Wygląda na dość drogi. A jak udało ci się spłacić zaległy czynsz, Styg?

Dzoker otworzył usta, a potem je zamknął.

– Te skąpiradła nigdy nie zmieniają zamków w swoim hotelu, co? – zapytał cicho Jay.

Wyraz oczu Styga był wystarczającym potwierdzeniem. Dzoker odsunął się od Ackroyda. Niektórzy asowie potrafili strzelać ogniem

z rąk, ciskać błyskawice albo rozpylać kwas. Stygmat nie mógł wiedzieć, jaką moc kryje w sobie palec Jaya.

– Jej już tu nie było – błagał. – Nie skrzywdziłem jej. Proszę. Mówię prawdę.

– Jasne – odparł detektyw. – Nie skrzywdziłeś jej. Tylko ją okradłeś. Nadal miałeś swój klucz. Po jej śmierci przyszedłeś tutaj i wziąłeś sobie, co chciałeś. Na pewno miała sporo forsy. Wystarczyło przynajmniej na spłatę czynszu i na nowy telewizor. Co jeszcze zwinąłeś? Walizki? Biżuterię? Coś więcej?

Stygmat nie odpowiadał.

Ackroyd uśmiechnął się, wycelował palcem wskazującym i odsunął kciuk do tyłu niczym kurek.

– Nie miała biżuterii – powiedział wreszcie Stygmat. Kropelki krwi zostawiały różowe ślady na jego czole. – Tylko walizki i kupę ubrań. Daję słowo. Proszę.

– I gdzie to się podziało? – warknął Jay.

– Wszystko sprzedałem – wyjaśnił dzoker. – To były kobiece ubrania, na nic by mi się nie przydały. Sprzedałem je. Walizki też.

Takiej właśnie odpowiedzi spodziewał się Jay.

– Aha – stwierdził z niesmakiem. – To by się zgadzało. Sprzedałeś wszystko. Poza czadorami. W Dżokerowie raczej nie ma popytu na używane czadory, tak? Dlatego je zachowałeś. – Wskazał na dłońe dzokera. – Musiała mieć ich sporo, jeśli po roku nadal robisz z nich bandaże.

Wyraźnie zawstydzony Styg skinął leciutko głową.

Jay westchnął i schował ręce do kieszeni.

– Nie skrzywdzi mnie pan? – zapytał dzoker.

– Nic, co mógłbym ci zrobić, nie skrzywdziłoby cię bardziej niż dzika karta, ty biedny, nieszczęsny skurczybyku – odpowiedział detektyw i zwrócił się ku wyjściu.

Zdążył już dotknąć klamki, gdy Styg odezwał się nagle pod wpływem jakiegoś osobliwego połączenia ulgi z wdzięcznością.

– Jest jeszcze jedno. Może pan to sobie wziąć, jeśli pan chce. W sklepie

z odzieżą używaną nie chcieli mi nic za to dać.

Jay się odwrócił.

– Co to jest? – zapytał zniecierpliwiony.

– Sportowa marynarka – wyjaśnił Styg. – Ale chyba nie będzie na pana pasowała. Zresztą do niczego się już nie nadaje. Ma na ramieniu dziurę i plamę czyjejś krwi.

– Krwi? – powtórzył detektyw.

Dżoker najwyraźniej pomyślał, że go rozgniewał.

– Ja tego nie zrobiłem! – zapewnił pośpiesznie.

Jay mógłby go pocałować.

23:00

Maseryk zatrzymał się w wejściu do mieszkania. Jego dłoń zamarła na wyłączniku światła. Rozejrzał się po pograżonym w mroku salonie, wyteżając wyostrzone zmysły łowcy.

– Mam nadzieję, iż nie masz nic przeciwko temu, że do ciebie wpadłem – odezwał się siedzący na kanapie Brennan. – Pora na kolejną wymianę informacji.

Policjant włączył światło i prychnął lekceważąco.

– Nie widziałem cię od piętnastu lat, a teraz nie mogę się od ciebie uwolnić.

– Mam coś, co chciałbyś usłyszeć. Mogę ci to zagwarantować.

Maseryk potrząsnął z westchnieniem głową, zamknął za sobą drzwi i oparł się o nie plecami.

– No dobra – mruknął. – Gadaj.

Yeoman przyjrzał mu się z uwagą. Gliniarz był w wyraźnie kiepskim nastroju, nawet jak na niego. Oczy miał zapadnięte i podkrążone. Brennan domyślał się, że śledztwo w sprawie zabójstwa Poczwaraki nie idzie zbyt dobrze.

– Słyszałeś kiedyś o kobiecie nazwiskiem Ezili Rouge?

– Ezili Rouge? A co ona ma z tobą wspólnego?

– A więc o niej słyszałeś. A czy znasz jej adres?
– Masz mnie za książkę telefoniczną czy co?
– Zatem co o niej wiesz? Czy jest czysta?
– Czysta? Jezu, chyba tak. Pomijając fakt, że każdy facet, który ją zobaczy, chce ją przelecieć i większości się to udaje, o ile wiem, jest czysta jak łąza.

– Jesteś tego pewien? – zapytał Brennan.

– Tak, jestem pewien – mruknął Maseryk. – Sprawdzaliśmy ją, kiedy pojawiła się na scenie. Chłopaki ciągnęli losy o to, komu przypadnie ten zaszczyt. Okazało się, że jest czysta.

– A czy ten, kto wyciągnął zwyczajny los, zasługiwał na zaufanie?

– Oczywiście. To był mój partner, Kant.

Czysta jak łąza, zastanowił się Yeoman. Trójnog mówił mu co innego. Coś tu nie grało. Albo Kant nie był tak dobrym gliną, jak sądził Maseryk, albo nie był tak godny zaufania.

– No dobra – odezwał się policjant. – Jaką ekscytującą rewelację mi przyniosłeś?

Brennan sięgnął do kieszeni dżinsowej kurtki i rzucił Maserykowi fiolkę uniesienia, którą zabrał Lori.

– Wiesz, co to jest?

Maseryk chrząknął.

– Sądząc po tym ładnym niebieskim koloroku, to nowy narkotyk, który pojawił się na ulicach w tym tygodniu. Większość próbek, które udało się nam przechwycić, była zanieczyszczona. Wszystkim, od mleka w proszku aż po strychninę.

– Wiesz, że on wzmacnia wrażenia zmysłowe. Jedzenie, picie, seks, wszystko zmienia w ekstatyczne doświadczenie.

– Tak, wiemy o tym wszystkim.

– Ale nie macie pojęcia o skutkach ubocznych – stwierdził Yeoman. – Ten, kto brał uniesienie przez parę tygodni, naprawdę go potrzebuje. Potrzebuje go bardzo mocno. Bez niego wszystko, jedzenie, seks i tak dalej, wydaje się bezbarwne i pozbawione smaku albo nawet jeszcze gorzej, odrażające.

Policjant westchnął i usiadł na krześle.

– Chcesz powiedzieć, że ono szybko uzależnia?

– Szybko i w straszliwym stopniu. Możesz to potwierdzić, jeśli porozmawiasz z Lori. To dziewczyna z Sikorki. Łatwo ją rozpoznać, bo jej usta są niebieskie od tego syfu. Najwyraźniej była jednym z królików doświadczalnych Quinceya, więc brała je dłużej niż większość.

– Ile czasu potrzeba, żeby się trwale uzależnić?

Brennan wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Może kilka tygodni.

– No dobra, to cenna wiadomość. Ale to tylko utrudnia mi to, co muszę zrobić.

Policjant spojrzał Yeomanowi prosto w oczy.

– O co chodzi, Maseryk? – zapytał Brennan z zaszępiłą miną.

Gliniarz potrząsnął z westchnieniem głową.

– Nie mogłeś dać sobie z tym spokoju? Przejść na stałe w stan spoczynku? Musiałeś wrócić i znowu bawić się w mściciela?

Brennana nagle olśniło.

– Ackroyd powiedział ci, że jestem Yeomanem.

Maseryk skinął głową.

– Powinienem być się tego domyślić już po naszej pierwszej rozmowie. Podejrzewam, że byłem blisko, ale po prostu nie chciałem przemyśleć wszystkiego do końca. A potem ten cholerny prywatny detektyw powiedział mi to prosto w oczy i teraz muszę cię aresztować.

– Nie musisz – zaprzeczył cicho Brennan.

– To moja robota – oznajmił policjant. – Z pewnością to rozumiesz.

Yeoman skinął głową.

– Rozumiem, że masz swoje obowiązki. Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, że i ja mam swoje.

Maseryk wstał, oddalając się od drzwi.

– Nie poruszajmy tego tematu – sprzeciwił się.

Jennifer wyłoniła się ze ściany obok niego, niedotykalna jak dym, i przystawiła mu do głowy lufę nagle materialnego pistoletu. Policjant zamarł w bezruchu, spoglądając na nią kątem oka.

- Wspólniczka? - zapytał, trzymając ręce z dala od boków.
- W Wietnamie nauczyłem się, że zawsze trzeba zapewnić sobie wsparcie - oznajmił Maserykowi - i tej lekcji nigdy nie zapomniałem.
Ominął policjanta i otworzył drzwi.
- Będziemy cię szukać - ostrzegł Maseryk.
- Lepiej by było, gdybyście skupili się na złapaniu zabójcy Poczwaruki i powstrzymaniu handlu uniesieniem - stwierdził Brennan i wyszedł.
Gdy tylko drzwi się za nim zatrzasnęły, Maseryk odwrócił się błyskawicznie i złapał za lufę pistoletu. Zjawa oddała mu go ze śmiechem. Ją również spróbował pochwycić, ale zmieniła się w dym i przeniknęła przez ścianę, niesiona niewidzialnym, niewyczuwalnym wiatrem.



Piątek, 22 lipca 1988

6:00

Brennan nie spał już i siedział na krześle przy łóżku, gdy Jennifer odwróciła się, wyczuła, że nie ma go obok niej, i otworzyła oczy. Ziewnęła i wymamrotała coś sennie.

– Dzień dobry – powiedział mężczyzna. Pochylił się i pocałował ją w czoło, kiedy pocierała powieki, by odegnać senność.

– Już jest dzień?

– Mniej więcej.

– Muszę wziąć prysznic. – Jennifer usiadła, na wpół owinięta w zmięte prześcieradło. – Pójdiesz ze mną?

– Jasne. – Brennan wciąż czuł się zmęczony i mimo wczesnej pory, lepił się od potu. – Idź pierwsza. Muszę jeszcze szybko do kogoś zadzwonić.

– Proszę bardzo. – Wstała, zrzucając z siebie prześcieradło. – Jeśli się pośpieszysz, namydlę twoje ulubione części.

Brennan uśmiechnął się, sięgnął po telefon i wykręcił numer podany mu przez kota. Jennifer poszła nago do łazienki.

Rozległy się trzy sygnały, nim ktoś podniósł słuchawkę.

– Słucham? – odezwał się poirytowany głos.

– Mówi Yeoman.

– Jezu, wiesz, która godzina?

– Jest wcześnie – przyznał Brennan, przerywając gangsterowi narzekanie. – Obiecałeś, że mi pomożesz. Potrzebuję pewnej informacji.

– Już dobrze, dobrze. – Znikacz wyraźnie nadal był zły, zapytał jednak z niechęcią: – O co chodzi?

– Czy wiesz coś o dzokerskim glinie nazwiskiem Kant?

- Ach, ten. Zły bliźniak Żmija.
- Słucham?
- Nic, to tylko żart. Obaj wyglądają, jakby uciekli z terrarium. Czego chcesz się o nim dowiedzieć?
- Czy jest uczciwy?
- Hmm, tak bym go do końca nie określił. Był jednym z chłopaków F.X. Blacka. Od czasu do czasu wykręcił komuś rękę poza godzinami, ale do niedawna to nie było nic poważnego. Jednakże ostatnio związał się z zagraniczną kurwą i zaczął poszukiwać nie do końca legalnych rozrywek w niektórych co bardziej perwersyjnych klubach nocnych. Ludzie mówią, że zaopatruje ją w prochy.
- Czy ta kobieta przypadkiem nie nazywa się Ezili Rouge?
- Coś w tym rodzaju – potwierdził Znikacz.
- Co o niej wiesz?
- Niezbyt wiele. To Murzynka, ale jasnoskóra. Lubi prochy. Lubi facetów. Kant nie jest jedynym, który wpadł w jej sieć.
- Znasz jej adres?
- Nie. Rozejrzyj się. Łatwo ją zauważyć.
- Już się rozglądałem.
- No cóż, przykro mi, ale nie mogę ci pomóc. Wiesz co? Mógłbyś mi podać jej numer telefonu, kiedy ją znajdziesz. Chętnie sam bym ją wypróbował.
- Jasne. Masz dla mnie coś jeszcze?
- Dowiedziałem się czegoś o tym Morkle’u dzięki naszym kontaktom w związkach. To robotnik portowy, operator ciężkiego sprzętu. Pracuje na nocnej zmianie na nabrzeżu przy Fulton Street. Ale najciekawsza wiadomość dotyczy Żmija.
- Co z nim?
- No wiesz, nikt nie chce powiedzieć nic konkretnego, ale krążą słuchy, że parę dni temu wykonał dla Kiena ważną robotę, której nikt inny nie miał ochoty się podjąć. – Nastąpiła chwila ciszy. – Halo, jesteś tam? – zapytał wreszcie Znikacz. – Halo?
- Jestem.

– W porządku. Jeśli chcesz pogadać z nim osobiście, będzie dziś rano w Sklepie z Antykami Lina. Około jedenastej.

– To ten sklep z chińską sztuką na Mulberry Street?

– Zgadza się. Słyszałeś o nim?

Yeoman mruknął coś niezobowiązująco w odpowiedzi. Lin słynał w artystycznym świecie jako handlarz dziełami sztuki, natomiast w świecie ćpunów jego sklep był znany jako miejsce, w którym klientela wyższej klasy mogła nabyć wszelkie nielegalne farmaceutyki.

– Hej, o co chodzi z tą Ezili? – zapytał Znikacz.

– Będę w kontakcie – odpowiedział Brennan i odwiesił słuchawkę.

Żmij. To musiał być on. Ale ten Morkle był cierniem w jego boku już od samego początku. Jeśli pracował na nocnej zmianie, teraz był odpowiedni moment, by go poszukać. Żmij mógł zaczekać.

Mała kabina prysznicowa była nieco za ciasna dla dwojga. Chłodna woda spływała mu po ciele. Gdy Jennifer zaczęła go masować namydlonymi dłońmi, nagle przestał czuć się taki zmęczony.

Napięcie i frustracja spłynęły z niego razem z potem i brudem, który nagromadził się na jego ciele. Najpierw zajmie się tajemniczym Dougiem Morkle'em, a potem przyjdzie kolej na Żmija. Teraz jednak byli tylko on i Jennifer. Pocałowali się i ich namydlone ciała splotły się ze sobą. Kochali się nieśpiesznie w strumieniach chłodnej wody.



– Torbę z ubraniami może pan wnieść – oznajmiła mu kobieta siedząca w budce Delta Airlines. – Obawiam się jednak, że pańskie zwierzę trzeba będzie nadać na bagaż.

– W porządku – odparł nieufnie Jay. Postawił nosidełko dla kota na wadze, zbyt zmęczony, żeby się spierać. Szukał tego cholerstwa pół nocy.

Kobieta przylepiła kwit bagażowy do jego biletu i mu go wręczyła.

– Proszę bardzo. Okno dla niepalących. Już wpuszczają na pokład.

– Dziękuję – odpowiedział detektyw.

Kobieta przytwierdziła kwit do rączki szarego plastikowego pudełka i postawiła je na ruchomym pasie za swymi plecami. Jay starannie wyłożył wewnątrz nosidełka starymi gazetami, by nikt nie mógł zajrzeć do środka przez otwory. Raczej nie było sensu machać na pożegnanie. Gdy nosidełko zniknęło w trzewiach La Guardia, detektyw ruszył ku swojej bramce. Nawet o tak wczesnej porze na lotnisku panował wielki ruch i musiał stać w kolejce. Wielka tablica przy maszynie prześwietlającej ostrzegала, że pistolety i bomby to nie żart. Jay doszedł do wniosku, że raczej by ich nie rozśmieszył, gdyby wspomniał, że ma dynamit w torbie na ubrania.

Start, wyznaczony na szóstą pięćdziesiąt pięć, spóźnił się o czterdzieści pięć minut. Jay spał przez całą drogę do Atlanty.

9:00

Na nabrzeżu przy Fulton Street w otaczających je przetwórnich ryb oraz magazynach panowała gorączkowa aktywność. Ktoś ukryty w kłębiących się tam tłumach mógłby w ten sposób przeczekać Sąd Ostateczny.

– Czy Znikacz powiedział ci, jak wygląda ten Morkle? – zapytała Jennifer.

– Wspomniał tylko, że to operator ciężkiego sprzętu. – Brennan rozejrzał się wkoło, marszcząc brwi z frustracji. – Na pewno kieruje wózkiem widłowym albo czymś w tym rodzaju. Może uda się nam go zlokalizować za pomocą kontaktów Znikacza w związkach, ale miałem nadzieję, że sami na niego natrafimy dzisiaj. Miałem nadzieję.

– Spróbujmy.

Szukali go przez jakąś godzinę, nim wreszcie facet w niebieskiej, robionej na drutach czapeczce, o opadających wąsach i potężnych, wytatuowanych bicepsach, skinął głową, gdy Brennan wymienił to nazwisko.

– Morkle? Aha, chyba go znam. To dziwny facet. Pracuje na nabrzeżu

numer czterdzieści siedem.

– A czy teraz go tam zastaniemy?

Robotnik wzruszył ramionami.

– Może i tak. Chyba z reguły pracuje na nocnej zmianie.

– Dziękuję – rzekł Brennan. – Jeszcze jedno. Jak mamy go poznać?

– Prosta sprawa. To facet bez wózka widłowego.

– Bez wózka widłowego – powtórzył Brennan.

Robotnik oddalił się, pchając przed sobą wózek transportowy. Yeoman popatrzył na Jennifer i wzruszył ramionami.

Statek, który rozładowywano przy nabrzeżu 47, zaliczał się do dużych. Wielkie drewniane skrzynie zjeżdżały po trapie, zmierzając do przetwórci i na pobliski targ rybny. Robotnik miał rację. Douga Morkle'a łatwo było rozpoznać.

Miał jakieś metr pięćdziesiąt wzrostu i mniej więcej tyle samo szerokości w barach, potężną klatkę piersiową oraz krótkie, grube kończyny. Brennan pomyślał, że twarz Morkle'a dziwnie kontrastuje z jego ciałem. Była długa i wąska, o delikatnych, prawie kobiecych rysach. Minęło kilka dobrych chwil, nim Brennan uświadomił sobie, że robotnik przypomina – ni mniej, ni więcej – Tachiona.

Morkle dźwigał jedną z wielkich skrzyń bez najmniejszego wysiłku, podtrzymując ją jedną ręką na czubku głowy. Podobną postawę Brennan widział na zdjęciach afrykańskich kobiet noszących na głowach dzbany z wodą, ale takie dzbany nie ważyły prawie pół tony. Mężczyzna szedł swobodnie przed siebie, ten wielki ciężar w ogóle mu nie przeszkadzał.

– Pan Doug Morkle? – zapytał Yeoman.

Mężczyzna zerknął na niego, nie zatrzymując się.

– Nie. Nazywam się Doug Morkle – mruknął. Ciężar utrudniał mu wyraźne mówienie.

– Aha. To znaczy, że nie nazywa się pan Morkle?

– Nie nazywam. To jest Morkle. Morkle – powtórzył z naciskiem.

Brennan zerknął bezradnie na Jennifer. Tym razem to ona podjęła próbę.

– Czy mógłby pan to przeliterować, panie, hmm, Morkle?

Mężczyzna obrzucił ją gniewnym spojrzeniem, zatrzymał się i szybko odstawił skrzynię, opuszczając ją z hukiem na ziemię.

– Czego znowu chcecie? Moje papiery są w porządku. Mam zieloną kartę.

Pogrzebał ze złością w kieszeni roboczego kombinezonu. Mówił po angielsku bardzo dobrze, ale miał osobliwy akcent, jakiego Brennan nigdy dotąd nie słyszał.

Mężczyzna podsunął Yeomanowi dokument. Było na nim jego zdjęcie oraz nazwisko – Durg at’Morakh bo Zabb Vayawandsa – umieszczone pod spodem. Urodzony na Takis. Nazwisko na legitymacji związkowej, którą również wręczył Brennanowi, zamerykanizowano na Doug Morkle.

– Wszystko jest w porządku – oznajmił. Jego gniew przerodził się w satysfakcję.

– Tak. Widzę – odpowiedział Brennan, próbując improwizować. To było całkowicie nieoczekiwane. Pamiętał, że Tachion wspominał kiedyś o Takizjaninie, którego porzucono na Ziemi podczas inwazji Roju. Był on ponoć mistrzem sztuk walki i bezlitosnym zabójcą. Z pewnością byłby w stanie zamordować Poczwarękę, ale jaki mógłby mieć motyw? – Hmm, tu jest napisane, że jest pan operatorem ciężkiego sprzętu.

Morkle wlepił w niego spojrzenie wąskich szparek oczu.

– Jest pan z centrali związkowej?

– Zgadza się – skłamał Yeoman.

– Przyznali mi zwolnienie – oznajmił Morkle z triumfem w głosie. – W moich papierach wszystko się zgadza. Zaznaczono odpowiedni punkt.

– Hmm. – Brennan uważnie przyjrzał się dokumentowi. Rzeczywiście zaznaczono punkt „specjalne zwolnienie dla asów”: „Przyznaje się właścicielowi tej legitymacji prawo do pracy jako operator ciężkiego sprzętu przy obecności takiego sprzętu lub pod jego nieobecność, pod warunkiem że wypłaci się mu należną rekompensatę”. – Oczywiście – zgodził się.

– Muszę wracać do roboty. Moja zmiana zaraz się kończy. – Morkle wyciągnął łapsko wielkości łopaty. – Proszę mi oddać papiery.

– Zawsze pracuje pan od północy do ósmej rano? – Takizjanin skinął niecierpliwie głową i dźwignął swój ciężar. – W ostatni poniedziałek też? Morkle przytaknął raz jeszcze. Gniew wyraźnie w nim narastał.

– W takim razie dziękuję, panie... Morkle.

– Morkle! – Wymawiał to ze śpiewnym tonem na samym końcu. – Ideale! Czy Ziemianie nigdy się nie nauczą poprawnej wymowy?

– Wierzysz mu? – zapytała Jennifer, gdy oddalał się od nich ze swym zaśpiewem.

– Wygląda na to, że ma niepodważalne alibi.

– Kolejna ślepa uliczka?

– Obawiam się, że tak – odparł z westchnieniem Brennan.

To tylko umacniało pozycję Żmija jako najbardziej prawdopodobnego kandydata. Nadeszła pora, by porozmawiać z nim osobiście. Yeoman doszedł jednak do wniosku, że rozsądniej będzie wrócić najpierw do hotelu, by zwiększyć siłę ognia. Nie miał zamiaru wybierać się do sklepu Lina z gołymi rękami.

10:00

– Jak to, nawet nie umieszczono jej w samolocie, do licha?

– Bardzo mi przykro, proszę pana. – Przedstawicielka Delta Airlines radziła sobie z wyrażaniem żalu znacznie gorzej niż Waldo Cosgrove. – Nasz następny samolot startuje z La Guardia za dwadzieścia minut. Jestem pewna, że pański ekwipunek się na nim znajdzie. – Za plecami miała wielki plakat z rysunkami różnych rodzajów bagażu. – Czy mógłby pan podać mi typ walizki? To pomogłoby nam ją zlokalizować.

– To nie była walizka – wyjaśnił Jay. – To było nosidełko dla kota. Szare, plastikowe i zupełnie nowe. Kupiłem to cholerstwo w ostatniej chwili. Wie pani, jak trudno jest znaleźć całodobowy sklep zoologiczny, nawet na Manhattanie? – Westchnął. – Mój kot nieźle się wkurzy.

– Biedactwo – rozczuliła się kobieta. – Mam pięć kotów, więc rozumiem, co pan czuje. Niech się pan nie obawia, znajdziemy go. Niech mi pan poda swój adres w Atlancie. Odeślę tam kota.

– Świetnie – ucieszył się Ackroyd. – Nie wiem, gdzie się zatrzymam – dodał po chwili zastanowienia. – Słyszałem, że z powodu konwencji w żadnym hotelu nie ma wolnych miejsc. Wie pani co? Odeślijcie go do Marriott Marquis. Do Hirama Worchestera.

Przeliterował jej to nazwisko.

– Z przyjemnością – zapewniła. Wypełniła zgłoszenie o zaginięciu bagażu i podsunęła je Jayowi do podpisania. – Jak się nazywa maluszek?

– Kopacz – odpowiedział detektyw. Nawet nie zajrzał do torby z ubraniami. Przerzucił ją przez ramię i wyruszył na poszukiwanie taksówki.



– Na futerał na łuk leży koperta – zauważyła Jennifer z miną taką, jakby zauważyła jadowitego gada.

– Słucham? – zawołał z łazienki Brennan. – Kolejny list?

– Na to wygląda.

Mężczyzna wyszedł z łazienki, wycierając dłonie w ręcznik, i podszedł do Jennifer, która gapiła się na futerał i leżącą na nim małą, białą kopertę.

– To zaczyna się robić dziwne – stwierdził.

– Zaczyna?

Yeoman chrząknął i podniósł kopertę. W środku była kartka papieru. Napisano na niej znajomymi już maleńkimi literkami z nieodłączną porcją błędów ortograficznych: „Dla własnego bezpieczeństwa niech się pan tszyma zdala od Kryształowego Pałacu”.

– Dlaczego? – zapytała Jennifer.

Brennan potrząsnął głową.

– Wiem tyle samo co ty. Nasz tajemniczy informator do tej pory nas nie okłamał. Jego zachowanie jest nieco niesamowite i parę razy wpędził

mnie w kłopoty, ale zawsze dotąd mówił prawdę.

– Wybierałeś się do Pałacu?

– Nie. W tej chwili mam zamiar poszerzyć swoją znajomość chińskiej sztuki. – Złożył kartkę i schował ją do kieszeni, a następnie podniósł futerał. – Ruszajmy.



Zatrzymali go, gdy tylko wszedł przez drzwi obrotowe do holu Marriott Marquis z torbą przewieszoną przez ramię.

– Czy mogę zobaczyć klucz do pańskiego pokoju? – zapytał bez zbytniej uprzejmości czarnoskóry mężczyzna w mundurze ochroniarza.

Jay uśmiechnął się do niego przeproszająco.

– Jeszcze go nie mam. Chciałem się zameldować.

Spróbował ominąć pośpiesznie mężczyznę, ale ten przesunął się szybko w bok i zagroził mu drogę.

– W hotelu nie ma wolnych miejsc – oznajmił. – Nie wpuszczamy nikogo poza gośćmi. Czy mogę zobaczyć pańskie dokumenty?

– Mam interes do jednego z waszych gości – odpowiedział detektyw. – Nazywa się Hiram Worchester. Jest członkiem nowojorskiej delegacji.

– A czy spodziewa się pańskiej wizyty?

– Hmm, nie sądzę – przyznał Ackroyd.

– W takim razie radzę, żeby pan do niego zadzwonił. W recepcji chętnie wyślą wiadomość w pana imieniu. Jeśli będzie chciał się z panem zobaczyć, otrzyma pan przepustkę.

Jay uderzył się otwartą dłonią w czoło, rozdziawiając szeroko usta.

– Przepustkę? Jak mogłem być taki głupi? Hiram dał mi przepustkę. Boże, czy to nie zabawne? Myślał pan, że próbuję wejść do hotelu bez przepustki, a ja cały czas ją miałem!

– Bardzo zabawne – stwierdził mężczyzna w mundurze ochroniarza.

– Gdzie ja ją schowałem? – Jay grzebał przez chwilę w kieszeni, ułożył palce na kształt pistoletu, a następnie wyciągnął rękę. – To jest moja przepustka! – zawołał radośnie i uniósł wzrok. Po obu stronach

ochroniarza stali dwaj mężczyźni w ciemnych garniturach. Ich oczy skrywały się za ciemnymi okularami. Żaden z nich się nie uśmiechał.

– Nie widzę przepustki – stwierdził ochroniarz. – Widzę tylko, że wskazujesz na mnie palcem, cwaniaczku.

Ackroyd popatrzył na swój palec. Potem zerknął na mężczyzn. Było ich trzech. Dwaj stojący po bokach mieli wypukłości pod marynarkami. Schował rękę do kieszeni i cofnął się o krok. Faceci w ciemnych garniturach podążyli za nim, próbując go zepchnąć pod ścianę.

– Naprawdę. Przed chwilą miałem przepustkę – tłumaczył się Jay. – Ktoś musiał mnie potrącić w tym tłoku i wypadła mi z rąk.

– Naprawdę? – zapytał jeden z mężczyzn i zerknął z drwiącym uśmiechem na swego partnera.

– Wiecie co? – powiedział Jay, strzelając palcami. – Właśnie coś sobie przypominałem. Mój znajomy mieszka w Hyattcie, nie w Marriotcie. Jak mogłem być taki głupi?

Cofał się niczym krab i uśmiechał się jak krety, aż wreszcie wyszedł na zewnątrz w upał panujący w lipcu w Atlancie. Federalni z uwagą śledzili każdy jego krok.

11:00

Sklep Lina znajdował się w pobliżu nie do końca określonej granicy między Chińską Dzielnicą a Dżokerowem. Otaczały go inne drogie sklepy i restauracje. Widziany z zewnątrz nie robił imponującego wrażenia, ale w środku panowała dyskretna elegancja. Gruba wykładzina dywanowa miała ciemnoczerwoną barwę. Światła były przyćmione i dyskretne. Rozsiane po całym pomieszczeniu szklane gabloty same były antykami. Parawany, jedwabie i posągi umieszczone w gablotach albo na ścianach były wspaniałymi przykładami wschodniej sztuki wywodzącymi się z czasów sięgających dynastii Shang, ponad tysiąc lat przed naszą erą.

Te towary zaś imponowały Brennanowi. Równie dobre wrażenie

wywarła na nim elegancka sprzedawczyni, tak piękna jak prezentowane tu dzieła sztuki. Kobieta przyglądała mu się dyskretnie, ale uważnie już od chwili, gdy wszedł do sklepu.

Kolekcja Lina była naprawdę nadzwyczajna. Yeoman niemal całkowicie zatracił się w podziwianiu pięknie rzeźbionych nefrytowych kadzielnic, gdy nagle zauważył Jennifer, która pojawiła się za plecami sprzedawczyni i wskazała niecierpliwie na zaplecze budynku. Pora brać się do roboty.

Podszedł do sprzedawczyni.

– Czy mogę w czymś pomóc? – zapytała melodyjnym głosem.

Brennan położył futerał na jednej z niżej położonych gablot i uśmiechnął się do kobiety.

– Tak sędzę. – Otworzył futerał i sięgnął do środka. – Chciałbym wycenić ten obraz na jedwabiu.

– Ach, oczywiście – odpowiedziała i pochyliła się do przodu. Wtem na jej pięknym czole pojawił się mars. Yeoman wyciągnął pistolet i wycelował w nią.

– Przykro mi – rzekł.

Spojrzała na niego pytająco. W tej samej chwili Jennifer zmaterializowała się za jej plecami i uderzyła ją w kark. Brennan złapał kobietę, zanim upadła na podłogę, i położył ją na niej ostrożnie.

– Żadnych flirtów z personelem – ostrzegła go Jennifer.

Zignorował jej słowa.

– Co słyhać na zapleczu? – zapytał.

– Żmij siedzi w gabinecie. Rozmawia z niską Chinką w średnim wieku.

– To Siu Ma – stwierdził Brennan.

– Kto?

– Siostra Kiena.

Ominął Jennifer i poklepał ją po policzku.

– Zamknij drzwi wejściowe – powiedział. – Byłoby krępujące, gdyby ktoś nas zaskoczył.

Następnie wyjął i złożył łuk. Jennifer zamknęła drzwi i umieściła na nich wywieszkę z napisem ZAMKNIĘTE. Yeoman przeszedł przez

zasłone z paciorków oddzielającą sklep od reszty budynku i ruszył korytarzem przed siebie. Aura elegancji zniknęła, gdy znalazł się w części załadunkowej. W tej chwili nikogo tam nie było, ale widział dziesiątki skrzyń czekających na zapakowanie bądź rozpakowanie.

W kącie tego sektora znajdował się mały, oszklony gabinet. Siu Ma siedziała za biurkiem, a Żmij stał przed nią i pakował małą walizkę.

Znikacz nie wspomniał o Siu Ma, pomyślał Brennan. Kobieta była siostrą Kiena i dowodziła Niepokalanymi Czaplami, ulicznym gangiem z Chińskiej Dzielnicy, zajmującym się handlem narkotykami dla Pięści. Wyglądała zwyczajnie i niewinnie, ale była równie sprytna jak jej brat.

Brennan przemknął bezszelestnie między skrzyniami, zbliżając się do gabinetu, aż wreszcie usłyszał słowa Żmija.

– ...po jej śmierci sekret jest bezpieczny.

Yeoman nie miał wątpliwości, o kim mówi dzoker. Gniew rozgorzał w nim gwałtownie. Stanął w drzwiach. W rękach trzymał naciągnięty łuk. Nałożona na ciężwą strzała była wycelowana w potylicę Żmija.

To było naprawdę efektowne wejście. Siu Ma gapiła się na niego ze zdumieniem. Żmij również się odwrócił i wlepił w niego wzrok. Yeoman zauważył, że dzoker ładował plastikowe woreczki wypełnione niebieskim proszkiem do walizki z fałszywym dnem. Na blacie obok walizki leżała niewielka sterta ubrań. Na jej szczycie balansowała niepewnie książeczka wyglądająca na paszport Żmija.

– Yeoman! – zawołała ostrym tonem Siu Ma. Nie bełkotała z przerażenia ani nie próbowała go zastraszyć, lecz od razu przeszła do sedna sprawy. – Myślałam, że ty i mój brat zawarliście rozejm!

– Zawarliśmy – przyznał Brennan. – Ale on się skończył, gdy Żmij zabił Poczwardkę.

– Co? – zawołali jednocześnie kobieta i dzoker. Udawali niewiedzę z niemal niewiarygodną biegłością.

– Kto ci powiedział, że Żmij to zrobił? – zapytała Siu Ma.

– Mam swoje źródła – odpowiedział Yeoman. – Poza tym, o czym właściwie rozmawialiście, kiedy tu przyszedłem? Czyja śmierć i jakie sekrety?

Siu Ma parsknęła śmiechem.

– O „Życiu dla jutra”.

Zdumiony Brennan opuścił nieco łuk.

– O czym?

– O „Życiu dla jutra” – powtórzyła Chinka. – To opera mydlana – wyjaśniła.

– Opera mydlana? – powtórzył całkowicie zdezorientowany Yeoman.

– Tak. No wiesz, we wczorajszym odcinku Janice zginęła w wypadku samochodowym i tajemnica Jasona, który w rzeczywistości jest jej nieślubnym synem, jest bezpieczna. Dzięki temu Jason może poślubić Veronikę.

– Opera mydlana?

– Tak. Żmija ominęło kilka odcinków i streszczałam mu je, kiedy pakował, hmm, towar.

– Jasne – mruknął drwiącym tonem Brennan i spojrzął na dzokera. – Oglądasz opery mydlane?

W oczach Żmija nadal gorzała nienawiść, ale teraz pojawiło się w nich również zawstydzenie, jakby przyłapano go na oddawaniu się jakimś odrażającym, zboczonym praktykom.

– Czassami – przyznał niechętnie.

Yeoman naciągnął mocniej cięciwę i wycelował między pełne złości oczy dzokera.

– To chyba najgłupsze kłamstwo, jakie w życiu słyszałem. Lepiej zacznij mówić prawdę albo zmienisz się w martwą jaszczurkę. I to zaraz.

– Prawdę o czym? – syknął dzoker.

– O śmierci Poczwarki! – zawołał Brennan. – Dlaczego ją zabiłeś?

Żmij chciał już udzielić odpowiedzi, gdy ze ściany gabinetu wyłoniła się nagle Jennifer.

– Chwileczkę – przerwała mu. – Sprawdźmy, czy to prawda z tą operą mydlaną. – Zwróciła się w stronę Żmija. Brennan opuścił nieco łuk. Dzoker gapił się na nią z gniewem i nienawiścią, jakie zwykle rezerwował dla Yeomana. – Mówisz, że oglądasz „Życie dla jutra”?

– Tak jessst! – warknął Żmij.

– To powiedz, kto jest mężem Eriki?

– W zeszłym mieśsiącu wyszła za Colby’ego – odpowiedział. – Ale nie wie, że Ralph, jej pierwszy mąż, żyje. Ma amnezję i wykorzystują go terroryśści, którzy wmówili mu, że jessst ksssięciem Rupertem, takizjańssskim arysstokrata, którzy przybył na Ziemię, by pokonać wirussa. Ale w rzeczywistośści Ralph jessst...

– Starczy – przerwał mu Brennan. – Czy ten cały syf to prawda? – zapytał, spoglądając na Jennifer.

Kobieta skinęła głową.

– Jezu. – Yeoman opuścił łuk. Jego frustracja zdwoiła się. Skierował uwagę na pakowany przez Żmija towar. – Dokąd to wiesz? – zapytał go

– Do Hawany – burknął dzoker.

– Odsuń się od biurka.

Żmij wykonał polecenie i Brennan ostrożnie zbliżył się do blatu. Zmniejszył napięcie cięciwy, by móc jedną ręką utrzymywać strzałę na miejscu, a w drugą wziął paszport dzokera. Spojrzał na ostatnią ostemplowaną stronę. To z pewnością nie była pierwsza przemytnicza wyprawa Żmija na Kubę. Był na wyspie w dzień, gdy zamordowano Poczwardkę.

– Cholera – mruknął Brennan, rzucając paszport z powrotem na biurko. Jego gniew osiągnął szczyt uniemożliwiający mu panowanie nad sobą. Wypuścił strzałę, którą miał na cięciwie. Żmij syknął, gdy pocisk przeleciał obok niego i trafił w szczura, który siedział pod ścianą, z uwagą obserwując konfrontację. Gdy dzoker ponownie spojrzął na Yeomana, ten zdążył już nałożyć kolejną strzałę.

– Wygląda na to, że udzielono mi błędnych informacji – oznajmił ze złością Brennan. – Rozejm nadal obowiązuje.

Żmij syknął gniewnie, gdy Yeoman opuścił gabinet. Jennifer podążyła za kochankiem, przyglądając się szczurowi Leniwego Smoka. Przyszpilone strzałą do ściany gabinetu stworzenie skurczyło się i zmieniło w kawałek mydła.

12:00

– Co tu się dzieje? – zapytał Jay, gdy dzokerzy ruszyli za nim. Nikt mu nie odpowiedział. Wydawało się, że nikt go nawet nie słyszy. Było ich kilkunastu. Mieli smutne miny, byli spokojni i poważni. Jakiś starsuszek płakał cicho. Detektyw obejrzał się przez ramię. Tłum powiększał się z każdą chwilą. Wszyscy najwyraźniej zmierzali w tym samym kierunku.

Torba z ubraniem zaczęła mu ciążyć. Przełożył ją na drugie ramię, zwolnił i zaczął iść obok wielkiego dzokera, którego zielone, półprzezroczyste ciało trzęsło się niczym galareta w rytm jego kroków.

– Dokąd wszyscy idą? – zapytał go Jay.

– Do Omni – odpowiedział galaretowaty.

Nad jego głową kołysała się kobieta. Nie miała rąk ani nóg. Unosiła się w powietrzu niczym wypełniony helem balon, a jej ładna twarz była czerwona od łez.

– Straciła dziecko – powiedziała Ackroydowi i poleciała naprzód.

Jay pozwolił, by poniosła go fala pieszych płynąca przez ulice Atlanty. Tysiące ludzi schodziły się ze wszystkich stron do centrum konferencyjnego Omni. Powoli, fragment po fragmencie zdołał wydobyć całą historię od towarzyszących mu przez chwilę dzokerów. Ellen Hartmann, żonę senatora, spotkał tragiczny wypadek. Spadła ze schodów. Była w ciąży, nosiła dziecko Hartmanna. Dziecko nie przeżyło.

– Czy Hartmann wycofa swoją kandydaturę? – zapytał Jay mężczyznę jadącego na silnikowym wózku inwalidzkim. Jego deformacje kryły się pod podartym ubraniem.

– Nie zrobi tego – odparł wyzywającym tonem dzoker. – Prosiła go, by walczył dalej. Zniesie nawet to. Oto, jak bardzo nas kocha!

Ackroydowi nie przychodziła do głowy żadna odpowiedź.

Dzokerzy zaczęli się schodzić, gdy tylko wiadomość dotarła do ich obozowiska w Piedmont Parku. Policja i ochrona konwencji przyglądały się coraz większemu tłumowi z narastającym niepokojem, nie podjęły

jednak próby rozproszenia go. Pamięć o zamieszkach podczas konwencji w Nowym Jorku w roku siedemdziesiątym szóstym i w Chicago w sześćdziesiątym ósmym wciąż była żywa w wielu umysłach. Gdy Jay dotarł na miejsce, dzokerzy zablokowali już wszystkie ulice wokół centrum. Siedzieli na chodnikach i na zderzakach zaparkowanych tu samochodów, zajmowali każdy wolny skrawek trawy. Czekali spokojnie i bezgłośnie w gorących promieniach słońca Georgii. Wszyscy wpatrywali się w budynek Omni. Nie było okrzyków, skandowania ani transparentów, nie było braw ani modlitw. Nie słychać było rozmów. Wokół centrum zapadła głęboka cisza.

Jedenaście tysięcy dzokerów siedziało razem na rozgrzanym chodniku. Morze udręczonych, ściśniętych gęsto ciał połączyło się w milczącej żałobie nad Greggiem Hartmannem i stratą, jaka go spotkała.

Jay Ackroyd przepychał się między nimi bardzo ostrożnie. Czuł się zmęczony i kręciło mu się w głowie. Upał przekraczał czterdzieści stopni w cieniu, a w dodatku było parno jak w łaźni, on zaś nie miał nawet kapelusza. Słońce paliło go niemiłosiernie w głowę, a czaszkę znowu wypełnił mu gwałtowny ból. Złamał solenne postanowienie i połknął dwie tabletki, ale nawet to tylko nieco stępiło ostre klucie w boku i łupanie za oczami.

Na dręczące go mdłości nie było natomiast żadnego lekarstwa. Ze wszystkich stron otaczali go czekający bez słowa dzokerzy. Niektórzy otwarcie płakali, ale ze wszystkich sił starali się stłumić odgłosy łkania. Inni ukrywali twarze za tanimi, plastikowymi maskami, ale i tak można było wyczuć ich żal. Jay ledwie był w stanie na nich patrzeć. Nikt z nich nie miał pojęcia, kim jest i po co tu przybył. Nikt z nich nawet się nie domyślał, co ma w przerzuconej niezgrabnie przez ramię torbie i jak to wpłynie na ich nadzieje i marzenia. Jednakże Jay to wiedział i od tej wiedzy robiło mu się niedobrze.

Zajął pozycję naprzeciwko głównych drzwi Omni. Widział stąd delegatów i dziennikarzy, którzy wchodzili do gmachu i wychodzili z niego pod czujnym wzrokiem ochroniarzy. Czas zdawał się płynąć bardzo powoli. Upał wciąż się nasilał. Ekipy telewizyjne przesuwały

spojrzenia minikamer po morzu twarzy. Nad tłumem krążyły medialne helikoptery. Raz przeleciał nad nimi Żółw, równie milczący jak dzokerzy. Cień jego skorupy dał im na mgnienie oka osłonę przed słonecznym żarem. Potem przez okno wyjrzała drobna kobieta w czarnym fraku. Na głowie miała cylinder, a na oczach maskę. Przyjrzała się tłumowi i zniknęła w środku. Jay znał jej twarz z mediów. To była Cylinder, rządowa aska przydzielona do pilnowania Gore'a. Jej kandydat już się wycofał, więc zapewne przeniesiono ją do kogoś innego. Przez chwilę miał ochotę przyciągnąć jej uwagę, oddać jej zakrwawioną marynarkę i przekazać problem komuś innemu. Potem jednak pomyślał o jej współpracowniku Carnifexie i szybko zmienił zdanie.

Gdy tylko Cylinder zniknęła, z budynku wyszła grupka delegatów. Jednym z nich był masywny mężczyzna o bujnej brodzie, poruszający się lekko mimo swej wagi. W nieskazitelnie białym, płóciennym garniturze wyglądał tak, jakby straszliwy upał w ogóle mu nie przeszkadzał.

Jay zerwał się na nogi.

– Hiram! – zawołał nad głowami dzokerów i zamachał szaleńczo rękami, nie zważając na tępy ból, który przeszył mu bok.

W żałobnej ciszy jego krzyk zabrzmiał niemal obscenicznie. Hiram Worchester uniósł jednak wzrok, zobaczył Jaya i przepchnął się przez tłum, poruszając się wolno i majestatycznie niczym wielki, biały statek sunący przez morze pełne małych łódek.

– Rzutnik – powiedział. – Mój Boże, to ty. Co ci się stało w twarz?

– Nieważne – odpowiedział Jay. – Hiram, musimy porozmawiać.



– O co w tym wszystkich chodziło? – zapytała Jennifer.

– Wrobili nas – odparł nadal rozwścieczony Brennan. – Wrobili nas, niech to szlag.

– Słucham?

Zerknął na nią.

– To nie my mieliśmy być ofiarami, tylko Żmij i Siu Ma.

– Rozumiem. Chyba.

– Znajdźmy telefon.

Stał w kącie. Brennan wykręcił numer i Znikacz podniósł słuchawkę już po drugim sygnale.

– Halo.

– Nie lubię, jak mnie okłamują – oznajmił cicho Yeoman.

– Cześć, Kowboju. Miło, że dzwonisz o przyzwoitej godzinie.

– Słyszałeś, co powiedziałem?

– Jasne. Ale o co chodzi? Informacja o Morkle’u była w porządku, prawda?

– O Morkle’u tak – przyznał Brennan. – Ale ta o Żmiju jakby trochę mniej.

– Tak?

– Nie miał nic wspólnego ze śmiercią Poczwaraki. Kiedy ją zabito, był w Hawanie.

– Hmm. No tak. Przykro mi.

Wykrętny skurczybyk, pomyślał Brennan.

– Nie jestem twoim zabójcą do wynajęcia – oznajmił złowrogim tonem.

– To była uczciwa pomyłka...

– Przestań kłamać – przerwał mu Yeoman. – Będę w kontakcie.

– Chwileczkę – sprzeciwił się gangster, nim Brennan zdążył odłożyć słuchawkę. – Dowiedziałeś się czegoś o aktach Poczwaraki?

Yeoman przerwał połączenie, nie odpowiadając na pytanie Znikacza.

13:00

– To po prostu niemożliwe – skwitował Hiram, gdy Jay zakończył swą opowieść. – Nie.

Detektyw otworzył torbę, wyjął marynarkę i położył ją na stole między nimi.

– Tak.

sala koktajlowa była jednym z tych miejsc, w których w południe jest równie ciemno jak o północy. Znajdowała się dość daleko od terenów konwencji i było tu niewielu ludzi, co zapewniało im odrobinę prywatności.

Klimatyzację nastawiono na poziom bliski arktycznej wichurze, ale po szerokim czole Hiram'a i tak spływały kropelki potu, które następnie wsiąkały w jego bujną brodę. Boks był stanowczo za ciasny dla masywnego asa. Jego brzuszysko wciskało się w stolik, ale gdy Ackroyd położył marynarkę na blacie, restaurator wcisnął się w siedzenie, jakby bał się jej dotyku.

– To jakieś groteskowe nieporozumienie. Gregg to dobry człowiek. Znam go od lat, Jay. Od lat!

Detektyw dotknął leżącego na stole stroju.

– Byłeś z Hartmannem w Syrii. Czy to jego marynarka, czy nie?

Hiram zmusił się do spojrzenia na nią.

– Wygląda jak jego – przyznał. – Ale, Jay, to fabrycznie produkowana sportowa marynarka. Są takich tysiące. To musi być oszustwo. Musi.

– Nie sądzę – sprzeciwił się detektyw. – Stygmat nie miał powodu, by kłamać. Nawet nie wiedział, co ma. To ta druga marynarka była fałszywa. Kahina nigdy nie ufała Gimlemu. Dała mu kopię. Zapewne użyła własnej krwi, żeby test wykazał obecność wirusa. Tę marynarkę Gimli dał Poczwarce, a prawdziwą Kahina zachowała dla siebie. Z pewnością miała jakieś plany, ale Hartmann i Mackie Majcher nie pozwolili jej ich zrealizować.

– W takim razie Poczwarca... – zaczął z wahaniem Hiram.

– Zginęła nadaremnie. Dla fałszywej marynarki.

– Ale zamachowiec, którego wynajęła, jest prawdziwy!

– To prawda – przyznał detektyw. – George Kerby istnieje naprawdę. Cholera, sam już nie wiem, czy chcę, żeby mu się udało, czy nie.

– Chyba nie mówisz poważnie! – zawołał przerażony restaurator. – To, co zrobiła, czyni ją nie lepszą od Nura... morderstwo to morderstwo. Nie dbam o to, co wiedziała, czy była przekonana, że wie. Jeśli mogła

postawić jakieś zarzuty, powinna była zrobić to jawnie. Czy Gregg nie zasługuje na szansę, żeby się bronić? Jay, mówię ci, to wszystko nieprawda. Gdybyś znał Gregga Hartmanna tak dobrze jak ja... To wspaniały człowiek... ma tyle odwagi... w Syrii... gdybyś tylko widział, jak się sprzeciwił Nur al-Allahowi. Byłbyś z niego dumny. Oskarżać go o tak... o tak monstrualne zbrodnie... i to na jakiej podstawie? Zeznać Kopacza Downsa? – Hiram ogarnął gniew. – Ten człowiek to zawodowy kłamca, Jay! Ile razy musiałem go wyrzucać z Wieży Asów?

– Nie o to chodzi, Hiram – oznajmił detektyw.

Restaurator zmarszczył brwi. Jedna z jego leżących na stole dłoni bezsilnie zacisnęła się w pięść.

– Gdzie jest Downs? – zapytał. – Chcę spojrzeć mu prosto w oczy i usłyszeć od niego tę opowieść. Będę wiedział, jeśli skłamię, i przysięgam, że...

– Linie lotnicze go zgubiły – odpowiedział ze smutkiem Jay. – Nosidełko nie przyleciało następnym samolotem i jeszcze następnym też nie. Delta Airlines zapewniły, że na pewno przybędzie w kolejnym. Mniejsza z tym.

Mina Hiram wyrażała dezorientację. Wypił połowę swego Pimm's Cup w serii długich łyków. Ręka mu drżała, kiedy odstawił szklanekę na stół.

– Nie powiedziałaś, kto... twoim zdaniem... to zrobił... to znaczy zabił Poczwarke?

– Powiedzmy, że bardzo chciałbym się dowiedzieć, co robił Billy Ray w niedzielę wieczorem i w poniedziałek rano.

– Billy Ray – powtórzył Hiram. – Mój Boże, to absurd! To agent Departamentu Sprawiedliwości! Chyba nie sądzisz, że cały rząd federalny jest w to zamieszany?

Jay wzruszył ramionami.

– Nie zaufam nikomu, komu nie będę musiał zaufać, dopóki nie dowiedzie swojej niewinności.

Hiram dopił koktajl. Wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w pustą szklanekę, pogrążony we własnych myślach.

– Tyle ludzi pracowało tak ciężko. Wszyscy... zrobiliśmy tak wiele. Widziałeś tych nieszczęśników na ulicach? Gregg jest ich jedyną nadzieją. Co zrobią, jeśli to się okaże prawdą?

– Zagłosują na Republikanów?

Ten żarcik nie był zbyt udany i Jay pożałował go, gdy tylko słowa wyszły z jego ust. Był stanowczo zbyt lekceważący jak na tę sytuację i na szczyry żal Hirama.

Ale restaurator chyba go nie usłyszał. Wyjął z kłapy czarną jedwabną chusteczkę i otarł nią czoło. Sprawiał wrażenie zdezorientowanego i zagubionego, zbyt słabego, by dźwigać wielki ciężar swego ciała.

– Jest taka reporterka – zaczął powoli. – Nazywa się Sara Morgenstern. Powtarzała wszystkim, że Gregg to as zabójca, ale nikt jej nie wierzył. No wiesz, ona nie jest zbyt zrównoważona. Ale wczoraj wieczorem dokonano zamachu na jej życie. Muszę ze smutkiem dodać, że zrobił to as. Uratował ją Jack Braun. Sam by zginął, gdybym mu nie pomógł.

– Widziałem fragmenty w telewizji. Wygląd faceta, z którym walczył Braun, zgadza się z rysopisem Mackiego Majchra przedstawionym przez Kopacza.

– To chyba ten sam człowiek – przyznał Hiram. – To oczywiście nie dowodzi, że faktycznie pracuje dla Gregga, ale... – Westchnął przeciągle z rezygnacją, jak człowiek zmuszony do zaakceptowania czegoś, czego nie jest w stanie przełknąć. – Pewnie muszę potraktować to wszystko poważnie. Niech i tak będzie. – Na moment wrócił dawny Hiram, pewny siebie i zdeterminowany. – Zaprowadzę cię do doktora Tachiona. On będzie mógł wykonać niezbędną próbę krwi, a jeśli okaże się to konieczne, wniknie do umysłu Hartmanna i pozna prawdę, jakkolwiek mogłaby ona wyglądać.

Palce jego leżącej na blacie dłoni otwierały się i zamykały, otwierały i zamykały. Spojrzał na swoją rękę, skrzywił się i nakazał palcom się rozluźnić.

– Stawka jest bardzo wysoka – stwierdził. – Jay, pomyśl o wszystkich ludziach, którzy ucierpią, jeśli się mylimy.

– A co, jeśli mamy rację? – zapytał cicho detektyw.

Hiram zapadł się w siebie.

– Jeśli mamy rację, niech Bóg nam wszystkim pomoże.



– Czy widziałeś kiedyś coś takiego? – zapytał Brennan Trójnoga, kładąc przed nim na barze tajemniczą kartkę, ostrożnie, by nie zmoczył jej mokry ślad po piwie dzokera.

Trójnóg pochylił się nad barem, żeby lepiej się przyjrzeć, a potem potrząsnął głową.

– Nie.

– To świetnie.

W Piwnicy Pluskacza nadal było pełno gości, którzy przyszli na obiad. Sam Pluskacz spokojnie pływał sobie w akwarium. Pomachał do Brennana długą, bezkostną ręką i zawołał przenikliwym, gwizdzącym głosem:

– Hej, dryblasie, dawno się nie widzieliśmy! Co to za laleczka?

– Moja przyjaciółka – odparł Yeoman, zerkając na Jennifer.

– Hej – rzekł Pluskacz. – Szkoda, że wszyscy nie mamy takiego farta. – Mrugnął wielkim okiem i uśmiechnął się lubieżnie. – Moi przyjaciele piją za darmo – polecił barmanowi.

– Dziękuję – powiedział Brennan. – Wezmę piwo – dodał, przypomniawszy sobie jakość miejscowej whisky.

Bezusty barman wpatrywał się nieruchomo w niego i w Jennifer.

– Białe wino – dodała kobieta. Barman nie przestawał się gapić. – Hmm, w takim razie też wezmę piwo.

– Proszę bardzo – wychrypiał barman przez mały otwór wycięty u podstawy szyi.

– Znajdźmy stolik, przy którym będziemy mogli swobodnie rozmawiać – rzekł swym towarzyszom Brennan.

Zaczekał, aż barman poda piwo, podziękował mu skinieniem głowy, a potem poprowadził Jennifer i Trójnoga przez tłum ku małemu, izolowanemu stolikowi w rogu. Postawił kufle na blacie. Trójnóg

pociągnął długi łyk przez słomkę.

– Gdzie pan znalazł tę kartkę, panie Y.? – zapytał dzoker. Brennan opowiedział mu wszystko w przerwach między łykami piwa. Trójnóg potrząsnął głową. – Nie mam pojęcia, co o tym sądzić.

– Ja też – przyznał Brennan. – To oczywiście, że ktoś nas obserwuje. Ale kto?

– Poza Leniwym Smokiem? – zapytał Trójnóg.

Yeoman skinął głową.

– On z pewnością nie zostawia liścików. Obserwuje nas dla Znikacza.

– W porządku – powiedział dzoker. – Będę miał na to oko. Jakies inne tropy?

– Wyliminowaliśmy Maczugę, Kuriozum i Żmija – odparł Brennan.

– Doug Morkle i Quasiczłowiek wydają się mało prawdopodobni. Ale nadal mamy dwa problemy. Dwa szczegóły, których nie potrafimy wyjaśnić.

– Kant – odezwała się Jennifer. – Sprawdzał Ezili Rouge i powiedział, że jest czysta. To nie zgadza się z tym, co nam powiedziałaś.

– To prawda – potwierdził Yeoman. – I jeszcze Sascha. Nadal się nie odnalazł. Z pewnością wie o morderstwie więcej, niż powiedział nam wtedy u swojej matki.

– I jego też coś łączy z Ezili – dodała Jennifer.

– Zgadza się.

– Kanta nie powinno być trudno znaleźć. Zadzwoń do Fortu Cudaków, żeby się dowiedzieć, gdzie jest. – Po niespełna minucie Jennifer wróciła od telefonu i usiadła na krześle, potrząsając głową. – Nie zjawił się dziś rano w pracy. Nikt na komisariacie nie wie, gdzie może być.

– Bingo – powiedział Trójnóg.

Brennan wstał, uśmiechając się złowieszczo.

– Mam nadzieję, że zdołamy go znaleźć, zanim on również zniknie.

– Spróbujcie w Cudakach – zasugerował Trójnóg. – To jego ulubiony lokal. Ja pokręcę się po ulicach. Ktoś na pewno będzie wiedział, gdzie go znaleźć.

– W porządku. – Yeoman wstał i spojrział na Jennifer. – Zaczekasz na niego w Cudakach. Nie podchodź do niego, jeśli się zjawi. Po prostu go obserwuj. Ja spróbuję szczęścia z matką Saschy. Może wie, gdzie jest jej syn. Jeśli nie będzie chciała mówić, pewnie poproszę o pomoc Ojca Kałamarnicę. Może i nie jest prawosławnym popem, ale zawsze to duchowny.

Wszyscy ruszyli ku wyjściu. Pluskacz wyłonił się z akwarium i zatrzymał ich przenikliwym gwizdem.

– Hej, kolego – zawołał do Brennana. – Masz coś, co mógłbym umieścić na ścianie celebrytów?

Wskazał na fragment ściany w pobliżu akwarium. Brennan wcześniej go nie zauważył. Przypięto tam zdumiewającą ilość rozmaitego śmiecia, takiego jak podpisane przez Tachiona zdjęcie, na którym uśmiechający się z niesmakiem Takizjanin stał przy akwarium Pluskacza, a długa, bezkostna ręka dzokera obejmowała jego ramiona, koronkowa chusteczka zabrudzona zielonym śluzem oraz figi bez kroku z miejscami na dwa kroki.

Yeoman wyjął z kieszeni asa pik.

– Może być to?

– Jasne – zgodził się właściciel lokalu. – Czy mógłbyś na nim napisać: „Dla mojego dobrego kumpla Pluskacza”?

15:00

Jay usłyszał dobiegające zza drzwi krzyki.

– Może powinniśmy przyjść później? – zapytał słabym głosem Hiram.
– Nie sądzę, żeby to była odpowiednia chwila.

– Żadna chwila nie jest odpowiednia na taki syf – odpowiedział detektyw i zapukał głośno. Wewnątrz zapadła cisza. Po chwili drzwi apartamentu gwałtownie się otworzyły. Doktor Tachion obrzucił ich spojrzeniem sugerującym, że są ostatnimi na świecie ludźmi, których pragnąłby w tej chwili zobaczyć. Niski kosmita był zmęczony

i rozchełstany. Miał podrapane policzki i opuchniętą wargę. Przez długą chwilę gapił się na nich bez słowa. Potem odsunął się na bok i pozwolił im wejść.

Hiram przeszedł ciężkim krokiem na drugi koniec pokoju, odsunął zasłony i wlepił niewidzące spojrzenie w upalną Atlantę. Nastoletni chłopak o porażająco jaskrawych rudych włosach gapił się z zainteresowaniem na Jaya. Ackroyd usiadł na kanapie i postawił torbę z płaszczem na kolanach. Nikt nie chciał zacząć rozmowy, więc sam musiał to zrobić.

- Przegoń stąd dzieciaka.
- Hej! - sprzeciwił się chłopak.
- Blaise, zostaw nas.
- Myślałem, że utraciłem to prawo.
- Wyjdz, do licha!
- Cholera, akurat kiedy zaczęło się dziać coś ciekawego! - Blaise uniósł ręce, kierując je wewnątrz do przodu. - Hej, nie ma sprawy. Już sobie idę.

Drzwi zamknęły się za nim z trzaskiem i znowu zapadła cisza. Podenerwowany Tachion wyciągnął rękę.

- Hiram, co to jest, do cholery?
- Doktorze, musisz zrobić próbę krwi - odpowiedział mu Ackroyd. - Natychmiast.

Takizjanin uśmiechnął się drwiąco, zataczając ręką krąg.

- Słucham? Tutaj?

Detektyw skrzywił się z niezadowoleniem.

- Nie udawaj głupiego. Jestem zbyt zmęczony i za bardzo mnie boli, żeby mieć ochotę na takie zabawy. - Otworzył torbę i wyjął z niej strój, z powodu którego przelano tak wiele krwi. - To jest marynarka, którą senator Hartmann nosił w Syrii.

Tachion gapił się na czarną plamę na tkaninie, jakby miała z niej zeskoczyć i go pożreć.

- Skąd to macie?

- To długa historia i żaden z nas nie ma na nią czasu - odparł

z westchnieniem Ackroyd. – Powiem tylko, że dostałem ją od Poczwaraki. To było... hmm... coś w rodzaju spadku.

Tachion odchrząknął nerwowo.

– A co twoim zdaniem mogę tam znaleźć?

– Ksenowirusa Takis-A.

Poruszając się jak zombie, kosmita podszedł do serwantki, napełnił sobie kieliszek i szybko przełknął trunk. Jay też chętnie by się napił, ale nikt go nie poczęstował.

– Widzę marynarkę – stwierdził Takizjanin. – Każdy może kupić sobie taki strój i zanieczyścić go krwią zarażoną wirusem.

– Ja też tak pomyślałem – odezwał się wreszcie Hiram. – Ale on przeszedł zbyt wiele. Szlak wiodący z Syrii do tego pokoju został wysledzony. To marynarka sena... Hartmanna.

Tachion obrócił się powoli ku niemu.

– Czy chcesz, żebym to zrobił?

– A czy mamy wybór?

– To prawda. Zapewne nie mamy.

16:00

Pani Starfin przyjęła go z chłodną uprzejmością. Poczęstowała go herbatą, ale nie przekazała mu żadnych informacji o zaginionym synu. Gdy Brennan zamierzał już wyjść, zadzwonił telefon. Pani Starfin podnosiła słuchawkę i skinęła na gościa.

– Do pana.

To był Trójnóg.

– Yeoman, mam coś dla ciebie – oznajmił.

– Co to takiego?

Głos dzokera zabrzmiał ostrzej niż zwykle.

– To nie na telefon. Spotkajmy się na przystani dla jachtów przy Beaumont, na południowym brzegu Sheepshead Bay.

– W porządku – zgodził się Brennen. – Do zobaczenia.

Odłożył słuchawkę i pożegnał się z panią Starfin, która nie wyglądała na zmartwioną z powodu jego odejścia. Brennan nie mógł zapomnieć tonu głosu Trójnoga. Brzmiał on tak, jakby dzoker odkrył coś paskudnego. Może ciało Saschy? – pomyślał. To by tłumaczyło, dlaczego nie chciał rozmawiać o swym odkryciu przez telefon.

Przystań Beaumont była nowa i raczej wysokiej klasy. Wszystkie cumujące tu statki były jachtami należącymi do bogaczy, a nie łódkami niedzielnych żeglarzy. Brennan włączył się po przystani przez kilka minut, nim wreszcie zauważył Trójnoga. Dzoker stał sam na końcu kei, spoglądając na zatokę. Yeoman podbiegł do niego.

– Co się stało? – zapytał.

Dzoker zwrócił się ku niemu.

– Przepraszam, panie Y. – rzekł. – Zmusili mnie, żebym do pana zadzwonił.

Wskazał głową na jacht cumujący przy ostatnim stanowisku. To była smukła, dwusilnikowa jednostka. Na jej burcie wypisano nazwę „Azjatycka Księżniczka”. Na pokładzie stał Żmij rozciągający gądką twarz w odsłaniającym liczne zęby uśmiechu. Towarzyszyły mu dwie Niepokalane Czaple oraz potężnie zbudowany dzoker. Ten ostatni nogi miał normalne, choć dość grube, ale rozdawał się od pasa w górę – dwa tułowia, dwie pary rąk i dwie głowy.

Brennan pomyślał, że skądś go zna. Po chwili uświadomił sobie, że widział go u Pluskacza. Z pewnością to on zakablował Trójnoga przez Żmijem.

– Tu jest – odezwała się z satysfakcją jedna z głów. – Mówiłem ci, że przyjdzie.

– Miałeś rację, Rick – przyznał Żmij, nie przestając się uśmiechać.

– Jestem Mick – poprawiła go głowa. – To jest Rick – dodał, wskazując kciukiem na drugą. – On nie chciał tego zrobić.

– Właśnie, że chciałem – sprzeciwiła się druga głowa.

– Nieprawda. Bałeś się.

– Wcale się nie bałem.

– Bałeś...

– Ssstarczy – odezwał się głośno Żmij, przerywając kłótnię. – Proszę. Wyciągnął zwitek banknotów. Ręka należąca do Micka złapała je szybciej.

– To moje! – zaprotestował Rick.

– Moje też – odparł Mick. – Pomogłem bić bezrękiego dziwołaga!

– Dośść tego! – zawołał Żmij. Jego dobry humor szybko przerodził się w irytację.

– Zawsssstydzileśśś mnie przed Sssiu Ma – oznajmił Brennanowi – Nadszedł czasss zapłaty. Wsssiadaj na pokład, dobra? Ty też – dodał, zwracając się do Trójnoga.

Czapple wyciągnęły pistolety, więc Brennan nie zamierzał sprzeciwiać się Żmijowi. Podtrzymał Trójnoga, gdy dzoker wszedł na łagodnie kołyszający się pokład, a następnie podążył za nim.

– Czego chcesz? – zapytał starego wroga Brennan.

Oczy Żmija znowu rozbłyły radością.

– To będą zawody pływackie. Przekonamy sssię, czy przepłyniesz Sheepssshead Bay z takim obciążeniem. – Wskazał na parę łańcuchów, do których przytwierdzono ciężarki. Następnie zwrócił się ku Czaplom.
– Zwiążcie ich.

Gangsterzy zrobili to szybko i sprawnie. Żmij osłaniał ich, trzymając w dłoni pistolet, a Rick i Mick przekomarzali się ze sobą. Gdy obu jeńców odpowiednio związano, Żmij kazał Czaplom zanieść ich na dół, a sam podszedł do konsoli sterowniczej, by wyprowadzić jacht na głębokie wody. Rick i Mick poszli odwiązać cumę.

– Przepraszam – powtórzył Trójnóg, gdy wepchnęli ich do kajuty. Ręce i nogi Yeomana oraz dzokera były związane sznurem, ale na razie nieobciążone łańcuchami.

Brennan wzruszył ramionami.

– Nie miałeś wyjścia.

Wystrój kajuty był luksusowy i kosztowny – piękna kanapa, gruba wykładzina dywanowa oraz barek.

– Może tak byśmy się napili? – zasugerował Brennan, gdy Żmij włączył silniki i „Azjatycka Księżniczka” odbiła od przystani. Jeden z gangsterów

roześmiał się głośno.

– Lepiej nie pić, zanim się wpadnie do wody – oznajmił. – Skurcze żołądka. Ale z drugiej strony ja nie będę dziś pływał.

Brennan zwrócił się w stronę Trójnoga.

– Pewnie ma rację – stwierdził. – Na łódce ostrożność nigdy nie zawadzi.

Zamachnął się związanymi rękami na stojącego bliżej gangstera i trafił go w szyję, miążdząc mu tchawicę. Dławiący się mężczyzna runął na pokład. Drugi błyskawicznie się odwrócił i sięgnął po pistolet, który wcześniej odłożył na bok, by nalać szkockiej.

Yeoman dowlóknął się do niego i walnął go całym ciałem w bark. Obaj mężczyźni się przewrócili. Gangster otworzył usta, by wezwać pomoc, ale Trójnóg zwałił mu się na głowę, tłumiąc jego krzyki.

Brennan złapał niezgrabnie pistolet Czaplí w obie dłonie i przystawił mu go do piersi. Nacisnął spust. Gangster szarpnął się jeden raz i znieruchomiał.

Drugi czołgał się przez kajutę i popiskiwał załóżnie, próbując zaczerpnąć tchu. Brennan dogonił go i walnął w głowę kolbą pistoletu, nie chcąc ryzykować następnego strzału, który mógłby zaalarmować pozostałych przebywających na pokładzie. Trójnóg wciągnął głęboko powietrze w płuca.

– Wiedziałem, że nas z tego wyciągniesz – stwierdził z ulgą w głosie.

– Jeszcze nie wyciągnąłem – ostrzegł go Yeoman.

Trójnóg przetoczył się ku niemu, do miejsca, w którym siedział na podłodze, wsparty o wygodną kanapę.

– Za minutkę będziemy wolni.

Dżoker zdążył już uwolnić zwinną trzecią stopę i szybko rozsypał więzy Brennana, który odwdzieczył mu się tym samym.

– I co zrobimy teraz? – zapytał Trójnóg.

– Może tak spróbowałibyśmy swych sił w piractwie?

Zakradli się na pokład. Żmij stał za sterem. Rick i Mick kłócili się ze sobą.

– Jeśli Rick twierdzi, że usłyszał na dole jakiś hałas, to powinniście to

sprawdzić – powiedział z irytacją gadopodobny dzoker.

– Nie ma potrzeby – oznajmił Brennan.

Odwrócili się zaskoczeni i zobaczyli, że Yeoman stoi na pokładzie, celując w nich z pistoletu. Żmij syknął ze złości i frustracji. Rick i Mick popatrzyli na siebie nawzajem.

– Mówiłem ci, że nie powinniśmy się w to mieszać – odezwał się Mick. Rick choć raz mu nie odpowiedział.

Brennan rozejrzał się wkoło, oceniając pozycję jachtu. Zbliżali się do środka zatok, gdzie nie było innych łodzi.

– Pora na zawody pływackie – oznajmił i skinął pistoletem, nakazując Żmijowi oddalić się od steru. Dzoker zawahał się na moment, ale w końcu go posłuchał.

– Masz szczęście – oznajmił twardym głosem Yeoman. – Postanowiłem darować sobie łańcuchy. Skacz.

Żmij sprawiał wrażenie, że chce coś powiedzieć, powstrzymał się jednak i skoczył bez słowa do wody.

Brennan zwrócił się ku Rickowi i Mickowi.

– Hej – sprzeciwił się Mick. – Ja nie chciałem mieć z tym nic wspólnego.

– Niestety, obracasz się w niewłaściwym towarzystwie – skwitował Yeoman.

– To prawda. Rick wywiera na mnie zły wpływ.

– Skacz albo giń – odparł Brennan. – Dla mnie to bez różnicy.

Rick i Mick wymienili spojrzenia, skinęli głowami, wyskoczyli przez burtę i wpadli do wody z głośnym pluskiem.

Z ust Trójnoga wyrwało się głębokie westchnienie ulgi.

– Wie pan co, panie Y.? Chyba wyjadę na wakacje.

– Tak byłoby najlepiej – zgodził się Brennan. – Znasz kogoś, kto kupuje jachty?

Dzoker wyraźnie poweselał.

– Jest taki facet w Jersey...

18:00

Był sto razy bardziej skomplikowany niż płatek śniegu, delikatny jak najkunsztowniejsze koronki, jak kwiat z lodu. Jay przez długi czas gapił się na ekran mikroskopu elektronowego.

– Jezu – rzekł wreszcie, wypuszczając powietrze z płuc. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że wstrzymuje oddech. – On jest piękny.

Tachion odgarnął opadające mu na czoło długie, rude włosy.

– Pewnie masz rację. Jako Takizjanie musieliśmy stworzyć wirusa zgodnego z naszymi estetycznymi ideałami.

Obrócił się na laboratoryjnym stołku.

– Ackroyd! – zawołał nagle.

Jay odwrócił się w tej samej chwili, gdy Hiram zaczął się osuwać na ziemię. Złapał go za jedno ramię, a Takizjanin za drugie, ale ciężar grubasa pociągnął ich za sobą i wszyscy trzej upadli z łoskotem na podłogę. Masywny as przesunął dłonią przed oczami.

– Przepraszam – mruknął. – To chyba było chwilowe omdlenie.

Tachion otworzył manierkę i Worchester chciwie upił łyk trunku. Detektyw nagle uświadomił sobie, że on również jest bardzo spragniony.

– Hej, mogę też sobie łyknąć? Mam za sobą ciężki tydzień.

Tach bez słowa wręczył mu naczynie i Jay pociągnął łyk. Brandy. No cóż, lepsze to niż nic.

– Nie może być wątpliwości? – zapytał Hiram.

– Najmniejszych.

– Ale nawet jeśli jest asem... to jeszcze niczego nie dowodzi. Musiałby być szalony, by się przyznać, że ma wirusa. Może jest tylko nosicielem.

Tachion wbił spojrzenie w sufit. Sprawiał wrażenie zagubionego. Jay po chwili przerwał ciszę.

– I co teraz zrobimy?

– Bardzo celne pytanie – odparł Tachion.

– To znaczy, że nie wiesz?

– Wbrew powszechnej opinii nie znam odpowiedzi na wszystkie

pytania.

– Potrzebujemy więcej dowodów – stwierdził Hiram, podnosząc się z wysiłkiem.

Ackroyd wskazał kciukiem za siebie, na ekran nowoczesnego mikroskopu.

– Jakich jeszcze dowodów potrzebujesz?

– Nie mamy pewności, że zrobił coś złego!

– Kazał zabić Poczwarkę! – zawołał detektyw, podnosząc się i spoglądając grubasowi prosto w oczy.

– Żądam dowodów na to, że popełnił jakiegokolwiek przestępstwo!

Hiram walnął zaciśniętą pięścią w otwartą dłoń.

– To jest dowód! – krzyknął Ackroyd, ponownie wskazując na ekran.

– Przestańcie! Przestańcie! – zawołał Tachion.

Hiram zacisnął dłonie na jego ramionach.

– Idź do niego. Porozmawiaj z nim. Może istnieje jakieś logiczne wytłumaczenie. Pomyśl, ile zrobił dobrego...

– No jasne – rzucił Jay z całym sarkazmem, na jaki było go stać. Miał już po dziurki w nosie słuchania o świętym Greggu. Pociągnął kolejny łyk brandy.

– Pomyśl, ile możemy stracić – zawołał Hiram. Jego niewinność czasami bywała nieznośna.

– Po prostu okłamię Tachiona – stwierdził detektyw. – Co nam to da?

– Nie może mnie okłamać – oznajmił z namaszczeniem Takizjanin. Grubas zdjął ręce z jego ramion i cofnął się o krok. Tach wyprostował się, jakby próbował udawać wysokiego. Nie wyszło mu to zbyt dobrze. – Wiecie, co zrobię, jeśli do niego pójde. Czy zaakceptujesz prawdę, jeśli wyczytam ją z jego myśli? – zapytał Worchestera.

Ten powoli skinął głową.

– Tak.

– Nawet jeśli żaden sąd nie uzna tego dowodu?

– Tak.

Kosmita zwrócił się tanecznym krokiem w stronę Jaya.

– A ty, Ackroyd, zabierz stąd tę marynarkę i zniszcz ją.

Przez umysł Jaya przemknęły wizje całego syfu, przez jaki musiał przejść, by zdobyć marynarkę.

– Hej, to nasz jedyny dowód! – sprzeciwił się.

– Dowód? Naprawdę chcesz, żebyśmy to upublicznili? Zastanów się... To mogłoby oznaczać katastrofę dla wszystkich dzikich kart w Ameryce.

– On zabił Poczwarke! – upierał się Ackroyd. – Jeśli go nie przyszpilimy, wrobia w to Elma!

Tego już było za wiele dla kosmity. Nagle zaczął szarpać się za włosy z gwałtownością niebezpiecznie przypominającą histeryczny szal.

– A niech cię, a niech cię, a niech cię!

– Posłuchaj, to nie moja wina – odezwał się detektyw, bojąc się, że Tach zaraz zaleje się łzami. – Ale prędzej mnie diabli wezmą, niż zgodzę się na jakąś oszukańczą znowę, która pozwoli mordercy Poczwarce uniknąć kary.

– Przysięgam na swój honor i krew, że nie dopuszczę, by Elmo ucierpiał.

– Tak? A co właściwie zrobisz w tej sprawie?

– Jeszcze nie wiem!

Tachion wyłączył mikroskop elektronowy, naciskając gwałtownie guzik, zaniósł szkiełko do zlewu i spłukał z niego stanowiące obciążający dowód skrawki tkaniny. Następnie ruszył ku drzwiom. Restaurator szedł tuż za nim, ale Takizjanin go powstrzymał.

– Nie, Hiram. Muszę to zrobić sam.

– A jeśli kazał chłopakowi-pile mechanicznej poczekać tam na ciebie? – zgłosił swoje obiekcje Jay.

– Muszę podjąć to ryzyko.

19:00

– Wszystko to tylko kwestia cierpliwości – oznajmił z przygnębieniem Brennan.

Chyba dziesiąty raz w ciągu ostatniej godziny jeden z gości Cudaków

okrążył ich stolik, przyglądając się z uwagą Yeomanowi i Jennifer. I chyba dziesiąty raz Brennan wlepił w intruza zimne spojrzenie, skłaniając go do pośpiesznego odwrotu.

– Ale zaczyna mi jej brakować – dodał przez zaciśnięte zęby.

Dotarł do Cudaków przed mniej więcej godziną i opowiedział Jennifer o swych morskich przygodach oraz o rozsądnej decyzji Trójnoga, który postanowił wyjechać na Florydę i poczekać, aż sytuacja się uspokoi. Dżoker mógł sobie z łatwością na to pozwolić, ponieważ jego handlujący łodziami kumpel dał im niezłą sumę za „Azjatycką Księżniczkę” Kiena. Podzielili się forszą pół na pół.

Do stolika podeszła kelnerka z głową meduzy porośniętą wijącymi się, ślepyimi robakami.

– Czekamy na kogoś – oznajmił Yeoman.

– Na kogoś konkretnego czy wystarczy wam ktokolwiek? – zapytała z uśmiechem.

Brennan zazgrzytał zębami. Chciał jej odpowiedzieć, ale powstrzymał się i złapał Jennifer za ramię, wskazując głową w stronę baru.

– Proszę. – Dał dziewczynie dwadzieścia dolarów, nie spoglądając na nią. – Niech pani zostawi nas w spokoju.

Wzięła banknot i włożyła go między obfite piersi, po czym ruszyła do następnych stolików.

– To on – wyszeptła Jennifer.

Yeoman skinął głową.

– Zaczekaj tutaj.

Kant stał przy barze. Nawet z daleka można było zauważyć, że jest bardzo wzburzony. Wypytywał o coś jednego z barmanów, gdy Brennan zbliżył się cicho od tyłu. Barman potrząsał głową.

– Nie było jej tu od paru dni.

Ubranie Kanta było wymięte, od niego samego zaś bił wyraźny gadzi odór.

Siedząca przy barze kobieta zwróciła się ku niemu. Jej twarz zasłaniała tania, błyszcząca maska.

– Chyba bardzo tego potrzebujesz, kochanie.

Gliniarz popatrzył na nią. Oddychał chrapliwie, a oczy miał przekrwione.

– Pocałuję cię, mój drogi – zapewniła kobieta. – W co tylko zechcesz.

Kant wydał z siebie dziwne warknięcie i uderzył ją na odlew, tak mocno, że aż spadła ze stołka. Patrzyła na niego z przerażeniem, gdy spoglądał na nią z góry, groźnie, niczym szaleniec.

– Nie potrzebuję syfiastej kurwy! – wrzasnął. Walnął pięścią w kontuar, a potem otrząsnął się jak mokry pies. Z wielkim wysiłkiem zapanował nad sobą i wysyczał: – Potrzebuję pocałunku!

Błyskawicznie się odwrócił i omal nie stratował Brennana po drodze do drzwi. Nikt nie próbował go powstrzymać. Yeoman odwrócił się, by skinąć na Jennifer, ale zauważył, że kobieta jest już u jego boku.

– Chodźmy – rzekł i wyjął z jej rąk futerał z łukiem.

Nigdy nie spotkał nikogo, kogo łatwiej byłoby śledzić. Kant zostawiał za sobą ślad z oburzonych przechodniów, których bezwiednie odpychał na boki. Najtrudniejszym zadaniem było dotrzymanie mu kroku. Gliniarz może nie do końca biegł, ale poruszał się szybko jak ktoś, kto musi natychmiast znaleźć łazienkę.

Podążali za nim przez kilka dobrych przecznic, aż wreszcie dotarli do obskurnej, czteropiętrowej kamienicy. Wyglądała na solidną i funkcjonalną, ale bez aspiracji do elegancji czy bezpieczeństwa. Kant wszedł do środka. Po chwili Brennan i Jennifer ruszyli za nim. Usłyszeli, jak wchodzi na górę, i po chwili już szli w spokojniejszym tempie. Po drodze nikogo nie spotkali.

Oboje dotarli na szczyt akurat na czas, by wyjrzeć zza klatki schodowej i zobaczyć, jak gliniarz wyjmuje klucz z kieszeni i wkłada go do zamka. Wszedł do środka i zatrzasnął drzwi za sobą tak mocno, że aż zatrząśły się we framudze.

– Totalnie mu odbiło – wyszeptał Brennan. Jennifer skinęła głową. – Sprawdźmy dłaczego.

Otworzył futerał i wyjął pistolet pneumatyczny z długą lufą, wciśnięty do środka razem z łukiem. Załadował go strzałkami usypiającymi. Nie chciał zrobić dzokerowi krzywdy, zależało mu też na tym, by był on

w stanie odpowiadać na pytania.

Ruszyli wzdłuż korytarza i zatrzymali się przed drzwiami. Kant trzasnął nimi tak mocno, że odbiły się, zamiast się zatrzasnąć, i teraz były nieco uchylone. Yeoman skinął głową do Jennifer, która przesłała mu całusa, a potem pochylił się nisko, odrzucił futerał z łukiem i wpadł do środka.

Wystrój salonu z pewnością był kosztowny, ale nie odpowiadał gustowi Brennana. Było tu jasno, pod sufitem paliły się liczne żarówki, a ogrzewanie podkreślono na maksa, mimo że było lato. Meble z chromowanego metalu obito lśniąca skórą. Przez umysł Yeomana przemknęła wizja jaszczurki wygrzewającej się w promieniach słońca na gładkiej skalnej powierzchni.

W pokoju było pusto. Brennan zamknął za sobą drzwi. Jennifer przeniknęła przez ścianę i dołączyła do niego. Panującą wewnątrz ciszę przesycalo napięcie, jakby gdzieś czała się rozgniewana bestia.

Yeoman wskazał na korytarz prowadzący do środka mieszkania. Jennifer skinęła głową. Ruszył naprzód, mijając wnękę kuchenną, która również była pusta, a następnie wnękową szafę. Jej drzwi przesuwne były na wpół otwarte. Brennan zajrzał do środka, by się upewnić, że nie ukrywa się tam szalony dzokerski gliniarz. Nie ukrywał się. Yeoman przeszedł do drzwi sypialni, nasłuchiwał przez chwilę, a potem zajrzał ostrożnie do środka.

Prawie cały pokój zajmowało wielkie łóżko wodne z baldachimem. Na baldachimie i na wezłowie umieszczono lustro. Pod ścianą naprzeciwko łóżka stał wielkoekranowy telewizor. Obok niego znajdowało się coś, co wyglądało jak dziecinny brodzik wypełniony piaskiem. Skierowano na niego dwie lampy kwarcowe. W nim leżał Kant. Był nagi i miał zamknięte oczy. Tarzał się w piasku, mamrocząc na głos, jakby chciał się w ten sposób wytrzeć do czysta.

– Kant – odezwał się cicho Brennan.

Dzoker powoli się odwrócił. Jego twarz była nieruchomą maską obłędu. U podstawy szyi miał paskudny, sączący się wrzód. Gapił się na Yeomana, poruszając bezgłośnie ustami, aż wreszcie skoczył na niego z krzykiem, wyciągając przed siebie ręce i wysuwając pazury.

Yeoman strzelił do niego ze spokojem.

Wyposażona w lotkę strzałka przeszła ze świstem powietrze, uderzył w nagą pierś Kanta i odbiła się od twardych łusek.

Niech to szlag, pomyślał Brennan. Potem maniak znowu się na niego rzucił.



– Tak bardzo blisko – stwierdził Hiram. Westchnął głośno, wstał z kanapy i podszedł do barku, żeby zrobić sobie drinka. Przebywali w apartamencie Tachiona w Marriotcie. Czekali na powrót gospodarza, oglądając transmisję telewizyjną z konwencji.

– Stanowczo za blisko, jeśli mnie o to pytasz – mruknął Jay. W sali konferencyjnej Omni właśnie zakończyło się kolejne nierozstrzygające głosowanie. Fala współczucia dała Hartmannowi tysiąc dziewięćset pięćdziesiąt sześć głosów, podczas gdy do zdobycia przewagi potrzebne było dwa tysiące osiemdziesiąt dwa. Poparcie dla Jacksona i Dukakisa spadło, a małeńki ruch chcący nominować niekandydującego oficjalnie Cuomo zniknął całkowicie. Tylko siły Barnetta trzymały się mocno.

Setki zwolenników Hartmanna, czujących, że zwycięstwo jest w zasięgu ręki, tańczyły w przejściach, wymachując złoto-zielonymi transparentami i skandując: „Hart-mann, Hart-mann!”. Wreszcie prowadzący obrady musiał posłużyć się młotkiem, by przywrócić spokój. Sala konferencyjna zmieniła się w morze zieleni i złota otaczające nieustępliwe wyspy czerwieni Jacksona, błękitu Dukakisa i bieli Barnetta.

David Brinkley przewidział, że w następnym głosowaniu Hartmann zdobędzie większość, lecz nagle jeden z ludzi Ognioustego wstał i zgłosił wniosek o zawieszenie zasad, by „pozwolić wielebnemu Leo Barnettowi przemówić do delegatów”. Połowa obecnych w sali ludzi zerwała się nagle na nogi, krzycząc w stronę podium. Kanapa zaskrzypiała na znak protestu, gdy Hiram Worchester usiadł na niej ciężko.

– Niech go szlag – wysapał restaurator. – To dobre posunięcie. Nie

wpuszczą Barnetta na mównicę, ale będziemy musieli odrzucić ten wniosek, a to będzie wymagało czasu i może wyhamować nasz impet.

– Nasz? – zapytał Jay, spoglądając na niego z ukosa.

Hiram skrzywił się i podrapał po szyi pod kołnierzykiem.

– Dopóki nie zdobędziemy dowodu na to, że Gregg rzeczywiście jest potworem, tak jak twierdzisz, pozostaję jego delegatem. – Zerknął na zegarek. – Co tak długo zatrzymuje Tachiona?

Może Mackie Majcher wycina jego wątrobę, pomyślał Jay, ale nie powiedział tego na głos. Restaurator i tak był już w kiepskim stanie. Detektyw zastanawiał się nad tym, jak powinien wyglądać ich następny ruch, jeśli Takizjanin nie wróci z konfrontacji z Hartmannem. A co, jeśli wróci i powie, że Gregg jest niewinny? Hiramowi by to wystarczyło, ale Jay miał bardziej podejrzliwą naturę. Czy może asa, jakimi dysponował Gregg, mogą się okazać wystarczająco potężne, by nawet Tachiona nagiąć do jego woli? Detektyw nie sądził, aby tak było, ale nieraz już się mylił. Cieszył się, że zignorował radę Takizjanina w sprawie marynarki. Ciuch tkwił bezpiecznie w jego torbie schowanej w szafie.

Na ekranie ludzie Hartmanna zgłosili wniosek o głosowanie przez aklamację. Zwolennicy Barnetta sprzeciwili się, domagając się głosowania imiennego. Jeden z delegatów Hartmanna wnioskuje o głosowanie przez aklamację w sprawie wniosku o głosowanie imienne. Przewodniczący zarządził przerwę, by skonsultować się ze specjalistą do spraw proceduralnych.

Jay wstał i zmienił kanał. Inne stacje nadawały to samo co CNN, w końcu jednak znalazł stary film na superstacji Teda Turnera. Niestety, był koloryzowany i Cary Grant miał w nim osobliwy, różowy odcień. Detektyw nie zmienił jednak kanału. To poirytowało Worchestera.

– Cholera, Rzutnik. Przełącz z powrotem na konwencję.

– Nie zwracaj mi głowy, Hiram – odpowiedział Jay. – Kłóć się o to, czy powinni głosować nad tym, jak głosować nad tym, czy pozwolić jakiemuś facetowi przemówić.

– Tak – warknął restaurator. – To może mieć kluczowe znaczenie. Jeśli tak bardzo chcesz zobaczyć *Niewidzialne małżeństwo*, kupię ci kasetę wideo. George Kerby nigdy tak nie wyglądał, ani za życia, ani po śmierci.

– Co powiedziałeś? – zapytał ostro Ackroyd.

– Powiedziałem, że George Kerby nigdy...

– Cholera! – warknął Jay. – Niech to szlag.

– Co się stało? – zapytał Hiram, podnosząc się ociężale. – Dobrze się czujesz, Jay?

– Niedobrze – odparł detektyw. – Jestem głupi jak but. George Kerby. Cholerny George Kerby. Zamachowiec, Hiram! Poczwarzka pozwoliła sobie na żart. Bilet lotniczy wystawiono na nazwisko George Kerby.

Hiram Worchester z pewnością nie był głupi.

– Bilety wykupione dla ducha – mruknął.

– Tak, dla ducha – zgodził się Ackroyd. – Dla kogoś, kto wrócił zza grobu.

– James Spector? – zapytał Hiram.

– Tak jest. I on, i Kerby powstali z martwych – potwierdził Jay. – Wynajęła tego skurwysyna, Zgon.

Restaurator wiedział, do czego zdolny jest Zgon.

– Musimy ich zawiadomić – stwierdził. Przeszedł na drugą stronę pokoju, sięgnął po telefon i wybrał numer centrali. – Proszę mnie połączyć z Secret Service.

Drzwi się otworzyły. Doktor Tachion wszedł cicho do środka. Głowę miał pochyloną. Restaurator patrzył na niego przerażony. Na moment zapomniał o słuchawce, którą trzymał w dłoni.

– To... to nieprawda, tak? – zapytał grubas z desperacją. – Powiedz mi, że to wszystko to jakaś okropna pomyłka. Gregg nie może być...

Tachion skierował na niego spojrzenie liliowych oczu.

– Hiramie – rzekł. – Mój biedny, nieszczęsny Hiramie. Widziałem jego umysł. Dotknąłem Lalkarza. – Niski mężczyzna zadrżał. – Jest tysiąc razy gorzej, niż moglibyśmy sobie wyobrazić.

Tach usiadł na dywanie, schował twarz w dłoniach i zalał się łzami.

Hiram gapił się na niego z rozdziawionymi ustami. Jay nigdy dotąd nie widział, by jego przyjaciel wydawał się tak bardzo znużony, tak bardzo pokonany, tak bardzo gruby. Worchester odsunął słuchawkę od ucha i wpatrzył się w nią, jakby nigdy w życiu nie widział czegoś podobnego.

– Niech Bóg mi wybaczy – rzekł ledwie słyszalnym szeptem i odłożył słuchawkę.



Dla Brennana był to dzień walk z jaszczurkami. Kant był silny, ale w swym szale zapomniał o wszelkiej sztuce walki. Yeoman zablokował szponiastą dłoń dzokera, zmierzającą do jego oczu, złapał go za drugi nadgarstek i walnął nim mocno o podstawę łóżka. Kant przykucnął, dysząc ciężko, a gdy Brennan skoczył na niego, wysunął ostrze noża sprężynowego, który zdążył wyciągnąć ze sterty ubrań leżących przy jego dole z piaskiem. Yeoman zmienił kierunek w locie, ale nie był wystarczająco szybki. Nóż rozciął mu koszulkę i skórę pod spodem, zostawiając krwawiący ślad biegnący od pępka aż po jedną z brodawek sutkowych.

Zjawa wyłoniła się ze ściany w tej samej chwili, gdy Brennan rzucił się na drugą stronę łóżka. Dzoker zauważył ją i oczy wyszły mu z orbit. Obracał się gorączkowo z boku na bok, próbując obserwować oboje przeciwników jednocześnie.

– Nie zrobimy panu krzywdy – powiedziała Jennifer swym najbardziej uspokajającym tonem. – Chcemy panu pomóc.

– Pomóc? – zawołał Kant piskliwym głosem, histerycznym i pełnym złości. – Jeśli chcecie mi pomóc, dajcie mi cholerny pocałunek!

Yeoman skoczył na drugą stronę łóżka, złapał gliniarza za rękę, w której ten trzymał nóż, i szarpnął mocno, obalając dzokera na plecy. Nóż wbił się w materac. Brennan rzucił się na Kanta, który szarpnął się gwałtownie, rozpruwając łóżko.

Woda trysnęła z rozdarcia, jakby nagle pękła tama. Brennan i Kant potoczyli się w przeciwne strony. Gliniarz zatrzymał się u stóp Jennifer,

mokry jak szczur portowy. Pluł i prychał. Złapał kobietę i uniósł nóż, gotowy uderzyć. Zdematerializowała się. Nóż przemknął przez nią i dzoker stracił równowagę. Brennan złapał go od tyłu i przebił nim ekran telewizora. Kineskop implodował z głośnym hukiem. Ogluszony Kant zwisał bezradnie, przewieszony przez urządzenie. Po chwili Yeoman go wyciągnął. Gliniarz był oszołomiony i krwawił z kilkunastu skaleczeń na twarzy i piersi. Brennan wyrwał mu nóż z ręki i odkopnął go na bok. Następnie obalił dzokera na plecy i usiadł na nim.

– O co chodzi z tym pocałunkiem? – zapytał.

Kant jęknął, nieświadomie zlizując krew płynącą mu z nosa i warg.

– Czy chodzi o Ezili? Pragniesz jej?

Potrząsnął gwałtownie głową. Oczy miał nieprzytomne i zaszklone, ale nadal widać w nich było dojmujące pragnienie.

– Niecee! – zawył. – Ta suka?

– Czego więc potrzebujesz? – zapytał Brennan, potrząsając dzokerem za ramiona.

– Pana. Ti Malice'a. Jego pocałunek jest słodki, tak bardzo słodki.

Yeoman i Zjawa wymienili zdziwione spojrzenia.

– Kto to jest Malice?

– Mój pan.

Brennan nagle przypomniał sobie, gdzie widział wrzód na szyi podobny do tego, który miał Kant.

– A czy on jest również panem Saschy? – Kant potrząsnął głową, nadal zdezorientowany i oszołomiony. Yeoman spoliczkował go, by przyciągnąć jego uwagę. – Sascha. Barman z Kryształowego Pałacu. Czy Malice jest również jego panem?

– Tak.

– A gdzie oni teraz są?

– Kurwa, nie wiem! Zniknęli. Opuścili mnie!

– Kogo zabrał ze sobą twój pan?

– Kilka wierzchowców – wymamrotał gliniarz. – Nie znam ich wszystkich.

– Czy Saschę też zabrał?

Gliniarz rozplakał się, niepowstrzymanie i bez słów.

– Jezu – mruknął Brennan.

Wstał i zawlókł dzokera do łóżka. Wziął parę kajdanek, które znalazł w jego ubraniu walającym się na podłodze, i przykuł gliniarza do słupka łoża. Kant zwinął się w kłębek na podłodze, płacząc i skubiąc wrzód, który miał na szyi.

Yeoman wziął w rękę słuchawkę stojącego na nocnym stoliku telefonu i połączył się z Fortem Cudaków.

– Maseryk – odezwał się. – To pilne. Sprawa życia i śmierci.

Policjant potrzebował tylko krótkiej chwili, by mu odpowiedzieć.

– Lepiej, żeby to rzeczywiście było ważne – oznajmił twardym, bezbarwnym głosem.

– Chodzi o twojego partnera – wyjaśnił Brennan. – Jest na głodzie.

Zapadła pełna szoku cisza.

– Prochy? – zapytał po dłuższej chwili Maseryk.

– Nie sądzę. Posłuchaj – ciągnął Yeoman, nie pozwalając rozmówcy na kolejne pytania. – Lepiej, żebyś szybko przyjechał do jego mieszkania. On potrzebuje pomocy. I jeszcze jedno. Masz wobec mnie dług, Maseryk.

Odłożył słuchawkę i spojrzał na Zjawę.

– Zmiatajmy stąd.



– Co zrobimy? – zapytał Hiram, gdy łkanie Tachiona zaczęło wreszcie cichnąć.

– Wydamy go – odpowiedział Jay.

Doktor Tachion zerwał się na równe nogi.

– Nie! – sprzeciwił się. – Oszalałeś, Ackroyd? Opinia publiczna nie może się dowiedzieć.

– Hartmann to potwór – zaprotestował Jay.

– Nikt nie wie o tym lepiej ode mnie – zapewnił Takizjanin. – Pływałem w kanale jego umysłu. Poczulem plugastwo, które w nim

żyje. Dotknęło mnie. Nie potrafisz sobie wyobrazić, co to było za wrażenie.

– Nie jestem telepatą – odparł Jay. – Nic na to nie poradzę. Ale i tak nie pomogę ci wybielić Hartmanna.

– Nic nie rozumiesz – zaprotestował Tachion. – Od blisko dwóch lat Leo Barnett zasypywał opinię publiczną złowrogimi ostrzeżeniami przed przemocą dzikich kart, podsycając strach przed asami i nieufność wobec nich. A ty chciałbyś, byśmy powiedzieli ludziom, że Ogniousty od początku miał rację, że monstrualny ukryty as rzeczywiście podporządkował sobie ich rząd. Jak twoim zdaniem zareagują?

Jay wzruszył ramionami. Był zbyt zmęczony i obolały na intelektualne dyskusje.

– Dobra, Barnett wygra wybory. I co z tego? Będziemy mieli przez cztery kolejne lata prawicowego głąba w Białym Domu. Z Reaganem jakoś przeżyliśmy osiem.

Takizjanin nie chciał o tym słyszeć.

– Nie masz pojęcia nawet o połowie tego, co znalazłem w umyśle Hartmanna. Morderstwa, gwałty, okrucieństwa, a on cały czas siedział w samym środku swojej pajęczyny, był Lalkarzem pociągającym za sznurki. Ostrzegam, jeśli cała prawda kiedykolwiek wyjdzie na jaw, publiczna odraza będzie tak wielka, że nastaną rządy terroru, przy których prześladowania z lat pięćdziesiątych wydadzą się tylko drobnostką. – Kosmita gestykulował jak szalony. – Zabił własne nienarodzone dziecko, by żerować na bólu i przerażeniu towarzyszącym jego śmierci. A jego lalki... asowie, dzokerzy, politycy, duchowni, policjanci, każdy, kto był na tyle głupi, by go dotknąć... Jeśli ich nazwiska wyjdą na jaw...

– Tachion – przerwał mu Hiram Worchester. Jego głos był cichy, ale ból w nim był wyraźny jak kreda na czarnej tablicy. Takizjanin zerknął na niego z poczuciem winy. Trudno było określić, który z nich jest bardziej wystraszony. – Powiedz mi – ciągnął restaurator. – Te lalki... czy ja też byłem jedną...

Zakrzuszył się słowami i nie był w stanie dokończyć pytania. Tachion

skinał głową, lekko i szybko, niemal ukradkowo. Po policzku spłynęła mu łza. Restaurator odwrócił się na moment. Jego twarz zamarła w całkowitym bezruchu.

– Na swój groteskowy sposób to nawet zabawne – odezwał się wreszcie. Nie roześmiał się jednak. – Jay, on ma rację. To musi pozostać naszą tajemnicą.

Ackroyd przenosił spojrzenie z drobnego na masywnego mężczyznę. Czuł, że znalazł się w mniejszości.

– Róbcie, co chcecie – rzekł – ale nie liczcie na to, że zagłosuję na skurwysyna. Zresztą i tak nie jestem zarejestrowany.

– Musimy złożyć przysięgę – oznajmił nagle Tachion. – Przysięg uroczycie, że zrobimy wszystko, by powstrzymać Hartmanna, ale zabierzemy tę tajemnicę do grobu.

– Och, daj spokój – jęknął Jay. Ostatnie, czego w tej chwili potrzebował, to więcej takizjańskiego pieprzenia.

– Hiram, daj mi ten kieliszek – powiedział zdecydowanym tonem kosmita.

Restaurator wręczył mu na wpół wypełniony kieliszek. Tachion wylał jego zawartość na dywan, pochylił się, wyjął z cholewy długi nóż, a następnie uniósł go przed oczami obu Ziemiaków.

– Musimy przysiąc na krew i kość – oznajmił.

Nim ktokolwiek zdążył go powstrzymać, Takizjanin ujął nóż w prawą rękę i naciął pewnie lewy nadgarstek. Trzymał zranioną rękę nad kieliszkiem, aż zebrały się w nim dobre dwa centymetry krwi, po czym owiązał nadgarstek chusteczką i podał nóż Ackroydowi.

Detektyw tylko popatrzył na narzędzie.

– Chyba żartujesz.

– Bynajmniej – zaprzeczył Tachion z niezachwianą powagą na twarzy.

– Może mógłbym do niego naszczać? – zasugerował Jay.

– Krew tworzy więź.

Hiram podszedł bliżej.

– Ja to zrobię – oznajmił i wziął nóż w rękę. Zrzucił biały, płócienny płaszcz, podwinął rękaw i ciął. Wciągnął gwałtownie powietrze z bólu,

ale jego ręka się nie zawahała.

– Bardzo głęboko – mruknął Tachion, gdy z nadgarstka restauratora trysnęła jaskrawoczerwona krew. Hiram skrzywił się i uniósł rękę nad kieliszkiem. Poziom czerwonego płynu podniósł się wyraźnie.

Potem obaj mężczyźni spojrzeli na Ackroyda.

Jay westchnął głęboko.

– Jeśli wy dwaj jesteście Huckiem i Tomkiem, to znaczy, że ja jestem Murzynem Jimem. Przypomnijcie mi, żebym zbadał sobie głowę, jak już będzie po wszystkim.

Wziął w rękę nóż.

Zabolało jak skurwysyn.

Gdy było już po wszystkim, doktor Tachion zakręcił kieliszkiem, by krew wszystkich trzech mężczyzn zmieszała się ze sobą, a potem uniósł go nad głowę i wyrecytował coś w śpiewnym języku o wysokim brzmieniu. Jay doszedł do wniosku, że to z pewnością takizjański.

– Przysięgam na krew i kość – zakończył, po czym odchylił głowę i wypił jedną trzecią krwi jednym, długim haustem.

Jay myślał, że zwymiotuje. Nawet Hiram miał lekko zniesmaczoną minę, gdy Takizjanin podał mu kieliszek.

– Czy mogę dodać tabasco i może też trochę wódki? – zapytał Ackroyd, gdy restaurator podał mu resztę.

– Nie możesz – odparł sztywno Tachion.

– Szkoda. Zawsze lubiłem Krwawą Mary. – Uniósł kieliszek. – Na krew i kość – mruknął, po czym przełknął resztkę krwi, czując się jak idiota. – Mniem, mniem – powiedział na koniec.

– Dokonało się – skwitował Tachion. – Teraz musimy przygotować plany.

– Ja wracam do Omni – oznajmił Hiram. – Popierałem Gregga niemal od samego początku i śmiem twierdzić, że mam pewne wpływy wśród nowojorskich delegatów. Może uda mi się wpłynąć na część z nich. Musimy za wszelką cenę uniemożliwić mu zdobycie nominacji.

– Zgadzam się – rzekł Tachion.

– Szkoda, że nie wiem więcej o Dukakisie... – zaczął restaurator.

- Nie Dukakis - przerwał mu kosmita. - Jesse Jackson. Od początku zabiegał o nasze względy. Porozmawiam z nim. - Uścisnął dłoń Hiram.
- Poradzimy z tym sobie, przyjacielu.

- Rewelacja - odezwał się Jay. - Gregg nie zostanie prezydentem. Piękna sprawa. A co z jego ofiarami? Kahiną, Poczwarzką i całą resztą?

Tachion zerknął na niego.

- Nie Poczwarzką - poprawił go.

- Słucham? - wychrypiął Jay.

- To prawda, że groził Poczwarzce - ciągnął kosmita. - Kazał jej i Kopaczowi patrzeć, jak jego potwór torturuje i zabija Kahinę. Ale nigdy nie spełnił tej groźby. Kiedy w poniedziałek rano usłyszał o jej śmierci, zdziwił się tak samo jak wszyscy.

- Kurwa, niemożliwe - sprzeciwił się Jay. - Na pewno się mylisz.

Niski człowieczek wyprostował się na pełną wysokość.

- Jestem psionicznym władcą z Takis, wyszkolonym przez najlepszych mentatów z domu Ilkazam. Jego umysł był moim umysłem. Nie mogłem się pomylić.

- Kazał Mackiemu załatwić Kopacza! - nie ustępował Jay.

- A Kuriozum polecił odnaleźć obciążającą go marynarkę i zniszczyć ją. Z całą pewnością. Gdy się dowiedział o śmierci Poczwarzki, podjął kroki mające zapewnić mu bezpieczeństwo. Ale to nie on wydał ten rozkaz. - Tachion położył dłoń na barku Jaya. - Przykro mi, przyjacielu.

- W takim razie kto to zrobił, do chuja? - warknął Jay.

- Nie mamy teraz czasu spierać się o to - wtrącił z niecierpliwością Hiram. - Ona nie żyje i nic...

- Cicho - przerwał mu nagle Ackroyd.

Najnowsze wiadomości przegnały Cary'ego Granta z ekranu telewizyjnego.

- ...kolejna tragedia na konwencji - mówił z powagą spiker. - Senatorowi Hartmannowi nic się nie stało, powtarzam, nic się nie stało, ale godne zaufania źródła podają, że as zamachowiec pozbawił życia dwie osoby, gdy próbował dotrzeć do senatora. Nadal czekamy na oficjalne potwierdzenie, ale z nieoficjalnych źródeł wiadomo, że

ofiarami zabójcy padli Alex James, agent Secret Service przydzielony do ochrony senatora Hartmanna... – Na ekranie, nad barkiem spikera, pojawiło się zdjęcie zabitego. – ...oraz przewodniczący popierającej kandydaturę Hartmanna delegacji stanu Kalifornia, Jack Braun. Kontrowersyjny as, który występował w wielu filmach oraz w serialu telewizyjnym „Tarzan”, był lepiej znany jako Złoty Chłopiec. Niektórzy uważali go za najsilniejszego człowieka na świecie. Braun po raz pierwszy przyciągnął do siebie uwagę...

Na ekranie pojawiło się zdjęcie Jacka. Spiker nie przestawał gadać. Braun miał na sobie stary mundur polowy, otaczała go złota łuna i uśmiechał się krzywo. Wydawał się młody, żywy i niezwyknięty.

– Och, Jack – rzekł Tachion. Wyglądało na to, że znowu się rozpłaczę.

– On nie mógł zginąć! – warknął wściekle Hiram. – Nie dalej jak wczoraj uratowałem mu cholerne życie. – Telewizor uniósł się nad dywan niczym balon, dotykając sufitu. Jay zerknął na przyjaciela i zobaczył jego zaciśniętą pięść. – Nie mógł zginąć! – upierał się Worchester. Aparat uderzył w podłogę z taką siłą, jakby spadł z piątego piętra. Kineskop implodował.

– Jego śmierć nie pójdzie na marne – zapewnił Tachion. Słowa te nie zabrzmiały jednak przekonująco. Takizjanin dotknął ramienia Hiram. – Chodź – rzekł mu.

Gdy już wyszli, Jay usiadł na kanapie. Bolały go żebra i twarz, a teraz również nadgarstek. Nie miał już pojęcia, kto, do jasnej cholery, mógł zabić Poczwarę, i czuł się zbyt zmęczony, by myśleć jasno.

Wyciągnął z kieszeni buteleczkę z tabletkami przeciwbólowymi i popił je porządnym łykiem najlepszej brandy doktora Tachiona. Była piekielnie dobra. Drugi łyk smakował jeszcze lepiej, a trzeci był wręcz pyszny. Gdy Jay opróżnił karafkę, zakręciło mu się w głowie. Położył się na kanapie. Nie było mowy, żeby mógł zasnąć. Za dużo się działo. Ale może, jeśli zamknie oczy na parę minut...

20:00

Po długim i ciężkim dniu Jennifer szybko zapadła w sen, ale Brennan nie mógł zasnąć.

Był na granicy wyczerpania, ale w głowie zachował dziwną jasność. Jego mózg nie chciał się wyłączyć i pozwolić mu na odpoczynek, którego potrzebował. Wstał po cichu z łóżka, ubrał się i wyruszył w noc.

Było gorąco i parno. Fala upałów, która zalała miasto, nie ustępowała nawet nocą. Po ulicach chodziło mnóstwo ludzi. Brennanowi nasunęła się myśl, że wszyscy poszukują na oślep rozwiązania swoich problemów, niemal tak samo skomplikowanych jak jego problemy.

Pojawiła się nowa zmienna, która dodatkowo skomplikowała równanie, jakim była sprawa zabójstwa Poczwarki – tajemniczy „pan”, Ti Malice, oraz Ezili Rouge, która najwyraźniej była jego współniczką. Sascha zaś był jego sługą, podobnie jak Kant. Gliniarz użył dziwnego terminu na określenie tych, którzy popadli w niewolę Malice’a. Nazywał ich „wierzchowcami”. Brennan nie potrafił nawet sobie wyobrazić, co by to mogło znaczyć.

Przed całodobową drogerią, odległą o kilka przecznic od hotelu, zebrał się tłum. Brennan dołączył do niego, chcąc się przekonać, co wywoływało milczącą fascynację gapiów. W oknie ustawiono telewizor, w którym przekazywano skrót chaotycznych wydarzeń minionego dnia w Atlancie.

Spiker powiedział, że zamordowano Jacka Brauna. Yeoman nie potrafił w to uwierzyć. W dzieciństwie był wielkim fanem Żółtego Chłopca. Uwielbiał go, bo Braun był przystojny, silny i nieustraszony. Taki właśnie powinien być bohater. Bronił słabych i bezbronnych, stanowił ucieleśnienie heroicznego ideału. Potem jednak dowiedział się, że bohaterowie również mogą być słabi. Żółty Chłopiec zdradził przyjaciół w chwili słabości i strachu. Brennan nie stracił jednak wiary w heroiczne wartości. To był jeden z powodów, dla których wstąpił do armii.

Tam na własnej skórze przekonał się, że ideałom bardzo trudno jest rozkwitnąć w niedoskonałym świecie. Rozkazano mu bronić Wietnamu,

ale wskutek nieudolności i niekompetencji, chciwości i głupoty tych, którzy dowodzili całym tym syfem, pomógł go tylko zdewastować. A później oni po prostu się wycofali, porzucając Wietnamczyków na pastwę krwiożerczych zbirów, przed którymi przysięgali ich bronić.

Ta bolesna nauczka sprawiła, że Brennan również się wycofał, próbując zerwać kontakty z resztą ludzkości. Przekonał się jednak, że o starych więzach nie da się zapomnieć, a gdy nawiąże się nowe, nie sposób ich ignorować.

Niech Barnett i Hartmann prowadzą w Atlancie swoje gierki, pomysłał. Niech wymachują transparentami, noszą śmieszne kapelusze i wygłaszają mowy pełne czczych, nierealistycznych obietnic. W ostatecznym rozrachunku nie mogli dokonać zbyt wiele. Hartmann pozostanie więźniem systemu pełnego niekompetencji, inercji i niesprawiedliwości. Barnett stanie przed tymi samymi przeszkodami, nawet jeśli spróbuje zrealizować swe odrażające plany.

Koniec końców, liczyło się tylko to, by bronić towarzyszy, przyjaciół i rodziny. Brennan wiedział, że zawsze będzie do tego gotowy. A jeśli, jak w przypadku Poczwaraki, będzie już za późno na obronę, dopilnuje, by ten, kto skrzywdził jego bliskich, nigdy już nie miał okazji nikomu zaszkodzić.

Uśmiechnął się cierpko. To brzmiało dumnie, ale w rzeczywistości nie osiągnął zbyt wielkich sukcesów w wymierzaniu kary. Wlepił niewidzące spojrzenie w ekran telewizora. Potrzebował więcej informacji, ale wszystkie jego źródła wyschły. Na ulicy nie dowiedział się niczego. Sascha się ulotnił, być może na rozkaz tajemniczego Malice'a. Znikacz najwyraźniej był zainteresowany głównie wykorzystaniem Brennana do pozbycia się Kiena i odnalezienia akt Poczwaraki.

Być może tam właśnie znajdzie odpowiedź. Poczwaraka wiedziała o wszystkim, co działo się w Dżokerowie. W jej aktach mogłby znaleźć potrzebne odpowiedzi. Ale dobrze ukryła swój skarbiec z informacjami. Yeoman wiedział, jak bardzo lubiła tajemnice, i wątpił, by kogokolwiek poinformowała, gdzie je przechowuje.

Poza być może jednym człowiekiem. Człowiekiem, który był poniekąd

jej powiernikiem. Człowiekiem, któremu usta zamykały nienaruszalne śluby milczenia. Człowiekiem, któremu zleciła kiedyś coś dziwnego.

Yeoman doszedł do wniosku, że pora odwołać się do wszystkich długów wdzięczności.

Podjąwszy decyzję, wrócił do pokoju hotelowego, by przespać się kilka godzin. Uśmiechnął się, gdy kot, który go śledził, również zawrócił, przemykając szybko przez cienie. Zastanowił się, czy się nie zatrzymać i nie zaproponować, że go podwiezie, powstrzymał się jednak. Niech Leniwy Smok też się trochę wysili.



Sobota, 23 lipca 1988

8:00

...przyśpieszył, stopy miał bosc i zakrwawione, pędził za masywnym mężczyzną w grubym, czarnym płaszczu. Zawołał go, ale straszliwej ciszy nie mąciło nic poza odgłosem jego kroków. Stopnie robiły się coraz węższe i trudno mu było utrzymać równowagę, gdy pędził w mrok. Wreszcie znalazł się na peronie zawieszonym nad mroczną otchłanią. Mężczyzna dotarł tu przed nim. Sam widok jego pleców, zgarbionych i złowieszczych, napełnił go lękiem, a gdy tamten zaczął się odwracać, przerażenie nasiliło się tak bardzo, że bał się, iż się nim zadławi. Biała, pozbawiona rysów twarz zwróciła się ku górze, wilgotna, czerwona macka poczuła smak powietrza. Wycie stworzenia i krzyk Jaya połączyły się w straszliwej kakofonii...

– Złałeś się w spodnie – rozległ się drwiący głos. – Co z ciebie za as?

Jay usiadł. Garnitur miał zmięty, bolało go w boku i w głowie. Po drugiej stronie pokoju stał jakiś dzieciak uśmiechający się głupawo, jakby Ackroyd był najzabawniejszym, co w życiu widział. Miał twarz o delikatnych, wyrafinowanych rysach, mówił z francuskim akcentem i otaczała go aura bezczelności. Włosy miał tak jaskrawoczerwone, że patrzenie na nie sprawiało ból. Jay miał ochotę przerzucić go do południowego Bronxu, doszedł jednak do wniosku, że lepiej tego nie robić. Choć jeszcze do końca nie wytrzeźwiał, przypominał sobie, że to chyba wnuk Tachiona.

– Gdzie twój dziadek? – zapytał detektyw i podniósł się chwiejnie, ignorując docinki chłopaka. Na dywanie wałało się mnóstwo potłuczonego szkła, chrzęszczącego mu pod stopami. Szkło leżało też na kanapie, a kiedy się podniósł, spadło z niego kilka odłamków. Dopiero

po chwili zauważył rozbite okno. Co tu się stało, do licha?

Chłopak wzruszył ramionami.

– W jego łóżku nikt nie spał – odparł. – Może w końcu dopadł którąś ze swoich laleczek.

– Typowe – poskarżył się Jay. – Zasypiam na kanapie, kiedy w sąsiednim pokoju czeka puste, wygodne łóżko.

Podszedł do barku. Szkło trzeszczało mu pod nogami. Gapił się przez chwilę na trunki, aż wreszcie zauważył nieotwartą butelkę koniaku. Doszedł do wniosku, że klin dobrze mu zrobi.

– Jesteś Rzutnik.

Chłopak był tak samo arogancki jak Tachion. Wzrostem też niemal mu dorównywał.

– Jay Ackroyd – poprawił go detektyw. – A ty jak się nazywasz? Mały Tachion?

– Blaise. Jestem w jednej czwartej Takizjaninem – dodał z dumą.

– Nie przejmuj się tym. Sam jestem w jednej czwartej Chorwatem.

Jay pociągnął łyk koniaku. Trunek palił mu gardło i przełyk. Zaczął nalewać koniak do kieliszka. Wypełnił go w jednej trzeciej. W połowie. W trzech czwartych. Spróbował odstawić butelkę. Nadal nalewał koniak. Wypełnił kieliszek aż po brzeg. A potem wylał sobie zawartość na głowę.

Trunek szczypał Ackroyda w oczy, oślepiając go. Jay spróbował powiedzieć: „Ty sukinsynu”, ale zamiast tego usłyszał, jak śpiewa falsetem: „Jestem małym czajniczkiem”. Wykonywał też odpowiednie ruchy. W którymś momencie kieliszek wypadł mu z dłoni i potoczył się po dywanie.

Gdy odzyskał zdolność widzenia, Blaise stał przed nim, krzyżując ręce na piersi, i uśmiechał się z satysfakcją.

– Takizjanie nie lubią, żeby z nich żartować – oznajmił. – Uważaj, co mówisz. Mogę kazać ci zrobić, co tylko zechcę – Roześmiał się. – Teraz jesteś mokry na obu końcach.

– Świetnie – stwierdził Jay. Cuchnął koniakiem i szczynami. – Byłbyś niezłym detektywem.

– Naprawdę?

Chłopak nie zauważył sarkazmu i Ackroyd bardzo się z tego cieszył.

– No jasne. Oczywiście, najpierw musisz nauczyć się paru rzeczy.

– Na przykład jakich? – zainteresował się Blaise.

– No cóż – zaczął Rzutnik. – Zanim kogoś wkurzysz, powinieneś się najpierw upewnić, że nie jest uzbrojony.

Ułożył palce w pistolet, wycelował w chłopaka i mrugnął znacząco.

Blaise się nie przestraszył.

– Nie masz broni – stwierdził.

Jay uśmiechnął się słodko.

Rozległ się sympatyczny, głośny trzask i chłopak zniknął. Nawet nie zdążył zrobić zdziwionej miny

Detektyw stał pośrodku pokoju, celując z palca w pustkę, gdy nagle drzwi apartamentu się otworzyły i do środka wszedł doktor Tachion. Twarz miał udręczoną i zapadniętą. Na widok Jaya zmarszczył brwi.

– Doktorze – odezwał się Rzutnik. – Przysięgam, że nie wiedziałem, że jest nabity.

9:00

Brennan wszedł do kościoła i przez kilka minut obserwował Quasiczłowieka myjącego witraż przedstawiający mękę Jezusa Chrystusa Dżokera.

– Cześć – przywitał go dżoker serdecznie, stawiając na podłodze koniec długiej rączki wycieraczki do okien i opierając się na niej jak na włóczni.

– Muszę się zobaczyć z Ojcem Kałamarnicą – oznajmił Yeoman.

Wycieraczka upadła na posadzkę, gdy ręka, w której trzymał ją dżoker, nagle zniknęła. Quasiczłowiek popatrzył spokojnie w miejsce, gdzie przed chwilą była, jakby był przyzwyczajony do podobnych sytuacji. Po chwili Brennan poczuł zimny powiew przynoszący ze sobą niewiarygodny smród. Ręka Quasiczłowieka wróciła. Dżoker pochylił się i podniósł wycieraczkę.

– Medytuje w kancelarii – oznajmił, jakby nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego.

Brennan skinął głową.

– Znam drogę.

Ruszył naprzód, ale dzoker zatrzymał go, kładąc dłoń na jego przedramieniu. Nadal była zimna jak lód, lecz Quasiczłowiek albo tego nie zauważył, albo mu to nie przeszkadzało.

– Wiesz już, kto to zrobił? – zapytał.

Yeoman potrząsnął głową.

– To znaczy, że nadal możesz mnie potrzebować?

– Niewykluczone.

Dzoker puścił jego rękę.

– Będę gotowy – zapewnił. – Mam nadzieję – dodał po chwili.

Ja też mam taką nadzieję, pomyślał Brennan, ale skinął tylko głową i ruszył dalej.

W kancelarii spotkał Ojca Kałamarnicę, który przybrał swą ulubioną medytacyjną pozę.

– Cześć, sierzancie.

Kapłan poderwał się nagle. Otworzył szeroko oczy i spojrzał na Brennana. Uśmiechnął się lekko. Witki zwisające nad jego ustami zadrżały.

– W dawnych czasach nigdy nie udałoby mi się podkraść do ciebie niepostrzeżenie – stwierdził Yeoman i usiadł za biurkiem naprzeciwko kapłana.

Ojciec Kałamarnica skinął głową, siedząc na wygodnym krześle, na którym zapadł w drzemkę.

– Jestem starszy niż w dawnych czasach, a do tego lepiej sypiam.

Brennan uśmiechnął się, choć na jego twarzy nie dało się dostrzec wesołości.

– Ja też sypiałem lepiej, przez pewien czas.

– Dlaczego nie pogodziłeś się ze wszystkim i nie spróbowałeś znaleźć spokoju, jak ja?

– Próbowałem – odparł Brennan. – Nawet wstąpiłem na pewien czas

do klasztoru. Klasztoru zen. – Uśmiechnął się, widząc zdumienie na twarzy kapłana. – Ale nigdy nie zaliczałem się do dobrych uczniów. Przemoc podążała za mną jak niemile widziany cień. Rzadko jej szukałem, ojciec, ale ona zawsze mnie znajdowała, gdziekolwiek bym się ukrył.

– A więc znowu jestem „ojcem”, tak?

Yeoman wzruszył ramionami.

– Jak wolisz. Swoją drogą, ile razy awansowali cię na sierżanta?

– Cztery – odpowiedział z uśmiechem Ojciec Kałamarnica.

– Ale za każdym razem degradowali cię z powrotem do szeregowego.

– Wtedy nie zaliczałem się do tych, którzy przestrzegają zasad.

– Czasami miałeś powody – przyznał Brennan. – Dżokerska Brygada była wyłącznie pretekstem mającym umożliwić zabicie tylu spośród was, ilu tylko się da.

– Być może. Ale znalazłoby się w niej trochę dobrych żołnierzy. – Ojciec Kałamarnica uśmiechnął się do gościa. – Niektóre jednostki, w których służyliśmy, też nie były takie złe. Ciebie nigdy nie obchodziło, czy żołnierz ma pióra, sierść, czy włosy albo czy ma macki na twarzy i mnóstwo przyssawek na dłoniach.

– Byliśmy towarzyszami broni – stwierdził Brennan. – Tylko to się liczyło.

Patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę, wspominając wydarzenia sprzed piętnastu lat.

– Co robiłeś po wojnie? – zapytał wreszcie Yeoman.

– Nie mam wielu powodów do dumy. Przez pewien czas sprzedawałem swoje usługi. Ale wszędzie, dokąd się udałem, było tak samo źle jak w Dżokerskiej Brygadzie czy tutaj, w Dżokerowie. Przekonałem się, że za granicą dżokerów na ogół traktuje się gorzej niż w Ameryce. – Wzruszył potężnymi ramionami. – Przez pewien czas starałem się coś w tej sprawie zrobić, ale obawiam się, że przyniosło to więcej szkody niż pożytku.

– Słyszałem kiedyś o facecie zwanym Mackowatą Gębą, który współpracował z Czarnym Psem. Zastanawiałem się, czy to byłeś ty.

– Ja – przyznał z niechęcią kapłan. – I bardzo żałuję tamtych dni. Żadna pokuta nie pozwoli mi oczyścić duszy po straszliwych czynach, jakich dopuściłem się w imieniu swego ludu.

– Wszyscy popełniamy błędy – stwierdził cicho Brennan. – Żli o nich zapominają, a dobrzy próbują je naprawić.

– No cóż – odparł kapłan, szybko poruszając trzecimi powiekami. – To ja powinienem służyć ci duchową pociechą, synu.

– Obawiam się, że w przeciwieństwie do twoich, moich grzechów nie da się odkupić. Niemniej przydałaby mi się twoja pomoc w innej sprawie.

– Chodzi ci o to morderstwo.

Yeoman skinął głową.

– Znalazłem się w ślepej uliczce. Nie potrafię odkryć nowych wskazówek i nie mam się do kogo zwrócić. Ostatniej nocy uświadomiłem sobie, że byłeś powiernikiem Poczwariki, być może nawet jej spowiednikiem. Przypomniałem sobie spadek, jaki ci zostawiła, a także krążące plotki o jej tajnych aktach.

Ojciec Kałamarnica potrząsnął głową.

– To była tylko walizka z pieniędzmi, które zgromadziła na wypadek, gdyby musiała szybko uciekać z miasta. Z pewnością pomogą biednym z mojej parafii, ale obawiam się, że nie zdadzą się na wiele w poszukiwaniach zabójcy.

Brennan skrzywił się z niezadowoleniem.

– Zatem nigdy nie powiedziała ci nic, co mogło mieć związek z jej śmiercią?

– Nawet jeśli powiedziała, jestem związany świętą tajemnicą spowiedzi, której nigdy nie wolno złamać.

– Nawet gdyby morderca mógł ujść karze?

– Nawet wtedy – odparł duchowny z ciężkim westchnieniem.

Brennan wstał, wlepiając spojrzenie w kapłana.

– Zmieniłeś się – stwierdził. – Sierżant Mackowata Gęba wiedział, kiedy sprawiedliwość i honor mają pierwszeństwo przed sztywnymi zasadami.

– Kapitanie, czasami tracę wiarę w zbawienie własnej duszy. Niekiedy wydaje mi się, że jestem kiepskim kapłanem, tak samo jak ty ponoć byłeś marnym wyznawcą zen.

Brennan nagle się uśmiechnął.

– Bob, czasami mam wrażenie, że obaj chrzanimy głupoty.

Macki kapłana zatrzęsły się od śmiechu.

– Masz rację – przyznał. – No cóż, Poczwarzka powiedziała mi rzeczy, których nie mogę ci powtórzyć z uwagi na tajemnicę spowiedzi. Mogę ci jednak powiedzieć, że przeoczyłeś pewne źródło informacji. – Zrobił dramatyczną przerwę. – Jej sąsiadów, Daniel. Jej sąsiadów z dołu.

Brennan gapił się na niego ze zdziwioną miną. Ojciec Kałamarnica podniósł się ciężko z krzesła.

– Wybacz, ale muszę się przygotować do mszy o dziesiątej.

10:00

Gdy przyniesiono śniadanie, Jay wchodził właśnie spod prysznic. Wytarł się do sucha, zastanawiając się, co powinien zrobić z tymi cholernymi bandażami obwiązującymi mu żebra, po czym włożył ubranie, które pożyczył mu Tachion. Rękawy były za krótkie, a nogawki kończyły się jakieś pięć centymetrów nad jego bladymi kostkami, ale poza tym garnitur pasował całkiem nieźle. Problem w tym, że miał fioletowobrazowy kolor.

Gdy Jay wyszedł z sypialni, Tachion siedział przed wózkiem z hotelowym śniadaniem, smarując grzanekę masłem. Rozwalony na fotelu Blaise uniósł wzrok i zachichotał. Takizjanin obrzucił wnuka ostrym spojrzeniem.

– Blaise, czy podobała ci się przejażdżka na taśmociągu bagażowym?

– Nie – odparł z naburmuszoną miną chłopak. – Czułem się głupio.

– W takim razie zachowuj się, na Ideał, bo inaczej poproszę pana Ackroyda, żeby znowu teleportował cię na lotnisko w Atlancie.

– Nic nie poradzę na to, że wygląda śmiesznie – tłumaczył się Blaise. –

Zupełnie jak pedał.

– To moje ubranie – zauważył Tachion z oburzeniem w głosie. – Osobiście uważam, że poprawa jest znacząca.

– Chłopak ma rację – odezwał się Jay. Zaskoczony Blaise uniósł wzrok. Detektyw szybko uniósł palec wskazujący w geście rewolwerowca. Wnuk Tachiona wzdrygnął się trwożnie. – Mam cię – oznajmił z uśmiechem Ackroyd. Chłopak również się uśmiechnął. Przenosząc go na drugi koniec Atlanty, Jay skutecznie nawiązał nim kontakt.

– I tak już jest z niego wielki łobuz – mruknął kosmita. – Nie musisz go dodatkowo zachęcać.

– Chłopak jest w porządku – sprzeciwił się Ackroyd, przyciągając krzesło do wózka ze śniadaniem. – Przynajmniej jak na Takizjanina.

Uniósł srebrną kopułę nad swoim talerzem i z pasją zaatakował jajka po benedyktyńsku. Nie były tak dobre jak w Wieży Asów, ale był wystarczająco głodny, by mu to nie przeszkadzało. Zresztą Hiram zawsze mu mówił, że ma podniebienie z imitacji skóry.

Takizjanin starannie ocierał sobie usta chusteczką, a Jay wycierał grzanką resztki żółtka z talerza, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Tachion wstał.

– Kto tam?

– Carnifex. Otwieraj. Nie mam całego dnia.

Tachion zerknął na Ackroyda.

– Wpuść go – rzekł detektyw. – Ray to twarde, ale nic nie zdziała przeciwko tobie, mnie czy naszemu Cisco Kidowi – zakończył, wskazując na Blaise'a.

Kosmita skinął głową i otworzył drzwi. Carnifex rozejrzał się wkoło i wszedł do środka. Obcisły, biały kombinezon podkreślał wszystkie mięśnie i ściągnął w jego ciele. Ściągnął kaptur, odsłaniając twarz wyglądającą jak złożona z części zamiennych.

– Regulaminy mówią, że nie wolno nam mieszać się do politycznych przepychanek – oznajmił z pogardą Tachionowi. – Masz szczęście. W przeciwnym razie skopałbym ci tyłek. Pewnie za długo zadawałeś się z Braunem i część jego natury przeszła na ciebie.

Tachion zacisnął usta.

– Mów sobie, co chcesz, Ray – odpowiedział rządowemu asowi. – Twoje opinie na moralne i polityczne tematy nie interesują mnie nawet w najmniejszym stopniu.

– Gregg chce się z tobą widzieć.

– Ale ja nie chcę się widzieć z nim.

– Pójdiesz do niego – zapewnił Ray, uśmiechając się półgębkiem. – Powiedział, że ma propozycję, którą chce z tobą przedyskutować.

– Nie mam zamiaru o niczym dyskutować z senatorem Hartmannem.

– Boisz się? – zainteresował się Ray. – Spokojnie, jeśli chcesz, będę cały czas trzymał cię za rączkę. – Wzruszył ramionami. – Idź albo nie idź, dla mnie to bez różnicy. Ale jeśli nie pójdziesz, pożałujesz. – Rozejrzał się po pomieszczeniu. Popatrzył na wybite przez Żółwia okna, rzucony na podłogę przez Hiramę telewizor i na plamy od moczu na kanapie. – To musiała być niezła impreza – skwitował. – Ktoś powinien cię nauczyć sprzątać po sobie, doktorze. Zostawiłeś tu niezły chlew.

Skierował się ku drzwiom.

– Hej, Carny! – zawołał go nagle Ackroyd.

Ray zwrócił się ku niemu z niebezpiecznym błyskiem w zielonych oczach.

– Nazywam się Carnifex, dupku.

– Carnifex, dupku – poprawił się Jay. – Postaram się to sobie zapamiętać – zapewnił. – Ile masz tych wesołych kombinezonów?

– Sześć albo osiem – odparł Billy Ray z podejrzliwością w głosie. – Dlaczego pytasz?

– Na pewno cholernie trudno sprząć z nich plamy krwi.

Ray łypnął na niego ze złością.

– Nie wchodź mi w drogę, niuchaczu, albo inaczej pogadamy.

Zatrzasnął za sobą drzwi.

– Niuchaczu – powtórzył Jay. – Nazwał mnie niuchaczem. Boże, jestem zdruzgotany. – Zwrócił się w stronę Tachiona. – Pójdiesz do Hartmanna?

Takizjanin wyprostował się.

- Muszę.
- Obawiałem się, że to powiesz – rzekł z westchnieniem detektyw.



Brennan wysadził Jennifer pół przecznicy od Kryształowego Pałacu i pojechał dalej. Pamiętał liścik ostrzegający go przed odwiedzaniem dawnego lokalu Poczwaraki. Wydawało się, że to najbezpieczniejszy sposób sprawdzenia, czy sąsiedzi, o których wspominał Ojciec Kałamarnica, rzeczywiście istnieją. Jennifer wyruszy na zwiady w niematerialnej postaci, a potem wróci i zawiadomi go, czy jest bezpiecznie.

Ominął Pałac i skręcił w zaułek, na który wychodziły drzwi załadunkowe. Zgasił silnik i włączył radio, by poczekać na powrót Jennifer.

Informacje z Atlanty były bardziej optymistyczne niż poprzedniego wieczoru. Najwyraźniej wiadomości o śmierci Jacka Brauna były przedwczesne. Złoty Chłopiec żył. Moc asa uratowała go po raz kolejny.

Tok jego myśli przerwał nagły ryk megafonu. Yeoman zamarł bez ruchu za kierownicą.

- Hej ty, w samochodzie! Policja! Wyłaż z rękami uniesionymi nad głowę! Mamy cię na celowniku! Wyłaż z rękami uniesionymi nad głowę!

Brennan siedział jeszcze przez chwilę za kierownicą. Jego umysł rozważał gorączkowo, a potem odrzucał kolejne plany ucieczki. Obserwował w lusterku wstecznym trzech zbliżających się gliniarzy. Dwóch mundurowych celowało prosto w niego. Krok za nimi szedł Maseryk.

Yeoman uniósł ręce, a następnie, poruszając się przesadnie powoli, otworzył drzwi i wysiadł z samochodu. Czekał na policjantów z twarzą pozbawioną wyrazu.

- Nie mogłeś się trzymać od tego z dala, tak? – zapytał Maseryk.

- Jak się czuje Kant? – odpowiedział pytaniem Yeoman.

Przez twarz gliniarza przemknął cień.

– Nadal nie wrócił do siebie, ale już jest lepiej.

Jeden z mundurowych otworzył tylne drzwi samochodu, podczas gdy drugi nadal celował w Brennana.

– To on – stwierdził pierwszy z ekscytacją w głosie. – Zabójca z łukiem – dodał, unosząc w górę futerał.

– Obserwowaliście Pałac, licząc na to, że zabójca wróci? – zapytał Yeoman.

– Zawsze to jakiś plan – odparł Maseryk, wzruszając ramionami.

Brennan potrząsnął z niesmakiem głową. A więc to miał znaczyć list. Niech to szlag.

– No dobra – odezwał się pierwszy policjant. – Połóż ręce na błotniku. Nogi do tyłu, szeroko rozstawione.

Yeoman opuścił ręce i odwrócił się, by wykonać polecenie. Poruszał się jednak za wolno i gliniarz kopniakiem zmusił go do szerszego rozstawienia nóg. Następnie przeszukał go i znalazł nóż schowany w pochwie u kostki.

– Dobra, możesz się odwrócić. – Policjant uśmiechnął się szeroko. – Złapaliśmy go. Jezu, złapaliśmy wielkiego, złego mściciela. Ręce do tyłu, cwaniaczku.

– Zamknij się, Chris – mruknął ze znużeniem Maseryk. – Masz prawo zachować milczenie... – ciągnął tym samym monotonnym głosem, gdy mundurowy zakładał zatrzymanemu kajdanki.

Yeoman milczał. Nie próbował stawiać oporu. Gdy prowadzili go do stojącego za rogiem radiowozu, miał kamienną twarz.



Tachion gwałtownie otworzył drzwi sypialni. Ręce mu drżały, a jaskrawe włosy lepiły się do czoła od zimnego potu. Sprawiał wrażenie, jakby miał zaraz zwrócić śniadanie. Nawet Blaise, który rozmawiał żartobliwie z Jayem, miał tyle rozsądku, by się zamknąć, kiedy zobaczył wyraz oczu dziadka.

– Ackroyd, chciałbym z tobą porozmawiać. Czy mógłbyś tu przyjść?

Jay wstał i wzruszył ramionami. Spodnie opadały mu do kostek. Próbował je podciągnąć, podążając za Tachionem do salonu.

– Czego chciał Hartmann? – zapytał, sięgając do tacy ze śniadaniem w poszukiwaniu czegoś jadalnego.

– Chciałbym cię prosić o przysługę, Ackroyd.

– Nie ma sprawy. Co to ma być?

Tach uniósł rękę.

– Nie bierz na siebie zobowiązań zbyt pochopnie. Fakt, że stanę się twoim dłużnikiem, może nie przeważać tego, o co cię poproszę.

– Jezu, przejdź do rzeczy, Tachion. Starczy już tych kwiecistych takizjańskich pierdół. Jay włożył do ust plasterek pomarańczy.

– Hartmann mnie szantażuje. Nie zgodziłem się spełnić jego żądań, ale będę potrzebował czasu. Dzień, maksymalnie dwa, i będzie po wszystkim. Przegra wyścig o nominację. – Tach przerwał na dłuższą chwilę. Na jego twarzy malowało się znużenie, jakby sama ta myśl wprawiała go w nieopisane przygnębienie. – Możesz mi dać ten czas – dodał wreszcie.

– Do rzeczy – przynaglił go Jay. – Do rzeczy.

– Musisz usunąć z Atlanty pewnego człowieka. Bardziej konwencjonalne metody nie są dla nas dostępne.

To z każdą chwilą staje się coraz dziwniejsze, pomyślał detektyw.

– Dlaczego? – zapytał. – Kim jest ten facet?

Tachion odwrócił się od niego. Na skraju stolika stał kieliszek w połowie wypełniony brandy. Takizjanin wymacał go na oślep, jak tonący, który sięga po koło ratunkowe, i wypił zawartość jednym haustem.

– Dawno temu – zaczął powoli, nadal odwrócony plecami do Jaya – uratował mi życie człowiek, który na przemian był dla mnie diabłem i aniołem.

Diabły i anioły. Tego właśnie potrzebował Ackroyd. Jakby asowie i zabójcy nie wystarczali.

– A niech to – mruknął, rozkładając ręce.

– To nie jest dla mnie łatwe – poskarżył się Tachion. Wpatrzył się

w pustej kieliszek i zakręcił nim między dłońmi. – W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym siódmym zwerbowało mnie KGB – wyrzucił z siebie wreszcie. Uśmiechnął się ze smutkiem na widok miny Ackroyda. – To nie było takie trudne. Zrobiłbym wtedy wszystko, żeby tylko móc się napić. Tak czy inaczej, mijały lata. Okazałem się mniej użyteczny, niż na to liczone. Zapomnieli o mnie i myślałem, że jestem wolny. Ale w zeszłym roku agent, który mnie prowadził, wrócił do mojego życia i zażądał spłaty długu. On jest tutaj. W Atlancie.

Jay wlepił w niego spojrzenie. Myśl, że mały, nadęty kosmita pracuje dla Sowietów, wydała mu się kompletnym absurdem. Prędzej by uwierzył, gdyby Takizjanin wyznał mu, że jest elfem.

– Dlaczego? – zdołał tylko wykrztusić.

– Z powodu Hartmanna – odpowiedział Tachion. – Podejrzewał istnienie potwora. Ale teraz Hartmann dowiedział się o nim i o związku, który nas łączy.

– Jakim związku? – zapytał detektyw.

– On jest nauczycielem Blaise’a.

– A niech to.

Jay usiadł na krześle. Nie wiedział, czy się śmiać, czy płakać. Zapewne lepiej byłoby się śmiać. Zawsze mógł liczyć na to, że płaczem zajmie się Tachion.

– To właśnie jest pałka, której Hartmann zamierza użyć przeciwko mnie. Zapewne pójdę do więzienia, Ackroyd. Ale najpierw go powstrzymam.

– I chcesz, żebym go gdzieś przeniósł.

– Tak. Zawiadomiono już FBI i Secret Service. Szukają George’a w całej Atlancie.

– Nadal jesteś komuchem? – zapytał z powagą Jay.

Tachion pociągnął za swój koronkowy kołnierzyk i wyprostował się na pełną wysokość.

– Ja? Doprawdy, Ackroyd.

– Aha. Kapuję, co masz na myśli – odparł Jay. – Hej, to dla mnie starożytnie dzieje. Przenieśmy gdzieś tego komuszka.

Takizjanin skinął z powagą głową i wrócił do sypialni.

– Blaise! – zawołał.

– Zabierasz go ze sobą? To znaczy, że on o tym wie?

– Oczywiście. Chodź, dziecko – rzekł. Chłopak obrzucił go jadowitym spojrzeniem, ale Tachion tego nie dostrzegł. – Chciałbym, żebyś miał okazję pożegnać się z George'em.

11:00

Kapitan Angela Ellis zgasila papierosa w przepelnionej popielniczce i od razu zapalila nastepnego. Spacerowala w lewo i w prawo przed krzeslem, na ktorym siedzial Brennan. Kazdy jej krok wyrazal frustracje.

– Jak dlugo zamierza pan milczec? – zapytala.

Brennan spojrzal na nia po raz pierwszy od dwudziestu minut.

– Zawsze – odpowiedzial cicho.

– Jezu! Dlaczego o dziesiatej piec dzis rano siedzial pan w samochodzie zaparkowanym przy Krysztalowym Palacu? Co laczylo pana z Poczworka? Czy zabil ja pan?

Odwrocil sie od niej. Jego twarz nie wyrazala absolutnie nic. Sprawiala wrazenie wypranej z wszelkich uczuc.

Siedzac z tylu pokoju Maseryk odchrzanknal.

– Przepraszam, pani kapitan, ale nie sadze, by mial zlozyc jakiegokolwiek zeznania.

Odwrocila sie gwałtownie ku niemu.

– Ktos musial cos powiedziec! Jakiś idiota wygadal sie, ze capnelismy Yeomana, zabojce z lukiem. Zaraz setka reporterow zacznie ujadać na sierzanta siedzacego za biurkiem, a sześć rządowych agencji przyśle tu swoich ludzi, zeby „przyjrzeni sie sprawie”, jak to lubia okrešlac.

– O ile mi wiadomo, siedzenie w samochodzie nie jest zabronione – odezwal sie cicho Brennan. – Podobnie jak noszenie luku i strzal.

– Twierdzi pan, ze jest niewinny? Twierdzi pan, ze nie jest tym Yeomanem?

Brennan milczał. Kapitan Ellis ponownie zwróciła się ku niemu.

– Nie ma pan dokumentów, a pana wygląd zgadza się z rysopisem człowieka poszukiwanego za dezercję przez Armię Stanów Zjednoczonych.

– Powierzchnie – odparł Brennan.

– W wystarczającym stopniu, żebyśmy mogli pana zatrzymać, aż zjawią się federalni ze swym dossier dezercerów – odparła przez zaciśnięte zęby policjantka. – A w nim są odciski palców.

– Jak pani sobie życzy – zgodził się Brennan i ponownie wpatrzył się w pustkę.

Kapitan Ellis zgasiła kolejnego papierosa i zmięła w dłoni pustą paczkę.

– No dobra – powiedziała. Otworzyła drzwi pokoju przesłuchań i wezwała czekającego na korytarzu mundurowego. – Zamknij go w celi. Jak posiedzi kilka godzin, może zacznie gadać.

– Nie sądzę, by to był dobry pomysł... – zaczął się sprzeciwiać Maseryk, ale kobieta przeszyła go ostrym spojrzeniem, każąc mu się zamknąć.

Gliniarz poprowadził Brennana przez labirynt gabinetów i pokojów przesłuchań, a potem schodami w dół, do aresztu. Siedziało tam kilkunastu niebezpiecznych przestępców czekających na wyznaczenie kaucji albo załatwienie innych formalności. Wszyscy wyglądali groźnie i nieprzyjemnie.

Gliniarz otworzył z uśmiechem drzwi i skinieniem zaprosił aresztanta do środka.

– Przedstawiam wam kogoś sławnego – oznajmił. – Piszą o nim we wszystkich gazetach. Słyszeliście o Yeomanie, mścicielu z łukiem? Oto on.

Zachichotał raz jeszcze, zatrzasnął drzwi i oddalił się nieśpiesznie.

Brennan poczuł na sobie twarde spojrzenia i czekał na nieuniknione. Nie musiał czekać długo.

– Kurde – dobiegł głos z głębi celi. – Nie wygląda mi na takiego twardziela.

– Wygląda jak cipa – dodał ktoś inny. – Jeśli zabrać mu łuk i strzały,

zostanie tylko cipa.

Rozległ się cichy, ostrożny śmiech. Mężczyzna, który odezwał się pierwszy, przedarł się na przód grupy, spoglądając na opartego plecami o kratę Brennana. Był wysokim natolem o groźnym wyglądzie. Całe ramiona pokrywały mu tatuaże, a nos złamano mu już wiele razy. Ten drugi był niższy od Yeomana, ale potężnie zbudowany. Głowę miał łysą, a twarz pokrywała mu sieć blizn. Zaczęli się zbliżać do Brennana z obu boków. Reszta więźniów wycofała się w głąb celi.

– To cipa – zgodził się pierwszy mężczyzna. – Hej, cipo, cipo, cipo, mamy coś dla ciebie.

Yeoman przyglądał im się obojętnie. Gdy znaleźli się w jego zasięgu, odwrócił się nagle i uderzył prawą stopą, trafiając znajdującego się po prawej przeciwnika w krocze. Mężczyzna padł na podłogę z bulgoczącym dźwiękiem, po czym cały się obrzygał. Brennan złapał drugiego napastnika za ramię i walnął nim o kraty.

Drzwi się zatrzęsły, gdy zbiorczy uderzył w nie twarzą. Jego lewa ręka przeleciała na drugą stronę. Yeoman chwycił ją i wciągnął z powrotem do celi, owijając ją wokół dwóch krat. Mężczyzna zawył, gdy pękła mu kość. Brennan złapał go za przetłuszczone włosy i z całej siły rąbnął jego głową o kraty. Przebiła się przez metalowe pręty, ale zostawiła na nich sporo skóry i jedno ucho.

Wycie tamtego jeszcze się nasiliło. Yeoman odwrócił się i spojrzał na resztę więźniów.

– Ktoś jeszcze? – zapytał cicho.

Rozległy się przeczące mamrotania.

– A może ja? – zaproponował wysoki, kobiecy głos.

Banda zbiorczy rozstąpiła się niczym Morze Czerwone, gdy naga Jennifer wyłoniła się z tylnej ściany celi. Przywitały ją pełne zachwyty i niedowierzania szepty. Podeszła do Brennana i otoczyła go ramionami.

– Weź głęboki oddech – powiedziała mu i oboje zapadli się w podłogę celi.

To nie przypominało niczego, co Brennan dotąd przeżył. Było niemalże jak śmierć. Przeniknęli przez podłogę i wylądowali, lekko jak

piórka, na podłodze pomieszczenia znajdującego się poniżej.

Yeoman wysunął się z objęć kobiety i pośpiesznie rozejrzał wkoło. Było tu ciemno i cicho. Najwyraźniej znajdowali się w jakimś magazynie.

– Sprawdźmy, czy znajdzie się tu dla ciebie jakieś ubranie – zaproponował, ale Jennifer mu nie odpowiedziała. Sprawiała wrażenie oszołomionej i wyczerpanej. Spojrzała na niego dopiero wtedy, gdy dotknął jej ramienia. Nagle uświadomił sobie, że zdematerializowanie go musiało być dla niej strasliwym wysiłkiem. Znacznie przerastał masą wszystko, co do tej pory próbowała przenosić przez ściany.

– Dobrze się czujesz? – zapytał.

Skinęła głową, ale najwyraźniej nawet to było dla niej zbyt wielkim wyzwaniem. Osunęła się bezwładnie na zakurzoną podłogę. Pochylił się nad nią. Oddychała płytko i powoli. Jej tętno było słabe i urywane.

Z pewnością potrzebowała pomocy lekarza, ale Tachion, jedyny lekarz, któremu ufał Brennan, przebywał w Atlancie. Tak czy inaczej, nie miał czasu się tym gryźć. Potrzebowali jakiegoś miejsca, w którym się ukryją i wrócą do zdrowia. Potrzebowali azylu.



Jechał za nimi jakiś samochód.

Jay oderwał spojrzenie od wstecznego lusterka taksówki.

– Ktoś nas śledzi.

– Słucham?

Tachion odwrócił się nagle i wyjrzał przez tylne okno pojazdu, spoglądając podejrzliwie na jadące tuż za nimi volvo.

Jay dotknął jego ramienia.

– Spokojnie. Jest dobry. W ten sposób nigdy byś go nie zauważył. Panie kierowco – detektyw wyciągnął z kieszeni portfel – dostanie pan dodatkowo pięćdziesiąt dolców, jeśli uda się panu zgubić szarego dodge'a. Jakies trzy samochody za nami.

– Jasna sprawa, proszę pana – odpowiedział z uśmiechem taksówkarz.

Jay pogrzebał w portfelu i wyciągnął banknot dziesięciodolarowy oraz

trzy jednodolarowe. Zaklął pod nosem. Łapówka tu, łapówka tam i wkrótce zbiorą się poważne wydatki. Takizjanin mruknął z niezadowoleniem, dołożył brakującą sumę i wsadził banknoty do kieszeni koszuli taksówkarza. Kierowca nacisnął gaz i samochód skręcił z piskiem w lewo. Blaise uśmiechnął się szeroko.

– Zupełnie jak w Paryżu, *k'ijdad*.

– He? – zapytał Jay.

– Mniejsza z tym. Znasz już wystarczająco wiele moich sekretów – warknął Tach.

Jay obejrzał się za siebie.

– Cholera, jest dobry.

Tachion wiercił się nerwowo jak ptak.

– Co zrobimy?

– Zapewne nie będzie czasu na długie pożegnania.

Pojawił się przed nimi szyld Motelu 6.

– Sara również tam jest – oznajmił Tachion.

Minęła chwila, nim Jay zorientował się, o kogo chodzi. Sara Morgenstern, dziennikarka, która oskarżyła Hartmanna, że jest potworem. Ta sama, którą Mackie Majcher bezskutecznie próbował sprzątnąć.

– Jezu Chryste. Masz tam też cały skład nowojorskiej filharmonii? I może jeszcze Dodgersów?

– To nie jest śmieszne.

– Nie gadaj. Gaz do dechy, kolego.

Taksówka przyśpieszyła i skręciła na parking na dwóch kołach. Wszyscy pasażerowie wypadli z pojazdu, nim ten zdążył się zatrzymać. Jay rzucił przez ramię swą ostatnią dziesięciodolarówkę i popędził za dwójką towarzyszy. Ból w złamanym żebrze przypominał mu o sobie za każdym razem, gdy stopa detektywa dotykała asfaltu.

Drzwi otworzył im ciemnowłosa, sześćdziesięcioparoletni mężczyzna o okrągłej twarzy. Za jego plecami na łóżku leżała kobieta o jasnoblonde włosach. Przyciskała poduszkę do piersi, oglądając telewizję. Rosjanin cofnął się szybko, gdy wszyscy trzej wpadli do środka. Jay zatrzasnął

drzwi i zasunął rygiel. Tachion podbiegł do blondynki, pociągnął ją za rękę i podniósł z łóżka. Blaise objął Rosjanina.

– Nie ma czasu na wyjaśnienia – wydyszał Tachion. – Hartmann wie. Ktoś nas śledzi.

Złapał za suknię dziewczyny przy szyi i rozdarł tkaninę z głośnym trzaskiem.

Sara krzyknęła i próbowała się zasłonić rękami. Gapiła się na kosmitę, jakby ten nagle zwariował.

– Pod prysznic! – zawołał Takizjanin, popychając ją w stronę łazienki. Sara nie miała na sobie nic poza skąpym, koronkowym biustonoszem. Jay zauważył z zainteresowaniem, że jej włosy łonowe również mają jasny kolor. – Szybko! Nie wychodź stamtąd! Swoją drogą, wynajmujesz pokój na godziny.

Po drodze Tachion zerwał z niej biustonosz. Jay był pełen uznania dla jego zręczności.

Korytarzem zbliżały się ciężkie kroki.

Rosjanin przyjął to ze spokojem.

– Nie mamy czasu – stwierdził, obejmując Blaise’a.

– Mamy. Jay odeśle cię daleko stąd. Na Boga, Blaise, ruszaj się!

Starszy mężczyzna odsunął się od chłopaka.

– Otwierać! Otwierać te cholerne drzwi!

Detektyw znał ten głos. Carnifex.

– Teraz! – syknął niecierpliwie Tachion.

Jay wzruszył ramionami i wycelował w Rosjanina. Rozległ się trzask. Słowianin opuścił ich towarzystwo. Tachion złapał stojącą na kredensie butelkę wódki, przycisnął ją do piersi i rzucił się na łóżko.

Drzwi rozprysły się z trzaskiem. Billy Ray przeszedł przez ich szczątki, odsuwając tyłem głowy ostry odłamek drewna. Miał wielki rewolwer, taki, jakiego używał Brudny Harry. Przez kontrast z białymi rękawiczkami, elementem jego bojowego kombinezonu, broń wydawała się jeszcze większa i czarniejsza. Carnifex wycelował w Tachiona, co raczej ucieszyło Jaya.

– No dobra. Gdzie on jest? Gdzie się, kurwa, podział?

– He? – zapytał Ackroyd.

– Dupek! – Ray odepchnął pogardliwie detektywa grzbietem dłoni. Jay klapnął na podłogę. Carnifex rozejrzył się wkoło, zauważył szafkę i ucieszył się, jakby dokonał wielkiego odkrycia. Wyrwał jej drzwi z zawiasów, złapał garść ubrań i cisnął je na podłogę. Rosjanina tam nie było. Ray skrzywił się, opadł na kolana i zajrzał pod łóżko. Tam również nikogo nie znalazł. Wstał i ruszył ku drzwiom łazienki.

– Wyłaż stamtąd! Natychmiast!

– Hej, kochanie. To ilu chłopaków mam obsłużyć? – zawołała spod prysznica Sara z najgorszym południowym akcentem, jaki Jay w życiu słyszał.

Carnifex zmarszczył brwi i wszedł do kabiny. Usłyszeli, jak odciągnął szarpnięciem zasłonę. Sara krzyknęła. Następnie rozległ się policzek. Ray wrócił do pokoju z czerwoną plamą na twarzy. Białe kombinezon miał mokry, a minę ponurą.

– On tu był – wydyszał. – Cholerny Rosjanin tu był.

– Rosjanin? – Jay spojrzał na Tacha, wzruszając ramionami. – Nie widzę tu żadnego Rosjanina. Może ty widzisz? A nasza policzkująca ślicznotka z pewnością nie mówi jak Rosjanka. Za Rosjanki płaci się więcej.

– Dlaczego przede mną uciekaliście?

Tachion pociągnął długi łyk z butelki.

– Bałem się, że to prasa, a nie chciałem, żeby mnie przyłapali z prostytutką.

– Zawsze zabierasz ze sobą chłopaka? – zapytał Ray, kierując czterdziestkę czwórkę w stronę Blaise'a.

– Czy mógłbyś schować ten rewolwer? Denerwuję się, kiedy tak nim machasz. No wiesz, większość ofiar broni palnej to przypadkowe postrzały.

– To nie byłby przypadek. Odpowiedz na pytanie, do chuja.

Tachion odchrząknął delikatnie.

– No cóż, mówiąc krótko, pora, by chłopak zaczął się uczyć. – Rozejrzył się po motelowym pokoju. – To może nie jest otoczenie,

jakiego bym pragnął, ale dziewczyna jest bardzo dobra. Sam ją wypróbowałem poprzedniej nocy. Oczywiście, nikt nie mógłby się równać z kobietą, którą ojciec podarował mi na czternaste urodziny...

Zniesmaczony Carnifex wypadł z pokoju. Ackroyd popatrzył na Tachiona z większym szacunkiem.

- Czternaste? - zapytał. - Nie robisz sobie jaj?
- Och, przestań wreszcie.

13:00

Brennan zniósł Jennifer, owiniętą w jego dzinsową kurtkę, na dół, do kanałów. Stan kobiety wyraźnie się pogarszał. Skórę miała na przemian zimną i gorącą. Szeptała jakieś słowa, których Yeoman nie był w stanie pojąć.

Szedł tak szybko, jak tylko było to możliwe w panującym w kanale półmroku. Od czasu do czasu zatrzymywał się, kładł Jennifer na betonie, a następnie wychodził na powierzchnię, by sprawdzić, czy idzie właściwą trasą. Zawsze miał dobre wyczucie kierunku, czy to na ziemi, czy pod ziemią. Skręcił w niewłaściwą stronę tylko kilka razy, nim wreszcie dotarł na miejsce, do Naszej Pani Wiecznie Cierpiącej. Wyniósł kobietę na powierzchnię i zaniósł ją na probostwo znajdujące się w przybudówce z tyłu kościoła. Kopnął w drzwi kilka razy, nim wreszcie Ojciec Kałamarnica je otworzył. Wyraz irytacji na jego twarzy szybko przerodził się w zaskoczenie i troskę.

- Boże miłosierny, co się stało? - zapytał.
- Za chwilę wszystko ci opowiem, ojcze - zapewnił Brennan, odpychając kapłana na bok. - Na razie musimy sprowadzić lekarza. Takiego, który potrafi trzymać gębę na kłódkę. Znasz kogoś w tym rodzaju?
- Hmm, jest Pan Szkielet...
- Sprowadź go.
- Ale on nie jest prawdziwym lekarzem.

– A czy jest dobry?

Ojciec Kałamarnica skinął głową.

– Tutejsi mieszkańcy bardzo go szanują. Czasami odnoszę wrażenie, że wie o fizjologii dzokerów więcej niż Tachion.

Brennan skinął głową.

– W porządku. Sprowadź go.

Ojciec Kałamarnica popędził do sypialni, żeby wykonać telefon. Tymczasem Brennan ostrożnie położył Jennifer na sfatygowanej sofie i pozwolił odpocząć zmęczonym rękoma. Uklęknął przy niej i dotknął jej czoła. Znowu było zimno, choć po jej twarzy spływały strużki potu.

Kiedy ścisnął jej rękę, dłoń zaczęła się dematerializować w jego uścisku. Kobieta przechodziła ze staniu materialnego do widmowego i z powrotem, nieświadomie i niepowstrzymanie.

– Jennifer! – zawołał, próbując ją obudzić, ale nie usłyszała go. Bał się nią potrząsać, bał się w ogóle jej dotykać.

Skórę miała białą jak papier, oddychała rzadko i płytko.

Ojciec Kałamarnica wrócił ze swego małego pokoiku. Przyniósł koc, który zarzucił delikatnie na jej ramiona.

– Zastałem go w domu. Wkrótce się zjawi. A teraz powiedz mi, co się właściwie wydarzyło.

– Pewnie jestem ci to winien – przyznał Yeoman ze zmęczeniem w głosie. Usiadł na podłodze obok Jennifer, zapewnił duchownego, że nie chce kawy, i opowiedział mu o wszystkim, co się tego dnia stało.

Kiedy mówił, połowa jego umysłu potępiała obsesję, która doprowadziła jego i Jennifer do tej sytuacji, druga zaś połowa zastanawiała się nad Pałacem i tajemniczymi sąsiadami Poczworki, a także nad tym, jak przedostać się przez otaczający budynek kordon policji.

Gdy Yeoman skończył opowieść, ktoś zapukał do drzwi probostwa, powoli i miarowo. Ojciec Kałamarnica wstał i wpuścił do środka wysokiego, czarnoskórego mężczyznę wyglądającego jak rezurekcjonista z filmu z Borisem Karloffem. Pan Szkielet był wiekowy i wychudzony. Nosił białą koszulę i stary, czarny garnitur. Strój był czysty i starannie

połatany, ale rękawy i nogawki były stanowczo za krótkie w stosunku do długich, cienkich kończyn właściciela.

Zważywszy na to wszystko, dzoker nie wyglądał aż tak źle. W gruncie rzeczy para pierzastych czułek wyrastających z jego czoła sprawiała całkiem sympatyczne wrażenie. Gdy Ojciec Kałamarnica przedstawił go Brennanowi, czułki poruszyły się jak paprocie na delikatnym wietrze.

– To jest pacjentka? – zapytał Szkielet, klękając przed Jennifer. Złapał ją za rękę, by zbadać tętno, i pochylił się bardzo nisko, przesuwając głowę wzdłuż jej ciała w górę, a potem w dół. Jego czułki drżały i obracały się jak czujniki radarowe.

– Jak z nią, doktorze? – zapytał cicho Yeoman.

– Nie jestem lekarzem – odpowiedział Szkielet, nie przestając przesuwać czulek nad ciałem kobiety. Po chwili zakołysał się na piętach, spoglądając na Brennana i Ojca Kałamarnicę.

– Jej organizm doznał poważnego szoku. W tej chwili wszystko, co mogę dla niej zrobić, to pozwolić jej odpocząć. – Nakrył Jennifer kocem i wstał. – I mieć nadzieję, że wszystko będzie dobrze.

16:00

– Powiedz mi, Nephi – odezwał się Jay. – Czemu właściwie tu jesteś? Federalni dobrze płacą czy co?

Tachion siedział w hotelu Hyatt Regency, rozmawiając ze swoim nowym kandydatem, i Ackroyd znudził się już czekaniem.

As będący ochroniarzem Jessego Jacksona popatrzył na detektywa jak na jakiś ropiejący wrzód. Wysoki, chudy mormon miał rzedniejące włosy i wynędzniałą twarz o rzeźbionych rysach. Jay nigdy dotąd nie spotkał nikogo, kto trzymałby się tak prosto. Prasa zwała go Proszą Strzałą, ale na identyfikatorze, który nosił na piersi, widniało nazwisko Nephi Callendar.

– Niektórzy z nas nie dbają o osobiste zyski – oznajmił Jayowi. – Niektórzy z nas są wdzięczni, że mają szansę służyć Bogu i krajowi.

– Jasne – odpowiedział z uśmiechem detektyw. – A niektórzy po prostu lubią bić ludzi.

Prosta Strzała zmarszczył brwi i odwrócił wzrok.

– Słyszałem, że w niedzielę wieczorem Carnifex wdał się w bijatykę – dodał od niechcienia Jay. – A może to było w poniedziałek rano? Spuścił jakimś facetowi porządny łomot.

– Czy to prawda? – zapytał Callendar bez zbytniego zainteresowania. – Nie wiem. Jestem pewien, że nie użyto więcej siły, niż to było konieczne. Ray to doświadczony agent o bardzo dobrym przebiegu służby.

– Do tego świetnie się ubiera – dodał Ackroyd. – Ja raczej nie mógłbym nosić białych łachów. Piekielnie trudno utrzymać to wszystko w czystości. Twoje ubranie podoba mi się znacznie bardziej. – Mormoński as nosił szary mundur wyjściowy szyty na zamówienie. Wyglądał bardzo porządnie i wojskowo, dopóki nie zauważyło się insygniów Departamentu Sprawiedliwości na rękawach oraz ciemnoczerwonych galonów na czapce i na epoletach. W kołnierz wpiął sobie ozdobioną klejnotem szpilkę w kształcie płonącej strzały. – Przysługuje wam darmowe pranie czy sami musicie płacić za czyszczenie strojów? – zainteresował się Ackroyd.

Prosta Strzała wymownie spojrzała na fioletowobrazowy garnitur Jaya.

– Radziłbym go spalić, zamiast prać.

– Bardzo zabawne – odparł detektyw. – To są łachy Tachiona. Podejrzewam, że będzie chciał je odzyskać. Nie pytaj mnie po co.

– Skąd to nagłe zainteresowanie praniem?

– Kiedy przestawiono mi nos, pobrudziłem krwią swoją szczęśliwą koszulę. – Siniaki przybrały dziś piękną, zielonkawożółtą barwę. – Wiesz, jak to jest, kiedy ma się szczęśliwą koszulę. Pomyślałem sobie, że federalni znają miejsce, gdzie mógłbym ją wyprać. Słyszałem, że Carnifex cały się upaprał krwią po tej niedzielnej bójce.

– Nie powinieneś wierzyć we wszystko, co słyszysz, Ackroyd – odparł Callendar. – O ile mi wiadomo, Ray towarzyszył w niedzielę senatorowi Hartmannowi, do którego go przydzielono. Gdyby doszło do sytuacji,

która zmusiłaby go do użycia siły, zgodnie z regulaminem musiałby złożyć raport. Żaden taki raport nie wpłynął.

Nim Jay zdążył odpowiedzieć, przez frontowe drzwi Hyatta wyszli Tachion i Jesse Jackson. Na chodniku było pełno zwolenników Jacksona trzymających tabliczki z napisem „Jesse!”. Prosta Strzała niestrudzenie przesuwiał wzrokiem po tłumie, zwracając uwagę na twarze. Tachion i Jackson złapali się za ręce i unieśli je nad głowy. Czarnoskóry mężczyzna był znacznie wyższy od Takizjanina, który musiał stanąć na palcach.

Rozległy się ochryple okrzyki. Obaj mężczyźni ruszyli do limuzyny, uśmiechając się do otaczających ich gapiów i ściskając im dłonie. Jackson robił to z wielką wprawą, ale Takizjanin sprawiał wrażenie mocno skrępowanego.

– I co teraz? – zapytał go Jay, gdy już dotarli do pojazdu.

– Jesse chce, żebyśmy przemówili do dzokerów pod Omni – wyjaśnił Tachion, niemal omdlewający od panującego upału. – Obaj. Jego program w kwestii dzikich kart właściwie nie różni się od programu Hartmanna. Gdyby tylko chcieli go wysłuchać.... – Westchnął przeciągle. – Jay, jeśli masz jakieś inne tropy do sprawdzenia, nie musisz z nami jechać.

Detektyw zastanawiał się nad tym przez chwilę. Właściwie nie został mu już żaden trop warty sprawdzenia.

– Równie dobrze mogę pojechać – odparł. – Nie umiem tańczyć.

W limuzynie klimatyzację nastawiono na maksa, ale Tachion wyraźnie oklapł, gdy tylko zniknął z oczu gapiom. Nawet Jay widział, jak bardzo Takizjanin boi się stawić czoło dzokerom, którzy zebrali się pod centrum konferencyjnym. Wielu z nich uważało go za zdrajcę, ponieważ opuścił Hartmanna w godzinie potrzeby.

– Znienawidzili mnie – stwierdził z rozpaczą, patrząc na tłum przez przyciemnione szyby.

– Tylko niektórzy – odpowiedział Jackson, gdy limuzyna się zatrzymała. – W końcu nie przeniósł pan swojego poparcia na Barnetta. Ja chyba nie jestem aż tak odrażający, nieprawdaż?

– Nie dla mnie. – Tachion uściśnął ramię wysokiego Ziemianina. Jay nie był pewien, który z nich próbuje dodać odwagi któremu. – Jestem pewien, że zdoła ich pan przekonać.

– Niech mi pan trochę pomoże.

– Zrobię, co tylko w mojej mocy – zapewnił Takizjanin.

Drzwi czarnej limuzyny się otworzyły i wszyscy kolejno wysiedli. Agenci Secret Service noszący ciemne garnitury i okulary przeciwsłoneczne przyglądali się podejrzliwie tłumowi. Grupa mundurowych gliniarzy utworzyła wąskie przejście prowadzące do obwieszanej czerwonymi sztandarami Jacksona ciężarówki z platformą, gdzie czekały mikrofony. Ze wszystkich stron otaczał ją tłum dzokerów. Niektórzy tylko gapili się w milczeniu. Inni uśmiechali się i głośno wyrażali swe poparcie. Jeszcze inni wykrzykiwali obelgi. Wszyscy prążyli się w straszliwym upale.

– Jak mogą tak ich nienawidzić? – zapytał żałośnie Tachion, nie zwracając się do nikogo w szczególności. – Są tacy nieszczęśliwi i odważni. Tak bardzo odważni.

Gliniarze starali się powstrzymać masy wynaturzonych ludzi napierające na kordony. Jackson i jego towarzysze ruszyli powoli w stronę platformy. Ze wszystkich stron wyciągały się do nich ręce, nad połączonymi ramionami policjantów, nad ich barkami, wokół ich pleców. Jesse ruszył wzdłuż kordonu. Ścisnął kolejno ręce każdemu dzokerowi, a potem przechodził do następnego. Takizjanin robił to samo po drugiej stronie, choć z mniejszym entuzjazmem. Jakiś stary mężczyzna ze skrzelami splunął mu w twarz. Inni próbowali całować jego pierścień.

Jay szedł kilka kroków za nimi, trzymając ręce głęboko w kieszeniach. Prosta Strzała szedł u jego boku, z uwagą obserwując Jacksona. Szerokie czoło mormońskiego asa zrosiły liczne krople potu.

Nad nimi przeleciał Żółw. Nocą ktoś namalował na jego skorupie napis „Hartmann!” srebrnymi literami wysokimi prawie na metr.

Za dwoma policjantami pojawiła się potężna, blada sylwetka o okrągłej jak księżyc twarzy. Intruz przedarł się przez kordon i ruszył w stronę

Tachiona. Ludzie z Secret Service sięgnęli po broń.

– Spokojnie – odezwał się Jay. – To Klucha. Jest upośledzony, ale nikomu nie zrobi krzywdy.

Prosta Strzała rozważył słowa detektywa i skinął krótko głową. Agenci się uspokoili. Klucha i Tachion wymienili kilka słów. Kosmita sprawiał wrażenie, że zaraz się rozpłacze.

– Nie znoszę tego – mruknął Prosta Strzała.

W tłumie rozległy się okrzyki „zdrajca!”. Tachion zatrzymał się i skrył twarz w dłoniach. Jesse objął jego ramiona i wyszeptał mu do ucha słowa zachęty. Tach ruszył przed siebie, choć jego uśmiech nadal wyglądał sztucznie. Ucisnął pletwę beznogiego dzokera, który zdołał się przedostać między nogami policjantów. Powiedział kilka słów, uśmiechnął się i ruszył w dalszą drogę. Kolejne ręce wyciągały się ku niemu.

Chudy nastolatek w wytartej skórzanej kurtce przedał się przez tłum i stanął uśmiechnięty zaledwie trzy osoby od Tachiona. Jak, do licha ktokolwiek mógł w takim upale ubierać się w skórę? – zadał sobie pytanie Jay.

Chciał już odwrócić wzrok, gdy coś – głód widoczny na twarzy chłopaka, chciwy błysk w jego oczach – przyciągnęło jego uwagę.

Takizjanin leciutko dotknął wypaczonych palców cuchnącego dzokera pokrytego wielkimi, sączącymi ropą czyrakami. Twarz kosmity nieco pozieleniała, ale zmusił się do uśmiechu.

Jeden z barków chłopaka znajdował się wyżej od drugiego.

– NIE! – zawołał Jay i ruszył naprzód, wyjmując ręce z kieszeni.

Chłopak ucisnął dłoń Tachiona.

– Jestem Mackie Majcher – oznajmił i uruchomił piłę.



– W tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym studiowałem medycynę – zaczął Pan Szkielet w przerwie między łykami herbaty – aż nagle z nieba spadła dzika karta. Moje deformacje nie były zbyt wielkie, ale

wystarczyły, by wyrzucono mnie z uczelni. Już sam fakt, że czarny człowiek studiował medycynę, był czymś niezwykłym. Czarnego dzokera nie można było tolerować.

– Używa pan do pracy swoich czułek, prawda? – zapytał Brennan.

Dzoker skinął głową.

– Po pewnym czasie przekonałem się, że są dla mnie jak szósty zmysł, coś pośredniego między węchem, smakiem a dotykiem. Pewnie równie trudno to opisać, jak wzrok niewidomemu. Z biegiem lat nauczyłem się dzięki nim wykrywać wszystko, co jest nie w porządku z moimi pacjentami.

Odstawił kubek i spojrzał na Jennifer. Kobieta jęknęła głośno. To był pierwszy dźwięk, jaki wydała z siebie od kilku godzin. Dzoker przesunął czułkami nad jej ciałem i posłuchał bicia serca.

– Niech mi pan poda torbę – powiedział Brennanowi.

Yeoman przyniósł ją i postawił przed Szkieletem. Dzoker wyjął strzykawkę i buteleczkę z przezroczystym płynem, po czym zrobił kobiecie zastrzyk. Oddychała szybko i niepewnie, jej czoło zrosił pot. Usiadła.

– Danielu, gdzie jesteś? Danielu?

Najwyraźniej go nie widziała, mimo że stał tuż przed nią.

Szkielet przesunął się i skinął na Brennana, wskazując mu, by zajął jego miejsce. Yeoman uklękła i objął kobietę. Uczepiła się go kurczowo. Skórę miała zimną, chociaż ociekała potem.

– Danielu – wyszeptał i nagle zwiśla bezwładnie w jego ramionach. Brennan spojrzał z rozpaczą na Szkieleta, który położył mu na ramieniu wielką, sękatą dłoń.

– Wszystko w porządku, synu. Połóż ją ostrożnie. Myślę, że kryzys już minął.

Yeoman odsunął Jennifer na długość wyciągniętej ręki i przyjrzał się jej. Spała głęboko. Jej oddech był silny i miarowy. Położył ją na poduszce. Westchnęła i odwróciła się na bok.

– Potrzebuje snu – stwierdził Szkielet. – Podam jej środek uspokajający. Nie powinno się jej ruszać przez co najmniej dwadzieścia

cztery godziny.

Brennana zalała potężna fala ulgi.

– Wyzdrowieje? – zapytał.

Dżoker skinął głową.

– Dziękuję, doktorze... to znaczy Panie Szkielecie. Ile się należy?

Szkielet wzruszył chudymi ramionami.

– Nie mam ustalonych cen. Moi pacjenci płacą tyle, na ile ich stać.

Yeoman sięgnął po sztruksową marynarkę przerzuconą przez oparcie krzesła stojącego obok kanapy, wyjął z ukrytej kieszeni wszytej w podszewkę zwitek banknotów i podał wszystkie Szkieletowi.

– To wszystko, co mam przy sobie – oznajmił. – Jeśli kiedykolwiek będzie pan czegoś potrzebował, podam panu numer, pod którym można mnie odnaleźć. Zrobię wszystko, co tylko będę mógł.

Brennan napisał numer na kawałku papieru, który wziął z sekretarzyka Ojca Kałamarnicy, i podał go Szkieletowi. Dżoker przeliczył pieniądze, które od niego dostał.

– Jest pan bardzo szczodry – oznajmił.

Yeoman potrząsnął głową, przyglądając się śpiącej spokojnie na kanapie Jennifer.

– Nigdy nie zdołam się panu odwdzińczyć za to, co pan dla mnie zrobił. Zawsze pozostanę pańskim dłużnikiem.



Przez wysoki, przenikliwy krzyk Tacha przebijał się ohydny, wilgotny dźwięk piły mechanicznej przecinającej ciało. Kawałki mięsa i kości leciały na wszystkie strony. Chłopak stał spokojnie, kropelki krwi Tachiona padały mu na twarz, rękę i skórzaną kurtkę z szumem przypominającym letni deszcz. Cały czas się uśmiechał, rozchylając lekko usta i przesuwając językiem wzdłuż dolnej wargi.

Jay miał wrażenie, że porusza się w zwolnionym tempie. Uniósł rękę, układając palce w pistolet...

Tachion zatoczył się do tyłu. Z kikuta jego prawej ręki tryskała krew.

Ręce chłopaka zmieniły się w niewyraźne plamy. Jeden z gliniarzy złapał go za kurtkę. Napastnik uciął mu rękę na wysokości ramienia, jakby to była najłatwiejsza rzecz na świecie, i ponownie zwrócił się w stronę Tachiona. Kosmita osunął się na kolana. Chłopak wyciągnął do niego rękę, niemal delikatnie, jakby chciał popieścić jego policzki, pogłaskać go po długich, rudych włosach.

Ale Ackroyd wyciągnął już rękę. Nikt nie usłyszał trzasku. Zbyt wielu ludzi krzyczało. Mackie Majcher po prostu zniknął.

Osołomiony, drżący Jay ledwie zauważył wysokiego, jasnowłosego mężczyznę, który wypadł po chwili z tłumu, spowity w żółty blask niczym świetlik, i zatoczył niemal pełen krąg, próbując uderzyć zabójcę, którego już tam nie było.

– Kto to zrobił? – krzyknął.

Wszędzie wokół ludzie biegali we wszystkie strony, wpadając na siebie. Agenci Secret Service obalili Jessego na ziemię i nakryli go ciałami.

– Karetka! – wołał czyjś odległy głos. – Niech ktoś wezwie karetkę! Cholera, cholera, niech ktoś wezwie karetkę!

Wszyscy wymachiwali pistoletami, a mormoński as unosił nad głową płonąca strzałę. Kamerzyści krążyli wkoło na podobieństwo rekinów. Jay usłyszał, że ktoś powiedział „Ackroyd”, ale nie był pewien, kto to był. Policjant nadal koszmarnie wrzeszczał, ale Tachion umilkł. Gdy detektyw zdołał wreszcie do niego dotrzeć, kosmita leżał na ziemi, nieruchomy jak śmierć. Oczy miał zamknięte, a prawą rękę przyciskał do piersi. Z nadgarstka tryskała mu krew. Koronki na jego koszuli zrobiły się czerwone jak jego włosy. Jay poczuł, że za jego plecami coś się pali. Potem odepchnięto go brutalnie na bok. Prosta Strzała uklękła przy Tachionie. Detektyw obserwował wydarzenia przez mgłę szoku i dezorientacji. Mormoński as unióśł dłonie nad krwawiącym kikutem. Z jego palców trysnęły jasnożółte płomienie. Powietrze wypełniła woń płonącego mięsa. Ciało Tachiona szarpnęło się lekko. Gdy Callendar wstał, kikut był czarny i przypalony. Dwóch ratowników medycznych położyło kosmitę na noszach. Jay nie był pewien, w którym momencie się zjawili.

– Ackroyd – odezwał się ktoś. Detektyw rozejrzał się wkoło. Prosta Strzała mówił do niego. – Dokąd go wysłałeś?

Jay nie był w stanie myśleć jasno.

– Ach – odezwał się. Nadal zaciskał dłoń na kształt pistoletu. Poruszył palcami, a potem przesunął nimi po włosach. – O Jezu.

Dotykał dłońmi różnych części ciała, by się upewnić, że nic nie jest uszkodzone.

– Kim jesteś, do cholery? – ryknął wysoki, jasnowłosy mężczyzna, wyglądający niemal równie młodo jak chłopak w skórzanej kurtce.

– To Jay Ackroyd – wyjaśnił Prosta Strzała. – Prywatny detektyw. Mówią na niego Rzutnik.

– Miałem skurwysyna! – Blondyn zacisnął pięść, miażdżąc trzymaną w niej paczkę papierosów. Najwyraźniej nawet nie zdawał sobie sprawy, że trzyma ją w dłoni. – Mogłem z niego zrobić miazgę! Niech to chuj!

Wypuścił zgniecioną paczkę i kopnął ją w tłum.

Jay nagle poznał Złotego Chłopca. Pogłoski o śmierci Brauna z pewnością były przesadzone. Nigdy mi o niczym nie mówią, pomyślał detektyw.

– Dokąd go wysłałeś, Ackroyd? – zapytał Prosta Strzała.

– Przerzuciłem go...

Jayowi nagle zaschło w ustach. Kiedy oblizął wargi, poczuł smak krwi. Mormoński as złapał go za kłapy i potrząsnął nim.

– Dokąd wysłałeś zabójcę?

– Aha. Do Nowego Jorku. Do więzienia Tombs.

Prosta Strzała go puścił.

– W porządku.

Ale Złoty Chłopiec był znacznie mniej zadowolony.

– On umie przechodzić przez ściany! – wrzasnął. Najwyraźniej uważał, że każde słowo należy wykrzykiwać. Detektyw zaczynał rozumieć, dlaczego Braun nie zrobił kariery jako aktor. – Na pewno już go tam nie ma!

Mormoński as miał mocno skwaszoną minę. Westchnął przeciągle, a potem odwrócił się i odszedł. Jay podążył za nim, zostawiając Brauna

jego popisom aktorskim.

– Co z Tachionem? – zapytał, łapiąc Callendara za ramię. – Czy będzie żył?

– Tylko Bóg może odpowiedzieć na to pytanie, Ackroyd. Módl się.

18:00

Brennan siedział na probostwie Ojca Kałamarnicy, czekając, aż zapadnie zmrok. Kapłan poszedł wykonać dla niego pewne zadanie. Jennifer nadal spała spokojnie na kanapie. Yeoman włączył mały, czarno-biały telewizor, ściszył dźwięk niemal do zera i z niedowierzaniem oglądał wydarzenia, do których doszło dziś w Atlancie.

Najważniejszym z nich była utrata ręki przez Tachiona. Pokazywano to ze wszystkich możliwych ujęć, w boleśnie zwolnionym tempie. Powtórek było tak wiele, że Yeoman pomyślał, iż zaraz zrobi mu się niedobrze. Na zakończenie podano, że Takizjanin stracił mnóstwo krwi i przeszedł poważny wstrząs, który może jeszcze okazać się śmiertelny.

Brennan modlił się, by niski kosmita przeżył. Byli przyjaciółmi i towarzyszami broni, razem walczyli z Rojem i z Widmowymi Pięściami. Yeoman był też przekonany, że Tachion to jeden z nielicznych ludzi na Ziemi, którzy rozumieją jego motywacje. Takizjanin wiedział, co zmusiło go do walki z Kieniem i jego organizacją. Obaj mieli równie silne poczucie obowiązku.

Oglądając po raz kolejny krwawą scenę, Brennan rozpoznał nagle jednego z obecnych tam ludzi. U boku Tachiona stał Rzutnik. Po co, do licha, detektyw poleciał do Atlanty? Czy porzucił poszukiwania zabójcy Poczwaraki, czy też jakieś wskazówki zaprowadziły go na konwencję?

Gdy zastanawiał się nad tym wszystkim, wrócił Ojciec Kałamarnica. Duchowny przyniósł torbę sportową i wielką skórzaną walizkę.

– Nie jestem pewien, czy powinienem cię zachęcać w tej sprawie,

Danielu – oznajmił z powagą, kładąc obie przed Yeomanem.

– Nie zachęcasz mnie, ojcze. Wiesz, że robię tylko to, co trzeba zrobić.

Otworzył walizkę i wyjął z niej zapasowy łuk. Pierwszy zabrała policja, podobnie jak większość jego strzał, ale zostało mu jeszcze trochę w zapasie. Miał nadzieję, że to wystarczy.

Otworzył torbę sportową i wyjął z niej czarny kombinezon. Powiesił go na krześle i czekał na nadejście ciemności.

20:00

– Szkoda, że nie ma tu George'a – odezwał się Blaise.

Jay przez chwilę myślał, że chłopak ma na myśli George'a Busha. W szpitalnej poczekalni były dwa telewizory. Na obu pokazywano relację z konwencji i komentatorzy bardzo często wspominali o George'u Bushu. Chciał już powiedzieć chłopakowi, że republikanin to ostatnie, czego w tej chwili potrzebują, ale nagle uświadomił sobie, że Blaise ma na myśli swego starszego wesołego wujka z KGB.

– George jest w Nowym Jorku – oznajmił chłopakowi. Mackie Majcher również tam przebywał, ale nie było go w więzieniu Tombs. Jay tam zadzwonił. Mackie wpadł w szal, zrobił z dwóch współwięźniów siekane mięso, a potem po prostu wyszedł sobie przez kraty.

Raz po raz oczami duszy oglądał jatkę przed Omni, jakby była kiepskim horrorem. Jack Braun był jednym z największych fiutów wszech czasów, ale być może miał rację, twierdząc, że Jay mimo woli uratował Mackiego Majchra, przerzucając go, zanim Złoty Chłopiec zdążył go dorwać. A może uratował Tachionowi życie. Po prostu nie mógł być tego pewien. Bez względu na to, czy Braun naprawdę zdołałby załatwić Mackiego, przeniesienie go do Tombs było koszmarnym błędem. Było wiele innych miejsc, pustych i odludnych, gdzie nikt by nie zginął. Mackie był psycholem, detektyw dowiedział się o tym od Kopacza i powinien był zastanowić się nad tym, jak zareaguje zabójca, gdy nagle znajdzie się w celi. Nie miał jednak czasu na myślenie.

Wszystko wydarzyło się cholernie szybko...

Nad jego głową bzyczał giez. Jay odegnał go z westchnieniem. Popołudnie się skończyło. Co się stało, to się nie odstanie. Będzie musiał z tym żyć. Przez bardzo długi czas.

Zostali sami w poczekalni. Kilku reporterów czekało jeszcze na schodach na zewnątrz, ale do samego szpitala wpuszczano tylko członków rodziny, przyjaciół i vip-ów. Podczas pierwszej godziny czuwania było ich całkiem sporo. Dziesiątki dzokerów przychodziły i odchodziły. Niektórzy przynosili kwiaty, książki albo inne wyrazy uznania. Podczas przerwy na kolację Hiram Worchester siedział z nim przez prawie godzinę, błady i milczący.

– Muszę wracać na konwencję – oznajmił i wreszcie wstał. – Powiedz mu, że tu byłem.

Jay obiecał, że to zrobi. Leo Barnett podczas swojej wizyty modlił się za Tachiona przed kamerami telewizji.

– Panie, wysłuchaj mnie i ocal tego grzesznika – rzekł. – Daj mu czas, by mógł wreszcie osiągnąć mądrość, poznać Twoją moc i Twoje miłosierdzie, o Panie, i przyjął Cię do serca jako swego osobistego zbawcę.

Carnifex wpadł na chwilę, pokazał identyfikator i przesłuchał jednego z lekarzy. Jay siedział za daleko, by cokolwiek podsłuchać, ale Ray sprawiał wrażenie usatysfakcjonowanego. Jakiś koleś w taniej gumowej masce żaby został tu najdłużej, spacerując niespokojnie po poczekalni, gdy czekali na wiadomości, ale w końcu i on wyszedł, równie cicho, jak się zjawił. Zostali tylko Jay i Blaise.

– Myślisz, że Tachion umrze? – zapytał chłopak. Nie sprawiał wrażenia, by zbytnio się przejmował tą perspektywą. W jego głosie słychać było raczej cczą ciekawość niż strach.

– Nie – zaprzeczył Jay. – Gdyby miał umrzeć, to już by się stało. Jak długo tu siedzimy? Trzy godziny? Jego stan na pewno już się ustabilizował.

Nie był pewien, kogo próbuje uspokoić, chłopaka czy samego siebie.

– Jeśli umrze, Małeńka będzie moja – zadumał się Blaise.

– Malańka? – zdziwił się Jay. – Co za Malańka?

– Jego gwiazdolit – wyjaśnił chłopak z dziecinną pogardą dla dorosłego, który nie wiedział czegoś, co jego zdaniem wszyscy powinni wiedzieć. – To głupia nazwa. Kiedy statek będzie mój, wymyślę lepszą.

– Tachion jeszcze nie umarł – zauważył Jay.

Blaise ziewnął. Rozwalił się na krześle w niedbałej pozycji, mającej oznaczać, że nic go to wszystko nie obchodzi. Nogi oparł na stoliku.

– Czy to rzeczywiście wyglądało tak makabrycznie, jak mówią? – zapytał z zainteresowaniem. Nieustannie poruszał oczami, śledząc krążącą wokół jego głowy muchę. – Facet z Secret Service, który mnie tu przywiózł, mówił, że w powietrzu fruwała krew, palce i tak dalej.

– Było paskudnie – przyznał Jay. Ta rozmowa sprawiała, że czuł dyskomfort.

– Założę się, że płakał – stwierdził z pogardą chłopak. – Szkoda, że nie pozwolił mi pojechać ze sobą. Ja złapałbym tego gościa umysłem, o tak!

– Wyciągnął nagle rękę i chwycił muchę w zaciśniętą pięść. – Mógłbym mu rozkazać, żeby sam się pociął. – Blaise zacisnął pięść. – To by było coś – dodał od niechcienia. Otworzył dłoń i przyjrzał się szczątkom owada z osobliwym uśmiechem na twarzy.

Jay nagle wyobraził sobie, jak niski garbaty zabójca obcina sobie kolejne palce, śpiewając przy tym „Jestem małym czajniczkiem”, podczas gdy z kikutów tryska krew.

– Wiesz co, Blaise? – odezwał się. – Strasznie dziwny z ciebie dzieciak.

Niewykluczone, że był dla niego zbyt surowy. Chłopak mógł być w szoku, przerażony myślą, że utraci jedyne żyjącego krewnego. Być może ukrywał strach pod maską obojętności i młodzieńczej brawury. Jednakże detektyw raczej w to wątpił.

Chłopak obrzucił go butnym spojrzeniem. Jego zmierzwione włosy miały lśniący, rudy odcień, a oczy były fioletowe, tak ciemne, że wydawały się niemal czarne. W ostrym blasku jarzeniówek oświetlających poczekalnię wyglądały jak kałuże fiołkowego atramentu.

– Nie jestem dzieckiem – poinformował Jaya. – Na Takis opuszczałbym już pokoje dla kobiet.

- Typowe - poskarżył się detektyw. - Gdy tylko robisz się wystarczająco dojrzały, by tego pragnąć, natychmiast cię wyganiają.

21:00

Tunele były mroczne, opustoszałe i bardzo ciche. Brennan się tego spodziewał. Wiedział, że policja otoczyła kordonem Kryształowy Pałac, ale miał nadzieję, że gliniarze nie wiedzą o tajnym przejściu podziemnym wybudowanym na polecenie Poczwaraki.

Rzeczywiście nie wiedzieli. A przynajmniej, jak dotąd, wszystko na to wskazywało. Brennan opuścił probostwo Ojca Kałamarnicy, który nadal czuwał nad sypialnią Jennifer, i szedł pod ziemię w odległości dwóch przecznic od Pałacu. Porzucił Główną Linie przy Henry Street, schodząc do tunelu, którym dotarł do Pałacu tego dnia, gdy zaskoczył Kuriozum w sypialni Poczwaraki.

Przypomniał sobie, że tunel ma krótką odnogę, której nigdy dotąd nie zbadał. Zatrzymał się przed nią, zastanawiając się, co robić dalej. Jedynym źródłem światła był słaby blask latarki, którą trzymał w jednej ręce. W drugiej miał już złożony łuk.

Gdy tak stał, debatując z samym sobą, nagle usłyszał dźwięk dobiegający z tunelu przed nim. Był cichy, brzmiał jak dziesiątki małych nóżek, które próbują się nie poruszać. Skierował snop światła w mrok, ale nie dało mu to zbyt wiele.

Nie chciał, by blask latarki wystawiał go na cel w ciemnym poza tym tunelu, nie potrafił jednak zdobyć się na to, by ją wyłączyć i zostać w nieprzeniknionym mroku.

Położył latarkę na ziemi, odsunął się, wyjął strzałę z kołczana i nałożył ją na cięciwę.

Gdy wyszedł z kręgu bladego światła, usłyszał głos. Jej głos.

- Danielu, mój drogi łuczniku. Nie musisz się mnie bać.

To był głos Poczwaraki. Albo jej ducha. Nie sposób było temu zaprzeczyć.



Dwuskrzydłowe drzwi poczekalni otworzyły się z głośnym trzaskiem.

– Czy jesteście krewnymi? – zapytał znużony głos.

Jay wstał.

– Ja jestem przyjacielem – wyjaśnił. – On jest wnukiem – dodał, wskazując kciukiem na Blaise'a.

– Wnukiem? – zapytał wyraźnie zdziwiony lekarz. – Ach, prawda – zreflektował się po chwili. – Ciągłe zapominam, że pacjent jest znacznie starszy, niż na to wygląda, prawda?

– Problem nie w tym, czy jest stary, tylko w tym, czy będzie miał szansę stać się starszy – stwierdził Jay.

– Stracił bardzo wiele krwi, nie wspominając już o poważnym wstrząsie – odpowiedział lekarz. – Wszystko wskazuje też na to, że już przedtem był poważnie osłabiony. Na szczęście bezzwłocznie udzielono mu pierwszej pomocy. To całkowicie zmieniło sytuację. Gdyby utrata krwi była większa, mógłby trafić do nas martwy. Natychmiast podaliśmy mu osocze. Jeśli chodzi o rękę... obawiam się, że nic się nie dało zrobić. Musicie zrozumieć, że to nie było czyste cięcie. Ratownicy medyczni przynieśli nam dwa palce, ale ciało było... hm... poszatkowane i właściwie nie było już dłoni, do której moglibyśmy je przyszyć. Amputacja była jedyną op...

– Dobra – przerwał mu zniecierpliwiony Jay. – Od tej chwili, jeśli zgubi jedną rękawiczkę, nie będzie wielkiej straty. Ale czy będzie żył?

Lekarz popatrzył na niego dziwnie, po czym skinął głową.

– Tak – potwierdził. – Jestem przekonany, że kryzys już minął. Jego stan jest poważny, ale stabilny.

– Chcę się z nim zobaczyć – oznajmił Blaise swym najbardziej władczym tonem.

– Obawiam się, że nie wpuszczamy gości na oddział intensywnej terapii – odparł lekarz. – Być może jutro będziemy mogli przenieść...

– Zaprowadź nas do niego natychmiast – zażądał chłopak, mrużąc

lekko powieki czarnofioletowych oczu. Uśmiechnął się niewinnie.

Lekarz zrobił w tył zwrot, popchnął dwuskrzydłowe drzwi i bez słowa zaprowadził ich na intensywną terapię. Po jednej stronie łóżka wisiał worek z osoczem, a po drugiej kroplówka z płynem fizjologicznym. Tachionowi wprowadzono też rurkę do nosa i podłączono do niego mnóstwo przewodów. Oczy miał zamknięte, ale Jay widział, że pierś kosmity podnosi się i opada pod cienką szpitalną koszulą.

– Podano mu silne środki przeciwbólowe – odezwał się cicho lekarz. Najwyraźniej Blaise go uwolnił.

Jay skinął głową i zerknął na chłopaka. Blaise patrzył na dziadka drapieżnym wzrokiem. Oczy mu błyszczały. Przez moment Ackroyd miał wrażenie, że widzi w nich łzę, ale zaraz sobie uświadomił, że to tylko blask monitorów odbija się w jego tęczęwkach.

– Chodź, Blaise – rzekł mu. – Nic tu nie zdziałamy.

Wychodząc, znowu przeszli przez poczekalnię i zobaczyli w telewizji panujący na konwencji szal. Na mównicy stał Jesse Jackson. Ludzie krzyczeli, balony unosiły się pod sufit, wymachiwano transparentami, a orkiestra grała radośnie *Happy Days Are Here Again*. Zaniepokojony Jay zatrzymał się przy dyżurce pielęgniarek.

– Co się stało? – zapytał.

– Jesse właśnie wygłosił przemówienie. Szkoda, że pan go nie słyszał. Popłakałam się ze wzruszenia. Oddałam swoich delegatów Hartmannowi. Już po wszystkim. Zostało tylko głosowanie.

Po wszystkim? – pragnął do niej krzyknąć. Moja pani, to się dopiero zaczyna. Przygryzł jednak wargę i nic nie powiedział.

Blaise stanął przed telewizorem. Wyglądał na niemal szczęśliwego. Gdy detektyw podszedł bliżej, chłopak spojrzał na niego z przejęciem.

– Nominują Hartmanna, jak powiedział George.

Obraz przesunął się z sali obrad na ulice Atlanty. Tysiące dzokerów tańczyły z radości. Pod Omni coraz głośniej niosło się skandowanie „Hart-mann! Hart-mann!”. W Peachtree zaczęła się improwizowana parada. Korowód ruszył naprzód, rosnąc z każdą chwilą. Piedmont Park wypełniła wielka eksplozja radości. Obraz przeniósł się z parku do sali

konferencyjnej, a następnie na ulicę, pozwalając, by chwila mówiła za siebie. Jay położył dłoń na ramieniu Blaise'a, chcąc mu powiedzieć, że pora wracać do hotelu.

– Popatrz, Sascha – odezwał się nagle chłopak.

Ackroyd popatrzył. Telewizja pokazywała obrazy z Piedmont Parku. Kilkunastu dzokerów tańczyło szaleńczo wokół ogniska, a około pięćdziesięciu innych przyglądało się temu. Sascha stał tuż za tańczącymi. Żel na ciemnych włosach lśniący w blasku ognia, cieniutkie wąsiki i blada, bezoka twarz.

– A niech to – mruknął Jay. Prawie już zapomniał o Saschy. A nie powinien. Chudy skurwysyn znał odpowiedzi na niektóre dręczące go pytania. Chciał już powiedzieć chłopakowi, żeby wrócił sam do Marriotta, ale przypomniał sobie, czego wnuk Tachiona może dokonać dzięki swej kontroli umysłu.

– Hej, Blaise – odezwał się. – Chcesz się pobawić w detektywa?



Brennan nie wierzył w duchy. Cokolwiek zbliżało się do niego ciemnym tunelem, mówiąc głosem Poczwarki, nie mogło być Poczwarką. Ona nie żyła. Widział ją w trumnie. Twarz w oknie była tylko snem.

Cofał się, aż w końcu oparł się plecami o ścianę tunelu i nie mógł już odsunąć się dalej.

– Danielu, chcę ci pomóc – odezwał się głos i mówiąca wyszła w światło.

Zdumiony Yeoman opuścił łuk. Nie wierzył własnym oczom. To była Poczwarka. Jej miniaturowa kopia, wierna w każdym szczególe. Miała może z pięćdziesiąt centymetrów wzrostu.

Teraz zrozumiał, dlaczego okno w tym, co uważał za sen, wydawało się tak wielkie.

Przykucnął, by lepiej się jej przyjrzeć. Zbliżyła się do niego bez obaw. Homunkuluska była idealną kopią, aż do pomalowanych na czerwono

paznokci i małego serca bijącego w klatce piersiowej, osłaniającej jedno ramię sukni, pozostawiającej pierś po drugiej stronie nagą i niewidzialną, pomijając tylko ciemną brodawkę sutkową, mniejszą niż gumka na końcu ołówka.

– Kim jesteś? – zapytał.

– Chodź ze mną, a wszystko ci opowiem.

Uśmiechnęła się do niego, odwróciła i ruszyła w głąb mrocznego tunelu. Obserwował ją przez chwilę, po czym uświadomił sobie, że jeśli zostanie sam w ciemności, niczego się nie dowie, i podążył za nią, zatrzymując się tylko po to, by podnieść latarkę.

Korytarz był krótki, ale potrzebowali kilku minut, by dojść na jego koniec, ponieważ miniaturowa Poczwarka stawiała bardzo drobne kroki. Yeoman szedł za nią powoli, szurając nogami. Skierował światło latarki na koniec tunelu i przekonał się, że znajduje się tam lita ściana. Gdy do niej dotarli, mała Poczwarka zakrzyknęła głośno i ukryte drzwi przesunęły się na bok. Wyjrzały zza nich podejrzliwe czerwone oczy.

– Przeprowadziłam łuczniczkę – oznajmiła mała Poczwarka.

– Może nas skrzywdzić – powiedział strażnik z urazą w głosie.

– Powiedziała, że możemy mu zaufać, jeśli da słowo. – Odwróciła się i spojrzała na Yeomana. – Obiecujesz, że nie zrobisz nam krzywdy?

– Obiecuję – zapewnił zdziwiony i oszołomiony Brennan.

Rozległ się dźwięk odsuwanych rygli i zgrzyt metalu przesuwającego się po zardzewiałych prowadnicach.

– W takim razie wejdź – rzekł mu strażnik.

Brennan i mała Poczwarka zatrzymali się u wejścia do korytarza. Stało w nim około dwudziestu małych istot. Żadna z nich nie przekraczała wzrostem pięćdziesięciu paru centymetrów. Niektóre były perfekcyjnie uformowanymi homunkulusami, inne zaś karykaturami, próbnymi modelami odrzuconymi przez Stwórcę i nigdy niewprowadzonymi do masowej produkcji. Część z nich przypominała raczej zwierzęta niż ludzi, ale we wszystkich wpatrzonych w Brennana oczach błyszczała inteligencja.

– Powiedziała, że możemy ci zaufać. Powiedziała, że nam pomożesz –

oznajmił strażnik stojący na małej platformie przyśrubowanej do drzwi obok judasza. Był jednym z tych, którzy przypominali ludzi, choć jego łuskowata skóra zwisała w fałdach na niemal nagim ciele niczym płaszcz za duży o sześć numerów.

– Kim jesteście? – zapytał cichym głosem Brennan.

– Byliśmy jej oczami i uszami – oznajmiła z dumą miniaturowa Poczwarzka. – Wędrowaliśmy po całym mieście. Duży świat nas nie widział i nawet mu się nie śniło, że możemy istnieć. Przynosił nam jej wieści, których zawsze słuchała z wielkim zainteresowaniem. Dała nam schronienie, ciepło, suche i ukryte przed wzrokiem obcych. – Otarła łzę spływającą po kryształowym policzku. – Ale teraz nie żyje.

– To wy zostawialiście mi listy i dzwoniłście do mnie – domyślił się Brennan.

– Tak – przyznała miniaturowa Poczwarzka. – Chcieliśmy ci pomóc. Przestaliśmy to robić, gdy zorientowaliśmy się, że zbijamy cię z tropu i sprawiamy ci ból. Chcieliśmy ci pomóc odnaleźć zabójcę naszej pani. Detektywowi też chcieliśmy pomóc, ale on tylko obrzucał nas wyzwiskami i próbował złapać.

– To znaczy, że nie wiecie, kto ją zabił? – zapytał Brennan.

Miniaturowa Poczwarzka potrząsnęła głową.

– Nigdy nie szpiegowaliśmy pani. Taka była zasada. Lubiła samotność, nawet jeśli czasami czuła się smutna.

Brennan pokiwał głową.

– Ale wiecie, gdzie trzymała swoje akta?

– Przychodziła tutaj i pukała do drzwi, a my wpuszczaliśmy ją do środka. Potem opowiadaliśmy jej o tym, co widzieliśmy, czego się dowiedzieliśmy, siedząc w swych kryjówkach w świecie zewnętrznym. Pani przynosiła nam jedzenie i picie, a my posiłaliśmy się, kiedy pisała. Kiedyś nie zjawiała się przez wiele miesięcy. Pisaliśmy wtedy sami, ale bez niej to nie było ciekawe.

– Gdzie? – zapytał Brennan. – Gdzie pisaliście?

Małeńka dzokerka wskazała palcem na pomieszczenie na końcu korytarza.

W przejściu czekali dalsi członkowie plemienia, przyglądający się Yeomanowi oczami pełnymi strachu i nieufności, gniewu i smutku. Jeden z dzokerów, wyglądający jak maleńka małpa mająca zbyt wiele nóg, zapalił lampę z abażurem. Bardziej płochliwi spośród maleńkich szpiegów Poczwarzki przyglądali się gościowi z ciemnych zakamarków.

Pomieszczenie było prosto umeblowane – wygodne krzesło, antyczne biurko i lampa tiffany. Na blacie wały się notatniki, segregatory oraz sterty papieru. Przerzucając je, Brennan zauważył informacje o seksualnym życiu polityków i o uzależnionych od narkotyków bankierach, notatki o policjantach współpracujących z gangsterami, a nawet o tym, którzy z Dodgersów mieli problem z wysokimi piłkami, a którym podkręcone piłki często spadały na ziemię.

– Jak, do licha, mogła śledzić to wszystko? – zapytał zdziwiony Brennan. – Czy miała komputer?

– Nie potrzebowała komputera – odpowiedziała mała Poczwarzka. – Miała Matkę.

– Matkę?

Małeńka dzokerka skinęła głową i wyciągnęła rękę. Brennan odwrócił się we wskazanym kierunku i zobaczył, że dwójka homunkulusów ciągnie za sznur przytwierdzony do ciemnej kurtyny zasłaniającej tylną ścianę pomieszczenia. Zasłona się odsunęła i Yeoman wytrzeszczył oczy na widok tego, co się ukazało.

Na ustawionym na kozłach stole pod tylną ścianą rozrastał się mur żywego ciała. Był szary, różowy i fioletowy, przebiegały po nim drobne zmarszczki, jak po ciele płynącej manty. Wydawał się całkowicie jednolity, bez żadnych odrębnych części ani narządów. Zwisало z niego albo przylegało do niego kilkanaście homunkulusów. Niektóre były wyraźnie połączone ze stworzeniem sznurami wyrastającymi z ich głów, kończyn albo brzuchów. Inne po prostu przytulały się do niego, szukając bezpieczeństwa bądź pocieszenia.

– Co to jest? – wyszeptał Brennan.

– Matka – wyszeptała mała Poczwarzka. – Jesteśmy jej dziećmi. Ona nie widzi ani nie mówi na głos. Rozmawia za pośrednictwem umysłu. Wie,

pamięta wszystko, co do niej szepczemy, kiedy odpoczywamy na jej łonie. Nasza pani dała jej i nam schronienie, a w zamian za to Matka pamiętała dla pani.

– Nie może mówić? – zapytał Brennan.

Homunkuluska przytaknęła.

– Tylko ustami swoich dzieci.

Yeoman był dotąd przekonany, że widział już wszystkie wyobrażalne formy dzokerów. Potrząsnął głową. Zastanawiał się, w jaki sposób Poczwarzka ją znalazła i jak zdołały zawrzeć umowę. Chętnie usłyszałby tę opowieść, ale w tej chwili nie było na to czasu. Później porozmawia z małym ludkiem i rozwiąże tę zagadkę. Najpierw musi wykryć mordercę.

– Jak mogę porozmawiać z Matką? – zapytał.

– Za naszym pośrednictwem. Albo... – dodała – ...możesz próbować znaleźć to, czego szukasz, w dzienniku pani.

– W dzienniku? – Z jakiegoś powodu wydało mu się to łatwiejsze niż rozmowa z Matką. A jeśli dziennik nic mu nie da, zawsze będzie mógł pogadać z nią później. – Gdzie on jest?

– Tutaj – odpowiedziała homunkuluska, wskazując na oprawny w skórę tom spoczywający na szczycie papierów pokrywających biurko.

Yeoman wyciągnął rękę i nagle usłyszał cichy krok w miejscu, gdzie nie było nikogo, kto mógłby go postawić. Ledwo zdążył się odsunąć, nim coś metalowego i niewidzialnego przecięło mu policzek, pozostawiając krwawiącą ranę. Między nim a dziennikiem pojawiła się para ciemnych oczu, unoszących się mniej więcej metr sześćdziesiąt pięć nad ziemią.

Homunkulusy uciekły z wrzaskiem, kryjąc się w ciemnych kątach pomieszczenia. Znikacz zmaterializował się, mierząc z pistoletu w Brennana.

– Niespodzianka! – zawołał z uśmiechem. – Rzuć ten cholerny łuk.

22:00

W parku było gorąco i wilgotno, jak w ustach dziwki. Wszędzie paliły się ogniska, a między drzewami niosły się krzyki oraz fragmenty piosenek. Wędrowali od namiotu do namiotu, od obozowiska do obozowiska, szukając Saschy.

W tej godzinie, tej nocy triumfu, serdecznie witano tu nawet ludzi takich jak Jay i Blaise, z pozoru wyglądających na natoli. Dokądkolwiek się udali, dzokerzy ściskali im dłonie i poklepywali ich po plecach. Wszędzie wciskano im w dłonie trunki. Gdy tylko się zatrzymywali, przypinano im do ubrania znaczki wyborcze Hartmanna. W powietrzu unosiły się smakowite wonie. Kiełbaski skwierczały na hibachi, irlandzki gulasz pyrkotał nad ogniskiem, dwie wiewiórki obracały się powoli na rożnie. Zewsząd dobiegał dźwięk otwieranych puszek piwa, brzmiący jak tysiąc aluminiowych świerszczy. Ludzie byli pijani, naćpani, podekscytowani, podnieceni, zakręceni i szaleni, ale to był radosny rodzaj szaleństwa. Gregg Hartmann zostanie prezydentem, pocałuje ich w czółko i życie stanie się lepsze dla dzokerów i wszystkich nieszczęśliwych dusz w parku. Camelot był tuż za rogiem.

Jay zastanawiał się, co poczują, gdy obudzą się rano i przekonają się, że Camelot nieoczekiwanie zmienił się w Mordor.

– Chcę wrócić do hotelu – poskarżył się raz jeszcze Blaise. – To jest nuuudne.

– Hej – odpowiedział mu detektyw. – Na twoich oczach tworzy się historia. Poczuj jej smak, jej zapach.

Chłopak powęszył podejrzliwie.

– To tylko piwo – skwitował. – Piwo i szczyzny.

Jay nie mógł powstrzymać śmiechu. Zabrzmiało to jak jedna z jego odzywek.

– Może jeszcze będzie z ciebie detektyw, chłopcze.

– Mam już dość tych głupich dzokerów – narzekał Blaise. – Dlaczego nie pozwolisz mi zapanować nad ich umysłami? Założę się, że po prostu cię okłamują. Założę się, że wszyscy znają Saschę. Mógłbym z nich

wszystko wyciągnąć.

– Nie – sprzeciwił się Ackroyd. – Kiedy znajdziemy Saschę, będziesz mógł go zmusić, żeby powiedział mi prawdę. To wszystko.

Znaleźli Kluchę samego na polu. Bawił się pokrywą studzienki kanalizacyjnej. Rzucił ją na odległość dwudziestu, trzydziestu metrów, jakby była frisbee, a następnie szedł ją podnieść, by rzucić ją znowu. Nie latała tak dobrze jak frisbee, ale jemu to najwyraźniej nie przeszkadzało. Gdy jednak Jay go zawołał, dzoker zatrzymał się z zawstydzoną miną.

– Szukamy Saschy – oznajmił mu detektyw. – Pracował w Kryształowym Pałacu. Widziałeś go gdzieś?

Klucha powoli pokręcił głową.

– Ja tylko się bawiłem – oznajmił.

Blaise parsknął głośnym śmiechem.

– Znam niezłą zabawę.

Twarz dzokera straciła jakikolwiek wyraz. Zaczął powoli zdejmować z siebie ubranie grubymi, niezgrabnymi palcami.

Jay błyskawicznie się odwrócił.

– Zostaw go – warknął.

– A dlaczego? Nie możesz mnie do tego zmusić.

Detektyw go spoliczkował.

Blaise zamarł w bezruchu. Oczy rozgorzały mu gniewem, a policzki zrobiły się równie czerwone jak włosy. Przez krótką chwilę Jay naprawdę się go bał. Jednakże chłopak nieoczekiwanie odwrócił wzrok.

– No dobra – wymamrotał. – Przepraszam.

– W porządku – odpowiedział Ackroyd po długiej przerwie. – Zapomnijmy o tym. Ruszajmy. Sascha musi gdzieś tu być.



– Jak mnie tu znalazłeś? – zapytał Znikacza Brennan. – Chwileczkę, nie odpowiadaj – dodał, zanim as zdążył się odezwać. – Leniwy Smok.

– Bardzo dobrze – stwierdził z sarkazmem Znikacz. – Zgubił cię, kiedy

zatrzymały cię gliny, ale później sprawdził wszystkie miejsca, w których można cię spotkać, i znalazł cię przy kościele.

– A ty trafiłeś za mną tutaj.

– Zgadza się. – Znikacz rozejrzył się wkoło. – Widzę, że znasz interesujących ludzi. – Wziął w rękę dziennik. – Ale przyszedłem tu po to. To da mi więcej władzy, niż kiedykolwiek miała Poczwarzka, bo nie zawaham się wykorzystać tych informacji.

Yeoman nie potrafił uwierzyć, że znalazł się tak blisko rozwiązania tylko po to, by ukradziono mu je w ostatniej chwili. Wyciągnął rękę ku Znikaczowi, ale as szybko uniósł pistolet, celując w tułów Brennana.

– Hmm, chyba nie chciałbyś, żebym cię zastrzelił? – zapytał.

W tej samej chwili miniaturowa Poczwarzka rzuciła się do ataku.

Stała na blacie obok Znikacza, a gdy as wycelował w Brennana, skoczyła na pistolet i złapała go za lufę. Zaskoczony gangster spojrział na nią. Ciężar homunkuluski pociągnął broń ku podłodze. As zaklął i potrząsnął pistoletem, ale maleńka dzokerka nie chciała go puścić.

– Nie! – krzyknął Brennan.

As nacisnął spust.

Wystrzał poniósł się głośnym echem w ciasnym pomieszczeniu. Kula oderwała homunkuluskę od lufy, unosząc ją w powietrze. Mała Poczwarzka uderzyła w Matkę i rozpadła się jak szmaciana lalka. Matka nie wydała z siebie żadnego dźwięku, ale wyciągnęła długie, niemalże ludzkie ręce i przytuliła roztrzaskaną dzokerkę do swego wielkiego ciała.

Yeoman wykopał pistolet z ręki Znikacza. Jednocześnie zdzielił go na odlew w twarz i wyrwał mu dziennik.

As runął na ziemię. Krew z rozciętej wargi spłynęła mu na podbródek. Uniósł rękę do ust, żeby ją wytrzeć.

– Nie żyjesz, skurwysynu – wymamrotał i cisnął czymś w Brennana. Przedmiot uderzył go w pierś i spadł na blat. Wyglądał jak coś wystruganego z ziemniaka.

Yeoman się odsunął. Kawalek ziemniaka nagle się powiększył i porosło go czarne futro. Miał wielkie, tłuste ciało i okrągłą, zabawną twarz z wielkimi czarnymi kręgami wokół oczu.

Panda uśmiechnęła się do niego. Wyglądała bardzo sympatycznie ze swym tłustym, pokrytym futrem ciałem oraz komiczną twarzą. Ważyła dwa razy więcej od Brennana i miała straszliwe pazury oraz ostre, błyszczące zęby.

– Zabij go, Smoku – rozkazał Znikacz.

Panda wydała z siebie jęklivy dźwięk, ostrożnie wspięła się na blat i ruszyła w stronę Yeomana. Homunkulusy z wrzaskiem uciekły z sali.

Brennan nie miał szans pokonać stworzenia, a zajęło ono pozycję między nim a drzwiami. Tylko szybkość mogła go uratować. Cholerna spasiona panda nie mogła być szybsza od niego. Przynajmniej taką miał nadzieję.

Cofał się w głąb pomieszczenia. Panda podążyła za nim z głupim uśmiechem na sympatycznej twarzy. Gdy Yeoman nie mógł się już cofać dalej, stworzenie stanęło na tylnych łapach. Z jego gardła dobył się głęboki warkot, jak odgłos piły mechanicznej.

Brennan ruszył naprzód. Spróbował ominąć pandę, ale bydlę było szybkie, cholernie szybkie. Ból przeszył mu lewe przedramię, gdy panda uderzyła w nie potężną łapą. Poczul, że kości mu pękają i ciało się rozdziera, jednak ominął stworzenie i rzucił się do ucieczki.

Znikacz zniknął, lecz jego oczy nadal były widoczne, co pozwalało mu zachować zdolność widzenia. Spróbował zatrzymać Yeomana, ale ten odepchnął go wyprostowanym ramieniem i obalił na podłogę, po czym wbiegł do tunelu.

Spojrzał w lewo, gdzie był kanał, a potem w prawo, gdzie znajdowała się drabinka prowadząca do piwnicy Kryształowego Pałacu. Nie chciał zostać uwięziony w podziemnym tunelu. Musiał się dostać na górę.

Wstrzymał oddech, gdy rękę przeszył mu ból. Obie kości przedramienia miał złamane. Odłamek kości promieniowej sterczał na zewnątrz. Krew tryskała z rany w rytm przeszywającego kończynę bólu.

Oddychał głęboko i rytmicznie, by zapanować nad cierpieniem. Dobiegł do drabiny i zaczął się wspinać w górę. Obejrzał się przez ramię i zobaczył, że panda pędzi za nim, znacznie szybciej, niż uznałby to za możliwe. Położył dziennik na przedramieniu, jęknął, gdy rozdarte ciało

i złamane kości poczuły ciężar książki, a potem sięgnął do kieszeni.

Wyciągnął nadajnik i włączył go.

– Kryształowy Pałac – wychrypiał i upuścił nadajnik, podciągając się w górę zdrową ręką.

Kłapa na górze drabiny opierała się początkowo jego wysiłkom, ale otworzyła się, gdy walnął w nią nieuszkodzonym barkiem. Złamaną rękę przeszły fale bólu.

Wgramolił się do magazynu i zatrzasnął za sobą kłapę. Na parter prowadziły rozklekotane drewniane schody. Brennan wbiegł na nie i wpadł do korytarza prowadzącego do łazienek Pałacu.

Kobieta zmierzająca w tym kierunku ujrzała zakrwawioną twarz Yeomana oraz kość sterczącą z jego prawego przedramienia niczym złamany kikut włóczni. Krzyknęła. Brennan przemknął obok niej i wpadł do głównej sali. Wszyscy gapili się na niego, ale nikt nie próbował go powstrzymać. Jednakże tłum gości utworzył barierę, przez którą nie był w stanie się przebić.

Z korytarza dobiegł kolejny przesywający krzyk. Brennan uświadomił sobie, że Leniwy Smok nadal jest na jego tropie i nie ma takich problemów jak on.

Panda po prostu wpadła w tłum. Goście krzyczeli i padali na podłogę niczym kręgle. Yeoman uświadomił sobie, że nie zdoła jej umknąć. Wsparł się plecami o bar. Jego prawa ręka zmieniła się w kawał pełnego bólu mięsa zwisający bezwładnie z barku.

Co bystrzejsi klienci opuszczali lokal. Ci głupszy, ciekawscy, pijani i oszołomieni zdumieniem zostali na miejscu, przyglądając się, jak panda zbliża się do Brennana. Na jej miłym pysku pojawił się uśmiech odsłaniający ostre jak brzytwa zęby, zdolne odgryźć rękę jednym kłapnięciem.

– Oddaj mi książkę! – zażądał ukryty za stworzeniem Znikacz, ale Brennan potrząsnął głową. – Zabierz mu ją – rozkazał as.

Panda ruszyła naprzód powolnym krokiem zwiastującym nieuniknioną zagładę. Yeoman wziął się w garść, przygotowując się do ostatniej próby ucieczki. Stworzenie zbliżało się powoli na tylnych łapach. Mężczyzna

przesunął się w lewo, pochylił się szybko i nagle skoczył w prawo. Prawie udało mu się uciec.

Prawie.

Leniwy Smok zdzielił go łapą w plecy. Brennan poczuł się tak, jakby zwałił się na niego sufit. Uderzenie wybiło mu powietrze z płuc. Osunął się na kolana, przetoczył się i podniósł na nogi tuż przed pandą. Stworzenie wyrwało mu dziennik z ręki tak łatwo, jakby zabierało cukierek dziecku, i przekazało go Znikaczowi.

– Dokończ robotę – rozkazał Smokowi as.

Pozostali w pomieszczeniu goście wciskali się w ściany.

– Zostaw go.

Nowy głos, który zmałił trwożną ciszę, brzmiał spokojnie i dziwnie łagodnie. Panda odwróciła się powoli. Nadal unosiła jedną łapę, gotowa w każdej chwili rozgnieść Yeomana na miazgę.

Na wolnej przestrzeni między gapiami i Brennanem a pandą zmaterializowała się przysadzista, garbata postać. Smok, nie spuszczać wzroku z Quasiczłowika, zamachnął się na Yeomana, który przyjął cios na bark i zdołał się kawałek przetoczyć. Uderzył w bar tak mocno, że oczy zaszczyły mu łzami. Zdołał jednak jakoś podnieść się na kolana.

– Potrzebujemy dziennika – oznajmił, zanim znowu osunął się na podłogę z bólu.

Quasiczłowiek ruszył powoli naprzód, ciągnąc za sobą sztywną nogę.

– Oddaj mi książkę – powiedział Znikaczowi. Gdy tylko przeniósł na niego spojrzenie, panda rzuciła się do ataku.

Uderzyła w dzokera z siłą pociągu wjeżdżającego w ścianę urwiska. Obaj walczący wpadli w tłum gapiów. Cud, że nikogo nie zmiażdżyli. Siła rozpędu Smoka była tak wielka, że przebili ścianę na wylot. Drewno się rozprysło, a rury pękły. Salę zalały strumienie wody. Brennan podźwignął się na nogi. Przeciwnicy wypadli przez nowo powstałą dziurę, panda pierwsza, a Quasiczłowiek za nią.

Dzoker uniósł masywny drewniany stół i zdzielił nim przeciwnika. Cios rozpląszczył pandę na podłodze. Mebel rozpadł się na drobne kawałeczki. Stworzenie wstało i ponowiło szarżę. Uderzony

Quasiczłowiek przebił się przez bar i wpadł na wielkie lustro oraz szeregi butelek znajdujące się po drugiej stronie. Lupo opuścił posterunek z rozpaczliwym wyciem. Na wszystkie strony posypał się milion odprysków szkła.

Brennan chwiał się na nogach niezdecydowany. Pragnął pomóc Quasiczłowiekowi, ale zdawał sobie sprawę, że nic nie zdziała w starciu ze Smokiem. Chciał też śledzić Znikacza, lecz as zdążył się już zdematerializować w ciemnym pokoju pełnym uciekających z wrzaskiem ludzi. Smok i Quasiczłowiek ponownie przebili się przez bar. Toczyli się po podłodze niczym dwóch gniewnych olbrzymów, bijąc, kopiąc i drapiąc.

Panda miała krew na futrze, Brennan nie był pewien czyją, a dzokerowi zerwano z pleców koszulę, odsłaniając masę kości i mięśni, jaką był jego garb.

Yeoman poruszył nagle nosem, czując odrażający zapach. To był gaz. Walczący zniszczyli nie tylko rurę wodociągową, lecz również gazową. Brennan zastanawiał się przez chwilę z pełnym spokojem. Uświadomił sobie, że wszyscy muszą uciekać, zanim jakaś iskra podpali wypełniający pomieszczenie gaz. Odwrócił się, by ostrzec wszystkich krzykiem, ale było już za późno.

Rozległ się donośny szum i obok roztrzaskanej ściany pojawiły się płomienie.

– Pali się! – ktoś krzyknął.

Zaczęło się pandemonium.

Wszyscy uciekali w panice ku drzwiom. Niektórych stratowano, ale chłodniejsze głowy zdołały jakoś powstrzymać szal. Brennan doszedł do wniosku, że nie ma szans przebić się przez tłum, i ruszył ku schodom prowadzącym na wyższe piętra. Zatrzymał się u ich podstawy, spoglądając na dwóch przeciwników, nadal splecionych w swym niezgrabnym tańcu. Pazury pandy zaciskały się na ramionach dzokera, on zaś zaciskał dłonie na gardle zwierzęcia. Warczący, plujący pysk dzieliło od twarzy Quasiczłowieka najwyżej kilkanaście centymetrów.

– Quasiczłowieku! – Głos Yeomana przebił się przez panikę z siłą

megafonu. – Przerwij walkę! Quasiczłowieku!

Nigdy się nie dowiedział, czy dzoker go usłyszał, czy sam postanowił, że ma już dość. Quasiczłowiek po prostu zniknął, oddalił się w tej samej chwili, gdy panda zatrzasnęła paszczę, chcąc rozszarpać jego twarz. Oszołomione stworzenie machało na oślep łapami w poszukiwaniu zaginionego przeciwnika i weszło w słup ognia, który wystrzelił nagle z dziury wybitej wcześniej w ścianie przy jego udziale.

Powietrze wypełnił smród płonącego futra. Panda objęła się o bar i potykała o roztrzaskane meble, roznosząc wszędzie ogień. W końcu zatrzymała się i usiadła. Wydała z siebie kilka płaczących jęków, a potem skurczyła się, wracając do wcześniejszych, małych rozmiarów.

Brennan ruszył na górę, lecz nagle przypomniał sobie o Matce i homunkulusach w piwnicy. Zawahał się, przeklinając samego siebie, po czym wrócił do korytarza prowadzącego do magazynu w piwnicy i do pomieszczenia znajdującego się pod nim.

W korytarzu było pełno dymu. Yeoman biegł przed siebie, uciekając przed gryzącymi oparami. Gdy dotarł do drabiny, powietrze zrobiło się straszliwie gorące. Uświadomił sobie, że pożar rozprzestrzenił się już na znajdujący się powyżej magazyn. Homunkulusy uciekały z tajnej komnaty Poczwarki, wrzeszcząc i zawodząc jak dzikie koty.

Brennan zajrzał do środka. Matka odsunęła się od ściany i miotła się po podłodze niczym żywy materac. Większość homunkulusów odsunęła się od niej, ale te, które były z nią połączone, znalazły się w pułapce tak samo jak ona. Yeoman zawahał się. Omal się nie odwrócił i nie uciekł, ale w tej samej chwili zalała go telepatyczna fala strachu i desperacji, tak potężna, że wyczuł ją nawet jego niewrażliwy umysł. Zdał sobie sprawę, że bez względu na odrażający, nieludzki wygląd Matka nadal pozostawała istotą ludzką.

Nie był pewien, czy zdoła ją stąd wyciągnąć, wiedział jednak, że musi spróbować. Wziął w płuca głęboki haust przesyconego dymem powietrza, zacisnął zęby i wszedł do tajnej komnaty.

– Już idę! – zawołał. Podbiegł do prostokątnego ciała Matki i zdołał

unieść jego róg. Było ciepłe, gumowate i pulsujące. Miało miły, uspokajający zapach, wyczuwalny nawet w zadymionym pomieszczeniu. Osunął się na kolana i jakimś cudem zdołał zarzucić ją sobie na plecy.

Z sufitu sypały się skry. Dym wypełniał komnatę niczym gęsta mgła.

– W porządku – zawołał Brennan. Wstrzymał oddech, czując straszliwy ból w złamanej ręce. – Uda nam się.

I wtedy sufit się zawalił.

23:00

W nocnym powietrzu unosił się śpiew, pijacka harmonia w paru różnych tonacjach. Tekst wspominał o powieszeniu Leo Barnetta na gałęzi jabłoni.

Ścieżka skręcała w lewo, ale Jay ruszył prosto przed siebie, przecinając zagajnik. Blaise podążył za nim z naburmuszoną miną, od czasu do czasu kopiąc kamień.

Ognisko wygasło. Tylko kilka węgielków tliło się jeszcze wśród popiołów. Dopiero gdy podeszli bliżej, detektyw uświadomił sobie, że grupa dzokerów, którzy przykucnęli przy namiocie, w rzeczywistości wcale nie jest grupą, chyba żeby uznać za taką syjamskie pięcioraczki.

Śpiew umilkł.

Wszystkie oczy skierowały się na niego. Ciała pięcioraczków były pokraczne i wypaczone, przechodziły jedno w drugie na takie sposoby, że Jay miał ochotę odwrócić wzrok. Nie był nawet pewien, czy rzeczywiście można je nazwać pięcioraczkami. Ciał chyba było pięć, ale dzieliły ze sobą tylko cztery głowy i może z siedem nóg. Z drugiej strony, jeśli chodzi o liczbę rąk i macek, byli zdecydowanie do przodu.

– Ohydztwo – odezwał się Blaise z typowym dla siebie taktem.

Detektyw go zignorował i miał nadzieję, że dzokerzy postąpią tak samo.

– Czy moglibyście mi pomóc? – zapytał. – Szukam kumpla. Ma na imię Sascha. Jest chudy, ma ulizane włosy, lubi się dobrze ubierać. Ma

takie cienkie wąsiki, jakie widuje się u sprzedawców w starych filmach.
– Nie odpowiedzieli mu. – Nie ma oczu. Czy o tym wspomniałem?
Tylko gładką skórę.

Cztery niedobrane twarze przyglądały mu się tępo. Detektyw nie potrafił rozstrzygnąć, czy dzokerzy są głupi, czy nieprzyjaźni, czy może chodzi o coś innego. Odczekał dłuższą, krępującą chwilę, po czym spróbował jeszcze raz.

– Może go nie znacie? Pracował w Kryształowym Pałacu. Jesteście z Nowego Jorku?

– Mogę wycisnąć odpowiedź z tego stwora – zaoferował się z zapalem Blaise. – Tylko zaczekaj. Każę mu wstać i zatańczyć.

– Oni nie mówią – dobiegł zza ich pleców kobiecy głos.

Jay się odwrócił. Ledwie ją widział, dostrzegł tylko widmową sylwetkę siedzącą pod drzewem.

– Słyszałem, jak śpiewali – sprzeciwił się detektyw.

– Śpiewać umieją – odpowiedziała spokojnie kobieta. Była biała. Za zasłoną gałęzi widział jej białą skórę lśniąca w blasku księżyca. – Śpiewają, ale nie mówią.

– Aha – mruknął detektyw. Zatrzymał się w odległości paru kroków od kobiety. Widział jej jedną pierś, białą i stożkową. Drugą karmiła dziecko, głaszcząc je delikatnie. Wyglądała bardzo młodo, na jakieś osiemnaście lat. Była smutna i ładna. Dziecko, które trzymała w ramionach, było okrągłe i czerwone, jak żywa kula do kręgli.

– Przepraszam – odezwał się Jay. – Nie chciałem przeszkadzać...

– Wiem, gdzie jest Sascha – przerwała mu kobieta.

W mroku za nią coś się poruszyło. Jay uniósł wzrok i zobaczył wyglądające z krzaków oczy. Były jasnozielone i płonął w nich błądy, drapieżny ogień. Gdy się w nie wpatrzył, usłyszał za sobą cichy krok. Nagle zjeżyły mu się włoski na karku. Miał nieodparte wrażenie, że ktoś go obserwuje. Był przerażony.

Odsunął się od kobiety i od smętnego, wynaturzonego stworzenia, które trzymała w ramionach, starając się nie okazywać strachu, rozdierającego mu wnętrzności.

– Blaise, spierdalamy stąd – rzucił i odwrócił się.

Sascha stał tuż za chłopakiem, wlepiając w detektywa bezokie spojrzenie. Towarzyszyła mu Ezili. Widział jej ciało, pełne i zmysłowe. Była naga. Jej oczy lśniły w mroku czerwonym blaskiem, jaśniej niż węgielki w ogniu. Uśmiechnęła się do niego, ale nie odezwała się ani słowem.

Jay musiał wydać z siebie jakiś dźwięk, bo Blaise również się odwrócił. Zobaczył Saschę, a potem przeniósł spojrzenie na Ezili i wybałuszył oczy. Uśmiechnął się i gwizdnął cicho na znak uznania. Detektyw wiedział, że z pewnością nie nauczył się tego od Tachiona. Chłopak nie miał pojęcia, w jakie bagno się wpakowali.

– Sascha – zaczął Jay.

– Nie – przerwał mu barman. – Już za późno na rozmowy.

Z mroku wyłonił się mężczyzna trzymający w ręce pałkę. Był bosy i poruszał się cicho jak cień. Zamachnął się, ale chybił. Jay odsunął się na bok, ułożył palce w pistolet i przerzucił napastnika. Ktoś skoczył mu na plecy. Detektyw upadł gwałtownie na ziemię i przetoczył się. Długie paznokcie przeorały mu twarz, sięgając ku oczom. Jay złapał za dłonie, oderwał je od siebie i spróbował wstać. Uwolnił prawą rękę akurat na czas, by odesłać małą dziewczynkę zbliżającą się od prawej. W tej samej chwili jednak kobieta zatopiła zęby w jego lewej ręce, tuż poniżej kciuka.

Krzyknął z bólu. Blaise wreszcie oderwał spojrzenie od cycków Ezili i zobaczył, co się dzieje.

– Hej! – zawołał chłopak.

Kobieta szarpiąca zębami kciuk detektywa spróbowała jednocześnie kopnąć go w jaja. Jay walnął ją mocno w głowę, uwolnił rękę i odesłał napastniczkę spod siebie.

– Przestańcie! – zawołał Sascha. – Zostawcie ich!

To wystarczyło, by na mgnienie oka wszyscy zamarli w bezruchu. Blaise gapił się na bezokiego barmana z wielkim skupieniem, trzymając go siłą swego umysłu. Detektyw zauważył, że za plecami chłopaka potężny cień syjamskich pięcioraczków podniósł się i ruszył chwiejnie

naprzód. O Jezu, pomyślał Ackroyd.

– Zwiewaj! – krzyknął do Blaise’a. Kątem oka zauważył jakiś ruch i błyskawicznie się odwrócił. Stwór o jasnozielonych oczach wyłonił się z krzaków i unosił się bezgłośnie nad trawą na wysokość około półtora metra, niczym odrażająca manta o półludzkiej twarzy. Był nagi, skórę miał bladą i pokrytą pryszczami. Z twarzy, poniżej ohydnych oczu, zwisały męskie genitalia. Jay z wysiłkiem powstrzymał wymioty i odesłał stworzenie, ale za nim podążały następne. Ogromny dzoker z ciałem miękkim i ciemnym jak krwawa kiszka, chłopak ze szpikulcem do lodu, człowiek-wij ściskający noże w połowie rąk. Otaczali go ze wszystkich stron.

Jay pozbył się chłopaka ze szpikulcem i nagle zauważył, że atakuje go dziewczyna o smutnym głosie, unosząc dziecko nad głowę jako broń. Zawahał się, tylko na sekundę, ale to wystarczyło.

Kilkanaście silnych rąk chwyciło go od tyłu, ziemia usunęła mu spod nóg, a jego ciało wypełnił ból.



Sobota, 24 lipca 1988

3:00

Jego ramiona płonęły.

Nie pamiętał, kiedy się obudził. Nie był pewien, czy to rzeczywiście się zdarzyło. Przez chwilę myślał, że to sen, że znowu prześladowuje go stary koszmar, tyle że tym razem to dalszy ciąg, rozgrywający się po tym, jak stwór o stożkowatej twarzy zaczął wyć. Spróbował otworzyć oczy i zobaczył jedynie ciemność. Cały świat miał wilgotny, odrażający zapach. Detektyw nie był w stanie poruszyć palcami. Czuł ogień wypełniający mu barki i nadgarstki, ale poza tym jego górne kończyny były całkowicie odrętwiałe. Poruszył słabo nogami i jego ciało zaczęło się kołysać. Zawieszono go nad jakąś czarną otchłanią.

Z mrocznej dali dobiegał go okrutny śmiech i ledwie słyszalne szepty. Stwory o stożkowatych twarzach rozmawiały o nim. Jay przypomniał sobie, jak ma na imię. To mu pomogło. Starał się nie słuchać głosów. Przywodziły mu na myśl drzewa z jego snu, szepczące straszliwe tajemnice, których nie chciał poznać.

Wtem usłyszał za sobą kroki. Serce podeszło mu do gardła. Przyszli po niego, a gdy spróbował uciekać, poruszył tylko bezradnie nogami w pustce.

Zerwano mu przepaskę z oczu. Nagła jasność sprawiła mu ból. Zaciśnął powieki, cicho mamrocząc.

– Odetnij go – zabrzmiał znajomy głos tuż obok.

Ktoś stęknął. Wbrew podszeptom instynktu Jay uchylił nieco powieki. Obraz był zamazany i bolesny. Detektyw powoli rozpoznawał jakiś pokój. To piwnica, pomyślał mętnie. Kołysał się w powietrzu, powieszony za ręce na rurze. Człowiek-wij zbliżał się do niego,

trzymając w licznych rękach błyszczący metal. Obok stał drugi, bezoki dzoker. Sascha, pomyślał Jay, ale gdy spróbował wypowiedzieć imię barmana, z jego ust nie wydobył się żaden dźwięk.

Nagle spadł. Nogi ugięły się pod nim, niezdolne podtrzymać jego ciężaru. Upadł, uderzając z głośnym trzaskiem głową o wilgotną podłogę. Jęknął z bólu.

– Podajcie mu jeszcze jedną dawkę – poleciał odległy głos. – Nie chcę go narażać na żadne niebezpieczeństwo, dopóki nie dotrzemy do Ti Malice'a.

Nie, chciał się sprzeciwić, ale z jego gardła wydobył się tylko jęk. Ktoś kopnął go w złamane zebro, obracając go stopą. Przed oczami rozbłysło mu jasne światło. Poczuł w łokciu ostry ból. Po chwili zasnął.

11:00

Poczwarzka uśmiechnęła się do niego. Brennan pomyślał, że to dziwne, iż znowu ją widzi. Był przekonany, że umarła. Ale może po prostu wyjechała z miasta.

Niepewnie odwzajemnił uśmiech. Skoro wróciła, jak wytłumaczy to Jennifer? I *vice versa*? Zdecydował, że będzie się o to martwić później, i wyciągnął do niej rękę. Uściskali się, po czym odsunął się na długość wyciągniętych ramion, by lepiej się jej przyjrzeć. Wtedy uśmiech zniknął mu z twarzy.

Poczwarzka rozkładała się na jego oczach. Jej krystaliczne ciało zmętniało. Od jej twarzy i tułowia odpadały kawały gnijącego mięsa. Z jej oczu ospale wypływały krwawe łzy, a w płucach upiornie rzeźił wysiłony oddech. Przeszyło go bolesne poczucie winy.

– Brennan – wyszeptwała w ostatnim tchnieniu i obudził się złany potem, drżąc z przerażenia i pod wpływem środków znieczulających.

– Jak się pan czuje? – zapytał ktoś stojący przy łóżku.

– Dobrze – skłamał Yeoman. – Gdzie jestem?

Odwrócił się i pierwszy raz spojrzał na mówiącego. Młody mężczyzna

miał na sobie biały fartuch, a na szyi nosił stetoskop. Wyglądał jak skrzyżowanie surfera z izabelowatym kucykiem. Doktor Finn... Tak się nazywał.

– W klinice w Dżokerowie – poinformował go doktor Finn.

Brennan skinął ze znużeniem głową.

– Wie pan co? – ciągnął lekarz. – To zdumiewające, że nadal pan z nami jest.

Yeoman ponownie pokiwał głową. Był zdezorientowany i kręciło mu się w głowie, ale zaczynał sobie przypominać szczegóły. Pożar. Matka. Zawalony sufit.

– Strażak znalazł pana w podziemnym pomieszczeniu, gdy badał ruiny Kryształowego Pałacu – ciągnął doktor Finn, przyglądając mu się z uwagą. – Najwyraźniej uratowało pana z płomieni... coś, z czego pozostała tylko zwęglona masa pokrywająca panu plecy.

– Matka – wyszeptał Brennan. Miał wrażenie, że usta wypełnia mu wata. Jego prawa ręka była kawałem nieczułego mięsa zamkniętym w plastikowym opatrunku. Usiadł i postawił nogi na podłodze, walcząc z zawrotami głowy, które dopadły go nagle z aką siłą, jakby był w samym środku trzydniowego ciągu alkoholowego. Rękę miał zupełnie nieczułą, wiedział jednak, że to minie stanowczo za szybko.

– Gdzie moje ubranie?

– Pana stan uniemożliwia opuszczenie szpitala – oznajmił z powagą Finn. – Ma pan paskudne złamanie i stracił mnóstwo krwi. Dochodzą też poparzenia twarzy i dłoni. Potrzebuje pan co najmniej jednego dnia odpoczynku.

– Nie mam na to czasu – sprzeciwił się Brennan, potrząsając głową.

– Jeśli opuści pan klinikę, nie mogę wziąć na siebie odpowiedzialności – stwierdził Finn, poruszając nerwowo ogonem.

– Cała odpowiedzialność spada na mnie. – Yeoman wstał i niemal natychmiast znowu usiadł na łóżku. – Gdzie jest moje ubranie?

Finn potrząsnął głową.

– Jeśli naprawdę jest pan zdecydowany wypisać się ze szpitala, nie będę pana powstrzymywał. Proszę chwilkę zaczekać. Znajdę pańskie ubranie.

To może trochę potrwać, bo mamy tu dzisiaj okropne zamieszanie.

– Z powodu pożaru? – zapytał Brennan.

– Nie. Kryształowy Pałac został zniszczony, ale bardzo niewielu ludzi odniosło obrażenia. Najwyraźniej połowa personelu nie przyszła do pracy, bo świętowała razem z resztą Dżokerowa, a druga połowa ze wszystkich sił stara się teraz zaradzić skutkom tego świętowania.

– A co właściwie świętowali? – zdziwił się Brennan.

– Ach, pewnie pan o tym nie słyszał. Wczoraj wieczorem senator Hartmann otrzymał nominację prezydencką. Całe Dżokerowo oszalało z radości.



Gdzieś w mroku głosy toczyły spór.

– To niesprawiedliwe – mówił pierwszy. – My też potrzebujemy pocałunku. On spędza z nim zbyt wiele czasu. Jak długo każe nam czekać?

– Tak długo, jak zechce – odparł drugi. – Nie mamy prawa kwestionować decyzji pana. Ti Malice wszystko robi w swoim czasie i z własnych powodów.

– Powinniśmy zabić ich obu – skwitował pierwszy głos. – Są niebezpieczni.

– Nie – sprzeciwił się trzeci, kobiecy głos. – Nie tych słodkich. Pan będzie chciał poczuć ich smak, dosiąść ich, poczuć ich pod sobą. Będzie chciał usłyszeć ich krzyki.

To wystarczyło, by Jay otworzył oczy.

– A co będzie z nami? – Człowiek-wij spacerował po pomieszczeniu. – Co, jeśli spodobają mu się bardziej od nas? Nigdy już nie dostaniemy pocałunku. Nie mogą tego znieść, kiedy się oddala.

Detektyw leżał twarzą na cuchnącej, butwiejącej kanapie. Głowę miał zwróconą w bok, a ręce związane za plecami. Przynajmniej miał nadzieję, że tam są. Nie czuł ich, a gdy spróbował poruszyć palcami, nic się nie wydarzyło. Wyściółka mebla śmierdziała szczynami. W głowie

mu dudniło, a przy każdym ruchu jego zebra przeszywał ostry ból. Nadal przebywał w jakiejś wilgotnej piwnicy. Widział stary bojler, odległy o jakiś metr. Jego rury przeżarła rdza. Za nim było drugie pomieszczenie, większe niż to, w którym znajdował się Jay. W bladym świetle przenikającym do środka przez brudne okna rysowały się niewyraźne sylwetki. Jay chciał je policzyć, ale było ich zbyt wiele, a niektóre z nich się poruszały. Kiedy spróbował się skupić, ból wręcz rozłupywał mu czaszkę.

Na pewno jęknął, pisnął albo zdradził się w jakiś inny sposób. Kłótnia umilkła nagle i usłyszał kroki. Brutalnie odwrócono go twarzą do sufitu. Stał nad nim Sascha. Telepata nie wyglądał za dobrze. Ręce mu drżały, a kosmyki czarnych, spoconych włosów lepiły się do bladego czoła.

– Co... – wychrypiął Jay. To było wszystko, co zdołał z siebie wykrztusić. Wargi i gardło miał zupełnie suche i obolałe. – Co... – powtórzył.

– Dajcie mu trochę wody – polecił Sascha.

Po chwili Haitanka uklękła przy nim i przystawiła mu szklankę do ust. Dłonie miała gorące, ale woda była chłodna. Detektyw przelykał ją chciwie, pozwalając, by spływała mu po ustach i podbródku.

– Ssij – wyszeptała mu ze śmiechem Ezili prosto do ucha.

Jay poczuł jej zapach. Skórę zalała mu fala gorąca.

– Nie trzeba było jechać za nami do Atlanty – oznajmił mu Sascha.

Jay prychnął, wypluwając resztki wody.

– Moje ręce – zdołał wykrztusić. – Sznury... odcinają dopływ krwi. Przetnij mi więzy.

– Jestem ślepy, ale nie głupi – odparł barman. – Kiedy masz związane ręce, nie możesz używać swojej mocy. Musisz wycelować palcem, udawać, że twoja ręka to pistolet.

– Próbuje nas nabrać. – Człowiek-wij zatrzymał się tuż za Saschą. Był wysoki i garbił się jak wielki znak zapytania, a jego skurczona twarz sprawiała wrażenie przyklejonej do wąskiej, bezwłosej głowy. Wszystkie ręce miał groteskowo długie i chude – skóra opinająca się ciasno na kościach i mięśniach. Było ich jednak bardzo wiele. – Mówiłem, że on

jest niebezpieczny – ciągnął dzoker. – Zabijmy go.

W jednej z licznych dłoni trzymał nóż z ząbkowanym ostrzem.

– Nie – sprzeciwił się Sascha. – Jest zbyt cenny.

– To skarb – wyszeptała Ezili.

– Wiesz, co nasz pan sądzi o asach – dodał barman.

– Zapytaj resztę! – nie ustępował człowiek-wij.

– A czy ja mam prawo głosu? – zainteresował się Jay.

Haitanka się roześmiała, a Sascha zwrócił ku niemu bezoką twarz.

– Zagłosowałbyś za życiem – stwierdził z powagą. – A to by było głupie.

Potarł machinalnie palcami wielki strup, który miał z boku szyi.

– Byłeś niegrzecznym chłopcem – oznajmiła drwiąco Ezili. – Co z nimi zrobiłeś, he? Z naszymi pięknymi przyjaciółmi?

– Już ci mówiłem – odparł bezoki barman. – Teleportował ich. Do Nowego Jorku.

– Pan będzie zły – stwierdziła Haitanka. Przesunęła palcem po policzku Jaya i delikatnie zatoczyła wokół jego ucha. – Stracił tak wiele wierzchowców. Będzie musiał cię ukarać.

– Pan – powtórzył Ackroyd. – Kto to jest? Hartmann?

Ezili popatrzyła na niego beznamiętnie.

– Lalkarz – rzekł Jay, przypominając sobie imię, którym posłużył się Tachion.

Człowiek-wij zerknął ze zdziwieniem na Saschę.

– Czy o to tu chodzi? – zapytał barman. – Ty biedny, żaloszny durniu. Nie masz pojęcia, w co się wpakowałeś. – Parsknął krótkim, ostrym śmiechem, w którym nie było krzty wesołości. – Ale z drugiej strony niewielu z nas miało – dodał z goryczą.

– Chcę się z nim zabawić – oznajmiła Ezili. Jej ręka rozpięła detektywowi pasek i wsunęła mu się do spodni.

– Nie dzisiaj, kochanie – sprzeciwił się słabym głosem Jay. – Boli mnie głowa.

Ezili uśmiechnęła się i zdjęła rękę z jego członka.

– Kiedy on cię pocałuje, znowu będziesz mój – wyszeptała. – Lubi, jak

nowe wierzchowce pierdolą się ze mną. Dosiądzcie ciebie, a ty dosiędziesz mnie.

– Rewelacja – mruknął Jay.

Ezili przesunęła językiem po dolnej wardze. Ona również miała strup na szyi.

Ackroyd widział go już przedtem, gdy bawili się na jej dywanie, ale o nim zapomniał. Teraz miał go przed oczami. Stara rana, pokryta strupem, tak samo jak u Saschy.

Spojrzał na wija. Dziura w jego szyi była otwarta i krwawiła. Otaczał ją obszar poczerwieniałej, zmienionej zapalnie skóry.

Wszyscy je mają, pomyślał gorączkowo Jay. To nie byli dzokerscy terroryści ani radykalni zwolennicy Hartmanna, ale... coś innego. Coś straszliwego.

Poczuł nagły ucisk w żołądku. Znów dopadły go przyprawiające o mdłości zawroty głowy oraz nieopisany strach, jakby przed chwilą wpadł do swego koszmaru.

– To wam nie ujdzie na sucho – ostrzegł z całą brawurą, na jaką było go teraz stać. – Blaise opowie, co mu się przytrafiło. Odnajdą was... Tachion, Hiram... – Zastanawiał się, kto jeszcze mógłby go szukać, ale żadne nazwisko nie przychodziło mu do głowy. – Jestem powszechnie znany, Sascha – dodał słabo. – Nie pozwolą wam mnie załatwić.

Ezili uznała to za bardzo zabawne. Wybuchnęła bliskim histerii śmiechem. Wij przyłączył się do niej.

– Chłopak nic nikomu nie powie – odparł Sascha niemal ze smutkiem. Złapał Jaya za przód koszuli i pociągnął go do pozycji siedzącej. – Patrz.

Szary półmrok pod ścianą wypełniała monstrialna postać. Detektyw wypatrzył w nim ręce, witki, pazury, ciała zrastające się z ciałami. I oczy. Dopiero gdy stworzenie się poruszyło, Ackroyd rozpoznał syjamskie pięcioraczki.

Blaise leżał nieprzytomny na materacu u ich stóp, przykuty za nadgarstek i kostkę do pobliskich rur. Twarz miał posiniaczoną, a oko zamykała mu zakrzepła krew.

Jay pomyślał, że doktor Tachion naprawdę się wkurzy.

12:00

Brennan bezzwłocznie skierował się do Naszej Pani Wiecznie Cierpiącej. Idąc przez Dżokerowo, obserwował finał wielkiej zabawy, o której wspominał Finn. Na ulicach nadal zataczali się pijacy noszący znaczki z napisami „Hartmann”/„Jackson”. Prawie każdy budynek zdobiły transparenty Hartmanna, które pojawiły się magicznie podczas nocy niczym grzyby wyrastające po deszczu. Na wszystkich płaskich powierzchniach naklejono jego plakaty. Gdziekolwiek spojrzął, widział uśmiechniętą twarz senatora. Jego wszechobecność sprawiała niesamowite wrażenie. Yeoman po raz pierwszy poczuł się zaniepokojony tak potężnym, bezkrytycznym uwielbieniem.

Ojciec Kałamarnica odprawiał mszę, Brennan wślizgnął się więc do kościoła od tyłu i czekał, starając się nie rzucać w oczy. Dżoker siedzący na sąsiedniej ławie zerknął na niego, ale najwyraźniej doszedł do wniosku, że powinien zwracać uwagę na przebieg mszy, a nie gapić się na zakrwawionego natola siedzącego obok.

Nabożeństwo trwało jeszcze tylko kilka minut, ale nim kościół opustoszał, minęło trochę czasu. Ojciec Kałamarnica szybko zauważył Brennana, lecz nadal otaczała go grupka parafian, najwyraźniej pragnąca z nim porozmawiać o triumfie Hartmanna i spodziewanym nadejściu złotego wieku. Duchowny przywołał Quasiczłowieka i wyszeptał do niego kilka słów. Dżoker się oddalił, a Ojciec Kałamarnica skinął znacząco na Yeomana. Ten wymknął się z kościoła i okrążył budynek. Quasiczłowiek otwierał już probostwo.

– Mam nadzieję, że nic ci się nie stało – odezwał się Brennan, dostrzegając na twarzy tamtego liczne zdrapania.

– Skądże – odparł Quasiczłowiek. – Czy będę ci jeszcze potrzebny?

Brennan popatrzył na niego. W ciemnych, inteligentnych oczach dżokera nie dostrzegł żadnych wspomnień o wydarzeniach ostatniej nocy.

– Hmm... nie. Myślę, że poradzę już sobie sam. Gdybym jednak potrzebował pomocy, zawiadomię cię.

– W porządku – zgodził się Quasiczłowiek. – Będę gotowy.

Dżoker otworzył drzwi probostwa i Yeoman wszedł cicho do środka. Zastony były zaciągnięte. Jennifer nadal spała na sofie. Twarz miała gładką i spokojną jak dziecko. Jej cera była zdrowa, a oddech swobodny i regularny. Wyraźnie wracała do zdrowia, ale Yeoman nie chciał jej budzić, by nie narażać jej na niebezpieczeństwo.

Przeszedł cicho na palcach do korytarza prowadzącego do małej sypialni. Jego torba stała przy drzwiach. Ściągnął z siebie zakrwawione, podarte ubranie i przekonał się, jak trudna może być tak prosta czynność jak zmiana spodni, kiedy ma się rękę na temblaku. Gdy już uporał się z tym zadaniem, zamknął za sobą drzwi i usiadł na łóżku wodnym należącym do Ojca Kałamarnicy, chcąc chwilę odpocząć.

Wziął głęboki oddech. Doktor Finn miał rację. Czuł się całkowicie wyczerpany. Miał nadzieję, że pozostała część dnia będzie dla niego łatwiejsza. W tej chwili nie zdołałby pokonać nawet stada szczeniactków ważących w sumie połowę tego co on.

Unióśł słuchawkę stojącego przy łóżku telefonu i wykręcił numer, który dostał od kota. Już po pierwszym sygnale odezwała się automatyczna sekretarka: „Przepraszamy, ale numer nie jest już dostępny”.

Odłożył słuchawkę. Znikacz działał szybko. Nawet firmę telefoniczną zmusił do współdziałania. Brennan zastanawiał się przez chwilę. Kien mógł wiedzieć, gdzie można znaleźć Znikacza, ale na myśl o proszeniu wroga o pomoc robiło mu się niedobrze. Zrobi to, jeśli będzie musiał, ale najpierw spotka się z innymi ludźmi. A szczególnie z jednym człowiekiem.

Ostatnią broń, jaka mu pozostała, trzydziestkę ósemkę o krótkiej lufie, wsunął bezpiecznie za pas nowych dżinsów i wrócił do salonu.

Przez chwilę przyglądał się śpiącej Jennifer, opierając się przemożnemu pragnieniu pocałowania jej. Przeszedł cicho przez pomieszczenie i bezgłośnie zamknął za sobą drzwi.

Quasiczłowiek siedział na trawie, wsłuchując się w tajemnicze myśli przepływające przez jego umysł niczym obłoki.

– Powiedz Ojcu Kałamarnicy, że wrócę – powiedział mu Brennan, ale dzoker zdawał się go nie słyszeć. Yeoman uśmiechnął się pod nosem, myśląc, że miał wielkie szczęście, iż Quasiczłowiek zareagował wczoraj, gdy wezwał go na pomoc.

Idąc przez kościelne podwórko w stronę ulicy, stwierdził, że dobrze by było zawsze mieć takiego farta. Gdy wszedł na chodnik, pojawiła się wolna taksówka. Gwizdnął przeciągle i pojazd zatrzymał się kawałek od niego. Może karta wreszcie się odwróciła, pomyślał.

– Do Wypaczonego Smoka – powiedział.

Taksówkarz skinął głową, włączył licznik i ruszył naprzód.

Kierowca okazał się bardzo rozmowny. Cały był obwieszony znaczkami Hartmanna. Brennan pozwolił mu gadać o wiekopomnych wydarzeniach w Atlancie, tylko od czasu do czasu chrząkając dla zachęty.

– Teraz pierze naprawdę się posypie – mówił taksówkarz. – Hartmann kontra Bush. O kurde. Jeśli Hartmann nie wygra, całe Dżokerowo wpadnie w szal. Nie sądzę, by Tachion był tu teraz mile widziany. Jak pan sądzi, dlaczego to zrobił?

Taksówka zatrzymała się przed Wypaczonym Smokiem.

– Jak pan sądzi, dlaczego Tachion odwrócił się do nas plecami? – zapytał raz jeszcze taksówkarz.

Yeoman chciał wzruszyć ramionami, ale utrudniał mu to temblak.

– Jestem pewien, że miał swoje powody – mruknął, tylko niejasno zdając sobie sprawę, co powiedział kierowca. Nie miał pojęcia, co i dlaczego zrobił Takizjanin. Ta odpowiedź nie przypadła do gustu taksówkarzowi, który odjechał bardzo szybko, mimo że Brennan dał mu dwudziestodolarowy banknot.

Yeoman wszedł do lokalu, zapominając o rozgrywkach politycznych. Miał na głowie ważniejsze problemy, podobnie jak Leniwy Smok, którego zauważył przy barze.

W Wypaczonym Smoku było tłoczno i hałaśliwie jak zawsze, to znaczy

bardzo. Podszedł od tyłu do Azjaty, który poderwał się zaskoczony, gdy Yeoman wcisnął mu w plecy knykięc palca, niczym lufę pistoletu.

– Miło cię znowu zobaczyć, kolego – odezwał się Brennan. – Pogadamy chwilę?

Smok skinął głową. Jego dłoń powoli ruszyła w kierunku kieszeni marynarki. Yeoman nacisnął nieco mocniej.

– Spokojnie. Trzymaj ręce na widoku. Nie chcę, żebyś zmienił się w pluszowego misia i wystraszył tych wszystkich ludzi.

– W porządku – zgodził się cicho Smok, rozkładając dłonie na kontuarze. – Czego chcesz?

– Mógłbym chcieć twojej głowy, koleżko, ale uratowałeś mi kiedyś życie, więc jesteście kwita. Pod warunkiem że powiesz mi, gdzie znajduje Znikacza.

– Mam tylko jego numer telefonu – odpowiedział Azjata. – Ten sam, który dałem ci kilka dni temu.

Brennan potrząsnął głową.

– Już jest nieaktualny.

– W takim razie nie potrafię ci pomóc.

Yeoman wlepił wzrok w Smoka, który spokojnie odwzajemnił jego spojrzenie.

– W porządku. Ale jeśli skłamałeś i wiesz, jak się skontaktować ze Znikaczem, zacznie się sezon polowań na smoki. A ja mam tutaj pozwolenie.

Nacisnął mocniej palcem. Azjata wzruszył ramionami, udając nonszalancję.

– Co mnie obchodzi, że dwóch białasów pozabija się nawzajem? – zapytał.

– Słuszne podejście – pochwalił go Brennan i zniknął w tłumie. Smoka można skreślić z listy, pomyślał, wychodząc na ulicę. Pora na kolejną wizytę w Magicznym Królestwie.



– Blaise – odezwał się Jay niecierpliwym, scenicznym szeptem.

Chłopak miał zamknięte oczy, ale detektyw obserwował napięcie jego mięśni i nie wątpił, że jest przytomny. Być może oszołomiony, niemal z pewnością przerażony, ale przytomny.

W sąsiednim pokoju Zaklinacz śpiewał. Tak pozostali nazywali syjamskie pięcioraczki. Jay miał przyprawiające o mdłości przekonanie, że wie, co właściwie zaklinają. Sascha wyszedł jakieś dwadzieścia minut temu. Powiedział, że musi znaleźć nowego chłopca. Z przebiegu rozmowy Ackroyd wywnioskował, że starego chłopca teleportował wczorajszej nocy w parku. Nie był pewien, do czego im potrzebny chłopiec, ale miało to coś wspólnego z podróżą, którą planował pan.

Telepatyczne zdolności barmana udaremniłyby wszelkie próby uciezki. Jeśli miało im się udać, to tylko teraz. O ile Jay potrafił to określić, w drugim pokoju pozostało tylko pięć osób. Sześć, jeśli liczyć groteskowe niemowlę karmione piersią. Doszedł do wniosku, że nie musi się przejmować matką i dzieckiem. Ezili i dzoker wyglądający jak wielka krwawa kiszka również nie powinni być specjalnie groźni. Zostawali tylko Zaklinacz i człowiek-wij. Ten drugi siedział pod oknem, w jednej z lewych rąk trzymając osełkę, a w prawych sześć noży. Ostrzył je, poruszając prawymi kończynami z dziwną, rytmiczną gracją. Zgrzyt stali tworzył niesamowity kontrapunkt ze śpiewem Zaklinacza.

– Blaise – wyszeptał raz jeszcze Jay. – Obudź się, do cholery.

Chłopak otworzył oczy. Wszelka arogancja zniknęła z nich bez śladu. Nawet po ciemku można było zauważyć, jak bardzo się boi. Młody, pełen wzgardy mentat znowu zmienił się w małego chłopca.

– Musimy stąd zwiewać – oznajmił mu Ackroyd, starając się mówić cicho. – Nie będziemy mieli lepszej szansy niż teraz.

– Skrzywdzili mnie! – poskarżył się Blaise. Jego przepojony bólem głos zabrzmiał stanowczo zbyt donośnie. Jay zeszytywniał na moment, ale śpiew w sąsiednim pokoju nie umilkł.

– Wiem – wyszeptał detektyw. – Blaise, musisz mówić ciszej. Jeśli nas usłyszą, będziemy mieli przejebane.

– Boję się – powiedział chłopiec ciszej, ale niewystarczająco cicho. –

Chcę wrócić do domu.

– Weź się w garść – polecił mu Jay. – Potrzebuję cię. Musisz zapanować nad umysłem jednego z nich.

– Próbowałem – odpowiedział chłopak. – Nocą... Miałem Saschę, ale nie chcieli go słuchać, a potem ten stwór... ten dzoker... miał za dużo umysłów, nie byłem nawet pewien ile, a niektóre z nich... To było jak umysł zwierzęcia, tylko inteligentniejsze. Ciągłe mi się wyslizgiwało. Nie mogłem go pochwycić. Skrzywdzili mnie.

Rozpłakał się. Po policzku spływała mu czerwona strużka. Jego łzy mieszały się z zakrzepłą krwią zamykającą mu oko.

– Jeśli stąd nie uciekniemy, skrzywdzą cię znacznie bardziej – ostrzegł go Ackroyd. – Nie musisz się szarpać z wielkim brzydalem. Schwytaj tego, który wygląda jak wij. Każ mu wstać i powiedzieć: „Sprawdzę, co słysząc u więźniów”. Jasne?

– Sprawdzę, co słysząc u więźniów – powtórzył z apatią w głosie chłopak. Usta miał obrzękłe i spękane.

– Niedbale – powiedział mu Jay. – To musi zabrzmieć niedbale. Potem każ skurwysynowi tu przyjść. Niech weźmie jeden ze swoich noży i przetnie mi więzy. Gdy tylko oswobodzi mi dłonie, będziemy wolni. Przenieś cię do Marriotta i sprowadzisz pomoc, dobra?

– No, nie wiem – mruknął Blaise.

– Myślałem, że jesteś w jednej czwartej Takizjaninem – wyszeptał detektyw z całą pogardą, na jaką potrafił się zdobyć. – Czy nadajecie się do czegokolwiek poza płakaniem?

Chłopak mruganiem pozbył się łez, po czym powoli skinął głową.

– Spróbuję.

Wykrzywił posiniaczoną twarz w wyrazie skupienia. Jay wstrzymał oddech. Śpiew zdawał się ciągnąć przez całą wieczność. Wreszcie odsunęło się krzesło i cienki głos oznajmił stanowczo zbyt oficjalnym tonem:

– Sprawdzę, co słysząc u więźniów.

Śpiew umilkł. Ackroyd usłyszał kroki. Za dużo kroków.

Wij podszedł do detektywa niczym lunatyk, uklęknął przed nim,

sięgnął do jego rąk i zaczął piłować więzy nożem. Gdy tylko Jay usłyszał dźwięk, uświadomił sobie z przerażeniem, że związano go drutem, nie sznurem.

Zaklinacz zjawił się tuż za wijem, poruszając się naprzód ociężałym, utykającym krokiem. Jedna z głów zerknęła na Jaya i wija, ale zignorowała ich. Wszystkie pozostałe patrzyły na Blaise'a.

– Nie – jęknął chłopak, gdy padł na niego ogromny, mroczny cień dzokera. Próbował uciekać przed nim po materacu, ale nie miał gdzie się ukryć.

Zaklinacz sięgnął jedną z rąk między rury biegnące pod sufitem, wydobył stamtąd kij bejsbolowy i walnął nim chłopaka w głowę z trzaskiem, od którego Jayowi zrobiło się niedobrze.

14:00

Tym razem Brennan zdecydował się na proste działania. Wiedział, dokąd idzie i co chce tam zrobić. Ogród Quinna wyglądał pięknie w blasku popołudniowego słońca.

Albo Eskimos miał wielkie talenty w tej dziedzinie, albo korzystał z usług znakomitych specjalistów. Yeoman chętnie pogawędziłby z nim o ogrodnictwie. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, będzie miał na to szansę.

Przeszedł przez klomb maków i zbliżył się do pełniącej straż gąsienicy od tyłu. Podobnie jak poprzednim razem, maszyna odwróciła ku niemu głowę, uśmiechnęła się, przywitała go i wypuściła w jego stronę obłok gazu.

Brennan upadł, mając nadzieję, że artystycznie. Skrzywił się, gdy jego prawa ręka uderzyła o ziemię i wygięła się, przez co lewa znalazła się pod jego ciałem. Wstrzymywał oddech, czekając, aż gaz się rozproszy, oddychając płytko i ostrożnie, i tylko wtedy, gdy już musiał. Trochę zakręciło mu się w głowie od pozostałości gazu, ale i tak nie oprzytomniał jeszcze do końca po lekach.

Leżał tam przez jakieś dziesięć minut, zanim wreszcie usłyszał

zbliżające się kroki i utyskujący głos.

– Niedzielne popołudnie – mówił głos. – Niedzielne popołudnie. Czy człowiek nie może się spokojnie zabawić nawet w weekend? Do czego ten świat zmierza?

Narzekanie ucichło. Przez uchylone powieki Yeoman dostrzegł, że Quinn gapi się na niego.

– A któż to taki? – wznowił swój monolog Eskimos. – Kogo złapała w sieć moja gaśienica? Chwileczkę. Gaśienice nie tkają sieci, prawda?

– Zgadza się. – Brennan usiadł i wycelował w Quinna z pistoletu. – Miałeś na myśli pająki.

– Jesteś nieprzytomny – stwierdził mężczyzna. – Nie możesz mówić.

Yeoman widział, że Eskimos jest na ostrym haju, ale nie było w tym nic nadzwyczajnego. Właściciel ogrodu przyglądał się niepewnie intruzowi. Najwyraźniej nawet nie zauważał wymierzonego w niego pistoletu.

– Widzę, że wprowadziłeś dzisiaj coś do organizmu, Quinn.

Pokiwał głową z całkowitym spokojem.

– Metakwalon.

– Mam farta. Posłuchaj, oto, co zrobimy. Pójdziemy do twojego domu, zadzwonimy jeszcze do kogoś i urządzimy sobie małe przyjęcie. Zgadzasz się?

Quinn skinął z zadowoleniem głową.

– Jasne. W niedzielę zawsze jest nudno. W telewizji nie ma nic wartego obejrzenia.

– Ty pierwszy – rzekł Yeoman, kiwając pistoletem na gospodarza. Nie chciał znaleźć się w zasięgu jego rąk, na wypadek gdyby doktor zorientował się, co się dzieje, i spróbował znowu zatopić w nim igły ukryte w swych palcach.

Brennan miał teraz szansę lepiej przyjrzeć się posiadłości niż w czasie poprzedniej wizyty. Quinn miał dobry gust, jeśli chodzi o ogrodnictwo, ale z pewnością nie dotyczyło to dekoracji wnętrz. Wnętrze Magicznego Królestwa urządzone w stylu, który najtrafniej można było określić jako egzotycznie eklektyczny. W sieni wisiały portrety sławnych

narkomanów, między innymi Edgara Allana Poe, Sherlocka Holmesa, Elvisa Presleya i Toma Mariona Douglasa.

W pokoju, do którego zaprowadził go Quinn, wisiały gabloty z między innymi kolekcją chińskich buteleczek z opium oraz antycznych tureckich fajek wodnych. Pod jedną ze ścian ustawiono terraria z rzadkimi i trudnymi w uprawie grzybami albo kaktusami, pod drugą zaś akwaria, w których pływały rozmaite gatunki rozdymkowatych.

– Niezłe mieszkanko – ocenił Yeoman, rozglądając się wkoło.

– Dziękuję – odparł wyraźnie rozpromieniony Quinn. – No wiesz, to tematyczna dekoracja.

– Jasne – zgodził się Brennan. – Chciałbym, żebyś teraz wykonał ten telefon.

– Do kogo zadzwonimy?

– Do Znikacza. Chcę, żeby dotarł tu jak najszybciej. Powiedz mu, że odkryłeś coś nowego. Coś ważnego, co musi natychmiast zobaczyć. Dasz sobie z tym radę?

– Hej! – Eskimos wyprostował się nagle. – Mam umysł ostry jak brzytwa! – Zatrzymał się i spojrzał na gościa. – Ale właściwie dlaczego miałbym to zrobić?

Yeoman doszedł do wniosku, że subtelność nic mu nie da.

– Dlatego, że ja ci każę – odpowiedział, celując w Quinna. – I mam pistolet.

– Hej – odparł doktor, odsuwając się od niego. – Tak tylko pytałem.

Podszedł do telefonu. Yeoman podążył za nim, trzymając się o krok z tyłu. Przyglądał się numerowi, który wykręcił Eskimos. Różnił się od tego, który sam otrzymał od Znikacza. To nie zaskoczyło Brennana. Nie sądził, by Znikacz każdemu podawał swój bezpieczny numer.

Quinn miał trudności z operowaniem tarczą, ale za trzecim razem udało mu się wykręcić numer prawidłowo. Yeoman zajął miejsce przed nim, aby Eskimos widział pistolet.

– Hej, hej! – wołał Quinn. – Zgadnij kto... Zgadza się. Goo-goo-g'joob.... nie, chwileczkę. To był mors. Tak czy inaczej, to ja, Quinn. Posłuchaj, Phil, stary kumplu. Grzebałem dziś trochę w laboratorium i

wykombinowałem coś, co po prostu musisz zobaczyć... Oczywiście, że jestem pewny... Wszyscy będą skakali z radości. Hej, czy Eskimos kiedykolwiek cię zawiódł? To znaczy ostatnio... No dobra, dobra... Kiedy będziesz mógł. Jasne... *Adios*.

Odłożył słuchawkę.

– I co? – zapytał Brennan.

– Ma teraz coś do zrobienia, ale zjawi się tu za jakąś godzinę. Hej, może chciałbyś obejrzeć moją szklarnię? Mam piękną kolekcję konopi indyjskich.

– Jasne – zgodził się Yeoman. – Czemu nie?

15:00

Jay usłyszał na schodach dźwięk kroków. Otworzył oczy.

Było tu bardzo cicho. Przez pewien czas spał albo odzyskiwał przytomność i tracił ją na zmianę. Trudno było to określić. Zerknął w stronę materaca i zobaczył, że Blaise wlepia w niego szeroko otwarte z przerażenia oczy. Z ust wypływała mu strużka spienionej krwi. Zaklinacz wybił mu kilka zębów. Chłopak wyglądał tak, jakby nie zdawał sobie z tego sprawy.

Kroki stały się głośniejsze. Jay poruszył się nerwowo na kanapie, próbując zajrzeć do sąsiedniego pokoju. Ręce nadal miał bezużyteczne, związane za plecami.

Do piwnicy wszedł Hiram Worchester.

Jay zamrugał. Przez chwilę myślał, że to halucynacja. Następnie zebrał wszystkie siły, jakie mu zostały, i zawołał:

– Tutaj! Hiram, tu jestem!

Restaurator rozejrzał się wkoło. Zaklinacz podźwignął się i powoli wyłonił z cienia.

– Uważaj! – zawołał Ackroyd.

I usłyszał śmiech Ezili.

Hiram przyniósł ze sobą walizkę, wielką i czarną, wyposażoną w trzy

błyszczące, mosiężne zamki. Była tak wielka, że można by ją niemal uznać za kufer, ale Worchester dźwigał ją tak swobodnie, jak zwyczajny człowiek mógłby nieść aktówkę. Detektyw uświadomił sobie, że Hiram zmniejszył jej ciężar. Zaklinacz wziął ją od niego i ostrożnie postawił na najmniejszym boku. Sześć rąk zaczęło jednocześnie otwierać zamki.

Jay Ackroyd poczuł nagły chłód.

Hiram popatrzył na niego z oddali. Sprawiał wrażenie zmęczonego i wymiętoszonego. Jego nienagannie skrojony garnitur był wilgotny od potu. Detektyw spojrzał mu w oczy. Były pełne bólu, wstydu i czegoś, co mogło być przerażeniem. Restaurator wyglądał, jakby miał się zaraz rozpłakać. Gdy uniósł rękę w świetnie już znanym Jayowi gościu i potarł się w bok szyi, Ackroyd również miał ochotę zalać się łzami.

Obok Hiram pojawił się Sascha. Bezoki dzoker kręcił leciutko głową niczym ptak, sprawdzając otoczenie swym zmysłem telepatycznym. Po chwili skinął głową na znak, że jest bezpiecznie.

– Otwórz walizkę.

Zaklinacz wykonał polecenie. W środku była mała dziewczynka, cztero-, najwyżej pięcioletnia. Była maleńka, jasnoskóra, jasnowłosa i naga. Uśmiechała się.

Stwór, który przywarł do niej w obmierzłym uścisku, wyglądał jak skrzyżowanie abortowanego płodu z największym czerwem, jakiego Jay w życiu widział. Wcisnął usta w szyję dziecka. W ciszy, która nagle zapadła, Ackroyd usłyszał cichutki dźwięk ssania.

Oczy miał żywe i czujne. Odnalazły Jaya w półmroku i wpatrzyły się w niego chciwie.

To mój koszmar, pomyślał przerażony detektyw. Niemal spodziewał się, że zaraz usłyszy wycie. Jego pęcherz nie wytrzymał. Po nogach Jaya rozlało się ciepło.

– On się bardzo boi, panie – odezwał się Sascha.

– Potem skosztuję jego strachu – oznajmiła dziewczynka. Wygramoliła się niezgrabnie z walizki i wsparła wdzięcznie rączką o Zaklinacza, żeby zachować równowagę. Jej głos brzmiał jak w filmie z Shirley Temple, ale słowa pochodziły od stworzenia, które miała na plecach.

– Hiram, zrób coś – błagał Ackroyd.

– Nic się nie da zrobić, Jay – odpowiedział restaurator. – Przykro mi.

Detektyw szarpnął bezradnie więzy, próbując uwolnić ręce. Nie miał szans. Nawet nie czuł własnych dłoni. Równie dobrze mogły mu odpaść już przed godziną.

– Są silni, panie – oznajmiła Ezili.

– Obaj są asami – potwierdził Sascha.

Worchester sprawiał wrażenie, że chce coś powiedzieć, ale odwrócił się i wbił wzrok w ścianę.

– Kurwa, zaciśnij pięść, Hiram! – zawołał do niego Jay. – W porównaniu z tobą są niczym. Zwiększaj ciężar, aż z tej cholernej pijawki zostanie tylko mokra plama na podłodze.

– Nic nie rozumiesz – odpowiedział restaurator. – Ti Malice to mój pan. Nie mógłbym żyć bez jego pocałunku. Jak mógłbym go skrzywdzić? – Jego masywne ciało przeszło dreszcz. – Nie... mógłbym... go skrzywdzić.

– Najpierw spróbuję chłopaka – oznajmiła dziewczynka.

Nawet jeśli Blaise usłyszał i zrozumiał te słowa, w żaden sposób tego po sobie nie okazał. Ruszyli kolejno, najpierw dziewczynka niosąca na plecach stworzenie, które Hiram nazwał Ti Malice, a za nią Sascha, Ezili, wij, a nawet Zaklinacz i cała reszta. Tylko Hiram pozostał na miejscu. Blaise patrzył na nich tępo, aż wreszcie poderwał się nagle, jakby przebudził się z głębokiego snu.

– Nie! – krzyknął i zaczął się cofać po brudnym materacu, starając się maksymalnie oddalić od Ti Malice'a. Nic mu to nie dało. – Błagam, nie!

– To ciekawe – odezwała się dziewczynka. – Czuję, jak dotyka umysłu wierzchowca, starając się go odepchnąć.

Szczątkowe kończyny poruszyły się słabo. Ti Malice przygotował się do przejścia na nowego żywiciela.

– Nie dziewczynkę! – wrzeszczał Jay. – Stwora na jej plecach!

Blaise obrzucił go krótkim, zdesperowanym spojrzeniem. W tej chwili Jay zrozumiał, czym naprawdę jest strach.

– Przytrzymaj go dla mnie – rozkazał Zaklinaczowi Ti Malice, posługując się ustami dziecka. Olbrzymi dzoker ruszył ociężale ku chłopakowi.

Fioletowe oczy Blaise'a przesunęły się na Ti Malice'a. Chłopak przymrużył powieki w ostatnim, desperackim akcie odwagi. Jego umysł zetknął się z umysłem pasożyta. Potem Blaise zaczął krzyczeć.

16:00

Gdy zabrzmiał dzwonek, Brennan spojrział przez judasz. To był Znikacz. Wyglądał na poirytowanego i zniecierpliwionego. Yeoman uśmiechnął się i otworzył drzwi.

– No dobra, Quinn – zaczął gangster, wchodząc do Magicznego Królestwa. – O co tu...?

Umilkł, gdy zauważył stojącego przed sobą Yeomana. Zaczął znikać, ale Brennan był na to przygotowany.

Zatrzasnął drzwi za asem i wysypał na niego zawartość metalowego pojemnika, który trzymał w ręce. Drobnziarnisty biały proszek pokrył Znikacza od stóp do głów, razem z otaczającą go podłogą.

Zdumiony as zamrugał, a potem kichnął. Wysunął język i polizał kącik ust.

– Jezu Chryste! – zawołał. – To kokaina!

Yeoman skinął głową.

– Wiesz, ile forsy na mnie wysypałeś? Mówimy o milionach!

Brennan upuścił pojemnik, wyciągnął trzydziestkę ósemkę i wycelował prosto między oczy Znikacza.

– Mówimy o śmierci – oznajmił po prostu.

As odsunął się od niego. Pokrywało go tak wiele białego proszku, że wyglądał jak posypany cukrem pudrem pączek mający metr osiemdziesiąt wzrostu.

– Jesteś na mnie zły – stwierdził.

– Masz rację – odrzekł Yeoman. – Udobruchaj mnie.

– Czego chcesz?

– Dziennika Poczwaraki. – Brennan skinął pistoletem. – Albo twojej głowy, dla mnie to bez różnicy. Pewnie znajdę gdzieś Trupiogłowego. Podejrzewam, że jest głodny.

Znikacz ledwie zdołał stłumić drzenie na wzmiankę o Trupiogłowym, chorym psychicznie asie, który odczytywał wspomnienia ludzi, zjadając ich mózgi.

– No dobra, pewnie możemy dojść do porozumienia. Jest w moim mieszkaniu. Możemy tam pojechać...

– Możesz zadzwonić i kazać go tu przywieźć.

– Proszę bardzo.

– Tędy. – Brennan wskazał pistoletem i Znikacz ruszył pierwszy, powoli i ostrożnie. – Tutaj – rozkazał Yeoman.

Zaprowadził gangstera do pomieszczenia stanowiącego połączenie buduaru z pokojem gier. Quinna już przedtem umieścił na krześle, do którego sam był kiedyś przywiązany.

– A niech to – mruknął Eskimos, gdy weszli do pokoju. Najwyraźniej działanie metakwalonu już słabło i jego umysł funkcjonował w miarę normalnie.

Znikacz przeszył go intensywnym spojrzeniem.

– Porozmawiamy później – zapowiedział.

– Siadaj – rozkazał mu Yeoman.

As usiadł na krześle obok Quinna i Brennan rzucił mu kaftan bezpieczeństwa, który znalazł w należącej do Eskimosa kolekcji rekwizytów BDSM. Znikacz wsunął się w niego bez słowa, a Yeoman niezgrabnie zawiązał sznurki. Żeby się zabezpieczyć, przytroczył go do krzesła skórzanymi pasami, również wchodzącymi w skład niezwyklej kolekcji Quinna.

– Pora na ten telefon – oznajmił Brennan.

Znikacz, który zrezygnował już z wszelkich pretensji do niewidzialności, mruknął coś pod nosem, ale wykonał polecenie.

Yeoman usiadł i z uwagą obserwował dwóch więźniów, gdy czekali na dostarczenie notatnika. Znikacz próbował raz czy dwa nawiązać

rozmowę, składając przeprosiny i usprawiedliwienia, ale Brennan nie dał się w to wciągnąć. Sam wyraz jego twarzy wystarczył, aby gangster się zamknął.

Wreszcie zabrzmiał dzwonek i Yeoman poszedł otworzyć drzwi. Wilkołak w masce Mae West wręczył mu oprawny w skórę tom, a potem spojrzał na niego wyczekująco.

– To wszystko – oznajmił mu Brennan. – Nie jesteś gońcem i nie dostaniesz napiwku.

Rozczarowany Wilkołak oddalił się podjazdem, a Yeoman wrócił do sypialni Eskimosa.

– Towar dostarczono – oznajmił Znikacz. – Może tak byś nas wypuścił?

Brennan spojrzał na Quinna.

– Masz służbę?

– Jasne. W niedzielę mają wolne.

– To znaczy, że jutro wrócą?

Właściciel rezydencji skinął głową.

– Wtedy was wypuszczą – skwitował Brennan i ruszył ku wyjściu.

– Niech i tak będzie – odparł Quinn. – Upichcę sobie trochę kwasu i pomedytuję nad tym, czego się dziś nauczyłem.

Znikacz nie wykazał się jednak podobnym flegmatyzmem.

– Hej, Kowboju! – zawołał. – Uwolnij mnie.

Yeoman potrząsnął głową.

– Nie przeginaj. Ciesz się, że wychodzisz z tego żywy.

– Wracaj! – zawołał, ale Brennan oddalał się spokojnie. – Ty skurwysynu! – wrzasnął as i wybuchnął przenikliwym, drwiącym śmiechem. – Myślisz, że jesteś taki bystry? Przekonasz się, co ci da ta debilna książka!

Brennan się nie zatrzymał. Wychodząc, zostawił uchylone drzwi. Może zjawią się jacyś włamywacze, by obrobić dom. Nie liczył jednak na to zbyt wiele. Stał przed nowiutkim bmw należącym do Znikacza i postanowił, że zabierze je z powrotem do miasta. Gdy zapalał samochód na styk, przypomniał sobie drwiące słowa asa. Ciekawość

skłoniła go do otwarcia dziennika.

Przerzucając strony, uświadomił sobie, że gangster w pewnym sensie miał rację. W całej książce nie było ani jednego faktu, żadnych konkretnych informacji. To był osobisty dziennik, w którym Poczwarka zapisywała swoje myśli. W prostych, klarownych, pełnych uczuć słowach dawała wyraz swym wątpliwościom, obawom i niepokojom.

Brennan odnalazł wpis sprzed półtora roku, z dnia, gdy zaoferował jej swą miłość i opiekę, a ona odrzuciła jego propozycję. Wtedy po raz ostatni widział ją żywą. Oto, co napisała:

Czego tak bardzo się boję? Codziennie bez obaw pokazuję światu swe odrażające deformacje. W gruncie rzeczy wręcz się napawam skrępowaniem i wstrętem, jakie wywołuje mój wygląd. Ja muszę z nim żyć na co dzień i nie mam powodu oszczędzać go innym.

Zmuszam mężczyzn do kochania się z moją brzydotą w zamian za informacje, które pragną zyskać. Dlaczego nie mogę się oddać temu, który kocha mnie taką, jaką jestem? Czy to strach? Strach przed tym, że tak naprawdę wcale mnie nie kocha, że tylko mnie wykorzystuje i rzuci mnie, gdy tylko uzyska to, czego pragnie?

Jestem okropnym tchórzem.

Żegnaj, mój łuczniku. Będzie mi ciebie brakowało. Będzie mi brakowało tego, co mogło nas połączyć.

Dziennik zawisł luźno w jego rękach. Yeoman nie chciał już więcej czytać. Nie miał do tego prawa. Nikt go nie miał. Przejrzał tylko kilka ostatnich wpisów, by się upewnić, że nie zawierają żadnych informacji mogących dotyczyć jej śmierci. Potem wyjął zapalniczkę z nowiutkiego bmw i na bujnej murawie przed rezydencją Quinna obrócił cały dziennik w popiół.



– To takie świeże – mówił Blaise. – Takie intensywne. Cudowne.

Spoczywał nagi na materacu. Ezili leżała pod nim, szeroko rozkładając czekoladowe uda. Oplotła go nogami, gdy wchodził w nią z coraz

większą pasją. Pokryta cienką warstewką potu kobieta krzyczała przy każdym pchnięciu.

– Powoli, moja najdroższa – rozkazał Blaise, ale oczywiście to nie był on, tylko stworzenie, które wczepiło się w niego niczym pijawka. Zamykało maleńkie oczka, by móc lepiej się cieszyć wrażeniami napływającymi do niego przez ciało chłopaka. – Ten wierzchowiec nigdy nie miał kobiety – kontynuowało. – Robi się coraz bardziej podekscytowany. Powoli, Ezili-je-Rouge, powoli.

Haitanka posłusznie zwolniła. Roześmiała się, odsłaniając zęby.

– Postaram się, żeby to trwało długo – obiecała. Jej palce powędrowały w górę i zaczęły bawić się brodawkami sutkowymi chłopaka.

Jay odwrócił wzrok od tego obrazu i zobaczył, że stoi przy nim Hiram Worchester. Nigdy nie widział u ogromnego asa równie zrozpaczonej i bezradnej miny.

– Rozwiąż mnie – wyszeptał. – Teraz, kiedy są zajęci.

Ezili znowu krzyknęła, głosem ochryplym z przyjemności. Hiram Worchester przez długi czas nie odpowiadał. Słysząc było tylko wilgotny, gniewny odgłos ciała uderzającego o ciało oraz gardłowy śpiew Zaklinacza. Wreszcie restaurator odwrócił się bez słowa.

– Teraz! – zawołał Ti Malice głosem Blaise'a. Ciałem chłopaka wstrząsnął orgazm. Ezili zacisnęła nogi wokół niego i roześmiała się głośno.

17:00

Gdy Brennan wrócił do Ojca Kałamarnicy, Jennifer już się obudziła. Grała z duchownym w szachy. Na widok Yeomana wstała, zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go, po czym odsunęła się od niego na długość ramienia.

– Dlaczego pozwoliłeś mi przespać te wszystkie wydarzenia? O mało co zginąłbyś beze mnie!

– O mało co – zgodził się Brennan. Osunął się na kanapę i westchnął

głęboko.

– Co się stało? – zapytała kobieta.

Potrząsnął głową.

– Wszystko stracone. Sprawdziłem wszystkie możliwe ślady. Nie zostało mi już nic do zbadania. Maczuga, Kuriozum, Żmij, Morkle, Quasiczłowiek, żaden z nich tego nie zrobił. Akta Poczwaraki spłonęły. Cała reszta rozplynęła się bez śladu. Sascha, Ezili, jej pan...

Jennifer usiadła obok mężczyzny, kładąc dłoń na jego policzku.

– Czy jest jeszcze ktoś, kogo mógłbyś wypytać? – zapytał Ojciec Kałamarnica.

– Nie sądzę, ojcie – odpowiedział Brennan, potrząsając głową ze znużeniem.

– Ja jestem – odezwał się cienki głosik.

Wszyscy się odwrócili i zobaczyli jednego z homunkulusów wychodzącego nieśmiało zza kanapy.

– Jak długo się tu ukrywałeś? – zapytał Ojciec Kałamarnica.

– Przez pewien czas. Obserwowałem. Nie mogłem zrobić nic innego.

– Możesz nam pomóc? – zapytał Brennan, rozpaczliwie próbując dowiedzieć się czegokolwiek. – Słyszałeś któreś z tych imion?

– Ezili – odpowiedział homunkulus. – To imię słyszałem.

– Aha – mruknął Yeoman. – Bardzo wiele osób je słyszało, ale nikt nie wie, gdzie ona jest.

– Może w lofcie?

– W lofcie? – powtórzył Brennan, nagle prostując się na kanapie.

– Tak. Kiedy Sascha zaczynał się dziwnie zachowywać, pani zawsze go pytała o tę kobietę, z którą go widywano. Śledziliśmy ją i dotarliśmy do loftu nad East River. Dwaj moi bracia poszli tam za nią, ale już nie wrócili.

– Pamiętasz adres? – zapytał cicho Yeoman.

– Tak mi się zdaje – odparł homunkulus.

Jennifer spojrzała na Brennana.

– Tym razem nie pójdziesz tam sam – oznajmiła.

Mężczyzna skinął głową. Do zmierzchu zostało tylko kilka godzin.



– „Każę mu wstać i zatańczyć” – to zaproponował Blaise, gdy po raz pierwszy zobaczyli Zaklinacza w Piedmont Parku. To wspomnienie wciąż pozostawało w głębi umysłu chłopaka. Jego pan znalazł je tam i to go rozbawiło.

Zaklinacz tańczył już od prawie czterdziestu minut. Jedna z nóg, połączona z kobiecym ciałem ulokowanym pośrodku, przestała się poruszać już jakieś dwadzieścia minut temu, ale pozostałe kontynuowały groteskowe szuranie.

Wreszcie Zaklinacz padł z wycieńczenia. Jego masywne cielsko zważyło się na kanapę, przesuując ją dobre trzydzieści centymetrów w bok. Zapadła cisza, głęboka i przerażająca.

Do pokoju weszli Sascha i wij.

– Jesteś z niego zadowolony? – zapytał bezoki barman.

– Bardzo – odpowiedział Ti Malice za pośrednictwem Blaise’a. – Jego doznania są wyjątkowo intensywne, a gdy jego umysł zapanuje nad innym, odbiera nie tylko jego emocje, lecz również fizyczne wrażenia... tyle cudownych odczuć jednocześnie... aromaty, kolory... dotyk dwóch albo trzech ciał jednocześnie... rozkoszne...

– To skarb – stwierdziła Ezili. Siedziała na materacu, oplatając jedną ręką chudą nogę chłopaka. Oboje wciąż byli nadzy.

– Jego moce mogą być użyteczne, panie – zauważył Sascha. – Każdy wierzchowiec, którego zapragniesz, może teraz stać się twój, nawet najpotężniejsi asowie. Chłopak może przyprowadzić ich do ciebie i unieruchomić, byś mógł ich wziąć bez przeszkód.

– Tak – kazało powiedzieć Blaise’owi stworzenie. – Dobrze się spisałeś. Wkrótce otrzymasz pocałunek, mój drogi.

Sascha wyglądał jak pies, któremu rzucono smakołyk.

– Ten wierzchowiec poznał śmierć na sposób, jakiego nigdy dotąd nie zakosztowałem – ciągnął Blaise w imieniu swego pana. – Łączył swój umysł z umysłami umierających... mieszał słodycz z goryczą, zabijanie

z umieraniem... pił ze źródła samej ciemności... tak jest...

Blaise odwrócił się powoli, przyglądając się pozostałym obecnym w piwnicy osobom. Dosiadające go stworzenie otworzyło blade, słabe oczy.

– Jego – odezwał się z zapalem człowiek-wij, wskazując sześcioma nożami na Jaya. – Zabij jego. On odesłał inne twoje wierzchowce, panie. Jest niebezpieczny.

Na detektywa skierowały się dwie pary oczu. Oczy Blaise'a, fioletowe i dziwnie szeroko rozwarłe, oraz oczka jego pana, mętne i przerażające. Ackroyd gapił się prosto na niego. Aż do chwili, gdy Hiram osłonił go własnym ciałem.

– Nie – sprzeciwił się. – Nie Jaya. On jest asem.

– Ackroyd jest potężny – poparł go Sascha. – To wysyłający teleporter. Kiedy będzie twój, nikt już nigdy ci nie zagrozi. Kiedy pojawi się wróg, wyceluje w ciebie palcem i przeniesie cię w bezpieczne miejsce.

– To by było dobre.

Oczy znowu zaczęły wędrować.

Aż zatrzymały się na człowieku-wiju.

Minęła dłuższa chwila, nim dzoker uświadomił sobie, co się dzieje.

– Nie, panie – sprzeciwił się. – Nie mnie. Ja... ja też jestem użyteczny...

– To tylko dzoker – skwitowała Ezili. – Chciał zabić ich obu. Twoje nowe skarby.

– Bałem się – tłumaczył się wij. – To asowie, są niebezpieczni. Nie chciałem, żeby cię skrzywdzili. Proszę, nie... Nie chciałem, żeby cię skrzywdzili.

– Chciał zatrzymać twój pocałunek dla siebie – ciągnęła Haitanka.

– Za chwilę zaatakuję cię tymi nożami – dodał rzeczowym tonem Sascha.

Blaise przymrużył lekko powieki. Noże wysunęły się z bezwładnych palców i upadły na podłogę.

– Hiram, zrób coś – odezwał się Jay.

Restaurator odwrócił wzrok.

Człowiek-wij zamarł w bezruchu, sparaliżowany mocą umysłu Blaise'a. Najwyraźniej chłopak pozostawił mu panowanie nad ustami, bo dzoker nie przestawał błagać.

– Proszę, nie. Weź kogoś innego – wołał swym ostrym, wysokim głosem. – Weź kobietę... albo dziewczynę. Tak, weź ją. Albo Zaklinacza, weź jego, on nawet nie umie mówić, jest głupi, weź go. Proszę, nie krzywdź mnie, panie. Kocham cię.

– Blaise! – krzyknął Jay. – Wypuść go!

Chłopak nawet na niego nie spojrział.

Człowiek-wij uniósł sześć prawych rąk i złapał się za najwyższą z lewych.

– Kocham cię, panie – skomlał. – Kocham cię, kocham cię.

Potem jego głos przeszedł w wysoki, przenikliwy krzyk bólu. Uciął sobie rękę. Trysnęła krew.

– On cię kocha – oznajmiła z uśmiechem Ezili, gdy ręce dzokera upuściły brocząca krwią kończynę na podłogę i złapały za kolejną, położoną poniżej. Druga ręka sprawiła mu nieco więcej trudności. Człowiek-wij musiał sobie pomagać paznokciami, rozdzierając własne ciało z całą siłą, jaka mu pozostała.

Hiram poszedł do kąta piwnicy i zwymiotował. Jay nie mógł już dłużej patrzeć na cierpienia dzokera. Przeniósł spojrzenie na Blaise'a. W jego ciemnych oczach pojawił się wyraz, jakiego Ackroyd nigdy jeszcze nie widział u człowieka. Penis chłopaka poruszył się i zaczął sztywnieć. Po chwili z płataniny włosów łonowych barwy miedzi wyrósł monstrualny wzwód. Ezili również to zauważyła i wzięła Blaise'owi do ust.

Jednak gdy druga ręka dzokera spadła na podłogę, odsunęła się na moment, by stwierdzić: – Już cię nie kocha.

21:00

Ktoś włamał się tu już przedtem.

Brennan zerknął na Jennifer, która czekała poniżej na rozklekotanych

schodach przeciwpożarowych, podczas gdy on przyglądał się oknu sypialni. Część jednej z szyb usunięto za pomocą noża do szkła. Wziął głęboki oddech i odpoczywał przez chwilę. Prawa ręka, pokryta od nadgarstka aż po łokieć twardym, plastikowym opatrunkiem, bolała go jak diabli. Wspiął się na schody bardzo ostrożnie, ale i tak od czasu do czasu uderzał nią o poręcz.

Sprawdził okno prowadzące do loftu na piętrze nad nieczynną drukarnią. Odetchnął, odemknął okno i wsunął się do sypialni.

Było tu ciemno i cicho. Spojrzał na Jennifer, nakazując jej zostać na zewnątrz. Skinęła głową i Brennan przeszedł przez sypialnię do części loftu, którą podzielono na szereg małych pokoików. Poruszał się w mroku, kolejno do nich zaglądając. Większość stanowiły sypialnie, ale jeden wyposażono w dźwiękoszczelne osłony i zamieniono w izbę tortur. Wszystkie były puste.

Naprzeciw pokoików znajdowała się dobrze wyposażona kuchnia. Drugą połowę loftu tworzył wielki salon z białą wykładziną dywanową. Yeoman podkradł się bliżej i zajrzał do pomieszczenia. Ono również wyglądało na puste. Włączył światło. Ściany były pokryte dziwnymi, malowanymi wzorami. Brennan podszedł bliżej, by się im przyjrzeć, i nagle odrażający, płaski kawał mięsa zerwał się z sofy, na której spoczywał niewidoczny, by runąć na intruza z szybkością atakującego sokoła. Twarz dzokera, ukryta po wewnętrznej stronie ciała, była niemal ludzka, pomijając męskie genitalia zwisające pod jasnozielonymi oczami.

Brennan uchylił się, odruchowo osłaniając twarz ręką. Dzoker uderzył w nią z całym impetem. Yeomana przeszyła fala bólu. Upadł, wypuszczając z ręki pistolet.

Stwór zawrócił i ponowił atak. Skórę miał bladą i pryszczatą. Sterczącym kolcem, który miał pod spodem, mierzył w przeciwnika niczym lancą.

Rozległ się głośny huk, niosący się niemilknącym echem w ciasnym pomieszczeniu. Stwór zawrócił gwałtownie, zawodząc głośno z gniewu i bólu. Brennan spojrział na Jennifer, która stała z szeroko rozstawionymi nogami, ściskając dymiący pistolet. Człowiek-manta zawrócił i pomknął

ku niej niczym wykonujący beczkę samolot myśliwski. Kobieta zdematerializowała się. Przeleciał przez nią na wylot i wpadł do sypialni, którą tu weszli. Rozległ się trzask pękającego szkła. Stłukł szybę i uciekł przez okno.

– Co to było? – zapytała drżącym głosem Jennifer.

– Nie mam pojęcia – odparł Yeoman. – Strażnik?

– Jeśli tak, to nie spał się zbyt dobrze – skwitowała. Podeszła do Brennana i pomogła mu wstać. Yeoman podniósł z drzeniem pistolet i skupił uwagę na wzorach namalowanych na ścianach salonu.

– Co to za syf? – zapytał.

– Veve – wyjaśniła Jennifer. – Haitańskie symbole religijne. Reprezentują loa, bogów wudu.

– Rozumiem – odparł Brennan, mimo że nie rozumiał. A już z pewnością nie rozumiał, co to wszystko może mieć wspólnego ze śmiercią Poczwaraki. Krążył po salonie niemalże bez celu, znużony, odrętwiały od bólu oraz poczucia porażki.

– Czego powinniśmy szukać? – zapytała Jennifer.

– Czegokolwiek – odpowiedział Yeoman głosem, w którym nie było zbyt wiele nadziei. – Czegoś, co mogłoby rzucić światło na wszystkie te szalone wydarzenia. Co mogłoby zaprowadzić nas do Saschy.

Otworzył drzwi i ujrzał wnętrze szafki zapchanej ubraniami, głównie płaszczami wszelkich odmian i rozmiarów, przeznaczonych dla obojga płci. Przypomniawszy sobie, że Kuriozum przeszukiwało szafkę z ubraniami w sypialni Poczwaraki, być może starając się odnaleźć tajemniczy płaszcz, o którym wspominała w testamencie.

– Pomóż mi – poprosił, oglądając się przez ramię na Jennifer. – Może tu coś znajdziemy.

Sięgając po futro z norek, zauważył lekką, płócienną kurtkę wiszącą na haku po wewnętrznej stronie drzwi. Wziął ją w ręce i przyjrzał się jej uważnie. Była nieskazitelnie biała, pomijając niemal niedostrzegalne ślady krwi na dole. Gapił się na nią przez dłuższy czas, a potem sprawdził kieszenie. Lewa była pusta, ale w prawej znalazł talię antycznych kart. Przerzucił je. Brakowało asa pik.

Spojrzał na Jennifer. Z jego twarzy zniknęły ból, znużenie i frustracja. Spojrzenie miał twarde, a głos cichy i groźny.

– Zabójca Poczwaraki przebywa w Atlancie.

22:00

– Przynieście mi płaszcz – zażądał Blaise.

Usta chłopaka nadal lśniły od soków Ezili. Oczy Ti Malice ą błyszczały chciwym głodem. Pasożyt wczepił się w szyję chłopaka i mówił za pośrednictwem jego języka. Kiedy się uspokajał, słychać było ciche ssanie, jakby ktoś karmił piersią niemowlę.

Hiram przyniósł mu gruby płaszcz z fioletowego filcu, podszyty czarnym atłasem. Pomógł Blaise'owi go wdziać, układając starannie strój, jak czasem robił to z garniturami Jaya. Płaszcz był za duży dla chłopaka i jego koniec włożył się po ziemi. Worchester wprowadził niezbędne poprawki, po czym postawił obszerny kaptur, ukrywając jaskraworude włosy oraz uczone szyi stworzenie. Ze sznurówkami zawiązanymi pod szyją i twarzą ukrytą w cieniu Blaise wyglądał jak garbus.

– Pojadę na tym wierzchołku w świat – oznajmił Ti Malice ustami Blaise'a. – Ezili, będziesz mi towarzyszyła. Ubierz się.

Haitanka wstała z materaca, gibka i leniwa jak kot. Jej gładka skóra koloru kawy nadal była upstrzona krwią. Zauważyła, że Jay się jej przygląda, uśmiechnęła się i przesunęła językiem po wargach, po czym schyliła się po suknię.

– Hiram, proszę – odezwał się Jay błagalnie. Gdy sobie wyobraził, że Blaise ze swą straszliwą mocą panowania nad umysłem będzie wędrował ulicami Atlanty, pozostając pod kontrolą Ti Malice'ą, przeraził się śmiertelnie. – Nie zdajesz sobie sprawy, jak potężny jest Blaise. Nie wiesz, co wypuszczasz na wolność.

Ezili włożyła ze śmiechem suknię i wygładziła ją na piersiach.

– Jesteś tego pewien, mój mały?

Hiram nie usłyszał ani słowa.

– Kiedy wrócisz? – zapytał.

– Gdy już znudzę się nowym wierzchowcem – odpowiedział Ti Malice znajomym głosem chłopca. Blaise wyciągnął rękę, dotknął brody Worchestera i pogłaskał go delikatnie po policzku.

– Nie zabraknie ci mojego pocałunku – zapewnił.

Hiram uśmiechnął się w odpowiedzi.

– A co z Ackroydem, panie? – zapytał Sascha.

Blaise odwrócił się. Fioletowe oczy chłopaka wpatrzyły się w Jaya. Detektyw niemalże czuł spojrzenie tych drugich oczu, ukrytych w ciemności pod kapturem.

– Drugiego wierzchowca wypróbuję po powrocie – padła odpowiedź.

– Pilnuj go dla mnie.

Jay spróbował raz jeszcze.

– Hiram! – zawołał.

Worcester otworzył drzwi piwnicy. Blaise odwrócił się, zawijając płaszczem wokół siebie, i wyszedł na górę, w noc Atlanty.



Poniedziałek, 25 lipca 1988

4:00

Koszmar powrócił. Las, schody, stwór o stożkowatej twarzy odwracał się, odwracał...

Detektyw obudził się z krzykiem w ciemności.

– Jay? – zapytał niski głos. – Dobrze się czujesz?

Ackroyd niejasno dostrzegał w mroku wielki, majaczący nad nim cień Hiram. Szarpał przez chwilę więzy, nim dał za wygraną i osunął się z jękiem na podłogę.

– Nie – wyszeptał ochryple. Ti Malice był nieobecny już od wielu godzin. – Nie czuję się dobrze. Leżę związany w śmierdzącej piwnicy. Musiałem patrzeć, jak jakiś biedak rozdziera się na strzępy własnymi rękami. Blaise wyszedł na miasto i Bóg jeden wie, co wyprawia, a ogromny czerw ma zamiar wgryźć mi się w szyję i ssać moją krew. Z pewnością nie czuję się dobrze.

Gdzieś w połowie wypowiedzi szept detektywa przerodził się w krzyk. Usłyszał, że Zaklinacz się poruszył, przebudzony ze snu. Dżoker zaczął śpiewać *Dom wschodzącego słońca*. Tego właśnie potrzebował Jay.

Hiram siedział w rogu starej kanapy. Ramiona miał opuszczone.

– Przykro mi – rzekł słabo. – Jeśli mogę ci w czymkolwiek pomóc...

– Możesz mnie rozwiązać – odezwał się pośpiesznie Ackroyd.

– Sascha by się zorientował, gdybym tylko zaczął – odparł bezradnie restaurator.

– I co z tego? – zapytał Jay. – Co może ci zrobić Sascha? Zaklinacz jest silny, ale ty jesteś asem, do cholery. Poradzisz sobie z nim. Nie będziemy mieli lepszej okazji. Gdy już uwolnię ręce...

– Nie mogę, Jay... – przerwał mu Hiram głosem ochryłym

z rozpaczy. – Zrobiłbym to, gdybym mógł, ale... Jay, przykro mi, nigdy nie chciałem, żeby cokolwiek z tego się wydarzyło. Musisz mi uwierzyć.

– Wierzę – odparł łagodnie detektyw. Worchester wydawał się bardzo znużony, zrozpaczony i pełen bólu. Na pewien czas zapadła cisza. – Jak długo? – zapytał wreszcie Jay.

– Półtora roku – odpowiedział Hiram. – To wydarzyło się podczas podróży dookoła świata. Na Haiti. Użył Ezili jako przynęty. Wmawiałem sobie, że ją uwodzę, ale, rzecz jasna, było na odwrót. Potem, kiedy zapadłem w sen, otworzyła drzwi i pan wziął mnie, kiedy o niczym nie wiedziałem. Gdy już należałem do niego, wykorzystał mnie, by dotrzeć do Stanów Zjednoczonych. Miałem pieniądze i wpływy. To wcale nie było trudne.

– Teraz masz szansę odzyskać wolność – nalegał Jay. – Wykorzystaj ją.

– *Zgubił on wielu biednych chłopców i, Boże, wiem, że jestem jednym z nich* – śpiewał Zaklinacz.

Worchester nie chciał na niego spojrzeć. Potrząsnął głową.

– Rozwiąż mnie – wyszeptał Jay. – Nie musisz robić nic więcej. To proste. Uwolnij mi ręce. Resztą zajmę się sam. Nie będziesz nawet musiał patrzeć. Przenieś cię do kliniki w Dżokerowie. Tam wyleczą cię z... tego, co tam właściwie ci robił. Zrób to teraz, Hiram. Nie wiesz, ile czasu nam zostało.

– Skrzywdziłbyś go. – Głos Worchestera się załamał. – Nie rozumiesz... jego pocałunek jest jak... słowa nie zdołają tego opisać. Gdy jesteś jego częścią, czujesz się tak, jakbyś po raz pierwszy żył naprawdę. Wszystko sprawia ci bardzo intensywną przyjemność. Jedzenie, picie, seks, nawet prosta czynność oddychania, wszystko to staje się oszałamiające... ale gdy cię opuszcza, kiedy przechodzi do następnego wierzchowca... to jest jak śmierć, Jay. Świat staje się szary, a po jakimś tygodniu dopadają cię objawy fizycznego głodu. Nie potrafisz nawet sobie wyobrazić tego bólu. Pragniesz jego pocałunku. To głód, a jeśli go nie zaspokoisz... – Hiram uniósł wzrok. Jego oczy błagały o zrozumienie. – Poza tym on nie jest zły. Nie w takim sensie, w jakim ty czy ja rozumiemy to pojęcie. Bez wierzchowców umrze. Potrzebujecie

nas, tak samo jak my potrzebujemy jego. Jego moralność po prostu jest... inna od naszej.

– W Nowym Jorku – zaczął Jay – po tym, jak Sascha uciekł do Atlanty z twoim małym koleżką, znalazłem w jego mieszkaniu izbę tortur. Nie wspominając już o trupie w łazience.

– Tak. – Hiram znowu odwrócił wzrok. – To był wierzchowiec. Jeden z dzokerów. – Mówił tak cicho, że jego głos ledwie się przebijał przez śpiew Zaklinacza. – Czasami... mówi, że ból jest inny od przyjemności, ale równie interesujący. A doznanie śmierci jest najbardziej... najbardziej...

– Kapuję. Co mniej przydatne wierzchowce torturuje, aż umrą, żeby się trochę podnieć. Ale nie jest zły. Tylko niezrozumiany. – Prychnął pogardliwie. – Hiram, ten stwór mógłby być definicją zła.

Przez długą chwilę Hiram Worchester nie odzywał się ani słowem. Nie było słycać nic poza dobiegającym z sąsiedniego pokoju śpiewem Zaklinacza. Wreszcie jednak usta restauratora się poruszyły, tak lekko, że Jay nie dosłyszał słów.

– Słucham?

Hiram odwrócił głowę.

– Ohyda... o Boże, Jay, nie masz pojęcia, jak to było. Tak wiele razy... Chciałem, żeby to się wreszcie skończyło... żeby następnym razem mnie zabił... ale, no wiesz, jestem zbyt potężny. Jestem asem. On pożąda asów... pożąda mocy... nigdy nie odzyskam wolności. A ty... z tobą będzie tak samo.

– Nie ma mowy – sprzeciwił się Ackroyd. – Hiram, nie pozwól, żeby mnie wziął.

– Nie mogę go skrzywdzić! Już ci mówiłem.

– W takim razie skrzywdź mnie – zażądał detektyw. – Zabij mnie, jeśli okaże się to konieczne. Ale nie pozwól, żeby mnie wziął.

Nigdy dotąd sobie nie wyobrażał, że będzie błagał o śmierć, ale na samą myśl o Ti Malisie przebiegały go ciarki. To będzie jak jego koszmar, ale tym razem już się nie obudzi. Tym razem będzie to trwało bez końca.

Hiram Worchester popatrzył na niego z nagłym zdumieniem na szerokiej twarzy.

– Zabić cię... – wyszeptał. Zgiął palce i zacisnął pięść, ale potem otworzył ją znowu. – Rozgniewałby się, Jay. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo by się rozgniewał. Może... może wtedy uwolniłby mnie.

Ackroyd natychmiast zrozumiał, jakiego rodzaju wolność ma na myśli jego przyjaciel.

7:00

Całą noc czekali na lotnisku na pierwszy lot do Atlanty. Około północy Jennifer zapadła w sen, ale Brennan nie był w stanie spać. Przez cały ten czas medytował o karcie, asie pik pozostawionym mu w testamencie.

Gdy nadeszła pora, by wsiadać do samolotu, wsunął kartę do kieszeni na piersi dżinsowej kurtki, żeby mieć ją pod ręką.

9:00

Gdy drzwi się otworzyły, Jay ujrzał blask słońca, sączący się z góry. Blaise wszedł do piwnicy. Przy ostatnim kroku potknął się o koniec płaszcza i omal nie przewrócił. Chłopak ledwie trzymał się na nogach. Twarz miał bladą i zapadniętą. Zajeżdżono go poza wszelkie granice wyczerpania.

Sascha podszedł bliżej, by pomóc mu zdjąć ciężki płaszcz.

– Baliśmy się o ciebie, panie – odezwał się, rozwiązując sznurówki. – Słyszeliśmy syreny... krzyki w ciemności.

Stojąca w drzwiach Ezili wybuchła głośnym śmiechem.

– To była magiczna noc, Sascha – oznajmiła, przesuwając językiem po dolnej wardze. – Hartmann oszalał. Widzieliśmy to w telewizji. Krwawy cyrk. Potem również dzokerzy wpadli w szal. Wędrowaliśmy po parku

i bawiliśmy się z nimi aż do rana. Nikt nic nie zauważył.

Zamknęła za sobą drzwi piwnicy i wewnątrz znowu zapanowała ciemność.

– Wierzchowiec jest zmęczony – oznajmił Ti Malice ochryłym, znużonym głosem Blaise’a. – Pora wypróbować tego drugiego. Przeprowadź go.

Wszyscy spojrzeli na Jaya.

Sascha złożył płaszcz, odłożył go na bok i zwrócił się w stronę Ackroyda. Mógłby mieć w oczach litość, gdyby tylko miał oczy. Skinął głową do Zaklinacza, który powoli ruszył naprzód.

– Czy możemy o tym porozmawiać? – zapytał Jay.

Zaklinacz go zignorował. Liczne ręce zacisnęły się na udach, ramionach i stopach detektywa, unosząc go w górę. Dżoker przerzucił go sobie przez plecy i zaniósł na drugi koniec piwnicy. Nadal śmierdziało tu jak w rzeźni. Nad kawałkami gnijącego ludzkiego ciała unosiły się muchy. Ezili pochyliła się nad detektywem i pocałowała go lekko. Jej usta były wilgotne i gorące.

– Już niedługo – oznajmiła.

– Przygotuj go dla mnie – rozkazał głos Blaise’a.

Zaklinacz złapał w garść koszulę Jaya i pociągnął mocno. Tkanina rozerwała się z głośnym trzaskiem, ale zaraz zaplątała się w jego kurtkę.

– Więzy przeszkadzają – zauważył Ti Malice. – Rozwiąż go i rozbierz.

– Panie, on jest niebezpieczny, kiedy ma wolne ręce – ostrzegł go Sascha.

– Nawet nie czuję tych cholernych rąk – poskarżył się Ackroyd, starając się nie myśleć o tym, o czym myślał. Jednakże bezoki dżoker natychmiast wykrył tę myśl.

– Uważa, że będzie miał szansę, jeśli uwolni się z więzów.

– Czy się boi? – zapytał Ti Malice.

– Ciebie bardzo. Tego, że zostanie wierzchowcem. Jest też inny strach, starszy... – Telepata zmarszczył brwi. – Sen, który kiedyś miał. Przypominasz o tym koszmarze, panie.

– Uwolnijcie mu ręce – zdecydował Ti Malice. – Moc młodego

wierzchowca pozwoli mi go unieruchomić.

Zaklinacz odwrócił Jaya na brzuch, postawił mu stopę na plecach i zaczął rozsypywać jego więzy.

Ręce detektywa były skrępowane tak długo, że w pierwszej chwili nie poczuł żadnej różnicy. Zaklinacz kopnął go mocno w ramię, aż upadł na materac. Bark Ackroyda przeszył ból. Przetoczył się i unieś rękę, pomyślał, ale dzoker nadal przygniatał go do materaca i Jay nie był w stanie się ruszyć.

Wtem złapało go coś innego, coś silniejszego, brutalniejszego i znacznie potężniejszego niż ciało Zaklinacza.

Umysł Blaise'a.

Stopa dzokera się uniosła. Jay się poruszył, ale to Ti Malice kierował ruchami jego kończyn za pośrednictwem nosiciela. Kiedy odwrócił się na plecy, obaj byli blisko, Blaise klęczał tuż przy nim na materacu.

Chłopak nadal się uśmiechał. Pan Blaise'a wyglądał zza jego nagiego, posiniaczonego barku. Jay słyszał cichy odgłos ssania, widział krew ofiary krążącą w jasnych, półprzezroczystych żyłach stworzenia.

– Rozbierz go – rozkazał chłopak.

Zaklinacz ściągnął Jayowi kurtkę z pleców. Była mokra od potu i krwi. Dzoker zerwał z niego koszulę. Nagi do pasa Ackroyd odsłaniał gardło i szyję przed pocałunkiem demona.

– Drży – zauważyła Ezili. – Drży w oczekiwaniu na pocałunek.

Jay poczuł w dłoniach słabe mrowienie. Spróbował nimi poruszyć, ułożyć je w pistolet i wycelować, ale nie był w stanie tego dokonać. Moc Blaise'a oraz wola jego pana unieruchomiły go całkowicie. Skierował wzrok na swe dłonie. Były blade i bezkrwiste, a nadgarstki fioletowe od siniaków. Wyglądał tak, jakby nosił białe rękawiczki. Na skórze, w miejscach, gdzie drut wbił się głęboko, zostały mu ciemnoczerwone ślady. Ponownie spróbował poruszyć palcami, przywrócić w nich czucie. Nic.

– Panie – odezwał się Hiram.

Masywny as wyszedł z kąta i zatrzymał się przy materacu za nimi. Jego cień był niemal tak samo wielki, jak cień Zaklinacza. Ti Malice

popatrzył na niego oczami Blaise'a, ale Jay nie mógł nawet odwrócić głowy. Raczej wyczuwał obecność Worchestera, niż ją dostrzegał. W ręce wbijały mu się niezliczone igły i szpilki. Krążenie wracało.

– Panie – powtórzył grubas ze strachem w głosie. – Proszę, wypuść go.

– A dlaczego? – zainteresował się Ti Malice.

Mrowienie w dłoniach Jaya przechodziło w ból. Igły i szpilki ustępowały miejsca nożom i obcęgom. Gwałtownie wciągnął powietrze z bólu. Ten dźwięk uświadomił mu, że zachował panowanie nad głosem. No jasne, pomyślał. Tak samo jak człowiek-wij. Ti Malice lubił słuchać, jak jego ofiary błagają.

– To... mój przyjaciel – wyjaśnił Hiram. – Nigdy cię o nic nie prosiłem. Tylko ten jeden raz.

– Co zrobi, jeśli wezmę tego nowego wierzchowca? – zapytał Saschę Ti Malice.

Telepata zwrócił głowę ku Hiramowi:

– Nic. Nie mógłby cię skrzywdzić.

Ti Malice ponownie skierował się ku Jayowi, jakby Hiram Worcester przestał istnieć.

– Na bok – rozkazał.

Jay położył się na boku, by Ti Malice miał łatwy dostęp do szyi. Blaise wyciągnął się na materacu obok niego. Był tak blisko, że Ackroyd czuł bijący od niego zapach Ezili. Ich nagie torsy stykały się lekko ze sobą, wystarczająco blisko do pocałunku.

Dłonie detektywa płonęły, krew napływająca mu do palców zmieniała je w rozżarzone do białości przewody. Tylko z najwyższym wysiłkiem powstrzymywał omdlenie.

Ti Malice oderwał usta od szyi chłopaka z cichym, wilgotnym mlaśnięciem. Następnie popęzł na barku Blaise'a, zmierzając ku Ackroydowi. Jego kończyny były skarłowaciałe i posuwał się naprzód centymetr za centymetrem niczym ogromny robak. Jego maleńkie, trójpalczaste rączki czepiały się słabo ciała chłopaka. Z poszarpanego otworu w szyi ofiary płynął strumyk krwi. Jay wysiłkiem woli odwrócił wzrok od zbliżającego się do niego monstrum i spojrzął prosto w oczy

jego ostatniej ofiary. Blaise sprawiał wrażenie oszołomionego i zagubionego. Detektyw przypomniał sobie, co mu powiedział Hiram: „Ale gdy cię opuszcza, to jest jak śmierć, Jay”.

– Blaise, uwolnij mnie – zażądał stanowczo.

Powieki intensywnie fioletowych oczu mrugnęły raz, a potem drugi.

– On... – zaczął chłopak. To był jego własny głos i przez mgnienie oka detektyw pozwolił sobie na nadzieję. – ...powiedział... że bym cię trzymał.

Jay poczuł wilgotny, zimny dotyk. Uwsteczniiona rączka Ti Malice złapała go za bark. Nie patrz, powiedział sobie. Jak w jego śnie. Nie patrz na księżyc. Jeśli spojrzysz, będziesz zgubiony. Prześnił ten koszmar już tysiąc razy i świetnie wiedział, że lepiej nie patrzeć.

Ale spojrzał.

Usta stworzenia były okrągłe jak u ryby. Pełzło naprzód urywanymi ruchami, na przemian wysuwając i chowając język. On również był okrągły, czerwony i błyszczący od krwi, jak jakiś ohydny, ślepy wąż.

Oczy miał mądre, okrutne i straszliwe.

Z Blaise’a nie było za cholerę pożytku.

– Hiram! – krzyknął Ackroyd.

– Nie mogę go skrzywdzić – dobiegł z oddali głos restauratora.

Uwstecznione nóżki stworzenia kopnęły twarz wnuka Tachiona, gdy Ti Malice przechodził z niego na Jaya. W pewnym momencie musiał go kopnąć za mocno, bo Blaise skrzywił się boleśnie. Ackroyd poczuł, że jego palce się poruszyły.

Stwór pełzł już po nim. Detektyw czuł dotyk jego ciała. Ale było coś ważnego...

– Cholera! – warknął.

– Panie! – zawołał zaalarmowany Sascha.

Jay zagłuszył jego krzyk własnym.

– Hiram! – wrzasnął. – Skrzywdź Blaise’a! Cholera, skrzywdź Blaise’a!

Worchester kopnął chłopaka w głowę.

Zaklinacz popędził ku niemu, Ezili i Sascha również, ale było już za późno. Za późno. Jay odzyskał panowanie nad swym ciałem. Przetoczył

się i upadł na plecy. Ti Malice uczeplił się jego piersi, miotając się rozpaczliwie jak robak nadziany na haczyk.

Detektyw uniósł rękę, ale palce miał sztywne jak drewno.

Stworzenie popełzło w górę po jego piersi i spojrzało mu prosto w oczy.

Jay podkulił trzy palce, wystawił jeden, uniósł kciuk i spróbował wycelować. Ręka mu drżała.

Ślepy wąż uderzył.

Detektyw wsadził drżący palec w oko Ti Malice'a.

Rozległ się krótki, ostry trzask.

Jay poczuł przeszywający ból. Z dziury w jego szyi trysnęła krew, ale ledwie to zauważył.

Ezili krzyknęła.

– O Boże – jęknął Sascha.

– To koniec – rzekł cicho Hiram Worchester gdzieś za plecami Ackroyda.

10:00

Na lotnisku w Atlancie roiło się od zmęczonych delegatów wracających do domu. Wszyscy nadal mówili o konwencji, której nikt z pewnością nie zapomni. Brennan przepychał się obojętnie przez tłum, nie zwracając na nich uwagi. Jennifer podążała za nim. Nie zatrzymali się nawet po to, by dołączyć do tłumy gapiącego się na karzełka uwalnianego ze skrzynki dla kota. Zmęczony człowieczek o poczerwieniałych oczach wy dostał się z wysiłkiem na zewnątrz, krzycząc:

– Wody, wody!

Zbliżali się już do końca kolejki, ale Brennan nie czuł się podekscytowany. Wywołany środkami znieczulającymi sen, który nawiedził go ostatniej nocy, wciąż był żywy w jego umyśle. Rozumowo nie obwinał się o śmierć Poczwaraki, zorientował się jednak, że jego

emocje są innego zdania. Przypomniał sobie słowa Tachiona, który w mowie pogrzebowej powiedział, że duch Poczwaraki postawi im surowe wymagania, wiedział jednak, że to nie jej duch nim kieruje. To był jego własny, gwałtowny duch, karmiony wspomnieniem o niej. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek się od niego uwolni.

Złapali taksówkę do śródmieścia i zatrzymali się w lombardzie, by kupić dwa pistolety – walthera ppk dla Brennana oraz smith and wessona „Chiefs Special” dla Jennifer. Yeoman zapłacił gotówką. Właściciel nie zadawał pytań.

12:00

Chcieli przyjąć do szpitala ich całą trójkę, ale Jay stanowczo odmówił. Zatrzymał się tylko na chwilę, by odpowiedzieć na kilka pytań, uzupełnić zapasy środków przeciwbólowych oraz upewnić się, że dobrze się zaopiekują Blaise'em. Potem złapał Hiramą i kazał pielęgniarkę zadzwonić po taksówkę.

Piwnicę wypalonego domu, w której Ti Malice urządził swoje mieszkanie, dzieliła od centrum Atlanty prawie godzina jazdy. Po drodze Worcester gapił się nieobecny wzrokiem za okno. Od czasu do czasu dopadało go niepowstrzymane drzenie, a w jego oczach pojawiała się panika.

– Zostałem zupełnie sam – odezwał się w pewnej chwili.

Jay nie odpowiedział. Nie miał teraz sił na rozmowę. Wyciągnął się i zamknął oczy.

Po jakimś czasie Hiram obudził go lekkim szturchnięciem w zębra.

– Jesteś na miejscu – oznajmił restaurator.

Nadal rozespany Jay wyprostował się i wyciągnął portfel. Był pusty.

– Już zapłaciłem – uspokoił go grubas. Pomógł detektywowi wsiąść z taksówki i razem ruszyli do hotelu.

W holu Marriotta rozbrzmiewał alarm. Jedna z wind zatrzymała się między piętrami. Jay skrzywił się. Ból i tak już otaczał jego głowę palącą

obręczą. Hałas był ostatnim, czego potrzebował. Gwałtownie nacisnął guzik i obaj pojechali inną windą do pokoju Tachiona.

Detektyw otworzył drzwi apartamentu kluczem Blaise'a, włączył światła i podszedł do barku, żeby sobie nalać. Hiram wsunął głowę do sypialni.

– Tachion? – zawołał. Odpowiedzi nie było. – Nie ma go – stwierdził, wracając do salonu.

– Aha – odparł detektyw. – Domyśliłem się.

Usiadł i czekał. Restaurator podszedł do barku i wlepił wzrok w butelki, ale niczego sobie nie nalał. Stał i gapił się tylko, jak wielkie, zagubione dziecko. Po chwili zabrał się do sprzątanía. Umył parę brudnych kieliszków, sięgnął po popielniczkę pełną niedopałków i zaczął się rozglądać za koszem, do którego mógłby je wysypać. Obok butelek stał zawierający popioły słoik. Hiram przez chwilę przyglądał mu się z zainteresowaniem, po czym wzruszył ramionami i wysypał do niego niedopałki.

Obaj mężczyźni odwrócili się nagle, usłyszawszy odgłos otwieranych drzwi. Doktor Tachion siedział na wózku, trzymając na kolanach zabandażowany kikut. Wózek pchał Jack Braun.

– To ty – stwierdził Złoty Chłopiec, łypiąc ze złością na Jaya. – Przeszukaliśmy pół miasta, żeby cię znaleźć. Gdzie się podziałeś, do licha?

– Witajcie – rzekł im Tachion i zaczął wstawać z wózka. – Co się stało? Gdzie Blaise?

– W szpitalu – przyznał detektyw.

Z ust Tachiona wyrwał się zdławiony jęk.

– Wszystko z nim w porządku?

– Ma drobne pęknięcie czaszki i stracił kilka zębów. Ma też trochę siniaków i otarć. Do tego przeżył paskudny szok. Ale lekarze mówią, że nic mu nie będzie. Chcą go zatrzymać na kilka dni na obserwację, to wszystko.

Kosmita zachwiał się, jakby słowa Jaya były fizycznym ciosem. Jack Braun sposepniał niczym chmura burzowa i zaczął ciskać piorunami.

– Ty cholerny głąbie. To tylko dzieciak. Jak mogłeś go wciągać w swoje podejrzone...

Jay wskazał palcem i Braun zniknął z trzaskiem. Może dokończy swoją przemowę na scenie w Cudakach. A może nie dokończy.

– Przepraszam – wymamrotał detektyw do Tachiona. – Głowa mi pęka. Po prostu nie zniosę już więcej. Czy na pewno powinieneś wstawać z tego wózka?

– To był pomysł Jacka – wyjaśnił Takizjanin.

Ackroyd zauważył, że doktor nadal jest bardzo słaby. Kiedy się potknął, spróbował się podeprzeć ręką, ale zapomniał, że nie ma ręki. Mocno uderzył zabandażowanym kikutem o tył kanapy i wciągnął powietrze z bólu.

– Usiądź – powiedział mu Jay.

Tachion klapnął z powrotem na krzesło i położył kikut na kolanach. Detektyw wrócił za bar.

– Co robisz? – zapytał go kosmita.

– Nalewam ci kolejkę – wyjaśnił Jay. – Będziesz tego potrzebował.

Wypełnił drugą szklaneczkę burbonem z lodem, zaniósł Tachionowi i wcisnął mu w lewą rękę. Doktor nie stawiał oporu.

– Nie... nie piję burbona – oznajmił jednak.

– Łyknij sobie – poradził mu Ackroyd.

Tachion pociągnął łyk trunku. Jego jasnoliliowe oczy wypełniał strach.

Jay opowiedział mu wszystko.

Kosmita mu nie przerywał. Gdy detektyw dotarł do człowieka-wija, po policzkach Tachiona spłynęły łzy, ale nadal się nie odzywał.

– Po zniknięciu Ti Malice a wierzchowce opuściła wola walki. Ezili zaczęła wrzeszczeć, a druga kobieta, ta młoda z dzieckiem, zwiąła. Reszta tylko gapiła się na nas, jakby nie potrafili zrozumieć, co się dzieje. Chciałem wezwać gliny, ale Hiram mnie powstrzymał.

– Hiram? – zapytał Takizjanin, spoglądając na masywne asa.

Grubas pokiwał ociężale głową, jakby była zbyt wielka, żeby mógł nią poruszyć.

– Wszyscy dopuściliśmy się... odrażających uczynków. Ja również.

Gdyby wsadzili wierzchowce, co by to dało? Byliśmy tylko jego instrumentami. Jego dłońmi, ustami i oczami. To Ti Malice popełnił morderstwo, nie twój wnuk. Powiedziałem Jayowi, że stawianie Blaise'a przed sądem nie miałoby sensu. Prawdziwy morderca już zniknął. Jeśli zaś chodzi o pozostałych... oni również nie byli niczemu winni. Znałeś Saschę, zanim Ti Malice nad nim zapanował, doktorze. On nigdy nie był złym człowiekiem. Ezili była z nich najgorsza, ale nawet w jej przypadku... Gdzie kończyła się Ezili, a zaczynał się jej pan? Całe życie była jego ulubionym wierzchowcem.

- I tak wszyscy będą teraz żyli w piekle - stwierdził Jay.

- Razem ze mną - dodał ponurym tonem Worchester.

Tach przenosił spojrzenie z jednego na drugiego.

- Bez pocałunku...

Restaurator skinął głową.

- Nawet nie potrafisz sobie wyobrazić...

- Och, Hiram - rzekł Tachion głosem przepojonym współczuciem dla starego przyjaciela. - Powinieneś być do mnie przyjsć.

- Powinieneś być zrobić mnóstwo różnych rzeczy - mruknął grubas.

- Tak czy inaczej, pozwoliłem wierzchowcom odejść - oznajmił detektyw.

- Wszystkim? - zdumiał się Takizjanin.

- Uznałem, że nie mam prawa wybierać - wyjaśnił Jay. - Jedynym, nad którym się zastanawiałem, był Zaklinacz. To on zabił Poczwarkę.

- Zaklinacz? - zapytał Tachion. - Dlaczego?

- Ona wiedziała wszystko o wszystkich, a Ti Malice mógł zachować bezpieczeństwo tylko dzięki tajemnicy. Gdyby jego istnienie wyszło na jaw, byłby żałośnie bezbronny. Musiała się skądś o nim dowiedzieć, ale nie miała pojęcia, że Sascha już do niego należał. Podejrzewam, że jej zaufany telepata powiedział swemu panu, że Poczwarka zbliża się do prawdy o nim, a on kazał Zaklinaczowi ją załatwić. Wszystko pasuje. Zabójcą musiał być ktoś, kogo Sascha znał. W przeciwnym razie nie zdołałby się dostać do Pałacu niepostrzeżenie. Może Ti Malice osobiście dosiadł tego ranka Zaklinacza, by zaznać przyjemności pobicia kogoś na

śmierć. A może nie. Pewnie nigdy się tego nie dowiemy.

– Tak długo szukaliśmy zabójcy Poczwarcki, a ty po prostu pozwoliłeś mu odejść – wyszeptał Tachion.

– Zaklinacz i tak ma przejebane – skwitował Ackroyd. – A poza tym to nie był on, tylko Ti Malice. A Ti Malice zniknął.

Kosmita upił kolejny łyk, po czym zastanawiał się przez dłuższą chwilę. Wreszcie skinął głową.

– Tyle krwi – mruknął. – Tyle zabójstw. To musi się skończyć, Jay.

– Aha – zgodził się Jay. – Może Barnett ma rację.

– Nie – sprzeciwił się Tach.

Hiram Worchester nagle wstał.

– Pora iść. Muszę się spakować... wyrejestrować z hotelu...

Jego głos umilkł.

– Oczywiście – zgodził się Tach.

– Idź – rzekł restauratorowi Jay. – Przyjdę do ciebie za chwilę.

Hiram wyszedł na korytarz. Gdy drzwi się za nim zamknęły, Ackroyd ponownie spojrzał na Tachiona.

– Będzie potrzebował twojej pomocy, doktorze. Padł ofiarą nałogu, a sądząc z tego, co mi powiedział, pocałunek uzależnia sto razy silniej od heroiny.

– Hiram otrzyma wszelką pomoc, jakiej będzie potrzebował – zapewnił Takizjanin. – Mam wobec niego dług, którego nigdy nie zdołam spłacić. Dług krwi. Mój wnuk zawdzięcza mu życie. – Potrząsnął głową.

– Mogłem mu pomóc – dodał żałośnie. – Dlaczego mi nie powiedział?

– Jest ciekawsze pytanie. Uważasz się za przyjaciela Hiram. Ja również. Jak to możliwe, że przez cały ten czas żaden z nas nie zauważył, że coś jest z nim nie w porządku?

Doktor Tachion tylko popatrzył na niego. W jego oczach wezbrały łzy, a za nimi kryło się poczucie winy.

– Niech to szlag – mruknął Jay. Miał już dosyć łez, dosyć poczucia winy i wstydu, strachu oraz bólu. – Zapomnijmy o tym, dobra? Nie możemy zrobić nic więcej, jak tylko pomóc mu jakoś z tego wyjść. Hiram użył wszystkich sił, jakie mu pozostały, by kopnąć twojego

wnuka w głowę. Będzie nas potrzebował.

– Nie możemy go zawieść – rzekł Takizjanin.

Detektyw skinął głową. Nagle poczuł się bardzo zmęczony.

– Lepiej pójdę dotrzymać Hiramowi towarzystwa – oznajmił. – Nadal jest rozdygotany.

– Oczywiście – zgodził się Tachion.

Gdy jednak Jay otworzył drzwi, Worchester ciągle stał w korytarzu. Jego masywne cielsko drżało nerwowo. Spoglądał na przyjaciela z rozpaczą w oczach.

– Co ci się stało, Hiram? – zapytał Jay.

– To... nic – zaczął restaurator. – Pewnie... po prostu atak lęku. – Zamrugał, jakby chciał odzyskać jasność myśli. – Jay... jeśli nie masz nic przeciwko temu... czy mógłbyś... zejść ze mną do pokoju? Po prostu... nie chciałbym w tej chwili być sam. Potrafisz to zrozumieć?

Jay skinął głową. Gdy ujął Worchestera za ramię, doktor Tachion podniósł się chwiejnie z wózka.

– Obaj pójdziemy – oznajmił niski kosmita niedopuszczającym sprzeciwu tonem.

Hiram popatrzył z wdzięcznością na nich obu. Ackroyd pomyślał, że kuśtykając we trzech, muszą wyglądać naprawdę dziwnie.

Gdy czekali na windę, Tachion spojrział na Jaya.

– Nie powiedziałeś, dokąd wysłałeś Ti Malice'a.

– To dziwna sprawa – zaczął detektyw. – Moja moc działa w ten sposób, że zawsze muszę dokładnie sobie wyobrazić jakieś miejsce, zanim będę mógł kogoś tam wysłać. Muszę stworzyć w głowie jego wyraźny obraz, naprawdę widzieć je oczami umysłu. Mam kupę takich miejsc, miejsc, które znam z najdrobniejszymi szczegółami. Czasami to po prostu odruch. Nie mam czasu zastanowić się nad tym, co robię ani dokąd kogoś wysyłam. Wskazuję palcem i ten ktoś ląduje w pierwszym miejscu, które mi przyjdzie do głowy.

– Tak? – zapytał uprzejmie Tach.

– Ze szpitala zadzwoniłem w wiele różnych miejsc. Lecz Ti Malice nie pojawił się w żadnym z tych, z których zwykle korzystam. Ale z jakiegoś

powodu spodziewałem się tego. Spojrzałem skurwysynowi prosto w oczy, kiedy pełzł ku mnie, i jedyne, co nasunęło mi się na myśl, to koszmar, który dręczył mnie już od dzieciństwa. – Jay kaszlnął przepaszająco. – Znam to miejsce naprawdę bardzo dobrze. Myśl o tym, co chcesz.

Doktor Tachion zastanawiał się nad tym przez chwilę. Potem zabrzmiał dzwonek i drzwi się otworzyły. Takizjanin skinął głową do Ackroyda, odwrócił się i wszedł do windy.

13:00

Brennan usłyszał, że drzwi apartamentu się otwierają. Rozległy się znużone głosy i drzwi się zamknęły. Podniósł się i stanął w progu sypialni, trzymając w ręce pistolet. Tachion, Ackroyd i Worchester stali zbici w grupę. Gdy zobaczyli Yeomana, na ich twarzach pojawiło się zdumienie.

– Danielu! Co ty tu robisz?

Brennan wiedział, że Tachion stracił rękę, ale ta świadomość nie przygotowała go na widok bladej, wychudzonej i zszarganej postaci Takizjanina. Nie ulegało wątpliwości, że kosmita przeszedł w zeszłym tygodniu bardzo wiele. Ale to jeszcze nie koniec, pomyślał z zawziętością Yeoman.

– Tropię zabójcę Poczwaraki – odpowiedział nieustępliwym tonem.

Zdumiony Tachion szeroko otworzył przekrwione oczy.

– Z pewnością...

– O czym ty gadasz, do licha? – przerwał kosmicie Ackroyd. On również nie wyglądał najlepiej. Twarz miał obrzękłą i posiniaczoną, a poruszając się, oszczędzał jeden bok.

Brennan potrząsnął głową i skinął pistoletem.

– Siadajcie na łóżku – rozkazał chłodno. – Opowiem wam historię o morderstwie.

Hiram ociągał się przez chwilę, ale w końcu wykonał polecenie.

Ackroyd usiadł obok niego, ostrożnie trzymając ręce na kolanach.

– O Boże – jęknął Hiram. – Czy to się nigdy nie skończy?

– Dajmy mu szansę – odpowiedział Tachion.

– Dlaczego? – zapytał wojowniczym tonem Ackroyd.

– Dlatego, że wiem, kto zabił Poczwarzkę – odpowiedział cicho Brennan.

Detektyw zmarszczył brwi.

– To był dzokerski zbir na usługach Ti Malice'a. Poczwarzka dowiedziała się prawdy o nim.

– To nie tak. – Yeoman wziął głęboki oddech, by móc wypowiedzieć się spokojnie. – Byłem kochankiem Poczwarzki – zaczął. – Być może nawet jej przyjacielem. Już to wystarczyłoby, żebym spróbował wytropić jej zabójcę. Ale on posunął się również do próby wrobienia mnie w tę zbrodnię. – Wlepił nieruchome spojrzenie w Ackroyda. – Nawet ty przyznasz, że ta próba nie zaliczała się do udanych.

Detektyw skinął z niechęcią głową.

– Aha. Zastanawiałem się nad tym przez chwilę, ale szybko się zorientowałem, że to ściema.

Brennan przeniósł spojrzenie na Tachiona.

– Nie miałem pojęcia, dlaczego ją zamordowano. Powodów zabójstwa mogło być bardzo wiele. Nie byłem w stanie ustalić motywu, więc skupiłem się na odnalezieniu asa wystarczająco silnego, by zmiażdżyć jej ciało. Ale to również okazało się ślepą uliczką. Sprawca wcale nie był supersilnym asem.

– Co takiego? – obruszył się Jay. – To śmieszne.

– Od samego początku wiedziałem, że na miejscu zbrodni coś było nie w porządku, ale minął dłuższy czas, nim się zorientowałem, w czym rzecz. W gabinecie Poczwarzki było bardzo krwi. Kiedy ją zmiażdżono, już nie żyła. Jej serce przestało bić. Dlatego tak mało krwi trysnęło na ściany, biurko czy podłogę.

Tachion pokiwał głową.

– To ma sens.

– Ktoś zacierał za sobą ślady, udając, że Poczwarzkę zatłukł as

obdarzony nadzwyczajną siłą. Ale kto? – Brennan zamyślił się. – Liczba podejrzanych znów zrobiła się nieskończenie długa, ale pomyślałem sobie, że mogę ją ograniczyć, przesłuchując Saschę. On jest telepatą, był na miejscu zbrodni i zachowywał się dziwnie. Doszedłem do wniosku, że wie więcej, niż chce przyznać. Zniknął, ale postanowiłem go wytropić.

– Nie mogłeś go znaleźć – powiedział Ackroyd. – On był tutaj, w Atlancie.

– Zgadza się – przyznał Yeoman. – Ale podczas śledztwa dowiedziałem się, że stał się niewolnikiem tajemniczego osobnika zwanego Ti Malice, którego uważał za swojego pana. Potem znalazłem mieszkanie Ti Malice'a, w tym mieszkaniu była szafa, w szafie był płaszcz, a w kieszeni płaszcza odkryłem to.

Ostrożnie sięgnął złamaną ręką do kieszeni spodni i wydobył stamtąd talię kart. Były pięknie wykonane, ale zużyte i wystrzępione, z pewnością bardzo stare i delikatne.

– I co z tego? – zapytał Jay z zasępioną miną.

– Tymi kartami Poczwarzka stawiała pasjansa – wyjaśnił Brennan. – Z tej talii zabójca wziął asa pik, za pomocą którego próbował mnie zrobić. Potem schował ją w roztargnieniu do kieszeni płaszcza i zabrał ze sobą. Mam rację, Worchester?

Yeoman wlepił złowrogie spojrzenie w otłętego asa. Hiram próbował coś powiedzieć, ale słowa nie chciały mu wyjść z ust. Jąkał się i prychnął, dotykając palcami jaskrawoczerwonego wrzodu na szyi. Twarz miał bladą i zroszoną potem, a ręce mu drżały.

Brennan upuścił karty na podłogę i wyjął z kieszeni kurtki asa pik, którego Poczwarzka zostawiła mu w testamencie. Rzucił nim w Worchestera. Karta trafiła w szeroką pierś grubasa i wylądowała na dywanie awerssem ku górze, czarna i złowroga.



– Niezłe – stwierdził Jay, gdy as pik upadł obok stóp Hiram. – To znaczy, że zaczniesz teraz zabijać ludzi albo coś?

Spróbował wstać.

– Nie pozwoliłem ci się ruszać.

Lufa pistoletu Yeomana przesunęła się kilkanaście centymetrów w bok, kierując się na Jaya.

– Proszę bardzo, zastrzel mnie – warknął Ackroyd. Wstał i spojrzał prosto na Brennana. – Masz pojęcie, przez co musiał przejść Hiram?

– Nie mam i nic mnie to nie obchodzi.

– Kurwa, prawdziwy z ciebie tytan współczucia – skwitował Jay.

– Nie marnuję współczucia na morderców – odpowiedział Yeoman.

– Ach, prawda, zapomniałem. Jesteś matką Teresą – warknął Ackroyd z gorzkim sarkazmem. – Wybacz, ale skoro tak nienawidzisz morderców, dlaczego ty jeden w tym pokoju trzymasz w ręce broń?

– Jay, Daniel, proszę – błagał ich Tachion. Zdrową ręką ścisnął zabandażowany kikut, a w jego głosie pobrzmiwały słabość i przygnębienie. – Czy nie możemy tego rozstrzygnąć jak cywilizowani ludzie?

– On próbuje osłaniać mordercę – odparł lodowatym tonem Yeoman.

– Masz czelność oskarżać innych o morderstwo, Danny? – warknął Jay.

– Tu nie chodzi o mnie.

– Przestańcie! – krzyknął Takizjanin. Spojrzał na Brennana.

– Danielu, to z pewnością jakaś pomyłka. Znam Hiram Worchestera. Znam go już od prawie dwudziestu lat. Przeżyliśmy razem dobre i złe chwile. To dobry człowiek. Nawet gdybym potrafił choć przez chwilę uwierzyć, że byłby zdolny do podobnego czynu, to w czasie kiedy Poczwarkę zamordowano w Dżokerowie, był tutaj, w Atlancie. Uczestniczył w konwencji. Nie mógłby tego zrobić.

Jay popatrzył z zakłopotaniem na Hiram.

– No cóż, to nie do końca prawda – przyznał z wielką niechęcią. – Sprawdziałem rozkład lotów. Gdyby poleciał do Nowego Jorku ostatnim samolotem i wrócił pierwszym, nikt nie zauważyłby jego nieobecności.

Ale to samo dotyczy Carnifexa, Brauna czy innych.

– To można łatwo sprawdzić – zauważył Tach. – Nawet gdyby Hiram podróżował pod przybranym nazwiskiem, mężczyznę o jego tuszy z pewnością by zauważono.

– Sprawdźcie to, jeśli tego potrzeba, by was przekonać. Ja mam wystarczająco wiele dowodów – skwitował Yeoman.

– A co z motywem? – Jay nie ustępował. – A może nie zawracałeś sobie głowy takimi szczegółami? Motyw, łańcuch dowodów. Sądy, po co się z tym pieprzyć, tak? Twoja metoda jest prostsza. Danny Brennan mówi, że biedny skurczybyk jest winny, więc trzeba go zabić i kropka.

– Mam dowody – odparł zwięźle Brennan. – Wystarczające, by mnie przekonać.

– O ile mi wiadomo, nie masz nic poza talią kart znalezionej w czyimś płaszczu – zauważył Ackroyd.

– Jay ma sporo racji – zauważył Tachion. – Masz jakieś dowody na to, że to Hiram przyniósł karty do tego mieszkania?

– W szafkach w kuchni było pełno drogich produktów spożywczych, a w szufladach wszelkie sprzęty, jakie tylko można sobie wyobrazić, wszystko, czego mógłby potrzebować zawodowy kucharz, taki jak Worchester. To była biała płócienna marynarka, droga i modna, szyta na miarę. Rozmiar sześćdziesiąt osiem. Poczwarękę zabił as. Ilu asów nosi tak duży rozmiar?

W pokoju zapadło milczenie.

Jay obejrzał się za siebie. Hiram nadal siedział na rogu kanapy. Nie używał swej mocy panowania nad grawitacją i materac ugiął się złowieszczo pod jego ciężarem. Twarz miał bladą i spoconą, ramiona mu opadały, a wzrok nadal wlepił w asa pik leżącego u jego stóp.

Cisza ciągnęła się przez cały eon. Wszyscy trzej mężczyźni gapili się na Worchestera. Otyły as nie zwracał na nich uwagi.

– Hiram? – odezwał się wreszcie cicho Tachion.

Restaurator podniósł wzrok i westchnął głośno. Jego oczy przepęłniał rozpaczliwy smutek.

– Słucham, doktorze?

– Dobrze się czujesz? – zapytał łagodnie Tach.

– Nie – opowiedział Worchester. – Nie czułem się dobrze już od dłuższego czasu.

– To szaleństwo – obruszył się Jay. – Hiram, nie siedź tak. Powiedz mu, że się myli.

– Gdybym tylko mógł – odparł z cichą godnością. – Nie masz pojęcia, jak bym tego pragnął.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał Takizjanin z drzeniem łęku w głosie. – Czyżby te oskarżenia były prawdą?

Hiram skinął głową. Jego oczy były odległe i pełne bólu. Wydawało się, że ma trudności z mówieniem.

– P... przykro mi.

Jayowi zabrakło słów.

– Musi istnieć jakieś wyjaśnienie – upierał się Tachion. – Nie potrafię tego zaakceptować. Jesteś dobrym człowiekiem, odważnym i uczciwym.

– Ti Malice – wygarnął Ackroyd. – Ten skurwysyński stwór dosiadł cię, wykorzystał twoje ciało i twoją moc. – Zwrócił się w stronę Brennana. – Nie rozumiesz sytuacji. Hiram padł jego ofiarą. Nawet jeśli rzeczywiście to zrobił, był jedynie narzędziem.

– Nie, Jay – przerwał mu cicho Worchester. – Doceniam twoją lojalność, ale... To nie było tak. Ja to zrobiłem. Wyłącznie ja, niech mi Bóg wybaczy.

Ponownie umilkł, wpatrując się w pustkę.

– Opowiedz nam o tym, Hiram – poprosił Tachion.

Przez chwilę wydawało się, że masywny as go nie usłyszał. Wreszcie jednak zaczął mówić, tak cicho, że musieli wytyżać słuch, aby go usłyszeć.

– Potrzebowałem pocałunku – oznajmił po prostu. – Dlatego poleciałem tej nocy do Nowego Jorku. Ostatnim samolotem, jak domyślił się Jay. Nie macie pojęcia, co znaczył brak pocałunku. Bardzo go potrzebowałem. Dlatego wróciłem do Nowego Jorku i odwiedziłem dyskretnie Ti Malice'a. On nigdy nie był sam. Zawsze towarzyszyły mu inne wierzchowce. Kiedy się zjawiłem, mój... mój pan dosiadał Saschy.

Ale on zawsze chętnie mnie zadowalał. Dlatego zszedł z Saschy i dał pocałunek mnie. I wtedy właśnie barman mi powiedział. Zrobił to ze złości. Był wściekły. No wiecie, odebrałem mu Ti Malice'a, a nic na całym świecie nie mogłoby być gorsze. Chciał sprawić mi ból. Dlatego poinformował mnie, że Poczwarka wynajęła zabójcę, który ma załatwić Gregga Hartmanna. Wiedział, jak ciężko pracowałem przy kampanii, jak wiele nadziei, wiary i zaufania pokładałem w Greggu. Sascha wyczytał wszystko z jej umysłu tego dnia rano. No wiecie, jest tylko powierzchownym telepatą, to najśłabszy rodzaj, ale plan musiał być wyraźnie widoczny w jej umyśle. Wtedy się tym nie przejąłem. Gdy Ti Malice zaszczyca cię swym pocałunkiem, wszystko jest takie, jak być powinno. Nie dbasz o nic więcej. Ale po kilku godzinach pan mnie opuścił i przekazał pocałunek Ezili. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, co powiedział Sascha. Nie potrafiłem w to uwierzyć. To wydawało mi się monstrualne, odrażające. Znałem Poczwarkę. Może nie za dobrze, ale ją znałem. Spędziliśmy razem pięć miesięcy na „Ułożonej Tali”. Musiałem się z nią skonfrontować. Ubrałem się i poszedłem do Kryształowego Pałacu. Była sama w swym gabinecie. Stawiała pasjansa. Nie miałem zamiaru jej skrzywdzić, musicie mi uwierzyć. Powiedziałem jej, że czego się dowiedziałem, i zapytałem, czy to prawda. Nie zaprzeczyła. Nie odpowiedziała mi ani słowem. Zerknęła tylko na mnie podejrzliwie i wróciła do stawiania kart. Kiedy na nią naciskałem, udzielała mi jedynie wymijających, pozbawionych znaczenia odpowiedzi z tym swoim irytującym fałszywym akcentem. Gdyby tylko ze mną porozmawiała, powiedziała mi, co wiedziała o Greggu i czego była świadoma. Być może z początku bym jej nie uwierzył, ale wysłuchałbym jej. Dobry Boże, dlaczego nie chciała ze mną rozmawiać?

– Nie ufała ci, Hiram – odpowiedział Jay ze smutkiem połączonym z pewnością. – Nie ufała nikomu. Taka już była.

– Próbowałem ją przekonać... wytłumaczyć, jakie to ważne. Jak dobrym człowiekiem jest Gregg. – Restaurator roześmiał się z goryczą. – Mówiłem jej o jego zasadach, jego odwadze, poświęceniu dla nas wszystkich, zarówno dzokerów, jak i asów, o tym, że jest naszą ostatnią

nadzieją. Dobry Boże, musiała mnie uważać za kompletnego durnia! Błagałem ją. – Po twarzy Hirama spływały łzy. – Jeśli Sascha powiedział prawdę... błagałem ją, żeby to odwołała. A ona cały czas tylko układała karty, odwracając je jedna za drugą i kładąc na miejscu. Kiedy je unosiła, rozlegał się lekki trzask. Pamiętam to. Czarna na czerwoną, czerwona na czarną. Jej twarz... wyglądała jak czaszka. Nie potrafiłem odgadnąć jej myśli. Przypominała mi śmierć. Siedziała tam sobie i bawiła się kartami, podczas gdy wynajęty człowiek miał zabijać w jej imieniu. Jakim prawem? Zapytałem ją o to i nie odpowiedziała mi. Wtedy bardzo się rozgniewałem. Zacząłem rzucać oskarżenia i groźby. Powiedziałem jej, że zawiadomię policję. Popatrzyła tylko na mnie i oznajmiła, że nie zrobię nic w tym rodzaju, bo ona też wie o mnie parę rzeczy. Uświadomiłem sobie, że mówi o Ti Malisie. Następnie kazała mi wyjść. Odmówiłem. Błagałem ją, by porozmawiała ze mną, wysłuchała mnie. Roześmiała się tylko i zaczęła wstawać z krzesła. Wtedy... wtedy...

Jego głos umilkł. Hiram Worchester wpatrywał się tępo w swoje wsparte na kolanach dłonie. Palce prawej ręki zacisnęły się pomału w pięść, po czym rozluźniły się równie powoli.

– Chciałem ją zmusić, żeby usiadła – wyszeptał ochryple. – Chciałem tylko z nią porozmawiać. Przysięgam. A ona zamierzała po prostu sobie pójść. Nie byłem w stanie tego znieść. Dlatego zacisnąłem pięść i spróbowałem popchnąć ją z powrotem na krzesło. Robiłem to dziesiątki razy, setki... po prostu zatrzymać ją na miejscu swą mocą. To było wszystko, co chciałem zrobić, zmusić ją, żeby ze mną porozmawiała, żeby powiedziała mi prawdę, żeby wyznała, kim jest zabójca, abyśmy mogli go powstrzymać. Chciałem tylko, żeby usiadła i mnie wysłuchała, ale...

Hiram umilkł. Zakrztusił się własnymi słowami. Jego potężnym ciałem wstrząsało suche łkanie. Ale Jay nie musiał już słuchać więcej. Pamiętał, w jakim stanie znalazł Poczwarękę. Krzesło pod nią pękło, jej kości się połamały. Potrafił sobie wyobrazić resztę. Pięść zaciśnięta w furii, umysł zaślepiony gniewem. Ile ważyła w owej chwili? Pół tony? Tona?

– Pominąłeś ostatnią część – stwierdził Brennan. – Nie wyszedłeś po

jej śmierci. Najpierw zabrałeś jej karty, wszystkie poza asem pik, którego rzuciłeś na jej ciało, żeby gliny pomyślały, że to byłem ja. Ale to ci nie wystarczyło, prawda? Sekcja wykazałaby przyczynę śmierci, a to skierowałoby podejrzenie na ciebie. Ale połamane kości i rozbite meble – to sugerowałoby walkę. Dlatego spowodowałeś trochę dodatkowych uszkodzeń w gabinecie. A potem, żeby się upewnić, uklęknałeś, uczyniłeś swoją pięść ciężką i uderzyłeś nią w głowę, by wyglądało na to, że zabił ją ktoś nadludzko silny.

Hiram oklapł.

– Nie... nie mogłem pozwolić, by mnie złapano. Bez pocałunku... nie byłbym w stanie tego znieść. Do tego trwała kampania. Byłem asem, delegatem Hartmanna. Gdyby prawda wyszła na jaw, to mogłoby zniszczyć wszystko. Barnett mógłby nawet zdobyć nominację. Stawka była bardzo wysoka. Po prostu wpadłem w panikę. – Nerwowo szarpał brodę grubymi palcami. – To nie było takie, jak mówisz. Nie było zimne... wykalkulowane...

– Czyżby? – uniósł się Brennan. – Popełniłeś morderstwo i próbowałeś w to wrobić kogoś innego, a teraz twierdzisz, że to wszystko była pomyłka. Nie zauważyłem, byś przyznał się do winy, kiedy myślałeś, że wszystko ujdzie ci na sucho. – Wymierzył pistolet w sam środek piersi Hiram. – Byłeś gotów pozwolić, żebym odpowiedział za twoją zbrodnię, a kiedy gliny zamiast mnie zamknęły Elma, również nie odezwałeś się ani słowem.

Głos Yeomana brzmiał spokojnie i bezbarwnie, ale Jay wyczuwał kryjącą się za nim nieubłaganą, śmiertcionośną furję.

Grubas ponownie zwiesił głowę.

– To prawda – wymamrotał. – Nie zrobiłem tego. – Na jego twarzy wyraźnie malował się wstyd. – Jeśli masz zamiar mnie zabić, zrób to i tyle.

W tej właśnie chwili Jay Ackroyd podjął decyzję i stanął między Hiramem Worchesterem a Danielem Brennanem.

– Zejdz mi z drogi, Ackroyd – zażądał Yeoman.

– Daniel, Jay, proszę – odezwał się słabym głosem Tachion ze swego

wózka, na którym kulił się, przygnębiony i obolały.

Obaj mężczyźni go zignorowali.

– Mówisz, że Poczwarzka była twoją przyjaciółką – odezwał się Yeoman. – W takim razie dlaczego osłaniasz jej zabójcę?

– To był wypadek – odparł Ackroyd. – Słyszałeś, co powiedział Hiram. Wiesz, jak do tego doszło. Okaż odrobinę łaski, do cholery.

– Łaska należy do Boga – odpowiedział Brennan. – Ja zajmuję się sprawiedliwością.

– Co ty nie powiesz – mruknął wzgardliwie Jay. – Lepiej powiedz to tym wszystkim facetom, których zabiłeś. Powiedz ich dziewczynom i wdowom po nich. Ich rodzicom i dzieciom, które część z nich mogła osierocić.

– Wiedzieli, jakie ryzyko podejmują. Ludzie, których zabiłem, potraktowaliby mnie tak samo, gdybym tylko dał im szansę.

– O Poczwarzce można wiele powiedzieć – stwierdził Ackroyd. – Między innymi to, że była moją przyjaciółką, cokolwiek możesz na ten temat sądzić. Z pewnością jednak nie była niewinna.

– Znałem ją – oznajmił Brennan. – Robiła to, co musiała.

– Nie pierdol – warknął Jay. – Robiła to, co postanowiła zrobić. Na przykład wysłała do Atlanty wynajętego zabójcę. Według najnowszych obliczeń kosztowało to życie dwóch agentów Secret Service, hotelowego recepcjonisty i dziennikarza. A bardzo niewiele zabrakło, abyśmy musieli dodać do tej listy Jacka Brauna. Nie usprawiedliwiam Hiram, ale moim zdaniem ma znacznie czystsze ręce niż ty.

– Jay – wtrącił cicho doktor Tachion. – Zabójstwa popełnione przez Brennana były kwestią honoru. Wendetą. Na Takis...

– Za oknem mamy Georgię, nie Takis – przerwał mu detektyw. – Czemu, do licha, bronisz tego krwiożerczego świra?

– Zawdzięczam mu życie – odpowiedział kosmita.

– Zawdzięczasz mu życie – powtórzył z niesmakiem Ackroyd. – To świetnie. Hiramowi też je zawdzięczasz, przypominasz sobie? Nie wspominając już o tym, że zawdzięczasz je również mnie. Jak się nad tym zastanowić, zawdzięczasz też życie pierdolonemu Greggowi

Hartmannowi, jeśli wydarzenia w Syrii rzeczywiście wyglądały tak, jak opisano je w gazetach. Nie należy także zapominać o Żółwiu, Złotym Chłopcu, Prostej Strzale... czy jest ktoś, komu nie zawdzięczałbyś życia?

– Brennanowi zawdzięczam życie dwa razy – odparł słabym głosem niski kosmita.

Ackroyd miał ochotę krzyknąć. Powstrzymał się jednak i odwrócił w stronę Yeomana.

– Ja nie zawdzięczam ci nic – oznajmił. – Chcesz sprawiedliwości? Proszę bardzo. Zaprowadzimy Hiram na policję. Niech stanie przed sądem. Ale to będzie transakcja wiązana, tak? Skoro tak lubisz wymierzać sprawiedliwość, sam również powinienes się jej poddać. Stań przed cholernym sędzią i opowiedz mu o swojej wojnie.

– Odpowiadam tylko przed własnym sumieniem i szczerze mówiąc, nie obchodzi mnie, co na ten temat sądzisz – oznajmił Brennan. – Nie oddam się w ręce policji. Mówię ci po raz ostatni, Ackroyd, zjedź mi z drogi.

Zapadła długa cisza. Jay wlepił spojrzenie w Yeomana, a ten odwzajemniał mu się tym samym. Tachion bezradnie przenosił wzrok z jednego na drugiego. Po chwili spróbował się podnieść z wózka. Miał tylko jedną rękę, więc było to trudne i bolesne.

– Potrafię unieść palec bardzo szybko – poinformował Yeomana Ackroyd.

– Gdy tylko zaczniesz to robić, nacisnę spust – odpowiedział Brennan.

– Jakie masz szanse, że uda ci się teleportować kulę w locie?

– Jedną na milion – przyznał Jay. – Ale tylko pod warunkiem, że się nie zawahasz. Ułamek sekundy niezdecydowania i będziesz strzelał przez kraty w więzieniu Tombs.

– Czy wyglądam na człowieka, który się waha? – zapytał Yeoman. Jego ręka była zupełnie nieruchoma.

Detektyw zastanowił się nad tym pytaniem i nie spodobały mu się wnioski, do których doszedł. Hiram siedział ciężko na brzegu kanapy, wpatrując się w pustkę. Zupełnie nie uczestniczył w wydarzeniach. Cokolwiek miało się wydarzyć, otyły as nie sprawiał wrażenia, jakby

miał odegrać w tym większą rolę.

– Jest tu ktoś jeszcze – odezwał się cicho Takizjanin. Obrócił powoli głowę z boku na bok, poszukując. – Inny umysł. W ścianie.

– Rewelacja – mruknął Jay. Zrobiło mu się niedobrze. Powinien był to przewidzieć. – Laleczka widmo, tak?

– To trochę zmienia układ sił, prawda? – zapytał z uśmiechem Brennan.

Detektyw poruszył palcami, patrząc prosto w lufę waltera trzymanego przez przeciwnika. Przypomniało mu to, jak bardzo nienawidzi broni palnej i skurczybyków, którzy nosili ją ze sobą.

Sądząc z wyrazu zimnych, szarych oczu Brennana, Jayowi zaczynało brakować czasu. Nie pozostało mu nic innego, jak tylko podjąć ryzyko.



Yeoman poczuł zaciskające się na jego mózgu imadło. Na moment ogarnęła go panika. Myślał, że ma udar, ale zaraz sobie uświadomił, że to Tachion zapanował nad jego umysłem. Ogarnęła go furia. Wyrwał się ze wszystkich sił, jakie miał w ciele i umyśle, ale nic mu to nie dało. Jedyłą częścią ciała, jaką był w stanie poruszać, były oczy. Rozejrzał się po pokoju i zobaczył, że Jennifer wychodzi sztywnym krokiem ze ściany.

– Niezła robota, doktorze – ucieszył się Ackroyd. – A teraz...

– Nie.

– Wysłuchaj mnie, do cholery...

– Musimy podjąć decyzje. Przedyskutować je, a potem podjąć.

– Ja już swoją podjąłem.

– A ja się z nią nie zgadzam – odparł bez ogródek Tachion. – Przyznaj mi prawo głosu w tej sprawie, Ackroyd. Stoję między trzema przyjaciółmi.

Detektyw spojrzął na Brennana.

– Przyjaciółmi – zachnął się.

Takizjanin osunął się powoli na wózek. Yeoman dostrzegł wysiłek na

jego twarzy, ale ucisk imadła nie ustępował.

– Porozmawiamy – oznajmił kosmita – ale najpierw musi tu zapanować pokój.

Tachion pochylił się, wyjął z cholewy buta sztylet i upuścił go na dywan. Jennifer podeszła do niego sztywnym krokiem i położyła swój pistolet obok noża. Takizjanin spojrzął na Yeomana.

– Danielu, czy zechcesz odłożyć broń?

Głupi upór nie miałby sensu. Nie miał szans złamać mocy Tachiona, a jeśli zatrzyma broń, z pewnością do niczego nie dojdą. Skinął głową, niemal niedostrzegalnie.

– A co z tobą, Ackroyd?

– Nie znoszę tego takizjańskiego syfu.

– Mógłbym zapanować nad tobą i spowodować, że wzięłbyś udział w negocjacjach jako marionetka. Ale wolałbym tego nie robić.

– W porządku. Jak sobie życzysz.

– Trzymaj ręce w kieszeniach.

Tachion uwolnił Brennana, który podszedł bliżej i rzucił mu pistolet do stóp. Spojrzął na kosmitę z gniewem i goryczą w oczach.

– Zdradziłeś mnie – oskarżył go.

– Zapobiegłem morderstwu – warknął Takizjanin.

– To byłaby samoobrona...

– Och, daj spokój! Nie przerzucajmy się słowami. Zabójstwo pozostaje zabójstwem! Zabijesz Jaya, bo próbował wysłać cię do więzienia Tombs. Zabijesz Hiram, bo musisz wymierzyć sprawiedliwość. Skutek jest taki sam. Śmierć! Trzeba to przerwać! – Tachion przycisnął zwinętą dłoń do głowy, jakby chciał odepchnąć jej ból. Następnie zwrócił się w stronę Worchestera, który był niemy świadkiem tego wszystkiego. – Co zamierzasz zrobić, Hiram?

– Decyzję już podjęto – odezwał się Jay. – Zabierzemy go...

– Zamknij się! Hiram?

– Wrócę do Nowego Jorku i oddam się w ręce władz.

– Mogę to zaakceptować – odezwał się Brennan. To było rozsądne rozwiązanie ich trudności. Poczwarła by to zrozumiała.

– Kurwa, nie przypominam sobie, by cię pytał o zdanie – warknął Ackroyd.

– Lepiej, żeby je uwzględnił – stwierdził Yeoman i spojrzął na Worchestera. – Lepiej, byś wiedział, że jeśli po dotarciu na lotnisko zmienisz zdanie i postanowisz uciec, nigdy nie zaznasz spokoju. Dorwę cię prędzej czy później.

– Zdumiewa mnie twoja niezachwiana pewność siebie, Danielu – stwierdził Tachion. – Kto mianował cię Bogiem? Kto dał ci prawo, byś stawiał swój osąd wyżej od osądu innych?

Yeoman parsknął krótkim, ochryplym śmiechem.

– W twoich ustach to brzmi naprawdę śmiesznie, Tachion. Uwolnij Jennifer.

– Nie – sprzeciwił się Takizjanin, potrząsając głową.

– Dlaczego? – zapytał Brennan. Rozgorzał w nim gniew, którego nie był już w stanie dłużej powstrzymać. – Zawarliśmy ugodę.

Jay nagle się poderwał.

– Nie zawarliśmy żadnej ugody. Hiram stanie przed sądem i może pójść do więzienia, bo popełnił błąd, a ten facet ma odejść wolno? Pierdolić to! Jeśli jego mała wojna ma go usprawiedliwiać, Hiram powinno się całkowicie uwolnić od winy.

– Jay – powiedział Takizjanin, potrząsając głową. – Pozwalasz, by gniew wypełniał ci mózg. Elmo jest oskarżony o zbrodnię, której nie popełnił. Hiram przyznał się do jej popełnienia. Musi stanąć przed sądem.

– No tak, ale mówimy tu o nieumyślnym spowodowaniu śmierci. W najgorszym razie o zabójstwie w afekcie. Hiram może dostać wyrok w zawieszeniu. – Ackroyd wskazał kciukiem na Yeomana. – Jak to przyjmie nasz Danny?

– Będziemy musieli się o tym przekonać, prawda? – odparł zimnym głosem Brennan.

– Do diabła z tym – skwitował Jay. – Dlaczego nie pozwolimy Hiramowi napisać zeznania, a potem wsiąść do pierwszego samolotu do Tybetu czy dokądkolwiek zechce polecieć?

- Zginie, nim zdąży wsiąść do tego samolotu – ostrzegł cicho Brennan.
- Nie, jeśli znajdziesz się za kratkami.

Worcester poruszył się i wstał. Nie sprawiał już wrażenia zagubionej ofiary. Najwyraźniej podjął decyzję i był zdecydowany ją zrealizować.

- Możecie sobie gadać, aż obu was diabli wezmą – oznajmił. - Decyzja należy do mnie. Wrócę do Nowego Jorku i stanę przed sądem, bo tak postanowiłem. - Spojrzał na Brennana. - A nie dlatego, że się ciebie boję. Nie boję się.

Yeoman uświadomił sobie, że to prawda. Hiram przeszedł przez ogień i wyszedł z niego oczyszczony. Sprawiał wrażenie, że nie boi się już niczego.

- Hiram... - zaczął Ackroyd.

- Jay, twoja przyjaźń ogrzewa mi serce, ale muszę to zrobić. Zbyt długo byłem marionetką. Najpierw... jego... a potem Ti Malice'a. Z tym już koniec. Nie będę dłużej tańczył na niczyich sznurkach.

- On ma rację – poparł go z pasją Tachion. - Czy żaden z was tego nie rozumie? Proces Hiram'a będzie miał kluczowe znaczenie, nie tylko dla niego i dla Elma, lecz również dla nas wszystkich. Prawo jest świadectwem naszego moralnego życia. Historia prawa jest historią moralnego rozwoju waszego gatunku. Ale mój gatunek zaburzył równowagę. Stworzyliśmy nadludzi i to doprowadziło do narastającego chaosu. Żółw bezkarnie atakuje ludzi, ponieważ chroni go nie tylko dosłowny pancerz, lecz również metaforyczna zbroja anonimowości. Ja wnikam w ich umysły. Ty gwałcisz ich prawa obywatelskie, Jay. A ty ich zabijasz, Danielu. Jeśli nie pokażemy, że jesteśmy gotowi podporządkować się rządowi prawa, staniemy się tacy, za jakich uważa nas Barnett. Udowodnimy, że jesteśmy niebezpieczni i niepohamowani, że trzeba nad nami zapanować, ponieważ uważamy, że nie dotyczą nas zasady obowiązujące w cywilizowanym społeczeństwie.

- Fascynujące – zauważył z przekąsem Brennan. - Ale o czymś zapomniałeś. Nie jestem dziką kartą. Jestem tylko natolem.

Jay błyskawicznie zwrócił się w jego stronę.

- Ty skurwysynu. Tachion, właśnie mnie przekonałeś, że ten zabójca

powinien się znaleźć za...

Ackroyd umilkł w pół słowa. Yeoman spojrział na Takizjanina. Błady, wstrząśnięty kosmita wstał z wózka.

– Tak – oznajmił ze znużeniem Tachion. – Znowu bawię się w Boga. Odejdź, Danielu. Zabierz swoją kobietę i odejdź. I nigdy nie wracaj. A gdybyś wrócił, wiedz, że ci nie pomogę.

Jennifer zachwiała się jak pijana, gdy Takizjanin ją uwolnił. Yeoman ją podtrzymał. Raz jeszcze zerknął na Tacha, a następnie opuścił apartament. Kosmita odprowadzał go wzrokiem. W oczach żadnego z nich nie było sympatii.



Kiedy Brennan i jego dziewczyna sobie poszli, Tachion w końcu zwolnił żelazny uścisk na ciele i umyśle detektywa. Kosmita drżał. Na czoło wystąpiły mu kropelki potu.

Jay podbiegł do drzwi, wypadł na korytarz i popatrzył w górę i w dół. Nikt nie czekał na windy. Wybiegł na schody przez drzwi przeciwpożarowe, dysząc ciężko. Były puste. Brennan i Jennifer zniknęli.

Ackroyd zaklął głośno, obrócił się na pięcie i wrócił do pokoju, zatraskując za sobą drzwi. Tachion skrzywił się boleśnie, usłyszawszy hałas. Ręka mu zadrżała.

– Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, co przed chwilą zrobiłeś – odezwał się z goryczą Jay. – Wypuściłeś na ulice nowego Zgona.

Takizjanin przyglądał mu się przez dłuższą chwilę. Potem jego szeroko otwarte liliowe oczy zamknęły się i mały kosmita zemdlął.

– Niech to szlag – poskarżył się Ackroyd. – Cudowne zakończenie wspaniałego tygodnia. – Zerknął ze znużeniem na Hiramę. – Chodź, pomóż mi położyć tego cholernego kurdupla do łóżka.

22:00

Brennan pomyślał, że czasami obowiązek nigdy się nie kończy. Oboje z Jennifer natychmiast opuścili Atlantę. Zabrali furgonetkę z parkingu na lotnisku i pojechali w miejsce, gdzie wcześniej był Kryształowy Pałac. Yeoman wysiadł i podszedł do ruin.

Było ciemno. Na ulicy było niewielu przechodniów. Nic już ich tu nie przyciągało. Kryształowa dama nie żyła, a jej pałac spłonął. Mężczyzna przez długi czas wpatrywał się w jego pozostałości. W powietrzu nadal unosił się zapach spalenizny, a umysł Brennana zalewała fala wspomnień. Odwrócił się i stanął przed inną stertą gruzu, pamiątką po zamieszkach w Dżokerowie. Czekał tak długo, aż wreszcie zobaczył w środku błysk oczu.

- Jak się czujecie? – zapytał.
- Smutno nam. Nasza pani nie żyje, a nasz dom spłonął.
- Nie chciałem, żeby tak się stało – zapewnił Yeoman.
- Ale się stało – oskarżył go głos.
- To prawda – zgodził się mężczyzna. – Czy macie jakieś inne schronienie?

Małeńka główka pokręciła się przecząco.

- Teraz już macie – odrzekł cicho Brennan.

23:00

Kopacz Downs stukał wściekle w klawiaturę laptopa, tak zaabsorbowany, że nawet nie zauważył, gdy Jay wszedł do jego mieszkania.

- Zapomniałeś zamknąć drzwi – oznajmił głośno detektyw.

Zaskoczony reporter oderwał wzrok od ekranu i spojrzał na Ackroyda z poczuciem winy malującym się na twarzy. Miał już może z metr trzydzieści wzrostu. Wyglądał jak dziecko z zabawką edukacyjną Speak and Spell.

- To ty – rzekł.

– To ja – potwierdził detektyw. – Naprawdę powinieneś zamykać drzwi. Nigdy nie wiadomo, kiedy ktoś może wejść do środka i zniszczyć wszystkie twoje rzeczy.

Rozejrzał się znacząco. Mieszkanie Kopacza wyglądało dokładnie tak, jak zostawił je Mackie Majcher.

– Masz cholerny tupet, przychodząc tutaj – zauważył Downs. – Mogłem umrzeć w tej cholernej skrzynce dla kota. Wysłali mnie aż na Alaskę.

– Alaska, Atlanta, dla państwowych służb to niewielka różnica – odparł z uśmiechem Jay. – Przynajmniej nie musiałeś jeść tego, co dają w samolotach.

– To nie jest śmieszne! Powiniennem cię poznać – poskarżył się Kopacz. – Kiedy wreszcie dotarłem do Georgii, zrobiłem się taki duży, że musieli mnie wycinać z tego cholernego pudełka.

– Nie wiem, czy to cię pocieszy, ale ja również nie bawiłem się zbyt dobrze – wyznał detektyw i przeszedł na drugi koniec pokoju, ostrożnie stąpając między leżącymi na podłodze odpadkami. – Czy ktoś ci już kiedyś mówił, że masz syf w mieszkaniu?

Kopacz skrzywił się wściekle.

– Niczego tu nie ruszam, dopóki nie przyjdzie fotograf.

Jay westchnął.

– Obawiałem się, że powiesz coś takiego. O czym piszesz?

Kopacz pośpiesznie zapisał plik, nad którym pracował, a potem zamknął laptop, by Ackroyd nie mógł przeczytać z ekranu jego nazwy.

– To nie twój interes – oznajmił. – Skąd wiedziałeś, że wróciłem do domu?

– Jestem detektywem, pamiętasz? – Jay zrobił sobie miejsce na końcu sofy i usiadł. – Nie utrudniajmy sobie zadania bardziej niż to konieczne. Chcę tylko zmyć się stąd jak najprędzej, pojechać do szpitala i przez jakiś miesiąc żreć środki przeciwbólowe.

– Co cię przed tym powstrzymuje? Ruszaj w drogę.

– Najpierw musimy coś sobie wyjaśnić. Nic nie napiszesz o Greggu Hartmannie.

Kopacz parsknął śmiechem.

– Akurat. To news mojego życia. Opowiem o wszystkim. O Syrii, Berlinie, Mackiem Majchrze, Kryształowym Pałacu, o wszystkim... Postaram się, żeby go powiesili, i będę patrzył, jak kołysze się na wietrze. Wyobrażam sobie specjalny numer „Aces!” poświęcony wyłącznie zdemaskowaniu Hartmanna. A może sprzedam to do „Washington Post”. To będzie nauczka dla tej głupiej laski, Sary Morgenstern. – Klepnął otwartą dłońią w pokrywę laptopa. – Kiedy to wszystko się ukaże, Greggie będzie miał szczęście, jeśli go nie zlinczują.

– Świetnie – odparł znużonym głosem Ackroyd. – A ile innych dzikich kart zlinczują wtedy zamiast niego? Zadałeś sobie to pytanie?

– To już nie mój problem – skwitował Kopacz. – Ja jestem tylko dziennikarzem. Mówię ludziom prawdę, bez względu na konsekwencje.

– Jasne – mruknął detektyw. – To ciekawe, że prawda nie była aż tak istotna, gdy konsekwencje mogły dotknąć ciebie. – Uniósł rękę, zanim Downs zdążył mu przerwać. – Wysłuchaj mnie – podjął. – Rozmawiałem już o tym z Tachionem. Miał rację. Ta historia nigdy nie może wyjść na jaw. Są powody.

Ackroyd zaczął je wylizywać jeden po drugim.

Reporter nie dał się przekonać.

– Chcesz, żebym uczestniczył w zatajeniu sprawy – oskarżył Ackroyda, kiedy ten skończył.

– Nieźle – ucieszył się Jay. – Łapiesz, o co chodzi.

– Nie ma mowy – sprzeciwił się Downs z oburzeniem w głosie. – To nieetyczne. A poza tym, co ze mną? Dlaczego miałbym pomagać Hartmannowi uniknąć kary? On kazał mnie zabić. Zapomnij o tym, Ackroyd.

– Wiem, kto zabił Poczwarę – odparł Jay. – Jutro rano winny odda się w ręce policji na posterunku w Dżokerowie. Jeśli zgodzisz się zrezygnować ze zdemaskowania Hartmanna, dostaniesz w zamian tę historię. Załatwię, żeby zabójca wyznał ci wszystko, zanim pójdzie na policję. – Jay omówił to już z Hiramem po drodze do domu i Worchester się zgodził. W obecnym stanie ducha zgodziłby się na

wszystko, żeby tylko zapobiec dalszemu rozlewowi krwi. – To fascynująca opowieść – zapewnił. – Jest w niej szantaż, prochy, seks, śmierć, asowie, dzokerzy i tak dalej. Mnóstwo barwnych szczegółów. – Sam wiedział o tym najlepiej. Pomagał Tachionowi opracować te szczegóły. W opowieści brakowało tylko jakichkolwiek wzmianek o Greggu Hartmannie i Jamesie Spectorze. Ti Malice był wystarczająco atrakcyjnym czarnym charakterem. – Dostaniesz wyłączne prawa – obiecał Kopaczowi. – Albo jeszcze lepiej. Przekonam zabójcę, żeby poddał się tobie, a ty będziesz mógł wydać go glinom.

Przez chwilę Downs sprawiał wrażenie zainteresowanego. Potem jednak jego dziecinna twarz się zasępiła.

– Wyglądam na głupiego czy co? News o Hartmannie to miejsce na nagłówkach w całym kraju, występy w talk-show, książki, pewna Nagroda Pulitzera, cholera, może nawet Nobel. Nie ma mowy, żebym to zamienił na historię jakiegoś pospolitego morderstwa w Dżokerowie. Daj spokój, Poczwarzka? Kogo ona obchodzi? To tylko kolejna martwa dzokerka.

– Mogę dorzucić trochę forsy – dodał Jay.

– Hej, ja nie biorę łapówek – odparł z oburzeniem w głosie Kopacz. – Zatrzymaj sobie swoje cholerne pieniądze. Amerykańska opinia publiczna ma prawo poznać prawdę.

Jay westchnął głęboko. Zaczynało mu brakować amunicji.

– No dobra – odparł. – Jak sobie chcesz. – Wstał. – Kiedy już opublikujesz te swoje rewelacje, w kraju zrobi się naprawdę gorąco dla dzikich kart, ale jeśli uważasz, że potrafisz znieść ten żar, to, hej, kim jestem, żeby się sprzeciwiać?

Ruszył ku drzwiom.

– Ja? – zdziwił się Kopacz. – A czemu miałbym się bać?

Ackroyd odwrócił się i popatrzył na niego.

– Jesteś asem, prawda? – zapytał niewinnie. Dotknął nosa koniuszkiem palca i uniósł znacząco brew.

– Ale nikt o tym nie wie – zauważył Kopacz.

Jay uśmiechnął się tylko.

– Nie zrobiłbyś tego – sprzeciwił się przerażony Downs. – Kurde, powiedziałem ci to w zaufaniu. Jeśli ktoś się dowie, mogę mieć przesrane.

– To prawda – przyznał współczującym tonem detektyw. – No wiesz, gdyby to zależało ode mnie, trzymałbym głowę na kłódce, ale... – Wzruszył ramionami. – Amerykańska opinia publiczna ma prawo poznać prawdę.

– Ackroyd! – zawołał go Kopacz, gdy jego ręka spoczęła już na kłamce.

– Słucham? – zapytał detektyw, oglądając się przez ramię.

Downs przyjrzał mu się z namysłem.

– To ile będzie tej forsy? – zapytał.

00:00

Zatrzymali się w Red Apple Rest, całodobowej restauracji przy autostradzie 17. Brennan wysiadł i wszedł do środka.

– Siedemnaście cheeseburgerów, dwanaście dużych hot dogów z chili, trzy z musztardą i kiszoną kapustą, dwadzieścia sześć dużych porcji frytek, piętnaście coli, dziesięć seven-up i jedną dużą kawę. Czarną.

– Jezu – zdumiał się sprzedawca. – Ma pan w tej furgonetce stado wygłodniałych zwierząt czy co?

– Tylko grupę przyjaciół – odpowiedział Yeoman, kładąc pieniądze na kontuarze.

Gdy sprzedawca odwrócił się, by zrealizować zamówienie, Brennan spojrzął na parking. Księżyc skłaniał się już ku zachodowi. Wisiał nad horyzontem i przypominał mężczyźnie uśmiechniętą czaszkę. Wystarczyła odrobina wyobraźni, by dodać intensywnie niebieskie oczy i koralowe wargi. Gdy księżyc zniknął za widnokretem, Yeoman odwzajemnił uśmiech. – żegnaj – wyszeptał.



Lista postaci

Gwiazdy

Stworzone przez:

Jay (Rzutnik) Ackroyd

George R.R. Martin

Daniel (Yeoman) Brennan

John Jos. Miller

Postacie pierwszoplanowe

Stworzone przez:

Jennifer (Zjawa) Maloy

John Jos. Miller

Thomas (Kopacz) Downs

Steve Perrin

Hiram Worchester

George R.R. Martin

Ti Malice

John Jos. Miller

Kuriozum

Stephen Leigh

Doktor Tachion

Melinda M. Snodgrass

Matka i jej dzieci

John Jos. Miller

Postacie drugoplanowe

Stworzone przez:

Charles Dutton
Walton Simons
Leniwy Smok
William F. Wu
Ezili-je-Rouge
John Jos. Miller
Porucznik Thomas Jan Maseryk
Chris Claremont
Sierżant Harvey Kant
Walter Jon Williams
Wielki Joe Jory
John Jos. Miller
Quasiczłowiek
Arthur Byron Cover
Ojciec Kałamarnica
John Jos. Miller
Znikacz
George R.R. Martin
Sascha Starfin
John Jos. Miller

Postacie epizodyczne

Stworzone przez:

Doug Morkle (Durg Morakh)
Victor Milán
Elmo Schaeffer
John Jos. Miller
Jack (Złoty Chłopiec) Braun
Walter Jon Williams

Billy (Carnifex) Ray
John Jos. Miller
Robert (Maczuga) Seivers
George R.R. Martin
Trójnóg Nephi (Prosta Strzała)
John Jos. Miller
Callendar
Walter Jon Williams
Stygmat
Stephen Leigh
Pluskacz
John Jos. Miller
Jube (Mors) Benson
George R.R. Martin
Klucha
Victor Milán
Zaklinacz
George R.R. Martin
Żmij
John Jos. Miller
Mackie Majcher
Victor Milán

GOŚCINNIE WYSTĄPIŁA

Stworzona przez:

Poczwarka
John Jos. Miller